Nr. 95 BIBLJOTEKA NARODOWA Serja I.

MICHAŁ BAŁUCKI

GRUBE RYBY

KOMEDJA W 3 AKTACH

ORYGINALNIE NAPISANA

OPRACOWAŁ

Dr ZYGMUNT TEMPKA-NOWAKOWSKI

KRAKÓW

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

Odbito czcionkami drukarni „Czasu“ w Krakowie

1926

MICHAŁ BAŁUCKI

I

MIESZCZAŃSTWO NA SCENIE POLSKIEJ

Pod osłoną królewskiej protekcji, w pałacach magnatów, w szkołach, gdzie kształciła się młodzież szlachecka, wzrastał i rozwijał się teatr polski. Był więc teatrem *par excellence* szlacheckim, t. j. właśnie takim, jaki jedynie mógł powstać w społeczeństwie nawskróś szlacheckiem. Trzy zasadnicze elementy, które tworzą teatr, a więc autor, aktor i widz, pochodzili wyłącznie z jednej warstwy, ze szlachty.

Jeśli pominiemy pierwsze, a w czasach saskich zagubione i z nielicznemi wyjątkami dla ciągłości naszej kultury stracone próby ludowe, studenckie czy dworskie, — a zaczniemy rozpatrywać dzieje komedji polskiej od właściwego punktu ich wyjścia, t. j. od połowy XVIII w., wtedy za początkowy etap rozwoju uznać wypadnie prace ks. Urszuli z Wiśniowieckich Radziwiłłowej. Idą w ślad za nią Rzewuski, Bohomolec, Czartoryski, Krasicki, Zabłocki (wyjątkowy w tem gronie okaz „chudego literata“), Kossakowski i inni, wśród których reprezentanta klasy mieszczańskiej spotkać

nie można. Ten stan rzeczy rozciąga się i na pierwszą połowę XIX w. Na wyżyny komedję polską podnosi Fredro, obok niego działa Korzeniowski, Skarbek, później Bliziński. Idąc tą drogą, dochodzimy dopiero w okresie pozytywizmu do pierwszego zdecydowanie mieszczańskiego autora, jakim był Bałucki. Pod tym względem inne gałęzie literatury polskiej były mniej wyłączne, mniej ekskluzywne.

Pamiętniki Bogusławskiego i Skibińskiego wskazują, że adeptów i adeptek scenie polskiej dostarczała po większej części także sfera ziemiańska. Wielki paryski Talma w młodości był dentystą, — nasz Bogusławski paziem na dworze biskupa Sołtyka. Audytorjum wreszcie było również szlacheckie.

Jest to właśnie charakterystycznym i może nawet oryginalnym rysem komedji polskiej w odróżnieniu od francuskiej, która z dawien dawna stanowiła dla polskiej gotowy wzór. Komedja francuska, to dzieło stanu trzeciego; stworzyła ją zdrowa, silna, świadoma swych dążeń i gotowa do ich obrony warstwa mieszczańska. Pierwszy znany z nazwiska komedjopisarz francuski, Adam de la Halle z XIII w. [1], był mieszczaninem, równie jak Molière, Regnard, Lesage, Sedaine (który przez pewien czas pracował jako murarz), Beaumarchais, i t. d. Mieszczańskiemu pochodzeniu autorów zawdzięcza komedja francuska to, że od początku prawie

---

[1] Odpowiadałby mu na gruncie historji komedji polskiej także mieszczanin, Baryka, jednakże jego komedja *Z chłopa król* jest raczej wyjątkiem, nie stanowi zaś, jak już wspomniano, ogniwa w łańcuchu rozwoju naszej twórczości dramatycznej, która bierze swój początek w połowie XVIII w.

swego rozwoju przesycona jest elementem radykalnej krytyki danych warunków życia, skutkiem czego staje się organem niezmiernie czynnym i ruchliwym oraz energicznym motorem postępu. Już owe *sotties* z XV w. pozwalają sobie na ostrą krytykę współczesnych mężów stanu, dzięki czemu teatr staje się trybuną, z której rozbrzmiewa głos namiętnej, gwałtownej obrony praw mieszczaństwa. Molier dumny jest ze swego pochodzenia, w stosunku zaś do klas wyższych akcentuje stale niezależność i odwagę przekonań. Cóż więc dziwnego, że ta do szpiku kości demokratyczna komedja francuska, która idzie przebojem, zwalczając wszelkie przeszkody, wystrzeli w przededniu burzy takim śmiałym, rewolucyjnym płomieniem, jak *Wesele Figara*.

Zasadnicze różnice temperamentu sprawiły, iż teatr polski, choć idący utartym szlakiem francuskim, rozwijał się bardzo powoli. Zamiłowanie do teatru rzadko jedynie przeradzało się u nas w namiętność, w teatralną pasję, tak wrodzoną Francuzom. Na polu komedji jesteśmy w dosłownem znaczeniu Francuzami Północy, — tej Północy, gdzie słońce mniej grzeje, a kwiat wolniej dojrzewa...

Zrodzona w atmosferze pałaców, komedja polska nosi na sobie piętno szlachetnego dyletantyzmu i nie ma bezpośredniego kontaktu z życiem innych warstw społecznych. Niewątpliwie, tendencyjna komedja stanisławowska uczy, poprawia, czasem nawet gorzko szydzi, przygotowuje grunt dla doniosłych reform, ale czyni to po większej części w sposób oględny i nieśmiały. Cierpi na organiczny brak temperamentu. Jest połowiczna w tej samej mierze, co... Konstytucja 3-go maja.

Demokratyczna, ale wszelkiego radykalizmu pozbawiona idea Bohomolców, Karpińskich, Wybickich, którzy w delikatną bawełnę owijają swe szlachetne tendencje, sprawia wrażenie cieplarnianej rośliny, — jest wątła i dyskretna. Przeszczepieni na polski grunt mieszczanie molierowscy zdobywają za pośrednictwem Bohomolca i innych indygenat, a raczej podlegają automatycznie pewnego rodzaju nobilitacji, czego dowodem te o szlacheckim sufiksie i brzmieniu nazwiska Figlackich, Pomockich, Łakomskich, Zarobskich, Bywalskich, Głupskich, Mędrskich, Frantowskich i t. d., odpowiadające całkiem skromnym i prostym Scapin'om, Géronte'om czy Anselmom oryginału. W ślad za tą ściśle zewnętrzną metamorfozą idą zmiany zasadnicze, sięgające głębiej, których celem jest przystosowanie obcego tekstu do potrzeb polskiej szkoły i polskiego audytorjum, — w myśl zasady Czartoryskiego, że „osoby komedji powinny mieć podobieństwo z tym narodem, dla którego się pisze“, oraz podług jego wskazówki, aby autorzy „plantę zatrzymawszy, może i intrygę, wyprowadzali tak jedną jak drugą przez osoby zachowujące krajowe obyczaje“.

Naogół komedja polska w początkach swego istnienia chętniej interesuje się chłopem niż mieszczaninem, który rzadkim jest gościem na scenie polskiej, jeżeli zaś już na niej się pojawia, to przeważnie tylko jako przeciwstawienie, jako pedagogiczny kontrast rasy zdrowej w stosunku do zepsutej i zdemoralizowanej sfery szlacheckiej, która jest dominującym elementem teatru polskiego. W konsekwencji postaci takie wypadają blado i konwencjonalnie, jak n. p. figura kupca

Arnolda w *Staruszkiewiczu* lub masztalerza Chudeckiego w *Małżeństwie z kalendarza* Bohomolca, który zwalcza przesądy upośledzające stan mieszczański. Tym samym przedmiotem zajmuje się Wybicki w niezachowanej komedji *Szlachcic mieszczaninem* z roku 1791, o której pisze Bogusławski, że „braterskiej równości, świeżo zapadłą ustawą potwierdzonej, wystawiając użytki, z wielkiemi oklaskami przyjętą była“. Na 64 komedje przerobione przez Zabłockiego tło mieszczańskie posiada sztuk niewiele (n. p. *Dziewczyna sędzią, Balik gospodarski*). Pewnego rodzaju innowację stanowi w komedjach Kossakowskiego przeprowadzenie akcji na tle miejskiem, specjalnie warszawskiem.

Fredro uprawia wyłącznie komedję szlachecką, dając w niej innym stanom role poślednie, epizodyczne, mimo że akcja wielu komedyj fredrowskich rozgrywa się w mieście. Wprawdzie Geldhab, jak słusznie zauważono, jest w komedji polskiej „pierwszym mieszczaninem, nietylko z imienia ani z domysłu, ale także z charakteru“ [1], jednakże obce jego pochodzenie nie pozwala uważać go za mieszczanina-Polaka.

Komedja polska demokratyzuje się w pewnym stopniu u Korzeniowskiego i rozszerza horyzont. Z pałaców, z salonów, schodzi czasem do warsztatu szewskiego *(Majster i czeladnik)*, zagląda do kawiarni *(Pośredniczka)* lub do parku miejskiego *(Majątek albo imię)*, obiera za temat środowisko kupieckie *(Dwaj mężowie)* lub drobnomieszczańskie *(Reputacja w miasteczku)* i t. d.

---

[1] I. Chrzanowski, *O komedjach A. Fredry*, Kraków 1917, str. 173—4.

Mimo to jednak głównie zajmował Korzeniowskiego salon. Wzorując się na t. zw. dramacie mieszczańskim *à la* Diderot, formę tę stosował Korzeniowski w środowisku salonowem, które mu najbardziej odpowiadało. Niemniej przecie, zarówno na gruncie powieści jak i komedji, ma autor *Majstra i czeladnika* tę niewątpliwą zasługę, że pierwszy wprowadził świat rzemieślniczy z jego charakterystycznemi zwyczajami, że umiał plastycznie odtworzyć wnętrza kantorów bankierskich, jadłodajni urzędniczych, i t. d.

Tendencja demokratyczna wzmaga się u Skarbka *(Popas),* który, podobnie jak Korzeniowski w *Majstrze i czeladniku,* wprowadza na scenę szewców w *Zosi Przybylance.* Komedja to jednak historyczna, a t. zw. niższe sfery grają jedynie rolę kontrastu w stosunku do przedstawionej czarno elity, — podobnie jak w późniejszem o lat kilkanaście *Szlachectwie duszy* Chęcińskiego.

Bliziński uwagę skupił wyłącznie na wsi polskiej i warstwie ziemiańskiej, z którą wiązała go wspólność rasowa i głęboki sentyment. Tym więc, który otworzył szeroko podwoje sceny polskiej dla mieszczaństwa, był dopiero Michał Bałucki. Stało się to zresztą wtedy, kiedy stać się mogło, t. zn. w epoce, gdy nowa era konstytucyjna pozwoliła mieszczaństwu polskiemu, przynajmniej na gruncie galicyjskim, wstąpić na szerszą arenę politycznego i społecznego życia.

Mieszczanie, *homines novi* teatru polskiego, w szybkiem tempie, jakgdyby chcąc sobie wynagrodzić czas stracony, zapełnili a nawet po brzegi zapchali sobą repertuar scen polskich. Obecnie już grali sami dla

siebie, grali własne role, byli to mieszczanie „jako tacy“, na własnych śmieciach. Wnieśli z sobą pewną świeżość, temperament, niejaką świadomość własnej wartości i pozycji społecznej, ożywili i wzbogacili galerję przeżytych już typów, a zmieniając gruntownie *mise en scène* teatru polskiego, rozszerzyli na pewien czas jego horyzont.

Najproduktywniejszym w tym kierunku twórcą był Bałucki, — jeśli nie *magnus*, to w każdym razie *parens* polskiej komedji mieszczańskiej, który dał impuls całej falandze komedjopisarzy współczesnych i następców aż po dzień dzisiejszy, gdzie twórczość n. p. Zapolskiej lub Perzyńskiego da się genetycznie związać z jego skromnemi początkami. Ci mieszczańscy bohaterzy Bałuckiego, zrazu obdarzeni interesującą marką rzeczy nieznanej, bawili, zajmowali bogactwem obserwacji, realistyczną charakterystyką, — słowem mieli pewien urok nowości, który jednakże bladł z biegiem czasu. Zresztą tym gruntem, na którym wzrośli mieszczanie Bałuckiego, jest nie wielkie miasto, nie jakiś imponujący ośrodek ruchu, krzyżujących się wielkich interesów i potężnych konfliktów, w których wirze powstają nowe formy życia; — ich terenem jest raczej miasteczko o zaściankowych obyczajach i aspiracjach. W porównaniu z silną warstwą mieszczańską, która n. p. we Francji po roku 1830 wysunęła się na czoło politycznego i społecznego ruchu, decydując o fizjognomji całego kraju, — mieszczanie Bałuckiego, ten korowód lekarzy, urzędników, radców, archiwistów i t. p., przedstawiają się mizernie, pod każdym względem ubogo. W miarę panoszenia się ich na scenie, wkradała się

w ślad za nimi szarzyzna ich życia, intelektualna pustka, ciasnota pojęć, pewna pospolitość i trywjalność, skutkiem czego po upływie lat dwudziestu zaczęli najpierw drażnić swą obecnością, potem irytować, — wreszcie... nudzić. Uwaga i zainteresowanie odwróciło się od nich tem gwałtowniej, że równocześnie z Zachodu, a zwłaszcza z Północy, szła potężna fala nowej sztuki, z Ibsenem na czele, którego *Wróg ludu* ukazał się na scenie krakowskiej już w 1891 r.

Rosła więc z dnia na dzień reakcja przeciw „Bałuczyźnie", która była „Dulszczyzną", ale pojmowaną na serjo..., która była jakby ucieleśnieniem tej pospolitości, o jakiej mówi poeta w *Weselu*:

A tu pospolitość tłoczy,
Włazi w usta, uszy, oczy!...

W związku z tą reakcją pogłębiała się gwałtownie przepaść nieporozumienia między autorem a nową generacją.

II

ŻYCIE BAŁUCKIEGO

Bałucki, rówieśnik prawie młodszego o rok zaledwie Asnyka, o dwa zaś lata starszy od Narzymskiego, urodził się 29 września 1837 roku w Krakowie, z którym złączyła go nierozerwalnie górna młodość, w pracy spędzone a pomyślne lata dojrzałe, i późniejszy wiek, pełen rozczarowań i zawodów. Aspiracje literackie odezwać się musiały dość późno, skoro w gimnazjum Bałucki podał jako swój przyszły zawód... teologję, po zdaniu zaś matury zapisał się początkowo

na wydział matematyczno-fizyczny. Na ławie szkolnej (gdzie kolegował z historykiem Kubalą, muzykiem Władysławem Żeleńskim, socjologiem Gumplowiczem) matematyka była jego specjalnością, uzyskał w niej bowiem cenzurę *ausgezeichnet,* podczas gdy w dziedzinie historji wiadomości jego okazały się tylko *befriedigend,* — na polu zaś filologji i innych nauk profesorzy nie dopatrywali się w nim większych zdolności

Zdaje się, że rachować umiał naprawdę dobrze, — tak przynajmniej świadczyłyby wspomnienia osobiste jego przyjaciół, którzy, jak n. p. Bartoszewicz, podnoszą oszczędność jako jedną z głównych cech jego charakteru. Oszczędność ta, czasem dochodząca do pewnego skąpstwa, sprawiła, że Bałucki, choć ubogi i już od drugiej klasy gimnazjalnej zarabiający na życie, uchodził w opinji kolegów i profesorów za bogatego, skutkiem czego odmówiono mu stypendjum najpierw w ciągu studjów gimnazjalnych, a potem, po raz drugi, na uniwersytecie. W tym drugim jednakże wypadku deputacja studentów, wśród których przyszły komedjopisarz wielkiej zażywał popularności, uzyskała u rektora ówczesnego, Dietla, korzystną zmianę decyzji senatu.

Po przebyciu dwóch semestrów na wydziale matematyczno-fizycznym przenosi się Bałucki na wydział historyczno-literacki. Wycieczka do Meranu i północnych Włoch przypada na trzeci rok studjów uniwersyteckich, poczem z chwilą powrotu do Krakowa następuje zbliżenie do kół literacko-artystycznych. W tym czasie właśnie, t. j. w latach 1859—60, rozpoczyna Bałucki swą działalność literacką. Przynależność do postępowych kół młodzieży wyrobiła mu złą markę

w policji, której opinja zaszkodziła przy staraniach o posadę „suplenta“ w gimnazjum. Pracuje zatem jako guwerner, będąc równocześnie członkiem redakcji *Niewiasty.* Pracę tę przerywa ciężka choroba mózgowa, po której przebyciu Bałucki na krótki czas obejmuje posadę nauczyciela w prywatnym instytucie w Częstochowie. W r. 1863 do skromnej kasy początkującego literata wpływa pierwsze poważniejsze honorarjum, mianowicie *Tygodnik ilustrowany* kupuje za 150 rubli srebrnych nowelę p. t. *Heraklesowe drogi.* Przy schyłku jednakże tego tak szczęśliwie zaczętego roku Bałucki na podstawie jakiejś denuncjacji dostaje się jako oskarżony o nieprawomyślność polityczną na rok do więzienia austrjackiego, gdzie, korzystając z czasu, pisze powieść *Młodzi i starzy* oraz szkic komedji *Polowanie na męża.* Opuściwszy więzienie, wyjeżdża na krótko do Warszawy, poczem wraca do Krakowa, aby się już z nim nie rozstawać. Przez pewien czas jest recenzentem teatralnym w *Kalinie,* później obejmuje feljeton tygodniowy w liberalnym *Kraju.* Już jako znany powieściopisarz i autor sceniczny żeni się w 1876 z popularną aktorką i śpiewaczką krakowską, Kalikstą Ćwiklińską.

Jego produkcja literacka wzrasta z roku na rok, a kulminacyjnym jej punktem są lata 1879—1884, w ciągu których Bałucki, po śmierci pierwszej żony ożeniwszy się z Eufemją Śliwińską, przeżywa w uroczej willi na Sikorniku pod Krakowem najpomyślniejszy okres swego życia, jako szczęśliwy mąż, ojciec, i stojacy u szczytu powodzenia literat. Miarą jego ówczesnej popularności jest urządzony w r. 1884 jubileusz („za to niepotrzebne zawracanie ludziom

głowy, psucie papieru i zatrudnianie pras drukarskich“ — jak się sam Bałucki wyraził), — jubileusz uświetniony hołdem Sokołów czeskich, a powtórzony później przez Warszawę i Lwów.

Następne lata miały być już coraz mniej pomyślne dla Bałuckiego. Psuje się i mąci jego szczęście rodzinne, zawodzi jedna sztuka po drugiej, recenzje z krytycznych stają się wręcz wrogie. Mimo jednakże coraz częstszych głosów, aby odłożył pióro, Bałucki pracuje nadal w gorączkowem tempie, doznając z roku na rok boleśniejszych zawodów. Usprawiedliwia się sam, mówiąc: „Kto z nas piórem zarabia na kawałek chleba, ten wobec lichego wynagrodzenia zmuszony jest do szybkiej produkcji“...[1] Wkońcu szczęście odwraca się definitywnie; zawodzi go nawet publiczność, która mimo wrogiego stanowiska krytyki była mu najdłużej wierna. Rozgoryczony i ostatecznie już zniechęcony, wystrzałem z rewolweru odbiera sobie życie na błoniach krakowskich dnia 17-go października 1901 r. — w okresie tryumfu Ibsena, Hauptmanna, z naszych Zapolskiej, Kisielewskiego i innych.

Z nim ginie ten komedjopisarz, który po Fredrze i Blizińskim śmiał się najgłośniej. Jego tragiczna śmierć urasta do znaczenia pewnego symbolu w oczach P. Chmielowskiego, gdy pisze o „sposępnieniu nastroju“ komedji polskiej. Stwierdzając bowiem stopniowy odpływ humoru i beztroskiego śmiechu w komedji naszej, począwszy od Fredry poprzez Korzeniowskiego, Narzymskiego, aż do ostatnich dziesiątków lat zeszłego

[1] K. Bartoszewicz, *M. Bałucki* (*Kraj* 1894).

wieku, zauważa: „Rzeczą jest znamienną i wysoce tragiczną, że jedyny przedstawiciel komedji wesołej z tego pokolenia, Bałucki, skończył samobójstwem...“ [1]

III

KONTRAST CZŁOWIEKA I LITERATA. IDEOLOGJA

„Piszący śtucki — Michał Bałucki“ (jak się dowcipnie podpisał na ścianie garderoby L. Solskiego w krakowskim teatrze im. Słowackiego) — ten Bałucki, jeden z najweselszych humorystów, miał być podobno w życiu zdecydowanym melancholikiem. Potwierdza tę opinję uderzający kontrast między znaną z portretów, poważną, myślącą i pełną zadumy twarzą człowieka — a tem wesołem obliczem literata, które przegląda z poza tylu beztroskich komedyj, fars i humoresek. Długa, rozgłośna gama śmiechu kończy się dysonansem wystrzału z rewolweru... Tenże sam rozdźwięk zauważyć można przy analizie pierwszych lirycznych utworów w porównaniu z całą późniejszą twórczością.

Bałucki, tak prosty, jednolity i nieskomplikowany, a stroniący od zawiłych problemów czy silnych konfliktów, — nabiera pod tym względem cech zagadkowych, których bliższemu rozpoznaniu nie sprzyja zarówno zbyt krótki okres czasu dzielący nas od jego śmierci, jak i ta okoliczność, że wiadomości o nim, choć wcale jeszcze świeże, obracają się po większej

---

[1] *Dramat polski doby najnowszej*, Lwów 1902, str. 8.

części w sferze t. zw. wspomnień osobistych, czyli mniej lub więcej przyjacielskich plotek.

Znacznie mniej interesująca jest kwestja ideologji Bałuckiego, którego młodzieńczy radykalizm musiał mieć niezbyt głębokie korzenie, skoro autor „rewolucyjnego“ poematu scenicznego *Bez chaty* w całej swej późniejszej twórczości ogranicza się do najbanalniejszych odruchów demokratycznych. „Pewna skrajność wyznawanych przez niego zasad postępowo-demokratycznych hamowaną była doświadczeniem życia i tym zdrowym rozsądkiem obserwatora, co umie odróżnić prawdę od fałszu“, pisze Bartoszewicz (*Kraj*, 1894 r.), — jednakże cała prawie działalność Bałuckiego nietylko nie potwierdza owej „skrajności“, lecz nawet nikłe daje świadectwo jego zasadom postępowo-demokratycznym. Walkę o te zasady, przypłaconą więzieniem, związać należy wyłącznie z młodością, w późniejszym bowiem wieku Bałucki, były współpracownik prawie że czerwonego (jak na owe czasy) dziennika krakowskiego *Kraju*, odnosi się do bieżących kwestyj, które zajmowały i niepokoiły ówczesną opinję społeczną, w sposób już nie konserwatywny, ale nawet skrajnie zacofany. Przykładem choćby doniosły a poruszany już przez Korzeniowskiego w *Młodej wdowie* i przez St. Bogusławskiego w *Lwach i Lwicach* problem emancypacji kobiet, wobec którego Bałucki w kilku komedjach, a szczególnie w *Sprawie kobiet*, stanął na gruncie tak negatywnym i nieustępliwym, że jego stanowisko wywołało energiczny a jakże znamienny protest na łamach konserwatywnego... *Czasu*. Zarówno w *Sprawie kobiet* jak i w *Emancypowanych* skazuje kobiety na rolę bierną, co przypomina ową

starożytną kądziel, przeciwko której, jako wyłącznemu zajęciu „dam“, protestowała już Drużbacka w XVIII w.

O szerokości horyzontu jego idei nie świadczą również *Komedje z oświatą* ani *Nowy dziennik,* równie jak powieść *250.000,* gdzie nowe prądy i dążenia oblewa zimną wodą krytyki, operującej najtańszemi konceptami. Wogóle jakiegoś zdecydowanego programu ideowego Bałucki nie posiada i wygłasza tylko okolicznościowo tego rodzaju wskazania, jak n. p., że należy ludzi pracy szanować *(Polowanie na męża),* że warstwa rzemieślnicza nie powinna wychodzić po za właściwą sobie sferę *(Rodzina Dylskich),* ostrzega przed zgubnym wpływem zepsutego świata salonów *(Pozłacana młodzież),* demaskuje fałszywe marzycielstwo *(Po śmierci cioci),* nawołuje do pracy i t. d. Zresztą problemy polityczne i społeczne interesowały go w stopniu minimalnym, Bałucki jest bowiem przedewszystkiem farsistą, który obserwuje życie wyłącznie poto, aby wyławiać zeń zabawne figury, komiczne sytuacje i wesołe kawały. Uwagę swoją skupił więc jedynie na najzwyklejszem, pospolitem życiu wraz z całą jego nieodłączną szarzyzną i trywjalnością. Ten powolny, monotonny a pozbawiony wszelkich emocyj rytm życia, które go otacza, studjuje Bałucki w właściwy sobie, pedantyczny i sumienny sposób, gromadząc pracowicie materjał w postaci „snopków“, odpowiadających zapewne dzisiejszym „fiszkom“. Cierpliwość, którą posiadał jako biegły i zapamiętały szachista, była także główną cechą jego pracy literackiej. Przystępował do niej zawsze z gotowym planem, którego wykonanie zajmowało znacznie mniej czasu niż czynności przy-

gotowawcze. N. p. jednoaktówka *Bilecik miłosny* powstała w przeciągu trzech dni zaledwie. Pisał prawie wyłącznie wieczorem, poświęcając pracy literackiej zwykle czas między 9-tą a 2-gą w nocy. Ta systematyczna, pilna robota pozwoliła mu osiągnąć niezwykłą, rekordową produktywność, której sceny polskie, tak przytłoczone ciężarem obcego repertuaru, zawdzięczały przez lat trzydzieści rok rocznie jedną sztukę oryginalną. Obok zaś komedji płynęła równie szerokim strumieniem twórczość powieściopisarska.

IV

TWÓRCZOŚĆ BAŁUCKIEGO I JEGO POGLĄDY NA ZADANIA POWIEŚCI I KOMEDJI

Jak tylu innych z jego pokolenia, rozpoczął od poezji, naturalnie od poezji pod znakiem zdecydowanie romantycznym. „....Lubiłem blady księżyc, blade dziewice i posępne kwiaty, ...nosiłem włosy w guście wieszcza Adama, dumałem oparty o stół podług rysunku autora *Irydjona,* byłem kochliwy jak Słowacki“ — pisze o sobie w noweli *Mój pierwszy występ literacki.* Głównie jednak gwiazda Słowackiego przyświecała owym pierwszym wysiłkom, z których żaden nie oparł się próbie czasu. Z całej tej poetyckiej spuścizny utrzymał się do dziś wiersz *Góralu, czy ci nie żal,* popularny zresztą może dzięki melodji, i piosenka o *Pieszczotce z kotką* Reszta, począwszy od *Kostyny, czyli Dziewczyny z pod lasu* (bo *czyli* musiało byc wtedy — pisze Bałucki) poprzez drobne wiersze liryczne, erotyki, elegje patrjotyczne, a skończywszy na powieści poetyckiej *Ziemo-*

wit, poszła dawno w zapomnienie. Ten sam los spotkał poemat sceniczny *Bez chaty*, o którego autorstwo posądzano przez pewien czas Szujskiego, co zresztą, ze względu na skrajną treść tego utworu, oburzało przyszłego redaktora *Teki Stańczyka*.

Zapomniane dziś liryki Bałuckiego odznaczają się naogół fantastycznie ponurą treścią, której przeważającym motywem są trumny, mary, trupy, grobowce i t. d. Za przykład może posłużyć fragment utworu z 1862 r. p. t. *W grobowcu*, gdzie na sześć wierszy łącznie z tytułem wyraz „grób" w rozmaitych odmianach powtarza się pięć razy:

Nad mą minioną przeszłością *grób* stoi
I anioł biały niewinności mojej
Śpi u *grobowca*, a dawne wspomnienia,
Jak lampy palą się wśród *grobów* cienia,
I nikt, nikt z ludzi, ciemnej tajemnicy
Grobu nie ujrzy — oprócz ciebie jednej.

Przykładów równie ponurych lub melancholijnych możnaby przytoczyć sporo, przyczem nasuwałoby się pytanie, czy ten pewnego rodzaju makabryzm treści położyć należy na karb romantycznej manjery, czy też jest on szczerym wyrazem nastrojów poety.

Forma tych wierszy ciężka jest i nieinteresująca, a częste wzmianki Bałuckiego o tem, że pisząc wierszem, musiał liczyć na palcach zgłoski, świadczyłyby o pewnych wrodzonych trudnościach technicznych. O wiele udatniej, czasem nawet całkiem zgrabnie, przedstawiają się przekłady z Uhlanda, a zwłaszcza z Heinego.

Zresztą poezja Elpidona (pseudonim), jak i studja literackie, których rezultatem była rozprawa *O kobie-*

tach Słowackiego, ustąpiły wkrótce miejsca dwu zasadniczym kierunkom twórczości: powieści i komedji. Oba te rodzaje, choć uprawiane współcześnie, płyną rozbieżnemi korytami. Przyczyna leży w różnicy poglądów Bałuckiego na zadania powieści i komedji. „Zawsze byłem tego zdania, że powieść ma cel wyższy, niż zaciekawienie czytelnika... Kto więc, będąc powieściopisarzem, czuje się nietylko artystą, ale i obywatelem, człowiekiem wreszcie, ten nie może uprawiać jedynie sztuki dla sztuki, — a kto dobrze rozumie apostolstwo powieści, ten ze wstrętem odwracać się się musi od nowej mody, jaka zawitała we Francji, a doszła do karykaturalnych potworności w Skandynawji" *(Kraj,* 1894).

To przeświadczenie o apostolstwie powieści sprawiło, że w pierwszych zwłaszcza powieściach swych Bałucki jest pisarzem serjo, o programie na wcale poważną miarę zakrojonym. Wprawdzie później sprzeniewierzył się swym górnym zasadom i obniżył powieść do poziomu humoreski, niemniej jednakże kilka utworów powieściowych wybija się jasną, korzystną plamą z szarego tła całokształtu jego działalności. Zarówno młodzieńcza powieść *Młodzi i starzy,* jak utwór późniejszy *Z obozu do obozu,* dalej wcale radykalna rzecz *Błyszczące nędze* lub *Siostrzenica księdza proboszcza* są świadectwem szerszego horyzontu i pewnych dążeń.

Inaczej przedstawia się sprawa z komedją, która, podług Bałuckiego, ma za cel tylko bawić. „Zdaje mi się, że jesteśmy aż nadto zdenerwowani, aż nadto pesymiści, ażeby nas, zamiast z tego leczyć, jeszcze dobijano!"... Podług Bałuckiego, Ibsen lub Strindberg „wy-

szukuje na gwałt wszelkich potworności, przygląda się kalectwom fizycznym i umysłowym, wprowadza na scenę postacie zbydlęcone, odrażające cynizmem, wyzute z wszelkich uczuć ludzkich, dla których miejsce jedynie w szpitalu lub kryminale“ (*Kraj*, 1894). Skandynawja jest dla Bałuckiego „Sodomą“, na której zniszczenie należałoby posłać krzyżowców...

Ten protest (jakże jednostronny i bezsilny!) zwraca Bałucki przeciw całej nowej sztuce, generalizując jej wszystkie kierunki, m. in. impresjonizm, symbolizm, których pobudek i podstaw dopatruje się wyłącznie w pogoni za oryginalnością.

Zagadnienie „prawdy“ w teatrze ujmuje Bałucki w następujący, niezmiernie prosty sposób: 1) Prawda jest względna; 2) prawdą jest nietylko brzydka narośl, lecz także śpiew słowika lub woń kwiatów; 3) wypowiadanie prawdy wywołuje wręcz przeciwne, czasem nawet wysoce ujemne skutki (*Kraj*, 1894) [1].

Tak przez samego autora sformułowane zasady rzucają dostateczną ilość światła na jego twórczość sceniczną, wskazując jasno, że doszukiwanie się u niego jakiejś głębi byłoby trudem daremnym. Tłumaczą one równocześnie, dlaczego wśród trzydziestu zgórą komedyj przeważają utwory lekkie, a właściwie farsy.

---

[1] Warto porównać jego wywody z tem, co już w 1871 r. pisze Narzymski: „Scena jest życiem skondensowanem, i to, co się w życiu dzieje, a na pokazanie czego smak artystyczny pozwala, może i powinno pokazywać się na niej“. Por. *Słówko o teatrze...* w *Tygodniku Wielkopolskim*, 1871.

V

CHRONOLOGJA I PODZIAŁ KOMEDYJ. POGOŃ ZA ŚMIECHEM

Chronologję komedyj Bałuckiego da się w przybliżeniu ustalić, głównie na podstawie współczesnych recenzyj krakowskich, w następujący sposób: *Radcy pana radcy* (1867), *Polowanie na męża* (1869), *Pracowici próżniacy* (1871, przerobieni i rozszerzeni do 4 aktów w 1881 r.), *Emancypowane* (1873), *Na łonie natury, Rodzina Dylskich* (1875), *Pozłacana młodzież* (1876), *Komedje z oświatą* (1877), *Po śmierci cioci* (1878), *Krewniaki* (1879), *Sąsiedzi, Grube ryby* (1881), *Gęsi i gąski* (1882), *Teatr amatorski* i *Dom otwarty* (1883), *Bilecik miłosny* (1885), *Piękna żonka* (1886), *Nowy dziennik* (1887), *O Józię* (1888), *Ciężkie czasy* (1889), *Klub kawalerów* (1890), *Kuzynek* (1891), *Flirt* (1893), *Bajki* (1894), *Ciepła wdówka* (1895), *Sprawa kobiet* (1896), *Szwaczki, Niewolnice z Pipidówki* (1897), *Wędrowna Muza* (1898), *Drużba* (1899), *Blagierzy* (1900) [1].

Osobno wspomnieć należy o popularnym obrazie historycznym p. t. *Kiliński* z r. 1893, pisanym pod pseudonimem Jan Załęga.

Podział tej ilościowo bogatej, lecz jakościowo ubogiej produkcji nie przedstawia większych trudności.

---

[1] Powyższe zestawienie odbiega w wielu wypadkach od dat, podanych przez W. Feldmana, który cytuje tylko 27 komedyj, niedokładnie też podając niektóre tytuły (*Współczesna literatura polska).* Korbut wymienia tylko główniejsze komedje, podając daty wydania.

Do komedyj o pewnym podkładzie politycznym z tendencją satyryczną należą pierwsze utwory, jak *Radcy pana radcy, Polowanie na męża, Pracowici próżniacy,* z późniejszych *Sąsiedzi, Ciężkie czasy, Nowy dziennik.* W sztukach tych satyra przeradza się jednak w grubą karykaturę, a tło polityczne jest blade i potraktowane pobieżnie, szkicowo. Podobnie ma się rzecz z komedjami o charakterze społecznym, jak *Emancypowane, Sprawa kobiet, Rodzina Dylskich, Po śmierci cioci* i *Komedje z oświatą.* Reszta komedyj, zawierając stale jakąś banalną myśl przewodnią, nie ma jednak pretensji do problemów społecznych lub politycznych, względnie do moralnych tez. Są to *de facto* krotochwile, względnie farsy, a wspólne im wszystkim jest jedno dążenie, jedna dominująca tendencja: wzbudzić jak najgłośniejszy, wesoły śmiech.

I trzeba przyznać, że w sztukach, których celem jest tylko śmiech, a nic więcej, Bałucki okazuje się najtęższym znawcą psychologji — nie swych bohaterów, lecz psychologji widowni. Specjalnością Bałuckiego są zatem farsy, ku którym zresztą grawituje większość jego sztuk. Próby napisania komedji serjo, połączenia pierwiastku dramatycznego z komicznym, chybiły celu. Tam, gdzie Bałucki chce wyjść poza właściwy sobie zakres śmiechu, ponosi klęskę zupełną. „Ze wszystkich Bałuckich ten jest najgorszy, który usiłuje być poetyczny i sentymentalny“, pisze po premjerze *Ciepłej wdówki* ten sam recenzent *Czasu,* który później, zdając sprawę z przedstawienia *Flirtu,* dodaje: „jeszcze gorszy jest ten, który chce być tragicznym“. Podobnie silną reakcję wywołały *Bajki,* po których

pierwszem przedstawieniu czytamy również w krakowskim *Czasie*: „Podziwiajmy wreszcie nieporównany smak artystyczny autora, któremu od czasów *Flirtu* zawdzięczamy wynalazek rozwijania pod formą płaskiej farsy motywów, mających pretensję do głębokiej tragiczności".

Na szczęście Bałucki tych motywów używał rzadko, dobrze wiedząc, że najsilniejszym jego atutem jest śmiech. Szermował więc tą bronią aż do końca, aż do zupełnego jej stępienia i zużycia. Jest w jego pracy jakaś rozpaczliwa zawziętość, jakiś tragiczny odruch obrony starzejącego się człowieka, któremu wobec coraz liczniejszych niepowodzeń instynkt samozachowawczy każe walczyć o ten znikomy sukces śmiechu zapomocą wszelkich dostępnych środków. Dekadencja dowcipu występuje więc coraz wyraźniej z każdą nową sztuką. Miejsce postaci żywych zajmują pospolite karykatury, zamiast komizmu sytuacyjnego wkraczają coraz bardziej niewybredne „kawały". Język traci lekkość, a staje się trywjalny, operując ustawicznie takiemi wyrażeniami, jak n. p. *„Verstanden?"*, — „Jak babcię kocham!" — „Idź pan z takiemi kawałami", — „to może człowieka szlak trafić od takiego gadania", i t. p.

Nadużywając tych coraz bardziej płaskich konceptów, doczekał się Bałucki wreszcie tego, że recenzję *Czasu* z *Bajek* zaczynają *ipsissima verba* autora: „Idź pan z takiemi konceptami!"... Niesmak krytyków i widowni rośnie, wreszcie siłą rzeczy nadchodzi najgorszy wróg komedji... nuda. „Przestajemy się już śmiać na komedjach p. Bałuckiego", pisze K. Ehrenberg po premjerze *Ciepłej wdówki.* W pięć lat później ostatnia już sztuka

Bałuckiego, *Blagierzy,* wywołuje ostry, bezapelacyjny sąd Lucjana Rydla, będący jakby gwoździem do trumny tej długiej karjery: „Wiek ma swoje prawa. Nie chce uznać ich nad sobą autor *Grubych ryb* i nie wypuszcza pióra z ręki“... mimo „niemal doszczętnie wyczerpanego talentu“...

VI

FIGURY BAŁUCKIEGO. TEATRALNOŚĆ JEGO SZTUK. KARYKATURA SPOŁECZEŃSTWA

Gorączkowe tempo pracy, ustawiczna pogoń za śmiechem, za wyłącznie śmiesznemi cechami ludzi, przy równoczesnem zamknięciu oczu na inne strony życia, zadecydowały o płytkości bohaterów Bałuckiego. Autor patrzy się na życie tylko z jednego punktu, jest obserwatorem-karykaturzystą, czy facecjonistą, widzi zatem jedynie kawałek życia, a raczej jego banalną powierzchnię, ściśle zewnętrzne, a zawsze dla niego komiczne pozory. Ludzie Bałuckiego, obserwowani tylko *sub specie* śmiechu, są raczej marjonetkami, uciesznemi figurkami, które nakręca autor ku zabawie gawiedzi. Razem wzięci, stanowią jakieś nieprawdopodobne zbiorowisko głupców. Sztuczne, monotonne błazeństwo tego zbiorowiska razi tem więcej, że współcześnie przecież nie wszystko było tak wesołe i śmieszne, jakby o tem wnioskować się dało z tej nieustannej, drażniącej wesołości Bałuckiego. Nie był to zresztą okres jakiegoś upadku, — przeciwnie, praca i postęp wrzały na wielu polach. Nie widział tego, widzieć nie chciał lub nie potrafił Bałucki, i śmiał się coraz gło-

śniej, coraz bardziej *par force*. Stąd społeczeństwo mieszczańskie w jego projekcji razi przesadą, odstrasza prawie absolutnym brakiem figur poważnych, któreby choć odrobinę szacunku wzbudzić mogły. Gdybyż choć jedna postać na miarę augierowskiego pana Poirier!... Ale nie: sami Fikalscy, Durniccy, Wścibińskie, i t. p. Ciaputkiewicze!

Pod względem ideowym sztuki Bałuckiego nie przedstawiają większej wartości; mają raczej pewne znaczenie historyczne, jako galerja współczesnych mieszczańskich „typów". Osobno jednak traktować należy ich wartość teatralną. Tutaj znaczenie Bałuckiego występuje w całej pełni. Rozgraniczyć należy ściśle w tym wypadku dziedzinę literatury pisanej od tej, która będąc przeznaczona na scenę, nie może żyć życiem własnem, samodzielnem. Sztuki Bałuckiego bez współdziałania aktora i widowni są sztukami martwemi, — mówiąc bez ogródek, poza nielicznemi wyjątkami nie dadzą się czytać; na scenie jednak, w blasku sztucznych świateł, nabierają prawdy. Nawet jego szablony, schematy, którym za całą psychologję starczyć ma *nom parlant*, ta autocharakterystyka zapomocą samego tylko nazwiska, nabierają rumieńców życia w interpretacji aktorów, dla których tekst Bałuckiego jest jedynie substratem. Zresztą substratem znakomitym. Bez teatru sztuki Bałuckiego są tylko drukowanemi nutami, które same przemówić nie potrafią. Sukces teatralny Bałuckiego jest więc połowiczny, ponieważ autor dzielić się nim musi z wykonawcami. W stopniu wyższym niż u kogo innego przychodzi Bałuckiemu w pomoc ten tak ważny czynnik teatralny —

publiczność, na której psychologji, jak już wspomniano, znał się doskonale. Nie chciał Bałucki uczyć, podnosić, nie ma zatem zasługi moralizatora lub nauczyciela tej widowni, o którą musiał dbać, od jej bowiem oklasków zawisło jego doraźne powodzenie. Nie drażniąc widowni, był przez długi czas jej panem, umiał bowiem zawsze uderzyć w czułą strunę śmiechu. Śmiała się zatem publiczność chętnie, szczerze i głośno, nawet wtedy, gdy krytyka dawno już sygnalizowała upadek Bałuckiego.

Treść jego sztuk, zastosowana do gustów najprzeciętniejszych, daje na scenie jakby dalszy ciąg życia, okraszonego tylko całym szeregiem „kawałów" i oblanego płytkim optymizmem, który towarzyszy Bałuckiemu stale, opuszczając go dopiero w miarę niepowodzeń. One sprawiają, że zwierciadło nastawione na promienie życia krzywi się coraz bardziej, okazując przykry, karykaturalny grymas, zamiast uśmiechniętej pogodnie twarzy. Wzrastający pesymizm autora coraz bardziej zamyka mu oczy na dodatnie strony życia a z ludzi każe robić wyłącznie głupców. Tak powstają n. p. *Niewolnice z Pipidówki,* gdzie wszystkie kobiety są intrygantkami, wszyscy mężczyźni ostatnimi głupcami. Tenże sam pesymizm wywołał wybuch żółci i jadu pod adresem teatru i aktorów w *Wędrownej Muzie* [1].

---

[1] Obrażeni aktorzy krakowscy rozmyślnie „położyli" tę sztukę przez mechaniczne wykonywanie informacyj. Tak n. p. Kamiński pił z pustej szklanki, ponieważ autor w swych wskazówkach nie napisał, że należy najpierw nalać wody do szklanki.

VII

KOMIZM BAŁUCKIEGO

Rozpatrywane z punktu widzenia faktury, komedje Bałuckiego nie są komedjami intrygi; jej punktem wyjścia jest zawsze (jak u Sardou) jakieś błahe zdarzenie, po większej części nieporozumienie, będące niem tylko dla postaci występujących na scenie. Widz orjentuje się w tej intrydze prawie z chwilą podniesienia kurtyny, łatwo przewidując zakończenie. Ciężar sztuk Bałuckiego spoczywa na lokalnym kolorycie, na charakterystyce środowiska mieszczańskiego, na drobiazgowem odbiciu jego obyczajów. Komedję Bałuckiego można zatem skwalifikować jako mieszczańską komedję obyczajową, z tem jednakże zastrzeżeniem, że w każdej jego sztuce występuje mniej lub więcej wybitny pierwiastek farsowy, przyczem niektóre komedje są zdecydowanemi farsami. Poza szczupłemi ramami światka mieszczańskiego bystrość obserwacyjna Bałuckiego zawodzi, jak tego przykładem są sztuki o temacie zaczerpniętym z życia sfery ziemiańskiej: *Gęsi i gąski, Sąsiedzi, Sprawa kobiet.*

Figury, uwypuklone na tem obyczajowem tle, mają o wiele więcej rysów i cech typowych, niż indywidualnych. Są to więc charaktery „typowe“, w stopniu minimalnym zróżniczkowane.

Grawitując ku farsie i poszukując efektu śmiechu za wszelką cenę, operował Bałucki całym szeregiem środków i motywów komicznych. Mamy więc częste przykłady komizmu mowy, którego najparadniejszym

okazem jest ekonom Skwarek *(Sprawa kobiet)*, akcentujący swą erudycję zapomocą takich zwrotów: „Magdaleno Remboszówno! Dziedzic przez moje usta stawia interpelację do ciebie, co to się stało, że, jakkolwiek tarcza słoneczna wzbiła się już wysoko na firmamencie niebieskim, włościanie nasi, a *respective* czeladź — nie dostali jeszcze należącego im się pożywienia, zwanego pospolicie śniadaniem". W tej samej sztuce młoda emancypantka i młody uczony prowadzą dialog w następującym stylu: „Wśród tej pustyni dusz poziomych, któremi byłam dotąd otoczoną, pan stałeś się oazą orzeźwiającą dla mojej duszy". — „Równie jak pani przedstawiłaś mi się o całe niebo wyższą od przeciętnego typu naszych kobiet, których dusze drzemią w pieluchach nieświadomości i dziecięcej naiwności". Podobnym językiem przemawiają działaczki społeczne także w *Niewolnicach z Pipidówki* albo Fikalski w *Domu otwartym.* Komizm mowy, względnie wymowy, osiągają postaci Bałuckiego również przez nadużywanie francuszczyzny (n. p. January w *Emancypowanych)* lub „grassejowanie" w języku polskim (Lolo i Lunio hrabiowie Gapiszewscy w *Pięknej żonce.*

Szerokie zastosowanie w komedjach Bałuckiego znajduje także komizm ściśle zewnętrznego wyglądu, szczegóły ubrania, n. p. gości w *Domu otwartym,* państwa Rypalskich w *Drużbie,* Wistowskiego w *Grubych rybach,* i t. d. Rozwijając całą galerję typów mieszczańskich i zawodowej inteligencji, jak lekarze, literaci, technicy, adwokaci i t. d., posługuje się Bałucki często również komizmem zawodowym (doktor Dmuchalski z *Niewolnic z Pipidówki,* doktor Figurkowski z *Gęsi*

i gąsek, śpiewaczka operowa w *Pięknej żonce,* i t. d.). Środkiem, którym Bałucki operuje najchętniej, jest doprowadzanie do karykatury, wyolbrzymianie rysów charakterystycznych, i tak już podkreślonych wiele mówiącem nazwiskiem. Tej metodzie zawdzięcza swój żywot cała falanga mężów pantoflarzy *(Niewolnice z Pipidówki),* zabawnych smarkaczów (Lunio i Munio z *Pozłacanej młodzieży),* emancypantek, podstarzałych donżuanów *(Grube ryby),* łowców posagowych (Baron Pusz z *Ciepłej wdówki),* zabawnych hrabiów, dorobkiewiczów, starych panien, i t. d.

W całej pełni występuje również komizm sytuacyjny, i to począwszy od najprostszych „kawałów“, inaczej, w żargonie zakulisowym, „gierek“, jak n. p. przewrócenie się Pagatowicza w walcu *(Grube ryby),* a ustawiczne pomyłki Fujarkiewicza w mazurze *(Dom otwarty),* wejście Filatyńskiego obładowanego sprawunkami żony *(Niewolnice z Pipidówki),* powierzenie roli niańki hr. Kamilowi *(Piękna żonka),* czepek na głowie Wistowskiego *(Grube ryby),* oblanie sosem sukni Magdzińskiej *(Drużba),* i t. p. prymitywne, a często stosowane efekty. Do przykładów komizmu sytuacji zaliczyć także trzeba takie motywy, jak n. p. udana choroba *(Niewolnice z Pipidówki),* wzajemne okłamywanie się wszystkich występujących osób *(Blagierzy),* najazd krewnych *(Krewniaki),* wydanie wieczoru tańcującego *(Dom otwarty),* a przedewszystkiem rozwinięty szeroko motyw nieporozumienia, *qui pro quo,* przeprowadzony najszczęśliwiej w *Grubych rybach.*

Komedja ta, łącznie z *Domem otwartym,* stoi na pograniczu dwóch faz twórczości Bałuckiego. Pierwszą

fazę znamionuje niewątpliwy postęp i rozwój, druga jest zdecydowaną linją dekadencji. *Grube ryby,* choć pod względem literackim wyżej stojące od wielu innych sztuk Bałuckiego, przecież decydują głównie o jego nie literackiem, lecz teatralnem znaczeniu.

VIII

„GRUBE RYBY“

Komedja ta [1] jest przedewszystkiem sztuką „do grania“, w czytaniu zaś traci, literacka bowiem jej wartość jest nikła i ustępuje miejsca walorom ściśle teatralnym. Treść najbłahsza pod słońcem, a motyw stary jak świat: konkury starych kawalerów, a przytem rzekomych wrogów małżeństwa, o rękę młodziutkich panien. Już w komedjach Plauta, mianowicie w *Skarbie* i w *Samochwale,* występuje stary kawaler, czyli *semisenex,* rzekomy przeciwnik więzów małżeńskich, który najwyżej stawia własną niezależność, podobnie jak Major i Rotmistrz w *Damach i Huzarach* Fredry.

Bałucki rozwija na tle tego motywu intrygę nieskomplikowaną i łatwą do odgadnięcia, a operującą wyłącznie nieporozumieniem: Wanda, podobnie jak Anusia w *Szkole żon* Moliera, myśli o młodym Wistowskim, którego stryj, zwiedziony i zachęcony pozorami, sam staje w roli starającego się. Helenka znowuż marzy o sukni jedwabnej, a niedomyślny Pa-

---

[1] Grana po raz pierwszy w warszawskim teatrze ogródkowym „Bellevue“, w lecie 1881 r.; premjera w Krakowie 24 września 1881.

gatowicz przypuszcza, że to jego osoba jest celem westchnień i zabiegów młodej panienki. Autor ani na chwilę nie pozostawia widza w wątpliwości co do tego, jaki będzie przebieg wypadków i ich zakończenie. Przeciwnie, wszystko jest wiadome, tem większa zatem satysfakcja publiczności, która niecierpliwie wyczekuje kompromitacji postaci — zgóry na ośmieszenie skazanych. Treść rozgrywa się w przeciągu trzech dni, przy zachowaniu jedności miejsca. Akcja, prowadzona przez dwie pary, operuje krótkiemi scenkami, kolejno wysuwając na pierwszy plan Wistowskiego i Wandę, Pagatowicza i Helenę. Konsekwencją tej techniki są martwe punkty akcji, które powstają za każdem zejściem ze sceny obu starych kawalerów. Te miejsca wypełnia Bałucki albo krótkim monologiem, albo konwencjonalną (jak zwykle u niego) rozmową kochanków, albo wreszcie najzabawniejszą w tym wypadku sceną sympatycznej sprzeczki dziadzia i babci Ciaputkiewiczów. Owych martwych punktów nie mogą ożywić wprowadzone w drugim akcie, a potraktowane zdawkowo figury Burczyńskiego i Henryka, służący zaś, Filip, który w pierwszym akcie zapowiada się interesująco, w drugim wykonywa tylko szereg poleceń, w trzecim wygłasza jedno jedyne, całkiem obojętne zdanie. Decyzje obu bohaterów dokonywają się szybko, bez należytego umotywowania i pogłębienia, czasem nawet w pośpiesznym skrócie, jak n. p. nagłe postanowienie starania się o rękę panien, lub jeszcze szybsze pogodzenie się z losem przy końcu aktu trzeciego.

O sukcesie *Grubych ryb* decydują tytułowe role. Kapitalista Wistowski i radca sądowy Pagatowicz,

świetna para podstarzałych Don Juanów, ci dioskurzy starokawalerstwa, to jedne z najlepszych postaci komedji polskiej. Plastyczni do najdrobniejszych szczegółów, zabawni, a bez cienia przesady czy karykatury, grają na scenie pełnią życia i prawdy. Na tych pewną ręką wyrzeźbionych, typowych, a przecież tak charakterystycznych postaciach skupia się cała uwaga widza. Reszta, z parą rezolutnych panienek i starymi Ciaputkiewiczami na czele, stanowi wspólnie z walcem i kadrylem, wistem i tarokiem, kapitalne tło, które sprawia, że całość przypomina nie jakąś aktualną fotografję chwili[1], ale raczej przyćmiony latami holenderski obrazek rodzajowy.

Wierny swej zasadzie, że „mieszkanie jest to forma z wosku, na którym się odciska charakter i usposobienie człowieka“ *(Ostatnia stawka),* dał Bałucki rozkoszne wnętrze, pełne spokoju i ciszy, przerywanej tylko tykaniem starego zegara na komodzie i śpiewem kanarków. Atmosfera ciepła, dobrobytu i zadowolenia,

---

[1] Najcharakterystyczniejszym może refleksem aktualnym jest ten tak częsty w epoce pracy organicznej pean na cześć inżyniera, wygłoszony przez starego Ciaputkiewicza:

„...inżynier... Toż to oni teraz panami świata — robią z tą biedną ziemią naszą co im się żywnie podoba. Morza sobie przenoszą, jak nigdy nic, góry przebijają... Mocarze, panie — jak Boga kocham, mocarze!“ i t. d. (III, 1).

W podobnie entuzjastyczny sposób wyraża się o zawodzie inżyniera Orzeszkowa w *Ostatniej miłości:* „Kto zwycięsko odpiera wody, występujące z łożysk swoich i niszczące prace miljonów rąk, jeśli nie inżynier? Kto przenosi góry i tworzy morza... Kto zbudował statki, po oceanie krążące, kto rzucił mosty przez przepaście, rzeki i morza? Inżynier, panowie, to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzepartych ku wszystkiemu, co wielkie, piękne i dobre“... i t. d. (Cyt. według Choińskiego *Typy i ideały najnowszej belletrystyki polskiej,* Warszawa 1888, str. 4—5).

gdzie najczęstszym epitetem w sprzeczce jest wyraz „duszyczko“, — ten zaciszny salonik, w którym drzemie snem sprawiedliwego dziadzio z gazetą na kolanach, a wtóruje mu babcia z zapomnianą robótką w ręku, ten „jasio“ pod głowę, — wszystko to, choć nawskróś filisterskie czy burżujskie, przecież tchnie pewnym wdziękiem i zmusza do sympatji.

Uczucia sympatji nie mąci nawet ten specyficzny zapaszek, na który składa się aromat fajki „Nufcia“, trochę kanarki, a całkiem niewątpliwie woń zrazów nelsońskich, dolatująca z kuchni... Bo też te zrazy!... „A, jak cię kocham, zrazy... ale jakie! fiu — fiu — z truflami, z garnirunkiem, z historjami, — powiadam ci, pyszności, przeparadne!“

Naprawdę, dziś całe *Grube ryby* są „przeparadne“. Na ich dziwną siłę atrakcyjną nie wpłynie ujemnie nawet ta okoliczność, że żadna z postaci nie ma nic, ale to nic, do powiedzenia. Postaci *Grubych ryb* są bowiem tylko poto, aby bawić. I bawią doskonale! Czas, który tak okrutnie obszedł się z tylu sztukami Bałuckiego, w tym wypadku okazał się łaskawym. Patyna kilkudziesięciu lat uświetniła ten obrazek, dała mu, jak słusznie podnosi Boy, „to, czego współcześni z trudnością mogliby się w nim dopatrzyć: promyk poezji“ [1].

Oddawszy jednak autorowi to, co autorskie, nie należy zapominać o stronie wykonawczej jego dzieła. *Grube ryby* są sztuką wyjątkowo krótką, której sam tekst, przeczytany lub wypowiedziany, nie wystarczyłby na wypełnienie całego wieczoru w teatrze. Tu zaczyna

---

[1] *Flirt z Melpomeną,* Wieczór II, str. 61.

się więc rola aktora, którego zadaniem jest wypełnić swą grą, względnie „gierkami“, miejsca naszkicowane jedynie, jak w scenarjuszu filmowym. A miejsc takich jest sporo: a więc gra w karty, kolacja, tańce i t. d. Powodzenie *Grubych ryb* opiera się na talentach aktorskich, a kreacje Frenkla i Kamińskiego są dowodem idealnej współpracy aktorów z autorem.

W całokształcie twórczości Bałuckiego *Grube ryby* stanowią, jak już wspomniano, punkt szczytowy. Najmniej karykaturalne, oblane promieniem optymizmu, wolne od banalnej tendencji, nie liczą się z wymaganiami chwili, i — nie będąc specjalnie aktualnemi w momencie pisania — mogą być aktualne w każdym czasie. Są przytem najszlachetniejszą, najbardziej wykwintną komedją Bałuckiego. Znajdą się i tam wprawdzie koncepty, o których wykwintność możnaby się sprzeczać, a więc zakończenie sztuki tym sakramentalnym „morisonem“; zdarzają się także wyrażenia trywjalne, jak: „Duszyczko... jestem objedzony i opity, że strach!“, lub: „Idźże, idź, z sałatą!“. „Posuń się, stara“, i t. p., — niemniej jednakże i język komedji i komizm sytuacyj i rysunek postaci utrzymane są w tonie wyjątkowo szlachetnym.

Grube ryby są częścią kapitału żelaznego polskiej sceny. Inne sztuki Bałuckiego stanowiły tylko kapitał obrotowy, były bieżącą, zdawkową monetą, której jednakże teatr polski w owym czasie niezwykle gwałtownie potrzebował. Miarą tego zapotrzebowania są częste konkursy dramatyczne z owych lat, jak również projekt samego Bałuckiego, aby wprowadzić „cła ochronne“ celem ograniczenia importu sztuk zagranicz-

nych. Rzecz prosta, projekt ten pozostał w sferze teorji, natomiast realna, uczciwa praca Bałuckiego zapewniła teatrowi polskiemu pewną równowagę między repertuarem rodzimym a zagranicznym. Sztuki Bałuckiego, spełniwszy swój obowiązek we wszystkich dzielnicach Polski, przedostały się także na sceny obce, a więc czeskie, niemieckie i rosyjskie, zdobywając — jak n. p. *Grube ryby* w moskiewskim teatrze Korsza, — poważne sukcesy [1].

* * *

O życiu i twórczości Bałuckiego pojawiło się kilka rozpraw i artykułów, które podaje *Literatura polska* Korbuta w t. III str. 651. Z prac osobno wydanych wymieniamy:

Pieniążek Czesław, *Michał Bałucki*, Poznań 1888.

Bartoszewicz K.: *Michał Bałucki (1837—1901)*, Kraków 1902.

Pozatem wiele materjału tyczącego twórczości Bałuckiego jako komedjopisarza, oraz stosunku do niej krytyki współczesnej, zawiera długi szereg recenzyj teatralnych z jego sztuk, w pierwszym rzędzie recenzje krakowskiego *Czasu* z lat 1869—1901.

Za podstawę niniejszego wydania służył użyczony łaskawie przez Rodzinę autora egzemplarz suflerski *Grubych ryb*, pochodzący z r. 1882.

---

[1] Największa jest liczba przekładów na czeskie: *Husy a husičky, Naděje vlasti, Ochotnické divadlo, Přibuzni, Sousedé;* w wiedeńskim „Stadtheater“ grano w 1880 r. *Der Herr Gemeinderath*. Pozatem niektóre sztuki B. tłumaczone były także na język ruski.

GRUBE RYBY

KOMEDJA W TRZECH AKTACH

OSOBY:

ONUFRY CIAPUTKIEWICZ, emeryt.
DOROTA, jego żona.
WANDA, wnuczka Ciaputkiewiczów.
BURCZYŃSKI, obywatel.
HELENA, jego córka.
WISTOWSKI, kapitalista.
HENRYK, jego bratanek.
PAGATOWICZ, radca sądu.
FILIP, służący Ciaputkiewiczów.

Rzecz dzieje się w domu Ciaputkiewiczów.

AKT PIERWSZY

Pokój. Z prawej stół do kart, krzesła, kominek, drzwi, dalej fortepian. W głębi drzwi. Z lewej biurko, kanapa, drzwi, komoda. W środku stół, lampa, pięć krzeseł.

SCENA I

DOROTA, ONUFRY. Później FILIP

(Dorota drzemie na kanapie, z pończochą w ręku. — Długa pauza. — Onufry w fotelu, z gazetą na kolanach. — Słychać mocne dzwonienie)

Dorota (*zrywając się*). Wszelki duch Pana Boga chwali!
Onufry (*zrywając się*). Co się stało?
Dorota *(z oburzeniem)*. Ktoś dzwoni!
Onufry. O tej godzinie?
Dorota. Niesłychana rzecz!
Onufry. Od dziesięciu lat jeszcze mi się to nie przytrafiło, żeby wtedy, kiedy ja odprawiam sobie poobiednią drzemkę, ktoś śmiał dzwonić!
Dorota. I to tak mocno! Ja to odchoruję z pewnością. Migrena jak amen w pacierzu.
Onufry. Ale że Filip pozwolił. *(Do wchodzącego)* Mój Filipie, cóż to znaczy?
Filip *(oddając telegram)*. Z telegrafu, proszę pana.
Onufry. To nie mógł sobie błazen poczekać?
Filip. Powiada, że to pilne.
Onufry. Pilne, pilne... Teraz to ci ludzie chcieliby mieć wszystko na wyskoki! Dawniej nie mieliśmy ani telegrafów, ani tych głupich kolei, a przecież nam się tak nie śpieszyło, a teraz...

Filip. Proszę pana, trzeba podpisać tę cedułkę, bo czeka.
Onufry. Przecież się nie pali, żeby tak zaraz, na gwałt... *(Idzie do biurka).* Gdzie to moje okulary, — pióro... *(Podnosi pióro).* Wszystko mi z rąk leci od tego pośpiechu.
Dorota. Coby nie! Tak nagle kogo zbudzić! Ja się cała trzęsę.
Onufry *(podpisawszy).* Na, masz, — a powiedz tam temu błaznowi, że jak mi jeszcze raz coś podobnego zrobi, to, to — to... no, ja już będę wiedział co mu zrobię. *(Filip wychodzi).* Właściwie mówiąc, to mu nawet nie mogę nic zrobić za to, bo oni są teraz panami świata.
Dorota. Co? cóż znowu! — posługacze?
Onufry. A jak Boga kocham! Od czasu jak zaprowadzili te koleje, telegrafy, djabły, historje, to człowiek, panie, formalnym niewolnikiem. Lada dureń, ot taki naprzykład chłystek z telegrafu, przychodzi, panie, kiedy mu się podoba, tłucze ci się do drzwi, choćbyś spał w najlepsze, i jeszcze mu za to trzeba dać na piwo. Albo te koleje! Pakują ludzi jak śledzie...
Dorota. Od kogóż, duszko, telegram?
Onufry. A prawda, jeszczem nie otworzył. *(Otwiera i mówi z uciechą)* Od Wandy!
Dorota. Od naszej kochanej wnuczki! — Cóż donosi? *(Zbliża się).*
Onufry *(czyta).* „Z powodu szkarlatyny“...
Dorota. Jezu Nazareński! — Chora na szkarlatynę?
Onufry. Ależ nie, tylko z powodu szkarlatyny rozpuszczono pensję i ona przyjeżdża do nas.
Dorota. A to doskonale!
Onufry *(do wchodzącego Filipa).* Masz, daj mu tam na piwo za tę nowinę.
Filip. Kiedy już poszedł.
Onufry. O szkoda! — warto go było wynagrodzić. Cóż to za znakomita rzecz te telegrafy! — to boski wynalazek! Ileby to dawniej czasu potrzeba było,

zanimbyśmy się dowiedzieli, że nasza kochana Wandziunia przyjedzie.

Filip *(uradowany).* Co? Nasza panienka przyjedzie? Toż to będzie wesoło!

Onufry. Prawda, stary? Inne tu teraz będzie życie.

Dorota. Trzebaby jej pokój przygotować.

Onufry. A to poco? Będzie sypiać przy nas, jak dawniej.

Dorota. Ale nie pleć, nie pleć! Przecież to już nie dziecko, tylko panna dorosła.

Onufry. No to cóż z tego? — mnie starego żenować się nie potrzebuje.

Dorota. Ale cóż znowu! Nie wypada.

Onufry. No to... to... w mojej kancelarji. Tam jej będzie cichutko, wygodnie.

Dorota. Tylko trzebaby ją kazać przewietrzyć, bo fajką cała przeszła.

Onufry. No to właśnie dobrze. Będzie miała przyjemny aromacik w pokoju.

Dorota. Tobyś ją uraczył! Ona fajki nie znosi.

Onufry. Jakto? Wanda? A nie pamiętasz to duszyczko: jak mi zapalała, to zawsze sobie parę dymków puściła przy tej sposobności.

Dorota. Bo widziała, że cię to bawi, — ale teraz z pewnością się odzwyczaiła i nie lubi tego.

Onufry. Dorciu, bój się Boga! jak można fajki nie lubić? Zobaczysz, że będzie przepadać za fajką.

Dorota. A ja ci powiadam, że nie będzie lubić.

Onufry. A ja ci powiadam, że będzie.

Dorota. Kiedy ty, Nufciu, tobyś się przy najmniejszej drobnostce chciał sprzeczać.

Onufry. Ja się sprzeczam?! To ty się sprzeczasz.

Filip. Możeby trochę kwiatów, — panienka to zawsze lubiła.

Dorota. Tak, kwiatki to nie mówię! *(Do Filipa)* Przeniesiesz wszystkie od nas, i klatkę z kanarkami.

Onufry. To jej znowu spać nie dadzą, jak się zaczną drzeć.

Dorota. Mój Nufciu, znowu?

Onufry. No, no, już nic nie mówię; ale zobaczysz, że będzie miała z tego tylko migrenę... Takie ciągłe świergotanie, ktoby to zniósł...
Dorota. Że ty nie lubisz, to jeszcze nie racja. Przecież przyjemniej, jak się w pokoju coś rusza, odzywa.
Onufry. No, to dać jej zegar. — Czy może być coś przyjemniejszego jak zegar? Tik, tak, tik, tak — naco tu jeszcze kanarków?
Dorota. Zobaczysz, że Wanda będzie wolała kanarki.
Onufry. Chyba przez grzeczność dla ciebie będzie znosić ich hałasy.
Dorota. Mój Nufciu!...
Filip. Jak kanarki będą hałasować, to się je nakryje chustką.
Onufry. Prawda, nakryjemy chustką. A! słuchaj Filipie, trzebaby panience jakoś ładniej umeblować mieszkanie. Dasz jej ten niebieski garnitur z naszego pokoju.
Dorota. I lustro z nad kanapy.
Onufry. I to huśtające krzesło.
Dorota. I biureczko.
Onufry. I serwantkę z porcelaną.
Filip. To panienka nie będzie się miała gdzie ruszać, jak ja to wszystko wpakuję do kancelarji.
Onufry. Nic nie szkodzi. Jak się będzie chciała ruszać, to przyjdzie do nas; skorzystamy na tem. Prawda, stara?
Dorota. Musimy się nią nacieszyć za wszystkie czasy.
Filip. A kiedyż panienka przyjeżdża?
Onufry. A, prawda, — nie wiemy kiedy!
Dorota. Nie stoi tam? *(pokazuje telegram).*
Onufry. Zaraz zobaczymy. *(Czyta)* „Z powodu szkarlatyny pensję rozpuszczono... Przyjeżdżam dziś". — Dziś!
Filip. No, to za małe pół godziny panienka już będzie tutaj, bo pociąg przychodzi o wpół do szóstej.
Dorota. A niechże ja się lecę ubierać! *(Wychodzi na lewo).*
Onufry *(zrzucając szlafrok).* Filipie, mój surdut! Prędko!
Filip *(podając surdut).* Aż się dusza raduje, jak sobie człek pomyśli, że za niedługo ujrzymy naszą panienkę!

Onufry. Ciekawym, czy się też bardzo odmieniła, — może już mnie przerosła?

Filip. E!

Onufry. A cóż ty myślisz? Panny to rosną jak żydowska lichwa.

Filip. Czy mnie też pozna panienka, bo przecież to już kilka lat — człowiek się postarzał.

Onufry. Przy niej to odmłodniejesz. Zobaczysz stary, — ona nas tu wszystkich rozrusza. Gdzież u licha rękaw się podział?...

Filip. Tu, panie! — To prawda, panienka niby żywe srebro.

Onufry *(wdziawszy surdut, wkłada pugilares, chustkę).* W matkę się wrodziła. A jaka miła swawolnica! Pamiętasz, stary, jakiego ona nam to figla wypłatała z tą wazą?

Filip (*śmiejąc się*). Na *prima aprilis.* Cóżbym nie pamiętał!

Onufry. Nam, panie, aż ślinka idzie na szczawiową zupkę...

Filip. Pani podnosi pokrywkę...

Onufry. A tu — zamiast zupy — wróble... fru, fru, po całym pokoju.

Filip. Było śmiechu tyle, żeśmy się pokładali...

Onufry *(czesząc się).* Albo z tym nauczycielem muzyki, to także było paradne, — co mu to wpakowała do kieszeni fartuszek, zamiast chustki do nosa. On, panie, wyjmuje...

SCENA II

ONUFRY, FILIP, DOROTA

Dorota *(wchodzi we futrze i kapeluszu).* Cóżto? jeszcześ nie gotów?! Nufciu, bój się Boga!

Onufry. Duchem będę! — tylko jeszcze kapelusz, laskę i futro. Filipie, śpiesz się!

Dorota *(zapinając rękawiczki).* A niech tu Filip tymczasem nastawi samowar.

Onufry. I możeby coś z mięsa przygotować, żeby miała coś przetrącić przed kolacją. Będzie pewnie głodna z drogi.

Dorota. To niech Walentowa zrobi parę bitych kotlecików.

Onufry. Chyba siekanych, duszyczko, bo Wanda bitych nie lubi.

Dorota. To zapomniałeś aniołku, — ona siekanych nie lubi.

Onufry. Jak cię kocham, tak tylko siekane!

Dorota. Jak cię kocham, tak bite!

Filip. Żeby się tylko państwo nie spóźnili na kolej — za pięć minut wpół.

Onufry. Gwałtu! — a jedźmyż! Nie zapomnij Filipie: siekane!

Dorota. Pamiętaj, bite!

(Wychodzą środkiem).

Filip. Bite, siekane; siekane, bite, — kogo tu słuchać? Najlepiej zrobię, jak każę Walentowej zrobić i takie i takie, — a sam skoknę do sklepu po kasztany pieczone, bo ona to pasjami lubiła... I co to jeszcze? A! chleb świętojański. Zawsze mówiła, że jak zostanie wielką panią, to sobie kupi całą furę tego specjału... Kupię jej za kilka centów i włożę pod poduszkę; jak jutro rano zobaczy, to jej będzie przyjemnie, że stary Filip nie zapomniał o jej gustach.

SCENA III

FILIP, WISTOWSKI. Później PAGATOWICZ

Wistowski *(Wchodzi środkiem. Nadzwyczaj starannie ubrany, gors mocno wykrochmalony, z żabotami, złota lornetka, pierścienie, łańcuch u zegarka z brelokami; laska ze złotą gałką, którą w usta wkłada. Sztywny, pretensjonalny. Mówi przez nos z pewną dosadnością).* Cóż to? Pana Pagatowicza jeszcze niema?

Filip. Nie, proszę pana.
Wistowski. I stolik do kart jeszcze nie przygotowany!
Filip. E! gdzie nam ta dzisiaj karty w głowie!
Wistowski. Przecież już wpół do szóstej minęło; to nasza zwykła godzina. *(Stawia kapelusz).* Gdzie gospodarz?
Filip. Pan pojechał z panią na kolej.
Wistowski. Na kolej? — a tam poco?
Filip. Nasza panienka dziś przyjeżdża.
Wistowski. Panienka? Co za panienka?
Filip. Panna Wandzia, wnuczka naszych państwa.
Wistowski. Państwo Ciaputkiewiczowie mają wnuczkę?
Filip. I to dorosłą...
Wistowski. Pierwszy raz o tem słyszę.
Filip. Bo panienka chowała się na pensji. Taka była wola nieboszczyka jej ojca. Bał się zapewne, żeby mu jej dziadkowie przy sobie nie rozpieścili zanadto.
Wistowski. A to śliczna historja! *(Do wchodzącego Pagatowicza)* Panie Pagatowicz, słyszałeś pan?
Pagatowicz. Co takiego?
Wistowski. Ciaputkiewiczowie mają wnuczkę, która dziś przyjeżdża.
Pagatowicz. Tam do licha, to nasz wist przepadł na dziś!
Wistowski. Może i na dłużej. *(Do Filipa)* Bo ona tu pewnie dłużej bawić będzie — co?
Filip. A to się rozumie. *(Patrząc na zegar)* Szósta, masz tobie! A samowar jeszcze nie nastawiony. *(Wychodzi na lewo).*
Pagatowicz. O, to nam zepsuje cały porządek! A tak przyjemnie schodziły nam tutaj wieczorki. Codziennie partyjka — jak zapisał, — to wiścik, to taroczek. Było czem czas zabić. — A teraz... kto wie, jak będzie.
Wistowski. Ja się tu już więcej nie pokażę.
Pagatowicz. No, to znowu nie, bo przecież...
Wistowski. Jak uczciwość kocham, nie myślę tu bywać więcej.

Pagatowicz. A to dlaczego?
Wistowski. Z zasady.
Pagatowicz. Z zasady?
Wistowski. Tak, z zasady nie bywam w domach, gdzie są panny dorosłe.
Pagatowicz. A to z jakiego powodu?
Wistowski. Zaraz to panu wytłumaczę. *(Siada).* Czy wiesz pan, co to są grube ryby?
Pagatowicz. Grube ryby? Ano karpie, szczupaki...
Wistowski. Tak, w znaczeniu zwyczajnem; ale w przenośnem — grube ryby, to my!
Pagatowicz. Jakto? i ja także gruba ryba?
Wistowski. Pan, ja — i wogóle każdy człowiek nieżonaty, z majątkiem, z wyrobioną pozycją w świecie, który może żonie zapewnić dobry los, piękne utrzymanie, słowem to, co nazywamy dobrą partją.
Pagatowicz. No no, — rozumiem!...
Wistowski. Otóż, uważasz pan, jak taka gruba ryba pokaże się w domu, gdzie są panny na wydaniu, to zaraz mamy, ciocie, opiekunowie, usiłują go złapać na męża. Zaczynają się swatania, namowy, *et cetera,* słowem formalne łowy. — Czy panu nie zdarzyło się nigdy coś podobnego?
Pagatowicz. Tak narazie to sobie rzeczywiście nie przypominam.
Wistowski. To się pan możesz nazwać szczęśliwym. Ja bo znowu raz wraz przechodziłem podobne historje. Miałem nawet z tego powodu grube nieprzyjemności, bo jak tylko nie chcesz zrozumieć sentymentalnych westchnień panny, serdecznych wynurzań ojca rodziny — tak zaraz kwasy, dąsy, przymówki... Ot, nie dalej jak parę miesięcy temu tak mnie moje najbliższe sąsiedztwo zaczęło prześladować projektami małżeńskiemi, że się z tego powodu do miasta przenieść musiałem.
Pagatowicz. To to takie te kobiety?! O! trzeba być ostrożnym...

Wistowski. I bardzo ostrożnym w wybieraniu znajomości. Trzeba dobrze rozważyć, gdzie można bywać, a gdzie nie, bo człowiek ani się spostrzeże, jak wpadnie w kabałę. Dlatego właśnie przeniosłem Ciaputkiewiczów nad inne znajomości, że tu czułem się całkiem bezpiecznym od ataków małżeńskich. Ale teraz, skoro i tu zjawia się jakaś tam wnuczka, — to kłaniam uniżenie, nie zobaczą mnie tu więcej...

Pagatowicz. Więc pan jesteś takim nieprzyjacielem płci pięknej?

Wistowski. Nieprzyjacielem? Uchowaj Boże! Było się przecież samemu trochę donżuanem — bałamuciło się mężateczki — tak, panie Pagatowicz, bo miałem, niechwalący się, szczęście do płci pięknej, — ale co do małżeństwa, to przyznam się panu, nigdy nie miałem ochoty.

Pagatowicz. Nie? I dlaczego?

Wistowski. Bo ja lubię niezależność i nie czuję najmniejszego powołania do życia rodzinnego. Zresztą, mój panie Pagatowicz, jak się zjadło dobre śniadanie, to się łatwiej bez obiadu obejść można. Prawda?

Pagatowicz. A skądżeż ja to wiedzieć mogę, kiedy nigdy takiego śniadania nie kosztowałem.

Wistowski. A o obiedzie pan także nigdy nie myślałeś?

Pagatowicz. Myśleć myślałem, ale się i na myśleniu skończyło. Pan wiesz, jak to u nas urzędników: im mniej zębów, tem więcej chleba. Teraz mógłbym się żenić, bo i pensyjka niezła, i wcale ładna sukcesyjka mi się po ciotce dostała, — ale którażby mnie dzisiaj chciała?

Wistowski. Na kopy pan takie znajdziesz.

Pagatowicz. Tak, ale to już chyba nie dla mnie samego, tylko dla moich pieniędzy...

Wistowski. To się rozumie: dlatego, że pan jesteś grubą rybą.

Pagatowicz. Dziękuję ślicznie za to. A mnie poco tego kłopotu na starość? Ja, panie, słabowity, katar

żołądka... Tak, tak! Co tylko zjem, to zaraz, z przeproszeniem pana, takie churkotanie, takie gniecenie, i tu, i tu, — raz zimno, raz gorąco, że desperacja. Dlatego też wziąłem urlop na parę tygodni; mam zamiar jutro pojechać do Wiednia, zaradzić się jakiego specjalisty.

Wistowski. Wyjeżdżasz pan? To może i ja w tym czasie wybiorę się do Lwowa. Mam tam bratanka, na którego włożyłem obowiązek utrzymania rodu Wistowskich. Napisałem mu to w ostatnim liście, że jeżeli wybierze sobie żonę podług mego gustu, zrobię go uniwersalnym spadkobiercą moim. Ale zastrzegłem sobie wyraźnie, że podług mego gustu, bo ja stary konesor [1], — będę umiał wybrać matkę dla przyszłych Wistowskich.

(Słychać turkot)

Filip *(wbiega z fartuchem).* Otóż i nasza panienka przyjechała! *(Otwiera drzwi).* Dwie! Jak mi Bóg miły, dwie! A to cudowne rozmnożenie!

SCENA IV

CIŻ, FILIP, ONUFRY, DOROTA, — WANDA, HELENA

(Wchodzą otulone szalami tak, że im twarzy nie widać)

Dorota. No, rozbierajcie się, swawolnice!

Helena *(głosem piskliwym).* O, nic z tego! Proszę pierwej poznawać.

Onufry *(do Wistowskiego i Pagatowicza).* No, przypatrzcież się, nie figlarki to? Przyjechały tak pootulane, jak je tu widzicie, i bawią się z nami w zgadywanego.

Dorota. A jak tu poznać, kiedy obie jednako całują i ściskają. O, jeszcze się śmieją swawolnice!...

---

[1] *konesor*, zwykle *koneser* (z franc.) — znawca.

Onufry. Wyrżnij kacie, jak na reducie! *(Usiłując być serjo).* No, panny, dosyć już tej maskarady, — rozbierajcie się, bo się pogrzejecie i dostaniecie kataru. Ja tu z wami nie będę żartów stroił. *(Chwyta Wandę).* Dawaj szal!

Wanda *(broniąc się).* O, nic z tego! Niech dziadzio pierwej zgaduje.

Onufry. Dziadzio?! No, to ta Wanda! — A widzisz figlarko, złapałaś się!

Wanda. Ha, kiedym się już sama zdradziła, to się przyznam. *(Zdejmuje szal).*

Onufry. Bagatela!

Wanda. Ale zgadnijcie, kto ta druga?

Dorota *(przygląda się).* Czy ja wiem...

Onufry. Niezawodnie drugi taki trzpiot, jak ty. *(Zagląda jej w oczy i mówi do Wandy)* Czy ja ją znam?

Wanda. O, jeszcze jak!

Onufry. Hm!—ktoby to mógł być?—ślepka błyszczące...

Wanda. Chrzestna dziadzi.

Onufry. Toś mi także wiele pomogła! Ja miałem chrzestnic, że na palcach by nie zliczył... Może Adelka Filipska?

Wanda. Adela przecież starsza o wiele.

Onufry. A kto jej tam lata policzy, kiedy jej nawet w ząbki zajrzeć nie można.

Wanda. Pokaż dziadzi ząbki, Helenko!

Dorota. Helenka!

Onufry. Helenka Burczyńska!

Helena. Ja sama! (*Odkrywa się i wita*).

Onufry. Że też mi to zaraz na myśl nie przyszło: te błyszczące ślepka...

Wanda (*do Filipa, który ją rozbiera*). A! Filip poczciwy! jak się macie?

Filip (*uradowany*). Panienka mnie poznała? (*Całuje ją w rękę i rozmawia pocichu*).

Onufry (*do Doroty, pokazując Wandę*). Patrzno Dorciu, jak ona wyrosła! Takie to było zawsze jak węzełek.

Dorota (*do Heleny*). A ty skąd się tu wzięłaś?

Helena. Uciekłam także przed szkarlatyną. Telegrafowałam do ojca, że tu będę czekać na niego, — jeżeli mnie państwo przyjmiecie?

Dorota. Jeżeli ją przyjmiemy!... słyszysz Nufciu? To paskudnica jakaś!

Onufry. A od czegoż ja ci ojcem chrzestnym? (*Całuje ją*).

Wanda (*rozglądając się*). Jak tu dobrze u was — jak ładnie! Nic się nie zmieniło: ten sam zegar z kukułką, — te same meble, — to fotel dziadunia, pamiętam go dobrze... Tylko tak jakoś wszystko pomalało!

Filip. He, he, — meble nie pomalały, tylko panienka urosła.

Wistowski (*do Pagatowicza*). My tu, jak widzę, całkiem zbyteczni. (*Chrząka*).

Onufry. A prawda! — nie przedstawiłem was jeszcze naszym gościom. (*Do Wistowskiego*) Nasza wnuczka Wandzia. — Pan Wistowski.

Wanda (*żywo*). Czy przypadkiem nie ze Sławkowic?

Onufry. A tak, ze Sławkowic. Tylko teraz na mieszczucha się przerobił.

Wanda (*do Heleny, ściskając jej rękę*). Stryj Henryka!

Onufry. Pan Pagatowicz, radca sądu, nasz przyjaciel.

Helena. A o mnie to ojcuś chrzestny zapomniał?

Onufry. A prawda! — Helenka Burczyńska.

Pagatowicz. Bardzo mi miło. Czy przypadkiem nie córka pana Jana.

Helena. Tak. Pan zna mojego ojca?

Pagatowicz. I pannę Helenę znałem, — jeszcze taką maleńką. Nosiłem nawet nieraz na rękach.

Onufry. Terazby było trudniej.

Dorota (*zgorszona*). Nufciu!...

Helena. To może to pan byłeś, co, jakeśmy mieszkali jakiś czas w mieście, bywałeś tak często w domu moich rodziców? Co mi to pan przynosiłeś cukierki, lalki?

Pagatowicz *(uśmiechnięty)*. A ja, — ja!
Helena. Pan Hilary?
Pagatowicz. Do usług.
Helena. O! to ja sobie pana dobrze przypominam.
Pagatowicz. Po cukierkach?
Helena. A żebyś pan wiedział. Ile razy potem dostałam cukierków, to mi zawsze pan na myśl przychodziłeś.
Pagatowicz *(na stronie)*. Poczciwa!
Helena. Pamiętam, że pan zawsze załatwiałeś mojej mamie sprawunki i mama utrzymywała, że nikt się na tem nie zna tak, jak pan.
Pagatowicz *(ucieszony)*. Pani pamięta to jeszcze?
Helena. Ach, — i jak doskonale! Wandziu! to ten pan, o którym ci nieraz mówiłam. *(Idzie do Wandy)*.
Onufry. Filipie, a rzeczy panienek?
Filip *(łapiąc się za głowę)*. Prawda! — a gdzież są?
Onufry. U stróża na dole. Wnieście je prosto do kancelarji, — ja tam zaraz idę. *(Wychodzi na prawo)*.
Pagatowicz *(ucieszony, na stronie do Wistowskiego)*. Mówiła nieraz o mnie, słyszałeś pan? Dobre dziewczę. To taki mały był berbeć, powiadam panu, a teraz taka piękna panna się z tego zrobiła! Lubo i ta druga także niczego. Skąd ona zna pana?
Wistowski. Czy ja wiem? Może z szematyzmu. Pewnie je tam tego uczą teraz po pensjach, żeby wiedziały potem, gdzie szukać kandydatów na mężów.
Pagatowicz. E, cóż znowu! *(Odchodzi zgorszony)*.
Dorota. Aleście wy pewnie głodne? Każę wam co podać tymczasem.
Helena *(zatrzymując)*. O, jeżeli dla mnie, to ślicznie dziękuję! — wcale nie jestem głodna.
Wanda. I mnie się nic a nic jeść nie chce, babuniu. Zaczekamy do kolacji.
Helena *(do Pagatowicza)*. Pan dawno widział się z moim ojcem?
Pagatowicz. O, już bardzo dawno.
Helena. To się tatko ucieszy, jak pana zobaczy jutro!

Pagatowicz. Kiedy ja jutro rano wyjeżdżam do Wiednia.

Helena. Już jutro? Co za szkoda! Ojciec będzie bardzo żałował, no i ja także, bo nawet nie będę mogła nacieszyć się panem po tak długiem niewidzeniu.

Pagatowicz. Ha, cóż robić, kiedy trzeba.

Wistowski *(biorąc kapelusz)*. Panie Pagatowicz, pan zostajesz?

Pagatowicz. A pan?

Wistowski. Ja muszę już pożegnać państwa.

Onufry *(wchodzi, zastępując drogę)*. Jakto? odchodzicie? Ale cóż znowu! — nie puszczę was.

Wistowski. Kiedy bo...

Wanda *(zalotnie)*. Bośmy gotowe pomyśleć, że panowie przed nami tak uciekacie, a to byłoby nam bardzo przykro, żebyśmy miały tak miłych gości wystraszać dziadkom z domu.

Onufry. No, widzicie — nie możecie teraz odmówić, kiedy was tak zaszła.

Pagatowicz. Kiedy tak, to ja zostaję.

Helena. Nagadamy się za wszystkie czasy.

Onufry. No, a pan Wistowski?

Wistowski. Ależ...

Onufry. Niema żadnego ale; aresztujemy pana, i kwita. Wandziu, schowaj kapelusz. — Tak, teraz musisz pan zostać.

Wistowski (*do Pagatowicza*). A co? nie mówiłem panu? Już nas łapią.

Onufry. Dorciu, może pomyślisz tam o kolacji.

Wanda. My babci będziemy pomagać.

Helena. Tak, tak, pomagać.

Dorota. Ależ wy zmęczone, z drogi...

Helena. Wcale nie, ani troszeczki.

Wandzia. Będzie nas babcia uczyła gotować. Ach, jak to będzie zabawne! Chodźmy, babciu. (*Biorą ją pod ręce i idą na prawo*).

(*Filip wchodzi i patrzy*).

Dorota. Powoli, bo mnie roztrzęsiecie! (*Odchodzą*).
Filip. Toż teraz wesoło u nas, aż miło! (*Wychodzi*).
Onufry. Filipie, nakrywaj, nakrywaj! — A my sobie tymczasem małego wisleczka, — co?
Pagatowicz. Ja z ochotą. Panie Wistowski...
Wistowski. Służę panom. (*Rozdając karty*). Pan grasz z dziadkiem.[1]
Onufry. To nas będzie dwóch dziadków.
Wanda (*wbiega w fartuszku*). Dziaduniu, gdzie są klucze babci od śpiżarni?
Onufry. Klucze? (*Szuka po kieszeniach*). A, tam leżą. (*Wskazuje biurko*).
Helena (*wchodzi w fartuszku, z tacą, na której wino i trzy kieliszki*). Chrzestna matka przysyła, żeby się panom lepiej grało.
Onufry. Doskonale! Trzeba nam przecież oblać przybycie naszych panienek. (*Nalewa*). Wandziu! czekajno, — musimy wypić wasze zdrowie.
Pagatowicz. Na szczęśliwe przybycie łaskawych pań!
Onufry. No, musicie teraz podziękować. Dajcież jeszcze kieliszki.
Helena. My z Wandzią, z ojczulkowego kieliszka. (*Trąca się z Pagatowiczem i Wistowskim*).
Wanda (*biorąc kieliszek*). Dziękujemy panom.
Onufry. No — a ze mną?
Wanda. Dziaduniowi na podziękowanie całusa. (*Całuje i ucieka*).
Helena. I ja także. (*Całuje i ucieka*).
Onufry. Rozkoszne dziewczęta! — He, he, zobaczycie, jak nam tu teraz przyjemnie będą schodzić wieczory.
Wistowski (*na stronie*). Nie wszystkim.
Onufry. One wam tu tak głowy pozawracają, że się jeszcze nazabój w nich rozkochacie.

---

[1] *Grać z dziadkiem* — termin używany przy grze w karty; jeśli do partji braknie jednego gracza, zastępuje się go partnerem fikcyjnym, *dziadkiem*.

Wistowski. O! o! o!...
Onufry. No, zobaczycie!
Pagatowicz. Do czegóżby to było podobne.
Onufry. Pagatowicz już nieźle zaczął, bo sobie pannę cukierkami skaptował. Teraz tylko żelazo kuć, póki gorące...
Wistowski. W cóż pan wychodzisz?
Onufry. W co wychodzę? No, rozumie się, w trefy. (*Zadając*) A dla pana Wistowskiego znowu, to Wanda byłaby jak ulał.
Wistowski (*na stronie*). Już się zaczyna!
Onufry. Co to za sprytna dziewczyna, to nie macie pojęcia!
Wistowski. Biję asem, — cóż pan oddajesz z dziadka? Może siódemkę pik?
Onufry. Niech będzie siódemka. — A jaki rozumek! — fiu-fiu! — i to od samej małości. Jeszcze nie miała ośmiu lat, kiedy mi wykoncypowała powinszowanie — tak sama od siebie, z głowy, — ale to, powiadam wam, takie, że ino drukować, jak Boga kocham. Czekajcie! mnie się zdaje, że je mam gdzieś na wierzchu. (*Wstaje*).
Wistowski. Ja już zadałem.
Onufry. Zaraz, karty nie uciekną, — a to warto posłuchać, jak was kocham. Sami się przekonacie. Zaraz wam pokażę. (*Idzie do biurka*).
Wistowski (*do Pagatowicza*). Zaczyna się zachwalanie towaru — to akt pierwszy.
Pagatowicz. Prawda, to atak nie na żarty.
Onufry. Gdzież u licha podział mi się kluczyk! A, jest! (*Odmyka*). Powiadam wam, że zgłupiejecie.
Wistowski. Nie zobaczy on mnie tu więcej.
Onufry. A, jest! (*Wyjmuje papier stary; idąc do stolika, mówi po drodze do wchodzącej Wandy*). Twoje powinszowanie — to wierszem, — pamiętasz?
Wanda. Co dziadzio chce z tem zrobić?
Onufry. Przeczytam im.

Wanda. Ja nie chcę! Panowie by się jeszcze śmiali ze mnie...

Onufry. O! o! — a cóżby się to mieli śmiać...

Pagatowicz. Będziemy podziwiać.

Onufry. To się rozumie.

Wanda. Ja nie chcę, — nie pozwolę! (*Wydziera i ucieka*).

Onufry (*idąc za nią*). Wanda! — co robisz? Niech cię Bóg broni, żebyś mi to podarła; przecież to moja własność. — Oddaj mi to zaraz! (*Chce ją złapać*). Słyszysz?!

(*Wanda ucieka na lewo*).

Wistowski (*rzuca karty*). Ale co to za gra taka! — To męczarnia prawdziwa! Panie Onufry, gramy albo nie gramy?

Onufry. Ależ gramy, rozumie się, gramy! Dlaczegóżbyśmy nie mieli grać. (*Bierze karty*). Zaraz, — pan zadałeś to?

Wistowski. Tak, i dziadek bije,

Onufry. Dziadek bije... dobrze — Czemby tu?... (*Do Filipa, który wszedł z talerzami*) Filipie, idźno za panną, żeby mi się nie ważyła targać tego powinszowania, bobym się naprawdę rozgniewał.

Pagatowicz. Możeby lepiej nie grać?

Onufry. A to dlaczego?

Wistowski. No, bo czekamy i czekamy, a pan nie bije.

Onufry. Ależ biję, biję — o! niżnikiem![1] (*Do Wandy, która wchodzi z figlarnym uśmiechem*). Wandziu, bardzo proszę, dosyć tych żartów! Oddaj mi to zaraz!

Wanda. A nie pokaże dziadunio nikomu?

Onufry. No, nie pokażę, nie pokażę.

Wanda. Słowo?

Onufry. No, słowo. (*Odbiera*). Poczekaj ty, swawolnico jakaś, — odpłacę ja ci za to! (*Idzie chować*).

Wanda. Ale dziadzio nie gra, a panowie czekają.

Onufry. Zaraz idę. (*Siada*). Tak!

---

[1] *niżnik* w kartach — walet.

Wanda (*do Wistowskiego*). Czy wolno usiąść przy panu?
Wistowski (*chłodno*). O, bardzo proszę. (*Do Pagatowicza*) Uważa pan?
Wanda. Przy kimże szczęście?
Pagatowicz. Mnie dziś okropnie karta nie idzie.
Onufry. Powinieneś się cieszyć z tego.
Pagatowicz. Dlaczego?
Onufry. O! o! Cóż udajesz niewiniątko! Nie wiesz to, co mówi przysłowie?
Pagatowicz (*z udaną skromnością*). Doprawdy, nie wiem.
Wanda. Kto nieszczęśliwy w karty, to szczęśliwy w loteryjkę...
Onufry (*śmiejąc się*). W loteryjkę! A to mu dogodziła! Widzisz, masz co sam chciałeś. W loteryjkę! — ha! ha! ha! (*Do Wistowskiego*) Łebska dziewczyna — co?
Wistowski. Pan zadajesz.
Onufry. A prawda!... Loteryjka — ha! ha! — to się jej udało. Muszę to babci opowiedzieć.
Wistowski. W coby tu wyjść?...
Wanda. Może w piki...
Onufry. Ty mała! będziesz ty tam cicho!
Wistowski (*z respektem do Wandy*). To pani grywa w wista?
Wanda. Dla ojca musiałam się nauczyć, bo nie lubiał grać z dziadkiem.
Onufry. Co? ze mną nie lubił?
Wanda. Ale nie z dziadziem, tylko z dziadkiem [1].
Wistowski. Więc pani radzi w piki...
Wanda. Ja tak myślę.
Wistowski. Ha, usłucham pani! (*Zadaje*).
Pagatowicz (*tylko czekał na to*). A rozumie się, nie można było lepiej, bo ja biję, — teraz zagrywam kara, i wszystkie lewy nasze. (*Wykłada karty*).
Wistowski. A prawda, wszystkie nasze.

---

[1] Por. objaśnienie na str. 17.

Onufry. Jakto wszystkie? A mój as kierowy?
Wistowski. Pan Pagatowicz bije go atutem, bo nie ma żadnego kiera, i dostałeś pan wielkiego szlema.[1] Pysznieś nam pani doradziła.
Onufry. To ty, pędraku, będziesz na własnego dziadka podmawiać? Poczekaj, dam ja ci!

SCENA V

CIŻ, DOROTA, HELENA

Dorota. Proszę panów kończyć, bo już kolacja.
Onufry (*wstaje*). Właśnie w sam raz mnie obębnili,[2] i to ta mała temu winna. (*Do Wistowskiego*) Ale tęgi z niej gracz, — co?
Pagatowicz. O, kobiety, panie, to mają instynkt do gry!
Dorota (*siada*). Prosimy panów. Panienki przy mnie.
Wanda. Babuniu! — możeby przeplatanego?
Helena. Będzie weselej.
Onufry. Przeplatanego, doskonale! Gdzież ja się mam wpleść?
Wanda. Między babcię i Helenkę.
Onufry. Dobrze, — posuń się stara!
Wanda. Pan Pagatowicz tu (*wskazuje miejsce obok Helenki; do Wistowskiego*) a ja przy panu.
Wistowski (*n. s.*) Ostro atakuje!
Wanda. Co panu podać: kurczęta, czy kotlety?
Wistowski. O, niech się pani nie trudzi! (*Bierze od niej półmisek*).
Onufry. Ale wy, robaczki, nic nie jecie.
Helena. Owszem, ja jem.
Dorota. Wandziuniu, a ty?
Wanda. Mnie się, babciu, nic a nic jeść nie chce; tak jestem pełna od radości, żem znowu przy was.
Onufry. Moja gołąbeczka złota!

---

[1] *wielki szlem* — o przegranej w karty.
[2] *obębnić* — ograć w karty.

744

Dorota (*idzie do niej z półmiskiem*). Ale choć kawałeczek kurczątka!

Onufry (*z drugim półmiskiem*). Lepiej polędwicy — to posilniejsze.

Wanda (*składa ręce*). Kiedy nie mogę!

Dorota (*kładzie jej na talerz*). Kawałeczek, jak mnie kochasz.

Onufry (*także nakładając*). Jeżeli mi choć trochę dobrze życzysz, — bobym się pogniewał na ciebie.

Wanda. Ależ dziadku, na miłość Boską!...

Onufry. I sałaty troszeczkę.

Dorota. Idźże, idź, z sałatą! Wiesz przecie, że ona tego nie lubi... Lepiej kompotu troszeczkę.

Wanda. Ależ...

Dorota. To ja sama smażyłam!

Wanda. Dziaduniu, babciu, — kiedy, jak was kocham, nie mogę! (*Całuje babkę w rękę*). Jutro, później, będę się objadała za wszystkie czasy, ale dziś nie mogę. (*Wstaje*). Pójdę nalewać herbatę. (*Idzie do samowaru*).

Onufry. Czekaj, poparzysz sobie palce! Filipie, uważaj też na panienkę.

(*Filip pomaga nalewać*).

Helena (*do Pagatowicza, zalotnie*). Czy pan koniecznie musisz jechać jutro do tego Wiednia?

Pagatowicz. Koniecznie, pani. Urlop mam bardzo krótki. Muszę korzystać z każdego dnia.

Helena. A gdybym pana prosiła bardzo, żebyś się pan dla mnie zatrzymał choć dwa dni, — choć jeden dzień...

Pagatowicz. A cóż pani może zależeć na tem, abym został?

Helena. O, i wiele bardzo zależy! Ani sobie nawet pan nie wyobrażasz, jak wiele. Idzie tu o spełnienie mego najgorętszego życzenia.

Pagatowicz (*na stronie*). Masz tobie! (*Głośno*). I cóż to takiego?

Helena. O, dziś jeszcze tego panu powiedzieć nie mogę, — muszę pierwej z ojcem pomówić.

Pagatowicz (*n. s.*). Z ojcem chce mówić!... Wistowski mi to przepowiedział...

Helena. Tu od niego wszystko zależy.

Pagatowicz (*n. s.*). Formalne oświadczyny, jak Boga kocham!

Helena. No cóż? uproszę pana?

Wanda (*podając herbatę Pagatowiczowi*). Służę panu.

Pagatowicz (*biorąc*). Ślicznie dziękuję.

Wanda. Może mało słodka?

Pagatowicz. Z pani rączek będzie z pewnością słodka. (*Wanda odchodzi*).

Helena. O, jaki z pana komplemencista! Gotowam być zazdrosną.

Pagatowicz (*n. s.*). Zazdrosna... No, niema wątpliwości... Trzymaj się, Hilary!

Onufry. A może herbatka łepiejby nam smakowała przy kartach?

Dorota. Dalibyście sobie pokój dzisiaj z kartami. Są przecież panny w domu. — Możnaby się w coś przyjemniejszego zabawić.

Onufry. Prawda, — naprzykład w kotka i myszkę.

Helena. E, — to taka dziecinna gra!

Onufry. Widzisz ją, jaka mi dojrzała!

Wanda. Lepiej może w tańce. Ja tak lubię tańczyć! Dziadunio i babcia zagrają, a my zatańczymy; tak jak to dawniej — pamięta dziadunio?

Onufry. Ale z kim?

Wanda. Przecież mamy kawalerów! (*Wskazuje na Wistowskiego i Pagatowicza*).

Filip (*n. s.*). Tacy tam kawalerowie, Boże zmiłuj się...

Onufry. A prawda! No, to dalej! — przecież to karnawał teraz! (*Bierze skrzypce i stroi*). — Dorciu, do roboty!

(*Dorota idzie do fortepianu i gra*).

Wanda (*dygając przed Wistowskim*). Ja angażuję pana.

Wistowski. Ależ pani!...

Onufry. No, skoro panna sama prosi, to nie możesz przecież odmówić. To byłby *crimen.*

Helena (*do Pagatowicza*). A pan ze mną.

Pagatowicz. Łaskawa pani, gdzie mnie do tańca, ja już zapomniałem!

Helena. To będziemy sobie przypominać.

Wanda. Trzeba zrobić miejsce... Filipie, Helenko!

(*Uprzątają stół*).

Onufry. Czekaj, to za ciężkie dla ciebie, oberwiesz się. (*Pomaga*).

Wistowski (*do Pagatowicza*). Biorą nas na wszystkie sposoby.

Pagatowicz. Tak i mnie się coś zdaje.

Wistowski. Ale się nie damy.

Pagatowicz. O, nie damy się! to się rozumie!

Wistowski. Grube ryby nie dadzą się łapać na takie przynęty. Prawda?

Pagatowicz. A tak, tak... Lubo ta Helenka to wcale niczego panna.

Wanda. No, sala balowa już gotowa. (*Dygając przed Wistowskim*). Służę panu... No, babciu, dziadziu!

Onufry. Cóż wam zagrać?

Wanda. Walca!

Helena. Tak, tak! walca!...

Pagatowicz. Nie wiem, czy potrafię...

Helena. Ale potrafisz pan, potrafisz. Niema jak walc!

Onufry (*do Doroty*). Matka! Tego naszego.

(*Grają starego walca*).

Pagatowicz (*tańczy i pomylił się*). Zaraz, zacznijmy od punktu. No, — raz, dwa, trzy...

Helena. Cztery, pięć, sześć, dziesięć... Najlepiej bez rachuby. (*Porywa go w taniec*).

Pagatowicz (*trąciwszy Wandę*). O, przepraszam! (*Tańczy dalej niezgrabnie*).

Wanda. Ach, jaka to rozkoszna rzecz taniec!

Wistowski (*zadyszany*). Pa-ni lubi ta-a-niec?...

Wanda. Pasjami! Szczególniej walca.

Wistowski. Tak w-a-lca...
Wanda. Przepadam za walcem!

(*Tańczą. Pagatowicz się przewraca, — przestają tańczyć i grać; Helena pomaga mu powstać*).

Pagatowicz (*zażenowany*). Przepraszam najmocniej, — noga mi się tego...
Helena. Ale nic nie szkodzi, to się najlepszym tancerzom trafia.
Onufry. Nic sobie z tego nie rób, Pagatowicz, — to dobry znak!
Pagatowicz (*n. s., macając kolano*). Rzeczywiście, będzie dobry znak.
Onufry. Pamiętasz, Dorciu, myśmy się także przewró cili przy pierwszem poznaniu.
Helena (*do Pagatowicza*). No, tańczmy dalej!
Pagatowicz. O nie, pani! Ja już kaput! (*Idzie na kanapę*).
Wanda (*siada, wachluje się chusteczką i mówi zalotnie do Wistowskiego, który siadł obok niej*). Ale jak pan lekko tańczysz!
Wistowski (*zadowolony*). Wolne żarty; kiedyś to się tam tańczyło nieźle.
Wanda. Z nikim jeszcze nie tańczyło mi się tak dobrze, jak z panem. Nie czuję prawie żadnego zmęczenia.
Wistowski. Rzeczywiście? To może pani jeszcze pozwoli. (*Wstaje*).
Wanda. Z największą ochotą! Dziaduniu, jeszcze troszeczkę!

(*Tańczą. Grają po raz drugi piano, żeby było słychać rozmowę Helenki*).

Helena (*chwytając Pagatowicza za rękę*). O, nie! Pan tego nie zrobisz, żebyś miał odjeżdżać jutro! Pan nie pojedziesz, prawda?
Pagatowicz (*n. s.*). Jak ona patrzy! — jak ona patrzy!... To trzeba być kamieniem chyba, żeby nie zmięknąć.
Helena. No?

Pagatowicz (*ociera czoło; n. s.*). Tak mnie rozmiękczyła, że możnaby mnie teraz na chleb rozsmarować, jak masło majowe.

Helena. Nic pan nie mówisz? Dawniej, to pan byłbyś mi niczego nie odmówił, — a teraz takiej drobnostki nie chcesz zrobić dla mnie!

Pagatowicz (*n. s.*). Nie mogę się już dłużej opierać! (*Głośno*). Niech się dzieje co chce, — zostanę.

Helena. Otóż tak to lubię. (*Podaje mu rękę*). Nie uwierzysz pan, jak mnie tem uszczęśliwisz!

Pagatowicz (*wzruszony*). I siebie, i siebie, panno Heleno, — wierz mi!

Onufry. A możeby tak kadryla?

Pagatowicz (*ożywiony*). Dobrze, kadryla! Służę pani. (*Idzie na środek i śpiewa*). La, la, la la, — la...

Onufry. A to się Pagatowicz rozhulał! Patrzno Dorciu!

Wanda (*do Wistowskiego*). A pan nie zmęczony?

Wistowski. Ja? Ja gotów jestem tańczyć do samego rana.

Wanda. Więc tańczmy!

(*Stają vis-à-vis. Pagatowicz wyrywa się zawcześnie*).

Wistowski (*z ferworem kawalerskim*). *Attendez!* — ośm taktów wytrzymać, — tak, teraz *en avant!* — *chaine anglaise!* — *retour!* — *balancé!*[1]

Filip (*który sprzątał herbatę*). A to się staruszkowie rozbrykali!

(*Grają i tańczą kadryla*).

Zasłona spada.

---

[1] Terminy francuskie, używane przy aranżowaniu tańców.

AKT DRUGI

Pokój ten sam, co poprzednio.

SCENA I

Wanda (*Siedzi przy fortepianie, znudzona, rozkaprysszona; gra to powoli, to prędko, to wesołe, to smutne rzeczy, wkońcu wstaje od fortepianu*). Nie, nie, — i muzyka mnie dziś nie bawi! Sama nie wiem, co mi jest... (*Siada*). Kiedym tu jechała, to mi się zdawało, że mi tu już nic do szczęścia brakować nie będzie, a tymczasem pokazało się, że nie. (*Wstaje*). Co to jest? Co to jest? Przecież mam tu co tylko zachcę. Dziadkowie mi dogadzają — psują mnie nawet. Ptasiego mleka chyba mi brakuje... a jednak smutno mi tu i nudno. Ach, Boże, Boże, co ja zrobię! (*Siada. Po chwili*) Dziadunio się dziwi, żem teraz taka niewesoła, żem tak spoważniała... Ach, gdyby on wiedział, dlaczego! — Oni sobie, poczciwi, myślą, że ja sobie jeszcze taka zwyczajna pensjonarka, co o niczem nie myśli, tylko o gramatyce francuskiej i rozmówkach z Ollendorfa, — a ja tymczasem... (*Wstaje żywo*). Ach, za nic w świecie nie odważyłabym się przyznać przed nimi! To okropność!... Panna, co jeszcze pensji nie skończyła... No, ale cóż ja temu winna, że *madame* przyjęła takiego ładnego nauczyciela muzyki. — To nie ja jedna przecież, to cała klasa kochała się w nim nazabój, a że mnie jedną wybrał, to tylko honor dla mnie. (*Chodzi, potem siada*). Co on sobie tam pomyśli, jak przyjdzie

na lekcję, a tu ani jednej panny... Chciałam mu donieść, że wyjeżdżamy, ale Helenka osądziła, że to nie wypada pannie pisać do kawalera. (*Po chwili*). Czy jemu też tam tak tęskno bezemnie, jak mnie tutaj? Ach, Boże! Ja teraz dopiero widzę, jak go kocham!

SCENA II

WANDA, BURCZYŃSKI, HELENA, FILIP (*z pakunkami*)

Burczyński (*w czamarce, czapka rogata z daszkiem; mówi do Filipa*). Pozanoś tamte tobołki do pana pokoju. Będzie tam już tego spora porcja. (*Filip odchodzi*). Jak my się z tem wszystkiem zabierzemy, to dalibóg nie wiem.

Helena (*do Wandy*). Tatko dziś nie w najlepszym sosie![1]

Burczyński. Niech licho porwie to miasto!... Ciągle tylko trzymaj rękę w kieszeni, i gdzie się ruszysz, tylko płać i płać, — i to tak od rana do wieczora. Jakby mi tak przyszło jeszcze z kilka dni tu pobyć, to dalibóg nie byłoby o czem wracać.

Helena (*śmiejąc się*). E, co też to tateczko mówi!

Burczyński. A jak Boga kocham! — No, widzicie państwo, ona się śmieje!

Wanda. Jak panu braknie, to dziadunio pożyczy.

Burczyński. Tak, pożyczyć nie sztuka, tylko skąd oddać?

Helena. Myślałby kto, że tatko taki biedny.

Burczyński. A cóż ty sobie myślisz, smarkulo jakaś, że ja kuję pieniądze, czy co? A tożby się i w studni przebrało przy takich wydatkach.

Helena (*nadąsana*). I cóż to znowu za takie straszne wydatki?

---

[1] *nie w najlepszym sosie* — w niedobrym humorze, usposobieniu.

Burczyński. Co za wydatki?! A wiesz ty financministrze, wiele ja od wczoraj wydałem? Sto pięćdziesiąt reńskich — okrągłe sto pięćdziesiąt reńskich, — i to wszystko przez ciebie.

Helena. Jakto przezemnie?

Burczyński. A tak, tak, — bo gdyby nie ty, nie byłbym się ruszył teraz z domu, a Zębaczyńska, jak tylko widzi, że się wybieram do miasta, to zaraz rychtuje konotatkę[1] na dwa łokcie. (*Wyjmuje notatkę z kieszeni*). O, cała litanja!

Helena. Zato też tatko potem przez kilka miesięcy nie będzie nic wydawał.

Wanda. Potrzeba przecież, żeby i miastowi coś zarobili.

Helena. Tatko przeszłego roku tyle wziął za pszenicę...

Wanda. A widzi pan!

Burczyński (*wstając*). E, ktoby was tam przegadał, kłapaczki! Dajcie mi święty pokój. (*Do Wandy*) Gdzie dziadek?

Wanda. U siebie.

Burczyński. Wolę iść do niego na fajkę, bo z wami tobym końca nie doszedł; szkoda czasu. (*Idzie na prawo*).

Helena. Tatko nie lubi prawdy słuchać.

Burczyński. Daj mi pokój, nic nie słucham! (*Wychodzi*).

Wanda. Ten twój ojciec to musi być taki burczymucha, co to zrzędzi, krzyczy, łaje, ale w gruncie poczciwina, miękki. Co?

Helena. Dobry jest, to prawda, — bardzo dobry, ale na punkcie wydawania pieniędzy, to strasznie twardy. A ja mam teraz właśnie taką wielką prośbę do niego. Zbieram się od rana na odwagę, i nie mogę.

Wanda. Pewnie o nowy kapelusik?

Helena. E, gorzej jeszcze! Chcę go prosić o materjalną[2] suknię.

---

[1] *konotatka* — notatka, spis sprawunków.
[2] *materjalna suknia* — jedwabna.

Wanda. Ho, ho, czego się zachciewa!

Helena. A cóż, moja droga! Julcia Grzybkowska przecież młodsza odemnie, a już w przeszłym roku na egzaminie miała jedwabną suknię; wiesz, tę niebieską w paski, — pamiętasz?

Wanda. O, pamiętam dobrze!

Helena. Ano widzisz! A ja teraz mam taką dobrą sposobność. Pagatowicz jedzie właśnie do Wiednia, a on się zna bardzo dobrze na materjach. Powiadają, że tam za bezcen kupić można. A u nas w sąsiedztwie wielki bal na święty Józef u Gagatnickich, — toby mi doskonale wypadło. Uważ sobie moja droga, coby to było za szczęście pokazać się w materjalnej sukni z ogonem! Ach, żeby tylko tatko zmiękł! Może teraz, jak się z twoim dziadkiem rozgada, będzie w lepszym humorze. Pójdę spróbować. Muszę się śpieszyć, bo Pagatowicz dziś a jutro wyjeżdża. — No, odważnie! W imię Ojca i Syna... (*Idzie na prawo i wraca*). A, prawda! zapomniałam ci powiedzieć: Henryk jest tutaj.

Wanda. Tutaj?! Widziałaś go?

Helena. Spotkałam się z nim w mieście. Będzie tu u was o czwartej. Ma ci coś bardzo ważnego powiedzieć. (*Wychodzi*).

Wanda (*stoi odurzona*). Boże! jak mi serce bije! On jest tutaj! Może umyślnie za mną przyjechał? No rozumie się, skoro ma mi coś ważnego do powiedzenia... Ciekawam, co takiego? Czwarta już niedaleko.

Dorota (*za sceną*). Filipie! Filipie!

Wanda. Babcia! Gdyby go tu zobaczyła!... No, cóż z tego? — przecież każdemu wolno przyjść z wizytą. Ale jabym zaraz raczki spiekła — babunia by się domyśliła. Nie chcę, nie chcę, — za nic w świecie! Chyba później — kiedyś.

Dorota (*j. w.*). Weź klucze od śpiżarni i chodź za mną.

Wanda. Tu idzie! Co robić, żeby się tu nie zatrzymywała? A, wiem! (*Kładzie się na kanapie i udaje śpiącą*).

SCENA III

WANDA, DOROTA, FILIP z lewej, po chwili ONUFRY

Dorota (*wchodzi*). A potem zaniesiesz panom wino. (*Spostrzega śpiącą*). Pst! cicho! śpi... Nie tłucz się! (*Mówi cicho*). Masz klucze od śpiżarni, idź, tylko cicho! Zasnęło niebożątko! (*Filip odchodzi*).

Onufry (*wchodzi z prawej*). Dorciu! Każ nam dać wina.

Dorota. Cicho! (*Pokazuje na śpiącą*).

Onufry (*cichutko*). Każ-no nam dać wina.

Dorota (*tak samo*). Już Filip poszedł.

Onufry (*idąc na palcach*). Śpi? — Wandziu!

Dorota. Dajże jej spokój!

Onufry. Śpisz? — No śpij, śpij! A możeby jej jasia pod głowę?

Dorota. Zaraz przyniosę. (*Do Filipa, który przechodzi z winem*) Tylko cicho, na palcach, żeby się nie przebudziła (*Idzie na lewo*).

Onufry (*do Filipa*). Do mego pokoju, — słyszysz? Tam, — tak. (*Po odejściu Filipa*). Moje śliczności; jak to bo smacznie zasnęło! Ale zziębnie biedactwo; możeby ją czem przykryć. (*Szuka po pokoju, a nie znalazłszy nic, zdejmuje szlafrok*). Tak, teraz jej będzie cieplej. (*Otula ją*).

Dorota (*wchodzi z jasiem*). Jest jaś.

Onufry. Tylko ostrożnie, żebyś jej nie zbudziła, — tak...

Dorota. Chodźmy!

(*Idą na palcach, oglądając się na śpiącą*)

Wanda (*wstaje po ich odejściu*). Nareszcie poszli! — Jacy oni poczciwi, tak mnie kochają! Aż mnie wstyd, że ich tak oszukiwać muszę. Ale cóż robić? Czwarta co tylko nie uderzy. (*Spostrzega wchodzącego Henryka*). A! Henryk!

SCENA IV

WANDA, HENRYK

Henryk (*wchodzi prędko; ujrzawszy Wandę, zbliża się do niej z żywą radością i bierze ją za rękę*). Ach, panno Wando! (*Chce ją całować w rękę*).

Wanda (*odsuwając się przestraszona*). Panie Henryku! co pan robi? Nie można sobie tak pozwalać, bo tutaj nie pensja. Gdyby tak dziadunio albo babcia zobaczyli, — toby dopiero była śliczna historja!

Henryk. A cóż dziadkowie pani mogliby mieć przeciw temu?

Wanda. Oni jeszcze nie wiedzą o niczem, nie znają pana wcale.

Henryk. No, to mnie pani poznasz z nimi, przedstawisz jako swojego narzeczonego...

Wanda. Narzeczonego?

Henryk. Tak, pani; teraz już śmiało mogę wystąpić w tym charakterze, na mocy tego listu. (*Pokazuje list*). Dostałem go parę dni temu i poszedłem z nim natychmiast na pensję, aby się z panią podzielić tą radosną wiadomością. Powiedziano mi, żeś pani wyjechała, siadłem tedy na kolej — i oto tu jestem.

Wanda. I cóż ten list zawiera?

Henryk. Czytaj pani!

Wanda. »Drogi synowcze...«

Henryk. To od mego stryja...

Wanda. »Jesteś jedynym reprezentantem nazwiska Wistowskich — rozumie się, nie licząc mnie. Na tobie więc ciąży obowiązek utrzymania naszego rodu dla przyszłości«. — Tego nie rozumiem...

Henryk. Ja to pani później wytłumaczę. Czytaj pani dalej.

Wanda. »Jeżeli wybierzesz sobie żonę, która zyska moją aprobatę...«

Henryk. »Aprobatę« dwa razy podkreślone.

Wanda (*j. w.*). »zabezpieczę wam dostatnie utrzymanie, a po śmierci zrobię cię uniwersalnym spadkobiercą moim«.

Henryk. I cóż pani na to? Szczęście nasze już zapewnione, — nieprawdaż?

Wanda. A jak się stryjowi nie spodobam i nie zyskam tej aprobaty?

Henryk (*śmieje się*). Chybaby oczów nie miał.

Wanda. Nie śmiej się pan, bo to bardzo możebne. Robiłam co mogłam, aby pozyskać sobie jego względy, ale mi się zdaje, że mi się to niebardzo udało.

Henryk. Jakto? Pani znasz mego stryja? Widziałaś go już? Gdzie?

Wanda. Tu, w domu.

Henryk. On tu bywa?

Wanda. Jest prawie codziennym gościem u moich dziadków.

Henryk. A to wybornie się składa!

Wanda. Ja jeszcze nie widzę w tem nic tak wybornego.

Henryk. Jakto nie? Powiem mu wprost: Stryju, oto moja narzeczona! — i koniec.

Wanda. A stryj pański wtedy zacznie mnie oglądać, krytykować i wynajdywać złe strony... Dziękuję panu za taką przyjemność.

Henryk. Więc cóż mam zrobić?

Wanda. Przedewszystkiem iść stąd.

Henryk (*ze smutkiem*). Jakto? mam odejść?

Wanda. Przecież nie na zawsze. Wrócisz tu pan, ale razem ze stryjem, z oficjalną wizytą, — i będziesz udawał, jakbyśmy się wcale nie znali.

Henryk. A to dlaczego?

Wanda. Ach, jakiż z pana niedomyślny człowiek! Bo wtedy łatwiej może spodobam się pańskiemu stryjowi, gdy nie będzie wiedział, że mi tak na tem zależy.

Henryk. A, rozumiem.

Wanda. Przecież! A teraz idź pan, żeby tu pana kto nie zobaczył. Ktoś idzie... Odejdź pan już! Do widzenia — do widzenia! (*Odchodzi*).

Henryk odchodzi szybko środkowemi drzwiami, gdzie zderza się mocno z wchodzącym Pagatowiczem.

SCENA V

PAGATOWICZ, później ONUFRY

Pagatowicz (*patrząc za Henrykiem*). A cóż to za warjat? Mało mnie nie roztrącił. (*Poprawia ubranie, potem systematycznie kładzie laskę, kapelusz; — siada i dobywa tabakierkę*). No i nie pojechałem! Stało się jak chciała. Wistowski będzie się śmiał ze mnie, jak się dowie, ale jakże tu było odmówić, kiedy tak prosiła, — tak prosiła! Niech się dzieje co chce, ja zdecydowany na wszystko.

Onufry (*wchodzi*). O, Pagatosiu już tutaj? Jeszcze piątej niema, a kawaler już na stanowisku... Brawo, brawo!

Pagatowicz. Przyszedłem tu, bo...

Onufry. Nie tłumacz się... Wiem ja dobrze, jaki magnes cię tu ciągnie. Ja wam to przepowiadałem, że się rozkochacie jak koty marcowe.

Pagatowicz. Ale cóż znowu!

Onufry. I nie dziwię się wam wcale. To to samo kochać się każe; takie to skowyrne,[1] milutkie, że aż ślinka idzie. Jak mi się będziesz zasługiwał, to cię wyswatam.

Pagatowicz. Ależ...

Onufry. Jak Boga kocham, tak wyswatam!

Pagatowicz. Ależ panie Onufry, wolne żarty! Gdzie mnie małżeństwo w głowie, — ja stary.

---

[1] *skowyrny* — ruchliwy, wesoły.

Onufry. O! o! stary! A dyć ty smarkacz w porównaniu do mnie. Jak ja byłem w twoim wieku... Wieleż ty sobie lat teraz liczysz?

Pagatowicz. Pięćdziesiąt pięć i troszkę...

Onufry. No, to jak ja byłem w twoim wieku, to miałem także pięćdziesiąt pięć lat, a byłem, panie, jeszcze taki zuch do kobiet, że moja Dorcia to mi sceny wyprawiała, tak była o mnie zazdrosną. A on mówi, że mu małżeństwo nie w głowie. Żebym ja był na twojem miejscu, *Herr Gott!* toby mi ono było nietylko w głowie, ale w nogach, w rękach, w kościach, — wszędzie...

Pagatowicz. Dobrze to tak mówić, jak się jest zdrowym i czerstwym, — ale ja schorowany, defektowny.

Onufry. A czy może być lepsze lekarstwo na wszystkie choroby, jak żona?

Pagatowicz. Ale — gadanie!...

Onufry. A dalibóg! Miałem kolegę szkolnego Lipowicza, — może go znałeś nawet?

Pagatowicz. Nie miałem przyjemności.

Onufry. Chłop, panie, ciągle kwękał, stękał, od najmłodszych lat... Jeździł do Karlsbadu, Bóg wie gdzie, — i nic! Dopiero jak się ożenił, wszystkie choroby jakby ręką odjął. Chłop, panie, teraz jak ryba, a dzieci blisko do tuzina.

Pagatowicz. A mnie doktor mówił...

Onufry. E, co tam doktor! Co oni wiedzą! Dobrze wyjdziesz, jak się ich będziesz trzymał! Ja ci mówię, że niema lepszego lekarstwa jak żona... no i morison[1]; a, morison także.

Pagatowicz. A rzeczywiście, ten morison, coś mi to pan doradził, pomógł mi trochę.

Onufry. A widzisz! Spróbuj jeszcze ożenić się, a do reszty ozdrowiejesz.

---

[1] *morison* — „pigułki *Morisona*“, tak nazwane od angielskiego wynalazcy, stosowane swojego czasu jako uniwersalny środek leczniczy.

Pagatowicz. A którażby mnie tam chciała...

Onufry. No, a Helena Burczyńska? — Znasz ją od dziecka, to nie będziesz potrzebował tracić czasu na długie konkury. Zatem uderz śmiało, i kwita. (*Bierze go pod ramię*). A coby to była za satysfakcja, panie, mieć w domu takie miluchne stworzenie, taką dzierlateczkę. Widzisz, uśmiechasz się bałamucie! — Poczekaj, zaraz ci ją tu przyślę. Jest właśnie u ojca, o coś go tam strasznie molestuje. No, Pagatosiu, nie zasypiaj sprawy. Poprosicie mnie potem w kumy. He, he, he! (*Wychodzi na prawo*).

Pagatowicz. Molestuje ojca! U! jak widzę, to tu nie na żarty idzie. Dziewczyna na dobre rozmiłowała się we mnie. Ta — dziej się wola Boża! Śmierć i żona od Boga przeznaczona. Niech tam Wistowski śmieje się ze mnie jak mu się podoba, ja zrobię jak mi lepiej.

SCENA VI

PAGATOWICZ, HELENA (*wchodzi łkając*)

Pagatowicz (*idąc naprzeciw*). A to co? Co się stało? Panno Heleno! co pani jest? O co pani płacze?

Helena (*zanosząc się*). Taki ojciec — to... tyran, nie ojciec!

Pagatowicz. Cóż on pani zrobił?

Helena. Nie chce pozwolić, choć go tak prosiłam, błagałam na wszystko w świecie!

Pagatowicz. Nie zgadza się?...

Helena. Ani chce słyszeć o tem.

Pagatowicz. I jakiż powód daje?

Helena. Powiada, żem jeszcze za młoda.

Pagatowicz. No to właśnie najstosowniejsza pora.

Helena. No prawda? Ja mu to samo mówiłam. Julcia Grzybkowska przecież młodsza odemnie, a nie bronią jej tego. To tylko ja jedna taka nieszczęśliwa!...

Pagatowicz (*n. s.*). Biedne dziecko! (*Głośno*). No, no, panno Heleno, jeszcze nic straconego. Ojciec przecie

będzie musiał nakoniec dać się ubłagać. A możeby to lepiej było, żebym tak ja z nim pogadał?...

Helena. O nie, nie! popsułbyś pan jeszcze wszystko. Ja znam ojca; jak się uprze, to niech Bóg broni, żeby go męczyć prośbami, bo to jeszcze gorzej. Trzeba poczekać, aż się sam zreflektuje, udobrucha, i trafić na dobrą chwilę. Tylko, jeżeli pan przedtem odjedziesz?...

Pagatowicz. Nie odjadę, — nie odjadę...

Helena. Bo jabym się zadesperowała.

Pagatowicz (*n. s.*). Jak tu nie ulec takiej miłości!...

Helena. A długo pan będziesz mógł się zatrzymać?

Pagatowicz. Dopóki sama zechcesz, ty — ty — gołąbeczko moja! (*Pieszcząc się jej ręką, chce ją pocałować*).

Helena. Fe, co pan robisz!

Pagatowicz. Jakie to to skromne, niewinne, — Boże kochany!

Helena. A jakbym ja u ojca nic nie wskórała, to jeszcze Wandzi poproszę; ojciec ją bardzo lubi.

Pagatowicz. Więc pani myślisz powiedzieć o tem pannie Wandzi?

Helena. Już jej powiedziałam. My nie mamy przed sobą żadnych sekretów. Ona także,jak się zakochała w panu Henryku, to mnie pierwszej z tem się zwierzyła.

Pagatowicz. Zakochała się?... Panna Wanda?

Helena. I to już od roku.

Pagatowicz. Od roku? Bagatela! (*n. s.*). A Wistowski myślał... Dobrze mu tak, będzie ukarany za swoją zarozumiałość.

Helena. Pan nie poznałeś pana Henryka?

Pagatowicz. A skąd? Jakim sposobem?

Helena. Miał tu być o czwartej. Nie spotkaliście się panowie?

Pagatowicz. A to ten ?! — Owszem, spotkaliśmy się, i to dosyć serdecznie.

Helena. I jakież zrobił na panu wrażenie?

Pagatowicz. Bardzo silne. (*n. s.*). Doląd je czuję.
Helena. Prawda, że przystojny mężczyzna? — A jak ślicznie gra!
Pagatowicz. W taroka, czy wista?
Helena. Ale cóż znowu! Na fortepianie... Był przecież nauczycielem muzyki na naszej pensji.
Burczyński (*za sceną*). Helenko!
Helena. Ojciec mnie woła! Więc pamiętaj pan, że mam pańskie słowo, że zostajesz.
Pagatowicz. To się rozumie, że zostaję.
Helena. I czekać będziesz, dopóki ojciec się nie zdecyduje.
Pagatowicz. Choćby mi przyszło czekać Bóg wie jak długo.
Helena. Jaki pan dobry! (*Podaje mu rękę*). Oby nam się tylko udało! (*Chce iść na prawo*).

SCENA VII

CIŻ i BURCZYŃSKI

Burczyński (*wchodzi, ubrany do wyjścia*). Cóż to znaczy? Wołam i wołam... A, Pagatowicz! (*Grozi mu*). Ej ty, ty, ty, stary, mam ja z tobą na piwo!
Pagatowicz. Ze mną?
Burczyński. No, no, no, nie udawaj niewiniątka. Cóż ty tam spiskujesz z Helenką przeciw mnie? — co?
Pagatowicz. Ależ...
Burczyński. Komu to wdawać się w takie rzeczy! Bałamucisz mi tylko dziewczynę, zamiast jej wybić z głowy te głupstwa.
Pagatowicz. Mój Burczyński, proszę cię, powiedz mi otwarcie, co ty możesz mieć przeciw temu?
Burczyński. Dobry sobie! Cóż to ja mam pieniądze na wyrzucenie?
Pagatowicz. Przecież tu nikt od ciebie nie żąda pieniędzy. Idzie tylko o twoje zezwolenie.

Helena (*n. s.*). Cóż to ma znaczyć?

Burczyński. Zwarjowałeś, czy co? Cóż ty sobie myślisz, że jabym się zgodził na to, żeby moja córka od ciebie łaski przyjmowała?

Helena. Ale bo pan Pagatowicz nie tak myślał...

Burczyński (*stukając laską*). Panna tu nie masz głosu! Proszę iść zaraz do swego pokoju!

Helena (*n. s.*). Ja mówiłam, że ten Pagatowicz jeszcze wszystko popsuje! (*Odchodzi*).

Burczyński. Hm, jaki mi dobrodziej! Ja tu dobrodziejstw od nikogo nie potrzebuję!

Pagatowicz. Ależ nie masz się czego obrażać! Uważ sobie, że tu idzie o szczęście twojej córki!...

Burczyński. Macie państwo! — on to także szczęściem nazywa! Wstydź się, stary, takie brednie gadać.

Pagatowicz. No, skoro panna Helena sobie tego życzy...

Burczyński. Co tam Helenka, Helenka! Co ona wie, — takie cielątko!

Pagatowicz. Przecież już jest w tym wieku...

Burczyński. E! idź stary! Miejże ty przynajmniej rozum, nie gadaj mi takich głupstw, bo to sensu nie ma, żeby pannie w ośmnastym roku zachciewało się czegoś podobnego...

Pagatowicz. Chciej tylko posłuchać...

Burczyński. Nic nie słucham! Dajcie mi święty spokój! Nie pozwalam, i basta! (*Wychodzi wzburzony środkiem*).

Pagatowicz. Tatko troszeczki gwałtowny, ale to nic. Dla takiego aniołka to można przecież znieść te małe nieprzyjemności. Niech on sobie tam gada co mu się żywnie podoba, — skoro panna za mną, to reszta bagatela. Tu panna grunt. Żeby ojciec na głowie się postawił, to nic nie zrobi, bo ja nie ustąpię, — jak mi Bóg miły, nie ustąpię!... A, pan Wistowski! Dobrze, że pan idziesz!

SCENA VIII

PAGATOWICZ, WISTOWSKI

Wistowski (*wchodzi*). Cóż się stało?
Pagatowicz (*rozpromieniony, bierze go za rękę*). Ja już z panną gotów.
Wistowski. Jak to pan rozumiesz?
Pagatowicz. Zakochała się we mnie dziewczyna po uszy.
Wistowski. Co za dziewczyna?
Pagatowicz. No — Helenka Burczyńska.
Wistowski. Tak na poczekaniu?
Pagatowicz. Ja, panie, sam głupieję, skąd jej się to wzięło tak nagle. Kiedyś jeszcze, jakeśmy to tu byli razem — no, w ten dzień, co przyjechały, — sama mi się prawie oświadczyła, — jak mnie pan żywego widzisz! Jak jej tylko napomknąłem, że chcę jechać do Wiednia — bo, jak panu wspominałem, miałem zaradzić się względem...
Wistowski. Względem tego mruczenia...
Pagatowicz. Otóż ona, jak usłyszała, tak zaraz: „Nie jedź pan, zostań!“ — zaklinała mnie biedaczka na wszystko w świecie, a dziś już z ojcem mówiła.
Wistowski. No i ojciec, rozumie się, zgodził się.
Pagatowicz. Otóż w tem sęk, że ojciec mi trochę bróździ.
Wistowski. O!
Pagatowicz. Powiada, że jeszcze młoda.
Wistowski. Zwyczajne ceregiele; ja panu zaręczam, że się zgodzi.
Pagatowicz. Bógby dał!
Wistowski (*siadając*). Więc na serjo myślisz się pan żenić?
Pagatowicz. A cóż mam robić? Wobec takiej miłości ze strony panny nie mogę przecież pozostać jak głaz.
Wistowski. A cóż będzie z pańską chorobą?

Pagatowicz. E, panie! — przy takiej żonie to człowiek i o chorobie zapomni. A naprzykład kiedyś wieczór, jakeśmy się roztańczyli, tak zaraz czułem się zdrowszym.

Wistowski. A rzeczywiście,— przyjemnieśmy się bawili.

Pagatowicz. A co? nieprawda? Wieczór zszedł jak z bicza trzasł. O, mnie ten taniec bardzo dobrze zrobił; bo przecież jadło się to i owo na kolację, a mimo to — cóż pan powiesz? — najmniejszego gniecenia — nic; spałem wybornie całą noc, i nazajutrz byłem jak odmłodzony. Język coprawda jeszcze troszeczkę obłożony, ale jestem przekonany, że po kilku takich wieczorach toby się język wyczyścił.

Wistowski. Pokazuje się, że panu komocja[1] potrzebna.

Pagatowicz. A tak się pokazuje z tego.

Wistowski. No i żenisz się pan? Jak widzę, to pana już na dobre złapali.

Pagatowicz. Cóżby znowu mieli łapać? Przecież panna ani ułomna, ani defektowna, żeby jej aż męża łapać potrzeba. Dziewczyna jak malowanie, no i nie bez grosza, bo stary lubi grosz ciułać, — a to jedynaczka. Więc jeżeli się decyduje iść za mnie, to z pewnością nie dla majątku. Toteż mam najmocniejsze postanowienie żenienia się. Bo po głębszym namyśle przychodzę do przekonania, że stan kawalerski, to strasznie nędzna egzystencja.

Wistowski (*drwiąco*). Tak pan sądzisz?

Pagatowicz. Zobacz pan tylko wykazy statystyczne: największa śmiertelność i najwięcej samobójstw przypada na stan kawalerski. Człowiek się tylko kwasi... Pan także powinieneś pomyśleć o żonie.

Wistowski. Kłaniam uniżenie! Ja, dzięki Bogu, mam język czysty.

Pagatowicz (*urażony*). Przecież i ja nie dla języka biorę żonę, tylko dlatego, że widzę, iż małżeństwo ma swoje dobre strony.

---

[1] *komocja* — ruch; wstrząśnienie.

Wistowski. Tak, tylko więcej złych! Małżeństwo, panie, — to niewola; zaraz obowiązki, ciężary, a ja przyzwyczajony do niezależności, swobody. (*Siada*). Nie przeczę, że panna Wanda może się po dobać, że jest bardzo miła, bardzo wesoła, — gra w karty znakomicie, ale...

Pagatowicz. Ale już ma narzeczonego!...

Wistowski (*zrywając się szybko*). Narzeczonego? Panna Wanda? Któż to panu mówił?

Pagatowicz. Helenka.

Wistowski (*śmieje się lekceważąco*). Jej przyjaciółka. I pan uwierzyłeś temu?

Pagatowicz. Dlaczegoż nie miałbym wierzyć?

Wistowski. Mój panie, znamy się na takich sztuczkach!

Pagatowicz. Sztuczkach?...

Wistowski. A rozumie się — stare panieńskie sztuczki. Pokazuje się umyślnie współzawodnika, aby zachęcić opornych do stanowczego kroku: „Śpiesz się, mój panie, bo są tacy, co gotowi cię uprzedzić"... I takie historje mi się już trafiały, mój panie.

Pagatowicz. Ale kiedy widziałem konkurenta na własne oczy... Właściwie wpierw go uczułem, jak widziałem, — ale był tu.

Wistowski (*siadając, rozpiera się*). Może tam i jest rzeczywiście jaki kancelista bez pensji, albo medyk z wielkiemi nadziejami na przyszłość, — ale to, panie, nie to, co gruba ryba. To same kiełbiki i płotki! Jestem przekonany, że gdybym tylko słówko pisnął, to ten konkurent ulotni się jak kamfora i zostanę panem placu.

Pagatowicz. Zbytek pewności.

Wistowski. Wątpisz pan?

Pagatowicz. Na dwoje babka wróżyła.

Wistowski. Dla samego przekonania pana gotów jestem spróbować, — tylko spróbować.

Pagatowicz. A jak panna da kosza?

Wistowski. Co? Mnie kosza? Ha, ha, ha! — to także zachciałeś pan!... Nie zapominaj pan, że to z Wistowskim sprawa. I gdyby mi się tylko chciało zadać sobie pracy, tobyś pan zobaczył, co to Wistowski jeszcze potrafi. Miało się przecież niemałą praktykę w sprawach miłosnych (*Spostrzega Wandę*). A, otóż *lupus in fabula,*[1] w samą porę! (*Poprawia ubranie i kryguje się pretensjonalnie*).

SCENA IX

CIŻ i WANDA

Wanda (*wchodzi z czepkiem w ręku*). A, panowie tutaj? — a dziadunio nic jeszcze o tem nie wie. Pójdę go zawiadomić.

Wistowski. O, niech się pani nie fatyguje, my poczekamy. Skorzystamy tymczasem z miłego pani towarzystwa. (*Podaje krzesło*). Służę pani.

Wanda (*siadając*). Jeśli tylko panowie nie znudzą się ze mną.

Wistowski. To my raczej powinniśmy się obawiać... (*Kończy frazes pocichu, nachylając się ku niej*).

Pagatowicz (*n. s.*). Co to znaczy wprawa! Idzie mu jak po maśle. Jabym tak, przyznam się, nie potrafił.

Wistowski. Panie wolą zawsze młodszych.

Wanda. Jak do młodych, — bo dzisiejsi młodzi panowie niezawsze zabawni.

Wistowski. To pani masz zupełną rację. Co to za młodzież dzisiaj! Czy to można nawet nazwać młodzieżą?

Wanda. Jakie to wszystko skrzywione, znudzone! Pozują na sensatów, a wygodnisie, aż brzydko patrzeć.

Wistowski. Za moich czasów, to była młodzież, proszę widzieć: wesoła, grzeczna, ochocza; niechby jej na

---

[1] *lupus in fabula* (łac.) — »o wilku mowa, a wilk tu«.

grzebieniu zagrał, to już gotowa do tańca, — a od panien toby jej kijem nie odpędził.

Wanda. A dziś młodzi panowie, ledwie odtańczą z pannami tych kilka tańców jakby za pańszczyznę, zaraz na papierosy uciekają, — bo im to lepiej smakuje.

Wistowski (*przysuwając się do niej*). A co to przedtem grymasów, zanim taki jeden drugi młodzik raczy zaszczycić wieczór swoją obecnością! Nie pójdzie na zabawę, dopóki mu gospodarz wizyty nie złoży podług wszelkich form. Potem jeszcze chce wiedzieć, jaka będzie muzyka, jaka posadzka, jaka kolacja, ile posażnych panien...

Wanda. O, już co do zabawy, niema jak starsi panowie! Toteż my na pensji, u naszej *madame*, jak tylko był jaki wieczorek, tośmy zawsze wolały jak było kilku starszych panów, bo ci dopiero umieli zabawę ożywić i wszystkich rozruszać.

Wistowski. Prawda, pani, — takie stare zuchy, jak my, to najlepsi...

Wanda. Przecież pan do starych liczyć się jeszcze nie możesz. Kto tak dobrze wygląda, jak pan, tańczy z takiem życiem...

Wistowski (*wstaje*). Tak, niechwalący się trzymam się jeszcze ostro, ale latka są — o, są!

Wanda. Ile też naprzykład?

Wistowski. No, niech pani zgadnie.

Wanda. Czy ja wiem? Może czterdzieści...

Pagatowicz (*zgorszony, n. s.*). E! już mu kadzić zaczyna.

Wistowski (*uśmiecha się zadowolony*).

Wanda. Cóż, zgadłam?

Wistowski. Dołóż pani jeszcze dobrą porcję.

Wanda. Więcej?

Wistowski. I grubo więcej: pięćdziesiątka z okładem. Tak, tak!

Wanda. Nigdybym tego nie była powiedziała. Pokazuje się, że lata nic nie znaczą.

Wistowski. Masz pani rację. Dotąd człowiek młody, póki zdrów, silny, póki ma serce wrażliwe na wszystko co piękne...

Pagatowicz (*n. s.*). A!... tu się już na dobre zaczyna. Nie przeszkadzajmy! Ten pan Henryk przepadł z kretesem. (*Wychodzi na prawo*).

Wanda. Czemu pan nie siada?

Wistowski. Czy pani pozwoli tu, przy sobie?

Wanda (*robiąc mu miejsce na kanapie*). Bardzo proszę. Pan się nie pogniewa, że będę przy panu kończyć ten czepek dla babci.

Wistowski. Owszem, proszę o to.

Wanda. Chcę go jej skończyć na dziś wieczór. Uważa pan — tu się da ryżkę,[1] — po boku liljowe wstążeczki, bo babci w tym kolorze bardzo do twarzy — a tu kokarda. Będzie bardzo dobrze. (*Ogląda się*). Żeby tylko było na czem upiąć, ułożyć... Babcia tu dawniej miała taką głowę. (*Wstaje*).

Wistowski. Poco pani masz szukać innej głowy, gdy masz moją?

Wanda. Panbyś pozwolił? Ależ...

Wistowski. Bardzo panią o to proszę... Rozrządzaj pani moją głową podług upodobania.

Wanda. Czy jabym śmiała tak trudzić pana...

Wistowski. Nie zapominaj pani, że należę do starej gwardji, która umiała być grzeczną dla dam. Oddaję całkiem moją głowę pod pani rozkazy.

Wanda. Ale pan taki wysoki...

Wistowski (*klękając*) Wnet się zniżę do stopek pani...

Wanda. Ależ panie! — ja nie mogę na to pozwolić.

Wistowski. Ja, pani, przyzwyczajony na kolanach przed płcią piękną.

Wanda. Ha, skoro pan taki grzeczny... (*Wkłada mu czepek*). Jak panu do twarzy w lilla kolorze!

---

[1] *ryżka*, ryszka (franc. *ruche*) — przybranie z wstążki lub koronki.

Wistowski. Z ustek pani ta pochwała ma dla mnie wielką wartość.
Wanda. Proszę się nie ruszać! Muszę panu zgóry zapowiedzieć, że to potrwa dłuższy czas.
Wistowski. Choćby jak najdłużej!
Wanda. Czy pan bardzo cierpliwy?
Wistowski. Jak baranek.
Wanda. Będę pana bawić rozmową, żeby się panu nie znudziło... O czem myśmy to mówili?
Wistowski. Że serce...
Wanda. O, kiedy się pan rusza!...
Wistowski. Już nie będę się ruszał. (*Spuszcza głowę*). Tak, pani, — dopóki mężczyzna czuje w piersiach młode serce, które umie kochać...
Wanda. (*zrywa się*). Ach!
Wistowski. Co takiego?
Wanda. Poruszyłeś się pan znowu, i ukłułam się w palec.
Wistowski. Gdzie? gdzie? (*Bierze ją za rękę*). O! biedny paluszek! (*Chce pocałować*).

SCENA X

CIŻ i HENRYK

Henryk (*wchodzi żywo*). Ach, stryju najdroższy!
Wanda. Ach! (*Zrywa się i ucieka na prawo*).
Wistowski (*zły, zażenowany, wstaje*). A ty skąd się tu wziąłeś?
Henryk. Prosto ze Lwowa. Byłem w mieszkaniu stryja; powiedziano mi, że stryj tutaj, i przyszedłem.
Wistowski (*kwaśno*). Cóż tak pilnego?
Henryk. Chciałem ci, kochany stryju, co prędzej podziękować za twój ostatni list.
Wistowski (*n. s.*). To się w porę wybrał!
Henryk. Pozwól kochany stryju (*chce go uściskać*) podziękować ci...
Wistowski. To była tylko propozycja, życzenie.

Henryk. Życzenie stryja jest dla mnie rozkazem, do którego nie omieszkam co prędzej się zastosować.

Wistowski. Niema nic pilnego, nie potrzebujesz się wcale śpieszyć.

Henryk. Rannego wstania i wczesnego ożenienia... Stryj wie, jak mówi przysłowie. Więc pozwól kochany stryju... (*Chce go uściskać*).

Wistowski (*wstrzymuje go, chłodno*). Zrobiłem wprawdzie tę obietnicę, ale z zastrzeżeniem, jeżeli wybierzesz sobie żonę...

Henryk. Podług twego gustu, — to się rozumie. Wybiorę sobie taką, która ręczę, że ci się spodoba. Więc pozwól kochany stryju... (*Idzie ku niemu*).

Wistowski (*zniecierpliwiony*). Ale dajżeż mi święty spokój z tem twojem: pozwól i pozwól! Nie pozwalam na nic, bo nie masz mi jeszcze za co dziękować i niepotrzebnie wpadłeś tu z tem jak bomba do obcego domu, gdzie cię nikt nie zna.

Henryk. Spodziewam się, że mnie stryj przedstawi tak dobrym — jak mi mówiono — znajomym swoim.

Wistowski. Innym razem, — teraz właśnie byłem na wychodnem. (*Bierze kapelusz*).

Henryk (*ze śmiechem*). Jakto? W tym czepku?

Wistowski (*n. s.*). A bodajcie! (*Zrzuca czepek z gniewem*). No, chodźmy!

SCENA XI

CIŻ, ONUFRY, DOROTA, WANDA

Onufry. Synowiec jego, mówisz? Brawo! (*Do Henryka*) To pewnie pan, — właśnie moja wnuczka mi powiedziała.

Wistowski (*niechętnie przedstawiając*). Mój synowiec.

Dorota (*kłaniając się*). Bardzo nam miło.

Onufry. Nigdy nam pan nie wspominałeś, że masz takiego szykownego synowca.

Wistowski. Przybył do mnie w interesie, dlatego państwo darują... Henryku!

Onufry. Jakto? Chcesz pan odchodzić?... I do tego chłopca nam zabierasz?

Wistowski. Interesa...

Onufry. O, nic z tego! Interesa nie uciekną.

Wistowski. Musimy koniecznie...

Onufry. Ale co tam długo gadać! (*Zamyka drzwi*). Aresztujemy was, i kwita. Wandziu, oddaję ci więźniów pod twoją komendę.

Wanda (*do Wistowskiego, z uśmiechem*). Poddajesz się pan?

Wistowski. Przed panią kapituluję z ochotą.

Onufry. Otóż tak to lubię!

Zasłona spada

AKT TRZECI

Pokój ten sam.

SCENA I

DOROTA siedzi, FILIP stoi przy oknie. Później ONUFRY

Dorota (*do Filipa*). Cóż? nie widać jeszcze pana?

Filip. Ani słychu, proszę pani.

Dorota. Co to jest? Już blisko trzecia. Niech Walentowa ma dla pana obiad na blasze, bo zapewne lada chwila nadejdzie. (*Filip odchodzi*). Coś się stać musiało, bo przecież od czterdziestu lat, jak żyjemy z sobą, nie zrobił mi jeszcze tego, żeby nie przyjść na obiad... (*Spostrzega wchodzącego*). Nufciu, bój się Boga, gdzie ty tak długo siedzisz? Ja czekam i czekam...

Onufry (*w różowym humorze, całuje ją w rękę*). Dorciu kochana, nie gniewaj się duszyczko! Troszeczkę się zaawanturowałem; byłem — jak się nazywa — na śniadanku (*do ucha*) i ululaliśmy się troszeczkę; niewiele — ale troszeczkę; i to szampitrem, jak cię kocham!

Dorota. Ej, stary, psujesz mi się! Po śniadankach już zaczynasz się włóczyć.

Onufry. Raz w kilka czas, Dorciu kochana!

Dorota. A tu Walentowa przysuwa, odsuwa obiad; będziesz jadł teraz wysuszone, przypalone...

Onufry. Dziękuję ci, duszyczko, za obiad. Ja objedzony i opity, że strach! Śniadanko było co się zowie. Zgadnij, co jadłem?

Dorota. Czy ja wiem.
Onufry. No? no?...
Dorota (*myśli; po chwili*). E, daj mi pokój!
Onufry No, duszyczko, jak mnie kochasz, zgadnij! — No? Coś, co ja bardzo lubię...
Dorota. Czy ja wiem? Może zrazy nelsońskie?
Onufry. A jak cię kocham, — jakbyś tam była, — rzeczywiście, zrazy nelsońskie ale jakie! fiu-fiu! — z truflami, z garnirunkiem, z historjami, — powiadam ci, pyszności! przeparadne! Potem były kuropatwy, przeróżne sery, owoce — słowem, królewskie śniadanie. I to wszystko, wystaw sobie, kosztem Wistowskiego.
Dorota. O! Skądże jemu się to wzięło?
Onufry (*pod sekretem*). Z okazji naszej Wandy.
Dorota. Nic nie rozumiem.
Onufry. Oświadczył się o nią!
Dorota. E!
Onufry. Jak cię kocham!
Dorota. W imię Ojca... Cóż się znowu staremu zachciewa!
Onufry. Moja Dorciu! najprzód młodszy o wiele odemnie.
Dorota. To także porównanie! Co ja, to nie Wanda.
Onufry. Ależ Dorciu, uważ sobie: Wistowski gruba ryba... Dwie wsie i kamienica w mieście...
Dorota. To cóż z tego! Jak go Wanda nie zechce, przecież gwałtem jej nie wydamy.
Onufry. Uchowaj Boże! Ale, widzisz, mnie się wszystko zdaje, że ona nie będzie od tego. Uważałem, że Wistowski od pierwszej chwili przypadł jej do gustu. Ciągle nim tylko zajęta, taka uprzedzająco grzeczna... Wczoraj naprzykład cały wieczór tylko się z nim bawiła.
Dorota. To prawda, — choć miała młodszego, tego jakiegoś tam bratanka.
Onufry. A widzisz! Dziewczyna ma rozum, ho, ho!...
Dorota. Ha, gdyby taka była wola Boska... (*Siada*).

Onufry (*siadając przy niej*). To byłoby bardzo dobrze, — nieprawda? Nie potrzebowalibyśmy się z Wandzią rozłączać, byłaby bliziutko nas.

Dorota. Prawie jak w domu.

Onufry. Wychowywalibyśmy sobie ich dzieci...

Dorota. Jeżeli będą.

Onufry. Ale będą z pewnością! Cóż ty sobie myślisz? Wistowski chłop nie od parady. (*Przysuwa się do niej i trąca łokciem*). Prawnuczęta!... — słyszysz matka? Coby to była za radość doczekać się prawnuka. O, bo koniecznie musi być chłopiec!

Dorota. Mój Nufciu, co Pan Bóg da...

Onufry. O, nie, nie! chłopiec koniecznie — zgóry to zapowiem Wistowskiemu, że chcę koniecznie chłopca. Wykierujemy go potem na jakiego wielkiego inżyniera.

Dorota. To przecież już lepiej na doktora.

Onufry. E! doktorów teraz na kopy.

Dorota. Niech sobie będzie; zawsze co doktor, to doktor.

Onufry. Wielki mi honor, całe życie tylko pulsa macać i języki oglądać! gdy tymczasem inżynier... Toż to oni teraz panami świata; robią z tą biedną ziemią naszą, co im się żywnie podoba, — morza sobie przenoszą jak nigdy nic, góry przebijają — no i róbże im tu co! Mocarze, panie — jak Boga kocham, mocarze! A nuż też nasz prawnuczek zostanie dyrektorem kolei, albo żeglugi balonowej, bo kto wie, co oni do tego czasu wymyślą.

Dorota. Gadaj sobie ty co chcesz, ja tam na żadnego inżyniera nie przystaję. Będzie doktor, i koniec!

Onufry. Prędzej mi tu włosy wyrosną! Będzie inżynierem, żeby tam niewiedzieć co...

Dorota. Nie będzie!

Onufry. Będzie.

Dorota. Przecież to nie ty rozstrzygać będziesz, tylko Wandzia, a ona z pewnością będzie za doktorem.

Onufry. Kto? Wandzia? Jabym przysiągł na niewiedzieć co, że za inżynierem.

Dorota. A ja ci mówię, że nie.
Onufry. A ja ci mówię, że tak.
Dorota. Nie, nie!
Onufry. Tak, — tak, — tak!

SCENA II

CIŻ, WANDA

Wanda. O cóż to taka żarliwa sprzeczka?
Onufry. Otóż i Wanda (*Bierze ją za rękę*). No, powiedz sama, cobyś wolała: czy żeby twój...
Dorota. Nufciu!
Onufry (*n. s.*). A tobym był palnął głupstwo! Przed panną przecież nie można!
Wanda. O cóż chodzi?
Onufry. E, nic, nic! — Takeśmy z babcią trochę się zagalopowali.
Wanda. Z czem?
Dorota. E, to ciebie nie obchodzi. Dziadek, zwyczajnie, bredził.
Onufry. Moja Dorciu, bardzo proszę!
Wanda. Jak widzę, to państwo dziadziowie mają jakieś tajemnice przedemną.
Dorota. Ale żadne tajemnice...
Wanda. Przysięgłabym, żeście tu coś o mnie mówili.
Dorota. Ale gdzież tam!
Wanda. No, niech mi babcia spojrzy w oczy. — A co? Nie mówiłam?
Dorota. No, mówiliśmy o—o... o twojej przyszłości.
Onufry. A prawda! *à propos* przyszłości! Chodźno tu Wandziu, siadaj!
Wanda (*wesoło*). O! coś będzie bardzo poważnego, bo dziadek ma taką oficjalną minę.
Onufry. No, tylko bez tych żartów!
Wanda. Będę okrutnie poważną. No? Słucham.
Onufry. E! kiedy mnie całkiem zbiła z tropu temi błazeńskiemi minami.

Dorota. Kiedy ty, Nufciu, za wiele robisz ceregieli! (*Przysiada się do Wandy*). Widzisz, idzie tu o to...

Onufry (*żywo*). Chcesz iść zamąż, czy nie chcesz?

Wanda. To zależy od tego, za kogo?

Dorota i **Onufry** (*razem*). Za Wistowskiego.

Wanda (*ucieszona*). Więc oświadczył się już?

Onufry. Dzisiaj właśnie. No i cóż ty na to?

Wanda. Jeżeli dziadkowie sobie tego życzą, to ja najchętniej...

Onufry. A co? Widzisz, matka? nie mówiłem? Ona na to, jak na lato.

Dorota. Chwała Bogu! To już widocznie przeznaczenie.

Onufry. No, więc rzecz załatwiona; niema już o czem mówić. On tu sam niezadługo przyjdzie, to sobie dopowiecie resztę. A teraz dajcie mi się trochę przedrzemnąć, bo ten szampiter strasznie jakoś mnie rozebrał. Dorciu, a może i ty małego szlumerka?[1] — ta to nasza godzina.

Dorota. Choć oko zmrużę na chwilę, bobym potem cały wieczór była jak nieswoja.

Onufry. Przeproś tu twojego Wistowskiego za nas. Myślę, że nie będzie się bardzo gniewał, że was samych zostawiamy. Oj, ty, ty, bałamutko!

Dorota. Mój robaczek złoty! (*Całuje ją*).

Onufry. No, matka!

Dorota. Idę, idę! (*Całuje raz jeszcze Wandę. Odchodzą*).

Wanda. Więc Henryk oświadczył się... A nic mi wczoraj o tem nie mówił! Przecież powinien był chociaż dla formy zapytać się, czy pozwalam! Ci mężczyźni, jak się tylko dowiedzą, że są kochani, to im się już zdaje, że mogą z nami robić wszystko, co im się podoba. O, nic z tego! Trzeba będzie krótko wziąć panicza, boby potem zanadto sobie pozwalał. (*Siada. Po chwili*) Toż to Helenka się zdziwi, jak się dowie, że już po wszystkiem!

---

[1] *szlumerek* (z niem. *Schlummer*) — drzemka.

SCENA III.

WANDA, HENRYK

Henryk (*wchodzi*). Czy wolno?

Wanda (*udaje zadąsaną*). O! — teraz to się pyta! A o co innego się pan nie pytał, czy wolno.

Henryk (*zdziwiony*). O co innego?...

Wanda. Jakto udaje, jakby o niczem nie wiedział! Dziadek mi już powiedział...

Henryk. Co takiego?

Wanda. Ach! co to za obłudni ci mężczyźni! Toś pan już zapomniał, o czem mówiłeś dzisiaj z moim dziadkiem?

Henryk. Kiedy ja dziadka pani dzisiaj na oczy nie widziałem!

Wanda. Przecież dziadek mówił mi najwyraźniej, żeś się pan o mnie oświadczył.

Henryk. Mówił, że ja?

Wanda. No tak, — Wistowski.

Henryk. A tak, Wistowski; ale nie ja, tylko mój stryj...

Wanda (*oburzona*). Co?!

Henryk. Właśnie dlatego tu przyszedłem, bo dziś powiedziano mi, że stryj się żeni. Nie wiedziałem tylko z kim, ale z tego, co mi pani mówisz, widzę, że chce z panią.

Wanda. Cóż ten stary sobie myśli, że jabym poszła za niego? Za nic w świecie! Wolę iść do klasztoru! Niech mi się tylko ośmieli wspomnieć o tem, to mu nagadam takich impertynencyj...

Henryk. Że pogniewa się na panią, a wtedy z naszego małżeństwa nic.

Wanda. Prawda, że to od niego zależy! Boże, Boże! co tu robić? (*Chodzi*). No radźże pan co przecież! — od czegożeś pan mężczyzną? Panu przecież także o to chodzić powinno, żebym nie została pańską stryjenką!

Henryk. O to niema obawy, bo przecież dziadkowie pani nie zmuszą do małżeństwa.
Wanda. Spodziewam się.
Henryk. Idzie więc tylko o to, jak wyperswadować stryjowi ten niedorzeczny zamiar. Trzebaby to tak delikatnie zrobić, żeby go nie obrazić i skłonić wkońcu, aby nam dał swoje zezwolenie.
Wanda. Ale jak to zrobić?
Henryk (*po chwili, chodząc w zamyśleniu*). Mam! Doskonała rzecz!
Wanda. Co takiego?
Henryk. Stryj przecież pisał do mnie...
Wanda. Ktoś idzie!
Henryk. Może to on?
Wanda. Uciekajmy!
Henryk. Ale gdzie?
Wanda. (*wskazując na lewo*). Tam, do mego pokoju. Chodźmy!
Henryk. Opowiem pani mój plan.

(*Odchodzą na lewo*)

SCENA IV

PAGATOWICZ, później WISTOWSKI

Pagatowicz. No, mam doskonały sposób na Burczyńskiego. (*Wydobywa papiery*). Zrobiłem formalny zapis całego mego majątku na rzecz Helenki. To starego powinno przekonać, że nie rachuję wcale na jego majątek i że żenię się li tylko z czystej miłości. (*Do wchodzącego Wistowskiego*) A, i pan ciągnie tutaj? Brawo! brawo!
Wistowski (*wchodzi, staranniej ubrany*). No i cóż pan na to, panie Pagatowicz? — wstępuję w pańskie ślady.
Pagatowicz. Słyszałem, słyszałem, i winszuję. (*Podaje mu rękę*). *Socius doloris* [1] — chciałem powiedzieć: *amoris.*

[1] *Socius doloris* (*amoris*) — towarzysz niedoli (miłości),

Wistowski (*rozsiadając się wygodniej*). Przyznam się panu, że z początku nie miałem wcale tego zamiaru, ale poznawszy lepiej pannę, zdecydowałem się stanowczo... To fenomen panna!

Pagatowicz (*zażywa tabakę, ucieszony*). Tak samo jak moja Helenka.

Wistowski. Bo choć młoda, ale nad wiek rozsądna.

Pagatowicz (*więcej do siebie*). Do tego prosto z pensji, to wiele znaczy.

Wistowski (*chodząc zadowolony*). Tak, — da się łatwo pokierować. A jak gra w karty, to satysfakcja prawdziwa!

Pagatowicz. Prawda, nie pytałem się jeszcze Helenki, czy ona także grywa.

Wistowski. A powinieneś ją pan koniecznie nauczyć. Co to za przyjemność mieć partnera w domu pod ręką, na zawołanie. Nieraz paskuda, zadymka, że psabyś nie wygonił, a człowiek musiał wyjść, żeby gdzie jako tako zabić wieczór. — A teraz, jak się będzie miało w domu młodą żonkę, ani się nie pomyśli o wychodzeniu. Ogień na kominku, herbatka, — partyjka, — coś, owoś... O, małżeństwo ma także swoje dobre strony!

Pagatowicz. A widzisz pan, na mojem stanęło!

Wistowski (*nuci półgłosem*):

Tam na polu zawierucha
Mokrym śniegiem dmie,
Na kominku ogień bucha...

Pagatowicz. A cóż kuzynek na to wszystko?

Wistowski. A cóż mnie to obchodzić może, co on powie? Byłbym chyba ostatnim głupcem, żebym, mogąc sam pracować dla utrzymania nazwiska Wistowskich, wyręczał się kim innym.

Pagatowicz. Nu, — a ta obietnica zapisu?

Wistowski. To mnie także do niczego nie obowiązuje. Obiecałem, że mu oddam majątek, jeżeli się ożeni z panną, która mnie się spodoba.

Pagatowicz. No tak.

Wistowski. A ja teraz ręczyć mogę za siebie, że mi się żadna nie spodoba.

Pagatowicz. A prawda; doskonała furtka!

Wistowski. Bliższa koszula ciała... panie Pagatowicz.

Pagatowicz. Tak! *Prima charitas ab ego*...[1]

Wistowski. A, otóż i panna Wanda! — Zmiłuj się pan, zostaw nas samych, bo chciałbym...

Pagatowicz. Niepotrzebnie się pan tłumaczysz. My zakochani rozumiemy się. (*Do siebie*) Pójdę i ja poszukać mojej śliczotki. (*Odchodzi na prawo*).

SCENA V

WISTOWSKI, WANDA wchodzi

Wistowski. O! cóż panna Wanda dziś taka zasępiona, smutna?

Wanda (*siada*). Czy to zawsze można być wesołą?

Wistowski (*siadając obok*). To prawda. Ale jeżeli kiedy, to dziś pragnąłbym panią widzieć weselszą.

Wanda. Dlaczegoż właśnie dzisiaj?

Wistowski. Bo to dla mnie dzień niezwykły, uroczysty.

Wanda. Może imieniny?

Wistowski. Stokroć więcej: dziś dzień mojego odrodzenia.

Wanda. Odrodzenia?

Wistowski (*wstaje*). Tak, pani! Ten dawny Wistowski już nie żyje... Umarł razem ze swojemi uprzedzeniami, przesądami, a narodził się zupełnie inny człowiek, który wierzy, kocha, żyje nadzieją i stworzył sobie cel życia... Słowem, stoi przed panią całkiem nowy człowiek.

Wanda. Bardzo mi miło poznać nowego pana Wistowskiego.

---

[1] *Prima charitas ab ego* (łac.) — Miłość własna przedewszystkiem.

Wistowski. Figlarka z pani; otóż tak to lubię. (*Bierze ją za rękę*), Ach, panno Wando, nie uwierzysz, jak pragnąłbym widzieć cię zawsze tak wesołą, uśmiechniętą, szczęśliwą...

Wanda. Cóż panu zależeć może na mojej wesołości?

Wistowski. Co zależy? Czyż Wistowski może być szczęśliwym, gdy pani jesteś smutną?

Wanda. Pan sobie chyba żartuje ze mnie.

Wistowski. Jak honor kocham, tak mówię szczerą prawdę. Pani mnie formalnie oczarowałaś, odmieniłaś do niepoznania (*czulej*), zachwyciłaś.

Wanda. Taka sobie zwyczajna istota jak ja?... Boże! Cóżby we mnie mogło podobać się komu...

Wistowski (*zapalając się*). Co? Wszystko! Przymioty ciała i duszy, jakiemi obdarzyła cię natura, muszą każdego oczarować, i trzebaby chyba nie mieć oczów, nie mieć rozumu, nie mieć serca, żeby się nie zachwycać panią. Ja nie wiem, komu byś się pani mogła nie spodobać!

Wanda (*patrząc ukradkiem na Henryka, wchodzącego pocichu*). Pierwszemu panu!

Wistowski. Mnie?! Przysięgam na honor, że żadna jeszcze kobieta tyle mi się nie podobała, co pani!

Wanda (*podaje mu rękę*). O, dziękuję panu za to zapewnienie!

SCENA VI

CIŻ i HENRYK

Henryk (*biorąc go za drugą rękę*). O, dzięki ci, stryju najdroższy!

Wistowski. Henryk?! — A ty za co mi dziękujesz?

Henryk. Za to, coś powiedział przed chwilą, że panna Wanda ci się podoba.

Wistowski (*rozgniewany*). Co się ty tu wtrącasz? Co ciebie to obchodzić może?

Henryk. I bardzo obchodzi, bo w takim razie nie będziesz miał nic przeciw memu małżeństwu.
Wistowski. Małżeństwu? Z kim?
Henryk. Z tu oto przytomną.
Wistowski. Zwarjowałeś?
Henryk. Dlatego, że kocham pannę Wandę?
Wistowski. No, formalny warjat! Panno Wando, powiedz sama: drugi raz zaledwo cię widzi...
Wanda (*spuszczając oczy*). Znamy się już od roku.
Wistowski. Co?... Gdzie?
Wanda. Na pensji; był przecież moim nauczycielem muzyki.
Wistowski. To panią ślicznie wyuczył!
Henryk. Mam słowo stryja... list...
Wanda. A mnie pan mówiłeś przed chwilą, że pragnąłbyś mnie widzieć szczęśliwą, — a będę nią w zupełności, jeżeli mi będzie wolno kochać pana jako stryja mego męża.
Wistowski (*do siebie*). Tak, »zamienił stryjek za siekierkę kijek!« — śliczna mi kondolencja![1]
Henryk (*biorąc go za rękę*). Stryju najdroższy!
Wanda. Jabym także rada powiedzieć: „Stryju najdroższy“, ale nie wiem, czy pan pozwolisz?
Wistowski. O! jaka to teraz trwożliwa! Trzeba było pierwej pytać się o pozwolenie. (*Patrzy jej w oczy i rozchmurza czoło*). Ty, ty, ty — bałamutko mała!
Wanda (*żywo, biorąc go za rękę*). Więc zezwalasz pan?
Wistowski. Ha, cóż mam robić, kiedyście mnie tak zręcznie podeszli.
Henryk. Stryju najdroższy! (*Całuje go w ramię*).
Wanda. Będziesz pan miał we mnie stałego partnera do wista.
Wistowski (*n. s.*). Wolałbym do marjasza,[2] — ale cóż robić!?

---

[1] *kondolencja* — tu w znaczeniu: pociecha.
[2] *marjasz* — nazwa gry w karty. Gra słów wedle franc. *mariage*: małżeństwo (marjaż) i gra karciana (marjasz).

SCENA VII

CIŻ. Wchodzą ONUFRY, DOROTA, PAGATOWICZ, FILIP

Onufry. No cóż? porozumieliście się już ze sobą?
Wanda (*tuląc się do Henryka*). Zupełnie!
Onufry. A to co znaczy? Panie Wistowski!
Wistowski. Co takiego?
Onufry. Przecież mnie pan dziś najwyraźniej prosiłeś o rękę Wandzi...
Wistowski. No tak, dla mego synowca...
Onufry. Dla synowca? A ja byłbym przysiągł... No patrzcie państwo, to ten szampiter tak mi zbałamucił głowę!
Wistowski. Tak — dla mego synowca i jedynego spadkobiercy mego.
Dorota (*n. s.*). Chwała Bogu! Zawsze co młodszy, to młodszy.
Filip. Jakto? To nasza panienka idzie zamąż.
Wanda. Może ci się to nie podoba, Filipie?
Filip. Ale gdzie zaś nie! Toż to będzie uciecha! (*Całuje w rękę Wandę, a potem wszystkich po kolei*).
Pagatowicz (*do Wistowskiego*). Jakże się to stało? Przecież mi pan najwyraźniej mówiłeś...
Wistowski. To się tylko tak mówiło. Pan wiesz dobrze, że ja nie byłem nigdy zwolennikiem małżeństwa!

SCENA VIII

CIŻ, HELENA

Helena (*wchodzi prędko*). Czy tu jest pan Pagatowicz?
Pagatowicz (*idąc do niej*). Jestem, jestem!
Helena. No, nareszcie ojciec pozwolił! Ach, nie uwierzysz pan, jak jestem szczęśliwa.
Pagatowicz (*z radością*). Pozwolił? Poczciwy ojczulek!

SCENA IX

CIŻ i BURCZYŃSKI

Pagatowicz. No, zmiękłeś nareszcie?

Burczyński. Ta cóż miałem robić? Dziewczyna mi beczy po kątach, chodzi od rana do wieczora z nosem na kwintę spuszczonym... Myślę sobie, pal was sześć, — dla miłego spokoju...

Pagatowicz. Nie pożałujesz tego. Zobaczysz!

Burczyński. Tylko pamiętaj, żebyś jej dogodził, żeby mi się potem znowu nie krzywiła.

Pagatowicz. Przecież mnie znasz nie od dzisiaj.

Burczyński. Wiem, wiem, że ty do babskich interesów jedyny. — Więc ile to tam łokci tego będzie potrzeba?

Pagatowicz (*osłupiały*). Łokci? Jakich łokci?

Burczyński. No, czy tam metrów, jak teraz mówicie.

Pagatowicz. Metrów? Panno Heleno!

Helena, Ja myślę, że trzydzieści powinno wystarczyć.

Burczyński. Co? co? Trzydzieści! Zwarjowałaś?

Helena. Przecież teraz tyle się bierze. Panie Pagatowicz, wytłumacz-że pan ojcu! Potrzeba przecie na tunikę, — ogon...

Burczyński. A tobie to naco?

Helena. Taka teraz moda.

Burczyński. Jechał was sęk z taką modą! Czy to słyszana rzecz, proszę państwa, żeby pannie w tych latach zachciewało się już w jedwabiach chodzić!

Pagatowicz (*do siebie*). Więc to jej się tego zachciewało?! — a ja osioł...

Wanda. Suknia jedwabna przyda się Helence na moje wesele.

Burczyński. Co?... co? Wesele?

Wanda (*przedstawiając Henryka*). To mój narzeczony.

Burczyński. W imię Ojca i Syna...

Onufry. Tak, tak! na poczekaniu sobie chłopca wytrzasnęła.

Burczyński (*do Heleny*). Masz na tę suknię i daj mi święty spokój; — żebyś mi się znowu czegoś więcej nie napierała (*Wyjmuje pugilares*).

Helena. Niech się tatuńcio nie boi, — ja poprzestanę na sukni.

Wistowski (*do Pagatowicza*). Panie Pagatowicz, przyjdźże pan do siebie, nie kompromituj się! Powinieneś pan być kontent, żeś uratował swoje kawalerstwo.

Pagatowicz. A mówiłeś pan, że one mają taki apetyt na grube ryby...

Wistowski. Pokazuje się, że nie wszystkie; niema reguły bez wyjątku.

Helena. Panie Pagatowicz, oto pieniądze, próbka. Teraz już pan możesz jechać.

Onufry (*patrząc na Pagatowicza*). A tobie co? Pagatosiu! Co ci się stało?

Wistowski. Nic, nic, — to katar żołądka.

Onufry. Morison, — niema jak morison na takie rzeczy!

Zasłona spada

Krasińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
Słowackiego POWIESCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
Goszczyńskiego KROL ZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 56)
Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
SREDNIOWIECZNA PIESN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
Anczyca KOSCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
TOWARZYSTWO FILOMATOW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 79)
Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIOWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

URODZONY JAN DĘBORÓG

NASZA BIBLJOTEKA
Nr 2

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

URODZONY JAN DĘBORÓG

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH
1925

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

URODZONY JAN DĘBORÓG



LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1925

TEKST OPRACOWAŁ I OBJAŚNIENIAMI ZAOPATRZYŁ

Dr. ZDZISŁAW ŻYGULSKI

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem A. Wierzbickiego.

WSTĘP.

Ludwik Władysław Kondratowicz *(1823—1862), piszący pod pseudonimem* ***Władysława Syrokomli****, urodził się w Smolkowie, pow. słuckim na Polesiu. Ojciec jego był niezamożnym dzierżawcą.*

Do szkół uczęszczał poeta w Nieświeżu i Nowogródku, szkoły średniej jednak nie ukończył. Od r. 1842 pracował jako urzędnik w dobrach ks. Radziwiłłów w Nieświeżu, następnie dzierżawił folwark Załucze; żył tutaj oddany poezji oraz pracy na roli. Ostatnie lata życia spędził w Borejkowszczyźnie w pobliżu Wilna, na innej dzierżawie. Obznajomiony doskonale z żywemi jeszcze wówczas dziejami epoki szlacheckiej, tworzył swe opowieści i gawędy na tle tych minionych niedawno czasów. Prostota stylu, głębokie przywiązanie do tradycji narodowej i wielka znajomość opisywanych ludzi i stosunków stawiają go obok najwybitniejszych naszych gawędziarzy, W. Pola, Henr. Rzewuskiego i Ign. Chodźki. Z licznych jego utworów zasługują na uwagę: ***„Córka Piastów“*** *(1855),* ***„Janko cmentarnik“*** *(1856),* ***„Stare wrota“*** *(1857),* ***„Ułas“*** *(1857).*

Najbardziej znaną jest jednak gawęda ***„Urodzony Jan Dęboróg"****, kreśląca barwnie młodość bohatera i dzieje długiego, szczęśliwie zakończonego sporu, między dwiema szlacheckiemi rodzinami. Uzupełnieniem tej opowieści jest druga gawęda o Dęborogu p. t.* ***„Czasy szkolne Jana Dęboroga"*****.**

PRZEDŚPIEWEK
DO
LITEWSKIEGO CZYTELNIKA.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta![1])
Niepokaźne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak, jak u Auzończów[2]) i Helwetów[3]), słyszę:
Gdzie pola, jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich[4]) wyższe tysiąc razy
Takie cudne co chwila stawią krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady[5]) i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta[6]).
Ty nie dojdziesz tej sławy, Litwo rodowita![7])
Twoja ziemia posępna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch napokaz nie powieść w obrazku;

---

[1]) Pokryta.
[2]) Starożytnych Italów.
[3]) Szwajcarów. — Dzisiejszą Szwajcarję zamieszkiwał w starożytności lud Helwetów. — Walki Rzymian z nimi opisuje Juljusz Cezar w I księdze swych „Pamiętników o wojnie gallickiej“.
[4]) Ponary = dość znaczne wzgórza w pobliżu Wilna.
[5]) Kaskada (włosk. *cascata*) oznacza zwykle sztuczny wodospad.
[6]) W postaci malowanych krajobrazów.
[7]) Ojczysta.

Nie spada w katarakty[1]) twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina,
Z nieociosanych berwion[2]) klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy[3]).
A jednak, do twej treści[4]) zajrzawszy głęboko,
Litwo, tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska[5]) fregata;[6])
Siermiężny[7]) syn twych wiosek poto ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknej Europie;[8])
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twem żytem,
Ani Turków pod Wiedniem[9]), ni skał pod Madrytem[10]).

Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Niestraszny dla żeglarza i spokojny niby,
Pozwala siebie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą,
Nie stawi groźno czoła, nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O, nie wierz tej pokorze — i patrz, kiedy łaska,

---

[1]) Nie tworzy katarakt, t. j. wodospadów.

[2]) Belek.

[3]) O ludziach niewykształconych i nieporadnych mówimy, że i „do trzech zliczyć nie umieją“.

[4]) Istoty.

[5]) Angielska.

[6]) Rodzaj okrętu wojennego. — Drzewo z Litwy wysyłano do Anglji, ubogiej w lasy. Dzieje się to i dziś jeszcze.

[7]) Siermięga, odzież wierzchnia, noszona przez wieśniaków. „Siermiężny syn twych wiosek“ — wieśniak.

[8]) Polska i Litwa dostarczały zagranicy obficie zboża. Spławiano je Wisłą i Niemnem.

[9]) W r. 1683 za króla Jana Sobieskiego.

[10]) Za Napoleona w r. 1808, gdy polscy szwoleżerzy zbobyli wąwóz Somo-Sierra.

Gdy się na wiosnę wzburzy i lód poroztrzaska;
Biada! Ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,
Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina.
Ot tak samo, jak Niemen, i serce Litwina;
Tu, gdzie niebo posępne, gdzie chłodnawe klima[1]),
Zda się, żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się, ludzie drzymali[2]), a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie,
Tak Litwin niepoczesny[3]) tak zwiesił coś głowę.
Ho, ho! Zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,
I co mędrzec zapisał, i co prządka[4]) gwarzy,
A poznasz, jak na zimnej i spokojnej twarzy
Odkryć gorącej myśli tajemnicze piętno[5]).

O, i poważna Litwa umie być namiętną:
Tutaj chrobrym[6]) zapałem pierś męża oddycha,
Tutaj miłość dziewicza gorąca, choć cicha,
Tutaj znać burze życia na obliczu starem.
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem lub z puharem,
To rąbiąc się wzajemnie, jak rozkażą starszy,
To wiodąc w gronie dziatwy żywot patryjarszy,[7])
To w modlitwie, to doma, to między cudzemi,
Ruchawe[8]) pędził chwile mieszkaniec tej ziemi.

---

[1]) Dawniejsza forma zam. dzisiejszego: klimat.
[2]) Dziś mówimy: drzemali.
[3]) Niepokaźny, skromny.
[4]) Kobieta, która przędzie, a przytem opowiada różne historje.
[5]) Znak wyciśnięty.
[6]) Mężnym.
[7]) Patrjarchami zwali się u Żydów praojcowie rodu ludzkiego, tudzież narodu izraelskiego. — Wogóle nazwa „patrjarcha“ oznacza ludzi sędziwych a poważnych.
[8]) Ruchliwe.

A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta.
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub tchnący swawolą...
Niekiedy taki śmieszny, że aż boki bolą.
A pamiątkę tych przygód, co krok, to znachodzę!
Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów[1]) na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzień zapomina,
Albo widząc, nie widzi, a słysząc, nie słucha,
Kto rodzimem powietrzem nie napoił ducha?!
Ej, bolešno, bolešno![2]) — Czemużto, mój Boże,
Lirników i gęślarzów[3]) miało Zaporoże?[4])
Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy,
Jak bardy kaledońscy[5]), jak greccy żebracy[6]),
Co to każdą pamiątkę w rodzinnym zakresie
Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?
Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym:
My domowe pamiątki kamieniami znaczym.
Co ten kamień? Zaginie, jako ziemia marna,
Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,[7])
A podanie zginęło. Ejże, jako żywo!

---

[1]) Odłamów, gruzów.

[2]) Zam. boleśnie.

[3]) Muzyków, grających na gęśli.

[4]) Zaporoże, część Ukrainy za porohami Dniepru, zamieszkała przez kozaków t. zw. zaporoskich. Tam to znajdowała się głośna Sicz. — Kozacy zaporoscy słynęli jako pieśniarze.

[5]) Bardowie byli to śpiewacy u starożytnych Celtów. Ludy celtyckie zamieszkiwały zachodnią część Europy, dzisiejszą Hiszpanję, Francję, Belgję i Anglję. Pozostały z nich obecnie tylko resztki, np. Baskowie (w Pirenejach) i Irlandczycy. — Kaledonją nazywali Rzymianie dzisiejszą Szkocję.

[6]) Autor ma tu na myśli wędrownych śpiewaków greckich, t. zw. rapsodów.

[7]) Młyn ręczny do mielenia ziarna.

Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo,
Opiewać nasze krzyże, kurhany[1]) i groby,
Od czasów Mendogowych[2]) do dzisiejszej doby,
Od baszty w Krewskim[3]) zamku, gdzie legł Kiejstut
[stary,[4])
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci[5]) lub Szczary,[6])
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.
Ej, każda taka powieść dla piewcy[7]) ciekawa!
Z każdej ludziom nauka, płacz, albo zabawa;
A pamiątka i pieśnia,[8]) przywiązana do niej,
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

* * *

Otoż podanie z jednej litewskiej mogiły
Składam dzisiaj w twe ręce, czytelniku miły.
Choć kształtem rymowanym[9]) oblokłem to dzieło,
Nic się gwoli końcowi[10]) prawdzie nie ujęło.
Prawdziwa, w rymotwórcze koncepta uboga,
Powieść urodzonego[11]) Jana Dęboroga:
O rotmistrzu pancernym i jego mogile,
I jako się upiorem błąkał przez lat tyle,

---

[1]) Mogiły wysoko usypane, częste zwłaszcza na Ukrainie.

[2]) Mendog (Mindowe) wybitny książę, a później nawet król litewski; żył w XIII wieku.

[3]) Krewo, w powiecie oszmiańskim na Litwie.

[4]) Kiejstut, stryj Jagiełły, ojciec Witołda. Po długich walkach uwięziony przez Jagiełłę w zamku krewskim, zginął tamże w r. 1382.

[5]) Prypeć, duża rzeka, przepływająca błotniste obszary na Polesiu. Uchodzi do Dniepru.

[6]) Szczara, dopływ Niemna z lewego brzegu.

[7]) Śpiewaka.

[8]) „Pieśnia", dawniejsza forma — dzisiejszego „pieśń".

[9]) Wierszem.

[10]) Dla rymu, zakończenia wiersza.

[11]) „Urodzony" = szlachcic.

O starym Dęborogów z Brochwiczami sporze
I o zgodzie serdecznej, o definitorze,[1])
O świętych jego cnotach, nauce i pracy —
(Czemuż częściej kapłani nie bywają tacy?)
Słowem, całą gawędę[2]) z upłynionej chwili,
Jako niżej ujrzycie, czytelnicy mili,
Powiadał mi obszernie i w niedawnym czasie
Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie[3])
Poznałem go raz pierwszy; — zda się, człek statysta,[4])
Z oczu widać szlachetność, mina zawiesista,[5])
A dziś już obywatel, małżonek i ociec.[6])
Ale czy prawdę mówił — skąd ja mogę dociec?
Więc, nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,
Żem coś zmyślił, lub dodał w powieści osnowę,[7])
A pragnąc w całym kształcie oddać tę gawędę,
Własnemi jego słowy opowiadać będę.

---

[1]) Definitor, radca zakonny, przełożony mniejszych okręgów klasztornych, tzw. definicji, zarazem pomocnik prowincjała.

[2]) Gawęda, rodzaj powieści, w swobodnym stylu pisanej, a zaczerpniętej zwykle z życia dawnej szlachty polskiej.

[3]) Odpoczynek w karczmie przydrożnej, gdzie karmiono (popasano) konie.

[4]) Mąż stanu, polityk.

[5]) Gęsta, poważna.

[6]) Ociec, dawniej często używana forma zam. ojciec.

[7]) Treść dzieła.

URODZONY
JAN DĘBORÓG.

Gawęda szlachecka.

I.

Pod niegminną[1]) i niepodłą[2])
Urodziliśmy się gwiazdą:
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców, w naszym rodzie
Zawsze były łaski Boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,[3])
Krzywo pisze,[4]) prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców[5]),
Lasy pali,[6]) Boga chwali
I hoduje walnych[7]) chłopców.
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
Pełno główek, jak makówek;[8])
Znają ludzie każdą głowę,

---

[1]) Nie chłopską.
[2]) Nie lichą.
[3]) Zamożna.
[4]) Gdyż jest niezbyt uczona.
[5]) Granicznych.
[6]) Wypala w lasach węgiel i smołę.
[7]) Tęgich.
[8]) Tyle ich jest, ile główek maku.

I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,
Kiedy wszystko powiatowe?[1])
Każdy urząd, chociaż ludzki,
Ani grzmiący, ani groźny,
Rotmistrz[2]) lidzki[3]) lub oboźny,[4])
Albo cześnik[5]) nowogródzki.
Herb się naszej parenteli[6])
Ani razu nie doporał,[7])
By po mieczu[8]) lub kądzieli[9])
Wziął buławę[10]) lub pastorał,[11])
Albo mitrę;[12]) naszej tarczy
Taki *luxus*[13]) nie obarczy.
Prosto sobie herb dziadowski,
Przy nim sztandar i armata,
Hełm lub czapeczka rogata,
Albo biret proboszczowski,
Ot i basta. —
Protoplasta,[14])

---

[1]) Urzędy powiatowe były najniższe i nie miały większego znaczenia u szlachty.

[2]) Rotmistrz pospolitego ruszenia w czasie wojny.

[3]) Lida, miasteczko litewskie na południe od Wilna.

[4]) Oboźny był w czasie wojny komendantem obozu, w którym miał utrzymywać ład i karność.

[5]) Urząd dworski w dawnej Polsce, zczasem tylko tytularny. Cześnik miał nadzór nad książęcą piwnicą i podawał księciu napoje w czasie uczty.

[6]) Naszego rodu.

[7]) Nie dobił.

[8]) Po ojcu.

[9]) Po matce.

[10]) Hetmańską.

[11]) Laska biskupia. — Innemi słowy: nikt w rodzinie nie uzyskał wyższych godności świeckich lub duchownych.

[12]) Rodzaj infuły biskupiej.

[13]) Łać. zbytek. — Tu tyle co: zaszczyt.

[14]) Ojciec rodu, przodek.

Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego czy za Wazy
Deputatem[1]) był dwa razy
I wileńskim podwojwodzim.
Ale z takich antenatów[2])
Niema poco dąć się w pysze:
Bo nasz przodek był to, słyszę,
Mimo sławę wiekopomną,
Curtum visum[3]), do stu katów!
Wię nie lubim, gdy go wspomną.
Zato w rodzie naszym słynie
Ów pancerny rotmistrz stary,
Który walczył w Ukrainie
Z hajdamaki[4]) i Tatary,
A ugodzon kulą w głowę,
Jak bohater, zginął śmiało.
O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:

Że, ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przewieźć swoje kości
Do ojczystej posiadłości,
Na wioskową naszą rolę;
Że pogrzebu kościom życzy
Nie we sklepie[5]) lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łan się ściele,

---

[1]) Wysłannikiem szlachty do trybunału (sądu); — oczywiście za Chrobrego nie było jeszcze w Polsce panów „deputatów“.

[2]) Przodków.

[3]) Prostaczek, chudopachołek.

[4]) Hajdamacy, nazwa urobiona prawdopodobnie z „hetmaniaki“, oznaczała mieszkańców Ukrainy, podległych władzy hetmana kozackiego. — Wyraz ten ma obecnie w Polsce znaczenie pogardliwe i służy do określenia ukraińców, występujących wrogo przeciw Polakom i nie przebierających w sposobach walki.

[5]) W podziemiu.

Gdzie z sąsiadem grunt graniczy;
Aby kurhan nad mogiłą,
Niby kopiec stał ochrończy,
A na wieki znaczno było,
Gdzie poletek[1]) nasz się kończy.
Jego wola uroczysta
Wypełniona, jak należy.
Przeminęło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grób rotmistrza — kopiec z darni;
A sąsiedzi gospodarni
Znali, że to miedza święta,
Że przywłaszczyć stąd nie wolno
Choćby jedną skibę rolną.
Tuż za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam nie spaszą,
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo wiedziano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

II.

Jak mogę zapamiętać — od najrańszej[2]) chwili
Z sąsiadami z za kopca nigdyśmy nie żyli;
Nigdy na naszych ucztach nie byli przytomni,
Mój ojciec nigdy o nich i słówkiem nie wspomni:
Dwa dworki, choć od siebie w mecie[3]) niedalekiej,
Zdaje się, grób rotmistrza rozdzielił na wieki.
Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno,
Kiedy ściany domowe gości nie ogarną.

---

[1]) Poletek — małe pole, kawał gruntu.
[2]) Od najwcześniejszych lat.
[3]) W odstępie.

Tam przy matce matrony[1]), tu przy ojcu męże,
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają oręże;
Wije się kraśnych strojów barwa uroczysta,
Jako kwiaty na łące, gdy je wietrzyk chysta[2]).
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa i gości zaprasza,
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie lub miodzie,
Rozpowiada o panu trockim[3]) wojewodzie,
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klijenteli[4]) spędził młode lata.
I promienieje starzec, kiedy gwarzyć zacznie.
Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie rotmistrza, wnet się ojciec zmienia,
Jak gdyby go ubodły ciężkie przypomnienia.
Wnet poblednie, jak ściana, głowę spuści smutnie,
I oblicze nachmurzy, i rozmowę utnie,
I gryzie gniewne wargi — nudzą go przytomni;
Chyba, że ktoś trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, nie bacząc, że mu serce boli,
Odzyskiwa wesołość powoli . . . powoli.

Wkońcu umarł nasz sąsiad. Cóż państwo powiecie?
Ojciec, co go nie lubił, póki żył na świecie,
Po śmierci mu wypłacał, jak gdyby hołd dłużny,
Zapomogę z modlitwy, postu i jałmużny;
Zakupił msze żałobne, krył się od gromady,
A chodził zamyślony, ponury i blady.
Bywało, kto w sąsiedztwie zamknie w Panu oczy,
Mój ojciec, w uczynności braterskiej ochoczy,
Śpieszy i losem sierot troska się najczulej,
Owdzie wdowę pocieszy, tam dziatwę utuli,

---

[1]) Starsze, poważne kobiety.
[2]) Huśta, kołysze.
[3]) Troki, miasto ongiś wojewódzkie na Litwie.
[4]) Opieki u możnych, wielkich panów.

Zajmuje się pogrzebem, gospodarzy w stypie[1])
I gawędki o trockim wojewodzie sypie;
A tutaj, chociaż smutek wpił się mu do głowy,
Nie pojechał na pogrzeb, nie pocieszył wdowy
I odzywał się słowy gniewnego rankoru,[2])
Kiedy wspomną nazwisko sąsiada lub dworu.

Raz widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: Co to wszystko znaczy?
Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dlaczego, gdy się gniewa w jednostajnej mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dlaczego, gdy żałuje, dwór omija zdala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam nie pozwala?
Tu się ojciec zapłonił, potem zbladł, jak ściana:
— „A skądże ta ciekawość? At, proszę aspana,
Młokos[3]) jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
Jak na skórze zużyjesz rózeg całą puszczę[4]),
Wtenczas, proszę aspana, całą rzecz wyłuszczę.
A tymczasem wiedz, błaźnie i zapisz to w głowie,
Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
Może to prapradziady, mieli z sobą waśnię
I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie
Póty z naszego serca, dopóki wystarczy
Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
Nim się wkońcu Dęboróg z Brochwiczem pobrata;
A o tamtych zatargach pamięć i nauka

---

1) Uczcie pogrzebowej.
2) Urazy.
3) Niedorostek, smarkacz.
4) Puszczę — tyle co las gęsty. — W owych czasach nie żałowano jeszcze młodzieży rózeg.

Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka,
I chyba który z rodu . . . At, i gadać szkoda!
Coby to rzekł, mospanie, trocki wojewoda,
Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
Nie rozumiesz tych rzeczy, więc milczeć i kwita".

III.

Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał[1]) mi wąsik na kraśnej[2]) twarzy;
Czas był do szkoły, ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
—„Proszę aspana, czas wyśmienity,
Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
A gdzie się uczyć bez jezuity?[3])
Minęła wiara i karność stara,
Po szkołach jakieś nowotne[4]) dzieło,
Niemasz łaciny[5]), niemasz Alwara,[6])
Równo z Alwarem wszystko zginęło.
Ksiądz jezuita niegdyś dobitnie[7])
Wrażał łacinę i karność w dziecię,
Przetoż, bywało, i mądrość kwitnie

[1]) Zielenił się. — Tu tyle, co wysypywał się.

[2]) Rumianej — może oznaczać też „pięknej".

[3]) Szkoła i całe niemal wychowanie młodzieży szlacheckiej było w dawnej Polsce od końca XVI wieku w ręku OO. Jezuitów. Zakon ich jednak zniósł (czasowo) papież w r. 1773, co się szerokim masom szlachty polskiej bardzo nie podobało.

[4]) Nowe zwyczaje, nowe nauki.

[5]) W szkołach jezuickich nauczano wszystkich przedmiotów po łacinie. Język polski uzyskał swe prawa dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, (gdy nadzór nad szkołami objęła Komisja Edukacji Narodowej).

[6]) Alvarez Emanuel (1526—1582), jezuita hiszpański, autor słynnej gramatyki łacińskiej, ciężko pisanej, z której uczono jednak bardzo długo u jezuitów.

[7]) Rózgą lub bizunem.

I lepiej jakoś było na świecie.
Przodkowi nasi stąd mieli ducha,
Stąd wiekopomne tworzyli cuda;
Dzisiaj bez rózgi[1]) moralność krucha,
Z pijarskich[2]) książek łacina chuda.
Synabym w domu nie trzymał dłużej,
Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie:[3])
Dać do konwiktu[4]) możność nie służy,
Uczyć przy farze[5]) jakoś nie chce się;
Zwłaszcza, gdy człowiek zdawna pamięta,
Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie,
Byliśmy w szkole między panięta,[6])
Chłostę na perskim brali dywanie.[7])
A dziś... mój dziedzic[8])... biada nam, biada!
Daremno człowiek ratunku szuka,
Codzień to ciężej ród podupada
Z ojca na syna, z syna na wnuka.
Proszę aspana, uczyć się pora,
Lecz niemasz za co, niemasz widocznie.
Uproszę księdza definitora,
Niech bakałarzyć nad tobą[9]) pocznie.

---

[1]) W szkołach pojezuickich ograniczono chłostę.

[2]) OO. Pijarzy, współzawodnicy Jezuitów na polu nauczania, dokonali reformy szkoły polskiej, co nie przypadało do smaku dawnym wychowankom Jezuitów. — Stąd przytyk do „chudej łaciny“ Pijarów, którzy odrzucili przesadny i napuszysty styl wymowy, uczonej w szkołach jezuickich.

[3]) Sakiewka na pieniądze.

[4]) Zakład wychowawczy (dla szlachty), pijarski lub inny.

[5]) Kościół parafjalny, przy którym utrzymywano zwykle szkołę dla uboższej młodzieży.

[6]) Dzieci wielkich panów.

[7]) Zwyczaj nie pozwalał chłostać synów szlacheckich inaczej, jak na kobiercu! — Dywany perskie należą i dziś jeszcze do najcenniejszych.

[8]) Potomek, spadkobierca.

[9]) Uczyć ciebie (bakałarz, dawniejsza nazwa nauczyciela).

Kształć się w łacinie i świętej wierze,
Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju,
Może się u mnie grosiwo zbierze
I jezuici wrócą do kraju.“

IV.

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica[1]) w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyjacie,[2])
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz[3]) gruntu i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewijarza,[3])
Bronuje zagon lub sieje zboże.
Dwa chromiejące[5]) kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,[6])
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.

---

[1]) Izba

[2]) Na przedniej ścianie domu, na froncie.

[3]) Włóka = 30 morgów; półwłocz = 15 morgów.

[4]) Krótki zbiór codziennych modlitw dla księży katolickich (od łac. *brevis* = krótki).

[5]) Kulawe.

[6]) Strumienia.

Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie, uchyli głowę:
„Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
Masz waszeć, bratku, prace domowe,
Ja sam chcę orać pole ojczyste!“
I tak, modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie.

Na jego sznurach[1]) najlepiej rodzi,
Jego przekosów[2]) nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznię mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór,[3]) pogoda, słota,
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? Wszak jego oko
Na firmamencie[4]) tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsięknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;[5])
Może mu nawet w samotnej celi
I święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie,
Rzekłbyś: apostoł — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłumaczył ze świętej księgi:
„Jak to pokorny Zbawiciel świata
Składa majestat Bożej potęgi
I w ciele ludzkiem z człekiem się brata;

---

[1]) Zagony.
[2]) Rzędy siana.
[3]) Zaraza.
[4]) Na nieboskłonie, na horyzoncie.
[5]) Tajemnice.

Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
Między grzeszniki siada do stołu,
I daje siebie przybić do krzyża,
I składa ciało w człowieczym grobie.
Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
By nas uzacnił, podniósł ku sobie.
A u nas szlachcic, jasne wielmoże,
Rad, że mu herby dała ojczyzna,
Bóg został człekiem, a on nie może,
Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
Za jeden puhar starego wina
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli.
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
Pany się waśnią, idą na noże —
Wieśniak pod chłostą[1]) jęknąć nie może:
Bo nie dla niego honor człowieczy!"
Tak to, bywało, głośno i śmiele
Ksiądz definitor gadał w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga,
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawi przed oczy.
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa[2]),
Lecz do spowiedzi hurmem[3]) się tłoczy;

[1]) W owych czasach, jeszcze pańszczyźnianych, chłostano i chłopów, zmuszonych do pracy na łanie pańskim i pozbawionych niemal wszelkich praw.

[2]) Gniewa się i na znak tego rusza wąsami.

[3]) Gromadą.

A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakryśli,
Nim w trybunału[1]) kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli
I tak przekona i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach, długo
Będzie spokojne sumienie twoje,
Będziesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce..., och, popamięta,
Że w niem złożona Hostyja święta!

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedział pobliskie domy.
Zdala poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonej słomy;
Za cieniem wzniosłej, świętej postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam, Serwus[2]) jego nazwisko;
A ksiądz czeczotką[3]) kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostej chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu,
Z panem i z chłopem za panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

---

[1]) Konfesjonału. — Po ukończeniu spowiedzi daje kapłan grzesznikowi znak pukaniem.
[2]) Łac. sługa.
[3]) Kij sękaty z brzozy lub topoli.

V.

Ksiądz definitor był kapłanów wzorem;
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą,
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy, bywało, zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie.
A ojciec mówi: „At, proszę aspana,
Ksiądz i poczciwy, lecz, pożal się Boże,
Tak mu do grzbieta przyrosła sutana,
Że o szlacheckim zapomniał honorze.
Nie sztuka zrzędzić, ale, Bogu dzięki,
Moje sumienie nieskalane wcale;
Gdyby przynajmniej Statut[1]) wziął do ręki,
Proszę aspana, tam w czwartym rozdziale,
Jak wołem, pisze o ziemskiej dawności:
Kto przez lat dziesięć dóbr się nie dopomni,
Niech później do nich i prawa nie rości,
Ni on, ni dzieci, ni dalsi potomni.
A toż, mospanie, od początku dzieła
Może dziesiąta dawność upłynęła.
Z dziadów, z prawnuków szło dalej i dalej,
Czemuż się pierwej nie upominali?
Co wziąłem z ojców, muszę strzec, jak głowy,
Muszę w całości przekazać mej dziatwie
Grunta po miedzę, gdzie grób rotmistrzowy,
I całą sprawę, której nie załatwię,
Bo jest przysłowie: *że do końca świata*
Herb się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata.
Ksiądz definitor napomina srodze,

---

[1]) Zbiór ustaw.

Bym oddał grunta aż do samej rzeki.
Proszę aspana, toż minęły wieki,
Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę.
Przodkowie nasi graniczyli miedzą
I mieli proces o sąsiednie niwy,
Przodkowie nasi Bogu odpowiedzą,
Pan Bóg rozezna, kto prawy, kto krzywy.
Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;
Lecz tu, na ziemi... to wcale inaczej,
Proszę aspana, i honor coś znaczy,
Honor szlachecki...“
„Ale to najgorzej,
Że ksiądz tak żywo bierze sprawę wdowy,
Puka mi w serce swojemi namowy,
W imie sumienia i bojaźni Bożej,
Bym zwrócił grunta. Ja gruntów nie zwrócę,
Proszę aspana, lecz tu sęk, u licha,
Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
Bo już, coprawda, to wyznać potrzeba,
Że jego głowa przemądra, choć stara,
Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
A cnoty — chyba od samego Nieba;
Uczony, skromny, pracowity, szczery,
Czysto, jak święty Franciszek Ksawery.[1])
O, dla młodego taki mistrz nielada,
Święte w tych rękach boćkowskie[2]) narzędzie!
Lecz iść i prosić, nie wiem, czy wypada,
Bo, jak odmówi, to jeno wstyd będzie.“

---

[1]) Św. Franciszek Ksawery, jezuita hiszpański (1506—1552) krzewił naukę chrześcijańską wśród pogan. — Pamiątkę jego obchodzi kościół dn. 3 grudnia.

[2]) Dyscyplina rzemienna wyrabiana podobno w Boćkach pod Grodnem.

Taka w mym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała[1]) rozstrzygnie ją może.
Więc ujął karty, liczy: „Tuz[2])... król... kralka[3])...“
Z kart wyszło dobrze: idźmy w imię Boże;

VI.

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło
I rzekł: — „Zostań tu, chłopcze, ucz się w imię Boże.
Wszystką miłością w sercu, chlebem, co w komorze,
I nauką, co w głowie, choć jej tak niewiele,
Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę.
Tylko, że, widzi waszmość — rzekł do ojca dalej —
Ja stary, mam narowy, a szlachcice mali
Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
Bo dwa grzechy śmiertelne: lenistwo i pychę;
A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaśmy poprostu,
Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chrostu,
Chłopyśmy i parobki przed Bożem obliczem.
Nikt cię tutaj nie będzie nazywać paniczem,
Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada —
W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
Ja będę żąć, ty w snopy związywać mi zboże.
Ażeby się nie nudzić, to na pole ruszym
Z gramatyką łacińską i Wirgilijuszem[4]),

---

[1]) Wróżenie z kart.
[2]) As w polskich kartach.
[3]) Królowa w polskich kartach.
[4]) Wybitny poeta rzymski z czasów cesarza Augusta. Autor eposu p. t. „Eneida“ i sielanek, t. j. utworów, opiewających niewinne życie wieśniaków i pasterzy.

Z konwią mleka i z chlebem. Toż to będzie cudnie,
Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
Posilając się sobie, póki skwaru chwila,
Tityre, tu patulae... [1]) tłumaczyć z Wirgila:
Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą.
A szlachcic, co ma dzierżeć lud boży pod władzą,
Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty,
Nie będzie się tak lekko porywać do chłosty;
A gdy razem z czeladzią swą sochę [2]) zaprzęże,
Równiejsze będą skiby...“

VII.

— „Miłościwy księże!“
(Tak mu przerwał mój ojciec, nadąsany srodze)
„Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę.
Pracować, to pracować, lecz herbowne dziecko
Winno zawsze zachować powagę szlachecką
Wobec gminnych plebejów [3]), co z wioski ród wiodą.
Ot, powiem jegomości: z trockim wojewodą
Raz taki był przypadek. — Jak jegomość wiecie,
Na poleskich jeziorach, w bujnym oczerecie, [4])
Lęgną się stada kaczek. Panu wojewodzie
Zamarzyło się z wioski sprowadzić dwie łodzie
I ruszyć na jezioro; w jednej szuhalei [5])
Byłem ja, pan Belina i dojeżdżacz [6]) z kniei;
A w drugiem czółnie starem i popsutem wielce
Jechał sam wojewoda, wyżeł i dwa strzelce.

---

[1]) Początek jednej z najbardziej znanych sielanek Wergilego.
[2]) Drewniany pług.
[3]) Plebejusz (z łac. *plebs* lud) oznacza człowieka z ludu.
[4]) Zarośla nad wodą.
[5]) Rodzaj czółna.
[6]) Strzelec, który na koniu dopędzał zwierza, osaczonego już przez psy.

Wpływamy na głębinę. — Wtem... zawietrzył w stronę
Wyżeł, psisko niekarne, a wielce pieszczone,
Obaczył stado kaczek, wiec bestyja skora
Machnął tylko kosmykiem...[1]) i buch do jeziora!...
Stara łódź się pochysta[2]), już żłopnęła[3]) wody,
Tonie... Gwałtu! Ratujcie! Niemasz wojewody!
Jeno kędyś pluchocą[4]) w rozhulanej fali
I on sam i myśliwcy, którzy z nim jechali;
Jeno, proszę aspana, z falami się miesza
Jego suta, zielona ze srebrem bekiesza[5]).
Pan nie pływał, bo tusza[6]) była na przeszkodzie;
Lecz Poleszuk, jak ryba, nie zatonie w wodzie,
Strzelcy się wydobyli za wspólną pomocą,
Nogami depcą fale, pięściami je grzmocą,
Płyną, proszę aspana, że aż widok miły.
Jeden z nich, jak dziś pomnę, Hryćko, syn Kiryły,
Wynurzył się... odetchnął... dał nurka na nowo...
I, jako zgryźć orzecha, jak powiedzieć słowo,
Wybrnął z głębi i za czub wojewodę wlecze,
Na którym ledwo piętno rozpoznać człowiecze[7]).
My wpław i do topielca... siłami wszystkiemi
Dawaj na brzeg wynosić i taczać po ziemi,
Aż struga z wojewody leje się, jak z kadzi.
Pan bez zmysłów, bez pulsu, więc w całej czeladzi
Przerażenie i popłoch, aż po długiej męce
Wojewoda odetchnął, wzniósł do góry ręce,
I, choć zaledwie żyje, zaledwie oddycha,

---

[1]) Ogonem.
[2]) Przechyla.
[3]) Napiła się, nabrała.
[4]) Pluskają.
[5]) Rodzaj kapoty węgierskiej, futrem podbitej. Nazwa pochodzi od ulubieńca króla Stefana Batorego, Kaspra Bekiesza, który taki strój nosił.
[6]) Otyłość.
[7]) Ledwie już był do człowieka podobny, ledwie żywy.

Te Deum laudamus[1]) zabełkotał zcicha.
Zaraz go nieść do zamku na barkiśmy wzięli.
Nazajutrz wojewoda był zdrów po kąpieli
I wydał dla nas ucztę.
Kiedyśmy przy miodzie
Wszystko opowiedzieli panu wojewodzie:
Jak się czółen wywrócił, jak on wpadł do toni,
Jak go fala unosi, jak go Hryćko goni,
Jak nakoniec (niech będą wielbione niebiosy!)
Strzelec go z topieliska wyciągnął za włosy;
— „Jakto?“ — krzyknął gniewliwie, nasrożywszy minę —
„Śmiała mię chamska ręka dzierżeć[2]) za czuprynę!
Trockiego wojewodę! Pana! Dygnitarza!
Gdzie ów śmiałek? — Sto batów? Niech się nie odważa
Na podobne zuchwalstwa, bo krew szlachty święta!
Sto batów myśliwcowi! Niechaj zapamięta,
Że szlachcic, chociaż w ogniu albo w wodzie ginie,
Wara przedsię chłopowi ku jego czuprynie!“
Wkońcu nieco ochłonął, musnął się po głowie:
„Ale, żem ja niewdzięczen, niechaj nikt nie powie.
Panie rządco! Ja Hryćka kwituję z pańszczyzną,[3])
Dać mu na całe życie włókę[4]) gruntu żyzną,
Niechaj wiedzą włościanie, że jeden w ich rodzie
Trockiego wojewodę salwował[5]) w przygodzie!
Lecz, że za czub mię dzierżał swoją chamską dłonią,
Sto batów niech wyliczą, a liczby nie ronią“.[6])
Więc Hryćko, syn Kiryły, wziął sute nahaje,
A nam szlachcie na wieki nauka zostaje,
Co rozumieć o naszym herbownym splendorze[7]).

---

[1]) „Ciebie Boga chwalimy“, hymn dziękczynny.
[2]) Trzymać.
[3]) Zwalniam z pańszczyzny.
[4]) 30 morgów.
[5]) Ratował.
[6]) Rachunku nie tracą; niech nie darują ani jednego bata.
[7]) Świetności.

Lecz jegomość się zżymasz?...[1]) Ej, definitorze!
Wybij z szanownej głowy swe dziwne pochopy
I dziecka szlacheckiego nie zrównywaj z chłopy,
Bo na to nie pozwolę. — Łaska waszmościna
Za mój grosz jako tako poduczyć mi syna,
Dobrze, proszę aspana; lecz jeśli mój Janek
Ma się uczyć przy snopach łacińskich sielanek,
Razem z chłopstwem zasiadać do misy i chleba,
Dziękuję, mnie łaciny takiej nie potrzeba;
Niechaj się sobie w domu choć poprostu modli,
Lepiej niech będzie głupim, a rodu nie spodli".

VIII.

— „Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśnie —"
Rzekł definitor, śmiejąc się boleśnie —
„Lecz pozwól, waszmość..." Co tam mówił dalej,
Mogli zrozumieć chyba wszyscy święci,
Bo po łacinie starce już gadali,
Obadwaj żwawi, obadwaj zawzięci!
Ksiądz głową kiwa, ojciec ręką trzęsie,
Godzina druga upływa na swarze,
Wkońcu przy piwku i przy sztukamięsie
Podali sobie ręce adwersarze.[2])
Snadź się mój ojciec wysilił w gawędzie,
Dał się przekonać, chociaż z wielką biedą,
Bo tylko mówił: — „*Concedo, concedo!*[3])
Proszę aspana, niech już i tak będzie".
Potem rzekł do mnie: — „Tutaj cię porzucę;
Słuchaj i kochaj cnotliwego księdza,
Sprawiaj się pilno w pracy i nauce,
Honor szlachecki niechaj cię przypędza;

---

[1]) Gniewasz.
[2]) Przeciwnicy.
[3]) Łac. „Pozwalam, pozwalam".

Zresztą leniwca ksiądz niech smaga batem,
Bo mu *paternam* zdaję *potestatem!*“ [1])
To mówiąc, ręką do kieszeni zmierza;
Spojrzałem, zbladłem, zadrżałem od mrowi:
Boćkowski rzemień zwinął do talerza
I przez stół podał definitorowi.
A ów rzekł, biorąc straszliwe narzędzie:
— „Ufam, że nigdy potrzebny nie będzie.“

IX.

Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie;
Tak i z moją nauką: pojętność, pokora
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora;
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu.

Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze, [2])
Stary ksiądz już w kościele, ja mu do mszy służę;
Potem dziady grzanego piwka nam przyniosą,
I ruszamy na łąkę z grablami i z kosą,
Albo wziąwszy więcierze [3]) idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce. [4])
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa, lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy, uniosłszy ducha, wspomina imiona

---

[1]) Władzę ojcowską.
[2]) Na błękicie nieba.
[3]) Sieci na ryby.
[4]) Pluchoce — pluska się, rzuca się.

I prace Kopernika, Lineja[1]), Newtona[2])
I tłumaczy mniej z książki, a więcej z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus[3]) się kręci,
Jak snują się w przestrzeni światów miryjady,[4])
Co jest grom, błyskawica, i śniegi, i grady,
Jak się obiega ziemię w żeglarskiej podróży,
Jak się ów ptak nazywa, k'czemu[5]) kwiat ten służy.
A ja, siedząc oparty na kłodę olchową,
Piję łapczywem uchem każde starca słowo
I pilno każde słowo w pamięci zasklepię.
A tymczasem już szczupak w więcierzu się trzepie,
Więc wyciągamy kosze, powracam do chaty
Z pełnem sercem i w nową wiadomość bogaty.
A starzec, szczęśliw ze mnie, na końcu mi gwarzy,
Z jakiemi przyprawami szczupak się uwarzy,
Aby smaczny był obiad. — Dalej kształcąc wiedzę,
Godzinę albo drugą nad książką posiedzę
I znowu do roboty na łąkę zieloną,
Lub na pole szerokie z sierzpami[6]) lub broną.
Tam dla mnie wszystko nowość, kędy okiem rzucę.
Starzec wszystko obracał ku mojej nauce:
Opowiadał dobitnie, jasno a powoli,
O własnościach powietrza, klimatu i roli,
O pracach ludzkiej ręki i bydlęcej szyje[7]),
Ile się jeszcze bogactw w łonie ziemi kryje...

---

[1]) Linneusz (Linné) Karol (1707—1778), słynny botanik, który ułożył w system całość świata roślinnego w dziełach: *Fundamenta botanica* 1735, *Species plantarum* 1754 i in.

[2]) Newton Izaak (1643—1727), sławny matematyk i fizyk XVII wieku, odkrywca prawa ciążenia.

[3]) Globus = tutaj ziemia, także przyrząd kulisty, wyobrażający ziemię, służący do nauki geografji.

[4]) Mirjady = dziesiątki tysięcy.

[5]) K' czemu = ku czemu, do czego (dawny zwrot).

[6]) Forma starsza, dziś mówimy: sierpami.

[7]) Szyje, starsza forma dopełniacza. Dziś: szyi.

Na takich pogadankach płynie chwila chyża,
Ani ujrzysz, jak słońce ku ziemi się zniża,
Jak całodzienna praca już do końca blisko,
Jako się snop przy snopie składa na ściernisko.
Wtedy, złożywszy kopy, wracamy do wczasu,
Nucąc psalm staroświecki Jana z Czarnolasu.[1])
Wtórują nam dziadowie i żniwiarze z wioski,
Aż się puszcza rozlega od hucznej pogłoski.

X.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
Z wiejskimi chłopcy, z tabunem[2]) koni,
Lecim na nocleg, śpiewając skocznie.
Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie[3]), lub ugorze
Konie w paszę z rąk.
I już chłopcy w jednej chwili
Stosy chróstu nanosili
I zasiedli w krąg;
I ziemniaki w żarze pieką,
Płomień bucha — ej, daleko
Widać ogień nasz!
Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
Ktoś upiorem straszy z lasku —
Człowiek ani dbasz.
Choć kto w dzień się namozoli,
Choć drugiemu serce boli,
To najmniejsza rzecz.
Bo, gdy ludno, pusto, gwarnie,

---

[1]) Jana Kochanowskiego, znakomitego poety polskiego z XVI w., który m. i. opracował też *Psalmy*.
[2]) Kilkanaście lub więcej koni razem spętanych.
[3]) Wygon, rola mniej urodzajna, na którą wygania się bydło.

Smutek duszy nie ogarnie,
Wszelka bojaźń precz.
Na rośnej[1]) trawie rozścielamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,
I chór: *Dobranoc, o Jezu!* jak huknie,
Tak aż się echo w olszniaku[2]) zatrzęsie.
I daleko po równinie
Świętej pieśni echo płynie.
Czasem słowik wtór nam poda,
W sercu rzewność tak głęboka,
Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy poleją się, jak woda.
Człowiek rzeźwiejszy po świętej pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek;
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarżą, tu ogień błyśnie,
A tutaj ptastwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.
Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, a gromada
Pieśni, skazki[3]) opowiada,
Skazek, pieśni bacznie słucha.
Miłoż w kółku sieść[4]) na ziemię,
Gwarzyć w ptastwa słodkiej wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemie —
Miłoż drzemać na murawie!
Ptastwo milknie pokolei,
Ogień zwolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei.

---

[1]) Pokrytej rosą.
[2]) W lasku olchowym, w t. zw. olszynie.
[3]) Gadki, opowieści.
[4]) Staropolskie: siąść.

Ale czujnie, ale bacznie!
Każdy, słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brząknie tręzlą[1]), wstrząśnie grzywą,
Albo zarży na uboczy.
Po chwilce drzemki oko się przetrze,
Blisko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściej stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pośpieszniej chwyta;
Cyt, już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nucim: *Zawitaj, ranna Jutrzenko!*
Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza, jak dziewica,
Miłą barwą rumienieje.
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania,
Ranny ptaszek, dziad kościelny,
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozpływa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa.
Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia, w zieloność strojna wesołą,
A człowiek wtedy, patrząc wokoło,
Stałby, jak wryty, przez całe życie.

---

[1]) Uzdą.

Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on nic więcej — zlepek gliniany.
Hej, do domu czas już pewnie!
Konie syte nocną paszą,
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łąkę naszą
I, wtórując trąbką z rogu,
Na wyścigi, hej, przez rowy! —
Ot i nocleg nasz majowy.
Śpieszmy oddać chwałę Bogu.

XI.

A kiedy święto lub deszcz z pola spędza,
Chłopcy się tłoczym, ile chata zmieści,
I ciasnem kółkiem otaczamy księdza,
By nam gawędził odwieczne powieści;
A jego pamięć uczona, bogata
Odsłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki patryjarsze.
Jesteśmy, zda zię, w rozmarzeniu złotem
Pod Abrahama pasterskim namiotem,
Płaczem z Józefem, gdy się więźniem czyni,
Błądzim z Mojżeszem w arabskiej pustyni.
Dopieroż słuchaj, kiedy głos podnasza,[1])
Gdy stare piersi zapałem odżyją,
Głosząc z proroków przyjście Mesyjasza,
Aż się radujem z anioły, z Maryją,
Tężymy[2]) słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pośpiesza.

---

[1]) Podnosi.
[2]) Wytężamy.

My w wieczerniku[1]), my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod krzyżem nasza dusza gości,
W świętej boleści, co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebieskiej miłości:
Tak nas ów obraz do niebios przybliża,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża.
Niekiedy starzec, na dłoni oparty,
Rzekłbyś, Herodot[2]) wśród pokoleń nowych,
Kreśli nam dzieje Atenów[3]) lub Sparty,
Czasów Likurga[4]) lub Peryklesowych.[5])
Gdy kreśli przeszłość, to w takim kolorze,
Że ci się żywa przed oczami wyda,
Że tylko westchniesz: „O, zeszlij mi, Boże,
Życie Solona[6]) albo Arystyda!“[7])
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie!
Upior przeszłości latał nad mą głową,
Było mi błogo, a czasem boleśnie.
Strach, gdy się głowa, gdy serce rozmarzy!
We krwi gorącej wre, jakby w ukropie:
To śnię zborzysko[8]) italskich zbrodniarzy,[9])
Jak wieczne Rzymu fundamenta kopie;
To, zda się, widzę, że krok ku mnie czyni

---

[1]) Izba stołowa, w której wieczerzają. Tu mowa o wieczerniku, w którym Pan Jezus spożywał ostatnią wieczerzę.

[2]) Jeden z najdawniejszych historyków greckich. Żył w V w. przed Chr.

[3]) Dawniejsza forma dopełniacza.

[4]) Legendarny prawodawca spartański.

[5]) Perykles, znakomity obywatel ateński. Za jego sprawą osiągnęły Ateny w V w. przed Chr. niebywały rozkwit.

[6]) Mędrzec i prawodawca ateński z VI w. przed Chr.

[7]) Zasłużony obywatel ateński, znany ze swych cnót i skromności. Żył w V wieku przed Chr.

[8]) Zebranie.

[9]) Wedle tradycji pierwszymi mieszkańcami Rzymu byli zbiegowie z innych miejscowości, chroniący się przed karą.

Pobożny Numa[1]) lub hardy Tarkwini;[2])
Lub się w kościele Jowiszowym[3]) baczę,[4])
Rzym jeszcze nie jest zepsutym służalcem;[5])
W krzesłach senatu zasiedli brodacze,[6])
Cycero[7]) zdrajców ukazuje palcem:
Drży Katylina[8])... A tam złoto ważą,
I leżą trupy, pływają krwi fale,
Na rzymskiem forum Galle[9]) gospodarzą,
Kwiryci[10]) złoto niosą im na szalę,[11])
A na tem złocie arcydziełem dłóta
Twarz rzymskich bogów i przodków wykuta.
Wtem szczęk żelaza, otwarły się wrota,
Nowa kohorta[12]) Rzymianów się wciska,
Kamillus[13]) wpada i szalę[14]) gruchota

---

[1]) Drugi zkolei król rzymski, znany z pobożności.

[2]) Tarkwinjusz Superbus (Dumny), ostatni z siedmiu królów rzymskich, odznaczał się wielką srogością.

[3]) Kościele zam. świątyni. — Rzym pogański nie miał oczywiście kościołów.

[4]) Widzę.

[5]) Jak później, po upadku republiki.

[6]) Brodaci, więc skutkiem tego poważnie wyglądający.

[7]) Znakomity mówca i mąż stanu w starożytnym Rzymie (106—42 przed Chr.).

[8]) Katylina, osławiony spiskowiec rzymski, dybiący na zgubę republiki. Zwalczany enorgicznie przez Cycerona, który jako konsul wygłosił przeciw niemu cztery słynne mowy, opuścił Katylina Rzym i stanął na czele oddziałów buntowniczych. Pokonany jednak, zginął w bitwie pod Pistorją (62 r. przed Chr.).

[9]) Szczep celtycki, który ok. r. 390 przed Chr. zadał Rzymianom ciężką klęskę i nawet zajął Rzym na czas jakiś.

[10]) Rzymianie. — Pochodzenie tej nazwy nie jest dotąd dostatecznie wyjaśnione.

[11]) Wedle podania Gallowie kazali złożyć sobie znaczny okup, który ważono na wadze. Gdy brakło już złota, cisnął ich wódz miecz swój na szalę, wołając: „Biada zwyciężonym!“

[12]) Oddział żołnierzy rzymskich, liczący około 600 ludzi.

[13]) Wódz rzymski, który rzekomo wyparł Gallów z miasta.

[14]) Wagę, na której ważono złoto dla Gallów.

I dzikich Gallów spędza z targowiska;
Słychać, jak giną, jak pierzchają dzicy,
Słychać szczęk mieczów po stalnej[1]) zbroicy.
A owo widzę, jakby wiejska chata,
I widzę starca, co orze zdaleka,
Idę — poznaję Kwinta Cyncynata,[2])
Przy nim miecz we krwi i konewka mleka.
Póki się woły popasły pod lasem,
On wrogów Rzymu zwyciężył tymczasem;
Precz zrzucił pancerz, znowu wziął opończę,
Śmieje się stary w wesołej gawędzie:
„Ot, jeszcze dzisiaj zagonu dokończę,
Posieję żyto — i niezgorsze będzie“.
Rzymski szlachcicu[3]), dopomóż ci, Boże!
Tak sobie myślę i znowu śpię smaczno...
Wtem nowe mary[4]) na młodzieńcze łoże
W innych postaciach nalatywać zaczną.
Wiją się hufce i obcych i braci,
Płynie krew, pole trupami się ściele;
A wtem dziewica anielskiej postaci[5])
Rękę przez Niemen podaje Jagielle;
Słychać organy, i mężowie w bieli
Z pięknem rycerstwem bratnio się objęli.
W tem nowe widmo: wśród blasku oręży
Siedzą poważni państwa dostojnicy,
I w obrzędowej dalmatyce[6]) księżej,

---

[1]) Stalowej.

[2]) Cyncynatus, cnotliwy i zasłużony obywatel rzymski, trudnił się rolnictwem. W chwili groźnego niebezpieczeństwa ojczyzny odwołany od pługa, objął dowództwo nad armją rzymską i zadał klęskę nieprzyjaciołom, poczem natychmiast wrócił do swych zajęć.

[3]) Szlachta polska chętnie porównywała się z rzymskimi patrycjuszami.

[4]) Widzenia.

[5]) Królowa Jadwiga.

[6]) Biała szata kościelna używana przez diakonów i subdia-

W koronie, z berłem, na ojców stolicy
Siadł Zygmunt August — z postawą młodzieńczą.
Wkoło tłum ludzi daleko, daleko;
Swoi coś gwarzą, a wrogowie klęczą,
A u stóp tronu płynie miód i mleko.[1])
Ten piękny widok pobledniał i skonał,
Zniknęły tłumy, wrogowie, pancerni;
Na miejscu tronu stoi konfesjonał,
W nim siedzi postać, obleczona w czerni,
Postać zbiedniona, pokorna i blada,
A Zygmunt Trzeci przed nią się spowiada.[2])
I tak kolejno myśli mojej głowy
Na tysiąc sennych widziadeł się dzielą.
Wtem przeraźliwie, ach, sen mój dziejowy
Rozprószył kogut, piejąc nad pościelą.
— „Czas do roboty!“ — poznaję głos dziada,
Co zwykł mię budzić, gdy godzina szara —
„Ksiądz definitor dawno już spowiada,
Czas do mszy służyć — sen mara, Bóg wiara“.

XII.

Biegły me dni, jak w niebie, na takiej nauce,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.
Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,

---

konów oraz biskupów (dalmatyka pontyfikalna). Królowie polscy ubierali się w dalmatykę przy koronacji.

[1]) Na znak ówczesnego bogactwa Polski.

[2]) Postacią tą jest jezuita, przed którym spowiada się król Zygmunt III. — Przytyk do wielkich wpływów księży, a zwłaszcza jezuitów, na dworze tego króla.

Zaczepiał mię z łaciny[1]) — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział, jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach, co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!
— „Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,[2])
A tarcza z Dęborogiem wśród chłopstwa wytarta,
Co kapelusz żydowski, tyle będzie warta.
Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
Staremu trzeba ulec, bo mię zrzędzić zacznie;
Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
I folgować swym rękom, by znał gmin ciekawy,
Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy.
Dłoń szlachcica, stworzona dla miecza, nie żniwa,
Krom rycerskiej zabawy, niech wolno spoczywa“.
Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnej rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;[3])
Inszy świat definitor rozjaśniał przede mną:
Tam dla duszy przestronnej i sercu weselej.
Ojciec to zauważał, więc jednej niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo,
I syna wraz zabierze. — Ja w płacz, — nic nie służy:[4])
Już wybiła boleśna godzina podróży.
Ksiądz mię rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem,
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy;

---

[1]) Pytał z łaciny. Do nauki tego języka przykładała dawna szlachta polska największą wagę.

[2]) Roztrwoni, zmarnuje.

[3]) Staroszlacheckie przekonania przeżyły się już w owym czasie.

[4]) Nie pomaga.

Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiej sośnie,
Stary Serwus zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu. Ruszyliśmy drogą.
Skrył się za górą domek, gdziem przeżył tak błogo,
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

XIII.

Czem w polu zasiew, czem zawiązka[1]) w kwiecie,
Tem w życiu męża szkolne sześciolecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy,
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,
Choć jeszcze teraz, po ileż to razy
Szkolną ławicę albo dzwonek przyśnię!
Niekiedy marzę, że nie umiem składni,
A tu za chwilę wejdzie *ksiądz Łacina.*[2])
Szydzą z mej biedy uczniowie przykładni,
Truchleję, blednę, aż krew mi się ścina,
Aż się rozbudzę; — ale gdy na jawie
Ochłonę nieco ze strachu szkolarza[3]),
To w gorzkiem życiu słodko się zabawię,
Pierś orzeźwioną wspomnienie rozmarza.
Tak w skwarne lato oddychamy miło
Pod ciemnym klonem lub brzozą pochyłą.

Pomnę, raz pierwszy gdym jechał do szkoły,
Jaką się trwogę w sercu przezwycięża,
A ojciec prawi w gawędzie wesołej,
Jak to chłostali jezuiccy księża.

---

[1]) Zalążek.
[2]) Ksiądz, uczący łaciny. Podobnie ksiądz -- Fizyk, ksiądz — Matematyk.
[3]) Ucznia (od łac. *schola*).

Przed rozognioną wyobraźnią dziecka
Stał jezuita i poglądał srogo,
Ukrywał kańczug[1]) pod wełnianą togą,
A w jego rękach gramatyka grecka.
Takiemi strachy napełnia się głowa,
Chór jezuitów groźnie mię otacza.
Tak, gdy niebaczna piastunka wioskowa
Postraszy dziadem małego krzykacza,
To dziecko płacze, gdy go w cerkiew wiodą,
Choć tam Pan Jezus we złocie i srebrze,
Lecz strach u progu: — dziad z torbą i brodą
Wyciąga rękę i, śpiewając, żebrze.
Od tego dziecka nie weselszy zgoła,
Ujrzałem mury, gdzie klasztor i szkoła,
Kędy mnie wiedli. Z bojaźliwą trwogą
Wszedłem za ojcem za furtę klasztorną...
Na korytarzach nie było nikogo;
Przyległe cele godziną wieczorną
Grzmiały w sto głosów; znaczno[2]), żeśmy w szkole:
Ówdzie nauki, tam śmiech i swawole.

Tedyśmy weszli do jednej z tych celi.
Tutaj ksiądz prefekt[3]) mego ojca wita
Z miłym uśmiechem, obleczony w bieli,
Całkiem nie taki, jak ów jezuita,
Co w czarnej szacie i z groźbą na twarzy
Od kilku nocy w moich snach się marzy.
Snadź, że wyczytał przestrach z mojej miny,
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie,
Potem znienacka zapytał z łaciny; —
Ja mu pijarską gramatykę prawię,
Jakby przed ojcem, odważnie, tak samo,

[1]) Rodzaj bicza.
[2]) Widać.
[3]) Przełożony, kierujący szkołą.

Bo wzrok łaskawy rozbudził mą wenę.[1])
Odmieniam *terra*[2]), konjuguję *amo*,[3])
Ksiądz prefekt chwali: *Bene, puer, bene!*[4])
Aż ojciec wesół, że syn tak rozbiera
Nomen[5]) *pronomen*[6]) *verbum*[7]) *et caetera.*[8])
A jaka szkoda, o Boże mój, Boże!
Że tu nie wszyscy, kogo serce kocha:
Czemuż cię niema, o definitorze,
Moim triumfem pocieszyć się trocha!
Widzieć, jak rośnie, rośnie mi odwaga,
Jak mi się czoło rozjaśnia, choć potnie...[9])
Ksiądz prefekt bada, — Bóg mi dopomaga,
Ja odpowiadam przytomnie i lotnie.
Przebiegł tablice Pitagoresowe,[10])
Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie
I rzekł poważnie, całując mię w głowę:
— „Wybornie, chłopcze, będziesz w drugiej klasie!"
Ojciec wesoły, że nam w jednej chwili
Koszt całoroczny i honor ocalał,
Wziął mię w objęcia, do swych piersi chyli:
„Proszę aspana!..." i łzami się zalał.

---

[1]) Zapał, dobry nastrój.

[2]) *Terra* — ziemia. Jeden z przykładów deklinacji, t. j. odmiany łacińskiej rzeczownika.

[3]) *Amo* — kocham. Wzór pierwszej odmiany (konjugacji) łacińskiego czasownika.

[4]) „Dobrze, chłopcze, dobrze!"

[5]) Rzeczownik.

[6]) Zaimek.

[7]) Czasownik.

[8]) I tak dalej.

[9]) Potnieje, okrywa się potem.

[10]) Pitagoras, wielki mędrzec grecki, znakomity matematyk. Od niego pochodzi znane prawo w geometrji („Kwadrat przeciwprostokątni równa się sumie kwadratów obu przyprostokątni"). Tablice Pitagoresowe = tabliczka mnożenia.

XIV.

Gdzie wy, jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klasy
Przylgło, przyrosło na głucho?
Gdzie wy, drobne a wzniosłe mojej pychy cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?
Gdzie owe wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzucę?
Kiedy w gronie swawolnem po równinach lecę,
By schwytać wyrzuconą albo odbić wgórze?
Gdzie pobożność i wiara w najwyższej opiece,
Gdy się modlę w kaplicy albo do mszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało?
Bóg to wie. Krew po sercu ślizga się powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli.
Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoją mądrość, księże profesorze?
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnej ławicy,
Kiedy *ksiądz Matematyk* zadanie rozbiera,
Lub kiedy *ksiądz Łacina*, mistrz na kazalnicy,
W błoto trąca Buffona[1]), Russa[2]) i Woltera;[3])
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy.

---

[1]) Buffon Jerzy Ludwik (1707—1788), sławny przyrodnik i myśliciel francuski.

[2]) Rousseau (czyt. Russo) Jan Jakób, wybitny myśliciel i pisarz francuski. Działał w połowie XVIII wieku.

[3]) Wolter (franc. Voltaire), również wybitny pisarz francuski XVIII wieku, którego poglądy, krytykujące religję i kościół, ogromne wówczas wywarły wrażenie. Stąd niechęć duchowieństwa ku niemu.

Przysiągłbyś, że to prawda, wychowańcze młody,
Że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy,
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest biało, co czarno, co prosto, co krzywo,
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz a co prawda, co szpetne, co piękne,
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać, a przed czem uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłeś w przyszłość płomienistą duszą,
Że, choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą.
A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: „Doprawdy, będziem wielcy ludzie!"
Jeden, dziecię pobożne, z zapałem na twarzy,
Będzie doktór kościelny — tak Pismo przenika;
Drugi, biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Kopernika:
To będzie Archimedes[1]), cześć tutejszej ziemi,
On kwadraturę koła[2]) zgłębi i rozwiąże.
Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
Będzie nowy Krasicki[3]), rymotwórców książę.

---

[1]) Fizyk grecki z III w. przed Chr. Żył w Syrakuzach na Sycylji i zginął przy zdobyciu tego miasta przez Rzymian.

[2]) Kwadratura koła, zadanie, polegające na znalezieniu koła, którego powierzchnia równałaby się powierzchni kwadratu. Ponieważ jednak powierzchnia koła wyraża się liczbą nieskończoną, zadanie to jest nierozwiązalne. Dawniejsi matematycy poświęcali kwadraturze koła wiele wysiłków.

[3]) Sławny poeta polski z czasów Stanisława Augusta. Tworzył bajki, satyry, powieści i cieszył się ogromnem uznaniem.

Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
Cicho o was na świecie: bo świat, ciężka próba!
Żal się Boże, bywało, co ksiądz prefekt roi,
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.
Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze,
Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści.
Porwany w namiętności koło tajemnicze,
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści,
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza.
Ów, co miał drogę słońca odmienić na niebie,
Ów, co miał zostać wieszczem[1]), w śnie życie przepędza,
Chodzi mrówczemi drogi[2]) — i kontent sam z siebie!
A toż, bywało, o nim *ksiądz Retoryk*[3]) szepce,
Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
A ów teraz bohater poluje na źwierza,
Miłość go rozbydlęca, kielich z nóg obala,
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,
Albo drzemie po uczcie Helijogabala,[4])
Aż ci się serce ściśnie, aż się łza poleje...
Precz te smutne uwagi o człowieczej doli!
Ja miałem opowiadać moje szkolne dzieje,
Teraz siła nie starczy i żal nie pozwoli.

---

[1]) Natchnionym poetą, obdarzonym mocą przepowiadania przyszłości.

[2]) Mrówczemi — więc małemi.

[3]) Profesor wymowy.

[4]) Cesarz rzymski, znany z szaleństw i wybryków. Żył w III w. po Chr. Zwał się właściwie Varius Bassianus, a nazwa Heljogabal pochodzi od bożka emezyjskiego Elegabala, którego był kapłanem. Emeza — miasto w Celesyrji nad rzeką Orontem; w mieście tem była słynna świątynia Elegabala, boga słońca, czczonego też później jako boga płodności.

Ot, sześć latek przebiegło, jakby chwila cicha,
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze,
Co rok głowa bogatsza, a serce usycha,
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.
A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga;
Składam ojcu świadectwa — dziękuje mi za to
I mówi, żem dostojen herbu Dęboroga.
W niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha.
Tam, gdy gradem mądrości na przytomnych rzucę.
Aż się ojciec raduje i wesół uśmiecha,
Aż się dziady kościelne dziwią mej nauce;
Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrząsa siwą głową. Więc ojciec go pyta:
— „Nieprawdaż, zacny księże, iż Dęboróg młody
Skończy szkoły uczony, jakby jezuita?“
— „Tak — rzecze definitor — zna wszystko potrosze,
A gdzie nie ma zdolności, tam pracą okupi;
Braknie mu jednej rzeczy...“ — „A czegoż to, proszę?“
— „Mądrości sokratycznej [1]) — poznania, że głupi.
Lecz zczasem i to przyjdzie; duma zniży rogi,
Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie.
Tymczasem daj mi rękę, wychowańcze drogi,
Nie gniewaj się na starca, gdy ci prawdę powie“.

XV.

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze, [2])
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie;
— „Słuchaj — rzekł — Janie! Nim ci się przetrze
Jakiś tam zawód na bożym świecie,

---

[1]) Sokrates, słynny mędrzec grecki, który w rozmowach, publicznie prowadzonych, przekonywał ludzi, że nic nie wiedzą.

[2]) Zam. Piotrze. Forma popularnie używana. Rok szkolny kończył się i wówczas 29 czerwca.

Dam ci zabawkę — i co się zowie,
Co nie poniży herbowne dziecko,
Przez którą starzy Dęborogowie
Zyskali niegdyś godność szlachecką.
Bartosz Paprocki[1]) w swych herbów zbiorze
Pisze, skąd nasze godło urasta,
Jak na Zygmunta Augusta dworze
Był *quondam*[2]) strzelcem nasz protoplasta.
(Proszę aspana, dzielny myśliwy
Na pańskich dworach zawsze jest w cenie.)
Razu jednego znalazł, o dziwy,
Wrosłe do dębu rogi jelenie.
Rzecz taka rzadka i niewiadoma;
Więc, gdy ją złożył królowi w darze,
Król mu szlacheckie nadał dyploma[3])
I Dęborogiem nazwać się każe.
I od tej pory chętka myśliwska
Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię;
Każdy Dęboróg, chlubny z nazwiska,
Choć nie *senator, venator*[4]) przecię.
Ja sam zamłodu strzelałem dużo,
Świadkiem nieboszczyk trocki wojewoda,
Dzisiaj, mospanie, oczy nie służą,
A jednak pola zależeć szkoda.
Więc się chowają, proszę aspana,
Strzelby i pieski dobre do pola,
Stara myśliwska szkapa bułana,
Wojewodzińska trąbka bawola
I zasłużona torba borsucza.

---

[1]) Autor słynnego herbarza, t. j. dzieła, opisującego herby szlachty polskiej (1584). W dziale jego znajduje się istotnie powyżej przytoczona wzmianka o powstaniu herbu „Dęboroga“.
[2]) Niegdyś.
[3]) Dyplom.
[4]) *Venator* = myśliwy.

Otoż ta cała strzelcza spuścizna
Dziś się waścinym rękom porucza;
Żeś ty Dęboróg, świat niechaj przyzna!
Mamy tu przecię las siaki taki,
W zatoce kaczek bywają stada,
W naszych zaroślach skaczą szaraki, [1])
Czasem z pod żyta wilk się wykrada.
Będziesz polować. Wy młodzieniaszki
Winniście wprawiać oko do strzału;
Proszę aspana — tylko pomału,
Strzeż się, jak ognia, dziewcząt i flaszki.
Za naszych czasów, za jezuitą,
I kiedy pańskie świetniały dwory,
Proszę aspana, tęgo nas bito
Za gorzalinę i za amory. [2])
Kiedy to trocki żył wojewoda,
Ja sam, pamiętam, ciągę [3]) dostałem;
Proszę aspana... krew była młoda,
A jam okropnym był sowizdrzałem. [4])
Otóż..." Lecz dalszą powieść, jak z karty,
Ojciec już gadał do głuchej ściany:
Bom, z podarunku uradowany,
Żwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześlad [5]) zajęczy,
Konno, to pieszo, zwijam się szlakiem,
Bułany tętni, a trąba brzęczy,
I strzał po strzale wstrzęsa chróśniakiem. [6])

---

[1]) Zające.
[2]) Miłostki.
[3]) Baty. Zwykle mówimy: cięgi.
[4]) Hultajem, wesołym urwiszem.
[5]) Ślad, trop.
[6]) Zarośla, gaj.

XVI.

Moja rusznica[1]) pali donośnie,
Bije zające, kaczki, cietrzewie;
Ojcu z radości aż dusza rośnie,
Jak mię uściskać, sam stary nie wie.
— „Proszę aspana, ej, szkoda, szkoda!
Gdyby to trocki żył wojewoda,
Ty byłbyś w łaskach: bo, jako żywo,
On szczerze kochał młodzież myśliwą,
A nawet z każdym, co pewien w strzale,
Lubił, mospanie, żyć poufale.
Proszę aspana, na jego dworze
Raz pan Belina w dobrym humorze
Prawił, jak skakał do głuszca w toku,[2])
A wojewoda słuchał go zboku.
Ten pan Belina, człowiek ruchawy,
Gdy o myśliwstwie rozprawiać pocznie,
To, choćbyś głuchy, poznasz widocznie
Z jego podskoków, ruchów, postawy.
To w dłoń zatrąbi, psy nawoływa,
To się, jak zając, czai do ziela,
To niby tropi, prześlad odkrywa,
Nabija, pełznie, mierzy się, strzela.
Otoż, tym głuszcem kiedy się chwali,
Czasem tokuje, podskoczy czasem,
Tak się uwinął, że w pańskiej sali
Wielkie zwierciadło strzaskał obcasem.
Pan się nasrożył, uczuł[3]) nad szkodą,
Lecz pan Belina, jakby w igrzysku,
Zcicha mu szepnął: „Cyt, wojewodo!
Bo spłoszysz głuszce na tokowisku“.

---

[1]) Strzelba.
[2]) Tok = wabienie się głuszców i cietrzewi na wiosnę. — W czasie tokowania dają się te ptaki najłatwiej podejść myśliwym.
[3]) Zabolał.

My w śmiech — pan także, nawet mu za to
Darował pyszną strzelbę turecką,
Puścił w niepamięć szkodę bogatą
I długo, długo śmiał się, jak dziecko.
Czasyż to były!
Otóż, mospanie,
Gdybyś za czasów żył wojewody...
Lecz może jeszcze — wszak jesteś młody...
Ruszajże sobie na polowanie!"

XVII.

Hejże znowu ja do kniei!
Jesień — zima — wciąż na łowy.
Raz zabiegłem pokolei
Aż za wzgórek rotmistrzowy,
Aż za kopce cudzych granic.
Była wiosna, zachód słońca,
Lecz nie zwykłem zważać na nic,
Kiedy ruszą psy zająca.
Dalej, dalej, a tu ciemno,
Czas do domu, zmrok zapada,
Patrzę wkoło — tuż przede mną
Dwór sąsiadki, czy sąsiada.
Tu Brochwiczów gniazdo rodu,
Ród szlachecki, choć ubogi.
Nasłuchałem się zamłodu,
Żeśmy sobie wieczne wrogi,
Że Dęboróg póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata.
Grób rotmistrzów, jakieś pole
Były źródłem wiecznej waśni;
Lecz o całym tym warchole[1])

---

[1]) Tutaj tyle co waśni. — Warchoł oznacza zwykle człowieka siejącego niezgodę i wywołującego burdy.

Kiedyż ojciec mię objaśni?
Dziś nieprzyjaźń nie jest jawną,
Tylko zawsze siebie stronim.
Stary Brochwicz umarł dawno,
A tu mieszka wdowa po nim.
Ojciec mówi, że Brochwicze
To wrogowie nam wieczyści;
Coś im jednak źle nie życzę,
Żadnej nie mam nienawiści;
Coś mi szepce: Pomóż Boże,
A ja rankor[1]) ten umorzę.
Dworzec mały — a tak schludno,
Tak coś miło w każdej stronie,
Że źle trzymać[2]) o nich trudno;
Poczciwością zewsząd wionie
Stary domek, stara strzecha,
Kędy mieszka stara wdowa,
A do okna się uśmiecha
Stara gałąź topolowa.
Lecz w ogrodzie — ach, mój Boże!
Same kwiaty, same róże,
Pięknie wokół. — Przez częstokół
Patrzę, aż tu hoża dziewa
Sadzi kwiaty i polewa
I piosenkę jakąś śpiewa.
Słucham... słucham, serce gubię,
Za jej głosem myślą idę,
Ona śpiewa, jak na biedę,
Tę piosenkę, co ja lubię.
Długom patrzał między liście,
Coraz baczniej, coraz milej...
Krótko mówiąc, od tej chwili

---

[1]) Gniew, niechęć, urazę.

[2]) Sądzić. — Jest to zwrot nie polski ale wzięty z jęz. niem. a więc germanizm.

Zakochałem się ogniście...
Gdym odchodził pokryjomu,
Aby znak zostawić jaki,
Na topoli koło domu
Zawiesiłem dwa szaraki.

XVIII.

Codzień w pole — ej, nie w pole,
A do dworku pod topole;
Już znajomość. Cóż za dziwy?
Bliski sąsiad i myśliwy,
Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko,
Że zwierzynę mamie nosi
I zagląda w oczka Zosi?
Ej, poziomki! Ej, to mleko!
Ej, ten dworek niedaleko!
Ej, te oczki! — Mówiąc krótko,
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno! — Zwolna... zwolna...
Już w nas chętka zobopolna[1])
Spojrzeć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiec na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie.
Cicho, zwolna, niewidomie,
Gore dusza, gdy spodoba;
Z małej iskry bucha płomie[2])
I zażega serca oba.

---

[1]) Obustronna.
[2]) Płomień.

Mgnienie oka, śmiech, swawole,
Zadumanie, gniew i zgoda,
Zda się fraszki; daj im wolę,
A zgubiona dusza młoda!
Taka biedna, tak szczęśliwa,
Gdy w tych fraszkach się rozpływa!
Już dla świata żyć nie może,
Jedną myślą się otoczy,
By wciąż patrzeć w lube oczy,
By żyć w lubym rozhoworze[1])
Wieki wieków. Czas przeleci
Stokroć chyżej od motyla;
Bo szczęśliwi to, jak dzieci,
Dni ich lecą, jako chwila.
Precz godziny, gdy słodyczą
Młoda dusza się rozmarzy!
Jedna bieda, że ci starzy
Na zegarach czas swój liczą.
Ani śni się ojcu, matce,
Co ci miło, co cię bodzie.
Dusza rwie się, jak ptak w klatce,
A tu gadaj o pogodzie.
Dobra matka karty kładnie
Na los dziecka, lecz nie zgadnie,
Co tam dziecka myśl kołycha,[2])
Czego dziewczę ciągle wzdycha,
Czego młodzian smutny bladnie.
Na niespokój snu twojego
Dają leki, warzą ziela,
A broń Boże, gdy postrzegą,
Gdzie najczęściej oko strzela;
Wnet witają chmurną twarzą,

---

[1]) Rozhowory (rusk.) — rozmowy.
[2]) Kołysze.

Dają rady i przestrogi
I zachmurzą dzień twój błogi
I uczuciom zmilknąć każą.
Zimnem okiem wrzące łono
Chcą przemierzyć aż do głębi.
Przyzwoitym chłodem wioną,
Aż ci serce się wyziębi.
Matka Zosi, święta dusza,
Polubiła mię, jak syna,
Jednak czasem głową rusza:
Częsta moja tam gościna
Snadź się matce nie podoba.
Gdzie tam częsta? — Trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba,
A ja wymknąć się nie mogę.
Ho, ho! Gdyby ojciec wiedział,
Gdzie mnie codzień kroki wiodą,
Wnetby z trockim wojewodą
Dał mi uczuć cały przedział,
Co rozróżnia nasze domy
Z wieków wiecznych, od pradziada.
Koniec rzeczy już wiadomy:
Bo przysłowie zapowiada,
Że Dęboróg, póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata...
At zwyczajnie ludzie starzy.
Ale miłość, pełna szału,
Nie zagląda do herbarzy,
Ni w dekreta trybunału;
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna,
Stary proces lub herb stary
Fraszka w oczach Kupidyna. [1])

---

[1]) Amora, boga miłości.

Dzisiaj szczęsno!
Lecz, niestety,
Jako przyszłość, serce boli:
Upór starca lub kobiety
Na nasz związek nie pozwoli.
Bo mój ojciec nigdy zgoła
O Brochwiczach ani gada,
Matka Zosi niewesoła,
Bo żal czuje do sąsiada.
Jakieś kłótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą:
Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie nie podadzą.
A cóż dla mnie? — Śmierć z rozpaczy!
Precz te mary, zapaleńcze!
Choć przecierpię, choć się zdręczę,
Lecz zapomnę... nieinaczej.

Ot, na sercu rękę kładę
I tamuję jego bicie:
Nigdy... nigdy... póki życie,
Już na łowy nie pojadę,
Ani spójrzę k' tamtej stronie,
Ani myślą nie pogonię.
Co jest w sercu, to się zatrze,
I zapomnieć jestem gotów,
W jasne oczy nie popatrzę,
Nie usłyszę jej szczebiotów,
Co to płyną dźwięcznie, zcicha,
Aż się serce rozkołycha.
Takem roił zamyślony,
Ciągle patrząc w lube strony,
Potem, kojąc serca bole,
Marsz do dworku pod topole.

A przed bramą wiem, że spotka
Niespodzianka jaka słodka,
Albo wianek nā brzezinie,
Albo kartka na tyczynie,
Albo czasem, gdy podchodzę,
Zosia spotka mię na drodze.
Wtedy smutek się rozproszy,
Wstrząśnie duszą miłość święta,
Serce, pjane od rozkoszy,
Rannych zaklęć nie pamięta.

XIX.

Raz, jak dziś pomnę, wieczór był świeży,
Szedłem, dumając, pod lube sioło,
Zosia, jak zwykle, spotkać mię bieży,
Ale w jej oczach coś niewesoło.
— „Czy wiesz? — mówiła ze łzami dziewa —
Niedobre wieści: mama się gniewa.
Ja wczora, licząc na dobroć mamy,
A chcąc ją zdziwić niespodziewanie,
Szczerze wyznałam, że się kochamy,
Jak tylko serce pokochać w stanie.
Mama mi rzekła, że się nie dziwi,
Lecz pragnie płochość wstrzymać w zapędzie,
Bo cóż, że młodzi dzisiaj szczęśliwi?
Rozdrażnią serce — i gorzko będzie.
Trzeba się rozstać, choć serce pęka:
Bo ty mię kochasz bez ojca wiedzy,
A moje serce... i moja ręka
Nie dla sąsiadów z za waszej miedzy.
Tak mówi matka — przebacz, mój drogi —
Że my odwieczne dla siebie wrogi,
Że lat ze trzysta od owej chwili,
Jak z Brochwiczami Dęborogowie

O jakieś grunta się pokłócili,
I proces spadał po męskiej głowie
Z ojca na syna, jak powieść niesie.
Ach, cóż te grunta? Nie dopuść Boże!
Ot, tylko śmiać się i płakać chce się;
Miłość grunt rzeczy — nieprawda może?
Wielkie mi święto, że spór się toczy!
Śmieszne te sądy i trybunały!...“
I z głośnym śmiechem zakryła oczy,
Bo z modrych oczu łzy się polały.
Jam drżącą ręką schwycił jej dłonie,
Gorąca głowa zwisła mi z szyje,
Czuję — w jej rękach twarz moja płonie,
A serce w piersiach z łoskotem bije.
— „O, Zosiu moja! — rzekłem w rozpaczy —
Przed tobą młodość, życia rozkosze,
Ty mię zapomnisz... Bóg mi przebaczy,
Ja żyć nie mogę...“
— „O, bardzo proszę,
To coś, jak w książce. — My chrześcijanie,
Ufać nam, ufać w Pańską opiekę!
Jest Bóg, jest przyszłość. Ej, panie Janie,
Gdy będziesz płakać, to wnet ucieknę!
Spieszę do matki, matka się gniewa,
A my tu marnie kwilim, jak dzieci.
Kto na kominek przyniesie drzewa?
Kto jej tak jasno ogień nanieci?
Kto ją beze mnie do snu ugada?
Ja kocham mamę, jak własną duszę;
Dziś mi na wieki pana sąsiada
Każe pożegnać — i spełnić muszę...
Bo tam źli ludzie jeszcze powiedzą,
Żeśmy znęciły młodego ptaszka,
By wam wyłudzić pole za miedzą,
Że nasza miłość — at sobie... fraszka.

Piękna to fraszka... serce tak boli!
Matce się zdaje, że to daremno...
Czyż nigdy ojciec twój nie dozwoli,
Aby Dęboróg łączył się ze mną,
Z córką Brochwicza? Ej, te przestrogi!
Niby twój ojciec taki już srogi,
Niby ja nie wiem, że ciebie pieści,
Chociaż się zdaje trzymać na wodzy.
Ej, ci rodzice! Niby to srodzy,
A znieść nie mogą naszych boleści.
Ot, jestem pewna — o rękę Zosi
Ojciec przyjedzie i sam poprosi.
Wtedy się chyba... wtedy obaczym.
Bądź zdrów, nie traćmy dobrej nadziei!..."
I tak szczebiocąc z śmiechem i płaczem,
Znikła w zaroślach ciemnej alei,
Tylko jej piosnkę słychać zdaleka.
Czy chce łzy pokryć? Czy marzy świetnie?
Może ode mnie rada ucieka —
O serce! Serce szesnastoletnie! —
Jak bezprzytomny, padłem na ziemię,
I bolejące szarpałem łono.
Księżyc, co dotąd za lasem drzemie,
Wychylił na świat głowę czerwoną
I, drżącem światłem trysnąwszy w oczy,
Trochę mi ulżył cierpień ogromu.
Choć w piersiach ciężar, głowa się mroczy...
Niepewnym krokiem szedłem do domu.

XX.

Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,
Gdzieś tam ogniska błyszczą za milę,
A tutaj sterczą w lewo i w prawo
Drzew i chat wiejskich czarne profile.

Droga znajoma, ach, i jak jeszcze!...
Znam każdą trawkę w nocnej pomroce,
Wiem, jak tutejsza olcha szeleszcze,
Jak tu pod olchą strumień pluchoce.
Tu każda trawka, fala i listek
Zda się, żegnają, coś do mnie kwilą,
Tyle wspomnienia! Tu świat mój wszystek,
Tu moje niebo było przed chwilą!
A teraz, teraz... piekielne bole
Nad memi pierśmi pastwią się srodze.
Idę, jak martwy — wbiegam na pole,
Pod rotmistrzowy kurhan przychodzę,
Wśrod czarnej nocy brnę nieprzytomnie.
Wtem coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie:
Spojrzę... dziad jakiś... biały, wysoki,
Stoi ode mnie tuż o dwa kroki.
— „Kto tu i poco?“ — krzyknę na dziada,
A w trwożnych piersiach zamiera słowo.
Starzec, jak martwy, nie odpowiada,
A tylko głośniej jęknął grobowo.
Wzrostem, jak olbrzym, jak leśna jodła,
Ubrany w białej, grubej opończy;
Snadź że mu czoło kula przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy;
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
Szeroką ręką po wąsach muska.
A taki straszny wyraz oblicza,
Że, gdy go przyśnię, i dziś mi trwożno.
Wskazał prawicą na dwór Brochwicza,
Potem na naszą miedzę przydrożną,
Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie
I trzy wyrazy jęknął podziemnie:
Redde quod debes!![1])

---

[1]) „Oddaj, coś winien“.

— „Kto tu?!“ — krzyknąłem.
Choć pierś zamarła ledwie kołata,
Czuję, pot zimny leje się czołem.
Wtem zniknął upiór z innego świata.
Lecz wyobraźnia, strachem nabita,
Jeszcze go widzi na ciemnej błoni!
Ucieka polem, ot, zda się, goni
I trupią ręką za szyję chwyta.
Wbiegłem do domu; — wszyscy już spali,
Więc bez pamięci na łoże padłem.
Chłód mię przejmuje, gorączka pali:
To, zda się, walczę z jakiemś widziadłem,
To widzę matkę Zosi surową,
To mię mój ojciec przeklina marnie,
To ważam każde kochanki słowo,
A w każdem słowie nowe męczarnie.
W takich torturach duszy i ciała
Chciałem gdzie uciec, lecz się nie dźwignę.
Nakoniec jutrznia gdy zaświtała,
Sen ukołysał ciężką malignę[1]).

XXI.

Przespałem tydzień — strach, co mi się marzy!
Ciało, jak kamień, a dusza, jak w piekle,
Modlę się we śnie, to przeklinam wściekle,
I widzę ojca, domowych, lekarzy,
A choć się ocknę, to w myślach nie sprawię,
Co było we śnie, co było na jawie.
Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
Dwóch dobrych starców przy mem łożu baczę:
Ksiądz definitor modli się koło mnie,
A ojciec ręce załamał i płacze.

[1]) Gorączkę, połączoną z wizjami.

Gdym przemknął oczy i pot otarł z czoła,
Ojciec wzniósł ręce i głośno zawoła:
—„Witaj nam z grobu, młody Dęborogu!
Proszę aspana — siedem dni, jak chwila,
Byłeś w gorączce, ale dzięki Bogu
Dziś się choroba stanowczo przesila.
Boże mych przodków, o wielki Jehowo! [1])
Puść mię w pokoju! Niech starzec już skona,
Kiedy żyć będzie na świetność herbową
Mojego domu latorośl zielona.
A ja o mojem rozpaczałem dziecku,
Że w tych męczarniach rozstanie się z duszą,
Ja umrę z żalu — i po staroświecku [2])
Herb mego rodu przy trumnie pokruszą... [3])
Dziś jest nadzieja, że mię syn pochowa
I weźmie po mnie zaszczyty ojczyste...
Dzięki Ci, Matko święta z Poczajowa! [4])
Dziękić, cudowny boromelski Chryste! [5])
Lecz dosyć stękać nad twoją mogiłą!
Wyszedłeś we dnie, powróciłeś w nocy,
Proszę aspana, powiedz, jak to było,
Kto cię napędził tak ciężkiej niemocy?"
—„A dajcież pokój! A bądźcież uważni!
(Rzekł definitor, ocierając oczy)
Jeszcze go powieść na nowo rozdrażni
I znów gorączka głowę mu zamroczy".
—„Nie, ojcze, — rzekłem — pozwala mi zdrowie,
Mogę przypomnieć minione obrazy,

[1]) Po hebrajsku: Boże!

[2]) Dawnym zwyczajem.

[3]) Gdy umierał ostatni potomek rodu szlacheckiego, kruszono w czasie obrzędu pogrzebowego jego tarczę herbową.

[4]) Poczajów, miasteczko w pow. krzemienieckim na Wołyniu, sławne cudownym obrazem M. Boskiej.

[5]) Boremel, na Wołyniu w pow. dubieńskim, słynny cudownym obrazem P. Jezusa.

A gdy przed wami wszystko się rozpowie,
To lżej mi będzie, lżej będzie sto razy.
Ot, kiedym z łowów powracał w noc ciemną,
Z grobu rotmistrza opadły mię strachy.
Straszny dziad jakiś stanął tuż przede mną,
Wielkiego wzrostu i w odzieniu z blachy,
A krew mu ciekła po twarzy i brodzie,
A kiedy jęknie, to aż w serce bodzie,
Tchnie groźbą cała postać tajemnicza —
I skinął ręką przed oczami memi
Na nasze grunta i na dwór Brochwicza:
Redde quod debes! — wyjęknął z pod ziemi.
A jam bez ducha uciekał po błoni,
A tutaj zda się, że dziad za mną goni.
Wbiegłem do domu o samej północy,
Krew lodem krzepnie, to żarem się pali,
Padłem, jak martwy, na łoże niemocy
I nie pamiętam, co było już dalej;
Tylko w gorączce ani chwili niema,
Aby mi starzec nie stał przed oczyma“. —
—„No, dosyć tego — rzekł mi ojciec smutno —
Zapomnij widma, bo ci to niezdrowo“.
Ale widziałem, że zbledniał, jak płótno,
Wzniósł w górę oczy, a kiwając głową,
Szepnął z westchnieniem: — „Miłościwy Panie,
Kiedyż to widmo dręczyć nas przestanie?“

XXII.

Coś moje ozdrowienie szło krokiem niesporym;
Ojciec i definitor troszczą się nad chorym,
Ów przez czułość rodzica i względy herbowe,
Drugi, pełniąc poprostu prawo Chrystusowe.
Czy mi gorzej, czy lepiej, czy usnę, czy wstanę,
Przy mnie dobrzy starcowie byli na przemianę,

A straszne moje dumki[1]) chcąc rozpędzić szczerze,
Grali ze mną w warcaby,[2]) mówili pacierze.
Lecz ojciec coś mi niezdrów, coś twarz jego blada,
O trockim wojewodzie nic nie opowiada;
Gdy siądzie do marjasza,[3]) choć to gra tak łatwa,
Zamiast bić ze czterdziestu,[4]) Bóg wie, jak się gmatwa;
A pomnę, jak to dawniej było z nim inaczej:
Okładał pacierzami najzawziętszych graczy.
Dzisiaj snadź jego duszę tłoczą jakieś bole;
Nawet puharek miodu, co pijał przy stole,
Stoi czasem nietknięty aż do jutra rana —
A miód stary od szwedzkich wojen Sudermana[5])
Wiekował w naszym lochu.
Ach, co mu się stało!
W oczy definitora pogląda nieśmiało,
Zamyśla się i znaczno po całej postaci,
Że chciałby o coś spytać, a odwagę traci.
— „Księże definitorze — wreszcie go zagadnie —
Żyjesz, proszę aspana, święcie i przykładnie,
Śpieszysz z usługą bliźnim, ilekroć się zdarza,
Ot i tu od tygodnia pilnujesz Łazarza,[6])
Uciekasz od podzięków, jakby od napaści,
Ale stary Dęboróg modli się za waści,

---

[1]) Rozmyślania.

[2]) Gra w Polsce dawniej ulubiona. Pierwotnie na dziesięciorzędowej warcabnicy ustawiano po 20 warcabów białych i czarnych. Później przyjęto szachownicę na 8 rzędów i tylko po 12 warcabów.

[3]) Rodzaj gry w karty.

[4]) Przy marjaszu poszczególne figury liczy się za pewną ilość punktów. Król i dama w jednym kolorze znaczą dwadzieścia, król i dama „świętna“, t. j. atutowa, czterdzieści punktów.

[5]) Karol Sudermański, stryj Zygmunta III Wazy, pozbawił go tronu szwedzkiego i sam ogłosił się królem, w następstwie czego przyszło do długotrwałych wojen między Polską i Szwecją.

[6]) Łazarz, postać ewangeliczna. Złożony ciężką chorobą Łazarz umarł, ale Jezus wskrzesił go do życia. — Tu „Łazarzem“ jest młody Jan Dęboróg, po ciężkiej chorobie wskrzeszony niejako do życia.

A pomimo dawniejsze z waszmością zatargi,
Wyznam, żeś taki święty, jak w *Żywotach* Skargi[1]).
Nie zżymaj się, nie bluźnię — niech mię Bóg zachowa!
Bo to, proszę aspana..., lecz nie o tem mowa...
Chciałem mówić, żeś kapłan ze słowa i czynu,
A teolog zawzięty, jak Tomasz z Akwinu,[2])
A łacinnik, mospanie, to jak jezuita;
Jednak... proszę, nie śmiej się... gdy cię prostak spyta,
Czy waszmość wierzysz w strachy i nocne upiory,
O których Jaś mój gada... zwyczajnie jak chory?
Wierzysz mu, czy nie wierzysz?“ — Ksiądz na to [odpowie:
— „Są cuda, panie Pawle, o których mędrcowie
Ani śnili na jawie — jest gra wyobraźni,
Czasem szatan widmami do złego nas drażni;
Tak piszą stare księgi — liczyć je nie pora —
Ot prosto z duszy naszej wyrobi upiora
I postawi przed oczy — nie dziw, że przestrasza!
A są widma i święte — czytaj Tobijasza,[3])
Czytaj o świętym Pawle[4]) — toć twój patron przecie —
Są marne przywidzenia, są cuda na świecie.
Poznacie je z owoców — Bóg jest miłosierny“.
— „A ja wierzę — rzekł ojciec — że rotmistrz pancerny
Wyszedł z grobu i stanął przed Jasia oczyma.
Dziś wyznam jegomości... wszak nikogo niema:
Ot, jak chciałbym bez zmazy przejść niebieską bramę,
Że ze trzy razy w życiu widmo takie same
Widziałem, jak was widzę — krew mu płynie z czoła,

---

[1]) Ks. Piotr Skarga, słynny kaznodzieja z czasów Zygmunta III, napisał też popularne dotąd „Żywoty Świętych Pańskich“.

[2]) Św. Tomasz z Akwinu, dominikanin, wielki uczony i filozof, żył w XIII w.

[3]) Tobjasz, postać biblijna. Syna jego prowadził w podróży anioł, a więc „widmo święte“.

[4]) Św. Paweł został, jak wiadomo, nawrócony w cudowny sposób, gdy znajdował się w drodze do Damaszku.

Jęcząc, *Redde quod debes!* po łacinie woła,
Wskazuje dwór Brochwicza i na nasze miedze...
Mniemałem, że to figle, że sprawcę dośledzę,
Ale nie było czasu, bo to owej daty
Ciągnęła mię krew młoda iść z konfederaty;[1])
Myślę sobie: na wojnie jak kulą w łeb palną,
Bezpiecznie będzie odbyć spowiedź generalną.
Przed spowiedzią, wieczorem, kiedy grzechy liczę,
Mignęło się na polu widmo tajemnicze.

Upłynęło lat kilka, przeszły wojen burze,
Ja na dworze trockiego wojewody służę,
Parzę zęby, jak mówią, na dworackiej kaszy,
Kiedy umarł mój ojciec, słonimski strukczasy;[2])
Więc przyjechałem tutaj w wiosennej coś porze,
By gniazdo Dęborogów, dworzec Dęboroże,
Objąć w moje dziedzictwo *naturali jure*[3]).
Późnym jakoś wieczorem wyszedłem na górę,
Patrzę na grób rotmistrza, aż przy grobie stoi
Widmo wzniosłej postaci i w żelaznej zbroi,
Muska wąsy skrwawione i swą brodę białą,
Znowu: *Redde quod debes!* z jękiem zawołało.
Zbladłem... serce zamarło... i trwożliwie puka,
Lecz mówię sam do siebie: To znów czyjaś sztuka!
A nawet się domyślam...
Lat kilka omija,[4])
Zapomniałem o strachach, bo kraśna Maryja,

---

[1]) Do konfederacji barskiej. Konfederacja ta, t. j. związek szlachty, powstała w miasteczku Barze na Podolu w r. 1768, celem obrony praw Rzeczypospolitej przeciw Rosji. Walki konfederatów barskich przeciw Moskwie trwały cztery lata i zakończyły się pierwszym rozbiorem Polski w r. 1772.

[2]) Tyle co podczaszy. — Słonim, miasteczko na Litwie w woj. nowogródzkiem.

[3]) „Prawem naturalnem“.

[4]) Omija — mija.

Herbu Łabędź, łowczanka zakroczymskiej[1]) ziemi,
Snuła się, jako widmo, przed oczami memi.
Począłem konkurować — zezwolili starzy —
Szczęśliwym się sukcesem[2]) nasz związek kojarzy:
Tu wesele, tu miłość, tam trud gospodarczy,
Tylu różnym kłopotom ledwie człek wystarczy;
Nie dziw, proszę aspana, że w tak ważnej dobie
Wieczyście zapomniałem o rotmistrza grobie.
Lecz oto w rok po ślubie, w dzień Jana Chrzciciela,[3])
Pan Bóg nową radością mój dom uwesela:
Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyślnie.
Do rozrzewnionej duszy modlitwa się ciśnie,
Więc wyszedłem w noc letnią pomodlić się Panu —
I znowu słyszę jęki od strony kurhanu,
I znowu takież widmo z temże groźnem słowem:
Redde, redde quod debes! — aż echem grobowem
Zadrgał las wśród północnej uroczystej głuszy.
Choćby kazano przysiąc na zbawienie duszy,
To przysięgnę, że głos ten nie z naszego świata.
Struchlały padłem na twarz".

XXIII.

„Przyszły starsze lata.
Zrazu dobrze się wiodło — potem źle najczęściej.
Człowiek, jak wół, pracuje, a Pan Bóg nie szczęści:
To mi żona umarła, to grad wybił zboże,
Straszna nędza poczęła ściskać Dęboroże.
Dawniej, proszę aspana, człek uczty wydawał,
Dziś na kufel podpiwka[4]) i na chleba kawał
Ledwie starczy staremu — dajże radę biedzie!
Ot nic, proszę aspana, ręką się nie wiedzie.

---

[1]) Ziemia zakroczymska na północ od Warszawy nad Wisłą.
[2]) Powodzeniem.
[3]) 24 czerwca.
[4]) Podpiwek, cienkie, liche piwo.

Idzie od śmierci żony jesień siedemnasta,
Ja stary bezsilnieję, a tu syn podrasta —
On młodszy, mógłby kiedyś za pomocą Boga
Okryć nową świetnością tarczę Dęboroga;
Ale coś zły prognostyk[1]) od ojca na syna:
Widmo się ukazywać młodemu poczyna
I grozi, że mu wszystkie zamiary rozprzęże.
Czy wasze wierzysz w strachy, miłościwy księże?“
— „Wierzę — rzekł definitor — wierzę całą duszą!
W waszmościnej fortunie ludzkie łzy być muszą:
Gospodarstwo nie idzie, giną urodzaje,
Widmo jakieś czyśćcowe zasnąć wam nie daje;
Może to grzechy przodków — wiadomo waszeci,
Za nieprawości ojców pokutują dzieci,
Może herb Dęborogów w czasie niepamiętnym
Nieszlachetnego czynu pokalany piętnem...“
— „Jakto, proszę aspana!!...“
— „Powoli! Powoli!
Ja jestem ksiądz i starzec, mój wiek nie pozwoli
Grać ze szlachtą w szablice — bić się rzecz człowiecza,
A kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza —
Tak stoi w Piśmie świętem — nie rwij się zapałem:
Waszmościnego herbu obmawiać nie chciałem;
Lecz memu posłannictwu i przyjaźni gwoli
Pragnę położyć koniec dla waszej niedoli.
Wielkie są skutki złego, choć początek marny“.
Tak mówił definitor, a uśmiech figlarny
Przebiegł po jego uściech. — „Nie gniewaj się, wasze,
Że ci sen mój rozpowiem i może nastraszę.
Oto wczora wieczorem, zmówiwszy pacierze,
Chciałem zasnąć, lecz starca zawsze sen nie bierze,
Więc począłem rozmyślać... od nudów... tak sobie...
O domu Dęborogów, o rotmistrza grobie,

---

[1]) Wróżba.

Począłem przypominać, co doszło mej wiedzy,
Za co on kazał siebie pochować na miedzy,
Dlaczego mara jego błąka się u drogi,
Proces, co z Brochwiczami toczą Dęborogi,
Wszystko, coś mi powiadał o starej intrydze
I co ze staroświeckich dokumentów widzę,
Ot, tak mi się te myśli po głowie dziwaczą,
Że przyśniłem rotmistrza i wojnę kozaczą.

Usnąłem... Widzę: zastęp na zastęp uderza,
Dęboróg wiedzie hufce Jana Kazimierza;
Łamią tabor Dnieprowców[1]) pancernicy młodzi,
Których dziad siwobrody chorągwią dowodzi.
Wtem k'niemu Zaporożec mierzy z samopału[2]),
Wystrzelił, siwy rotmistrz zachwiał się pomału,
Podjął kratę od hełmu z wejrzeniem ponurem,
Z czoła jego krew czarna wytrysnęła sznurem,
Upadł, ale nie jęknął, jak gdyby był z głazu;
Lecz walka się usuwa niby w głąb obrazu,
Błyska ogień wystrzałów, migają pałasze,
I widziałem zgon starca — posłuchaj mię, wasze."

XXIV.

SEN DEFINITORA.

„Ze wzgórza widać, jak dym się czerni,
Słychać zdaleka strzelbę armatnią,
A na pagórku bracia pancerni
Oddają komuś posługę bratnią:
Kształtem namiotu rozpięli płótno,
Stanęli kołem i gwarzą smutno.

---

[1]) Kozaków.
[2]) Rodzaj strzelby używanej w XVII w.

A pod namiotem, z głową u siodła,
Leży dziad siwy w grubej opończy,
Kula mu stare czoło przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy;
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
A starzec z dumą po wąsach muska.
A wkoło starca cisza uroczysta,
Trzech zbrojnej szlachty otacza łoże;
Jeden coś pisze — pewno jurysta,[1])
Drugi puls maca — to lekarz może,
A trzeci skłonił głowę do łona,
To syn żałośny tego, co kona.
— „Cóż? — jęknął chory — Mijają chwile,
A księdza niema; ach, ani blisko!
Jeden bernardyn a rannych tyle,
Pewno obchodzi pobojowisko...
O duszo moja! O duszo biedna!
Któż cię rozgrzeszy, z Bogiem pojedna?“
— „Bredzisz, rotmistrzu, ot byle skrucha,
Bylebyś w sercu nie miał rozpaczy,
Sam Bóg spowiedzi twojej wysłucha,
Sam Bóg i grzechy twoje przebaczy;
Odbyłeś spowiedź tuż przed potrzebą,
Umierasz w boju — toć pewne niebo.“
Tak to jurysta cieszył chorego.
Temu rumieńcem zaszła twarz blada,
Po siwych rzęsach łzy ze krwią biegą,
Oczy w niebiosach — snadź się spowiada.
Nagle dostojne oblicze zmienia
Wyrazem bolu, czy przypomnienia,
I głucho jęknął: — „Grzeszyłem dosyć,
Lecz żal otwiera niebieskie wrota,
Umiałem ciernie życia przenosić,

---

[1]) Prawnik (od łac. *ius*).

Jako ofiarę grzechów żywota,
Strzegłem, jak mogłem, grzesznego łona,
Reszty niech Męka Pańska dokona.
Jeden grzech tylko, grzech to nieświeży
Moją śmiertelną godzinę plami,
Ciężkim kamieniem na sercu leży
I stawi piekło tuż przed oczami.
Któż mię rozgrzeszy? Kto mi przebaczy?
Boże mój, Boże! Chroń mię rozpaczy!
Zbliżcie się tutaj, dopóki pora,
Głośno go wyznam, o bracia moi!
Może skruszona moja pokora
Gniewne oblicze Boga rozbroi.
Zbliż się, mój synu, zważ każde słowo:
Bo waść nagrodzisz winę ojcową.

* * *

Burzliwy byłem w młodości mojej —
Jeno przy czarce[1]), jeno we zbroi;
Niekiedy tylko, znużony szałem,
Litewski statut[2]) w przemian czytałem;
Obcą mi była wszelka zabawa
Okrom[3]) oręża, kufla i prawa.
Z takich rozrywek — z naprawy[4]) czarta,
Idzie nieprawość, siłą poparta.
Było to grzechem, lecz w owej chwili
Temi grzechami wszyscy grzeszyli.
Ksiądz na spowiedzi, a Pan Bóg w duszy
Wciąż nam szeptali, cośmy powinni;
Lecz choć się człowiek spowiedzią skruszy,
Z młodemi laty, z duchem Sarmaty

---

1) Zdrobniałe od: czara = szklanica.
2) Księga ustaw.
3) Oprócz.
4) Z namowy.

Idzie tak samo, jak inni.
Mijały wiosny, mijały lata,
Szumiał, jak wicher, wiek mój swawolny,
Kiedy mój ojciec zeszedł ze świata,
A ja zostałem, ziemianin rolny.
Tutaj, zbytkując huczno i gwarnie,
Nabyłem sobie nielekkiej sławy:
Nie było psiarni nad moją psiarnię,
Nie było konia, jak mój cisawy,
Nie było miodu, jako mój lipiec,
Nikt wkoło nie miał takiego wąsa,
A przy odgłosie rzęsistych skrzypiec
Nikt tak polotnie[1]) w tanku[2]) nie pląsa.
A biada temu, kto mi zawczasu
Nie umknął z drogi — młodzi, czy starzy,
A trzykroć biada, kto mi do lasu,
Kto mi do pola wdarć się odważy,
Kto mi wśród tanka parę odbija,
Albo mi mruknie słówko sromotne:
Bo wnet, jak zmówić *Zdrowaś Maryja*,
Wyzwę na rękę i uszy otnę.
A jak na biedę miałem sąsiada:
Pan Maciej Brochwicz o mnie nie stoi,
On mi, bywało, do lasu wpada,
On się przymila mojej dziewoi,
A na pałasze bił się tak świetnie,
Że mię i nieraz ciężko obetnie.
Wtem weszli Szwedzi. W wojennej porze
Któż o prywatnym myśli rankorze?
I my z Brochwiczem, bracia, koledzy,
Złożyli z serca kłótnię zawziętą:
Nie pora myśleć o swojej miedzy,

---

[1]) Lekko, zgrabnie.
[2]) W tańcu.

Kiedy z miedzami ojczyzny kręto.[1])
Rycerska szlachta na konia siada,
Ja szedłem walczyć obok sąsiada.
A wojna szwedzka waściom wiadoma.
Lecz opowiadać nie pora wcale;
Dość, że po wojnie zasiadłem doma,
A sąsiad jeszcze bije Wandale.[2])
Poczekaj, myślę — póki przyjedzie,
Figiel za figiel, panie sąsiedzie!
Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
W kije i w rydle uzbrajam chłopy
I w dziesięć koni na pole jadę,
Tam, gdzie graniczne stały okopy.
Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem,
Boże mój, Boże, odpuść mi grzechy! —
Za morg zabrany dziesięć odjąłem;
I nowe kopce (piekielna rada!)
Tuż się przymknęły pod dwór sąsiada.
Nazajutrz tedy o rannym świcie
W sto moich pługów ruszyłem żywo,
Orze się skiba na cudzem życie,
Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo.
Kopiec graniczny gdzie indziej stoi,
Międzę i zboże zorali chłopi,
Już ani znaku dawniejszej Troi,[3])
Starej granicy nikt nie wytropi.
Lecz myślę sobie: zabrałem jawnie,
Tylu jest świadków, wszystko widocznie,
Jakże zabory moje uprawnię,
Kiedy mię sąsiad pozywać pocznie?

---

[1]) Źle, krucho.
[2]) Tutaj = Szwedów.
[3]) Z łacińskiego: *Nec locus ubi Troia fuit.* „Ani śladu po dawnej Troi“ (zburzonej przez Greków).

Począłem dumać; sprawą szatana
Znowu mi przyszła myśl niespodziana.
Sąsiad miał lamus[1]) w środku zagrody,
Co prapradziadów pamiętał jeszcze,
Ściany ciosane z dębowej kłody,
Drzwi kute blachą, zamki, jak kleszcze,
Miał postać baszty pięknego gmachu,
Chorągiew z herbem skrzypi na dachu.
W takich lamusach w wojennej chwili
Przodkowie nasi skarby swe kryli.
Sąsiad mój, sobie szlachic biedota,
Pereł, brylantów nie miał i sztuki;
Lecz miał papiery droższe od złota,
Pamiątka dziadów, spadek na wnuki.
A waszmość wiecie — takiego plika
Szlachcic pilnuje, jak serca w łonie:
Tu się szlachecka pewność zamyka,
Że jesteś dziedzic na tym zagonie;
Tu pargaminy[2]) odwiecznej daty,
W nich bezpieczeństwo dla twojej głowy,
Że byli szlachtą twe antenaty,
Że nosisz prawnie klejnot herbowy.
Zniszczyć papiery — to znaczy może
Zniszczyć na mieniu i na honorze.
A ja w szaleństwie... i z jakiem czołem
Ja się na świętą własność targnąłem!
Gdybyż to w zwadzie, albo rozterce,
I po rycersku zbrojno, otwarcie...
Ale to spodlić szlacheckie serce,
Podłych włóczęgów użyć na wsparcie!

---

[1]) Budynek, pierwotnie z gliny (niem. Lehmhaus), służący zwykle jako magazyn.

[2]) Pargamin, pergamin, skóra ośla, na której pisano zwłaszcza ważne dokumenty.

Bo oto w nocy, z mojej namowy
Szedł tam z krzesiwem żebrak odarty,
Podpalił głównią lamus dębowy
I poszły z ogniem odwieczne karty.

Ja stałem w oknie — noc była czarna —
I z niepokojem patrzę k' tej stronie:
Oto buchnęła łuna pożarna,
Pewno graniczny dokument spłonie,
Uprawnię tedy mój zabor cały...
Sumienie jękło... padłem omdlały.

Powraca sąsiad — załamał ręce,
I mnie obwinia sprawcą pożogi;
Ale ja pewny, że się wykręcę,
Hardo stawiłem bezczelne rogi.
Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,
Lecz jakże dowieść nocnej kradzieży?
Jednak zapozwał przed trybunałem,
Żem sprawca gwałtu i konflagraty;[1])
Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
On bez dowodów, a ja bogaty;
Kopce granicą z obojej strony,
Więc cały zabor mnie przysądzony.
Czułem zgryzoty w sercu i w głowie,
Ale sumienie skałą zawalił.
Powrócić krzywdę? — Toć każdy powie,
Żem zabrał grunta i lamus spalił.
A on bez chleba z proga do proga
Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie,
Wkońcu zdał pomstę na Pana Boga,
I tak mi uszło moje bezprawie."

* * *

---

[1]) Pożaru.

„Tak stary rotmistrz prawił swe dzieła —
Głos jego słaby zamrze niedługo;
Krew mu obficiej z czoła trysnęła,
Płynie po zbroi czerwoną strugą,
Płynie po wąsach i usta klei,
Trup — tylko w oczach iskra nadziei.
Tchnął — żyje jeszcze, natęża płuca,
Chce jeszcze mówić, co duszy boli,
Ale już słabo, cicho, powoli,
Słówko po słówku ledwie wyrzuca;
— „Synu! To moja spowiedź. Ty napraw me grzechy,
A wy, bracia, nade mną miłosierdzia proście!
Umieram bez kapłańskiej kościelnej pociechy...
Na święconych mogiłkach nie spoczną me koście.
Synu, wieź je do domu! Chcesz ulżyć mej duszy,
To je pogrzeb pod lasem, na polu przy gruszy,
Tam były stare kopce granicy sąsiada,
Dziesięć morgów na prawo — to grunt, co zabrałem.
Oddaj je Brochwiczowi — i biada ci, biada,
Jeśli nie tak postąpisz z rodzicielskiem ciałem.
Zburzyłem stare kopce, niechże grób mój przecię
Będzie kopcem granicznym zobopólnej miedzy,
A gdy gruntów sąsiada nie odda me dziecię,
Wnet wyrodka do sądu pozwijcie, koledzy![1])
Rozpowiedzcie rzecz całą ojcowskiemi słowy,
A ja go sam oskarżę przed sądem Jehowy.
Synu, oddaj grunt cudzy, zaklinam na życie!
Grób mój... kopiec graniczny... pod gruszką... słyszycie?“
Rzekł, uderzył się w piersi i opuścił szyję,
Krew się przestała sączyć... Rotmistrz już nie żyje.
Poklękli nad umarłym uzbrojeni męże,
A jam się, modląc — ocknął“.

---

[1]) Odnosi się do wojowników, którzy byli obecni przy jego skonie.

XXV.

— „Bałamucisz, księże!
Ja poznałem odrazu, to nie było we śnie,
Lecz śpiewasz nowym tonem staroświecką pieśnię:
Abym powrócił grunta Brochwiczowej wdowie,
Choć je z kilku pokoleń dzierżę urzędowie,
Chociaż — proszę aspana — rzecz jasna, jak złoto...“
— „Nie sroż się, panie Pawle, tu nie idzie o to,
Czy to sen marny, albo rzeczywista jawa,
Czy grunt dzierżysz bezprawnie, albo wedle prawa,
Ale kapłan cię pyta o sumienne słowo,
Jak kochasz twe zbawienie i tarczę herbową,
Jakeś ojciec, jak szlachcic, jak potomek wierny
Walecznego rotmistrza chorągwi pancernej,
Powiedz mi — boś się nigdy kłamstwami nie zmazał —
Czy ów syn zwrócił grunta, jak mu ojciec kazał,
I czy tam, gdzie kazano, pogrzebł ojca kości“.
— „Jużci... proszę aspana, w tem niemasz pewności...
Ów syn... pan Piotr Dęboróg... a mój pradziad prosto,
Był za Jana Trzeciego rzeczyckim starostą
I człekiem wielce skąpym — pokój jego duszy —
Więc może zamiast ojca pochować przy gruszy,
Pochował go za rzeczką dziesięć morgów dalej,
Tam, kędy *violenter*[1]) kopce usypali.
A tak uprawnił zabór. Trudno dociec z dzieła,
Gdzie wtedy gruszka rosła, jak rzeczka płynęła.
Kto to wie? W ciągu wieków wszak przemiana bywa.
Lecz tylko poświadczają domowe archiwa,
Że syn Piotra, Mateusz, piwniczy nadworny,
Miał proces z Brochwiczami o poletek sporny“.
— „I cóż, wygrał, czy przegrał?“ — definitor spyta.
— „Ani wygrał, ni przegrał — forsował i kwita.

---

[1]) Gwałtem.

Bo to, proszę aspana, jest sztuka w palestrze,[1]
Że, jak sprawę zahaczą w taktowym regestrze,[2]
Można tworzyć przeszkody wciąż nowe i nowe,
Komportacje[3] papierów, badania miejscowe;
Czas idzie jakoś prędko, a proces pomału,
Od sądów podkomorskich[4] do spraw trybunału.
Kiedy mądry obrońca umiejętnie zwleka,
Niełacno się pan Brochwicz dekretu[5] doczeka,
Niełacno się w Temidy[6] dokołatać wrota.
Dęboróg miał pieniądze, a Brochwicz hołota[7] —
Pan Mateusz wziął górę. Za pamięci naszej
Tymoteusz Dęboróg, słonimski[8] strukczaszy,
Jego syn a mój ojciec — jako ślad znachodzę,
Chciał załatwić rozterki w polubownej drodze:
Lecz potem się rozmyślił, obliczył z chudobą,[9]
Nikt się nie dopomina, dawność miał za sobą,
A grunta tak wybornie zarodziły latem,
Że zostawił przy sobie ich *haereditatem*.[10]
A jam po ojcu objął całe Dęboroże".
— „Wielkie — rzekł definitor — miłosierdzie Boże!
Pociesz się, panie Pawle, twa dola szczęśliwa,
Wielkich rzeczy dopełnić Bóg cię powoływa.

---

[1]) Palestra = korporacja obrońców, więc adwokaci z dependantami, pisarzami etc. Występowali przy trybunałach w Piotrkowie i Lublinie, też na Litwie.

[2]) Księga, do której wpisywano skargi sądowe.

[3]) Znoszenie, przedkładanie dokumentów.

[4]) Sądy podkomorskie rozsądzały spory graniczne.

[5]) Wyroku.

[6]) Bogini sprawiedliwości.

[7]) Chudopachołek. Wyraz „hołota" (= gołota) nie miał dawniej tak pogardliwego znaczenia, jak obecnie, lecz oznaczał ubogą, „gołą" szlachtę, bezrolną lub małorolną.

[8]) Słonim, w wojew. nowogródzkiem.

[9]) Dobytkiem, majątkiem.

[10]) Dziedzictwo.

Co ciężko praojcowie przed Panem zgrzeszyli,
Zbrodnię czterech pokoleń zmazać w jednej chwili,
Rozbroić chmurę gniewu Pańskiego nad domem,
Co gotowa wybuchnąć piorunem i gromem,
Ulżyć własnemu sercu, odrzuciwszy zdala
Kamień grzechu i zgryzot, coć piersi przywala —
Obaczysz... w twojej duszy jaka będzie zmiana,
Gdy wrócisz cudze grunta".
— „Ot, proszę aspana,
Któż powiedział, że z taką wystąpię szczodrotą?
Wszak wdowa po Brochwiczu nie prosi mię o to.
I co powie, mospanie, cnych przodków oblicze,
Po których Dęboroże ojczyste dziedziczę,
Żem uszczuplił odwieczną praojców sadzibę,
Choćby o jeden zagon, choć o jedną skibę..."

XXVI.

Tu definitor powstał, jak w stanowczej dobie,
I ojca po bratersku wziął za ręce obie,
W jego ustach był uśmiech błagalny i słodki:
— „Ej, wara, panie Pawle, wspominać twe przodki!
Bo czy waszmość masz serce, czy masz wasze głowę
Skazywać twoich przodków na męki czyśćcowe?
Widziałeś cień rotmistrza, co cierpi tak srodze;
Czy myślisz, że on dotąd na zbawiennej drodze?
Nie pomogły mu cnoty, ni dzielna odwaga.
Ot, błąka się po nocach i potomków błaga,
Aby zwrócili własność sierocie i wdowie,
Co niesłusznie przywłaszczył. — Czyż dalsi przodkowie
I całe pokolenie parenteli[1]) waszej,
Pan starosta rzeczycki, piwniczy, strukczaszy,
Sprawę przed Panem Bogiem wygrali przemocą?

---

[1]) Rodziny, pokrewieństwa.

Czy tam nie pokutują za krzywdę sierocą?
Czy myślisz, panie Pawle, że zbiór ich katuszy
Nie spadnie na rachunek waszmościnej duszy?
Syn, wnuk i chrześcijanin, szlachcic, jak należy,
Czyż tobie użytkować z owoców łupieży?
Czy to po chrześcijańsku, pytam, czy to pięknie?..."
—„Dosyć... proszę aspana... bo serce rozmięknie" —
Rzekł ojciec, bo go mowa zwyciężyła taka,
I ucierał łzy bujne rękawem kubraka.
Zamyślił się i dodał: „Prawda, prawda święta,
Lecz są ważne przeszkody, są *impedimenta:*[1])
Pro primo[2]) trzeba wyznać i powrócić jawnie,
Co ojciec, dziad i pradziad trzymali nieprawnie,
I za grzechy pradziadów mnie świecić oczyma;
Secundo[3]) starych kopców i śladu już niema,
Cudze mogę powrócić, ale swego szkoda,
Oddaj kurowi grzędę, to zechce ogroda;
Po trzecie... grób rotmistrza — święte przodków kości,
Czyż zostawić na gruncie obcych posiadłości?
Potem... proszę aspana... w szlacheckiej chudobie
Dziesięć morgów nie żarty — pomyśl tylko sobie!
Toż i tak Dęboroże już nas nie przeżywi.
Na taką szczodrobliwość i mój syn się skrzywi:
Bo on po mnie dziedziczy, a z czego żyć będzie?"
— „Gdzie rzecz o cudzą własność, nic niemasz na wzglę-
[dzie! —
(Zawołał definitor ze świętą powagą —)
Bóg dobry — i nikogo nie opuścił nago.
A zresztą choćby żebrzeć przy kościelnej wieży,
Jednak *redde quod debes*, oddaj, co należy!
Ale nie pójdziesz z torbą, już moja w tem rada.
Jest sposób i powrócić grunta do sąsiada

---

[1]) Łac. przeszkody, trudności.
[2]) Po pierwsze.
[3]) Po drugie.

I honor twoich przodków ocalić najściślej,
Że grabieży i zwrotu nikt się nie domyśli,
I syna zaspokoić zręcznie i korzystnie,
Że na oddanie gruntów i słówka nie piśnie.
Słowem — przebłagasz nieba, a dom twój, widocznie
Zubożon krzywdą ludzką, podnosić się pocznie;
Otrzymasz przebaczenie za twe antenaty,[1])
Zysk w niebie, a na ziemi ani na grosz straty“.

XXVII.

— „Jakiż to dziwny sposób — ot, proszę aspana?
Oto ręka szlachecka, niczem nie skalana,
Oto *nobile verbum*[2]), słowa nie zmitrężę.
Daj tylko dobrą radę, miłościwy księże,
A na wszystko przystanę! — Niech odetchnie stary!
Te zgryzoty sumienia, te widma i mary,
Co dawniej mię dręczyły, a dziś mego syna,
Ta domu Dęborogów widzialna ruina —
Och, to mi rani serce okropniej od noża!
Poradź mi!“
— „Niechaj przyszły dziedzic Dęboroża,
A godny syn waszmości za mnie już dogada,
Czy chce wojny, czy zgody z rodziną sąsiada?
Jeżeli jest za zgodą, to niechże obwieści,
Jak ją spełnić bez ujmy rodowitej cześci,
Wedle Boga, sumienia i słuszności całej,
Aby się dusze przodków w Panu radowały“.
— „Jak to zrobić — rzekł ojciec — nie widzę do-[kładnie,
Gdy ja zgadnąć nie mogę, to jakże syn zgadnie?
Wszak starość przed młodością rozumem się szczyci:
Tak trzymali pobożni księża jezuici.

---

[1]) Przodków.
[2]) Słowo szlacheckie.

Przy trockim wojewodzie niech-no się odważy
Młodzieniaszek mieć więcej rozumu co starzy!...“
— „Ot, — rzecze definitor — i ja przy tem stoję,
Starość ma swoje prawa, a młodość ma swoje.
My starzy mamy rozum z doświadczeń i biedy,
A oni sercem widzą — i jaśniej niekiedy;
A więc, gdy nasze mądre nie wiodą się plany,
Podsłuchajmy serc młodych: — tam skarb nieprzebrany!
No, śmiało, panie Janie, niepróżno cię dręczę,
W rozterkach z Brochwiczami daj radę, młodzieńcze!
Podsłuchałem w gorączce twe marzenia chore
I dobrze jestem świadom, gdzie twe serce gore.
Wszakże miłość cnotliwa żadnym nie jest grzechem“.

Tak mówił definitor z łagodnym uśmiechem,
Przywodząc mię za rękę do ojcowskiej ławy,
A jam blednął i kraśniał i drżałem z obawy
Srożej, niżli przed owem rotmistrza widziadłem;
Wreszcie, jak bezprzytomny, na kolana padłem.
— „Ojcze! — rzekłem nieśmiało, jak młode pacholę —
Przebacz, że bez twej wiedzy dałem sercu wolę:
Kocham córkę Brochwicza, bo, chodząc na łowy,
Częstom odwiedzał dworek sieroty i wdowy,
Zawsze mię przyjmowały z uprzejmą słodyczą;
One ród nasz szanują i dobrze nam życzą,
Nie pamiętają krzywdy, co nasi przodkowie...“
— „Ależ, proszę aspana — co aspanu w głowie?
(Przerwał mi ojciec mowę z uśmiechem, lecz srogo —)
Zdaje się taki sensat...[1]) pokochał... i kogo?...
Córkę tych, co od wieków... co może lat dwieście...
Byli nieprzyjaciółmi... Ej, sidła niewieście!!
Oplątać mi młodzieńca, w którym ród nasz tleje
I herbu Dęboroga jedyne nadzieje...

[1]) Poważny.

Bratać się z Brochwiczami!... O, nie! Żart na stronę:
Musisz puścić *per non sunt*[1]) zapały szalone“.
— „Nie, mój ojcze, — odpowiem z błagalnym wyrazem —
Już nie wydrzeć ich z serca, chyba z sercem razem;
Dałem słowo i żadną nie zhańbię się zmianą.
Ja pierwszy pokochałem... i... mnie pokochano:
Święte uczucie serca to nie mary senne,
A miłość nasza czysta, jak niebo wiosenne“.
— „No, zręcznieć ułowiono! — to zuch jakaś dziewa;
Ależ, proszę aspana — przysłowie opiewa,
Że dopóki dwóch rodów, póki starczy świata,
Nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata.
Co tu począć z przysłowiem?
— „Cóżto! Czy my dzieci?“ —
Zawołał definitor — „Ktoś dwa słowa skleci,
To dlatego zapomnieć przykazania Boga!
Cóżto? Związek z Brochwiczem skrzywdzi Dęboroga?
Oba rody szlacheckie przez pokoleń wiele
(Tylko oni skrzywdzeni, a wy krzywdziciele),
W obu domach mieszkańcy poczciwi, choć prości.
Nikt tam nie stawił sideł na syna waszmości,
A wdowa po Brochwiczu, gdy się dowiedziała,
Że serce dwojga młodych wzajemnością pała,
Jak niewiasta szlachecka i wielce pobożna,
Dała uczuć swej córce, że odtąd nie można
Ani widzieć kochanka, ni się pismem znosić,
Chyba przyjdzie Dęboróg sam o rękę prosić
Dla swego jedynaka. I cóż waszmość na to?
Grzechy kończą się karą, a cnota zapłatą.
Pamiętaj, panie Pawle, że kara łupieży,
Że grzech kilku pokoleń na twej głowie leży,
Że dom wasz podupada i — niech Bóg zachowa —
Ostatnia jego gałąź zawiędnąć gotowa.

---

[1]) Uważać za niebyłe.

Młode serce, jak ogień, paląc się, wyniszcza.
Miłyż ci będzie widok domowego zgliszcza?
Po niem błąka się widmo i przemawia do cię:
Redde! Redde quod debes! — Wróć krzywdę sierocie!"

Ojciec zalał się łzami, za rękę go chwyta:
— „Błogosławionyś, księże, jakby jezuita!
Nawet, proszę aspana, trocki wojewoda
Przyznałby, że masz słuszność. — A zgoda już! Zgoda!
Niech się młodzi kojarzą[1]), ja sam tego życzę,
Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze".
To mówiąc, ojciec powstał rzeźwy i ochoczy,
Ucałował mię w czoło i w usta i w oczy,
Modlił się, gdym uściskał rodzicielskie nogi:
— „Boże! coś miał w opiece stare Dęborogi,
Błogosław moje dziecię w jego losu zmianie,
Niech szczęsnym i cnotliwym na zawsze zostanie,
Niech będzie godnym swego herbu i nazwiska".
Potem definitora serdecznie uściska;
Popłakali się rzewnie starcowie weseli
I miodem z czasów szwedzkich tę sprawę zaleli.

XXVIII.

Tak się skończyła sprawa tajemnicza:
Ojciec pojechał do dworku Brochwicza,
Polubił Zosię i jej matkę starą,
Złożył mój afekt[2]) — a serca ofiarą
Nie pogardzono. Tak w jednym obchodzie
I młodym sercom, i rodowej zgodzie,
I cieniom przodków spełniło się zadość.
Było wesele, miód, wino i radość;

---

[1]) Połączą.
[2]) Uczucie.

I sporne grunta, zarośla i pasze
Zlały się w jedno, jak dwa domy nasze.
Młodzi się sercem bez przeszkody dzielą,
A starzy szczęściem młodych się weselą,
Mówią pacierze, lub grają w drużbarta;[1])
A kiedy ojcu poszczęści się karta,
Popija miodek i z ogniem nielada
O wojewodzie trockim rozpowiada.

A gdy już sporna zaorana miedza,
Ksiądz definitor rzadko nas odwiedza:
Choć go błagamy raz, drugi i trzeci,
Aby zamieszkał u nas, jak u dzieci,
Ale ze starcem sprawa nie tak łatwa.
Mówi: że cała społeczność mu dziatwa,
W niejednej wiosce i niejednym dworze
Są nieszczęśliwi, a któż im pomoże?
Tam sąsiad cierpi niechęć do sąsiada,
Tam ktoś w rozpaczy na duchu upada,
Tam pełno starych i chorych łazarzy, [2])
Któż ich nawiedzi, kto ziółek nawarzy?
A tam już może puka kto we wrota
O pokarm ciała lub o chleb żywota.
Ksiądz wszędzie czuwa, zasila i strzeże,
Bronuje pole i mówi pacierze.

XXIX.

Żyjąc w miłości i bojaźni Bożej,
Widmo rotmistrza nigdy nas nie trwoży.
Gdzie stała jego mogiła wśród pola,
Dzisiaj kaplica z modrzewiu i sosny:

---

[1]) Gra w karty.
[2]) Biedaków.

Tam, gdy domowa dola lub niedola,
Idziem się modlić, a Pan Bóg litosny,
Czy głód, czy wojna, czy grad, czy posucha,
Zawsze gorącej modlitwy wysłucha,
Albo odwróci, gdzie groziła szkoda,
Lub serce wzmocni i otuchy doda.

Epilogos do drugiego wydania.

Kiedym przed dwoma laty (toć niedawne czasy)
Oddawał Dęboroga pod drukarskie prasy,
Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,
Że je tak dobrem sercem łaskawie przyjmiecie.
Dziś, kiedy rozrzewniony, jak na dłoni baczę,
Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze,
Że można choć niekształtnie złożonemi rymy
Zagrać na waszych sercach, kreśląc kraj rodzimy,
Rumieniec zawstydzenia do twarzy mi bije,
Żem tak mało ulepszył drugą edycyję.
Może przynajmniej z łaskł posłuchać zechcecie,
Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.

Stary Dęboróg umarł ku powszechnej szkodzie,
Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojwodzie;
Ale, proszę aspana, jako człowiek święty,
Oczyszczony pokutą, wzmocnion sakramenty,
Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbownej rzeszy,
Ze trockim wojewodą pospołu się cieszy:
Bo tam już stary Brochwicz, niegdyś wódz pancerny,
Wymodlił mu w niebiesiech dekret miłosierny,
I oba, z wyżyn patrząc na litewską stronę,
Błogosławią swych herbów tarcze skojarzone.
Dąb, godło Dęborogów jest ozdobą lasa,
Jeleń w herbie Brochwicza posuwisto hasa,

I trójga małych wnuków nowe pokolenie
Rośnie krzepkie, jak dęby, zwinne, jak jelenie.

Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;
Naprzykład: wierzył mocno w katechizm jedyny,
Że szlachcic stworzon z inszej, a chłop z inszej gliny.
Przebaczmy starej głowie, przebaczmy tem szczerzej,
Że dziś, po jego śmierci, nikt temu nie wierzy:
Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości,
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości;
W wioskach, słyszę, dostatek, wyplenione chwasty,
Zakwitnął bujem kwieciem nasz wiek dziewiętnasty;
Obruszać się na szlachtę níe miałby sposobu
Nawet ksiądz definitor, gdyby powstał z grobu.

Och, bo już upłynęła druga wiosna pono,
Jak grób jego porasta darniną zieloną.
Młodzi Dęborogowie i naród[1]) zdaleka
Odwiedzają mogiłę świętego człowieka.
O nim serdeczna pamięć łzy im sączy z oka,
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,
A przykład jego cnoty nie zaginął marnie,
Bo długo jeszcze będzie umacniać owczarnię.
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;
Lecz dzisiaj kościół święty, prawowiernych matka,
Liczy garstkę pasterzów sporą a przykładną,
Co własne swoje dusze za owczarnię kładną,
Co pracują na polu, znoją się w kościele,
Dzielą ze smutnym smutek, z wesołym wesele,
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,
A lud boży przykładnie ich nauki słucha,

---

[1]) Lud.

Z ich serca, jak ze źrzódła[1]), czerpiąc dobre wzory
Dostojnego ubóstwa i świętej pokory.
Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości.
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości!
Ty zasię, strojna w barwę różową, tęczową,
Młoda jutrznio postępu, świtaj nam nad głową!
A gdy już twoje słońce u południa stanie
I oświeci grobowej ciemności otchłanie,
Gdy promienni twem światłem zajrzym ku podziemi,
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszemi.
Bo biada naszej głowie i twym blaskom biada,
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada
I głosem uroczystym zagrobowej miary
Rzecze: „*Redde quod debes*, płaćcie dług wasz stary!...
Spuściliśmy, prostacy, naszą piękną stronę
Na wasze ręce silne, na głowy uczone;
Od zgonu waszych przodków do dzisiejszej chwili
Obliczcie, coście wzięli, coście przymnożyli.
Musi być w wasze czasy, które postęp budzi,
I więcej kwiatów w polu i cnót w sercach ludzi;
Lubiliśmy procesa i pieniacze[2]) matnie,[3])
U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie;
Równych synów ludzkości, odkupionych z krzyża,
U was pycha herbowna pewno nie poniża;
Porzuciliście puhar[4]), co ku złemu kusi,
Z trzeźwych piersi modlitwa gorętszą być musi;
A jako Bóg nagradza cnotę zasłużoną,
Toć i wasze niebiosa błękitniejsze pono...“
Oh, boleśno posłyszeć taki głos z mogiły.
Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,

---

[1]) Dawniejsza forma = dzisiejszemu „źródła“.
[2]) Procesowe. — Pieniacz = uparty procesowicz.
[3]) Krętactwa.
[4]) Po pijackiej epoce saskiej nastąpił zwolna okres trzeźwości. Zaznaczyło się to już za czasów Stanisława Augusta.

A choć — zda się — dokoła zielone przestworza,
Po trawce nie rozeznać kąkolu od zboża.
A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrząkiwa,
Bo nie zgadnie, do jakiej nastroić się nuty,
Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

Dnia 7 maja 1855.

Nr. 69 BIBLJOTEKA NARODOWA Serja I

WŁ. L. ANCZYC

POEZJE PATRJOTYCZNE
i
KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI

OPRACOWAŁ
PROF. JAN ST. BYSTROŃ

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1924.

WSTĘP

I

ŻYCIORYS

Władysław Ludwik Anczyc urodził się w Wilnie dnia 12 grudnia 1823, z ojca Zygmunta i matki Barbary z Hrehorowiczów, obojga artystów dramatycznych. Rodzina Anczyców wywodzi się z Saksonji; von Anschütz, oficer wojsk saskich, otrzymał z początkiem XVIII w. indygenat polski z herbem Ancuta i pozostał w Polsce; jego to wnukiem był Zygmunt, ojciec Władysława Ludwika. Anczycowie byli ewangelikami wyznania augsburskiego i sam jeszcze Władysław chrzczony był w kościele ewangelickim, chociaż następnie wychowywany był w duchu i religji katolickiej. Niedługo po urodzeniu syna przeniósł się Zygmunt Anczyc do Warszawy, gdzie grywał w »Rozmaitościach«, a w półtora roku później, w jesieni 1826, do Krakowa. Całe więc niemal dzieciństwo i całą młodość spędził Władysław Anczyc w Krakowie; tu też spędził — poza paroletnim pobytem w Warszawie — wiek dojrzały i tu też dokonał pracowitego żywota; a podobnie jak w życiu, ak też i w twórczości jego stare to miasto wielkie niało znaczenie.

Wychowanie otrzymał Władysław Anczyc staanne. Ojciec był człowiekiem wykształconym i chętnie

zajmował się synem, ucząc go początków nauk przyrodniczych i historji, zwłaszcza starożytnej i polskiej; matka zajęła się wychowaniem religijnem, a stara piastunka domowa, Brzozowska, drobna szlachcianka z Białejrusi, podniecała fantazję chłopca opowieściami i baśniami ludowemi; różnorodne te wpływy widzimy później w twórczości artystycznej Władysława Anczyca. Z czasem zaczął czerpać młody Anczyc i z książek: pierwszą z nich były *Bajki* Krasickiego, następną ulubiony *Robinson,* którego miał z czasem udostępnić młodzieży polskiej w znakomitej przeróbce, a dalej szeroka literatura podróżnicza, w której tak gustuje bohatersk[i] okres młodości. W latach 1836—1839 uczęszczał Anczyc do liceum św. Anny; ukończywszy cztery klas[y] z dobrym postępem, przerwał studja i zaczął praktyk[ę] farmaceutyczną, gdyż wymagały tego coraz to trudniejsze warunki bytu materjalnego rodziny. Nie przestaj[ąc] jednak się uczyć, składa egzamin dojrzałości w liceu[m] św. Anny, a studjuje dalej farmaceutykę w Uniwersytecie Jagiellońskim, którą kończy w 1847 roku z stopniem magistra.

Wcześnie zaczynał też Władysław Ludwik sw[ą] karjerę literacką. Jeszcze na ławie szkolnej w liceu[m] św. Anny będąc, jako 15-letni chłopak napisał wiers[z] satyryczny *Goście u Olka,* zwrócony przeciwko jednem[u] z kolegów szkolnych, a wyśmiewający obyczaje prze[d]mieszczan krakowskich. W niewielkim tym utwor[ze] widzimy już wyraźnie te cechy, które były charakt[e]rystyczne dla talentu Anczyca i które mu miały n[a]stępnie zdobyć popularność i sławę: żywość akcji, b[y]strość obserwacji, wybitny komizm sytuacyjny, boga

two słownictwa charakteryzującego postaci, łatwość wysłowienia i rymu. W późniejszych już nieco latach, w chwilach wolnych od pracy w aptece, tłumaczy Władysław Ludwik — za przykładem ojca — sztuki teatralne niemieckie dla potrzeb krakowskiej sceny.

Nadeszły lata rewolucyjne — 1846 i 1848. Anczyc brał udział w próbie powstania w Krakowie w lutym 1846, brał też udział w nieszczęśliwej procesji podgórskiej pod wodzą Edwarda Dembowskiego, zmasakrowanej zdradziecko przez Austrjaków. Uniknąwszy szczęśliwie śmierci, dostał się do więzienia, gdzie 14 miesięcy przesiedział. Wtedy to przypuszczalnie, może też nieco później, powstały dwa wiersze, odnoszące się do wypadków 1846 r., ogłoszone drukiem w r. 1849. Jest to *Emisarjusz* i *Zbój galicyjski*. W pierwszym opisuje młody poeta dzieje agitacji Edwarda Dembowskiego wśród ludu, w drugim przedstawia spowiedź chłopa, uczestnika bratobójczych mordów pod wodzą austrjackich urzędników. Echem wiadomości o ruchach rewolucyjnych na Zachodzie jest *Wiersz do króla pruskiego, napisany przy zdobyciu arsenału dnia 14 czerwca 1848 w Berlinie*, i *Śmierć republikanów dnia 24 czerwca 1848* (dotyczący wypadków paryskich). Utwory te są naogół słabe; najlepszym jest niewątpliwie *Emisarjusz*. W tym też czasie wydaje Anczyc kilkanaście numerów ulotnego pisemka satyrycznego *Dodatek do Świstka*, w duchu rewolucyjnym.

W końcu 1848 r. obejmuje Anczyc posadę adjunkta przy katedrze chemji i farmacji; nie porzuca jednak pióra. Zwraca się teraz do teatru, z którym wciąż (przez ojca, artystę i autora dramatycznego) po-

zostaje w żywych stosunkach; próbuje wystawiać sztuki które nie znalazły uznania i dziś są nam znane z tytułów tylko *(Biurokracja, Wygnaniec)*. Z chwilą jednak gdy zwrócił się ku tematom ludowym, do których z zamiłowania, znajomości terenu i bystrości obserwacji wybitne miał uzdolnienie, uzyskał znaczny sukces. W r. 1849, a więc jako 26-letni młodzieniec, wystawia na scenie krakowskiej *Chłopów arystokratów*. Sztuka, oparta na prawdziwem podłożu, wprowadzająca na scenę ostro skreślone charakterystyczne postaci chłopów, obfitująca w sceny zabawne, musiała uzyskać powodzenie, którem do dziś dnia jeszcze się cieszy, mimo, że przedziela nas od niej siedmdziesiąt parę lat szybkiego postępu wsi galicyjskiej. Zachęcony powodzeniem, wystawia młody autor nowe sztuki, próbuje przeróbek dramatycznych powieści Korzeniowskiego, tym razem bez powodzenia; równocześnie opracowuje popularno-naukowe książeczki dla ludu. W r. 1851 przechodzi do dramatu historycznego; *Swaty królewskie*, z czasów Sobieskiego, oparte w pomyśle o powieść Amilkara Kosińskiego (dopiero w wydaniu zbiorowem ogłoszona drukiem), nie utrzymały się na scenie mimo niewątpliwych zalet utworu, które winny się były uwydatnić na tle szarzyzny ówczesnego repertuaru teatrów polskich. Na rok ten przypada również ślub Anczyca z Teklą Bryniarską, córką żołnierza z 1831 r., a w związku z tem wzmożona praca zarobkowa w innych zakresach, bardziej niż literatura popłatnych. Dopiero pod koniec 1854 r. próbuje znów pióra za inicjatywą Karola Estreichera, i to nader szczęśliwie; *Łobzowianie* zostali przyjęci przychylnie

a za nimi poszli *Flisacy* wczesną wiosną 1855 r., *Błażek opętany* na sam początek 1856 r. Utwory te, żywe i charakterystyczne, znalazły szczery poklask i do dziś dnia są grywane na scenach ludowych. Dramat historyczny *Andrzej Batory*, również z początkiem 1856 r. wystawiony, jak i późniejsze okolicznościowe fraszki nie zdołały się utrzymać. Praca dla teatru nie była rentowna; Anczyc jeździ czas pewien do Wiednia i na prowincję w sprawach teatralnych (jest sekretarzem trupy prowincjonalnej), zakłada fabrykę octu w Sukiennicach, aż wreszcie postanawia przenieść się do Warszawy, gdzie można było daleko łatwiej wyżyć z pracy literackiej. Od końca 1858 r. jest więc Anczyc w Warszawie, zajęty wytężoną pracą publicystyczną; podnieść należy jego współpracownictwo w pierwszych rocznikach założonego właśnie *Tygodnika Illustrowanego*, *Encyklopedji* Orgelbranda, a zwłaszcza redakcję *Kmiotka*, pisma dla ludu, którą prowadził od r. 1861 do 1866, jako Kazimierz Góralczyk, oraz redakcję *Przyjaciela dzieci*. Wśród licznych prac dziennikarskich (informacyjnych, popularnych, humorystycznych, satyrycznych) znajduje jednak czas i siły na twórczość wyższej próby. W lecie 1861 roku powstaje *Tyrteusz*, dzieło wysokiego natchnienia poetyckiego, najcenniejsze z całej twórczości poety. Na wysokim poziomie stoi też *Uczta wyzwoleńca*, dłuższy poemat, również nawiązujący wywołane obrazy przeszłości do chwili bieżącej, w przeddzień powstania. Po wybuchu styczniowym powstają *Pieśni zbudzonych*, 26 pieśni powstańczych, jużto programowych, jużto rodzajowych, jużto wreszcie opisujących konkretne zdarzenia walk powstańczych:

poezje to nierównej wartości. Poeta nie brał udziału czynnego w powstaniu, stąd też *Pieśni zbudzonych* mają charakter bardziej programowy, agitacyjny, aniżeli śpiewek obozowych, jedynie *Pieśń Strzelców* (zaczynająca się od słów: »Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały«), trafiająca we właściwą nutę powstańczą, stała się jedną z najulubieńszych pieśni narodowych, zwłaszcza w czasach ostatniej wojny; melodja tej pieśni jest również układu Anczyca.

Po powstaniu pozostaje autor *Tyrteusza* jeszcze parę lat w Warszawie, pisując obficie do *Tygodnika Illustrowanego, Wędrowca, Bluszczu*, redagując *Kmiotka*, a po jego zwinięciu *Przyjaciela dzieci*. Coraz to bardziej staje się Anczyc autorem książek dla ludu i dla dzieci; wydaje ich w tym czasie dużo: umoralniających, przyrodniczych, historycznych; z nich zwłaszcza *Dzieje Polski* dla włościan, a *Księga odkryć geograficznych* i opracowanie *Robinsona* ukazały się w kilkunastu wydaniach.

Z końcem 1867 r. wraca Anczyc do Krakowa. Pisuje dalej do pism warszawskich, tłumaczy i przerabia dla teatru, wydaje nowe dziełka ludowe; doraźnie współpracuje w rozmaitych przedsięwzięciach literackich (i finansowych — jest sekretarzem banku parcelacyjnego, potem księgarzem, wreszcie ostał się jako właściciel drukarni). W r. 1876 powstaje wielki dramat ludowy *Emigracja chłopska*, odznaczony nagrodą konkursową, oparty na rzeczywistem podłożu, oświetlający jaskrawo tę coraz bardziej piekącą sprawę emigracji ludu i wyzyskiwania go przez zbrodniczych ajentów wychodźczych; sztuka uzyskała powszechne uznanie.

Na tle społecznem osnuł Anczyc również dramat *Rozbitki*, opisujący stosunki małomiejskie, który jednak pozostał w rękopisie.

Największy jednak sukces uzyskał Anczyc, wystawiając w r. 1880 *Kościuszkę pod Racławicami*. Niebywałe, fenomenalne wprost powodzenie sztuki było nagrodą zasłużonego pisarza za długoletnią, wierną i uczciwą pracę dla narodu. *Kościuszko* jest pomyślany bardzo szczęśliwie; sam temat trafnie wybrany, różnorodność sytuacyj i osób działających, umiejętne wyzyskanie efektów komizmu i patosu, wciągnięcie w współdziałanie na scenie przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa, stworzyły całość, która musiała się podobać. Talent sceniczny autora święcił tu najwyższe triumfy; jest to wzorowa sztuka repertuaru dla szerszych sfer.

Były to już ostatnie lata pracowitego życia Władysława Ludwika Anczyca. Nie przestał pracować; już śmiertelnie chory pisze jeszcze wielki dramat historyczny *Jan III pod Wiedniem*, przeznaczony dla uświetnienia rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Sztukę tę wystawiono już po śmierci autora, który zasnął snem wiecznym w Krakowie 28 lipca 1883 r.

II

POEZJE PATRJOTYCZNE

Emisarjusz powstał niedługo po nieszczęśliwych wypadkach 1846 r., być może jeszcze w więzieniu, w którem Anczyc zgórą rok przebył; drukowany był osobno, bez podania roku.

Emisarjuszem jest Edward Dembowski (ur. w r. 1822) jeden z najruchliwszych agitatorów politycznych i społecznych lat czterdziestych. Syn zamożnych rodziców, człowiek bardzo uzdolniony, otrzymuje staranne wykształcenie i w bardzo młodym jeszcze wieku zaczyna rzutką i różnostronną pracę publicystyczną. W r. 1842 zakłada w Warszawie poważnie redagowany *Przegląd Naukowy,* gdzie umieszcza liczne artykuły treści filozoficznej i literackiej, następnie przenosi się do Poznania, pisząc wciąż dużo, pospiesznie, ale z bojowym temperamentem zapalonego wyznawcy idei demokratycznych i wolnościowych; w tym czasie wydaje prócz szeregu innych prac *Piśmiennictwo polskie w zarysie,* pierwszą próbę ujęcia całości historji literatury polskiej. Wciągnięty w wir pracy konspiracyjnej, wyjeżdża zagranicę, a następnie jest emisarjuszem w Galicji, gdzie prowadzi zręczną propagandę za powstaniem, przybierając na się najchętniej postać wędrownego przekupnia. W rewolucji lutowej bierze czynny udział na jednem z naczelnych stanowisk; prowadząc procesję przeciwko podburzonym chłopom, którzy, wyciąwszy oddział powstańczy w Gdowie, ruszyli na Kraków, padł od kuli austrjackiej (w procesji tej, jak wiadomo, także młody Anczyc brał udział). Zwłok Dembowskiego nie zdołano odnaleźć, stąd też powstały legendy, że nie zginął, że ukrywa się pod obcą postacią i dalej prowadzi wśród ludu propagandę. Do tych to opowiadań nawiązuje Anczyc.

Tyrteusz powstał w kilkanaście lat później, w lipcu 1861 r., w atmosferze ożywienia uczuć patrjotycznych i konspiracyjnych przygotowań nowego ruchu zbroj-

nego. Pomysł zaczerpnięty jest z historji greckiej; od lat dziecinnych miał Anczyc zamiłowanie do dziejów klasycznych, które zawdzięczał nauce ojca, a bezpośrednio przed napisaniem *Tyrteusza* przygotowywał artykuł o dziejach greckich do *Encyklopedji* Orgelbranda. Opowieść o pieśniarzu, który pieśnią swą zdołał zbudzić do czynu zwątpiałych i zapewnić im zwycięstwo, pobudziła Anczyca do twórczości w wielkim stylu; *Tyrteusz* jest niewątpliwie najlepszym utworem poetyckim Anczyca. Krytyka literacka przyjęła poemat z pełnem uznaniem, wyrażając żal, że autor tego talentu rozprasza swe siły w drobnej, codziennej, pospiesznej twórczości: dla chleba.

Tyrteusz oparty jest na tradycjach, dochowanych nam u pisarzy starożytnych. Sam Anczyc daje nam takie objaśnienie:

Arystomenes, wódz messeński, pobiwszy w wielu bitwach Spartanów i ciężkie zadając im klęski, dla dopełnienia miary hańby nieprzyjaciół, przyszedł potajemnie w nocy do Sparty i na drzwiach świątyni Ateny zawiesił zdobytą tarczę z napisem »Arystomenes, zabrawszy wielkie łupy Spartanom, tarczę tę poświęca bogini Atenie«. Zabobonni Spartanie nadzwyczaj się przelękli i posłali do wyroczni delfickiej, a ta kazała im, jeśli nie chcą zginąć, wezwać pomocy Ateńczyków. Zazdrosna rzeczpospolita nie chciała dopomóc Sparcie i jedynie przez bojaźń bogów posłała im, jako wodza, Tyrteusza poetę.

Dodać można, że druga wojna messeńska przypada na lata 685—668 przed Chr.; sam zaś Tyrteusz był autorem elegij, które nawoływały Spartan do zgody i waleczności, a które częściowo do dni naszych się zachowały.

Na *Tyrteuszu* widzimy znaczny wpływ Mickiewiczowskiego *Konrada Wallenroda*; tak np. scena, w której Tyrteusz uśmierza gniew Spartan, przypomina Halbana, który wzrokiem uspokaja gniew Konrada; nastrój sceny przed zaczęciem pieśni Tyrteusza i śpiewu Wajdeloty jest również podobny.

Pieśni zbudzonych powstały w r. 1863, w czasie powstania. Anczyc nie brał czynnego udziału w walkach, był natomiast wciągnięty w pracę organizacyjną; śledząc żywo tok wypadków i związany sercem ze sprawą powstania, w którem brał udział i zginął brat jego młodszy Stanisław, tworzy pieśni, które miały być hasłem bojowem. Niewątpliwie tu pragnął być Anczyc Tyrteuszem powstania. Utwory to o nierównej wartości; tworzone pospiesznie, pod wpływem chwili, nie mają jednak, rzecz prosta, tego uroku bezpośredniego, jaki wieje z *Pieśni Janusza* Winc. Pola lub z tylu innych liryk powstańczych, niejednokrotnie nawet nieudolnych, lecz powstałych zdala od biurka redakcyjnego. Najwięcej daje Anczyc pieśni programowych: *Rodakom, Do Ojczyzny, Wstęp do pieśni, Hymn, Zorza wolności, Burza, Do Rządu Narodowego, Do Moskwy, Suum cuique, Szubienica;* z bojowych wieczną trwałość uzyskała *Pieśń Strzelców,* oryginalna, silna, żołnierska; inne *(Pieśń bojowa, Pieśń rzemieślników polskich, Śpiew kmieci polskich)* są raczej blade (motywy *Pieśni rzemieślników,* gdzie każdy rzemieślnik swoją bronią zwalczać ma wroga, spotykamy później zręcznie użyte w *Kościuszce pod Racławicami).* Do opisowych należą *W Świętokrzyskim lesie* (zręczna agitacja w stylu ludowego dialogu, jedyna współcześnie publikowana pieśń

zbioru), *Rozboje Moskwy, Lelewel, Jeniec, Sosnowce, Poranek w borach Litwy, Żandarmy, Carska psiarnia,* oparte na konkretnych faktach: witał tu poeta bohaterski oddział ks. Mackiewicza na Litwie, opisywał dzieje walecznego Lelewela-Borelowskiego, przedstawiał pełną godności śmierć Kazimierza Wolskiego i t. d. Nie brak i obrazków rodzajowych, jak *Ułan, Narzeczeni.*

Pieśni zbudzonych pomyślane były jako utwory, mające mieć bezpośrednie, aktualne znaczenie: miały one wytwarzać nastrój przychylny dla powstania. Nie miały one jednak znaczenia aktualnego: nie były śpiewane w oddziałach powstańczych, nie służyły też agitacji, skoro drukiem (poza jedyną pieśnią *W Świętokrzyskim lesie,* która wyszła współcześnie w Krakowie, 1863, pod tytułem: *Trzech Moskali, opowiadanie Walentego Kurka, kosyniera z pod Bodzentyna)* zostały ogłoszone dopiero przed niedługim czasem. Jedna jedyna *Pieśń Strzelców* uniknęła niepamięci i jest dziś jedną z najpopularniejszych pieśni narodowych.

III

»KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI«

DZIEJE UTWORU

Kościuszko pod Racławicami dedykowany jest »Teofilowi Lenartowiczowi, którego śliczny poemat *Bitwa Racławicka* dał mi pierwszą myśl napisania tego obrazu«. W liście zaś do Lenartowicza z r. 1881 pisze Anczyc: »Kiedy czytałem pierwszy raz Twoją *Bitwę Racławicką,* rozpłakałem się i mówiłem: cóżby to za cudowna rzecz była, gdyby można ją odczytywać lu-

dowi żywem i ciepłem słowem«. Nie było to zadaniem łatwem: ludowi udostępnić żywą i aktualną treść historji narodowej. Trzeba było znać dokładnie duszę ludu, jego poziom umysłowy, wiedzieć, jaką drogą doń trafić; trzeba było z drugiej strony być biegłym mistrzem teatru, aby móc dać rzecz zajmującą i zdolną porwać liczne rzesze słuchaczy. Anczyc wyzyskał tu wybornie swe kwalifikacje pisarza patrjotycznego i autora sztuk teatralnych, dając w *Kościuszce* utwór, który w repertuarze sztuk patrjotycznych stoi na pierwszem miejscu.

Poemat Lenartowicza ukazał się w *Dzienniku Literackim* za rok 1860, nr. 11—13. W całej, obfitej twórczości Lenartowicza jest to niewątpliwie najlepszy utwór, najbardziej może bezpośrednio odczuty, najsubtelniejszemi nałożony barwami, najżywiej przemawiający do serc pokolenia, dla którego sen o powszechnej walce o wolność narodu był najświętszem marzeniem. Nie dziwimy się też, że wywarł on tak wielkie wrażenie na Anczycu, skoro do dziś dnia, mimo zmienionych warunków i odmiennych gustów literackich, przemawia on do nas tchnieniem szczerej poezji i sentymentem tego, co minęło bezpowrotnie, a pozostało tak drogie. Poemat to jednak, który mógł dać Anczycowi tylko impuls, nie mógł dać materjału, ani pomysłu, gdyż był za skąpy w treści; jest to raczej poemat liryczny, złożony z szeregu obrazów, w których poprzez mgłę rozmarzenia poety nie możemy dojrzeć wyraźnie szczegółów. Szczęśliwy traf zrządził, że w tymże roczniku *Dziennika Literackiego* znalazł Anczyc obrazek historyczny Józefa Szujskiego p. t. *Ostatnia nobilitacja,*

w którym Szujski, opierając się na wspomnieniach, tradycyjnie przechowanych w jego rodzinie, opisuje, co to się działo w Rzędowicach, gdy włościanie pod wodzą Bartosza wyruszali na wojnę i bezpośrednio po bitwie racławickiej, gdy to Kościuszko zatrzymał się we wsi i nadał szlachectwo Bartoszowi. Bogactwo szczegółów, umiejętnie wyzyskanych przez świetnego narratora, musiało Anczycowi przybliżyć temat; od podniosłej liryki Lenartowicza należało zstąpić do teatru, a drogę ku temu wskazywała opowieść Szujskiego.

Wyruszenie włościan na wojnę, nastroje dworu w Rzędowicach i nobilitacja bohaterskiego włościanina nie mogły jednak starczyć; mogły być one tylko wplecione w sztukę, przyczem nobilitacja z natury rzeczy nadawała się wybornie na efekt końcowy. Należało jednak przedstawić na scenie przysięgę Kościuszki i samą bitwę racławicką. Tutaj znalazł Anczyc cenny materjał w *Pamiętniku* Filipa Lichockiego, prezydenta miasta Krakowa z r. 1794, wydanym w Poznaniu w r. 1862. Nie ma ten pamiętnik wielkiej wartości dla historyka, zaledwie parę przyrzuca drugorzędnych szczegółów; dla artysty jednak, któremu właśnie zależało na uniknięciu szablonu historycznego, na podkreśleniu kolorytu lokalnego i ożywieniu akcji, wspomnienia Lichockiego, człowieka patrzącego na krótką metę, ale drobiazgowo i wyraźnie, były bardziej przydatne niż tomy publikacyj historycznych.

Pierwsza redakcja *Kościuszki pod Racławicami* powstała koło r. 1870 na prośbę dyrektora sceny lwowskiej Miłaszewskiego; cenzura nie dozwoliła jednak na wystawienie tej sztuki. Gdy w r. 1880 dyrektor teatru

krakowskiego Rychter zwrócił się do Anczyca z propozycją wystawienia *Kościuszki,* autor, przejrzawszy rękopis, uznał, że należy go gruntownie przerobić. »Pierwotna sztuka jest rozwlekła i nudna, tło historyczne niedokładnie nakreślone, oddziały niepołączone z sobą jednolitą nicią« — pisze o niej sam autor. Przystąpił więc do przeróbki, która miała zapewnić ciągłość konstrukcyjną, a przybliżyć się do rzeczywistości: »zachowując pierwotną myśl i układ sceniczny, usiłowaliśmy streszczeniem, wyrzuceniem niepotrzebnych, zbyt wyegzaltowanych, a więc nieprawdopodobnych porywów, mianowicie u ludu, budzącego się zaledwie do życia, prawdziwiej nakreślić epokę powstania kościuszkowskiego«. W krótkim czasie dokonał Anczyc przeróbki; 26 grudnia 1880 r. ukazał się *Kościuszko pod Racławicami* po raz pierwszy na scenie krakowskiej, osiągając triumfalne sukcesy. O przedstawieniu tem pisze sam Anczyc w liście do Lenartowicza (z daty 28 września 1881 r.):

Kiedy po raz pierwszy grano *Kościuszkę,* to zrazu pierwszą połowę oddziału pierwszego przyjęto z zajęciem, lecz chłodno — ale gdy pojawiły się na rynku krakowskim tłumy zbrojnych rzemieślników, poczciwi szewcy i rzeźnicy, zapał począł się budzić, a podczas przysięgi Kościuszki ogarnęło tłumy wzruszenie niewysłowione. Nie mówię o drugim oddziale, w którym dziki śpiew, rozpasanie Moskali grozą przejęło publikę — ale pragnąłbym, abyś mógł być świadkiem płaczu i łkania starych i młodych, gdy Jan lirnik, przy akompanjamencie muzyki Twój przecudny deklamuje ustęp.

Cisza, połykają każde słowo, a tylko łzy spływają po twarzach. Jakie zaś wzruszenie, niech Ci to posłuży za dowód, że gdym na pierwszem przedstawieniu poszedł podzię-

kować aktorowi za prześliczne wypowiedzenie tego ustępu — zastałem go ryczącego spazmatycznym płaczem i nie mogącego przyjść do siebie, tak był do głębi duszy przejęty. O gdybyś słyszał ze sceny potęgę własnego słowa i widział topniejące we łzach serca publiczności! Ja stary — dziś już się ostrzelałem, ale na pierwszych przedstawieniach płakałem jak dziecko. Obraz cudowny — pod lipą starzec, otoczony kobietami i dziećmi — dokoła gromada chłopów, krakusów w białych sukmanach, w czerwonych czapkach, połykających każde słowo, a na czele Bartosz Głowacki, — taki, jakiegobyś sobie tylko mógł życzyć, pełen dziarskości i ognia; a kiedy zawoła: »dalej ludu wiejski! chwytaj cepy i kosy — Jezus Maryja! do broni, do broni!« to dreszcz przejmuje publiczność i grzmot oklasków wstrząsa salą — jak gdyby to była rzeczywistość.

Błogosławieństwo wychodzących na wojnę kosynierów, przy kościelnym śpiewie chylących się do ziemi, także wzrusza do głębi. Zdobycie baterji i zakończenie sztuki niewypowiedziane budzi ciepło.

Na przedstawienia zjeżdżają się z odległych okolic, z Królestwa przekradają się, a i Moskale przyjeżdżali, naturalnie srodze zirytowani. Poczciwi studenci na pamięć całą sztukę umieją — ta młodzież ziewająca na *Konfederatach*, rozgrzała się szlachetnym ogniem patrjotyzmu. Rozkosz patrzeć nie na scenę, ale na publikę. Żydzi pysznią się Abrahamem — a gdy raz kilkudziesięciu chłopów z okolicy zwieziono i parter rumienił się chłopskiemi czapkami »jakby nasiał maku« — to trudno opisać wrażenie, jakie na nich wywarła sztuka. Całość ich nie ogarnęła, ale Kościuszko i Bartosz — za każdem wejściem walili im brawo i w głos uwagi robili. Jakiś zaś gospodarz o trzy mile przyjechał z żoną, a gdy mu powiedziano, że już biletów niema, zawołał: O panie, mnie ta nie idzie o pieniądze — jà dàm i po papierku od osoby, ale musiwa widzieć Bartosa, bo juz o nim takie cuda opowiadają we wsi, ze się nie rusę stąd, az mię puścicie!

Ale dość tego, wcale nie piszę, aby mi się zdawało,

żem coś nadzwyczajnego stworzył, ale abym się z Tobą podzielił tą wielką radością, że mimo gwałtownego tępienia cieplejszych uczuć — mimo nowoczesnych naszych historyków, plwających na naszą przeszłość, mimo materjalizmu, ogarniającego dzisiejsze społeczeństwo — szlachetna i święta miłość Ojczyzny goreje w sercach narodu — poczciwe uczucia nie wygasły — a postać Kościuszki, niby jakaś święta, legendowa, unosi się nad rozszarpanym narodem i wylewa nań promienie ciepła«.

Czterdzieści parę lat minęło od tej chwili, a dotąd *Kościuszko pod Racławicami* jest w stałym repertuarze każdego z teatrów polskich. Wraca on zawsze na afisz w dnie świąt narodowych i wielkich uroczystości; jest najchętniej grywaną sztuką teatrów ludowych; jest wreszcie pierwszem przedstawieniem teatralnem, na które się prowadzi dzieci.

TŁO HISTORYCZNE »KOSCIUSZKI«

Jesteśmy w przededniu upadku Rzeczypospolitej; Racławice, to ostatni promień chwały Polski niepodległej. Wypadki idą po sobie z zawrotną szybkością. Pamiętna konstytucja, jako owoc prac sejmu czteroletniego, przynosząca szereg racjonalnych reform, ogłoszona została 3-go maja 1791; żywioły reakcyjne łączą się celem obalenia postępowej konstytucji, tworząc Konfederację targowicką, pod opieką rosyjską. Kampanja polsko-rosyjska w lecie 1792 mimo bohaterstwa ks. Józefa Poniatowskiego (zwycięstwo pod Zieleńcami) i Tadeusza Kościuszki (bitwa pod Dubienką) wykazała coraz to większą przewagę wojsk rosyjskich, co widząc Stanisław August, przystąpił również do Konfederacji targowickiej. Patrjotom, organizującym czynnie

walkę zbrojną, opadły ręce; naczelny wódz wojsk polskich, ks. Józef, jenerał Kościuszko i wielu innych podało się do dymisji i wyjechało zagranicę, gdzie również udało się wielu dostojników cywilnych, przeciwników polityki króla. W r. 1793 następuje drugi rozbiór, oddający ogromne połaci ziem polskich Rosji i Prusom; pod presją Rosji obradujący sejm grodzieński ratyfikuje rozbiór i uchwala nową konstytucję, znoszącą reformy majowe.

W kraju pohańbionym, wynękanym przez rekwizycje wojsk rosyjskich i pruskich, przechodzącym ciężki kryzys gospodarczy, zaczęły się rodzić myśli zbrojnego powstania przeciwko najeźdźcom. Plany takie rodziły się wśród wojskowych, którzy z bólem patrzeli na upadek wojska, wśród zwolenników reform Konstytucji 3-go Maja, do których należeli najlepsi i najświatlejsi ludzie, wreszcie wśród mieszczan, którym konstytucja grodzieńska odjęła niedawno uzyskane przywileje, a którym dokuczały nieznośnie kwatery i rekwizycje wojsk rosyjskich; idee wielkiej rewolucji francuskiej: walka tyranom, wolność, równość i braterstwo, były hasłami chwili. Jako dyktator walki zbrojnej upatrzony był za powszechną zgodą Tadeusz Kościuszko, wsławiony walkami w obronie wolności Stanów Zjednoczonych, później jeden z wodzów kampanji z r. 1792, znany ze swych demokratycznych i wolnościowych przekonań. Przebywał on wówczas zagranicą, oczekując chwili powrotu do kraju w stosownej chwili.

Chwila ta nadeszła niedługo. Naczelny dowódca wojsk rosyjskich, jen. Igelstrom, zarządził w lutym 179[illegible] redukcję wojsk polskich do połowy; zwolnieni

ze służby mogli wstąpić do służby rosyjskiej. Wywołało to wrzenie w garnizonach polskich, a jen. Madaliński w Ostrołęce uderzył ze swą brygadą na Prusaków i pociągnął wzdłuż granicy pruskiej do województwa krakowskiego. Wysłano za nim w pościg wojska rosyjskie; od strony Warszawy szedł jenerał-major Tormansow, od strony Łucka jen. Denisow, od Lublina Rachmanow, z Opatowa ppułk. Ekespear, wreszcie z Krakowa wymaszerował ppułk. Łykoszyn. W parę godzin po wymarszu Łykoszyna przyjechał do Krakowa Kościuszko i objął komendę wojsk narodowych.

W tej to chwili zaczyna się akcja *Kościuszki pod Racławicami.* Jest to dzień 24 marca. Dowiadujemy się od Lichockiego, że Łykoszyn wyszedł z miasta, by zastąpić drogę Madalińskiemu; słyszymy, że miasto wre przeciw Moskalom. Bataljon jen. Czapskiego obsadza bramy i nikogo nie wypuszcza; kapitan Wasilewski wzywa prezydenta do Kościuszki; następuje przysięga na rynku.

Łykoszyn tymczasem 25 marca stanął w Kozubowie, $1^1/_2$ mili od Pińczowa. Gen. Manget, dowodzący kawalerją stojącą w Pińczowie, wykonywając rozkaz, uderzył niespodzianie na rozmieszczone wśród zabudowań dworskich wojska Łykoszyna; uderzając jednak zrazu zbyt małą siłą, pozwolił Rosjanom sformować kolumnę i wyjść cało. Rachmistrz ordynacki Lenartowicz, próbował aresztować oficerów rosyjskich spożywających śniadanie we dworze, czego o mało życiem nie przypłacił; Łykoszyn, zmuszony odstąpić, podpalił folwark. Manget szedł w pościg za wojskami rosyjskiemi, ale prócz zabrania kasy wojskowej i taboru

większej szkody im wyrządzić nie zdołał. Wśród mniejszych potyczek poszczególnych oddziałów minęły dni następne; pod koniec marca wojska polskie były już skoncentrowane; do 4.000 linjowego wojska przyłączyło się około 2.000 włościan zbrojnych w kosy. 4 kwietnia odnosi Kościuszko walne zwycięstwo pod Racławicami, w następstwie czego ruch powstańczy ogarnia całą Polskę. Dnia 5 kwietnia odpoczywa Kościuszko w Słomnikach, 7 kwietnia w triumfie wraca do Krakowa.

OSOBY

Na naczelnym planie stoi wyniosła postać K o ś c i u s z k i. Ukazuje się on stosunkowo rzadko; dzięki temu może zachować zawsze szlachetny patos i doskonałość bohaterską. Źródła współczesne mówią o bezgranicznem uwielbieniu powstańców dla naczelnika; odbicie tego widzimy też w sztuce. Formuła przysięgi, którą składa Kościuszko na rynku krakowskim, jest autentyczna. Tradycja, przekazana przez Szujskiego o nobilitacji i nominacji oficerskiej Bartosza Głowackiego w Rzędowicach nie znajduje potwierdzenia w źródłach współczesnych; faktem jest tylko, że Kościuszko mianował Bartosza chorążym w regimencie grenadjerów krakowskich, komisja zaś porządkowa miała zobowiązać starostę Szujskiego, właściciela Rzędowic, »aby o tego poczciwego oficera żonie i dzieciach miał staranie«. Równocześnie prosił Kościuszko Szujskiego, »aby raczył ulżyć pracy familji Bartosza, stał się ojcem w niebytności jego« (z obozu pod Bosutowem, 3 kwietnia).

Z wojskowych polskich ważną rolę odgrywa jenerał-major Józef Wodzicki, komendant miasta Krakowa i szef regimentu od jego imienia nazwanego, dobry patrjota, zwolennik Konstytucji 3-go Maja; po dymisjach oficerów w czasie przystąpienia króla do Targowicy pozostał w służbie na wyraźną pro bę króla, utrzymywał kontakt z organizacjami powstańczemi i oddał się pod rozkazy Kościuszce. Pułk jego był dobrze wyćwiczony i czynnie wystąpił w powstaniu. Pamiętnego dnia 24 marca mieszkał Kościuszko w pałacyku Wodzickich na Piasku, dziś już nieistniejącym (róg ul. Studenckiej i Podwala). Przemowa, którą wygłasza Wodzicki w scenie jedenastej, jest przeróbką początkowych ustępów »aktu powstania obywatelów, mieszkańców województwa krakowskiego« (umieszczonego jako dodatek do pamiętnika Lichockiego). Akt, który czyta Wodzicki przed przysięgą, jest skrótem dalszych ustępów tegoż »aktu powstania«. Wodzicki, który w organizacji powstania raczej bierną odgrywał rolę, poległ w bitwie pod Szczekocinami 6 czerwca 1794 r. od kuli armatniej pruskiej.

Józef Wasilewski był kapitanem w pułku Wodzickiego; mianowany adjutantem Kościuszki, przychodzi do Lichockiego, aby go wezwać do naczelnika (nie na ratusz, jak w sztuce, lecz do pałacu Wodzickich); opowiada o tem Lichocki.

Stanisław Krzycki, namiestnik w brygadzie Mangeta, nie jest osobistością historyczną; wprowadzony został dla potrzeb konstrukcji wątku miłosnego, wiążącego luźne obrazy w pewną całość. Według opowiadania Szujskiego pierwszą wiadomość o zwycięstwie

i o bohaterstwie włościan przyniósł do Rzędowic porucznik Aleksander Skrodzki, którego Szujski pamiętał jeszcze z lat dziecinnych.

O wojskowych, niewystępujących w sztuce, ale w niej wspomnianych, dodać należy, że jenerał brygadjer Józef Madaliński pierwszy dał hasło powstania, opuszczając Ostrołękę i ciągnąc w stronę Krakowa, ścigany przez wojska rosyjskie; poddawszy się następnie pod komendę Kościuszki, bierze udział w bitwie racławickiej. Wicebrygadjer Ludwik Manżet (Manget) był komendantem brygady kawalerji narodowej, stojącej w Pińczowie, która brała udział w potyczce pod Kozubowem 25 marca; była to formacja o małej wartości bojowej. Jenerał Czapski był szefem regimentu, którego jeden bataljon stał w Krakowie; w dniu 24 marca warty tegoż pułku obsadziły bramy miejskie, a w czasie przysięgi bataljon pułku Czapskiego (nie zaś Wodzickiego, jak podaje Anczyc) stał między ul. św. Anny i Szewską. Pułk ten był postawiony na dobrej stopie i dzielnie stawał w boju. Biernacki, o którym wspomina w 6 sc. oddz. IV-go Abraham, jest może identyczny z porucznikiem Biegańskim, adjutantem Wodzickiego.

Ze strony rosyjskiej najwyższy rangą jest jenerał Denisow, który maszerował od Łucka celem zatrzymania Madalińskiego. Nie brał on jednak udziału w bitwie pod Racławicami; wojsko jego, spiesząc z odsieczą, przybyło już po bitwie, a widząc odwrót wojsk jen. Tormasowa, zawróciło również na wschód. Podpułkownik Łykoszyn był komendantem Krakowa aż do chwili wymarszu 23 marca, który nastąpił częścią

dla zajścia drogi Madalińskiemu, częścią zaś z powodu niepewnej sytuacji w mieście w przeddzień przyjazdu Kościuszki; 25 marca stoi w Kozubowie i cofa się przed natarciem kawalerji Manżeta. Wspomniany jenerał-major Tormasow, czy Tormansow, wysłany z Warszawy w pościg za Madalińskim, został rozbity pod Racławicami. Friol, o którym mówi Abraham w 6 sc. oddz. IV-go, to zapewne podpułkownik huzarów Friesel, który z początkiem kwietnia stał w Koszycach.

Z mieszczan krakowskich pierwsze miejsce zajmuje prezydent Filip Nereusz Lichocki. Nie odegrał on wielkiej roli w powstaniu: człowiek bojaźliwy, który z wszystkimi chciał być dobrze, podejrzywany o stosunki z Rosjanami, musiał ustąpić z zajmowanego urzędu. Pamiętnik jego, w tych niewielu kartkach, które się dochowały, przedstawia nam go jako najtypowszego filistra, dbającego tylko o własną wygodę i powagę swego wysokiego urzędu. Zgodnie z pamiętnikiem przedstawiona jest scena z podoficerem miejskim, z Łaszkiewiczem i kap. Wasilewskim; podobnież wyzyskuje Anczyc niechęć pospólstwa miejskiego do prezydenta. Natomiast w niezgodzie z prawdą jest przedstawienie Lichockiego w mundurze wojsk polskich pod Racławicami pod rozkazami Dutkiewicza i późniejsze jego losy; Lichocki poza mury miasta nie wychodził, zmuszony był tylko pracować przy okopach pod komendą »kapitana miejskiego«, rzeźnika Dutkiewicza, co w wspomnieniach swoich w nader zabawny sposób opisuje. Mimowolny komizm filistra, który nie może się pogodzić z nowemi stosunkami, wyzyskał

Anczyc świadomie i celowo; w charakterystyce Lichockiego trzyma się wiernie pamiętnika, nawet co do szczegółów wyrażania się (Kaifasze; u Kapucynów co inszego gwardjan jest, a co inszego furtjan; nie byłem terminatorem u grabarzy). Pani Lichocka i jej siostrzenica Anna służą dla celów zawiązania fabuły powieściowej.

Opisuje nam też Lichocki cały świat mieszczański. Ignacy Laszkiewicz, kupiec krakowski, radny miejski, przestrzega Lichockiego, by się ukrył przed gniewem pospólstwa; Onufry Dzianotty z magistratu był jednym z przywódców tłumu; Jan Sztumer został radcą miejskim w nowym zarządzie miasta po złożeniu Lichockiego z urzędu. Jan Kaspary, radny miejski, naczelnik urzędu pocztowego, podejrzywany o stosunki z Moskalami, został aresztowany i poddany rewizji, która wykazała bezpodstawność zarzutów. Dutkiewicz, rzeźnik, był jednym z komendantów ochotniczej milicji miejskiej. Alojzy Krauz, kupiec, niegdyś radny aż do zawieszenia Konstytucji 3-go Maja, przepojony ideami rewolucji francuskiej, specjalnie nieżyczliwie odnosił się do Lichockiego; był później kasjerem obozowym Kościuszki. Zamiast felwebla miejskiego Rucińskiego występuje w pamiętnikach Lichockiego kapral Kamieński, w analogicznej sytuacji.

Gdy mowa o Krakowie i jego mieszkańcach, słuszna przypomnieć, że Kraków był wówczas małem miastem, zamkniętem w obrębie istniejących jeszcze podówczas murów, wyniszczonem gospodarczo przez zmiany polityczne i długotrwałe postoje wojsk obcych.

Również mieszczanie, zubożeli, odsunięci od udziału w sprawach publicznych, bez wykształcenia, musieli przypominać raczej jakieś typy małomiasteczkowe, niż dawnych mieszkańców Krakowa z czasów jego stołecznej i gospodarczej świetności; Anczyc więc nie przesadza, przedstawiając ich jako ludzi prostych. Dla obrony miasta tworzyli oni milicję miejską, która miała strzec murów miasta; wykształcenie wojskowe tej formacji musiało być nader prymitywne, a uzbrojenie najrozmaitsze. Pisze o tem z przekąsem Lichocki: »jeden municypalny żołnierz ma berdysz, drugi pikę, trzeci fuzyjkę, czwarty obuch, piąty widły, szósty wiatrówkę, siódmy topór, ósmy karabin, dziewiąty widelce na drążku, dziesiąty sztuciec, do którego młota trzeba, jedenasty kosę, dwunasty szturmak trzynasty pistolet, czternasty krucicę, piętnasty cepy, nareszcie miotłę i inną broń municypalną«. Oczywiście milicja ta nie brała udziału w bitwie racławickiej.

Przechodzimy do obywatelstwa wiejskiego. Antoni kniaź Szujski (jak się podpisywał), starosta dymidowski i zagórski, był w owych czasach właścicielem Rzędowic, z której to wsi pochodził Bartosz Głowacki. Wnuk jego, Józef Szujski, przedstawia go jako człowieka uczciwego, przywiązanego szczerze do kraju ojczystego, ale wahającego się w wyborze między tradycjami staroszlacheckiemi a duchem cywilizacji zachodniej, a więc znajdującego się w ciągłej niepewności co do właściwej linji politycznej i niezdolnego do jakiejkolwiek decyzji. Po bitwie pod Racławicami uwolnił on od pańszczyzny Bartosza i jego rodzinę, co Kościuszko osobnem pismem podał do wiadomości pu-

blicznej. Starościna Szujska, z domu Święcicka, była wzorową Polką i gorącą chrześcijanką; wedle słów wnuka »kobieta z myślą precyzyjną i energiczną mężczyzny, a z sercem pełnem świętego ognia uczuć narodowych«. Wspomina też Józef Szujski z tradycji rodzinnej dwóch starszych rezydentów, dawnych konfederatów, komiczne i charakterystyczne postaci Onufrego Abgarowicza i Nicefora Bajbuzy; a także długoletni cel wzdychań miłosnych tegoż ostatniego, pannę Filonję Reszkowską; postaci te kopjuje Anczyc bardzo szczegółowo, aż do szczegółów uzbrojenia dawnych konfederatów, kabały panny Filonji i jej świętego oburzenia, że szlachcic nie odznaczył się tak, jak chłop.

Poza dworem w Rzędowicach widzimy jeszcze Lenartowicza, rachmistrza ordynacji pińczowskiej, który przyjmując śniadaniem Łykoszyna i jego oficerów w dworze w Kozubowie, próbował ich aresztować, czego omal życiem nie przypłacił, gdyż spodziewana pomoc nie przyszła w porę; ciężko rannego, niedającego znaku życia, odratowano przed przygotowanym już pogrzebem. Anczyc, pragnąc potyczkę w Kozubowie związać z całością, musiał fakty odpowiednio zmienić i wprowadzić do Kozubowa Lichocką (którą przedstawia jako siostrę Lenartowicza) z siostrzenicą, tudzież Krzyckiego.

Z włościan wybija się na pierwszy plan Wojciech Bartosz Głowacki, zagrodnik z Rzędowic, zgodnie z historją; nominacja jego na chorążego nastąpiła w Krakowie 8 kwietnia. Obok niego znany jest historykom z nazwiska Świstącki, również zdobywca armat.

ZAMIARY ARTYSTY I WYKONANIE

O zamiarach Anczyca informuje nas najlepiej »Słowo wstępne« do pierwszego wydania *Kościuszki.* Zasadniczą ideą autora było ożywienie uczuć patrjotycznych w społeczeństwie, które po upadku powstania styczniowego, zwrócone ku hasłom pracy pozytywnej, jakby wystrzegało się troskliwie każdej cieplejszej myśli o przeszłości, każdej żywszej nadziei na przyszłość. Pisze więc Anczyc:

»Czysty, szlachetny patrjotyzm nie rozbudza się w ludzie mimo nadanych swobód: studzony zaś w sercach młodzieży przez znane stronnictwo, upatrujące w każdem drgnięciu życia narodowego widmo powstania, krzepnie w sercach Potępianie krwawych stuletnich wysileń narodu, bezowocnych wprawdzie, lecz szlachetnych, spotęgowane jeszcze kierunkiem nowoczesnego dziejopisarstwa, odzierającego przeszłość z wszelkiego uroku, budzi w młodocianych umysłach pogardę ku niej, zobojętnia miłość ku tak lichej ojczyźnie, ale zarazem otwiera szeroko wrota materjalizmowi, kosmopolityzmowi i teorjom przewrotu, niedostępnym dotąd uczuciom Polaka. Cóż może być potężniejszą bronią przeciw tym zgubnym dążnościom jak rozbudzanie miłości ojczyzny, jak przedstawienie w żywej akcji wzniosłej, nieskalanej i jednej z najczystszych postaci — Kościuszki? Obok tego, wskazania ideału włościanom w Głowackim, żydom w Abrahamie, kobietom w Starościnie; rozbudzenie ducha patrjotycznego wiele dobrego przynieść, ducha uszlachetnić może, a z pewnością nikogo nie pobudzi do porywów szkodliwych narodowej sprawie.

»Aby cel ten osiągnąć, należało o ile możności sztukę uczynić zajmującą, zatem wyrzucić z niej wszystko, co się bez szkody dla całości usunąć dało, a obok tego naszkicować prawdziwe tło epoki. Znaną niechęć wielu właścicieli większych dla powstania kościuszkowskiego, którzy oburzeni odrywaniem chłopa od roli, albo rekruta nie dostarczali lub tłumnie za kordon austrjacki zbiegali — przedstawia Starosta; wyznawców materjalizmu i miłośników za jaką bądź cenę pokoju — Lichocki; zachcianki francuskie Kołłątajczyków — Dzianotty i Sztumer; zastarzałe poglądy — Filomena; chęć oddania życia za oswobodzenie kraju mimo podeszłego wieku — Nicefor i Onufry; rodzące się u ludu uczucie miłości Ojczyzny — Głowacki, Świstacki i Grzegorz z pod Racławic.

»Należało wreszcie dla zrobienia sztuki bardziej zajmującą, przesnuć jednolitszą intrygę miłosną, co staraliśmy się osiągnąć przeprowadzeniem ról Lichockiej, Anny i Krzyckiego przez całą sztukę, nakoniec starać się, aby nieomal każda scena oddziaływała na widza, a zakończenie każdego aktu potężne nań wywierało wrażenie«.

Pierwszy pomysł dał Lenartowicz, w odtworzeniu prawdziwego tła epoki wspierał się Anczyc na Lichockim i Szujskim; celem powiązania poszczególnych obrazów przeprowadził intrygę miłosną. nie wysuwając jej jednak słusznie na bliższy plan. Każda z osób, wprowadzonych przez Anczyca na scenę ma swoje znaczenie i coś wyraża; stąd też *Kościuszko* ma wielką wartość dydaktyczną dla szerokich warstw; ponadto jeszcze każda z postaci jest naszkicowana prostemi,

ale wyraźnemi i pewnemi rysami charakterystycznemi, przez co sztuka staje się również i zajmującą. Możnaby powiedzieć, że żadna z osób występujących nie zjawia się i nie przemawia ponad potrzebę; utwór cały jest nader zwięzły, mimo swego bogactwa w treść dydaktyczną. Różnorodności postaci odpowiada też różnorodność poszczególnych scen; szczęśliwie łączy autor sceny o nastroju podniosłym z scenami charakterystycznemi i komicznemi, wypadki historyczne ze zdarzeniami życia codziennego, nie śmieszy nigdy wyłącznie dla efektu komicznego, nie przeładowuje sentencjami ani tyradami moralizatorskiemi, ani też nie przesadza umiarkowanego i szlachetnego patosu. Zręcznie również przeprowadza Anczyc akcję w obrębie każdego obrazu, stopniując efekt, kończąc zawsze sceną podniosłą lub groźną, która pozostaje w pamięci widzów. Następstwo aktów zapewnia również pożądaną rozmaitość dekoracyj i środowisk, przyczem powracające niektóre postaci łączą wszystko w jedną całość konstrukcyjną. Jeżeli dodamy, że szczęśliwie pomyślane sceny zbiorowe i częste pieśni z towarzyszeniem muzyki (Kazimierza Hofmana) uzupełniają wrażenie *Kościuszki* w teatrze, to zrozumiemy fenomenalny sukces tej niewątpliwie po dziś dzień najlepszej sztuki z repertuaru popularnego i patrjotycznego.

BIBLJOGRAFJA

Zbiorowe wydanie pism ukazało się w Krakowie w roku 1908:

Wł. L. Anczyc, *Życie i pisma*, opracował dr. Marjan Szyjkowski. Kraków 1908, nakładem rodziny. Zawierają one: I. Monografja, pióra M. Szyjkowskiego. II. Wiersze i poemata. III. Utwory dramatyczne (teatr ludowy). IV. Utwory dramatyczne (Emigracja chłopska, Kościuszko pod Racławicami). V. Utwory dramatyczne (Nimfa chaosu, Swaty królewskie, Meszty Abu-Kazema, Smutne imieniny, prolog do sztuki o »Mistrzu Twardowskim«, Jan III pod Wiedniem. VI. Przekłady dramatyczne (*Drahomira* J. Weilena, *Fedra* G. Conrada, *Ruy Blas* W. Hugo, *Machabeusze* O. Ludwiga).

Bibljografję utworów Anczyca, wydanych drukiem w osobnych odbiciach, podaje M. Szyjkowski w t. I zbiorowego wydania, str. 369—376.

Najlepszem opracowaniem twórczości Anczyca jest obszerna Monografja M. Szyjkowskiego, pospieszna, zanadto retoryczna, ale oparta na obfitym materjale rękopiśmiennym, dotychczas niewyzyskanym.

Popularnie przedstawia działalność Anczyca J. Magiera, *O autorze »Kościuszki pod Racławicami«*, Lwów 1909. Bibljoteka Macierzy Polskiej nr. 47.

Mniejsze artykuły i notatki o Anczycu podaje G. Korbut, *Literatura polska* III, 509.

Ze źródeł *Kościuszki pod Racławicami* T. Lenartowicza *Bitwę Racławicką* podaje każde wydanie jego pism, np. *Wybór poezyj*, Kraków 1876, tom III, lub w Bibljotece Narodowej serja I, nr. 5: *Wybór poezyj* w opr. M. Janika.

J. Szujski *Ostatnia nobilitacja*, Dzieła, serja I. t. VI, Kraków 1888.

F. Lichocki *Pamiętnik Filipa Lichockiego, prezydenta miasta Krakowa z r. 1794*, Poznań 1862, »Pamiętniki XVIII w.«, tom II, wraz z objaśnieniami historycznemi i alegatami, tudzież trzema planami bitew; drugie wydanie w Krakowie nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej 1891.

Co do tła historycznego, to literatura tu jest bardzo obszerna. Szczegółowe a popularne przedstawienie przebiegu powstania dał K. Bartoszewicz, *Dzieje insurekcji kościuszkowskiej*, Wiedeń (wyd. »Powstania Polskie«). Dokładnie przedstawia losy Krakowa w tym czasie T. Kupczyński, *Kraków w powstaniu kościuszkowskiem*, Kraków 1912, Bibljoteka Krakowska nr. 44.

Tekst *Emisarjusza* i *Tyrteusza* w niniejszem wydaniu oparty jest na wydaniu Szyjkowskiego, *Pieśni zbudzonych* na rękopisie, *Kościuszki pod Racławicami* na wydaniu z r. 1881 (pod nadzorem autora przeprowadzonem), z uwzględnieniem rękopisu, łaskawie udzielonego przez Rodzinę.

POEZJE PATRJOTYCZNE

EMISARJUSZ

Znacie młodziana, co z jasnym włosem,
Z toporem w ręku, w stroju górala
Przebiega ścieżki zarosłe wrzosem
I nagle stanął gdzie wzniosła hala —
I bystrem okiem dokoła śledzi,
Przyłożył ucho do matki ziemi,
Poznał krok wojska, pewno się biedzi,
Aby się w drodze nie spotkał z niemi,
Bo szybkim krokiem, nie tracąc czasu,
Przeskoczył parów i już wśród lasu.

A gdy skończyli poszukiwania,
Wtedy ów młodzian wybiega z lasów
I wybiegł w górę do pół Krywania [1]
I ściskał ręce licznych juhasów [2]
I coś im długo i długo prawi;
Oni to płaczą, to znów się śmieją,
Każdy słuchając strzelbą się bawi,
A jemu oczy błyszczą nadzieją
I coś im mruknął w dzień zmartwychwstania
I znikł w wąwozie bez pożegnania.

A na Kalwarji [3], z zwieszoną głową
Staruszek, żebrak, jak gołąb siwy,

---

[1] *Krywań* — wyniosły szczyt tatrzański.
[2] *juhas* — pasterz w górach tatrzańskich.
[3] *Kalwarja* Zebrzydowska, sławne miejsce odpustowe, na południe od Krakowa.

Śpiewa pieśń dawną »Polska Królowo,
»Módl się za polski lud nieszczęśliwy!«
A głos staruszka tak miły, święty,
A głos tak pełen miłości, wiary,
Że tłum dokoła, czuciem przejęty,
Z płaczem powtarza, co śpiewa stary;
I głos jak fala płynie nad niwy: —
»Módl się za polski lud nieszczęśliwy«. —

Potem im śpiewa, że »jak syn Boga,
»Tak dziś lud polski na krzyżu kona,
»Że we krwi bratniej ręka ich sroga,
»Jak w krwi Chrystusa dzisiaj zbroczona,
»Lecz on na krzyżu grzechy przebacza,
»Szczery żal zmaże najsroższe winy,
»Więc niech z was bracia nikt nie rozpacza,
»Lecz stara wroga wygnać z krainy,
»Kiedy uderzy dzwon zmartwychwstania«
I starzec zniknął bez pożegnania.

Znacie Morawca [1], co po Krakowie
Szuka dla siebie jakiejś roboty:
To na Kleparzu, na Pędzichowie,
To na Rybakach pomimo słoty,
To na Zwierzyńcu, to wśród Kaźmierza [2]
Prawi coś ludziom, gdy kto narzeka,
Temu pociechę skrytą powierza, —
A gdy napotka słabego człeka,
Co już upada w długiem czekaniu,
To mu znów prawi o zmartwychwstaniu.

A gdy na drodze nędzarza jęki
Proszą o litość dla biednych dziatek,

---

[1] *Morawiec* — wędrowny przekupień lub rzemieślnik z Moraw.

[2] *Kleparz, Pędzichów, Rybaki, Zwierzyniec, Kazimierz* — niegdyś poza murem miasta położone, dziś dzielnice (względnie ulice) Krakowa.

To mówi, dając mu coś do ręki:
Masz od ojczyzny, najlepszej z matek.
A za rogatką w niedzielną dobę,
Gdy się do karczmy zbiegną wieśniacy,
Opowiadaniem spędza żałobę
I pije do was, bracia Polacy!
A gdy się sierdzą w opowiadaniu,
To im coś prawi o zmartwychwstaniu.

Znacie Morawca, starca, górala,
Znacie żebraka, kominiarczyka,
Węgra, Cygana, Włocha, Moskala,
Co ledwie przyjdzie, natychmiast znika,
Co dziś jak flisak do Gdańska płynie,
Jutro jak handlarz do Węgier zmierza,
Co dziś w Stambule, jutro w Londynie,
Dziś u wieśniaka, znów u Papieża,
Dziś w głębi Litwy, jutro w Poznaniu,
A wszędzie mówi o zmartwychwstaniu.

Znacie człowieka, co zaparł siebie,
Co dla Ojczyzny, braci, wolności,
Przebiegł pół świata o suchym chlebie,
Wyrzekł się żony, dziatek, miłości,
Co mu wiatr zesiekł wychudłe lica,
Chlebem powszednim: cierpienia, troski,
Uściskiem: stryczek, grób, szubienica —
To emisarjusz, Edward Dębowski,
Co za to wszystko w chwili skonania
Chce tylko słyszeć dzwon zmartwychwstania.

TYRTEUSZ

Arystomenes w świątyni Ateny [1],
W pośrodku miasta, puklerz w boju zdarty
Zawiesił nocą... Radość śród Messeny [2],
Szalony popłoch powstaje śród Sparty.
Z murów, co dotąd nie zaznały trwogi,
Sromotny przestrach dawne męstwo płoszy,
Uchodzą wstydem pohańbione bogi —
Arystomenes Lakonję [3] pustoszy
I w serce miasta śle okrzyk zwycięski,
A tam jęk — rozpacz! —
Ustały igrzyska
Wojennej młodzi — wciąż klęski i klęski,
A znikąd zbawcza nadzieja nie błyska.
Przy wspólnym stole nikt głośno nie gwarzy,
Bo strach niewoli usta lodem ścina,
I tylko radzą i radzą wciąż starzy
I szlą do Delfów [4], do wróżb Apollina.

W przybytku syna Zewsa i Latony [5],
Gdzie wieszczka bogów w tajemniczej mowie [6]

---

[1] *Atena* — bogini mądrości, wojny i pokoju, córka Zeusa.

[2] *Messena, Sparta* — miasta greckie na półwyspie peloponeskim; wojny zaborcze Spartan 743—724 i 685—668 skończyły się upadkiem i ujarzmieniem Messeny, mimo bohaterskiej obrony.

[3] *Lakonja* — kraj Spartan.

[4] *Delfy* — miasto ze sławną wyrocznią Apollina.

[5] *Zews* (zwykle Zeus) i *Latona* uważani są za rodziców Apollina.

[6] *Wieszczka bogów w tajemniczej mowie* — kapłanka

Uchyla Grekom przyszłości zasłony,
Stają z darami spartańscy posłowie.
Nie znać w nich jednak tej spartańskiej buty,
Co ludom Grecji w oczy kurz miotała,
Wzrok mężów chmurny, do ziemi przykuty,
A twarz od sromu blada i nieśmaiła.

Wieńcami strojni i bielą odziani,
Słudzy Apolla zalegli świątynie —
Pada zwierz liczny[1] dokoła otchłani,
Nad którą trójnóg w mgłach kadzideł ginie,
A na nim Pythja[2].
W proroczym zachwycie
Z ust jej bezładne, dziwne płyną dźwięki,
Apollo głosi: »Spartanie, wam życie
I wolność wróci tylko z Aten ręki,
Ich więc błagajcie!«
Błagać? — O złowieszcze
Słowo! Śmierć raczej z rąk mściwej Messeny!
Sparta ma błagać? Błagać?! Kogo jeszcze?!
Zazdrosne wiecznie i wrogie Ateny?
Sparta nie znała ni srebra, ni złota,
Wymyślnej strawy, ni pysznego stroju,
Tylko żelazo: — a najpierwsza cnota
Spartańskich synów, ginąć za kraj w boju;
Sparta, ilekroć za oręż porwała,
Zawsze zwycięska: uległy Arkady[3],
Padła Tyrea i Messena spała
W niewoli lata. Śród całej Hellady
Jedne Ateny stały jej na drodze,
Na każdym kroku czyniąc Sparcie wstręty:

Apollina w Delfach, wpadając w ekstazę, dawała przepowiednie w formie zagadkowej, niejasnej.

[1] *pada zwierz liczny* — na ofiarę bogom.

[2] *Pythja* — kapłanka, która odurzona dymem kadzideł, wróżyła.

[3] *Arkady* — Arkadja, stara dzielnica grecka na Peloponezie. *Tyrea*, zamiast Tyryns, miasto na północ od Sparty.

Ateny Sparcie, to cierń w krwawej nodze...
I dziś ich błagać?!!
Ale wróg zawzięty
Pod samo miasto rozpuszcza pogonie,
Kwiatem młodzieży gęsto zasłał pola
I szydząc poi w Eurotasie[1] konie,
A Sparcie tylko już śmierć lub niewola —
Śmierć lub niewola!...
O, jeszcze zawcześnie
Umierać Sparcie; choć przedśmiertne dreszcze
Przebiegły ciało i duch porósł w pleśnie,
W schorzałej piersi bije serce jeszcze.
I krzew laurowy, gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i, zda się, już ginie...
Lecz gdy wiatr spędzi nawał chmur zdaleka
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur nową siłą odżyje wspaniale,
Świeże listeczki gałęzie odmłodzą.
A co niewola — nie wie Sparta wcale,
Bo niewolników jej córy nie rodzą.

Gdy nawą fala rozhukana miota,
Czyż hańbą szukać zbawienia wśród burzy?
»Z rąk Aten przyjść ma zbawienie żywota,
Z rąk Aten wolność Apollo nam wróży:
Słuchajmy bogów!«
Wnet messeńskie straże
Omylił sternik, szybko z wiatrem leci,
Do Akropolu[2] prostą drogę wskaże,
Bo Erychtona wóz[3] na niebie świeci.
Nim księżyc Grecji nowym błyśnie rogiem,
Straszne pioruny zagrzmią z gór Attyki,

---

[1] *Eurotas* — rzeka przepływająca przez Lakonję.
[2] *Akropol* — zamek obronny, z licznemi świątyniami, wznoszący się nad Atenami, niby Wawel ateński.
[3] *Erychtona wóz* — konstelacja gwiazd (Woźnica).

Athene Aten — Ares[1] Sparty bogiem,
Przed tem przymierzem drżyj najeźdzco dziki!

Nim wrócą posły, Sparta bogów błaga,
Czaty jej wbiegły na wzgórza, mórz brzegi,
Śledząc, czy rychło wionie zbawcza flaga,
Albo z gór spłyną ateńskie szeregi.
Złudne nadzieje — biegną dni i noce,
Cisza — nad miastem krążą sępów roje,
Czasami w dali żagiel zamigoce,
Lecz skrzętnie mija lakońskie ostoje.
Złudne nadzieje — próżno uchem męże
Pytają ziemi[2] — w ziemi spokój głuchy...
Czasami zda się, że dźwięczą oręże,
Nie: to wół w jarzmie potrząsa łańcuchy...

I wiele rzeki, wiele wód uniosły,
Z Aten ni flota, ni zbawcze zastępy,
Ni nawet własne nie wracają posły...
Tylko z północy gęsto ciągną sępy,
I na wyżynach zasiadłszy Tajgetu[3]
O nagie skały poostrzają dzioby.

Zacóż wiatr wiosnę niesie od Miletu[4],
Chloris[5] po smugach rozściela ozdoby?
Zacóż gród słońce pozłaca uroczo,
W powietrzu drgają cudne kwiatów wonie,
Gdy syny Sparty zwątpiały wzrok toczą,
A córy we łzach załamują dłonie?...

* * *

---

[1] *Ares* — bóg wojny.
[2] *próżno uchem męże pytają ziemi* — przykładają ucho do ziemi, aby usłyszeć wojska idące zdala.
[3] *Tajget* — pasmo gór na półwyspie peloponeskim.
[4] *Milet* — miasto w Azji Mniejszej, na wybrzeżu morza Egejskiego.
[5] *Chloris* — uosobienie wiosny.

Z woli eforów[1] zbiera się lud mnogi,
A przed nim pyłem okryty mąż stawa
I rzecze: »Sparto, witam twoje bogi,
Jestem Ateńczyk!«
Cisza i wnet wrzawa
Rozbija chmury, — woła lud zdziwiony:
»Gdzie zbrojne hufce?«
Ateńczyk im na ten
Wykrzyk odpowie: »Przychodzę w te strony
Sam — mnie wysłali archontowie[2] Aten.
Młódź nasza w domu stali grotów ostrze
Przeciw Megarze[3], a najwyższa rada
Z lutnią i pieśnią w pomoc Sparcie, siostrze,
Szle mnie, poetę Tyrteusza«.
»Zdrada!«
Ryknęły tłumy: »Szydercy okrutni,
W strasznej niedoli zamiast zbrojnych szyków
Szlą nam pieśniarza! Precz! nie dźwięków lutni,
Krwi nam potrzeba, krwi! krwi Ateńczyków!...
Śmierć Tyrtejowi!«
I już tłum rozżarty
Z okrzykiem: »Śmierć! śmierć!« leci już z wszej strony
Miecz błyska... a mąż rzecze: »Ludu Sparty,
Wszak jam bezbronny!«
I lud zawstydzony
Cofa się nagle sromem mordu tknięty;
Szmer tylko z piersi, a gniew z oczu tryska.

Tak Eurotasu wzburzone odmęty,
Kiedy napowrót wrócą do łożyska,
Ono im ciasne — więc w skaliste łomy
Bije nurt wściekły, miota się i dyszy,

---

[1] *eforowie* — wysocy urzędnicy spartańscy.
[2] *archontowie* — senatorowie, członkowie rządu ateńskiego.
[3] *Megara* — stare miasto w pobliżu Aten.

Jak gdyby groził co chwila brzeg stromy
Przełamać znowu.
Wśród chwilowej ciszy
Tyrteusz okiem pogodnem wokoło
Wiedzie, nie trwożny ni wrzawy, ni grotów,
I rzecze, jasne wznosząc w górę czoło:
»Jestem Ateńczyk, a więc umrzeć gotów,
Gdy wam się zdaje, żem wniósł w wasze gniazda
Obelgę Aten i przyjaźni zdradę;
Lecz pozwól ludu, nim zagaśnie gwiazda,
Ostatnią pieśnią pożegnać Helladę,
Grecji poświęcić gasnące strun dźwięki,
A tam do Aten, nad brzegi Ilisu [1],
Wiatry poniosą echa mej piosenki«.

Cisza tak wielka, że słychać szmer cisu,
Pod którym stoi wieszcz, a lud wzburzony
Nie śmie odrzucić tej ostatniej prośby;
A choć zniewagi tkwią mu w sercu szpony,
Milczy ponuro i połyka groźby,
A Tyrtejowe czoło opromienia
Niebiańska światłość i męskie oblicze
Niewysłowiony krasi wdzięk natchnienia,
I z lutni zrazu nadziemskie, dziewicze,
Pełne a rzewne płyną w przestrzeń tony,
Jakoby z arfy czarownej Eola [2]...
Znów jęczą dziko poszarpnięte strony,
A pieśń wylata straszna — jak niewola!...

---

[1] *Ilissos* — rzeczka, przepływająca przez Ateny.
[2] *Eol* — bóg wiatru.

PIEŚŃ

Znacie ten kraj[1], co mu stopy skaliste
Zmywa toń mórz, a Olymp[2] wieńczy skroń;
Kastalskich wód[3] kryształy biją czyste,
Słowików pieśń i róż zachwyca woń?

Znacie ten kraj, co mężnych synów chwałą
W daleki świat o sobie rozniósł wieść;
Potęgom burz nadstawia pierś zuchwałą
I szydzi z tych, co mu chcą jarzmo nieść?

Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki
Olbrzymią moc z harmonją cudną słów?
Gdzie wyrósł mąż, co lwom targał paszczęki[4]
I mieczem swym ściął hydrze siedem głów?

Dziewiczych niw przemocą ani zdradą
Aż po dziś dzień nie zdeptał obcy wróg;
Znacież ten kraj?... Nie znacie — nie! — Hellado!
Ja ciebie znam i Ares, mężnych Bóg.

Wyrzecz się ich Hellado, ziemio święta,
Twym synem być wart tylko wolny mąż,
A Sparta kark w ohydne zgina pęta,
Messeno, pójdź i lud ten podły wiąż!

W okowach wlecz do bram swojego grodu,
Na wieczny wstyd do żaren męże kuj![5]
Lub sprzedaj ich, a dziewice z ich rodu
Do twoich uczt niech ślubny wdzieją strój.

---

[1] *Znacie ten kraj* — początek pieśni zapożyczony jest z Mickiewicza: Znaszli ten kraj *(Do H***)*, pośrednio z Goethego.

[2] *Olymp* — najwyższy szczyt gór greckich, siedziba bogów.

[3] *Kastalskie* źródło, u wejścia do słynnej świątyni Apollina w Delfach.

[4] *mąż, co lwom targał paszczęki* — Herakles, który pokonał lwa nemejskiego i ściął wielogłową hydrę.

[5] *do żaren męże kuj!* — obracanie kamieni młyńskich było ciężką pracą, którą spełniali niewolnicy do żaren przykuci,

Śród fletnich brzmień niech w igrzysk spieszą koło
I z wrogiem pieśń na Sparty wznoszą skon,
A zdobiąc w kwiat Arystomena czoło,
Włochatą pierś do czystych tulą łon.

Bo w Sparcie już krew starych ojców zmarła,
Od Aten chcą, aby im pomoc nieść,
I grożą im — a nie śmią wrogom z gardła
Ojczyznę krwią wydrzeć, wolność i cześć!

O światło zgiń! niech nigdy promień słońca
Nie spłynie już w skalany trwogą gród!
Niech straszny mrok, panując tu bez końca,
Skryje ten wstyd, co podły hańbi lud!

Ten wolny nurt, co mężnych krzepił znoje,
Niech wyschnie wraz! Niech w łożu pełza gad!
Przeklinam cię Lakonjo i twe zdroje!
Niech zatrze czas istnienia twego ślad!

I matki te, co trwożnych synów dały,
Zeusie shańb! oblicza wstydem spal!
Niech łona ich poszarpią lwy w kawały,
Lub własna dłoń zatopi w piersiach stal!

O Sparto, ruń! nim doznasz strasznej doli,
Nim zwiędnie laur, co kwitł na czole twym,
Nim syny twe przywdzieją strój niewoli —
Upadnij w gruz i hańbę przykryj nim!

O Sparto ruń! zanim ślad twej wielkości,
Naddziadów grób messeński zburzy młot
I na żer psom rozwlecze święte kości,
A przodków cień odpędzi od twych wrot.[1]

---

[1] *przodków cień* — wedle wyobrażeń greckich duchy zmarłych błądziły po ziemi, dopóki nie uczczono ich pogrzebem.

Ty ludu, nim wróg w pętach cię powlecze,
Ojców twych broń na progach domów złam
I w przepaść rzuć! niech świat nie wie, że miecze
Były wśród was — a serca brakło wam!

*
* *

I pieśń skonała; z ostatnim akordem
Mistrz lutnię z żalu roztrzaskał o głazy.
Gdy igrał ze lwem i drażnił go mordem
I serce hańbą poszarpał sto razy,
Gdy grobom ojców groził z wrogiej ręki,
Przeklnął ojczyznę i łona cnych matek —
Lud milczał — bolem skamieniały męki;
Lecz kiedy wygrał już pieśni ostatek
I pękły struny — wtedy, jak huk gromów,
Co walą skały i druzgocą lasy,
Jak trzask piorunów, co dno morskich toni
Palą swym żarem i niebo drą w pasy,
Z wzgórz, dolin, świątyń, przedsionków i domów
Powstał krzyk jeden: »Do broni! do broni!«
I z placów, ulic, ze wszystkich stron miasta
»Do broni!« miljon powtarza się razy,
Zda się, że ludność z pod ziemi wyrasta,
Lub w zbrojnych mężów zmieniają się głazy.

Hasłem »do broni!« rozbudzona Sparta
Rzuca mdłe jęki i za oręż chwyta,
I znowu silna, straszliwa, rozżarta,
Potężna, wielka i walki niesyta!
Trzęsie się miasto od wojennej wrzawy,
Blednieje słońce od blasku oręża,
A naród, chciwy rzucić się w bój krwawy,
Z zapałem wzywa ateńskiego męża:

»Prowadź nas, prowadź! ty staniesz za krocie,
Umrzem! lecz wolnej ziemi wróg nie zdepce,
Umrzem! — lecz dziewic nie damy sromocie;
Chce wróg krwi naszej, niechaj ją wychłepce!

Chce wróg krwi naszej, niech ją pije rzeką!
Lecz precz z niewolą! my do niej niezdolni,
Niechaj ostatnie krople krwi wycieką
I padniem wszyscy, ale padniem wolni!«

»Prowadź!« — niewiasty wołają i biegną —
»Myśmy Spartanki, znamy się z żelazem,
Jeśli mężowie wśród walki polegną,
Pobijem dzieci i zginiemy razem!«
I poszli...
Miasto długo pustką stało. —
Słychać trąb odgłos, wraca lud zwycięski
I na zdobytych dźwiga tarczach ciało,
Spowite w laury...
Oto wieszcz ateński!

PIEŚNI ZBUDZONYCH

DO OJCZYZNY

Ojczyzno! Ojczyzno, tyś gwiazdką przewodnią
Zbłąkanym żeglarzom śród morza,
W kopalniach Uralu tyś jasną pochodnią,
Co błędne wskazuje bezdroża;
W lodowcach Sybiru tyś słońcem płomiennym,
Co grzeje wygnańca pierś skrzepłą,
Tułaczom tyś marą, co jawisz się sennym,
Nadziei rozbudzasz w nich ciepło.
Ojczyzno, w pustyniach Sahary tyś zdrojem,
Co życie wędrowca ocala,
Tyś więźniom nieszczęsnym czarownym napojem,
Co w sercu wytrwałość rozpala.
Ojczyzno! ty jesteś kochance kochankiem,
Lubemu najmilsza dziewica,
Tyś wiosną uroczą, majowym porankiem,
Co pieści, rozmarza, zachwyca.
Śród urwisk skalistych tyś wdzięczną doliną,
Ubraną w kwiecistych barw krocie,
Stroskanym rodzicom ostatnią dzieciną,
A matką poznaną sierocie!
I tylko nad ciebie wszechwładcę na niebie
Stęsknione twe dzieci przenoszą,
Żyć w tobie, Ojczyzno, i umrzeć za ciebie
To naszą jedyną rozkoszą.

HYMN

Wszechmocny Boże! Ojcze nasz jedyny!
Omdlałej matki pokrwawione syny
Błagamy w prochu, żałości, pokorze:
Ratuj nas Boże!

Tyś tak potężny, a my tak znękani,
W cierniowym wieńcu u słupa, oplwani,
Wyschnięte oko łez ronić nie może:
Ratuj nas Boże!

Pożar, mord sieją dzikie wrogów hordy,
Przez rzezie Pragi [1], przez Oszmiany mordy [2],
Przez krew humańską [3], galicyjskie noże [4]:
Ratuj nas Boże!

Od ciągłych westchnień dusze nasze bledną,
Patrz, ciało nasze raną tylko jedną,
Przez sto lat z niego wyciekło krwi morze:
Ratuj nas Boże!

Przez kopalń ciemnie, przez lody Kamczatki, [5]
Przez śmiercią synów zamęczone matki,
Przez jęki wdowie, sierocych łez morze:
Ratuj nas Boże!

---

[1] *rzezie Pragi* — okrutna rzeź mieszkańców Pragi pod Warszawą przez Suworowa w r. 1794.

[2] *Oszmiany mordy* — Oszmiana, miasto powiatowe w ziemi wileńskiej, zajęte zrazu w r. 1831 przez wojska polskie, zostało odbite przez wojska rosyjskie; wymordowano przytem wielu mieszkańców i splądrowano miasto.

[3] *krew humańska* — zbuntowani chłopi ukraińscy i zaporożcy, podjudzani przez duchowieństwo prawosławne, wyrżnęli miasto Humań w gub. kijowskiej w r. 1786.

[4] *galicyjskie noże* — rzezie chłopskie w r. 1846, organizowane przez władze austrjackie przeciwko szlachcie i powstańcom.

[5] *Kamczatka* — półwysep na północno-wschodnim wybrzeżu Azji, miejsce zesłania więźniów.

Zacóż nie zwrócisz ku nam Twego lica?
Jedna wśród ludów Polska męczennica
Sprawiedliwości Twej wzbudzić nie może:
Ratuj nas Boże!

Z trzech stron zażartych nieprzyjaciół liga
Tropi, rozbraja, katuje i ściga,
Wlecze do więzień wojowniki hoże:
Ratuj nas Boże!

Błysnął nasz oręż, a grom Twój nie błyska,
Nie daj z nas Panie ludom pośmiewiska,
Wróg ufa w kuli, stryczku i toporze:
Ratuj nas Boże!

Karę Twą ściągły wielkie nasze winy,
Lecz któż bez grzechu — Ojcze nasz jedyny;
Sto lat błagamy w włosienniczym worze:
Przebacz nam Boże!

Przebacz nam Boże, skróć straszną pokutę,
Rozraduj kości po świecie rozsute,
Niech nam wolności raz już błysną zorze:
Wybaw nas Boże!

PIEŚŃ BOJOWA

Hejże wiara na Moskala,
Hej do kosy dzieci,
Polska z grobu głaz odwala,
Biały orzeł leci,
Biały orzeł, Boże! Boże!
Już się z wrogiem para,
Bij kto żyje! bij kto może!
Bij żołdaków cara!

Sił nie braknie, gdy jest dusza,
A jest Bogu dzięki,

Komu braknie, niech je wzrusza
Rozpacz, hańba, męki.
Sybir, Kaukaz, knuty, kije,
Zdeptana cześć, wiara,
Bij kto żyje! bij kto żyje!
Bij żołdaków cara!

Kłam i fałsze, tem wróg walczy,
Zerwijmy kłam z czoła,
Niech przepadnie ród padalczy,
Hajże na Mongoła!
Prochy ojców w poniewierce
Depcze carska mara,
Bij w kim dusza! bij w kim serce!
Bij żołdaków cara!

Wszędzie szpiegi, wszędzie zdrady,
Wszędzie carskie łaski,
Precz amnestje, chresty [1], rady,
Precz oprawców maski.
Kat nie zrodzi nam swobody,
Prawda jak świat stara.
Bij, czyś stary! bij, czyś młody!
Bij żołdaków cara!

»Żadnych marzeń«, [2] wołasz carze,
Więc precz utopije; [3]
Niechaj nikt nie służy marze,
A niech każdy bije.
Społem szydła, herby, brony,
A w łeb stronnictw mara,
Bij, czyś biały! czyś czerwony!
Bij żołdaków cara!

---

[1] *chresty* (ros.) — krzyże orderowe.

[2] *Żadnych marzeń* — znane wyrażenie się cara Aleksandra II do deputacji szlachty i duchowieństwa w Warszawie 1856 r. *(point de rêveries)*.

[3] *utopja* — idealny obraz przyszłości, niedający się urzeczywistnić.

Górą, górą matko święta
Wzbij się jasną tęczą,
Gdzie brzęczały nasze pęta
Niechaj kosy brzęczą.
Orle biały wiedź szeregi,
Spełnia się ofiara.
Któż nie z nami: łotry, szpiegi!
Bij żołdaków cara!

PIEŚŃ STRZELCÓW

Hej bracia wraz! nad nami orzeł biały,
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg,
Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmią strzały,
Niech lotem kul kieruje Zbawca-Bóg.
Więc gotuj broń i kulę bij głęboko,
O ojców grób bagnetów poostrz stal,
Na odgłos trąb twój sztucer bierz na oko,
Hej baczność! cel i w serce lub w łeb pal!
Hej trąb, hej trąb
Strzelecka trąbko w dal!
A kłuj a rąb
I w serce lub w łeb pal!

Wzrósł liściem bór, więc górą wiara strzelcy,
Masz w ręku broń, a w piersi święty żar,
Hej Moskwa tu, a nuże tu wisielcy,
Od naszych kul nie schroni kniaź ni car.
Raz przecież już zagrzmiały trąbek dźwięki,
Lśni polska broń jak stalnych kłosów fal,
Dziś spłacim wam łzy matek i wdów jęki,
Hej baczność! cel i w serce lub w łeb pal!
Hej trąb, hej trąb
Strzelecka trąbko w dal!
A kłuj a rąb
I w serce lub w łeb pal!

Chcesz zdurzyć nas, oszukać świat chcesz czule,
Plujem ci w twarz za morze twoich łask,
Amnestją twą obwiniem nasze kule,
Odpowiedź da huk strzelby, kurków trzask.
Do Azji precz potomku Dżyngis-hana,[1]
Tam żywioł twój, tam ziemia carskich gal[2].
Nie dla cię, nie, krwią polską ziemia zlana,
Hej baczność! cel i w serce lub w łeb pal!
Hej trąb, hej trąb
Strzelecka trąbko w dal!
A kłuj a rąb
I w serce lub w łeb pal!

Do Azji precz tyranie, tam siej mordy,
Tam gniazdo twe, tam panuj, tam twój śmieć,
Tu Polska jest, tu zginiesz i twe hordy,
Lub naród w pień wymorduj, wysiecz, zgnieć.
O Boże nasz! o Matko z Jasnej góry!
Błogosław nam, niech korne łzy i żal
Przebłaga Cię, niewoli zedrze chmury,
Hej baczność! cel i w serce lub w łeb pal!
Hej trąb, hej trąb
Strzelecka trąbko w dal!
A kłuj a rąb
I w serce lub w łeb pal!

ŚPIEW RZEMIEŚLNIKÓW POLSKICH

Hej cechowi, nie cechowi!
Uchwyćmy broń w ręce,
Trzeba zbójcy Moskalowi
Myśleć o sukience.

---

[1] *Dżyngis-han* — wielki zdobywca mongolski z początku XIII-go wieku.
[2] *gala* — uroczystość oficjalna.

Każdy wedle sztuki swojéj
Sprawi mu strój suty:
Krawiec tęgo kurtę skroi,
Uszyje szewc buty.

Wygarbuje garbarz skórę,
Boć to skóra podła,
Wywierci mu tokarz dziurę,
A siodlarz osiodła.

Rymarz w szory go ubierze,
Batów setkę wlepi,
Wyszlifują go szlifierze,
Kitem szklarz zalepi.

Murarz cegłą po łbie zwali,
Wapnem chluśnie w ślepie,
Nie poszczędzi ślusarz stali,
A blacharz wyklepie.

Niechaj rzeźnik topór bierze,
Toczy krew jak z bydła,
Niech Moskala mydlarz pierze,
Nie żałuje mydła.

Niech mu kuśnierz łatkę wprawi,
Wynicują tkacze,
Powroźniczek sznurem zdławi
Plemię to sobacze.

Kowal schwyci kawał szyny
I w łeb zamaluje,
Stolarz zerżnie na trociny,
A młynarz spytluje.

Cieśla zmierzy w węgielnicy
I toporem zwali,
Hurra! wiara rzemieślnicy,
Hurra na Moskali!

Dalej bracia za obuszki,
Czyś z miasta, czy z wioski,
Za Kościuszki pruł im brzuszki
Rzeźnik Sierakowski [1].

Ba, Kiliński [2] zrobił więcéj,
Wsadził im but krwawy,
W Wielki Czwartek sześć tysięcy
Wyrżnął śród Warszawy.

A Lelewel, [3] wódz nasz dzielny,
Marcin Borelowski,
Zwiódł niejeden bój śmiertelny,
Blacharz ten krakowski.

A czyśmy to z innej gliny,
Czy brak śród nas chwatów,
Czyśmy to nie Polski syny,
Wiara od warstatów?

Szewcy, krawcy i kowale,
Murarze, rzeźnicy,
Niech przepadną psy Moskale,
Naprzód rzemieślnicy!

Matko Boska Częstochowska,
Wybrana od Boga,
Zjednaj niech nam łaska Boska,
Pomoże zbić wroga.

---

[1] *Sierakowski*, majster rzeźnicki, i [2] *Kiliński*, majster szewski, byli organizatorami mieszczaństwa warszawskiego i odegrali czynną rolę w wyrzuceniu wojsk rosyjskich z Warszawy w Wielki Czwartek 17 kwietnia 1794.

[3] *Lelewel*, właściwem nazwiskiem Marcin Borelowski, był jednym z najdzielniejszych patrjotów w powstaniu 63 r.

Wyproście nam modły swemi
U Pana Jezusa,
Patronowie polskiej ziemi,
Niech pobijem Rusa.

Niech Moskala na swej grzędzie
Zbijem do ostatka,
Niech Bóg wesprze, wolną będzie
Nasza biedna matka.

Hej cechowi, nie cechowi,
Czeladź i starszyzna,
Śmierć mordercy Moskalowi,
Niech żyje Ojczyzna!

ŚPIEW KMIECI POLSKICH

W Imię Boga hej włościany!
Pójdźmy bronić kraj kochany,
Car za naszą pracę hula,
Nam własnego trza mieć króla,
Polaka i basta,
Chrobrego lub Piasta.

A czyśmy to małe dzieci,
Czy to Polska cudze śmieci,
By nam bruździł jaki taki,
Brał na Kaukaz parobczaki,
Czy Moskal, czy Niemiec,
Czy jaki odmieniec.

Toć w nas dusza wre ognista,
Zje pies Moskal djabłów trzysta,
Co nam w Polsce wciąż mitręży,
Pali wioski, wiesza księży,
Rąbie Ciało święte,
Na krzyżu rozpięte.

Boicie się panów chłopy,
Toć pan jeden, was półkopy.
I jakże pan może zdradzić,
Gdy nie może wam poradzić?
Toć krew w was jednaka,
Jedna krew Polaka.

Toż dziś w Polsce czasy insze,
Rząd nasz polski zniósł już czynsze,
Gdyby Moskal wziął ojczyznę,
Wnetby wrócił czynsz, pańszczyznę,
Kazałby ją chłopom
Robić ruskim popom.

Lecz gdy Moskwę w łeb się gwiźnie,
To na wieki po pańszczyźnie,
Po kłopotach, po frasunkach,
Po złodziejstwach, po rabunkach,
Po zdzierstwie i biédzie,
Co z Moskalem idzie.

A ojczyzna ta kochana,
Polska leży krwią oblana
I na swoje woła dziatki:
Dzieci, dzieci brońcie matki,
Ach któż mię ocali
Z rąk zbójców Moskali?!

Płyną jęki aż w niebiosy,
Więc do cepa, więc do kosy.
Bić Moskala na swej grzędzie,
Aż znów Polska Polską będzie
I siądzie na tronie
Polski król w koronie.

Król zasiądzie sprawiedliwy,
Dzielny, mądry a uczciwy,

Rządzić będzie podług prawa,
Jak nakaże mu ustawa,
Co ją nam ułożą
Starsi z wolą Bożą.

Więc do broni, hej rodacy!
Naprzód chłopcy Krakowiacy
I Mazury walić z góry,
Niech przepadnie Moskal bury [1],
Co gubi ojczyznę,
Chce wrócić pańszczyznę.

Hej kujawskie tęgie chłopy,
Młóćcie Moskwę jako snopy,
I Rusiny i Górale,
Niech raz giną psy Moskale,
Co kościoły palą,
Święte krzyże walą.

Hej Litwini, hej Żmudziny,
Walcie z góry te psie syny,
Od Połągi [2], bierzcie drągi,
Poleszuki, Moskwę w sztuki,
I Wielkopolany,
Bić przez Boskie rany!

Podolaki od Kamieńca [3]
Schizmatyka bić odmieńca,
Od Ostroga [4], w Imię Boga,
Od Oszmiany i od Lidy [5],
Raz pozbądźmy srogiej biédy,
Raz już skończmy z katem,
Co nas bije batem.

---

[1] *bury* — od burego koloru mundurów.
[2] *Połąga* — miejscowość nadmorska na Litwie.
[3] *Kamieniec* Podolski — sławna twierdza, o wielkiej historycznej przeszłości.
[4] *Ostróg* — miasto powiatowe w ziemi wołyńskiej.
[5] *Oszmiana, Lida* — miasta powiat. w ziemi wileńskiej.

Dopomoże nam moc Boska,
Święta Panna Częstochowska,
Prosił za nas Ojciec Święty,
Bo moskiewskie zna wykręty,
Że choć gada ładnie,
Rozbija i kradnie.

Nie będziemy w boju sami,
Idą Włochy z Anglikami,
Idzie Francuz w sto tysięcy,
Już nie wróci Moskal więcej.
Kto z Moskwą, z mordercą,
To go wnet uśmiercą.

A więc naprzód Krakowiacy,
Hej Mazury, Kujawiacy
I Litwini i Żmudzini
I Górale i Rusini
I Wielkopolany,
Bić przez Boskie rany!

JENIEC

PodUnieckiem [1] żołdactwo napadło
Garstkę naszych, snem ujętą w borze.
Pierzchła wiara po krótkim oporze,
Kilku legło, kilku się przekradło,
Kilku skryli dobrzy kmiecie z wioski,
Kilkunastu w niewolę ujęto.
Wiódł na braci tu Moskwę przeklętą
Zmoskalony Polak Sierzputowski.

---

[1] *Unieck* — wieś w Płockiem, nad Wkrą; wojska rosyjskie pod wodzą Sierzputowskiego zgniotły tu 28 stycznia oddział powstańczy Wolskiego, b. oficera wojsk tureckich, mimo bohaterskiej obrony. Wolski sam dostał się do niewoli.

Jeńców kazał ten Polak wyrodny
Zbir nikczemny, najpodlejszy z wielu,
Wiązać do drzew — i bić jak do celu.
Pośród jeńców był młodzian urodny,
Wszystkie myśli poświęcił dla Polski;
Cytadela warszawska go znała,
Harda dusza śród silnego ciała,
A nazwisko nosił: Kaźmierz Wolski.

Z Garibaldim [1] walczył w włoskiej ziemi,
A miał serce jak z ognia, jak z lawy,
Więc swem męstwem prześcigał Żuawy [1].
Kiedy potem stanął między swymi,
Uwolniony z więzień cytadeli,
Do powstania przylgnął sercem całem,
Zebrał oddział, dowodził oddziałem,
Aż go wreszcie pod Unieckiem wzięli.

Sierzputowski zdrajca, pies wierutny,
Gdy go poznał, ucieszył się łupem
I drwić począł: — »Cóż? — będziemy trupem,
Nie dziw, nie dziw, że pan taki smutny,
No, no, proszę, mamy jenerała,
Tfu, buntownik! pan jenerał Wolski!
Tfu! gdybym miał choć jeden nerw polski,
Tobym kazał wraz go wypruć z ciała.

Będziesz wisiał — prośby, gniew daremny,
Będziesz wisiał, przysięgam na Trójcę!« —
Wolski spojrzał z pogardą na zbójcę
I rzekł chłodno: »Ach, jaki nikczemny...
Żem w twej mocy, urągasz mi, podły,
A pełzałbyś, gdybyś sam był w matni.

---

[1] *Garibaldi* — bohater narodowy włoski z ery walk o zjednoczenie Włoch.

[2] *żuawi* — formacja wojskowa francuska, rekrutująca się z Algieru.

Mnie do boju głos Polski, jęk bratni,
Ciebie chresty i służalstwo wiodły.

Matka jęczy, wróg szarpie jej ciało,
Giną bracia, rodacy w Sybirze,
Płoną grody, a ty nędzny zbirze
W łono święte, co ci życie dało,
Nóż zatapiasz!
Ja cię przed Sąd Boski
Zapozywam ojczyzny imieniem,
Zdrajco kraju z sprzedanem sumieniem,
Ja cię wzywam, słyszysz?! Sierzputowski!
Bądź przeklęty!
Dziejów naszych karty
Znów, o Panie, podłą zdradą znaczysz,
Kiedyż, kiedyż przebaczyć nam raczysz?!«

Sierzputowski spieniony, rozżarty
Krzyknie: »Brać go! miateżnik, król polski,
Hej rabiata! pal mu w łob!« — zagrzmiało
I kul kilka ugodziło w ciało
I za wolność padł Kazimierz Wolski.

PORANEK W BORACH LITWY

Dabar Lenkaj ne prapule,
Kol Zemajtiaj giwi!
Kad wysi pri gienkła pule
Tad yr bus szcziestliwi.

Lenkaj, Lituwaj, Zemajtiaj draugibio
Kaip wysada buwom, kaip busem wyjnibio! [1]

Szumi, szumi bór Litwy, echem smutku, czy bitwy,
A od wieków ta sama brzmi nuta,
Wiecznie, wiecznie się żali na Krzyżaków, Moskali,
Tak dziś, jako za czasów Kiejstuta.

Mnich łupieżca już w grobie; Moskwo, także los tobie,
Cary krew twą w poczęciu zatruli.
Dość i naszej popłynie, kraj zalegną pustynie,
Nim wypędzim szerszenie z swych uli.

Siedem walk już nierówných starło siedm grzechów [głównych,
Ósmy raz dziś kraj powstał z zapałem.
Siedem razy z swej winy pleśń porosła wawrzyny,
W ósmym słowo niech stanie się ciałem.

---

[1] W dosłownym przekładzie:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Dopóki Żmudź żyje,
Gdy wszyscy za broń chwycimy,
Wtedy będziemy szczęśliwi.

Polacy, Litwini, Żmudzini razem
Jak zawsze byliśmy, tak i będziemy w jedności!
(Przyp. autora).

Krwią swych synów zbroczona, walczy z wrogiem Ko-
Walczy Litwa, spowita w zwój cierni, [rona,
Mongoł dziki i srogi sieje mordy, pożogi,
Lecz jej syny niezgięci a wierni.

W głębi puszcz na polanie kani słychać hukanie,
Szelest głuchy śród gąszczów się szerzy,
I przez krzewy, moczary, płynie ławą jak mary
Zastęp cichych, milczących rycerzy.

Ciągną zwolna, tajemno, tylko błyszczą w noc ciemną
Strzelb dwururnych iskrzące iglice.
Niby błędne ogniki, niby mogił płomyki,
Widma zemsty, grobowe martwice.

Zastęp ledwie dojrzany, odzian w szare sukmany,
Pasem spięte, na głowach rogatki [1].
Topór lśni się w prawicy, a pierś, miasto zbroicy,
Ostrobramskiej zasłania tarcz Matki [2].

Nikt nie szemrze, nie gwarzy, niemasz sztabów, bagaży,
Choć ruch ciągły, placówek, czat wiele.
Tylko oko żar ciska, tylko ręka broń ściska,
Cisza święta jak śród mszy w kościele.

Pierwsze słońca promyki zrumieniły bór dziki,
Z dołu łuną przyświeca polana,
Pali ognie by Znicza [3] dziarski huf Mackiewicza [4],
Króla puszczy, rycerza, kapłana.

---

[1] *rogatki* — czapki rogatywki.

[2] *Ostrobramskiej zasłania tarcz Matki* — ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej (cudowny obraz w Wilnie).

[3] *Znicz* — legendarny wieczny ogień święty pogańskich Litwinów.

[4] *Mackiewicz* — ksiądz, na czele partji dwustukilkudziesięciu chłopów żmudzkich daje początek ruchowi zbrojnemu na Litwie.

Wśród tej ciszy uroczej z gęstych lasów warkoczy
Strojny w habit wychodzi mąż rosły,
Twarz sierdzista a blada, z brody gęsty włos spada,
Miecz przy boku, brew czarna, chód wzniosły.

To wódz, postrach Mongoła, obraz zemsty anioła,
W liczne sztaby nie igra jak dziecko,
Gardzi czczemi tytuły, co nas w pęta wciąż kuły,
Jedno pragnie: bić Moskwę zbójecką.

Kiedy postać błysnęła, wiara murem stanęła,
Harde karki z miłością mu skłania.
Wódz pochylił też czoła, szle wzrok bystry dokoła,
A z nim braciom poranne witania.

Po gęstwinach, rozłogach [1], brzmi pobudka na rogach,
Echem ginie w puszcz głuchych przestworze —
I padł wódz na kolana i szle wiara do Pana
Pieśń wielbiącą wstające już zorze.

Jedna żądza ich pali, bić morderców Moskali,
Zdobyć w boju męczeństwo lub blizny,
Gdy bój w Polsce się szerzy, takich trzeba rycerzy,
Tacy tylko zbawieniem ojczyzny.

Ścichły pienia — wódz skinął, obóz kłębem się zwinął,
Zgasły ognie, zniknęła [2] w puszcz toni,
Ostrobramska Rodzico, pobłogosław prawicą,
Pobłogosław męczeńskiej Pogoni [3].

---

[1] *rozłogi* — otwarte pola, błonie.
[2] *zniknęła* — raczej; zniknęli.
[3] *Pogoń* — herb Litwy.

SZUBIENICA

Kiedy wśród Rzymian zgasły dawne cnoty
I wolnym niewola zbrzydła,
Gdy przed wiekami legjonów ptak złoty,
Nad światem rozpostarł skrzydła,
Gdy gród Scewolów [1] owładły cezary,
Depcąc po karku kwirycie [2]: —
Nie znano wówczas haniebniejszej kary,
Jako do krzyża przybicie.

Lecz gdy Syn Boży zstąpił z Ojca łona,
Bóg, pognębionych obrońca,
I za maluczkich, na krzyż wbity, kona —
Krzyż wybiegł światłem nad słońca.
I drzewo, które przenajświętsze Ciało
Dźwigało na znak shańbienia,
Nagle sztandarem chrześcijan się stało
I świętem godłem zbawienia.

Dzisiaj nad Polską rozpostarły szpony
Dwugłowe potwory czarne
I, krwi niesyte, szlą na wszystkie strony
Zbiry swe, mordem ciężarne;
Dziś najpodlejszą karą wobec świata
Głoszą ci więzień strażnicy
Śmierć, z woli cara, z rąk oprawców, kata,
Na stryczku, na szubienicy.

O Panie! Polska krwią synów przesiękła,
Pełna ufności i wiary,

---

[1] *Scewola* — Gaius Mutius Scaevola, sławny z bohaterskiego wystąpienia wobec oblegającego Rzym króla Etrusków, Porsenny.
[2] *Kwiryta* — Rzymianin.

Z rozdartą szatą u stóp krzyża klękła,
Co dnia ci niosąc ofiary.
Przeżegnaj krzyżem, sztandarem zbawienia,
Niech nam śród bitew przyświéca,
Bo dotąd Polsce śród męczeństw cierpienia
Sztandarem jest szubienica.

KOŚCIUSZKO
POD RACŁAWICAMI

OBRAZ HISTORYCZNO-LUDOWY W PIĘCIU ODDZIAŁACH.

Ogrom leży, a bez czucia,
Jeszcze trzeba iskry z nieba
A nie z ziemi — do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma.
Krasiński.

TEOFILOWI LENARTOWICZOWI

KTÓREGO ŚLICZNY POEMAT

BITWA RACŁAWICKA

DAŁ MI PIERWSZĄ MYŚL NAPISANIA TEGO OBRAZU

POŚWIĘCAM

OSOBY:

* TADEUSZ KOŚCIUSZKO
* GENERAŁ WODZICKI
* STAROSTA ANTONI SZUJSKI
* STANISŁAW KRZYCKI, namiestnik [1] w brygadzie Mangeta
* FILIP NEREUSZ LICHOCKI, prezydent miasta Krakowa
* LASZKIEWICZ, * DZIANOTTY, * SZTUMMER — radni miasta Krakowa
* KASPARY, poczmistrz
* DUTKIEWICZ, rzeźnik
* KRAUZE, kupiec
SIKORSKI, szewc
* LENARTOWICZ, komisarz ordynacji Pińczowskiej [2]
* NICEFOR, * ONUFRY — rezydenci [3] starosty
* BARTOSZ GŁOWACKI, zagrodnik
ABRAHAM DZIAŁOSZYCKI, handlarz zboża
* WASILEWSKI, kapitan z pułku Wodzickiego
* ŚWISTACKI, włościanin
* RUCIŃSKI, felwebel miejski
* GENERAŁ DENISOW

---

* Gwiazdka oznacza, że odnośne osoby omówione są we *Wstępie*, str. XXI i nast.

[1] *namiestnik* — najniższy stopień oficerski.

[2] *ordynacja* — majątek magnacki, niemogący być na mocy specjalnych ustaw sprzedany ani podzielony, przechodzący na najstarszego syna, który nosi wówczas tytuł ordynata; ordynacja pińczowska Myszkowskich - Wielopolskich obejmuje wielkie dobra w ziemi Kieleckiej.

[3] *rezydent* — Na dworach staroszlacheckich trafiali się często rezydenci, szlachta bez określonego zajęcia, będąca jakgdyby w stałej gościnie; byli to najczęściej dawni wojskowi.

* ŁYKOSZYN, pułkownik
GRABIENNIKOW, major } nowogrodzkich muszkieterów
KATKOW, praporszczyk [1]
NIKIFOROW, rotmistrz dragonów Smoleńskich
GRZEGÓRZ z pod Racławic, kowal
SZYMEK, jego pomocnik
RADZIK, ekonom
KUBA, karbowy } z Kozubowa
MACIEK, fornal
PERLIK, czeladnik rzeźnicki
JAN, lirnik
* STAROŚCINA SZUJSKA
PANI LICHOCKA
ANNA, jej siostrzenica
* FILOMENA, panna respektowa [2] starościny
BRANDYSKA, przekupka
BARBARA, żona Bartosza

SZTAB KOŚCIUSZKI. — MIESZCZANIE I LUD KRAKOWSKI. — OCHOTNICY. — WOJSKO POLSKIE I ROSYJSKIE. — KOSYNIERY. — WŁOŚCIANIE. — WŁOŚCIANKI.

Akt pierwszy w Krakowie, dnia 24 marca 1794 r. — Drugi w Kozubowie, wsi ordynacji Pińczowskiej. — Trzeci i piąty we wsi Starosty, Rzędowicach. — Czwarty pod Racławicami, dnia 4 kwietnia 1794 r.

---

[1] *praporszczyk* (ros.) — chorąży, niższy oficer.
[2] *panna respektowa* — szlachcianka, będąca na służbie osobistej u pani domu.

ODDZIAŁ I.

PRZYSIĘGA.

Mieszkanie prezydenta Lichockiego, umeblowane w stylu schyłku XVIII wieku. Po lewej stronie stół nakryty z zastawą do kawy, w głębi na ścianie portret Stanisława Augusta.

SCENA PIERWSZA.

LICHOCKI *w szlafroku i rannej czapeczce,* LICHOCKA *w negliżu, siedzą po lewej stronie i piją kawę; po prawej przy stoliczku siedzi* ANNA *z robótką).*

LICHOCKI

(zrywa się z krzesła i rzuca o ziemię serwetę, którą miał podwiązaną pod brodą).

A to skaranie boskie z temi kobietami! — kawy spokojnie wypić nie dadzą! *(Chodzi rozgniewany wpoprzek sceny).* No proszę, zachciało się pannie żołnierzyka, szabelki, ostróg! a jejmość zamiast jej wybić z głowy te niedorzeczności, jeszcze potakujesz. Nic z tego, mości panku: dopókim ja żyw, żołnierska noga w moim domu nie postoi. Nie pozwolę mości panku! nie, nie i jeszcze raz nie!

ANNA.

Przecież wyjaszek dobrodziej wie o tem, że mi ś. p. ojciec przeznaczył pana Krzyckiego za męża i że tylko chcę wypełnić jego wolę.

LICHOCKI.

Ba, ojciec! Ojciec także był zapalona głowa: włóczył się z konfederatami[1] po Węgrzech, po Tureczczyźnie, a zdrowie i całą fortunę na wojenki stracił. Ale tu nie ojcowska, ale moja wola decyduje. Ja jestem wasińdźki opiekunem i nie pójdziesz za Krzyckiego, ale za pana Laszkiewicza, któremu dałem słowo. Punktum i basta!

LICHOCKA.

Zastanówże się kochaneczku, że nie jesteś jedynym opiekunem Andzi. Przecież jej wuj, a mój brat, jest drugi i tylko zgoda obydwóch może o jej losie stanowić.

LICHOCKI.

Ej, co tam jakiś szlachetka, co musi służyć u ordynata pińczowskiego. Ja co innego; ja jestem prezydent, rozumiesz jejmość!

LICHOCKA.

Ale cóż masz przeciwko panu Stanisławowi? Dzielny żołnierz, dobry chłopiec i w tak młodym wieku już został namiestnikiem w brygadzie Mangeta[2]; ma przed sobą karjerę.

LICHOCKI.

Karjera, śliczna mi karjera! Za lada okazją kulą w łeb i już po karjerze — a potem żołnierz, a ja nie cierpię żołnierzy, brzydzę się żołnierzami!

ANNA.

Czyż to nie najpiękniejszy stan, bronić całości ojczyzny od nieprzyjaciół?

---

[1] *z konfederatami po Węgrzech* — po upadku Konfederacji Barskiej rozproszeni jej uczestnicy zmuszeni byli szukać schronienia za granicami Polski.

[2] *brygada Mangetą* — zob. objaśnienia historyczne str. XX.

LICHOCKI.

Ojczyzna nie potrzebuje obrony, bo ma gwarancję Najjaśniejszej Imperatorowej [1].

LICHOCKA.

A mój Filipie! Gdybym cię nie znała, sądziłabym, żeś się zaprzedał Moskalom.

LICHOCKI.

Wcale nie mam do nich pociągu, ani przychylności, ale gdy mają siłę, a my żadnej, to trzeba uszy stulić i słuchać woli Opatrzności. A zresztą ja tam z wami dysputować nie będę — pójdziesz za Laszkiewicza i basta!

ANNA.

Stary gderacz, który już dwie żony zadręczył!

LICHOCKI.

Wcale nie stary, bo o dwa lata młodszy odemnie, a przytem kupiec bogaty, obywatel porządny, radny miasta, a chociaż wdowiec i ma kilkoro dzieci — tem lepiej, przyjdziesz odrazu do gotowego. *(Głaszcze Andzię).* No, no, nie dąsaj się asińdźka, gwarantuję, że mi jeszcze podziękujesz za takie szczęście. *(Siada i zaczyna pić kawę).*

ANNA.

Ja już dzisiaj dziękuję wujaszkowi za to szczęście i jeśli mam iść za Laszkiewicza, to wolę wstąpić do klasztoru.

LICHOCKI *(biegnie do Andzi, przedrzeźniając).*

Do klasztoru! do klasztoru! do klasztoru! proszę? Wstąpisz aśćka do klasztoru, ale do Adamowego [2].

---

[1] *gwarancja Imperatorowej* — Sejm 1768 r. uznał Rosję gwarantką konstytucji i swobód polskich.

[2] *klasztor Adamowy* — zakon św. Adama, zakon Adama i Ewy, żartobliwe określenia staropolskie stanu małżeńskiego.

(Uderza ręką w stół) Ja tak chcę! Punktum i basta! *(siada).*

LICHOCKA.

Ależ nie irytuj się Jegomość — przecież pan Stanisław...

LICHOCKI *(rzuca łyżeczką o ziemię).*

Jest znowu pan Stanisław!! Powiadam wam, przestańcie, bo cały dom do góry nogami przewrócę. *(Pauza).* Ciekawy jestem, co wy macie przeciwko panu Laszkiewiczowi — handel najpierwszy w mieście... Jakieżto przepyszne u niego śledzie, jakie delikatne minogi [1], jaki węgórz! jakie sery! a jakie winko! *(smakuje)* na samo wspomnienie aż ślinka idzie do ust. *(Całuje Andzię w czoło).* Pójdziesz Anulko za niego, pójdziesz, będę waszym codziennym gościem, będziecie mnie częstowali, raczyli... *(podnosi łyżeczkę i zabiera się do kawy).* Nie mówmy o tem — wszystko będzie dobrze — zostaniesz panią Laszkiewiczową.. Punktum i basta!

LICHOCKA.

Nie sprzeciwiaj się Anulko wujaszkowi. Wiesz, że zawsze gniewa się, krzyczy, ale wkońcu ustąpi i zrobi tak, jak my chcemy. Idź do kuchni i zajmij się obiadem, a jak wujaszkowi będzie smakował, to się ułagodzi i na wszystko zezwoli.

LICHOCKI *(zrywając się).*

Otóż się nie ułagodzę i przysięgam wam! słyszycie, przysięgam uroczyście: że wtedy dopiero pozwolę na marjaż Andzi z tym szabelnikiem, jak sam zostanę żołnierzem, jak mnie zobaczycie w mundurze i pod karabinem. Punktum i basta! *(Siada i zaczyna pić kawę; Anna zabiera robótkę i odchodzi na lewo drzwiami).*

---

[1] *minóg* — ryba okrągłousta, ceniona przez smakoszów.

LICHOCKA.

Gniewasz się, irytujesz, a należałoby, zamiast prowadzić wojnę z kobietami, o czemś ważniejszem pomyśleć.

LICHOCKI.

Nie znam ważniejszych interesów nad moje własne.

LICHOCKA.

O twoje też interesa idzie — lada chwilę może przyjść nieszczęście, trzeba więc zawczasu pomyśleć o sobie.

LICHOCKI *(zajadając)*.

Jakież znowu nieszczęście — czy się jejmości co przyśniło?

LICHOCKA.

Czy jegomość udajesz? Czy też naprawdę nie wiesz, że się w mieście gotuje jakaś awantura?

LICHOCKI.

Zapewne się mościpanku przekupki pobiją?

LICHOCKA.

Cokolwiek gorzej, bo wojsko i naród zamyślają wypędzić z kraju Moskali.

LICHOCKI *(spokojnie)*.

Pleciesz jejmość jak Piekarski na mękach [1]... któżby śmiał porwać się na wojsko Imperatorowej?

LICHOCKA.

Już się porwał generał Madaliński [2] i ciągnie na Kraków.

---

[1] *pleść, jak Piekarski na mękach* — stare powiedzenie przysłowiowe = bredzić, mówić od rzeczy. Michał Piekarski, ziemianin sandomierski, wykonał w przystępie obłędu zamach na życie króla, za co poniósł śmierć w męczarniach (1620).

[2] *generał Madaliński* — stojący w Ostrołęce, uderzył (12 marca) ze swą brygadą na Prusaków i ruszył w stronę

LICHOCKI.

Stara historja: wytrzepią mu skórę i skończy się wojenka. Łykoszyn[1] wczoraj wymaszerował przeciw niemu z Krakowa.

LICHOCKA.

A co się zrobi w Krakowie?

LICHOCKI.

Cóżby się zrobić miało? Moja jejmość! Kto jejmości takich bajek naplótł?

LICHOCKA.

Kurczaba, felwebel od regimentu Wodzickiego — no, wiesz przecie — ten, co się do naszej kucharki zaleca, żegnał się z nią wczoraj i mówił, że lada dzień pójdą bić Moskali.

LICHOCKI.

Ot tobie raz! Upił się mościpanku i głupstwa baje.

LICHOCKA.

A dlaczegóż to wczoraj szewc Sikorski kupił potajemnie od feldwebla z cajghauzu[2] dziesięć funtów prochu i worek kul? Czy on to z prochu będzie kręcił dratwy? Co? A na cóż to Dutkiewicz, cechmistrz[3] rzeźnicki, kupił od Lewka trzy stare allebardy[4] i pięć strzelb? Czy on to będzie woły strzelał w szlachtuzie?[5] Hę? A dla kogóż to kowal Białczyński kuje po

---

Krakowa, dając pierwszy hasło wybuchu powstania. Zob. *Wstęp*, str. XX.

[1] *Łykoszyn* — podpułkownik wojsk rosyjskich, stacjonowanych w Krakowie, opuścił Kraków bezpośrednio przed przyjazdem Kościuszki; zob. *Wstęp* str. XX.

[2] *cajghauz* — cekauz (z niem. Zeughaus), zbrojownia.

[3] *cechmistrz* — starszy cechu, t. j. organizacji rzemieślników.

[4] *allebarda*, halabarda — grot z siekierą, osadzony na drewnianym trzonie; broń mogąca służyć do sieczenia i kłucia.

[5] *szlachtuz* — rzeźnia.

całych nocach piki na Kleparzu? Czy on to będzie dzidami konie podkuwał? Hę?

LICHOCKI *(zaniepokojony zrywa się i chodzi po pokoju. Lichocka stoi na środku).*

Dajże mi jejmość pokój z tymi rejestrami kłamstwa: furdy, nonsensa, ekstrawagancje [1], babskie plotki. Gdyby się coś w mieście knuło, tobym najpierwszy wiedział, bo przecież jestem prezydentem miasta.

LICHOCKA.

Malowanym jesteś jegomość prezydentem, a rzeczywistym pan Krauze, kupiec, który wszystkich mieszczan ma po sobie. Babskie plotki? Zobaczymy, czy to babskie plotki, jak się plebs zbuntuje i zdespetuje [2] pana prezydenta!

LICHOCKI *(z trwogą).*

Mnie zdespetować? A cóżem ja tym mieszczuchom zawinił?

LICHOCKA.

Kupczyk od winiarza Krochmalskiego, odstawiając wczoraj reńskie wino, ostrzegał mnie, że na jegomości okrutne rzeczy patrjoci wygadują w winiarni, żeś miał konszachty z Łykoszynem, żeś u niego wysiadywał...

LICHOCKI.

Bywałem, bo mi prezydencki urząd nakazywał komunikować się z komendantem załogi.

LICHOCKA.

Żeś przystał do Targowicy [3]...

---

[1] *ekstrawagancje* — przesadne wymysły.
[2] *zdespetować* — znieważyć, zelżyć.
[3] *Targowica* — Konfederacja, zawiązana w Targowicy przez żywioły reakcyjne, zaprzedane Rosji, w r. 1792; do niej przyłączył się też i Stanisław August.

LICHOCKI.

Jeżeli sam król Jegomość przystał, to dlaczegóż prezydent nie miał przystawać?... Konstytucja grodzieńska [1]...

LICHOCKA.

Ja się tam na konstytucjach nie rozumiem, ale czuję, że będzie źle.

LICHOCKI *(wystraszony).*

Aa, to już byłoby skończenie świata, gdyby szewcy i rzeźniki brali się do oręża! Ha, kto to wie, może to i prawda. Farmazony [2], francuskie duchy, taki Krause, taki Dzianotty, szczepią i u nas paryską zarazę... Co tu robić? Co tu robić?

LICHOCKA.

Kazałam najpotrzebniejsze rzeczy spakować, precjoza [3] i gotówkę złożyłam u ks. przeora od św. Tomasza. Wyjedziemy do Kozubowa, do mego brata, a jak się uspokoi wszystko, czy na tę, czy na ową stronę, wrócimy do Krakowa.

LICHOCKI.

Złota Anteczko! *(Ściska ją).* Masz prezydencki rozum, wyjedziemy dziś jeszcze, *(ściska ją)* poczciwa Antosieczka.

---

[1] *Konstytucja grodzieńska* — uchwalona na ostatnim sejmie Rzeczypospolitej w Grodnie 1793 r., po podpisaniu zgody na drugi rozbiór, pod dyktandem Rosji.

[2] *Farmazon* — *franc maçon*, wolnomularz, mason, członek tajnego związku międzynarodowego, odgrywającego ważną rolę polityczną w ruchach wolnościowych i społecznych.

[3] *precjoza* — kosztowności.

SCENA DRUGA.

Dawni i feldwebel RUCIŃSKI.

RUCIŃSKI *(salutując).*

Posłał mię tu pan radny Laszkiewicz z nakazem, żeby się pan prezydent gdzie schował, albo uciekł, bo lada chwila będzie burza w mieście.

LICHOCKI.

Burza? Jaka burza? Skąd burza?!

RUCIŃSKI.

Ja tam nie wiem, ale widziałem, jak bataljon generała Czapskiego [1] osadził bramy i nikogo prócz kobiet za miasto nie wypuszcza — zaś pana Kasparego z poczty aresztowano i zaprowadzono na odwach.

LICHOCKI.

Idź mi wasze do stu djabłów z takiemi nowinami! Precz! Precz!

RUCIŃSKI.

Większa moc boska, niźli złość ludzka. Wypędza mię pan prezydent, tem lepiej. Zaciągnę się do wojska narodowego — wolę podlegać generałowi, aniżeli prezydentowi, którego obwiesić mogą, a mnie przy nim. Panu Bogu oddaję. *(Salutuje i odchodzi).*

SCENA TRZECIA.

LICHOCKI *i* LICHOCKA.

LICHOCKI.

Żywo Anteczko, zabieraj jejmość Andzię i wyjeżdżajcie co żywo, dopóki kobiety za miasto wypusz-

---

[1] *generał Czapski* — szef pułku piechoty, którego jeden bataljon był stacjonowany w Krakowie. Zob. objaśnienia str. XXIII.

czaj Zaczekajcie na mnie w Niezwojowicach[1], już ja się ykradnę za wami; razem trudniej się wymknąć.

LICHOCKA.

Zmiłuj się Filipku, tylko ostrożnie, najlepiej ukryj się, a gdy się zmierzchnie, przywdziej moje suknie, to przebędziesz bramy *(ściska go)*. Niechże cię Bóg ma w swojej opiece, mój kotku! *(odchodzi)*.

SCENA CZWARTA.

LICHOCKI, *potem* LASZKIEWICZ.

LICHOCKI *(ociera czoło)*.

Pocę się jak mysz — ukryć się — ukryć, ale gdzie? Ot, najlepiej przemknę się nieznacznie do Laszkiewicza, on mnie między towarami ukryje.

LASZKIEWICZ *(wpada zadyszany)*.

Na miłość Boską, pan prezydent jeszcze tu?! — A przecież prosiłem i zaklinałem, żebyś się schował, albo uciekł...

LICHOCKI.

Ależ w jednej chwili umknąć nie mogę... zresztą może to strachy na lachy.

LASZKIEWICZ.

Ja sam, chociaż Bogu ducha winien, czuję koło szyi łaskotki; toż to insurekcja[2], najniewinniejszego mogą powiesić.

LICHOCKI *(z trwogą)*.

Ot, ot, za cóżby zaraz wieszali?

LASZKIEWICZ.

Za co? Za szyję... Madaliński...

---

[1] *Niezwojowice* — wieś pod Skalmierzem, w powiecie miechowskim.
[2] *insurekcja* — (łac. insurrectio), powstanie.

LICHOCKI.

Rozbity?...

LASZKIEWICZ.

Ale rozbity! Strzepał pruskich czarnych huzarów[1] i stoi już w Bronowicach[2] a lada chwila wkroczy do miasta. Wodzicki wystąpił na rynek ze swoim pułkiem, a plebs na potęgę się zbroi.

LICHOCKI.

Pomóż mi waćpan włożyć mundur. *(Ubiera się).* Wystąpię i nakażę spokojność.

LASZKIEWICZ.

Panie Filipie, czyś zmysły stracił?... Zmaltretują cię!...

LICHOCKI *(przerażony).*

Ależ na miłość Boską, za cóżby mnie mieli maltretować? Cóż ja tym łykom[3] zawiniłem?!

LASZKIEWICZ.

Nie miałeś ich prezydent za Boże poszycie[4]... Teraz też sobie wetują, wymyślając na jegomości, żeś moskiewski duch.

LICHOCKI.

Mój Boże! Waćpan najlepiej wiesz, jak ja kocham Moskali; ale trudno, mości panku, oni mają siłę, a my co? Głową muru nie przebijesz — król ich słucha, a cóż ma robić prezydent; gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleźć. *(Po chwili).* A gdybyś mię tak waćpan gdzie u siebie przechował?...

LASZKIEWICZ.

Dla waćpana wszystko zrobię, ale musimy przejść

---

[1] *czarni huzarzy* — wyborowy pułk pruski.
[2] *Bronowice* — wieś pod Krakowem.
[3] *łyk* — pogardliwe określenie mieszczanina.
[4] *Boże poszycie* – włosy, czupryna; przenośnie: mieć kogoś za nic, lekceważyć.

ostrożnie, żeby nas subjekci[1] i praktykanci nie widzieli, bo to wszystko buntownicze duchy.

(Chcą wychodzić, we drzwiach spotyka ich Kaspary).

SCENA PIĄTA.

Dawni. — KASPARY.

KASPARY *(wpada blady i pomieszany).*

Uf... ach... dla Boga *(rzuca się na krzesło).* Poczciwy Wo... Wodzicki.

LICHOCKI.

A cóż się to waszmości stało?

KASPARY.

Wystawcie sobie... ten infamis Gawroński... wpada ze zgrają hultajów do kancelarji pocztowej i wrzeszczy, że z Moskalami trzymam, że im listy oddaję. Zabrali wszystkie korespondencje, a mnie poszturchali i zawlekli na odwach Pospólstwo stryczkiem mi odgraża, wrzeszcząc: »na szubienicę, poczciarz zdrajca!« Wreszcie zaczynają szturmować do aresztu... już myślałem, że nadeszła ostatnia godzina. Wtem na szczęście nadchodzi generał Wodzicki, rozkazuje rozpędzić hołotę, a mnie wypuszcza.

LICHOCKI *(załamując ręce).*

Pięknych doczekaliśmy się czasów! Nikt życia nie pewny!

LASZKIEWICZ.

Nie traćmy czasu na lamentach, pójdźcie prędzej do mnie, schowam was w piwnicy, a żebyście nabrali odwagi, dam wam dobrego winka.

---

[1] *subjekt* — pomocnik handlowy.

LICHOCKI.

Poczciwy Laszkiewiczu, jakem prezydent, będziesz miał Anulkę. *(Wszyscy trzej idą śpiesznie ku drzwiom).*

SCENA SZÓSTA.

Dawni. — DZIANOTTY. — SZTUMMER.

(Obadwaj ubrani wedle mody francuskiej z 1793 r., z tą różnicą, że na głowach mają czerwone konfederatki, opuszczone na prawe ucho — pałasze i pistolety za pasem).

DZIANOTTY.

A dokądże to mości prezydencie?

LICHOCKI.

Mam... mam wyjść w urzędowym in... interesie.

DZIANOTTY.

Tem lepiej, bo właśnie przychodzimy z kolegą Sztummerem do waćpana z rozkazem generała Kościuszki, ażebyś szedł z nami na ratusz podpisać akt niepodległości.

LICHOCKI.

A cóż mnie albo panom radnym do jakiegoś aktu? Nasz obowiązek utrzymywać porządek w mieście; radzę i waszmościom trzymać się zdaleka od tych buntów. Wymagam tego jako prezydent.

DZIANOTTY.

Władza prezydencka ustała. Najwyższą władzą jest pan generał Kościuszko, który stoi na Piasku w pałacyku Wodzickich [1].

LICHOCKI.

Jak zobaczę, że ma patent na gubernatora od króla Jegomości, to się poddam tej nowej władzy.

---

[1] *Piasek* — dawne przedmieście, dziś dzielnica Krakowa; *pałacyk Wodzickich,* dziś już nieistniejący, stał u zbiegu dzisiejszych ulic Podwala i Studenckiej.

SZTUMMER.

Dalej mości prezydencie i panowie radni; na ratusz! Rozumiesz waćpan? Taki jest rozkaz naczelnika!

LASZKIEWICZ *(cicho do Lichockiego).*

Nie opieraj się panie Filipie. Kiedy rozkazują, trzeba słuchać.

KASPARY *(podobnież).*

Nie drażnij ich waćpan, bo to szalone pałki.

LICHOCKI *(rozpaczliwie).*

Nie pójdę! Nie! Żebyście mnie tu w kawałki posiekali — przysiągłem królowi i jego tylko będę słuchać

SZTUMMER *(gwałtownie, chwytając Lichockiego za ramię).*

Ej, moście Lichocki, nie igraj z narodem i nie przyprowadzaj nas do ostateczności!

SCENA SIÓDMA.

Dawni. — WASILEWSKI.

WASILEWSKI *(w galowym mundurze, salutując po wojskowemu)*

Pan generał Kościuszko wzywa pana prezydenta abyś się natychmiast stawił z radnymi w ratuszu.

LICHOCKI.

Radbym to uczynić... ale nie mogę, na miły Bóg nie mogę. Widzisz waćpan, mości kapitanie... żem... chory.

WASILEWSKI.

Mości panie Lichocki — wszyscy wiedzą, że targowiczanin, adherent[1] Moskwy, pójdźże więc dobrowolnie, żeby podejrzeń nie utwierdzać *(p. k. m.)* A zresztą, jeżelibyś waćpan dobrowolnie nie poszedł mam rozkaz zaprowadzić go pod wartą.

---

[1] *adherent* — zwolennik, stronnik.

LICHOCKI.

Ha, jeżeli mnie waćpan tak grzecznie prosisz — no... to pomimo choroby idę. *(Wychodzi naprzód, a za nim wychodzą Laszkiewicz, Kaspary, Dzianotty, Sztummer, na końcu Wasilewski).*

ZMIANA.

Rynek krakowski od strony ulicy Szewskiej, jakim był w roku 1794. W tyle Sukiennice i dawny ratusz[1] *z wieżą, pułk Wodzickiego z sztandarem uszykowany zajmuje głąb sceny. Miasto roi się od tłumów zbrojnych. mieszczanie, szlachta, chłopi, żydzi, rzemieślnicy, przekupki, uliczniki, dzieci; w oknach i na dachach widać ludzi.*

SCENA ÓSMA.

KRAUZE, SIKORSKI *i paru mieszczan na przodzie z rozmaitą bronią.* BRANDYSKA *w złotej czapce, obwiązanej wkoło od spodu białą muszlinową chustką, w jubce*[2]*, białem futrem obłożonej, zawieszonej na ramionach.* ŚWISTACKI *i gromadka chłopów i kobiet wiejskich, rozmawiają na boku.*

KRAUZE.

Niech żyje wolność i niepodległość!

LUD.

Wiwat!

SIKORSKI.

Niech żyje Polska!

LUD.

Wiwat!

---

[1] *dawny ratusz* — został zburzony w roku 1820; pozostała do dziś dnia jedynie wyniosła wieża.

[2] *muszlin* — bardzo cienka tkanina; nazwa pochodzi od miasta Mosul w Azji Mniejszej; franc. mousseline; *jubka* — sukmana kobieca.

BRANDYSKA.

Niech żyje pan generał Kościuszko!

LUD.

Wiwat!

(Dutkiewicz w długiej kapocie, przepasany polskim pasem z toporem w ręku, w wysokiej czapce baraniej, wchodzi na czele rzemieślników, majstrów, czeladzi zbrojnej w strzelby, piki, pałasze i halabardy).

CHÓR OCHOTNIKÓW.

Dalej bracia na Moskala,
Już ojczyzna się wyzwala.
Rzućmy warstat, bierzmy piki,
Hej do broni rzemieślniki!

DUTKIEWICZ.

Niech się każdy ostro bierze,
Śmiało idzie, walczy szczerze,
Niechże Moskwie, mości panie,
Nasza miła Polska stanie:

SIKORSKI.

W chlebie ością!

DUTKIEWICZ.

W gardle kością!

SIKORSKI.

Pniem na drodze!

DUTKIEWICZ.

Cierniem w nodze!

SIKORSKI.

Szydłem w brzuchu!

DUTKIEWICZ.

Świerszczem w uchu!

SIKORSKI.

W drodze górą!

DUTKIEWICZ.

W moście dziurą!

SIKORSKI.

I piekielną solą w oku!

DUTKIEWICZ.

I śmiertelną kolką w boku!

SIKORSKI *(wskazując na siebie).*

Czego szewcy nie dołoją...

DUTKIEWICZ.

Krawcy między sobą skroją.

SIKORSKI.

Czego kowal nie dokuje...

DUTKIEWICZ *(wskazując na siebie).*

To im rzeźnik dożyłuje.

CHÓR.

Hej do broni rzemieślniki!
Rzućmy warstat, bierzmy piki,
Już ojczyzna się wyzwala,
Dalej bracia na Moskala!

LUD.

Wiwat!

BRANDYSKA.

Niech żyje pan Dutkiewicz, cechmistrz rzeźnicki!

LUD.

Wiwat!

DUTKIEWICZ *(wskakuje na ławkę, stojącą przed domem po prawej stronie na przodzie).*

Sercem ukochani bracia! Kiedy już tak padło, trzeba wojować — a chociaż człowiek tego nie nauczony, to się przecież przy pomocy Boskiej nauczy. Moskal dojechał nam do dziesiątej skóry. Bije ten naród, na ten przykład, jak ja woły w szlachtuzie. Kręci biedną ojczyzną, jako nieprzymierzający pan majster

Sikorski dratwą, a cygani na wszystkie boki, jako nie ubliżający panu Krauzemu, na ten przykład, kupiec. Nasz król Stanisław, niech mu Pan Bóg błogosławi *(odkrywa i nakrywa głowę)* jest, uczciwszy uszy[1], ciepłe piwo! Carowa powie tak — to on tak, carowa powie siak — to on siak! A wykręca królem jak zacna nasza obywatelka pani Brandyska, kiedy miotłą przed stragą[2] zamiata. On ci o naród dba tyle, co ja o te jelita, które wyrzucam na śmiecie. Cierpliwości narodowi nie staje i święty nie wytrzymałby takiego despetu. Więc pan jenerał Kościuszko, który już przed dwoma laty dosyć gorącego sadła zalał za skórę Moskalowi, ulitował się nad tobą, mizerny narodzie. A jako pogany za dziesiątem morzem[3] bijał, tak i Moskalowi nie przepuści. A więc narodzie żyj w zgodzie, bo przez niezgodę, tracą ludzie swobodę; nosił wilk owce, poniosą i wilka, a jak Kościuszko dobędzie szabli, to Moskala wezmą djabli! *(schodzi z ławy).*

LUD.

Wiwat!

SIKORSKI *(wskazuje na ławkę).*

Narodzie! narodzie mówię! niby na ten przykład jako skóra juchtowa[4] dziegciem smarowana—to jest... nie tak. Oto jak na to mówiący, nie zrobisz buta przez[5] kopyta... tak i wojna na ten przykład!... Ej co tam! co tu długo gadać. Bić Moskali i basta! Wypędzić z ojczyzny i kwita! Niech żyje Polska i koniec. *(Zeskakuje).*

---

[1] *uczciwszy uszy* — frazes staropolski, używany przy ostrych określeniach; oznacza mniej więcej tyle, co dziś »za przeproszeniem«.

[2] *straga* — stragan, stół, na którym przekupień swój towar rozkłada.

[3] *za dziesiątem morzem* — aluzja do pobytu Kościuszki w Ameryce.

[4] *skóra juchtowa* — krowia lub cielęca, wygarbowana, używana na wierzchy obuwia chłopskiego.

[5] *przez* — bez (powszechne u ludu).

LUD.

Wiwat!

KRAUZE *(wchodzi na ławkę).*

Mości panowie! Zacznijmy tylko, a wszystkie potencje przyjdą nam na pomoc: Francuz już się rusza, Anglik okrętami aż do Petersburga zajedzie, Szwed z góry, a Turek z dołu na Moskala uderzą. Prusak musi siedzieć cicho, boby mu Francuz wytrzepał skórę, Austrjak przypomni sobie Sobieskiego i przyśle nam sukurs. Amerykanie, panowie...

SIKORSKI *(ściągając go z ławy).*

Ej, co tam na cudzą pomoc rachować, jak się sami nie chycimy, to nas nikt nie poratuje. Niech żyje generał Kościuszko!

LUD.

Wiwat!

BRANDYSKA.

A jak mi Maciejowa stolarka powiadała, chociaż to baba wielki cygan, to się podobno pana Kościuszka ani kulka, ani szabla nie chyta [1].

SIKORSKI.

Święta prawda, choćby przed samą strzelającą harmatą stanął, to mu nic nie zrobi.

DUTKIEWICZ *(zbliżając się do gromady włościan, mówi do Świstackiego).*

No, a wy gospodarze cóż na to? Pójdziecie z nami na Moskala?

ŚWISTACKI.

A cóz nám [2] ta biednym chłopom miesáć się

---

[1] *ani kulka, ani szabla nie chyta.* — Lud bardzo chętnie idealizuje swych bohaterów, zdobiąc ich w cechy legendarne; do takich należy również i odporność ich na ciosy i kule.

[2] *á* pochylone w akcencie włościan krakowskich wymawia się jak *o. (Przyp. autora)*

między panów. Panowie się pobiją, potem pogodzą, a chłop, jak robił pańskie[1], takci i robił bedzie.

DUTKIEWICZ.

Nie tak ci miły bracie: ci, co nie pójdą na wojnę, będą pańszczyznę odrabiali, ale ci, co pójdą i bić się będą, zostaną na wieki wieków od niej uwolnieni. Tak mi mówił nasz pan Dzianotty.

ŚWISTACKI.

Oj, żeby to jeno panowe słowa święte były. Mocny Boże, kieby choć tłoki, darmochy i daniny[2] darowali, a pańskiego trochę ulżyli, toby chłopy całemi gromadami' sły na wojnę; ale to jeno takie gadanie: jak przyjdzie co do cego, to się tám nad nami nikt nie ulituje, bo panowie okrutnie twardzi i przy swoim obstają.

DUTKIEWICZ.

Ej, dziś nie sama szlachta wojuje, ale cały naród, a jako naród rozkaże, tak będzie. Nie turbujcie się, będziemy sobie pomagać. *(Słychać hałas za sceną).* A to co takiego?

SCENA DZIEWIĄTA.

Dawni. — RUCIŃSKI *i* PERLIK *prowadzą* KATKOWA.

PERLIK.

Pójdźno tu wnuczku Lucypera, zaraz ci zrobimy sprawiedliwość, żebyś swoją kopyścią[3] nie kłuł więcej poczciwego narodu.

---

[1] *pańskie* — pańszczyzna.

[2] *tłoki, darmochy, daniny* — Prócz pewnej ilości dni pracy na roli pańskiej mieli poddani obowiązek oddawania pewnych danin, a dalej pracy bezpłatnej w wypadkach pilnych robót (darmochy). Tłoka jest to zbiorowa praca całej wsi na korzyść pana, za którą poczęstunek otrzymywali.

[3] *kopyść* — drewno długie, w końcu płaskie, do mieszania, rozcierania, gniecenia; żartobliwie szabla.

KATKOW.

Izwinitie! izwinitie gaspada! ja nie winowat![1]

DUTKIEWICZ.

Puścić go! Przecie nam nie ucieknie. *(Do Katkowa).* Co tutaj waćpan robisz, kiedy jego komenda jeszcze wczoraj uciekła z Krakowa?

KATKOW.

Izwinitie, ja zapiłsia wodku tak i zasnuł, ja nie winowat, ja pijanica, krugom durak [2].

DUTKIEWICZ.

Toć my nie zaprzeczamy, żeś asan durak, ale jakby to być mogło, żeby komendant nie wiedział, że mu oficera brakuje. A może się tu asan zostałeś na przeszpiegi?

SIKORSKI.

Juścić nie co innego!

RUCIŃSKI.

Idę na wieżę, a tu coś w okienku siedzi, przypatruję się, a tu Moskal lustruje cały rynek.

BRANDYSKA.

To śpieg panowie, jak Pana Jezusa kocham, śpieg!

KATKOW.

Och ja nie szpion [3], jej Bohu nie szpion!

KRAUZE.

A pocoś patrzał przez okienko na rynek, hę?

KATKOW.

Kudaż mnie było smotrit?[4]

---

[1] *Izwinitie* etc. (ros.) — darujcie panowie! jam niewinny.
[2] *Izwinitie* etc. — Darujcie, jam upił się wódką i zasnąłem; jam niewinny, ja pijak, całkiem głupi.
[3] *szpion* (ros.) — szpieg.
[4] *kudaż* etc. — gdzież miałem patrzeć?

BRANDYSKA.

To śpieg, ostawili go tutaj z umysłu, żeby wypatrował, wiele jest naszego wojska: powiesić go! powiesić!

KATKOW *(w strachu).*

Światyj Nikołaj czudotworec, ratuj mienia![1]

KRAUZE.

Co tam długo myśleć, dajcie kawał powroza i powiesić, będzie o jednego mniej!

LUD.

Powiesić!

(Lud porywa Katkowa, ciągnie w głąb, wtem wchodzą).

SCENA DZIESIĄTA.

Dawni. — LICHOCKI. — LASZKIEWICZ. — KASPARY. — SZTUMMER. — DZIANOTTY. — WASILEWSKI.

LICHOCKI.

Co się tu dzieje?

DUTKIEWICZ.

Schwytaliśmy oficera moskiewskiego, który zakradł się na wieżę ratuszową i podpatrywał naszych.

SIKORSKI.

I naród chce go powiesić.

LICHOCKI.

Nikomu nie wolno wymierzać sprawiedliwości, tylko sądowi. Odprowadzić go do więzienia.

LASZKIEWICZ *(na stronie do Lichockiego).*

Na rany boskie milcz waćpan!

KRAUZE *(występując).*

Ha, kochany prezydent, wierny sługa moskiewski, poznał swój swego!

---

[1] *Swiatyj* etc. — Św. Mikołaju cudotwórco, ratuj mnie!

BRANDYSKA.

Jego to puszczą, a mnie za to, żem się z kumoszką pobiła, kazał wsadzić do ciupy![1]

KRAUZE.

A zdrajca, nie będziesz asan tu rządził, gilotyna[2] na takiego prezydenta!

LASZKIEWICZ.

Zmiłuj się waćpan, nie potępiaj niewinnego człowieka.

KRAUZE.

Niewinny tak jak i waćpan, coś wino Moskalom sprzedawał. Wszyscyście z jednej mąki!

SIKORSKI.

Ej, co tam długo gadać, wziąć wszystkich trzech i kwita, powiesić i basta, będzie eksplikacja[3] i koniec.

LUD.

Powiesić! Powiesić! *(rzucają się na nich — zamieszanie).*

DZIANOTTY *(silnie).*

Stójcie mości panowie! Ojczyzna się odradza, a wy chcecie plamić się zbrodnią?! Katowskie rzemiosło nie przystoi wolnemu narodowi! Sądzić ma tylko prawo generał Kościuszko!

KRAUZE.

We Francji lud wymierza sprawiedliwość.

SZTUMMER.

Znamy waćpana, mości Krauze; do wieszania toś pierwszy, w gębie wielki, ale bić się za ojczyznę nie pójdziesz, boś tchórz wierutny.

---

[1] *ciupa* — żartobliwie: więzienie.

[2] *gilotyna* — machina do ścinania skazanych, wprowadzona we Francji w r. 1791 do zwalczania kontrrewolucji.

[3] *eksplikacja* — wyjaśnienie.

DUTKIEWICZ.

Pan radca Dzianotty ma rację. Niech żyje pan radca Dzianotty!

LUD.

Wiwat! *(słychać z daleka uderzenie w bębny i radosne okrzyki).*

WASILEWSKI.

Baczność! Prezentuj broń! *(werbel)*[1].

SCENA JEDENASTA.

Dawni. — KOŚCIUSZKO *w pamiętnym historycznym stroju.* — *Generał* WODZICKI. — *Sztab naczelnika.* — *Kilkunastu szlachty, tłumy ludu.*

WODZICKI.

Ziemianie województwa krakowskiego i mieszkańcy Krakowa! Wiadomy wam jest nieszczęśliwy stan naszej ojczyzny. Po przerwanej wojnie targowicką zdradą, która odrodzenia narodu nie dopuściła, mniemana gwarantka wolności Rzeczypospolitej zdeptała najświętsze prawa wolności, bezpieczeństwa, i własności majątków. Zdrajcy tylko u niej znajdują względy, a rozszarpawszy pomiędzy siebie majątek i dochody publiczne, jej tylko, a nie ojczyźnie służą. Ona to nie dopuściła znieść i zaprowadzić sukcesji tronu. Nie dość, że nie dozwoliła podnieść wojska do liczby stu tysięcy, przez sejm czteroletni uchwalonej, ale i to, które jeszcze istnieje, rozpuszczać każe!

Przesławna niegdyś Rzeczpospolita, będąca nieprzebytym wałem dla Europy od Moskali i bisurmanów, stała się pośmiewiskiem wszystkich narodów! Nie mogąc znosić dłuższego poniżenia, wierni synowie ojczyzny postanowili albo podźwignąć ojczyznę z upadku, albo pod jej gruzami się zagrzebać. Oto generał Kościuszko, bohater z pod Dubienki[2], który

---

[1] *werbel* — bicie w bębny.
[2] *Dubienka* — nad Bugiem, w pow. hrubieszowskim,

za oceanem rozniósł szeroko sławę oręża polskiego. On nas poprowadzi do tej świętej walki i jeżeli go całemi siłami wesprzemy — zwycięży!

DZIANOTTY.

Niech żyje generał Wodzicki!

WSZYSCY.

Wiwat!

KOŚCIUSZKO.

Witam was ziemianie — witam was mieszkańcy starej stolicy polskiej — witam was w solennym dniu, w którym ojczyzna kruszy hańbiące jarzmo. Ciężkośmy zawinili przed Bogiem, ale On żałującym przebaczy i poprowadzi zastępy nasze do zwycięstwa, jako ojców naszych prowadził. W Nim ufaj narodzie polski i w tej Królowej naszej z Jasnej Góry, która wybawiła przodków naszych z rąk Szweda [1].

DUTKIEWICZ.

Niech żyje pan generał Kościuszko!

LUD.

Niech żyje!

KOŚCIUSZKO.

Przybyłem tu na wezwanie starszych narodu stanąć na czele kraju i wojska. W obronie ojczyzny równość u mnie popłaca i dlatego szlachcica i mieszczanina, chłopa i żyda zarówno cenię. Niech więc wszyscy synowie tej ziemi pochwycą za oręż, a Polska będzie wolną.

LUD.

Wiwat!

---

miasteczko pamiętne zaciętą bitwą między wojskami rosyjskiemi a polskiemi pod wodzą Kościuszki (18 lipca 1792).

[1] *z rąk Szweda* — bohaterska obrona klasztoru Częstochowskiego (1655) dała początek powstaniu wszystkich warstw kraju przeciwko Szwedom.

KOŚCIUSZKO (*ujrzawszy gromadę chłopów, wyprowadza z niej na przód Świstackiego*).

Oto jeden z braci naszych, zapomniany przez resztę narodu. Że mu przez kilka wieków ojczyzna była macochą a nie matką, nie nasza w tem, ani ojców naszych wina, bo do dziś dnia w całej Europie chłopek zostaje w niewoli, a w wielu krajach stokroć gorzej, niż u nas, jest uciskany. Ale w tem nasze szczęście, żeśmy pierwsi tę niesprawiedliwość spostrzegli, gdy sejm czteroletni chociaż w części wrócił prawa chłopkowi. Dokończmyż jego wielkiego dzieła: gdy mamy walczyć za ojczyznę, niechże wszyscy synowie tej ziemi będą wolnymi. Oświadczam solennie, że każdy wieśniak, który pójdzie bić się z nieprzyjacielem, zostanie na czas wojny wraz z rodziną uwolniony od pańszczyzny. I ja przywdzieję nie złocisty mundur, ale wieśniaczą sukmanę, wierząc mocno, że lud wiejski, jako najliczniejszy, może się głównie przyczynić do oswobodzenia ojczyzny!

LUD.

Wiwat!

KOŚCIUSZKO (*biorąc Świstackiego w objęcia*).

Bracie mój, stań się Polakiem, którym dotąd nie byłeś; niech ten uścisk świadczy, że wobec wyzwolenia ojczyzny niknie wszelka różnica stanów, a są tylko synowie jednej matki.

LUD.

Wiwat!

LICHOCKI (*na stronie do Laszkiewicza*).

Koniec świata, ściska chama, przepadła wolność z kretesem!

LASZKIEWICZ (*cicho do Lichockiego*).

Czyś jegomość zmysły stracił? Milczże już raz przecie!

ŚWISTACKI *(obejmując za nogi Kościuszkę).*

O jáśnie nácelniku, my sie na tem wsyćkiem nie rozumiewa, ale skoro nam jáśnie jednorál obiecuje, ze pańskiego robić nie będziewa, to już za jáśnie nácelnikiem choćby na kraj świata pójdziewa.

WODZICKI *(wysłuchawszy raportu Wasilewskiego).*

Generale, schwytano oficera z komendy Łykoszyna i obwiniają go o szpiegostwo.

KOŚCIUSZKO.

Jakie na to dowody?

WODZICKI.

Te tylko, że zakradł się na wieżę ratuszową i stamtąd śledził, co się w mieście dzieje.

KOŚCIUSZKO.

I cóż mógł widzieć? Zapał Polaków dla sprawy wolności. *(Do Katkowa)* Jak się waćpan nazywasz?

KATKOW *(salutując, wyprężony jak struna).*

Michajł Antonowicz Katkow, praporszczyk nowgorodzkawo muszkietarskawo połka, moskowskaja gubiernija.

KOŚCIUSZKO.

Przypatrz się waćpan dobrze i donieś swoim naczelnikom, że naród polski poświęci wszystko, aby odzyskać wolność i swoje prawa.

KATKOW *(jak wyżej).*

Słuszaju wasze prewoschoditielstwo![1]

DZIANOTTY.

W imieniu mieszkańców Krakowa składam u stóp twoich, naczelniku, życie i majątki nasze.

SZTUMMER.

Wszystko oddamy, byle tylko ojczyzna była wolną!

---

[1] *słuszaju* etc. — słucham, wasza ekscelencjo.

KOŚCIUSZKO *(do Katkowa).*

Słyszałeś waćpan? — możesz odejść. *(Do Wasilewskiego)* Odprowadzić go aż do najbliższej komendy moskiewskiej.

KATKOW *(jak powyżej).*

Słuszaju wasze prewoschoditielstwo! *(odchodzi ze strażą).*

KRAUZE *(występując).*

Jaśnie Wielmożny naczelniku! Moskalowi nie dziwię się, że trzyma ze swoimi, ale są tu rodacy daleko gorsi od niego, bo ojczyznę zdradzają. *(Wskazując)* Oto pan prezydent Lichocki, który zaprzedał się Łykoszynowi, a nas zmuszał, żebyśmy Moskalom kwaterę dawali. Oto pan Laszkiewicz, który im wino sprzedawał. Oto jest pan Kaspary, który będąc pocztmistrzem, listy im oddawał. Oto...

WODZICKI.

Przestań waćpan!

KOŚCIUSZKO.

Cóżeś waćpan uczynił, że go oskarżają?

LICHOCKI.

Dawałem Moskalom kwatery i podwody, bom od tego prezydentem miasta, a słuchać muszę tego, który ma siłę.

SIKORSKI.

Ale wymyśla na patrjotów i nas nazywa łykami!

LICHOCKI.

Nie moja w tem wina, że w wojowanie szewców i rzeźników nie wierzę, ani też nie mam najmniejszej wiary, żeby się udało narodowi zwalczyć ogromną potęgę Rosji i Prus.

BRANDYSKA.

Chodził z Łykoszynem pod rękę, jak Pana Jezusa kocham.

KOŚCIUSZKO.

Że kto nie ma wiary, karać go za to nie można. Mości prezydencie, pełniłeś obowiązki względem nieprzyjaciela, spodziewam się, że jeszcze z większą skwapliwością będziesz służył ojczyźnie. Jesteś wolnym. Polska nie ma dziś zdrajców, ma tylko wiernych synów.

LUD.

Wiwat!

KOŚCIUSZKO *(cicho do Wodzickiego).*

Czy namiestnik Krzycki wysłany?

WODZICKI.

Tak jest, z rozkazem, aby Manget uderzył na ustępującego Łykoszyna.

KOŚCIUSZKO.

Wzywam cię generale do odczytania aktu niepodległości.

WODZICKI *(rozwija akt na pergaminie spisany i czyta).*

»Działo się na zgromadzeniu obywateli i mieszczan Województwa Krakowskiego dnia 24 marca 1794 roku.

»Przytłoczeni ogromem nieszczęścia, znękani bardziej zdradą, aniżeli przemocą nieprzyjacielskiego oręża, postradawszy ojczyznę, postanowiliśmy dla jej oswobodzenia poświęcić życie, jedyny skarb, którego nam przemoc wydrzeć nie zdołała. Mając niezłomne postanowienie, albo zginąć i zagrzebać się w ruinach własnego kraju, albo oswobodzić ziemię ojczystą od drapieżnej przemocy i hańbiącego jarzma, oświadczamy w obliczu Boga, że walczyć będziemy do upadłego.

»Przekonani, że pomyślny skutek naszego przedsięwzięcia zależy od zjednoczenia wszystkich sił narodu, wyrzekamy się wszystkich prze-

sądów, które synów jednej ojczyzny dotąd dzieliły, i chcemy, aby odtąd wszyscy mieszkańcy Polski bez różnicy stanu jednych praw używali.

»Ażeby cel ten osiągnąć, potrzeba, ażeby dzielna władza kierowała siłą narodową. Obieramy więc Tadeusza Kościuszkę za najwyższego i jedynego naczelnika całego kraju i powstania naszego, deklarując mu bezwarunkowe posłuszeństwo we wszystkiem, aż do ukończenia teraźniejszej wojny, składając w jego ręce użycie osób i majątków naszych, i na to wszystko dobrowolnie przysięgamy«.

(Wyciąga dwa palce do góry; werbel, wojsko broń prezentuje, cały lud klęka, wyciąga ręce, z dwoma palcami wzniesionemi do góry).

LUD *i* WOJSKO.

Przysięgamy!

KOŚCIUSZKO.

(Odkrywa głowę, bierze pałasz w obydwie ręce i wznosi do góry, jak na znanym obrazie Stachowicza — i mówi powolnym, uroczystym głosem; podczas przysięgi muzyka gra w orkiestrze pianissimo poloneza Kościuszki).

Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi polskiemu, iż powierzonej mi władzy, na niczyj prywatny ucisk, ale jedynie dla obrony ojczyzny, przywrócenia niepodległości, i ugruntowania swobód narodu używać będę. — Tak mi dopomóż Panie Boże i niewinna Syna Twego Męko!

(Obraz. Kurtyna wolno się spuszcza).

KONIEC ODDZIAŁU PIERWSZEGO.

ODDZIAŁ II.

RZEŹ W KOZUBOWIE.

Scena przedstawia dziedziniec dworski, w głębi którego wysokie sztachety, mające w pośrodku wrota wjazdowe. Na lewo staropolski dwór z wysokim dachem, mający przed drzwiami ganeczek na słupach — na prawo, w głębi, stodoła pokryta strzechą, obok stodoły na słupie dzwon — na samym przodzie, po lewej stronie, altanka, przed którą stoi stół i parę ławek. W tyle, za ogrodzeniem, wzgórze, panujące nad parkanem, a podnoszące się od prawej ku lewej stronie sceny.

SCENA PIERWSZA.

LENARTOWICZ *siedzi po lewej przy altance.* KUBA *stoi po prawej, nieco w głębi.*

LENARTOWICZ.

Czy Franek jeszcze z Pińczowa nie wrócił?

KUBA.

Ale, wróci on ta, chyba na sądny dzień.

LENARTOWICZ.

A cóż się u licha z nim stało, czy wiesz, gdzie jest?

KUBA.

No juści ze wiem, psystał do nasego wojska i poszedł z Moskalami wojować.

LENARTOWICZ.

Kuba! Wiele ty dzisiaj wypiłeś półkwaterków?

KUBA.

Co práwda, to jeno dwa, ale niechze se wielmozny pán nie myśli, zebym był pijany, a co mówię, to zetelná prawda.

LENARTOWICZ.

Gdzie?! Co? Jaka wojna? Czyś ty oszalał?

KUBA.

Cobym ta miáł osaleć? Ano tak było. Byliśwa wcoraj w Pińcowie, co nás wielmozny pán posłáł odwieźć owies Habramkowi. Otóz zyd dáł nám wódki, a jakeśmy pili, tak-ci wlázł jakisik stársy od nasego wojska, co tam stoi w Pińcowie, postáwił gorzáłki i prawi: »Pijcie chłopcy poki mozecie, bo niedługuśko wsyćkich chłopów Moskál zabierze do swojego wojska, a baby pozeni z Kozákami, i grunta im oddá«. Tak-ci dopiero powiáda, ze trza się bronić i Moskála wypędzić, bo będzie źle, a jak który chłop pójdzie na wojnę, to nietylko ze siebie, babę i grunt obroni, ale mu jesce będzie darowana pańscyzna.

LENARTOWICZ.

I wyście uwierzyli?

KUBA.

Já ta nie uwiezył — wziąnem se sprawnie cápkę pod pazuche i uciekłem; ale co Franek, to pewnie przystajáł, bo se z tym starsym tak okrutnie świádcyli, ze sie jaze na cápki pomieniali.

LENARTOWICZ.

A ty czemuś nie przystał?

KUBA.

Já ta nie mám ani baby, ani gruntu, to pocóz miáłem przystajać; a potem myślałem se, ze ten stársy

to jeno ćmi, ale jakby tak padło, a nakazowali, tobym musiał iść.

LENARTOWICZ.

Dobrze zrobiłeś, bo tu wcale wojny nie będzie.

KUBA.

O zaś co to, to znowuj nie práwda. Dyć na to trza ślepego, żeby nie widziáł, ze wojna będzie. Niechze wielmozny pán zwázy, ze od łońskiego roku[1] co się we wsi dziecko urodzi, to chłopák[2]. Na cózby się one chłopáki rodziły, jak nie na wojne? Jesce štery niedziele do świąt wielkanocnych, a juz ciepło i pola zielenieją — pocózby się tak wcas wiosna robiła, jak nie na wojnę? Kiejsik wedle północka ludzie wyraźnie słyseli bębnienie w lesie, chociáz tam nijakiego wojska nie było — a stáry Jędrek niedarmo widział ze soboty na niedziele dwa wojska na niebie okrutnie się bijące, a potem wsyćko rozlało się w krew. Oj, co będzie wojna, to będzie, i to juz niedługo.

LENARTOWICZ.

Wszystko to są niedorzeczne baśnie. Oto lepiej idź do roboty, a nie zajmuj się głupstwami.

KUBA.

Já ta ide do roboty, ale co bedzie wojna to bedzie.

SCENA DRUGA.

Dawni i MACIEK.

MACIEK.

Proszę wielmoznego paną, Habrámek przyjecháł.

---

[1] *od łońskiego roku* — od ubiegłego roku.

[2] *co się we wsi urodzi, to chłopak* — lud wierzy powszechnie, że wojnę zapowiadają rozmaite oznaki: rodzą się tylko chłopcy, wcześnie wiosna nastaje, słychać i widać na niebie jakieś wojska; motyw wzięty z Lenartowicza.

LENARTOWICZ.

Niechże tu zaraz przyjdzie. *(Maciek odchodzi)* A ty załóż konie; będziecie wozili ziemniaki do gorzelni, a wojnę wybij sobie z głowy, bo i tak bić się nie będziesz.

KUBA.

Abo bede, abo nie bede, któz ta wie, jak padnie? *(odchodzi).*

SCENA TRZECIA.

LENARTOWICZ *sam, później* ABRAHAM.

LENARTOWICZ.

Dziwna rzecz, skąd te nieustanne pogłoski o wojnie pomiędzy chłopami. Wprawdzie Madaliński nie dał się rozbroić, ale go wkrótce rozbiją, a kraj cały ani drgnie; a zresztą, czyż podobieństwo zwalczyć dwie takie potęgi, jak Moskwa i Prusy? Toż i ja biłem się pod Bierzyńskim i Zarembą [1] — jednemu nie mogliśmy dać rady, a tu dwóch. Kto dziś będzie się bił? Szlachta się nie ruszy, wojska nasze w znacznej części rozpuszczone, na obcą pomoc liczyć nie można. Ot, głupstwo, szkoda sobie plotkami zajmować głowę.

ABRAHAM *(wchodzi).*

Kłaniam wielmożnemu panu.

LENARTOWICZ.

A, dobrze żeś przyjechał Abramku, bo muszę dziś jeszcze wyprawić przez umyślnego pieniądze do Warszawy panu ordynatowi.

ABRAHAM.

Nu, to trudno, bo ja pieniędzy wcale nie przywoziłem.

---

[1] *Bierzyński, Zaręba* — słynni przywódcy partyzantów konfederackich.

LENARTOWICZ.

Jakto, przecież dzisiaj termin?

ABRAHAM.

Abraham wie, że dziś termin, i o terminie nigdy nie zapomina, nu, ale ja pieniędzy nie przywoziłem.

LENARTOWICZ *(z gniewem)*.

Cóż to, czy przyjechałeś stroić sobie ze mnie żarty?

ABRAHAM.

Jakżebym ja śmiał żartować z wielmożnego pana komisarza? Czy wielmożny pan myśli, że stary Abraham głupiec albo szachraj? Ja nie przywiozłem pieniędzy, bo ja wolę niech sobie oni u mnie poleżą jeszcze przez tydzień dłużej, aniżeli żeby ich Kozaki mieli zabierać.

LENARTOWICZ.

Kozaki? A to znowu co? Czy oszalałeś? Jakież oni mają prawo do pieniędzy JWgo ordynata?

ABRAHAM.

A jakie oni mieli prawo Polskę zabierać, a przecież zabierali?

LENARTOWICZ.

Co innego w czasie wojennym, ale przecież teraz mamy pokój.

ABRAHAM.

Owa! jaki to pokój, kiedy lada dzień bić się zaczną, a może już się biją.

LENARTOWICZ.

Co ty pleciesz?

ABRAHAM.

Wielmożny komisarz siedzi na wsi, to o niczem nie wie. Toć przecie w Krakowie wczoraj ogłosili insurekcję. Generał Kościuszko naczelnikiem, jest tam

przy nim i generał Wodzicki i Czapski i Madaliński i całe wojsko i wszystkie mieszczany. Nu, to się już pewnie wojna musiała zaczynać.

LENARTOWICZ.

Na miłość Boską, Abramku, skąd wiesz o tem?

ABRAHAM.

My żydki wszystko wiemy. Jak mnie moi donieśli, to ja tu zaraz z Działoszyc[1] prosto przyjechałem prosić, żeby wielmożny pan zaraz uciekał do Pińczowa, bo Moskale dziś tu jeszcze przyjdą i tu będą nocować. Pan generał Manget tam stoi i ma podobno napaść na Łykoszyna, idącego z Krakowa. Nu, toby wielmożny pan mógł powiedzieć panu generałowi Mangetowi, że oni tu będą nocować.

LENARTOWICZ.

Ani myślę wyjeżdżać, trzeba pańskiego dobra pilnować.

ABRAHAM.

Nu, a jak Moskale wielmożnego pana zabiją, to kto będzie pilnować pańskiego dobra? Oni są okrutnie rozgniewani, że musieli wychodzić z Krakowa, to się będą mścili.

LENARTOWICZ.

Ja im przecie nic nie zawiniłem, to za cóżby się na mnie mścili?

ABRAHAM.

Niechże wielmożny pan pamięta, że Abraham ostrzegał. *(Słychać turkot za sceną)* Co to jest — przecież jeszcze nie Moskale?

---

[1] *Działoszyce* — miasteczko w pow. pińczowskim.

SCENA CZWARTA.

Dawni. — KUBA, *potem* LICHOCKA i ANNA.

KUBA *(wpadając).*

Wielmozny panie, jaśnie siostra psyjechała z panienką.

LICHOCKA *(wchodzi i ściska Lenartowicza).*

Kochany braciszku!

ANNA *(całując go w rękę).*

Kochany stryju!

LENARTOWICZ.

Na miłość boską, skądżeście się tu wzięły?

LICHOCKA.

Ach! mój drogi — wystaw sobie, w Krakowie rewolucja. Pospólstwo niczego nie szanuje i odgraża się Filipowi. Lękałam się o jego życie, więc namówiłam go, żebyśmy tu wszyscy do ciebie przyjechali. Wyprawił nas przodem i miał zaraz przybyć za nami. Czekałyśmy napróżno — umieram z trwogi.

LENARTOWICZ.

Ach, moja droga! Jakżeż było można na taki czas puszczać się w drogę!

ANNA.

Chciałyśmy uniknąć niebezpieczeństwa.

LENARTOWICZ.

I wpadłyście z deszczu pod rynnę, bo i tu nie lepiej.

ABRAHAM.

Niech państwo na gadaniu czasu nie tracą, trzeba uciekać. Kuba, zaprzęgaj prędko do bryczki.

KUBA.

Aha, moze ciebie bede słuchał?

LENARTOWICZ.

Zaprzęgaj natychmiast!

KUBA.

Teráz to zapsęgnę, bo mi pán kazáł, ale nie ty! *(Odchodzi).*

LICHOCKA.

Ale cóż znowu? Dopiero cośmy przyjechały i już mamy odjeżdżać? Gdzie? Dokąd?

LENARTOWICZ.

Do Pińczowa; tam stoi wojsko polskie, więc będziecie bezpieczne. Ja miałem tu zostać, ale teraz pojadę, bo nie puszczę was samych.

LICHOCKA.

Ależ dlaczego?

ABRAHAM.

Bo tu Moskale idą z Krakowa, a oni nikomu nie przepuszczą.

ANNA.

Mamy uciekać, a cóż się stanie z wujem Lichockim?

LICHOCKA.

Nie, nie, ja się stąd nie ruszę, dopóki Filip nie przybędzie.

LENARTOWICZ.

Moja droga, nie bądź dzieckiem, mężczyzna da sobie radę; ale pomyśl, coby się stało, gdyby Andzia z twej winy wpadła w ręce wroga, który nikogo nie szanuje.

LICHOCKA *(tuląc Annę).*

Ach! nie mów tego bracie. O moja Aneczko, niechże Bóg broni, jadę już, jadę!

ABRAHAM.

Muszę iść po Kubę, żeby prędzej zajechał. *(Od-*

chodzi — za nim Anna idzie w głąb, oczekując na bryczkę).

LICHOCKA.

Ach, mój braciszku, miałam ci tyle do powiedzenia, a tu znów wyjazd — mam jeszcze i inne zmartwienie. Wyobraź sobie, że Filip się uparł i nie pozwala Andzi iść za Krzyckiego.

LENARTOWICZ.

Ej, co tam Filip! Krzycki ma moje słowo i wolę ś. p. mego brata, więc będzie ją miał — ale teraz nie pora o tem myśleć.

KUBA *(za sceną).*

Prose siadać.

LENARTOWICZ *(odprowadzając kobiety za wrota).*

Jedźcie z Bogiem, ja w tej chwili konno was dopędzę: muszę tylko zabrać kasę. żeby mi jej nie zrabowano.

LICHOCKA.

Do widzenia, kochany braciszku. *(Odchodzi z Anną poza stodołę. Lenartowicz patrzy za niemi — słychać turkot wozu).*

SCENA PIĄTA.

LENARTOWICZ, *potem* ABRAHAM.

LENARTOWICZ.

No, przecież pojechały, jeden kłopot z głowy. *(Woła)* Maciek! osiodłaj siwkę i powiedz Ciurowskiemu, żeby przyszedł po klucze od śpichlerza, bo ja odjeżdżam.

ABRAHAM *(wchodząc).*

Chwalić Boga, już ich niema. Niechże się teraz wielmożny pan śpieszy, żeby nie było za późno.

LENARTOWICZ.

Natychmiast jadę. *(Odchodzi do dworu).*

ABRAHAM.

Co to będzie, co to będzie! *(Słychać za sceną tętent konia)* Aj waj! już są. *(Biegnie w głąb i patrzy w lewo)* Nie... nie... to polski oficer... pan Krzycki... on jeszcze tu?!

SCENA SZÓSTA.

ABRAHAM. — KRZYCKI.

KRZYCKI *(wpada śpiesznie).*

Ach, to ty Abrahamie, czy jest pan Lenartowicz?

ABRAHAM.

Zaraz tu przyjdzie — ale jak się tu pan namiestnik dostał, kiedy na gościńcu krakowskim idą Moskale?

KRZYCKI.

Ominąłem ich bocznemi drogami.

ABRAHAM.

To wielkie szczęście, że pan potrafił ich mijać, bo ja wiem, że Kozaki rozlecieli się na wszystkie strony.

KRZYCKI.

Fortel na fortel, mój kochany, od czegoż jestem żołnierzem? Wojna to mój żywioł. Ale ty Abramku musisz być zmartwiony, że insurekcja wybuchła, handel zatamowany.

ABRAHAM.

Nu, choćby Abraham przez całe życie już ani jednego korca zboża nie sprzedał, mniejsza o to, niech tylko tak będzie, jak dawniej buło.

KRZYCKI.

Co ja słyszę? Wszakże was żydów nic nie ob-

chodzi, tylko handel i zyski. Wam wszystko jedno, Moskal czy Polak, byle były pieniądze.

ABRAHAM.

Pan namiestnik myśli, że żyd to już nie człowiek? Ja wiem, że są takie szapszeświniki[1], co im wszystko jedno, byle tylko zarobić; nu ale są i tacy żydkowie, co Polskę kochają, bo się tu urodzili.

KRZYCKI *(podając mu rękę).*

Nie wiedziałem, żeś taki zacny człowiek.

ABRAHAM.

Nu, pan namiestnik nie wiedział, *(tajemniczo oglądając się wkoło)* ale ja wiem, że jak pan namiestnik dłużej tu zabawi, to Kozaki wpadną i złapią, a co wtedy będzie z ordynansem od naczelnika do pana brygadjera Mangeta?

KRZYCKI *(zdziwiony).*

A ty skąd wiesz o tem?

ABRAHAM.

Nu, na co panu tego. *(Oglądając się)* Ja obiecowałem panu brygadjerowi, że się dowiem, gdzie Moskale idą, wiele ich jest. Niechże mu pan namiestnik powie, że jest 600 jegrów[2], 130 dragonów i 160 Kozaków, niech jemu pan powie, że Moskale będą z pewnością nocowali w Kozubowie, że ich można podejść, bo las prawie do samego dworu dotyka, a jak się będą te stodoły palić *(wskazuje na prawo)*, to wtedy będzie najlepszy czas, żeby ich napadnąć. Nu, proszę pana, niech się pan śpieszy.

KRZYCKI.

Natychmiast, ale chciałem się widzieć z panem komisarzem, bo podobno pani Lichocka...

---

[1] *szapszeświniki* — przypuszczalnie: niecnoty, łajdaki; wyraz to nieznany słownikom i niespotykany w dzisiejszej gwarze żydów krakowskich.
[2] *jegry* — strzelcy.

ABRAHAM.

Jedź pan prędzej do Pińczowa, panna Andzia już tam pojechała z ciotką.

KRZYCKI.

Także mi gadaj! *(Wybiega na prawo).*

SCENA SIÓDMA.

ABRAHAM. — LENARTOWICZ.

ABRAHAM *(patrząc za Krzyckim).*

Już pojechał.

LENARTOWICZ *(wchodząc opasany trzosem).*

Jedziesz ze mną?

ABRAHAM.

Nie, ja tu zostanę; ten komendant od Moskali, to mój znajomy z Krakowa — może go uproszę, żeby zbytków nie robili. Niech tylko pan komisarz każe wytoczyć z lamusa parę beczek okowity dla sołdatów, a dla oficerów wina. Ja ich tu będę częstować, to może dworu nie zrabują. Niech pan już jedzie.

LENARTOWICZ *(dając mu klucze).*

Masz klucze od wszystkiego. Weź sobie do pomocy Ciurowskiego, bywaj zdrów Abramku! *(Idzie ku wrotom, wtem słychać zdaleka bębny i piszczałki).* Co to jest?...

ABRAHAM.

Już zapóźno, już pan nie może jechać. *(Patrzy na lewo)* Na drodze we wsi widać wielkiego kurzu, to Moskale. Niech pan wrzuci ten trzos do studni, ja tu na nich zaczekam.

LENARTOWICZ.

Boże! zmiłuj się nad nami. *(Odchodzi za dwór).*

SCENA ÓSMA.

ABRAHAM *sam.*

Boże Izraela, który Daniela wyratowałeś od głodnych lwów, wybaw Twojego sługę z rąk tych Babilończyków. *(Trąby i bębny ustają, natomiast słychać zdala dziki śpiew sołdatów).*

CHÓR.

Aj dumali[1] raz Paljaki
Z Maskalami wajewat'
Eee hi! he he he he ha, cha cha hi hi, hij!

ABRAHAM *(podczas przygrywki na pikolinie[2] i bębnach).*

Oh! jaki to okropny śpiew. *(Po chwili)* Nu, Abraham, czego się boisz, sześćdziesiąt lat przeżyłeś, czy to nie dosyć?... Bez woli Boga nic się złego nie stanie... Abraham, nie bój się.

(Chór o wiele bliżej).

Z Maskalami wajewat'
Swaju Palszu adnimat'
Eee hi i t. d.

ABRAHAM *(usuwając się na prawo).*

O Adonaj![3] już są.

SCENA DZIEWIĄTA.

ŁYKOSZYN. — GRABIENNIKOW. — NIKOFOROW, *a za nim szereg muszkieterów w uniformach ze schyłku XVIII wieku — głąb dziedzińca napełnia się wojskiem.*

CHÓR SOŁDATÓW.

Swaju Palszu adnimat'
I wsiech ruskich wywieszat'
Eee hi! etc. etc.

---

[1] *Aj dumali* etc. — Ej, zamierzyli raz Polacy z Moskalami wojować, swoją Polskę odebrać, wszystkich Rosjan wywieszać.
[2] *pikolina* — pikulina, flecik wyższy o oktawę od zwykłego fletu.
[3] *O Adonaj* (hebr.) — O Boże!

ŁYKOSZYN *(komenderując).*

Dierżyś![1] *(Zsiada z konia, którego Kozak wyprowadza za scenę, piechota ustawia broń w kozły, jeden z karabinem chodzi przy wrotach na warcie).* Addachniom rebiata, zdieś budiem noczewat'.

NIKIFOROW.

Sukinsyny[2] Paljaki, na koj czort ani zbuntowali sia! Nie bud' tawo, da tiepier szumieł by ja po Krakowu, a tam djewki, czort woźmi, samyja krasawicy

GRABIENNIKOW.

Durak ty![3] kuda twai Krakawianki?!... Ja żył dołgo w Warszawie. Wot' tam djewki, tak prosto czudo! *(Żołnierze rozpalają na środku sceny w głębi ognisko, powoli zaczyna się zmierzchać).*

NIKOFOROW *(szydząc).*

Lubujsa[4] Warszawoju, kak tiebia miateżniki ubijut po dorogie, budjet tiebie i Warszawa!

RABIENNIKOW.

Ty dumajesz[5], szto ja polskich buntowszczykow nie znaju? Wied' ja z Lachami pod Derewiczom wojewał, a raz czut', czut' samawo Pułaskawo nie pojmał w plen! Znajesz?

---

[1] *Dierżyś* etc. — Odpoczniemy chłopcy, będziemy tu nocować.

[2] *Sukinsyny* etc. — Psie syny, Polacy, po kiego djabła się zbuntowali? Gdyby nie to, tobym ja teraz hulał po Krakowie; tam dziewczyny, czart je bierz, same krasawice.

[3] *Durak ty* etc. — Głupiś! gdzie twoje krakowianki? Byłem długo w Warszawie, tam dziewczyny, sam cud.

[4] *Lubujsa* etc. — Lubuj się Warszawą, a jak cię powstańcy ubiją po drodze, to będziesz miał Warszawę.

[5] *Ty dumaiesz* etc. — Tv myślisz, że ja buntowników polskich nie znam? Przecież biłem się z Polakami pod Drewiczem, a raz mało, mało, żem samego Pułaskiego w niewolę nie wziął. Wiesz?

NIKIFOROW.

Nu! Szto [1] Pułaskij, eto nie Kastiuszko!

GRABIENNIKOW.

Nu! Szto Suwarow, eto nie Derewicz!

ŁYKOSZYN *(który przez ten czas zaglądał to przez okno, to przez drzwi do dworu).*

Da szto eto![2] Nikto k' nam nie wychadit... Kuda pan szlachticz? Ach! sukinsyn, dołżen znat' szto siuda pryszoł russkij pałkownik, katorawo sama gosudarynia pałkownikom sdiełała, da i chrestami ukrasiła. Kuda szlachticz?

ABRAHAM *(wysuwając się naprzód i kłaniając jarmułką).*

Tu proszę pana generała dziedzica niema, tylko komisarz.

ŁYKOSZYN *(ostro).*

A ty kto takoj?!

ABRAHAM.

Nu, co to jest, pan generał nie poznał starego Abrama? Co w Krakowie dostawiał owies dla panów Kozaków? *(Ciszej)* Co to my robili dobry gieszeft?

ŁYKOSZYN *(poznając go).*

Ah, da! [3] eto ty! *(Klepiąc go po ramieniu).* Kak pożywajesz jewrej? A jest' zdjeś Paljaki?

---

[1] *Nu, szto* etc. — No, co Pułaski, to nie Kościuszko! — No, co Suwarow, to nie Drewicz! — (W czasie walk konfederackich wodzem rosyjskim był pułkownik Drewicz; Pułaski był najwybitniejszym partyzantem konfederackim).

[2] *Da szto eto* etc. — No, cóż to? Nikt ku nam nie wychodzi! Gdzie pan szlachcic? A, psi syn, winien wiedzieć, że tu przyszedł pułkownik rosyjski, którego sama cesarzowa pułkownikiem mianowała i orderami odznaczyła. Gdzie szlachcic?

[3] *Ah da! eto ty!* etc. — A, tak, to ty! Jak się masz żydzie? A niema tu Polaków?

ABRAHAM.

Byli w Pińczowie, może z tysiąc, takie na koniach, z pałaszami, a dziś raniuteńko przez Wodzisław[1] pojechali do Krakowa, bo ich tam zawołał Kościuszko, nu i teraz o kilka mil wkoło niema ani jednego.

GRABIENNIKOW.

Nu, sława Bohu![2] znaczyt do samoj Warszawy dojdiom w pakoje.

NIKIFOROW.

A znajesz[3] Kastiuszka, wyszoł uże iz Krakowa?

ABRAHAM.

Już, już, i podobno maszeruje do Częstochowy.

ŁYKOSZYN *(szydząc).*

Pamolit'sia[4] w kastiole polskoj krolowoj. *(Ciszej do Abrahama)* Idi w jewo łagier i posmotri skolko ich tam, za szto pałuczysz diengi.

ABRAHAM *(cicho).*

Niech tylko pan generał dobrze zapłaci, to ich policzę.

ŁYKOSZYN.

Nu, tiepier że idi k' komisaru[5] i skaży jemu, sztoby nam prynios jest' i wina, a dla sałdat wodki.

---

[1] *Wodzisław* — miasteczko w pow. jędrzejowskim, na wschód od Pińczowa.

[2] *Nu, sława Bohu* etc. — No, dzięki Bogu, a więc do samej Warszawy dojdziemy spokojnie.

[3] *A znajesz* etc. — A wiesz, czy Kościuszko już wyszedł z Krakowa?

[4] *Pamolit'sia* etc. — Pomodlić się w kościele królowej polskiej. Idź do jego obozu i zobacz, ilu ich tam jest, a za to dostaniesz pieniądze.

[5] *Nu, tieper* etc. — No, teraz idź do komisarza i powiedz mu, żeby nam przyniósł jeść i wina, a dla żołnierzy wódki.

GRABIENNIKOW.

A dla mienia[1] dienieg, panimajesz?

ABRAHAM.

Pan pułkownik lubi pieniądze, będą i pieniądze.

NIKIFOROW.

Tak idi[2] paskarieje.

ABRAHAM.

Zaraz! zaraz! *(odchodzi do dworu).*

SCENA DZIEWIĄTA.

Dawni. — KATKOW, *potem* ABRAHAM.

KATKOW *(wchodząc z głębi).*

Zdarawia[3] żełaju waszym błahorodjam.

ŁYKOSZYN.

Ah! Michaił Antonowicz[4], a szto Paljaki tebia nie sjeli?

KATKOW.

Czort[5] biery ich mat'. Padlecy, sukinsyny, miateżniki! Chatjeli mienia pawiesit'.

NIKIFOROW *(ze śmiechem).*

No, a paczemu[6] tiebia nie pawiesili?

KATKOW.

Pawiesiliby[7], da Kastiuszka nie dopustił. *(Śmieje*

---

[1] *A dla mienia* etc. — A dla mnie pieniędzy, rozumiesz?
[2] *Tak idi* etc. — Więc idź prędzej.
[3] *Zdrawia żełaju* etc. — Zdrowia życzę waszym wielmożnościom.
[4] *Ah, Michaił* etc. — A, Michale Antonowiczu, a cóż? Polacy cię nie zjedli?
[5] *Czort* etc. — Niech czart ich porwie (dosłownie: niech czart porwie ich matkę). Podli, psie syny, buntowniki! Chcieli mnie powiesić.
[6] *No, a paczemu* etc. — No, a dlaczego cię nie powiesili?
[7] *Powiesiliby* etc. — Powiesiliby, ale Kościuszko nie

się) Wot durak. Kak ja jewo naduł! Cha, cha, cha! Pustitie jewo, grit, eto sławnyj oficer, grit, prawieditie jewo do russkawo łagiera, grit, sztoby jewo buntowszczyki nie ubili, grit.

ŁYKOSZYN.

Mnoholi [1] buntowszczykow w Krakowie?

KATKOW.

Wzdor! [2] sałdat tysiacz, a eto wsio swołocz: sapożniki, partnoje, da parikmachery.

GRABIENNIKOW.

A puszki [3] u nich jest'?

KATKOW.

Ni adnoj [4] nie widieł.

ABRAHAM *(który wszedłszy przed chwilą, słyszał co mówią).*

Puszki, cha, cha, cha, skądby takie buntowniki wzięli harmatów?! To same szewcy i krawcy, oni się tak boją harmatów, że jak jedną zobaczą u panów, to będą zaraz wszyscy uciekali.

NIKIFOROW *(wali go po ramieniu).*

Z tebia [5] sławnyj żyd! Dawaj wina, znajesz, ja tiebia zabieru w kastromskoju gubierniu!

KATKOW.

A dla mienia [6] wodki! wina tierpiet' nie magu!

---

pozwolił. Ot, głupiec! Jakem ja go nabrał! Puśćcie go, mówi, to znamienity oficer, mówi, zaprowadźcie go do rosyjskiego obozu, mówi, żeby go buntownicy nie zabili, mówi.

[1] *Mnoholi* etc. — Czy dużo buntowników w Krakowie?

[2] *Wzdor* etc. — Głupstwo! Żołnierzy tysiąc, a to wszystko hołota: szewcy, krawcy, fryzjerzy.

[3] *A puszki* etc. — A armaty mają?

[4] *Ni adnoj* etc. — Ani jednej nie widziałem.

[5] *Z tebia* etc. — Z ciebie dobry żyd! Dawaj wina! ja cię zabiorę do kostromskiej gubernji.

[6] *A dla mienia* etc. — A dla mnie wódki! Wina nie mogę znosić.

GRABIENNIKOW.

A dla mienia [1] i wina i wodki, russkomu czeławieku wsio idiot!

ABRAHAM.

Zaraz tu będzie i wina i wódki. *(Patrzy na lewo).* Oho, już idzie komisarz i wszystkiego niosą.

SCENA DZIESIĄTA.

Dawni. — LENARTOWICZ. — PAROBCY.

(Parobcy nakrywają stół, stojący przed altaną po lewej stronie. Ustawiają na nim półmiski, nakrycia i butelki z winem. Inni wtaczają wielką beczkę okowity i ustawiają na kozłach po prawej stronie pod stodołą, poczem odchodzą. Sołdaci tłoczą się około beczki, toczą z niej wódkę zapomocą kurka i piją).

LENARTOWICZ *(z przymusem do oficerów).*

Proszę siadać, jeść i pić. Co mam w domu, to daję.

ŁYKOSZYN *(do oficerów).*

Nu! siadit'sia [2]. *(Do Lenartowicza)* Nu, pan komisar, sadities' s nami, budiem pit' wmiestie.

LENARTOWICZ *(stojący zdaleka po prawej stronie).*

Dziękuję panom, nie jestem głodny.

ŁYKOSZYN.

Nie tałkawat' [3], no sjej czas pit', jesli tiebia prosit russkij pałkownik. *(Idzie do niego i mówi podejrzliwie)*

---

[1] *A dla mienia* etc. — A dla mnie i wina i wódki, Rosjanin wszystko pije.

[2] *Nu! siadit'sia* etc. — No, siadajcie. No, panie komisarzu, niech pan siada z nami, będziemy razem pić.

[3] *Nie tałkawat'* etc. — Nie tłumaczyć się, lecz natychmiast pić, gdy cię prosi pułkownik rosyjski.

A może [1] pan komisar polskij bunţowszczyk? Nie lubit' russkich, szto?

ABRAHAM *(cicho do Łykoszyna).*

Ah, jaki on buntownik, to dziad. Niech jego pan generał nie przymusza, bo on dzisiaj przez cały dzień nic nie je, jemu nie wolno, bo on robi pokutę, jemu tak ksiądz kazał. *(Bierze szklankę)* Zato, jeżeli pan generał pozwoli, to Abraham wypije za zdrowie pana generała.

ŁYKOSZYN.

Małczy [2] żyd! on dołżen pit'. *(Podaje Lenartowiczowi szklankę; sam bierze inną i wznosi w górę)* Zdarowije jeja wieliczestwa, Matuszki, Impieratricy Ekatieryny Wtoroj! Urra!

OFICEROWIE *i* SOŁDATY *(zrywają się i wyprężywszy, wołają).*

Urra!

ŁYKOSZYN *(widząc, że Lenartowicz nie pije).*

A paczemu [3] pan komisar nie pijot? Szto?

LENARTOWICZ *(wznosząc szklankę w górę).*

Niech żyje najjaśniejszy król Stanisław August! *(chce pić).*

ŁYKOSZYN *(wyrywa mu szklankę i ciska o ziemię).*

Augusta niet! [3] on nie krol! On takoj poddanyj jeja wieliczestwa, kak ja i wy! On zbuntowałsia, budiet jemu »niech żyje«!

---

[1] *A może* etc. — A może pan komisarz jest polskim buntownikiem? Nie lubi Rosjan, co?

[2] *Małczy* etc. — Milcz żydzie! on winien pić. Zdrowie jej wysokości, matki, cesarzowej Katarzyny II!

[3] *A paczemu* etc. — A dlaczego pan komisarz nie pije? co?

[4] *Augusta niet!* etc. — Augusta niema! on nie król! On taki poddany jej wysokości, jak ja i pan! on się zbuntował, jemu będzie »niech żyje«!

ABRAHAM *(usiłuje ułagodzić Łykoszyna, chodzącego z gniewem po scenie).*

Poco się pan generał gniewa? To bardzo zdrowiu szkodzi. Niech pan generał *(ciszej)* da pokój temu kapcanowi, on ma rozum popsuty. *(Podsuwa mu stołek)* Lepiej niech pan generał siędzie i pije winko, takie rarytne, fein. *(Oficerowie się śmieją, Łykoszyn siada).* Poco się gniewać, lepiej sobie trochę zaśpiewać. *(Bierze szklankę i śpiewa)*

Ah waj mir![1]
Pan generał kawalir!
Pan generał będzie pił!
Buntowniki będzie bił!

ŁYKOSZYN *(śmieje się).*

Cha, cha, cha! Szelma żyd, poet!

ABRAHAM *(nalewa oficerom obficie wina).*

Niech się panowie śmieją, niech sobie wino naleją, bo wino dodaje zdrowość i wesołość. *(Bierze szklankę)* Niech jaśnie panowie piją! Niech russkie oficery żyją! Niechaj chresty[2] dostają i pieniędzy dużo mają! Wiwat!

GRABIENNIKOW.

Pasłysz[3] jewrej! *(klepie go po ramieniu)* primi prawosławie, da ja tiebia sdjełaju markietanom.

---

[1] *Ah waj mir—Przyjaciel ludu,* Leszno 1839 (a za nim Kolberg, *Poznańskie,* IV, Kraków 1879), opowiada starą anegdotę, jak to żyd, podejrzany o szpiegostwo, mógł uniknąć śmierci, jeśli ułoży poemat. Wypuszczony na obozową scenę, deklamuje na cześć komendanta: Aj waj mir, aj waj mir,— Pan Szmigielski kawalir, — Pan Szmigielski wielki pan etc.

[2] *Chrest* — krzyż orderowy.

[3] *Pasłysz* etc. — słuchaj żydzie! przyjmij prawosławie, a ja ciebie mianuję markietanem (karczmarzem obozowym).

NIKIFOROW *(wali go z drugiej strony).*

A ja tiebia [1] sdjełaju padrjadczykom kastromskoj gubernii.

SOŁDATY *(nie mogą zakręcić kurka, wódka leje się na ziemię).*

Wodka [2] tieczot! wodka tieczot!

KATKOW *(biegnie do nich i płazuje, poczem zakręca kurek).*

Ah, wy skatiny [3], dam ja wam rozliwat' wodku! Takoj wodki *(pije)* i sam Suworow napiłsaby!

ABRAHAM *(do Katkowa).*

Naco pan kapitan pije taką prościuchę, to dobre dla sołdatów. Niech pan lepiej pije wino!

KATKOW *(pijany).*

Paszoł won, jewrej! Wino podłyj napitok, nie idiot w gołowu! *(Rąbie flaszki)* Wot wam! Wot wam!

LENARTOWICZ *(do Katkowa).*

Ależ mój panie!

KATKOW *(wywijając mu szpadą nad głową).*

Małczy, stierwa miateżnik, a to i z taboju tak budiet!

ŁYKOSZYN.

Michaił Antonowicz! wy pijan!

ATKOW *(salutując).*

Da wasze wysokobłahorodje! pijan! *(Śpiewa).*

---

[1] *A ja tiebie* etc. — uczynię dostawcą kostromskiej gubernji.

[2] *Wodka* etc. — wódka ciecze.

[3] *Ah, wy skatiny* etc. — A, bydlęta, dam ja wam rozlewać wódkę! Takiej wódki i sam Suwarow by się napił.

1.

Jezdił, jezdił biełyj car,
Prawosławnyj gosudar,
Da objechał ciełyj świet,
I wsiech zabył, ruskich niet![1]

(tańczy kozackie prysiudy).

Hee, eeii, ha, ha, hi, hi! } *bis*
Hee, eeii, ha, ha, hi, hi!

2.

Jezdił, jezdił biełyj car,
Prawosławnyj gosudar,
I ciełyj świet zwajewał,
I Jewropu w karman wział![2]

(jak wyżej).

3.

Jezdił, jezdił biełyj car,
I prykazał gosudar:
Hej ty sałdat Lachow bij,
Skolko choczesz, wodku pij![3]

SCENA JEDENASTA.

Dawni i DWAJ KOZACY *wprowadzają* LICHOCKĄ *i* ANNĘ.

KOZAK *(do Łykoszyna, salutując).*

Assauła[4] Tymoszko zławił eti dwie Laszki.

LEŃARTOWICZ *(do kobiet).*

O mój Boże, schwytano was!

---

[1] *I wsiech zabył, ruskich niet* — wszystkich zapomniał, lecz Rosjan nie.

[2] *I Jewropu w karman wział!* — i Europę wziął w kieszeń.

[3] *Skolko choczesz, wodku pij!* — pij wódki, ile chcesz.

[4] *Assauła* etc. — Asawuła (niższy oficer kozacki) schwytał te dwie Polki.

LICHOCKA.

Niedaleko stąd, za wsią koło się złamało. Kozacy dognali nas, Kubę zbili nahajkami, a nas zabrali.

LENARTOWICZ *(do Łykoszyna).*

Panie pułkowniku, to moja siostra i siostrzenica, proszę pozwolić, ażeby odjechały do Pińczowa.

ŁYKOSZYN.

Niet [1] pan komisar, nielzia!

NIKIFOROW *(wpatrując się w Annę).*

Nie puskaj [2] pałkownik, budiet nam wiesjelej.

LENARTOWICZ.

Jadą do chorej siostry!

ŁYKOSZYN *(oburkliwie).*

Da szto [3] mienia siestra?! Niczewo!

NIKIFOROW *(przystępując brutalnie do Anny).*

Prekrasnaja [4] Laszka, a szto panna, budiesz mienia lubit'?

ANNA *(usiłując się wyrwać).*

Stryjaszku!

NIKIFOROW *(ciągnąc ją do siebie).*

Niet' stryjaszka, ja pannu wział w plen! *(chce ją objąć).*

LICHOCKA *(odpychając go).*

Precz!

NIKIFOROW *(odtrąca Lichocką).*

Paszła wied'ma, da łob rozbiju! *(zamierza się).*

LICHOCKA *(zasłaniając się).*

Ratujcie! ratujcie!

---

[1] *Niet* etc. — nie, nie wolno.
[2] *Nie puskaj* etc. — Nie puszczaj, będzie weselej.
[3] *Da szto* etc. — Co mnie obchodzi siostra? nic!
[4] *Prekrasnaja* etc. — Prześliczna Polka, a cóż, panno, będziesz mnie kochała?

LENARTOWICZ *(odtrąca Nikiforowa).*

Precz, rozbójniku!

NIKIFOROW.

Ah, ty miateżnik!

ABRAHAM *(chwytając Nikiforowa za rękę).*

Daj mu pan pokój! On ma pieniądze!

NIKIFOROW.

Paszoł won! ja dienieg nie chaczu, tolko jeja! *(biegnie do Anny).*

GRABIENNIKOW *(wstrzymując go).*

Durak! wozmiesz i diengi i diewku!

NIKIFOROW *(odtrąca Grabiennikowa).*

Idi k'czortu!

ABRAHAM *(do siebie).*

Teraz czas! *(porywa głownię z ogniska żołnierskiego i rzuca na dach stodoły, który w jednej chwili ogarniają płomienie).*

ŁYKOSZYN.

Szto ty djełajesz, niesczastnyj!?

ABRAHAM.

Będzie nam widniej, niech się wszystkie polskie dwory palą, tak jak ten dzisiaj!

NIKIFOROW *(wyrwawszy się Grabiennikowi, chwyta Annę i ciągnie).*

Pajdiom [1], pajdiom, duszeńka maja!

LICHOCKA *(wbiega między Nikiforowa i Annę, chwyta go za ręce i woła).*

Uciekaj Andziu!

NIKIFOROW *(nie mogąc wydrzeć się Lichockiej, woła na Katkowa).*

Michaił Antonowicz, strelaj w nieju!

---

[1] *Pajdiom*, etc. — Chodźmy, duszko moja.

KATKOW.

Haraszo![1]... *(Strzela — Lichocka pada).*

NIKIFOROW.

Pajdi Laszka! *(ciągnie ją do dworu).*

LENARTOWICZ *(uderza w dzwon, na słupku będący).*

Chłopcy do mnie!

(Parobcy wpadają i razem z Lenartowiczem odbijają Annę)

NIKIFOROW.

Bunt! bunt! sałdaty! wiażytie ich!

(Sołdaty rzucają się na parobków i po krótkiem szamotaniu wiążą. Nikiforow przebija Lenartowicza).

SCENA DWUNASTA.

Dawni. — KRZYCKI *i* ŻOŁNIERZE POLSCY.

KRZYCKI *(na czele żołnierzy zajmuje całe podwórze za parkanem).*

Baczność! cel! pal!

(Żołnierze dają ognia całym szeregiem. Nikiforow i kilku sołdatów pada. — Anna mdleje).

(Obraz oświetlony łuną palącego się dworu).

KONIEC ODDZIAŁU DRUGIEGO.

---

[1] *Haraszo* — dobrze.

ODDZIAŁ III.

BARTOSZ GŁOWACKI.

Teatr przedstawia plac przed kościołem w Rzędowicach: głąb zajmuje front kościoła wiejskiego, którego drzwi w samym środku sceny podniesione na trzech schodkach. Na przodzie po lewej stronie widzów kuźnia, na której ognisku żarzą się węgle, przed kuźnią kowadło, o które są oparte młoty i kleszcze, po obu stronach w głębi chałupy wiejskie, z których pierwsza na prawo, Bartosza. Przed chatą, obok przedniej kulisy z prawej strony, rozłożysta lipa, pod nią ławeczka.

SCENA PIERWSZA.

GRZEGORZ *i* SZYMEK.

(Za podniesieniem kurtyny Szymek podsyca miechem ognisko).

ŚPIEW

GRZEGORZ.

Ledwie z rana błysną zorze,
Już się w ogniu żarzy stal;
Do roboty w imię Boże,
Ostro chłopcze młotem wal!

SZYMEK.

Walmy oba, majstrze miły,
A robota pójdzie w lot.
Toć nie braknie człeku siły,
Niech ogniście bije młot!

(Grzegorz kładzie szynę rozpaloną na kowadle. Biją w takt).

OBADWA.

Łupu cupu, łupu cupu
Skrzącą stal,
Łupu cupu, łupu cupu
Młotem wal!
Dalej, dalej!
Niech młot wali,
Ostro żwawo,
W lewo, w prawo,
Z całej siły
Bracie miły
Skrzącą stal
Młotem wal!
Łupu cupu, łupu cupu
Skrzącą stal,
Łupu cupu, łupu cupu
Młotem wal!

GRZEGORZ *(kładzie szynę w ogień).*

Źle mój bracie, w polu, w chacie,
Gnębi naród Moskal zły,
Dufa jeno w swoim bacie,
A lud Boży ma za psy.

SZYMEK.

Toć kowalu, kiej tak padło,
Nie pomoże próżny żal,
Bierz Moskala na kowadło
I ogniście młotem wal!

(Grzegorz kładzie szynę, obadwaj kują).

OBADWA.

Łupu cupu, łupu cupu
Jako stal,
Łupu cupu, łupu cupu
Wroga wal!
Dalej, dalej!
Wal Moskali,
Ostro, żwawo,
W lewo, w prawo,
Z całej siły
Bracie miły,
Kieby stal
Ostro wal!

Łupu cupu, łupu cupu
Kieby stal,
Łupu cupu, łupu cupu
Młotem wal!

SZYMEK *(opuszczając młot).*

Powiedzcie mi kowálu, skąd wám psysła dziś taka zawziętość na Moskála. Dyć ich tu we wsi ludzkie oko nie widziało, ani wám tez nic złego nie zrobili.

GRZEGORZ.

Toć wies Symku, zem wcoraj był w Prosowicach,[1] spotkáłem tam organistę z Minogi[2] od pana Węzyka i pytáłem o moją siostrę, co jest tam za młynázem, a on mi prawi: biedni ludziska, Moskále wcora ciągli bez wieś z Krakowa ku Skalmiezowi[3] i poceni zabierać ludziom chudobę, tak ci chcieli tez zabrać wasemu swákowi[4] krowy i ludzką mąkę[5] ze młyna, a ze on bronił swego, tak ci go Kozáki zbili okrutnie batogami, ze ledwie dyse.

SZYMEK.

O Matko Boská! a mało to chłopów we wsi, ze go nie zbronili?

GRZEGORZ.

Głupiś, a bo to takiej ćmie poradzi? Niechze ich tez Pán Jezus skáze na nasą ksywde!

SZYMEK.

Ej kowálu, kowálu, kiebyśwa gromadą się ześli, a okazyjá się trefiła, tobym im za te zbytki zapłacił!

---

[1] *Proszowice* — miejscowość w pow. miechowskim, niegdyś stolica powiatu proszowskiego.

[2] *Minoga* — wieś w pow. olkuskim, niedaleko miasteczka Skały.

[3] *Skalmierz* — miasteczko w pow. miechowskim.

[4] *swak* — gospodarz, który prosi w czyjemś imieniu o rękę dziewczyny, a potem na weselu jest starostą weselnym, niby mistrzem ceremonji.

[5] *ludzka mąka* — mąka, będąca własnością prywatną, nie młynarza.

GRZEGORZ.

Cosik prawią ludzie, ze ich pono mają bić, ale to ta jeno ślachta, bo chłopy na wojackę nie chodzą.

SZYMEK.

Nie chodzą, bo nie chodzą, ale kieby tak padło, zeby posli, toby moze jesce lepiej prali jak ślachta.

SCENA DRUGA.

Dawni. — BARTOSZ.

BARTOSZ *(z krzywą kosą od siana).*

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

GRZEGORZ.

Na wieki wieków amen. Cóz mi powiecie Bartosu?

BARTOSZ.

Przysedłem tez tu do was kowálu, cobyście mi naprostowali kosę.

GRZEGORZ *(bierze kosę i ogląda).*

A cóz wy chcecie od tej kosy, kiedy dobrze osadzona i wyklepaná jak brzytwa.

BARTOSZ.

A no chcę, żebyście mi ją osadzili na kosisku prosto do góry, kieby widły.

GRZEGORZ *(z wielkiem zadziwieniem).*

Prosto do góry?... kieby widły? A cóz wy będziecie robili z taką wyprostowaną kosą?

BARTOSZ.

Gąsienice chyciły się drzewiny w moim sádzie. Otóz będę sobie kosą obcinał gałązki a plugactwo tępił.

GRZEGORZ *(patrzy mu bystro w oczy, a potem odprowadza na bok i mówi ciszej).*

Nie ćmijcie mię Bartosu, boć to głupiemu gádać, ze to kosa na liski.

BARTOSZ.

Cóz wy się tak dopytujecie? Wyprostujciez mi ją, dyć já wám zapłacę.

RZEGORZ.

Ej, Bartecku, cy wy tez nie zamyślacie golić Moskáli, bo ano słuchy dochodzą, ze okrutnie zbytkują po wsiach. Powiedzcie prawdę, bo i já nie od tego.

BARTOSZ *(chwyta go za rękę).*

Grzegozu! Sam Pán Jezus przemówił przez wase usta. Tak bracie, jakby przysło do cego, to já będę kosił, a wy będziecie kuć!

(Słychać lirę[1] *zdaleka, wszyscy trzej nadsłuchują).*

JAN *(za sceną).*

Dręczy lud biedny Moskal okrutny,
Pociesz, o pociesz naród Twój smutny,
W swoją opiekę weź nas na nowo,
Polska Królowo!

BARTOSZ.

To stary Ján!

GRZEGORZ.

A no!

BARTOSZ.

Nie przez racyje[2] on tu idzie, dowiemy się czegoś nowego. *(Idzie w kul. naprzeciwko Jana).*

---

[1] *lira* — stary instrument muzyczny, do dziś dnia na Rusi jeszcze powszechny, gdzieindziej rzadko spotykany; jest to pudło, większe niż u skrzypiec, z kilku strunami, korbą i klawiszami.

[2] *przez racyje* — bez racji, bez powodu.

SCENA TRZECIA.

Dawni i JAN, *siwy żebrak w łachmanach, z torbą przewieszoną przez plecy, kosturem*[1], *lirą i wielkim różańcem u pasa. Przed nim biegnie kilkoro dzieci, za nim tłum włościan obojej płci, gospodarze, kobiety, parobczaki, dziewuchy, między niemi* BARTOSZOWA; *wszyscy z ciekawością otaczają starego.*

BARTOSZ.

A skąd Pán Jezus prowadzi Jánie?

JAN.

Od Krakowa, od Krakowa moi ludkowie.

GRZEGORZ.

Pocóżeście tak daleko chodzili?

JAN.

Ofiarowałem się do grobu św. Stanisława, patrona Polski, pochowanego w srebrnej trumnie na zamku krakowskim. Chciałem się też pomodlić przy grobach naszych kochanych królów, którzy śpią pod marmurowemi głazami, a nie wiedzą, jak w ich dziedzictwie źli sąsiedzi gospodarują.

SZYMEK.

Mocny Boze! Toście się tam dopiero napatrzyli!

JAN.

O moi ludzie! gdyby mi przyszło opowiedzieć, com ja widział i słyszał w Krakowie, tobym nawet i za trzy dni nie skończył! *(Klęka, zdejmuje kapelusz i wznosi ręce do góry)* O! Najświętsza Panienko! Królowo polska, dziękuję Ci, żeś mi dozwoliła oglądać takie cuda.

BARTOSZOWA.

I cóżeście to tam widzieli i słyseli Jánie?

JAN.

Com widział, tego ludzka mowa wypowiedzieć nie potrafi, *(jakby wieszcząc)* ale przyjdzie taki, co to

[1] *kastur* — kij dziadowski.

prześlicznie dla naszych prawnuków wyśpiewa [1]; jako on zaś to ułoży, niechaj wam moja stara lira opowie.

GRZEGORZ *(prowadzi go i sadowi na kanapce darniowej pod lipą).*

Siadájcie tu, będę pilnie słuchał, a jak się Grzegorz z pod Racławic [2] zestarzeje, to swoim dzieciom kiedyś pod tą samą lipą wszystko opowie.

(Jan siada, lud grupuje się dokoła niego, dzieci u stóp, niewiasty po prawej stronie i poza lipą. Gospodarze i parobcy po lewej stronie i na przodzie aż w głąb sceny w licznej gromadzie. Muzyka cicho towarzyszy opowiadaniu).

JAN. [3]

Nad obszarem, rankiem szarym wschodzi jasna zorza,
Zorza wschodzi ponad światem: Kościuszko z za morza.

---

[1] *taki, co to wyśpiewa* — mowa o Lenartowiczu.

[2] *Grzegorz z pod Racławic* — pseudonim Lucjana Siemieńskiego (1809—1877), autora *Wieczorów pod lipą, czyli historji narodu polskiego*, przeznaczonych dla szerokich warstw ludu. Pierwsze wydanie wyszło w r. 1845. We wstępie tej książeczki, która rozeszła się w ogromnej ilości egzemplarzy, czytamy, kim był ów Grzegorz, który na starość opowiadał dzieciom wiejskim dzieje ojczyste:

»W ślicznej jednej wioseczce pod samem miastem Krakowem, leżącej nad brzegiem Wisły, mieszkał w schludnym i dwiema lipami ocienionym domku staruszek siwy, jako gołąbek, ale czerstwy i zdrów, choć tylko o jednej nodze. Nazywano go powszechnie Grzegorzem z pod Racławic. Przydomek ten dano mu z tej przyczyny, iż w bitwie Racławickiej szedł obok Głowackiego z kosą na armaty nieprzyjacielskie, a to z taką śmiałością i męstwem, aż sam wódz naczelny Tadeusz Kościuszko w największym ogniu klasnął w ręce z radości i wykrzyknął: to mi to zuchy! — po wygranej zaś bitwie Grzegorza i Głowackiego uściskał i ucałował wobec całego wojska«.

Zapewne ku uczczeniu pamięci na trzy lata przedtem zmarłego Siemieńskiego wprowadził Anczyc do ostatecznej redakcji *Kościuszki* Grzegorza z pod Racławic.

[3] Ustęp z *Bitwy Racławickiej* Teofila Lenartowicza *(Przyp. autora)*. — Por. Lenartowicza *Wybór poezyj* w Bibl. Nar. Nr. 5.

Ptak szczebiota, zorza złota pobudziła ptaki,
A Kościuszko budzi ludzi — krakowskie wieśniaki.

*
* *

A w Krakowie tłumy ludu przed Panną Maryją,
Trąby grają, serca tają, straże w bębny biją...
A pośrodkiem z licem słodkiem, jak chłopek pośledni,
Polak dzielny, wódz naczelny... wkoło ludzie biedni.

(wzruszenie między ludem)

I przystanął przed kościołem — i przysiągł się Bogu,
Że nam wszystkie krzywdy nasze odbije na wrogu!
Lud przysięgą posłuszeństwo na tę Bożą mękę:
Wszyscy zgodnie do przysięgi wyciągnęli rękę:
Podpisali Krakowiacy, radne Pany stare...

(zwracając się do ludu, z uczuciem)

I chłopi się zapisali krzyżem [1] na ofiarę.

(wzruszenie i szept między włościanami).

I zadzwonił na Wawelu stary Zygmunt [2] z wieży,
Niewstrzymany, rozmachany głos po kraju bieży,
Rosa rosi, wiatr roznosi radość niepojętą,
Będzie wojna z Moskalami! W Polsce wielkie święto!

BARTOSZ *(nalegając).*

Mówcie dalej Jánie.

WSZYSCY.

Mówcie! Mówcie!

JAN.

Maszeruje polskie wojsko prosto od wiatraku,
Czerwienią się chłopskie czapki[3], jakby nasiał maku.

---

[1] *zapisali się krzyżem* — jako niepiśmienni, kładą chłopi zamiast podpisu znak krzyża.

[2] *stary Zygmunt* — największy dzwon polski, ulany za Zygmunta Starego, wiszący po dziś dzień na wieży Katedry Wawelskiej.

[3] *czerwienią się chłopskie czapki* — czerwone czapki, czyli krakuski obszyte czarnym barankiem dziś już są używane tylko przy uroczystym stroju weselnym itp.

Jedzie, jedzie nasz Kościuszko, konik pod nim siwy,
Co naczelnik, to naczelnik, to już nasz, prawdziwy!
A lud za nim z przyśpiewaniem jak za matką pszczoły,
Dziarski, hoży ludek Boży, krakowski, wesoły.

GRZEGORZ.

Ej, Najświętsa Panienko, kiej tez i chłopy idą na wojnę! A jakąz oni mają broń?

JAN.

Na wojenkę kosa w rękę, kobiałka przez ramię,
A na piersi Matki Boskiej przenajświętsze znamię.

GRZEGORZ *(zwracając się ku Bartoszowi).*

Bartosu! *(Ściskają się, pomiędzy ludem szmer i ciche, żywe rozmowy).*

JAN.

Przed narodem ludzie przodem dwie chorągwie niosą,
Na czerwonéj wyrobiony srebrny snopek z kosą,
A na białej, srebrnej całej, czystem złotem tkana,
Matka Boska Częstochowska, Panienka kochana.
I wiatr wiewa, koło drzewa chorągwią przewija,
To snop świeci w oczy kmieci, to Matka Marja!
I głos bieży na wiatr świeży, w oddaloną stronę,
Jak łza dziecka, pieśń nie świecka: »Pod Twoją Obronę«!

(Jan wznosi ręce do góry, mówiąc ostatnie wyrazy, wszyscy włościanie zdejmują czapki, rozrzewnienie między ludem, niewiasty płaczą).

Przyciągnęli pod kościółek, aż ksiądz stoi w progu,
»Mili bracia«, rzekł Kościuszko, »pokłońmy się Bogu!«
Jakby nagły wicher powiał pośrodkiem dąbrowy,
Schylili się wszyscy ludzie, czapki zdjęli z głowy.
Przed obrazem sam najpierwszy naczelnik przyklęknie,
I pokłoni się do ziemi, ręce złoży pięknie.
A lud Boży dobrze wróży, uważają swoi,
Że Moskala ten pobije, kto się Boga boi!

GRZEGORZ.

Świętá práwda: kto z Bogiem, Bóg z nim.

BARTOSZ (*niecierpliwie*).

Nie przeskádzájcie Grzegorzu — mówcie Jánie dalej.

JAN.

I wysunął się Kościuszko na środek szeregu
I zawołał: Dalej wiara, od brzegu do brzegu,
A najpierwej wy włościany, polski ludu rolny!
Sroga Moskwy to niewola! bij, a będziesz wolny.
Niech da przykład całej Polsce ta ziemia krakowska,
Czyż nie miła nasza wiara i rola ojcowska?
Czyż nie miły wam ten zagon uznojony pracą,
Żeby Moskal go zabierał, jeden Bóg wie za co?
Wiara! bracia! przez Bóg żywy, kto Polak prawdziwy,
Niechże będzie już nie mściwy, ale sprawiedliwy.
Puszczać kosy na te chwasty, co nam pola głuszą,
Kochać Polskę nie połową, ale całą duszą.
Czyście dobrze zrozumieli? dobrze wysłuchali?
— »Zrozumielim, naczelniku, trzeba bić Moskali!«...

BARTOSZ (*występując naprzód, z zapałem*).

Tak bracia! Komu Bóg miły i ta świętá sponiewieraná ziemia, ten pójdzie ze mną do Kościuski!

WŁOŚCIANIE.

Pójdziewa Bartosu!

JAN.

A kto pójdzie, ten będzie na czas wojny uwolniony od pańszczyzny — tak naczelnik powiedział. Kto pójdzie, ten będzie bronił własnej ziemi.

BARTOSZ.

Słysycie! Dalej ludu wiejski, chwytáj cepy i kosy. Jezus Marjá! Do broni! Do broni!

WŁOŚCIANIE.

Do broni! do broni! (*Rozbiegają się, Bartosz odchodzi z żoną do swej chaty*).

JAN.

A wy niewiasty i dzieci pójdźcie ze mną do

kościoła. Pójdźmy prosić Pana Boga o zmiłowanie i ratunek.

(Kobiety i dzieci wchodzą za Janem do kościoła).

SCENA CZWARTA.

STAROŚCINA *i* FILOMENA *wchodzą z lewej strony.*

STAROŚCINA.

Co to za gwar?

FILOMENA.

Może chłopi zbierają się na pogonkę...

STAROŚCINA.

Ale gdzież tam, przecież teraz nikt nie poluje, wyraźnie słyszałam okrzyk »do broni«! Co to znaczy?

FILOMENA.

Proszę pani starościny, ja pójdę do Bartoszowej, to się od niej dowiem, bo jej mąż to już herszt[1] do wszystkiego *(Odchodzi do chaty).*

STAROŚCINA.

Jakaś trwoga mnie przejmuje, rozchodzą się pogłoski... że w Krakowie insurekcja, tu znowu jakieś zbiegowiska. Co to będzie? Co to będzie?

SCENA PIĄTA.

STAROŚCINA. — FILOMENA. — BARTOSZ. — BARTOSZOWA.

FILOMENA *(dygając przed starościną).*

Okropności, jaśnie wielmożna dobrodziejko, nasi chłopi wybierają się na wojnę z Moskalami!

STAROŚCINA *(do wchodzącego Bartosza).*

Czy to prawda Bartoszu, co ona mówi?

BARTOSZ.

Ano juścić, jáśnie dziedzicko, prâwda.

---

[1] *herszt* — (z niem. *erst)* pierwszy, przewódca.

STAROŚCINA.

Ale skądże wam do tego przyszło mój Bartoszu?

BARTOSZ.

Pán nácelnik Kościusko kazał chłopom iść na Moskála, hano to idziewa.

STAROŚCINA.

Ależ żona, dziecko, gospodarstwo, nie żal wam tego opuszczać?

BARTOSZOWA.

Kiej drudzy idą, to i mój nie może ostać doma, a o dziecku i gospodarstwie, to juz já będę myślała.

STAROŚCINA *(ze wzruszeniem)*.

Widno zrządzenie Boga, że maluczkich do wielkiej sprawy powołał. Idźcie w Imię Trójcy Przenajświętszej, a jeżeli który z was zginie w tej świętej wojnie, to jego wdowa i sieroty znajdą we mnie opiekunkę.

BARTOSZ *(rozrzewniony)*.

Wstyd mnie, jaśnie dziedzicko, zem chłop a płacę jak baba: pójdę i rozpowiem po całej wsi, dopieroz to będzie uciecha!

FILOMENA.

Ależ wielmożna dobrodziejko, cóż pan starosta na to powie? Jak wszyscy chłopi pójdą na wojnę, to któż będzie robić pańszczyznę?

STAROŚCINA.

To już nie asińdźki w tem głowa. *(Do Bartosza)* Pójdź ze mną, poczciwy Bartoszu, mam trochę moich oszczędności, to je zaniesiesz panu Kościuszce na wojnę.

BARTOSZ.

A zawiezy mi to jaśnie pani dziedzicka?

BARTOSZOWA.

A jakby go tez, cego Boze broń, kaj Moskále

z pieniędzmi uchwycą i odbiorą, toby jaśnie pani gotowá pomyśleć, że ukrádł.

STAROŚCINA.

Wstydź się Bartoszowa podsuwać mi taką myśl; znam Bartosza. Bartosz zna dobrze okolicę, to będzie unikać nieprzyjaciela, a gdyby go wyśledzili Kozacy...

BARTOSZ.

O to niema strachu: pójdzie nás ze ćterdzieści chłopa z kosami, to się nie damy. *(Do żony)* Idź Baśka do chałupy i nagotuj mi oblecenie i chleba na drogę, a śpiesz się!

(Bartoszowa na prawo do swej chaty. Bartosz ze starościną na lewo odchodzą).

SCENA SZÓSTA.

FILOMENA, *później* STAROSTA *i* ABRAHAM.

FILOMENA.

A to skaranie boskie! Awantura! We łbach się chamom poprzewracało, a jaśnie wielmożna starościna zamiast ich skarcić, jeszcze im potakuje. Czy to słychane rzeczy, żeby chłop mieszał się do wojny?! A orać! A młócić! A kosić! Święty Antoni Padewski, świat przewraca się do góry nogami! Ciekawa jestem, co też pan stàrosta na to powie?

STAROSTA *(wchodząc z głębi, z poza chaty Bartoszowej, z Abrahamem).*

Straszne mi rzeczy opowiadasz Abramku; a jakże ty uniknąłeś rzezi?

ABRAHAM.

Mnie ten starszy zna, to on myśli, że ja z Moskalami trzymam — ale biedny pan Lenartowicz ciężko ranny w głowę, i kto wie, czy będzie żył. Nu, pani prezydentowa nawet nie zraniona, tylko szczęście, że się ze strachu przewróciła — ją ją tutaj przywiozłem,

bo się boi do Krakowa jechać; dwór i stodoły spalone, ale ich też nasi nabili, jak Samson[1] Filistynów!

STAROSTA.

Do czego to wszystko! — Nieszczęście, nieszczęście... Półgłówki, warjaty, porywać się na taką ogromną potęgę! Za konfederacji tyle szlachty się biło, a cóż zrobili... Zgubią Polskę do reszty.

ABRAHAM.

Nu, za konfederacji nie wygrali, bo sama szlachta się biła, ale teraz generał Kościuszko zbiera i szlachtę i mieszczan i chłopów; nu, jak oni wszyscy się ruszą?

STAROSTA.

Co? Chłopi? Tfu! Kościuszko napatrzył się w Ameryce wojnie gminu z wojskiem i myśli, że nasz chłop będzie się bił. Ho, ho, u nas nie Ameryka!

FILOMENA *(wysuwając się z dygiem przed starostę).*

Oj proszę jaśnie wielmożnego pana starosty, będą, będą się bić, bo już w Rzędowicach wszyscy zbuntowani i idą do tego Kościuszki.

STAROSTA *(osłupiały).*

Co aśćka pleciesz? Moi chłopi? Kłamstwo!

FILOMENA.

Oj nie kłamstwo, proszę jaśnie wielmożnego pana starosty, cała wieś się zbiera! A Bartosz najpierwszy.

STAROSTA.

Cała wieś! Chybaś aśćka zmysły atraciła. Dam ja im wojenkę! Idź! Zawołaj mi tu Radzika. *(Filomena dyga i odchodzi).*

ABRAHAM.

Niech się jasny pan nie gniewa. Kościuszko nakazał dziedzicom nie tylko chłopów posyłać do obozu,

---

[1] *Samson Filistynów* — Pismo św. opowiada, jak Samson oślą szczęką sprawił pogrom wśród Filistynów.

ale ogłosił sąd kryminalny na tych, coby ich uciskali. A ma dużo wojska; jakby się dowiedział, że jaśnie pan zabrania chłopom iść do niego, toby mogło być źle.

STAROSTA.

Jestem w mojem prawie, chłopi są moi i nikt nie ma prawa mi ich zabierać!

ABRAHAM.

Kto ma siłę, wszystko może, a przecie i jaśnie starosta za Polskę wojował.

STAROSTA.

Ale nie na czele chamów!

ABRAHAM.

Nu, niech sobie będą chamy, ale niech tylko dobrze biją — nu, a jeżeli oni pobiją? To i wygnają Moskalów, to i jaśnie panu będzie lepiej. Pojedzie pan starosta do Warszawy i zostanie kasztelanem albo wojewodą.

STAROSTA *(nieco łagodniej).*

Gdybyż pobili, ale gdzie tam. Chłopi za pierwszym wystrzałem uciekną, a kozactwo rozleci się po całym kraju, i będzie tak wszędzie, jak w Kozubowie. Co innego, gdyby cała szlachta powstała, król się przyłączył, obce potencje wsparły; ale nikt nie pomoże, a zaręczam ci, że ani jeden szlachcic na tę chłopską wojnę nie pójdzie.

SCENA SIÓDMA.

Dawni. — ONUFRY i NICEFOR *wchodzą z głębi.*

NICEFOR *(z ogromnym szturmakiem*[1]*, kłania się staroście i mówi nieśmiało).*

Przyśliśmy tu z panem Onufrym, mopanku! *(Obydwa mówią, wyrywając sobie z ust słowa).*

---

[1] *szturmak* — strzelba z rurą szeroką przy wylocie.

ONUFRY (*z szeroką karabelą i pistoletami za pasem*).

Podziękować jaśnie wielmożnemu staroście... mosterdzieju!

NICEFOR.

Za smaczny i dostatni kawałek chleba... Mopanku!

ONUFRY.

I prosić mosterdzieju o błogosławieństwo na drogę.

STAROSTA (*zdziwiony*).

Na jaką drogę, co? Gdzie?... Dokąd?!

NICEFOR (*zakłopotany*).

Śliwki mopanku, o tej porze rzecz arcyrarytna.

ONUFRY.

I kapusta mosterdzieju już na schyłku, a do nowej daleko.

STAROSTA (*nie rozumiejąc ich*).

Co waszmościowie bredzicie o śliwkach? O kapuście? Nic a nic nie rozumiem, a ty Abramku?

ABRAHAM.

Nu, ja to trochę miarkuję, tylko że panowie rezydenci tak zdaleka zachodzą.

STAROSTA.

Toś domyślniejszy odemnie, bo ja ani słóweczka.

NICEFOR.

Zachciało się Moskwie śliwek, w marcu mopanku, niemasz nigdzie, mopanku. Więc ja im z tego drzewka (*pokazując na szturmak*) do sytości natrzęsę. Dwadzieścia kul i garść siekańców mieści się w brzuchu tego starego gaduły. Od konfederacji ani mrumru, mopanku. Otóż myślę go pociągnąć za język, żeby piękną orację kozactwu wypalił. (*Oddycha*) Uf!

ONUFRY (*wskazując karabelę*).

I mój tasaczek, mosterdzieju, od konfederacji kapusty nie szatkował. Kapusta to ulubiony przysmak

sołdatów, a że u nich mosterdzieju główek nie braknie, *tandem*[1] zamyślam kilkanaście uszatkować.

STAROSTA.

Czyście asaństwo poszaleli, starzy, a w głowie wichrowato!

NICEFOR *(z ogniem).*

Jako świat światem, jeszcze się to nie pokazało, żeby szlachcic polski był stary, kiedy trzeba bić się za ojczyznę, mopanku!

ONUFRY *(podobnież).*

I ze śmiertelnej pościeli zerwie się mosterdzieju, kiedy trzeba za matkę dać gardło!

STAROSTA.

Zastanówcież się waszmość! to chłopska wojna, dla szlachcica hańba służyć w takiej ruchawce!

NICEFOR.

Stokroć większa hańba siedzieć z założonemi rękami, gdy drudzy giną.

STAROSTA.

Ale cóż wy nieszczęśliwi zrobicie? Imperatorowa ma ogromne siły, w puch was rozbije, i nowy podział nieszczęśliwej ojczyzny nastąpi!

NICEFOR.

Gorzej było za Szweda, mopanku. — A gdzie Szwed?

ONUFRY.

I podział po szwedzkiej imprezie[2] nie nastąpił!

STAROSTA.

Róbcie sobie, co chcecie. Ja od wszystkiego ręce umywam.

---

[1] *tandem* (łac.) — a zatem.
[2] *impreza* — przedsięwzięcie.

SCENA ÓSMA.

Dawni. — FILOMENA i STAROŚCINA.

FILOMENA.

Jaśnie wielmożny dobrodzieju! po całej wsi biegałam, Radzika nigdzie znaleźć nie mogę.

STAROSTA *(spostrzegając żonę).*

A dobrze, żeś jejmość przyszła. Awantury! awantury, powiadam! Panom braciom poprzewracało się w głowach: chcą iść pod komendę Kościuszki. Może ty im tę niedorzeczność wyperswadujesz.

STAROŚCINA.

Ależ mój Antosiu, jeżeli już sam iść nie chcesz, czy nie możesz, nie zabraniajże drugim.

STAROSTA.

Co ja słyszę? Więc i jejmość przeszłaś do obozu Kościuszki? Miejcież rozum na miłość Boską, porywać się z motyką na słońce. Szaleństwo! Gdybyż przynajmniej mieliśmy jakiego alianta.

STAROŚCINA *(uroczyście wskazując niebo).*

A Tegoż to za nic nie liczysz?

SCENA DZIEWIĄTA.

Dawni. — RADZIK.

RADZIK *(wpada zadyszany).*

Jaśnie Wielmożny panie! Bunt w całej wsi, nikogo niema na pańszczyźnie; biegam, spędzam, nikt nie słucha, jeszcze się ze mnie naśmiewają, wszyscy u kowala siedzą, a on im prostuje kosy i nabija piki. Cała wieś idzie na wojnę.

STAROŚCINA.

Mój Antosiu!... Czyż to nie zrządzenie Opatrzności? — pierwszy raz chłop poczuł się Polakiem.

RADZIK.

Cóż mam robić?

STAROSTA.

Prawo mamy, ale egzekutywy nie! Szaleńców nie powstrzymasz! Pięknie pan Kościuszko poczyna, od buntowania poddanych.

RADZIK *(załamując ręce).*

Koniec świata!

FILOMENA.

Koniec świata!

NICEFOR *(zbliżając się do Filomeny, stojącej po prawej stronie).*

Pragnę Mości pannę pożegnać mopanku i prosić o jaką pamiąteczkę i paciorek na drogę.

FILOMENA *(oburzona).*

Cóż to? Waszmość łączysz się z chłopami? Winszuję, ale solennie deklaruję, że z naszego marjażu[1] nic.

NICEFOR.

Jakto mopanku? Po piętnastu latach wiernego affektu, mopanku?

FILOMENA.

Jestem szlachcianką i z chamskimi adherentami[2] nie chcę żadnej paranteli[3], choćbyś waszmość o mnie drugie piętnaście lat konkurował. Skończyło się.

NICEFOR.

Skończyło się mopanku? No, to się po wojnie znowu zacznie!

(Cała ta rozmowa odbywa się na boku).
(Słychać za sceną śpiew coraz bliżej).

STAROSTA.

Co to jest?

---

[1] *marjaż* (franc. mariage) — małżeństwo.
[2] *adherent* — zwolennik, towarzysz.
[3] *parantela* — pokrewieństwo, związek rodzinny.

RADZIK *(patrząc za scenę).*

To sobie nasze chłopy tak przyśpiewują, a Bartek Głowacki dowodzi.

STAROSTA.

Bartosz Głowacki? Nie zapomnę mu tego!

SCENA DZIESIĄTA.

Dawni. — BARTOSZ. — GRZEGORZ. — SZYMEK *i* GROMADA CHŁOPÓW.

(Przodem idzie Szymek, niosąc chorągiew kościelną, na której po jednej stronie Matka Boska Częstochowska, po drugiej święty Stanisław[1]*. Za nim Bartosz i Grzegorz, dalej chłopi w białych sukmanach, w czerwonych krakowskich czapkach, z kobiałkami przez plecy, z kosami w ręku).*

CHÓR.

Dalej chłopcy, dalej żywo![2]
Otwiera się dla nas żniwo,
Rzućwa pługi, rzućwa radło,
Trza wojować, kiej tak padło.
Niechaj baba gospodarzy,
Niech pilnują roli starzy,
My parobcy, zagrodniki,
Rzućwa pługi, weźma piki.

(Maszerują wkoło, wszystkie inne osoby stają w środku).

Albośmy to jacy
Chłopcy Krakowiacy
Harda u nas dusa,
Nie boim się Rusa,
Dość nas uciskali,
Dalej na Moskali.
Chwyćwa za obuski[3],
Pójdźwa do Kościuski.

(Maszerują wkoło, potem stają naprzeciw starosty rzędami).

---

[1] *św. Stanisław* jest patronem diecezji krakowskiej.

[2] *Dalej chłopcy, dalej żywo* — autentyczna »pieśń kosynierów« z czasów kościuszkowskich, przytoczona w przypisach do Pamiętnika Lichockiego. Dwie pierwsze zwrotki są powtórzone wiernie; w dalszych *albośmy to jacy* są początkiem znanej pieśni krakowskiej; dalsze rymy są również wzięte ze starej pieśni, choć nie dosłownie.

[3] *obuski* — obuch, tępa strona żelaza siekiery, potem wogóle siekiera; także rodzaj broni, zbliżonej do siekiery.

BARTOSZ (*występuje naprzód i kłania się czapką do nóg staroście*).

Jaśnie wielmozny dziedzicu, pan nácelnik Kościusko kázáł nám iść na wojáckę, więc doprásámy się jaśnie dziedzica, coby nám nie zbrániáł.

STAROSTA (*cierpko*).

Zapóźno przychodzicie mnie prosić, kiedyście się sami porządzili i idziecie bez mego pozwolenia. Jesteście moimi poddanymi, obowiązani robić i bez mojej woli nie wolno żadnemu ruszyć się z miejsca!

RADZIK (*na stronie*).

O to to! Za łeb chamów, za łeb!

BARTOSZ (*ponuro*).

My ta o tem nie zapomnieli, wiemy ześwia poddani, ze musiewa robić, ale kiej nakáz, to nakáz, a kiedy już jaśnie dziedzicowi tak o to pańskie idzie, to jak wróciwa z wojny, wsyćkie záległości odrobiewa.

GRZEGORZ (*występując z szeregu śmiało*).

Pán nácelnik ogłosił, że kto pójdzie, ten bez całą wojnę pańskiego robić nie będzie. A zresztą co tam ańszczyzna, piérsá ojcyzna!

NICEFOR.

Dobrze powiedział mopanku!

ONUFRY.

Tęgi chłop mosterdzieju!

STAROŚCINA (*zcicha do męża*).

Na miłość Boską mężu! wszakże ci ludzie dobrowolnie idą na śmierć! Pierwszy raz chłop z własnego popędu idzie bić się za ojczyznę, a ty szlachcic! ty Polak!... Czy chcesz, abym się ciebie wyrzekła?!

STAROSTA (*przezwyciężając się*).

Ha, idźcie, ale jak który zginie...

BARTOSZ.

To jego dusycka pójdzie prosto do nieba.

NICEFOR.

I my z tobą Bartoszu!

ONUFRY.

Tak jest, i my mosterdzieju!

RADZIK *(z niezmiernem zadziwieniem).*

Co ja słyszę? Szlachta z chłopami?

STAROŚCINA *(ze łzami).*

Niechże was Bóg błogosławi moje dzieci, a Najświętsza Królowa Polska ma w swojej opiece. Mąż mój pozwala wam z całej duszy, *(patrząc bystro w oczy staroście)* bo u niego ojczyzna stokroć więcej waży, aniżeli wszystkie ziemskie skarby.

STAROSTA *(wzruszony).*

Tak jest. Dobrze moja żona powiedziała, pozwalam wam. Idźcie z Bogiem, a wracajcie szczęśliwie.

BARTOSZ.

Dziękujewa jaśnie dziedzicowi.

CHŁOPI *(kłaniając się nisko czapkami).*

Dziękujewa!

RADZIK.

Jaśnie wielmożny pan starosta pozwala iść chłopom na wojnę? A panowie Onufry i Nicefor, chociaż szlachta, idą razem z nimi? Ha, kiedy tak, *(wyjmuje batog z za pasa i rzuca nim o ziemię)* niech cię wszyscy djabli wezmą na wieki wieków amen! Jaśnie wielmożny panie, suplikuję jak najpokorniej o pozwolenie pomaszerowania na wojnę z tymi chwatami.

STAROŚCINA.

Pradziadowie nasi, wybierając się na wojnę, poczynali od Boga. Dziatki! do kościoła. błagajmy Wszechmocnego, ażeby naszą świętą sprawę wziął w swoją świętą opiekę.

(Wszyscy idą ku kościołowi. Drzwi się otwierają, widać w głębi ołtarz, przed którym palą się świece. Kobiety i dzieci wychodzą z kościoła, wszyscy klękają po dwóch stronach sceny. Z kościoła wychodzi kapłan, staje we drzwiach i błogosławi krzyżem lud).

CHÓR.

Dręczy lud biedny Moskal okrutny.
Pociesz, o pociesz naród Twój smutny,
W swoją opiekę weź nas na nowo,
Polska Królowo!

(Zasłona spada wolno).

KONIEC ODDZIAŁU TRZECIEGO.

ODDZIAŁ IV.

RACŁAWICE.

Krótka scena, w głębi lasek, na lewo wzgórek, około którego ochotnicy sypią okopy.

SCENA PIERWSZA.

LICHOCKI. — DZIANOTTY. — SZTUMMER. — DUTKIEWICZ *z przodu, inni ochotnicy w głębi kopią ziemię.* BRANDYSKA *z koszykiem, w którym flaszka z wódką, chleb i przekąski, siedzi na kamieniu i skubie szarpie* [1]. SIKORSKI *na samym przodzie stoi z łopatą i śpiewa; każdej zwrotki dwa wiersze ostatnie powtarza chór ochotników.*

SIKORSKI.

Na krakowskim brzegu stoją dwie mogiły,
Idź do boju śmiało Krakowiaczku miły.
Śmiało idź do boju i pamiętaj bracie,
Że pradziady twoje z grobu patrzą na cię.

* * *

Pod krakowskim zamkiem Wisła toczy wody,
Miej w Bogu nadzieję Krakowiaczku młody.
W Bogu miej nadzieję, póki Wisła płynie,
Dopóty i nasza Polska nie zaginie.

* * *

W krakowskiej katedrze pod sklepieniem nawy
Śpią polscy królowie Krakowiaczku żwawy.
Zbudź te święte prochy, tem słowem pociechy,
Że chcesz krwią okupić ciężkie nasze grzechy.

---

[1] [illegible]rpie — płótno stare, rozskubane na nitki, używane d[illegible] opatrunków.

WASILEWSKI.

Dość tego kopania, posilcie się teraz, bo zaraz pójdziemy na musztrę.

(Ochotnicy rzucają rydle. Brandyska idzie na środek i rozdaje im wódkę i żywność, którą zajadają z apetytem. Lichocki zmęczony idzie z łopatą na prawo i siada na kamieniu opuszczonym przez Brandyskę).

DUTKIEWICZ *(do Sikorskiego).*

Pijcie kumie do mnie. *(Brandyska nalewa, Sikorski pije i oddaje Dutkiewiczowi; do Lichockiego)* W ręce kolegi!

LICHOCKI.

Kolegi? A gdzież ja to z waćpanem kolegowałem?

DUTKIEWICZ.

Kolegujesz wasan ze mną przy ochotnikach, bo jestem wasana sierżantem, a zdałoby się wypić po takiej pracy, bo jak uważam, to się jegomość do łopaty wprawiasz.

LICHOCKI.

Wasan? Jegomość? Nie zapominaj waćpan, z kim mówisz, i nie myśl, żeby lada szewc albo rzeźnik był równy prezydentowi, bo choć i u Kapucynów, co innego jest gwardjan [1], a co innego furtjan [2].

SIKORSKI.

Skoro waszeć przystałeś do ochotników, to już wszyscy jesteśmy sobie równi: i furtjan, i gwardjan, i prezydent, i szewc.

LICHOCKI.

Przystałem? A niechże mię Bóg broni! Złapaliście mnie jadącego do żony i zmusili, żebym do was przystał. Ale poczekajcie, jak się Kościuszko o tem dowie, będziecie wy mieli za swoje.

---

[1] *gwardjan* — przełożony klasztoru w niektórych zakonach.

[2] *furtjan* — brat zakonny, pilnujący furty klasztornej.

SIKORSKI.

Radzę ciszej, na ten przykład, bo jak się naczelnik dowie, że pan prezydent do Moskali uciekałeś, wsadzi do kozy i basta, każe sądzić i kwita, a potem *(pociągając palcem po swojej szyi)* krr... każe powiesić i koniec!

DUTKIEWICZ.

No, już co Bogiem a prawdą, to lepiej kopać, niż dyndać.

LICHOCKI.

Do kopania nie mam ani ochoty, ani praktyki, bom u grabarza nie terminował. Dostałem reumatyzmu dla waszej fantazji patrjotycznej, tak mię drze po kościach, że już ledwie żyję.

DUTKIEWICZ.

Jest i na to sposób: jak wielmożny prezydent powykręcasz na mustrze parę godzin karabinem, to i reumatyzm djabli wezmą.

LICHOCKI.

Dałby Bóg, żeby was djabli wzięli! Kaifasze! [1]

DZIANOTTY *(zbliżając się).*

A co to waćpan tak przeklinasz?

DUTKIEWICZ.

Ano pan prezydent nie może się doczekać, żebyśmy poszli na musztrę, i z niecierpliwości klnie, na czem świat stoi.

SIKORSKI.

Okrutnie zacięta sztuka z jegomości.

SZTUMMER *(żartobliwie).*

Chwalebna to rzecz, mości Lichocki; znając jego dawniejszą niechęć do wojny, nie spodziewałem się takiej rycerskiej w nim fantazji.

---

[1] *Kajfasz* — postać z Ewangelji; w przenośni: człowiek nieludzki.

LICHOCKI *(niechętnie).*

Dziękuję, dziękuję. Ale choćbym ja, dajmy na to, poszedł z własnej ochoty na wojnę, to nie byłoby jeszcze nic dziwnego, bom Polak; ale ojciec waćpana był Niemcem i prawie nie umiał po polsku, to skądże u syna taka fantazja patrjotyczna?!

SZTUMMER *(mocno).*

Tum się urodził i wychował, więc nie jestem Niemcem, ale Polakiem, rozumiesz waćpan?!

LICHOCKI *(z przekąsem).*

Albo i pan Onufry Dzianotty, Włoch z dziada, pradziada, a rwie się na Moskali, którzy jego narodowi najmniejszej krzywdy nie uczynili.

DZIANOTTY.

A widzisz waćpan, jaki to pociąg ma twoja ojczyzna, cudzoziemca już w drugiem pokoleniu na Polaka przerabia.

BRANDYSKA *(podsuwając Lichockiemu kieliszek z wódką).*

A może się jegomość napije kminkówki?

LICHOCKI.

Idźże sobie wasani do kroćset!...

BRANDYSKA.

Widzicie go! On myśli sobie, że jeszcze w majstracie zasiada, co nam kazał opłacać się ze straganów, żeby miał za co po sklepach spijać winko!

LICHOCKI.

Odczep się odemnie babo! — nie jesteś godna, abym z tobą się sprzeczał.

BRANDYSKA *(podpierając się pod boki).*

Godna sobie jestem! godna! godna!

WASILEWSKI.

Cicho tam! bo was oboje każę zapakować do kozy!

SIKORSKI.

A toby było dopiero zabawnie, na ten przykład, pan prezydent z przekupką w kozie!

SCENA DRUGA.

Dawni. — NICEFOR. — ONUFRY.

NICEFOR *(do Wasilewskiego).*

Czołem, mości oficerze. Czy nie moglibyśmy dostąpić honoru oglądania jaśnie wielmożnego naczelnika?

WASILEWSKI.

Naczelnik zatrudniony. Czego waćpanowie żądacie?

ONUFRY.

Chcielibyśmy mosterdzieju, jako dawni konfederaci, zaciągnąć się pod jego znaki.

SZTUMMER *(z przekąsem).*

Panowie szlachta przyśli sięgnąć po oficerskie stopnie...

NICEFOR.

Ej, co tam waszmość bajesz, mopanku. Przyszliśmy kiereszować Moskali, a czy umiemy wywijać szablą, to się waszmość po śmierci dowiesz od tych, com ich *ad patres* [1] wyekspedjował, mopanku!

DZIANOTTY.

Że waćpanowie umiecie rąbać, o to się nie sprzeczam, *(szyderczo)* ale znać licho rąbaliście, kiedy musimy po was poprawiać.

NICEFOR *(do Onufrego).*

Panie Onufry, mopanku, ten łyk szuka guza! Ja go obetnę!

ONUFRY *(podobnież do Nicefora).*

A ja mosterdzieju tamtego! *(Do Sztummera)* Jeszcześ wasan na czworakach chodził, a możeś i nie

---

[1] *ad patres* (łac.)—do ojców; przenośnie: na tamten świat.

żył, kiedyśmy z panem Niceforem mosterdzieju płatali z kozuniów zraziki, *(dobywają szabli)* a no sam tu [1] smyki, proszę na zraziki! Stawaj mosterdzieju!

NICEFOR *(do Dzianottego).*

Stawaj, mopanku!

DZIANOTTY *i* SZTUMMER *(dobywając pałaszy).*

Dalej!

WASILEWSKI *(wpadając między nich).*

Hola! hola! A to co?! Subordynacja! [2] Pochować szable, wszyscyśmy tu dobrzy! Pochować szable! *(chowają szable, spoglądając na siebie z zawziętością).*

SCENA TRZECIA.

Dawni. — BARTOSZ, GRZEGORZ, SZYMEK *i* KOSYNIERZY *wchodzą ze śpiewem.*

CHÓR.

Dalej bracia, dalej żywo!
Otwiera się dla nas żniwo,
Rzućwa pługi, rzućwa radło,
Trza wojować, kiej tak padło.
Niechaj baba gospodarzy,
Niech pilnują roli starzy,
Chyćwa kosy i obuski,
Idźwa wszyscy do Kościuski.

(Stają we dwa szeregi po prawej stronie).

DZIANOTTY.

Niech żyją kosynierzy!

WSZYSCY.

Wiwat!

LICHOCKI *(na stronie).*

Koniec świata! Chamy biorą się do wojowania; ciekawy jestem, kto będzie na nas robić!

(Świstacki wita się z Bartoszem; Dzianotty i Sztummer bratają się z kosynierami).

---

[1] *sam tu* (starop.) — tutaj (wołająco), chodź tu.
[2] *subordynacja* — posłuszeństwo wojskowe.

SZTUMMER.

Witamy was, najmilsi bracia. Przychodzicie walczyć za ojczyznę. Niechże wam Bóg płaci, kochani!

DZIANOTTY.

Chłopskie i mieszczańskie ręce oswobodzą Polskę, którą szlachta zgubiła.

NICEFOR *(na boku do Onufrego).*

Słyszysz waść, mopanku! Jakem Półkozic[1], nie pofolguję! Płatnę w łeb, mopanku!

SZTUMMER *(z pogardą).*

A co nam po szlachcie, obejdziemy się bez nich; trzeba iść za przykładem Francuzów: niech żyje lud!

ONUFRY *(porywczo do Sztummera).*

Przestań, mosterdzieju, bo ci łeb rozpłatam! *(biorą się do szabel).*

BARTOSZ *(występując naprzód).*

Wielmozni panowie! Widzę, ze wsyscy ojcyznę kochácie, ale widno źle ją kochácie, kiej zamiást z Moskálem, to się ze sobą bić chcecie!

DZIANOTTY.

Nie broń szlachty, poczciwy wieśniaku, która was od wieków uciskała!

SZTUMMER.

Niechno tylko oswobodzimy kraj, to zrobimy porządek jak we Francji. Ziemię, którąście uprawiali przez wieki w pocie czoła, ich ziemię, wam oddamy, a pan podkanclerzy...

BARTOSZ.

Ej, prose wielmoznego pana, dyć tu nie Francyjá, my ta pańskiej ziemi nie pożądámy, bobyśwa zgzesyli przeciwko dziesiątemu przykázaniu. Niemiło to, ze Moskál zabiera nam ojcyznę, a cyby to nám

---

[1] *Półkozic* — herb szlachecki.

Pán Bóg błogosławił, jakbyśwa panom ziemię zabierali? *(Do swoich)* Prawda chłopcy?

KOSYNIERY.

Prawda!

BARTOSZ.

A jak będziewa wsyscy w jedności, i ślachta i miastowi i chłopy, to bedzie Polska wolná.

KOSYNIERY.

Bedzie! bedzie!

SCENA CZWARTA.

Dawni. — KOŚCIUSZKO.

KOŚCIUSZKO, *który wszedł dawniej i słyszał wszystko, co Bartosz mówił, zbliża się naprzód i kładzie mu rękę na ramieniu.*

Bóg przemawia przez usta maluczkich. Mości panowie, ten chłopek zawstydził was.

GRZEGORZ *(do Szymka pocichu).*

Szymek patsájno. Cy to jaki starsy, bo w sukmanie, a nie wyglądá na chłopa.

SZYMEK.

Mnie sie widzi kowálu, ze starsy, bo má taką pańską gębę.

KOŚCIUSZKO.

Skąd jesteście przyjaciele?

BARTOSZ.

Z Rzędowic, o półtory mili stąd.

KOŚCIUSZKO.

Kto was wyprawił do obozu? Czy wasz dziedzic?

BARTOSZ.

A no widzicie panie: jak nám wzioł stary Ján opowiadać o Kościusku, jako on chce wygnać Moskali, jako jest na ludzi wiejskich miłosierny, a potrzebuje, zeby mu pomágać, takeśwa i przyszli. Nie wiema jeno, cy nás przyjmie.

KOŚCIUSZKO.

O to się nie turbujcie moje dzieci; ja wam zaręczam, że przyjmie.

BARTOSZ.

A to pán widze znają wielmoznego nacelnika. Przez urazy pańskiej, a któz pán jest, cy niby jaki starsy, cy co?

ŚWISTACKI *(występując).*

Bartosu! a dyć to sám jaśnie nácelnik!

BARTOSZ *(osłupiały).*

O Nájświętsá Panienko! *(Do swoich)* A nuze chłopcy do nózek jaśnie nácelnika! *(Kosyniery cisną się hurmem do nóg Kościuszki).*

KOŚCIUSZKO.

Wstańcie dzieci! Nie jestem ja ani świętym, ani monarchą, żebyście mi do nóg padali.

BARTOSZ.

O dlá Boga! mało co nie zapomniáłem. *(Wydobywa trzos)* Jaśnie wielmozná starościna z Rzędowic kłaniá sie bardzo pieknie i przysyłá jaśnie nácelnikowi te pieniądze na wojácke.

KOŚCIUSZKO *(odbierając, mocno wzruszony).*

Zewsząd płyną ofiary, zewsząd zbiega się lud pod chorągwie narodowe; Bóg błogosławi naszym zamiarom. *(Oddaje trzos jednemu z oficerów)* Jak się nazywasz przyjacielu?

BARTOSZ.

Bartosz Głowacki, zagrodnik z Rzędowic.

KOŚCIUSZKO.

Czy chcesz służyć w kawalerji, czy w piechocie?

BARTOSZ *(kłaniając się czapką do nóg).*

Juzbym ja tam wolár z kosą, bo sie na strzelbie nie rozumie, a kosisko to mi jaze furcy w ręku.

ŚWISTACKI *(podobnież).*

I ja rádbym oddać tę fuzyją, a iść razem z kumem, bo my to juz tak od małości, kaj Głowacki, tam i Świstacki.

KOŚCIUSZKO.

Zezwalam.

(Onufry i Nicefor występują razem, salutując po wojskowemu).

NICEFOR.

Jaśnie wielmożny naczelniku! mopanku!

ONUFRY.

Jaśnie wielmożny mosterdzieju naczelniku!

KOŚCIUSZKO.

Czego waćpanowie żądacie?

NICEFOR.

Jesteśmy konfederaci barscy, mopanku, i chcemy...

ONUFRY.

Służyć mosterdzieju pod komendą jaśnie wielmożnego pana...

NICEFOR.

I bić Moskali, mopanku, jakeśmy przed laty...

ONUFRY.

Pod starostą wareckim [1] mosterdzieju bijali.

KOŚCIUSZKO *(podając im rękę).*

Witam całem sercem panów konfederatów, w których ani wiek, ani rany, ani trudy nie ostudziły miłości ojczyzny. Proszę się udać do generała Madalińskiego i zaciągnąć do kawalerji.

NICEFOR *(ucieszony).*

Do kawalerji, mopanku!

(Kłaniają się i odstępują).

---

[1] *starosta warecki* — Kazimierz Pułaski, wódz konfederatów.

SCENA PIĄTA.

Dawni. — WASILEWSKI *i* ABRAHAM *pod strażą.*

WASILEWSKI *(salutując).*

Jaśnie wielmożny naczelniku! Czaty nasze donoszą, że od Kościejowa[1] pokazuje się nieprzyjaciel w znacznej liczbie.

KOŚCIUSZKO.

Weź waćpan swoich krakowskich ochotników, a złączywszy się z dwiema kompanjami generała Czapskiego, obsadźcie las i powstrzymujcie nieprzyjaciela, dopóki ja, nie przybędę.

WASILEWSKI.

Schwytano też podejrzanego żyda, który się przekradał od moskiewskiego obozu. *(Wskazuje Abrahama)* Oto ten! *(Do ochotników)* Formuj się! W lewo zwrot! Marsz! *(Odchodzi z ochotnikami na lewo).*

BARTOSZ *(do Kościuszki).*

A my, jaśnie nácelniku, cy mozemy iść z nimi?

KOŚCIUSZKO.

Wy chłopcy idźcie do obozu i tam na mnie czekajcie.

BARTOSZ *(do swoich).*

A nọ dalej! formuj się! mars! ráz, dwa, ráz, dwa! *(Odchodzi z kosynierami na lewo, za nimi Nicefor i Onufry).*

SCENA SZÓSTA.

KOŚCIUSZKO. — ABRAHAM, *w głębi straż.*

KOŚCIUSZKO.

Kto waćpan jesteś?

ABRAHAM.

Abraham Działoszycki, handlarz zboża.

---

[1] *Kościejów* — wieś koło Racławic, na trakcie z Skalmierza do Miechowa.

KOŚCIUSZKO.

Co miałeś do czynienia w nieprzyjacielskim obozie?

ABRAHAM.

Moskale mają mnie za swojego. Otóż, będąc w ich obozie, widziałem, jak generał Denisow wysłał Friola z trzema tysiącami do Koszyc [1], bo mu ktoś umyślnie doniósł fałszywie, że jaśnie wielmożny pan wyprawił tam generała Wodzickiego z Biernackim. Teraz całego wojska jest przy Denisowie i Tormansowie [2] tylko sześć tysiąców. Otóż chciałem o tem donieść jaśnie wielmożnemu naczelnikowi i dlatego się tutaj przekradłem.

KOŚCIUSZKO.

Któż mi zaręczy, że waćpan prawdę mówisz?

ABRAHAM.

Moje sumienie.

KOŚCIUSZKO *(machnąwszy ręką z niedowierzaniem).*

Ach...

ABRAHAM.

To dlatego, że ja żyd, nie mam wiary?

KOŚCIUSZKO.

Jego współrodacy często dają się użyć nieprzyjacielowi, aby tylko nagrodę otrzymać.

ABRAHAM *(gorąco).*

Panie generale! Tu się urodziłem, tu żyję, tu umrę. *(Z zaciętością)* Moskal jak Haman [3] moich braci uciska. Jeżeli pan generał nie wierzy, że żyd może kochać Polskę, to niech wierzy, że on nie chce, żeby jego Moskale gnębili.

---

[1] *Koszyce* — wieś w pow. pińczowskim, w pobliżu Wisły.

[2] *Tormansow* — jenerał major wojsk rosyjskich, wysłany z Warszawy w pościg za Madalińskim, rozbity następnie pod Racławicami (zob. objaśnienia, str. XX).

[3] *Haman* — faworyt króla perskiego Kserksesa, zaciekły nieprzyjaciel Żydów, potem przez nich okrutnie zamęczony.

KOŚCIUSZKO *(zatopiwszy wzrok w oczach Abrahama).*

A więc wierzę.

ABRAHAM.

Nu, jeśli pan generał uwierzył, to ja teraz pokażę, że mnie wierzyć można. *(Wydobywa karteczkę, ukrytą w jedwabnym pasie, i podaje Kościuszce).*

KOŚCIUSZKO *(przeczytawszy).*

Własnoręczne pismo generała Mangeta, żeś się ofiarował bezinteresownie służyć sprawie narodowej, i że waćpanu wierzyć można. Dobrze, jeżeli wieści, które przyniosłeś, sprawdzą się, nie zapomnę o waćpanu. *(Chce odejść).*

ABRAHAM *(gorzko).*

Nu... naturalnie... Żydowi trzeba zaraz płacić, bo on tylko za pieniądze może służyć.

KOŚCIUSZKO *(zwraca się ku niemu i podaje mu rękę).*

Przepraszam cię. Widzę, że jesteś uczciwym człowiekiem i dobrym Polakiem.

ABRAHAM *(mocno wzruszony).*

Och, panie generale, to u mnie więcej znaczy, aniżeli żebym sto tysiąców zarobił.

SCENA SIÓDMA.

Dawni. — Generał WODZICKI.

WODZICKI *(wchodząc śpiesznie).*

Potrzebujemy cię, generale. Nieprzyjaciel silnie następuje i widocznie chce bitwę stoczyć; lewe skrzydło zagrożone. *(Kanonada, zwiększająca się coraz bardziej po zmianie).*

KOŚCIUSZKO.

A więc w imię Boże! Naprzód! *(Wychodzą).*

ZMIANA.

Okolica pagórkowata, na prawo pochyłe wzgórze, na lewo odłam skały. W oddaleniu wieś i kościół Racławicki — huk dział, ręcznej broni i okrzyki wojenne zdaleka.

SCENA ÓSMA.

LICHOCKI, *potem* KATKOW.

LICHOCKI *(wbiega pędem z lewej strony i ogląda się ze strachem za siebie).*

Jezus! Marja! Już nie mogę, uf! Ani sposób. Ten infamis [1] Wasilewski maszeruje ze zgrają patrjotów na harce, i naturalnie mnie z sobą zabiera. Rzeźnik z jednej, szewc z drugiej strony pilnują, żebym nie uciekł — wysuwamy się z lasu, aż tu naraz Kozacy hiiii! hiiii! piechota brrrr! brrrr! armaty bum! bum!... Jeden i drugi chłop bęc na ziemię jak długi, rozpierzchamy się po polu, oglądam się, nikt mnie nie pilnuje. Drała w nogi! Uciekałem jak młodzieniaszek. *(Ociera pot z czoła i siada na kamieniu po lewej stronie pod skałą)* Co to za czasy okropne!... Lada rzeźnik, lada szewc ma się za lepszego od prezydenta. Czwarty dzień legam na słomie, nieprzymierzający jak bydlę, czwarty dzień kawy w ustach nie miałem! Ale teraz kwita z wojenki. Oho! nie złapiecie wy mnie drugi raz! Teraz tylko trzeba myśleć, jak uniknąć Kozaków i patrjotów, a dostać się do Antosi, do domeczku, do łóżeczka, pod pierzynkę!... O moja kochana pierzynka!

KATKOW *(wbiega pędem z lewej strony, i nie widząc Lichockiego, patrzy ciągle w stronę, gdzie słychać zgiełk bitwy).*

A czort [2] ich pabiery! Maszenniki! skatiny! nie smatriat, russkij ili nie russkij, a strelajut kak w sobaki!

---

[1] *infamis* (łac.) — człowiek bez czci.
[2] *A czort* etc. — Djabli niech ich wezmą! bydło, nie patrzą czy Rosjanin, czy nie Rosjanin, i strzelają jak do psów.

LICHOCKI *(nie widząc Katkowa).*

Gdzie mnie do wojny! I lata nie po temu i siły nie po temu... no i odwaga nie po temu. Teraz trzeba tylko zmykać ostrożnie, żeby mnie Moskale nie złapali, albo nie zabili.

KATKOW *(zapatrzony w stronę, gdzie toczy się bitwa).*

Nu! uszoł[1] sława Bohu, tolko cztoby mienia Paljaki nie pajmali!

LICHOCKI *(jak wyżej).*

Czy rzucić ten karabin, czy nie? Lepiej może nie, jakby mnie we wsi psy opadły, będzie się przynajmniej czem bronić.

KATKOW.

Brasit'[2] maju sablu ili niet'? niet', niet', wsiehda łuczsze z sabloju.

LICHOCKI.

No teraz w Imię Boże — marsz!

KATKOW.

Nu, tiepier[3] wo imie gospodnie marsz! *(Chcąc odejść, obadwa zwracają się, i spostrzegłszy się nagle, przestraszają siebie nawzajem, padają na kolana, rzucają broń i krzyczą)* Pardon!

LICHOCKI *(pierwszy ośmiela się wznieść oczy, a ujrzawszy drżącego Katkowa, mówi do siebie).*

Zdaje mi się, że on stchórzył przedemną! *(Przyciąga ostrożnie karabin i podnosi się, mając wzrok wlepiony w Katkowa)* Rzuć waćpan ten kozik... *(Katkow rzuca)* albo go lepiej schowaj do pochwy. *(Katkow chowa)* Waćpan kto taki?

---

[1] *Nu! uszoł* etc. — No, uciekłem, chwała Bogu, tylko żeby mnie Polacy nie schwytali.

[2] *Brasit* etc. — Rzucić szablę, czy nie? nie, zawsze lepiej z szablą.

[3] *Nu, tiepier* etc. — No, teraz w imię pańskie — marsz!

KATKOW.

Praporszczyk Katkow, iz goroda Maskwy, russkij diezjertjer.

LICHOCKI *(skrada się ku szpadzie, aby ją podnieść, Katkow spostrzegłszy to, wyciąga ku niej rękę).*

Nie ruszaj waćpan tego! Albo lepiej schowaj do pochwy... tak! — A... nie masz tam waćpan jakiej ukrytej strzelającej broni przy sobie?

KATKOW.

Niet' jej Bohu, niet'.

LICHOCKI.

No to wasan wstań, a gadaj do mnie po polsku, bo ja rosyjskiego nie rozumiem.

KATKOW.

Pan Paljak, proszu was pakorniejsze, pustitie mienia.

LICHOCKI.

A idźże sobie aspan do wszystkich djabłów, tylko mnie nie napastuj! Bo ja strzelam i rąbię jak sam Kościuszko. *(Bierze karabin na ramię i odchodzi przednią kulisą w prawo).*

KATKOW.

Słuszajus. *(Udaje, że odchodzi na lewo, potem nagle rzuca się z tyłu na Lichockiego i chwyta za karabin)* Nie ujdiosz Lach!

(Szarpią się, karabin wypala, Lichocki zwrócony w lewo, Katkow w prawo).

LICHOCKI.

Jezus Marja! pewnie mnie zabił! *(Słychać za sceną w oddaleniu strzały).*

KATKOW *(wymierzając mu bagnet w piersi).*

Tak ty pajdiosz so mnoju buntowszczyk! Dawaj diengi! dawaj, a nie, to ubiju!

LICHOCKI.

Jaśnie wielmożny generale, klnę się na duszę i na ciało, że nie mam ani złamanego szeląga!

KATKOW.

Breszysz[1], sukinsyn! *(Spostrzega nadbiegającego Wasilewskiego)* Spasi Boh! Paljaki! *(Rzuca karabin i ucieka w prawo).*

LICHOCKI *(zdumiony).*

Co to jest, uciekł... jak Boga kocham uciekł?!

SCENA DZIEWIĄTA.

LICHOCKI. — WASILEWSKI.

WASILEWSKI.

Czy waćpan wystrzeliłeś na alarm?

LICHOCKI *(wskazując w stronę, w którą Katkow uciekł).*

Mo... Moskal...

WASILEWSKI *(patrząc w prawo za scenę).*

Nieinaczej, pędzą tu z armatami, nie spodziewaliśmy się ich z tej strony. Natychmiast dam znać naczelnikowi. Winszuję waćpanu, ocaliłeś prawe skrzydło. *(Ucieka na lewo).*

LICHOCKI.

Moskal uciekł? Ocaliłem prawe skrzydło?... Cud!... Prawdziwy cud! Ale teraz trzeba siebie samego ocalić. *(Biegnie w prawo)* Jezus Marja! Moskale! *(Biegnie w lewo)* Wszyscy święci! Patrjoci tu pędzą! *(Biega po scenie)* Gdzie się schować? Gdzie się schować? *(Patrzy w lewo na przodzie)* Aj, rów i na nim mostek; dalej pod mostek. Święty Filipie Nereuszu, wybaw swego klienta. *(Odchodzi na lewo).*

---

[1] *Breszysz* — łżesz; *Spasi Boh* — wybaw Boże!

SCENA DZIESIĄTA.

GRABIENNIKOW. — DENISOW, *wojsko rosyjskie.*

(Na wzgórzu w głębi po prawej stronie ukazuje się oddział piechoty rosyjskiej i artylerzyści, którzy zataczają ormaty wylotami w lewo).

DENISOW *(wjeżdża z prawej strony, za nim dwóch Kozaków).*
Zdarowy rebiata!

SOŁDACI.

Zdarowia żełajem!

DENISOW.

Nu, dierżyś[1] Grabiennikow! pomnij szto etaja batiereja, to kljucz pozycyj, *(do sołdatów)* bojko drats'a! nie uchadit'! a nie, to was prykażu rassiec pletniami! *(Odjeżdża z Kozakami na prawo).*

(W orkiestrze odpowiedni melodram).

GRABIENNIKOW.

Dzierzyś![2] Mietka z puszok celit'! *(Komenderuje)* Ce-li! A-gnia! *(Artylerzyści dają ognia)* Haraszo!

SCENA JEDENASTA.

WASILEWSKI *i* OCHOTNICY.

WASILEWSKI.

Pal! *(Ochotnicy dają ognia)* Naprzód! Naprzód! *(Pędzą ku baterji).*

GRABIENNIKOW.

A-gnia! *(Powtórny wystrzał z dział, piechota rosyjska na wzgórzu także daje ognia, Dutkiewicz i kilku ochotników pada, inni się chwieją, zamieszanie).*

---

[1] *Nu, dzierżyś* etc. — trzymaj się, pamiętaj, że ta baterja, to klucz pozycji, dzielnie bić się! nie uciekać, a nie, to was każę rozsiekać rózgami.

[2] *Dzierżyś* etc. — Baczność! Dobrze z dział celować! Cel! Ognia! Dobrze!

DUTKIEWICZ (*na ziemi ranny*).

Te harmaty rozkurzą nas!

KOŚCIUSZKO (*ukazując się na skale po lewej stronie*).

Kosyniery naprzód!

BARTOSZ.

Jesteśwa nácelniku!

KOŚCIUSZKO (*wskazując na baterję*).

Weźcie mi to dzieci!

KOSYNIERY.

Jezus Maryjá! (*Rzucają się na baterję, na czele Głowacki i Świstacki*).

SOŁDACI (*chwieją się*).

Spasi Boh! Kasiniery!

GRABIENNIKOW.

Dzierżyś swołocz! A-gnia! (*Wyrywa lont artylerzyście i chce podpalić armatę — Głowacki odtrąca go i nakrywa panew [1] czapką. — Krótka utarczka, kosyniery przemagają, Świstacki okracza drugie działo — baterja zdobyta*).

BARTOSZ (*podnosząc czapkę w górę*).

Nácelniku, harmaty nase!

(*Obraz oświetlony łuną palących się Racławic*).

KONIEC ODDZIAŁU CZWARTEGO.

---

[1] *panew* — miejsce, gdzie się podsypuje proch.

ODDZIAŁ V.

NOBILITACJA.

Obszerny dziedziniec przed dworem Rzędowickim — po prawej stronie na podniesieniu dwór staroświecki Szujskich, w głębi wieś, na lewo na przodzie krzyż.

SCENA PIERWSZA.

STAROŚCINA. — LICHOCKA. — ANNA. — FILOMENA. — BARTOSZOWA. — *Kobiety i dzieci wiejskie.*

(Za podniesieniem kurtyny wszyscy klęczą przed krzyżem, śpiewając pieśń, którą przed rozpoczęciem muzyka rozpoczęła w orkiestrze).

CHÓR.

Do ciebie Panie pokornie wołamy,
Łzy wylewając serdecznie wzdychamy:
Okaż nad nami Twoje zmiłowanie,
Wybaw nas Panie!

(Wstają i idą pogrążeni w smutku na przód sceny).

STAROŚCINA.

Miejcie ufność w Bogu moje dziatki, kto mu się odda w opiekę, tego on nie opuści! Wszystko będzie dobrze.

FILOMENA.

Och! gdyby się słowa jaśnie wielmożnej dobrodziejki spełniły! Ale ja nie mam najmniejszej nadziei i wiem z pewnością, że nas spotka nieszczęście. Wczoraj

przez cały wieczór stawiałam kabałę [1]. — Niźnik czerwienny [2] to był niby Kościuszko, a pana Nicefora reprezentował król tejże maści. Otóż co postawię, to oni wciąż przy sobie, a wkoło kralka [3], siódemka i tuz żołędny [4] — co oznacza nagłą i niespodziewaną śmierć. *(Kiwając głową).* Pewnie też obadwa porąbani, rozsiekani, rozstrzelani i zamordowani!

STAROŚCINA.

Eh, waśćka wiecznie stawiasz kabałę i wywodzisz wróżby, które się nigdy nie sprawdzają.

LICHOCKA.

I mnie przez całą noc straszne sny dręczyły, wszędzie widziałam krew i pobitych. I nic dziwnego, pani starościno dobrodziejko! Mojego brata ciężko zranili, do mnie strzelali, Anusię chcieli porwać... A do tego wczoraj była jakaś batalja, więc się też okropności snują po głowie. Gdyby poczciwy Abraham nas nie uratował, a pani starościna dobrodziejka do domu swego nie przyjęła, byłybyśmy marnie zginęły. Nas Pan Bóg ocalił, ale co się z moim biednym Filipkiem dzieje?... Przepadł, jak kamień w wodzie, i niezawodnie popadł w ręce Kozaków.

ANNA.

Niech się cioteczka nadaremnie nie martwi; wujaszek nie lubi się narażać, i niezawodnie sobie wyszukał jakie bezpieczne schronienie. Ale co pan Stanisław, to pewnie zginął, bo mi się śnił leżący na pobojowisku, blady i cały krwią oblany.

STAROŚCINA.

Sen mara — Bóg wiara, moje dziecię.

---

[1] *kabała* — kładzenie kart celem wróżenia.
[2] *niźnik czerwienny* — walet sercowy (kierowy).
[3] *kralka* — karta o dziesięciu oczkach, dyska.
[4] *tuz* — w dawnych kartach najwyższa karta o dwóch oczkach; *żołędny* — pikowy.

FILOMENA.

Wczoraj jak zaczęli o trzeciej godzinie popołudniu walić z harmat, to się aż szyby trzęsły; nad wieczorem ucichło, ale niewiadomo, jak batalja wypadła. Co do mnie, jestem pewną, że ani jedna noga nie uszła, bo gdzież tam ruchawka i chłopi mogą wojować z wojskiem, które ma harmaty!

BARTOSZOWA.

To tam pewnie i mojego Bartosa zabili, bo to okrutnie zaciętá śtuka, nie bacy na nic, jeno obces leci, pewnie tez poleciáł na harmaty i dostał kulkę.— Trza ci to było tego nieboraku *(płacze)*. O ja niescęsna sierota!

STAROŚCINA.

Nie wiem dlaczego, ale waszych obaw wcale nie podzielam, i mam jakieś przeczucie, jakoby pewność, że wszyscy powrócą szczęśliwie.

ANNA *(z nadzieją)*.

O mój Boże!... Wszyscy?

LICHOCKA.

Trzeba bo pani starościnie dobrodziejce wiedzieć, że moja siostrzenica Anulka jest przez nieboszczyka ś. p. jej ojca przyobiecana panu Stanisławowi Krzyckiemu, namiestnikowi chorągwi w kawalerji generała Mangeta. Mój brat Lenartowicz, jako jeden z opiekunów, był za tem, ale mój mąż, drugi opiekun, ani słuchać o tem nie chciał. Więc się Anulka tem martwi. *(Do Anny)* Nie martw się nadaremno kochanko, bo i tak nie poszłabyś zamąż, jeżeli pan Stanisław zginął.

ANNA *(z płaczem)*.

O moja cioteczko, jakże można tak mówić!

STAROŚCINA.

Nie martw się zawczasu, moje dziecię. Miej w Bogu nadzieję, że twój ukochany żyje. Jak się

wojna skończy, to będzie łatwiej uprosić wuja, a ja przyobiecuję wstawić się za tobą. *(Słychać za sceną hałas)* Co to jest?...

BARTOSZOWA *(patrząc za scenę w lewo).*

Jacyś zołnieze tutaj pędzą. *(Przestraszona)* Jezus Marja! adyć to Moskále!

SCENA DRUGA.

Dawni. — KATKOW *i kilku żołnierzy rosyjskich w nieładzie, w części z karabinami, w części bez broni.*

KATKOW *(wrzeszcząc).*

Hej wy skatiny baby, dawajtie nam pajest' i wypit'! *(Przypatrzywszy się starościnie, idzie do niej)* a ty dawaj dienieg!

STAROŚCINA.

Filomeno! Każ im przynieść chleba.

KATKOW *(woła za odchodzącą Filomeną).*

A dla mienia wodki! *(Do starościny)* Szto eto? nie panimajesz wied'ma? Dawaj dienieg, a niet', to *(wywijając pałaszem)* łob razbiju!

STAROŚCINA *(podniesionym głosem).*

Proszę się zachować przyzwoicie, bo zwołam chłopów, każę związać i do polskiego obozu odstawić.

KATKOW *(pokornie chowając szpadę).*

Izwinitie [1] sudarynia, uże ja takoj durak, breszu kak sobaka. Izwinitie, my wczera ciełyj dień bilis, da niczewo nie kuszali, praszu was pokorniejsze sudarynia, dajtie nam tolko niemnożko pajest' i wypit', a my siejczas idiom dalsze. *(Służący wnosi na tacy flaszkę wódki, kieliszki i przekąskę).*

---

[1] *Izwinitie* etc. — Darujcie pani, ja już taki głupiec, gadam jak pies. Darujcie, myśmy się wczoraj przez cały dzień bili, nic nie jedli; proszę uprzejmie, dajcie nam tylko trochę jeść i wypić, a my zaraz pójdziemy dalej.

STAROŚCINA.

Proszę jeść i pić, ale spokojnie!

KATKOW *(nalewając sobie kielich wódki).*

Kak prykażetie, sudarynia *(pije i daje znak żołnierzom, którzy chciwie jedzą i piją).*

STAROŚCINA *(ukrywając niepokój, do Katkowa).*

Wczoraj podobno była batalja?

KATKOW *(jedząc i pijąc).*

Da kakże niet'? Użasnaja batalja [1].

STAROŚCINA *(j. w.).*

A... któż pobity?...

KATKOW *(wychylając kielich).*

Da ktoż?... Paljaki! Daliż my im, dali. Diesiat tysiaczy im ubili, a u nas tolko ranieny dwa sałdata, a adin Kazak propał [2].

STAROŚCINA *(niezmiernie wzruszona).*

A Kościuszko?

KATKOW.

Ubit, i wsie gienierały s nim!

ANNA.

O Boże!... wszyscy!...

STAROŚCINA.

Ależ to być nie może!

KATKOW.

Kak nie może byt', kak ubit, tak ubit, sa wsiom!

STAROŚCINA.

I waćpan widziałeś zabitego Kościuszkę?

KATKOW.

Da kakże nie widieł? *(Pije wódkę, którą mu Filomena z dygiem nalewa)* Wyabrażitie sudarynia! Ja

---

[1] *użasnaja batalja* — straszna bitwa.
[2] *propał* — przepadł.

stajał — wot, Kastiuszka tam. *(Wskazuje w głąb, i nagle spostrzegłszy wchodzącego Lichockiego, przestrasza się, upuszcza kieliszek i wrzeszczy)* Hospodi pomiłuj! Dawaj Boh nogi! *(Umyka — sołdaty za nim w drugą stronę).*

SCENA TRZECIA.

Dawni prócz Moskali i LICHOCKI.

LICHOCKI *(który wchodząc z prawej strony, ujrzał Katkowa, przestrasza się również i szuka miejsca, gdzieby się ukryć).*

Mo... Mo... Moskale!

BARTOSZOWA *(patrząc za uciekającymi Moskalami).*

O Matko Boska, jakze tez te bestje uciekają, kieby na skrzydłach!

LICHOCKI *(wysuwając się).*

A nie wrócą?

BARTOSZOWA *(j. w.).*

Kajzeby ta wracali, skoro już są w lesie.

LICHOCKI *(nabierając otuchy).*

W lesie?! No mają szczęście, nauczyłbym ich! *(Idzie na przód sceny).*

LICHOCKA *(poznając męża).*

Filip! mój kochany Filip! *(Biegnie do niego i rzuca mu się na szyję).*

LICHOCKI *(niezmiernie uradowany).*

Antosia! Anteczka! moja najmilsza Antoleczka! *(Całuje ją)* Skądże się tu wzięłaś koteczko?

ANNA *(z drugiej strony, całując go w rękę).*

Kochany wujaszku!

LICHOCKI.

I ty tu, dziecko moje *(Ściska obydwie).*

LICHOCKA.

A więc żyjesz mój drogi, nie zabili cię?

LICHOCKI.

Nie dałem się!

ANNA.

Co ja widzę, wujaszek zaciągnął się do wojska?

LICHOCKI.

A niechże mnie Bóg broni! Zahaczyli mnie!

LICHOCKA.

Ach mój Boże, z radości zapomniałam pani starościnie zaprezentować — *(przedstawiając)* Filip Nereusz Lichocki, bywszy [1] prezydent miasta Krakowa, a mój mąż... Pani starościna Szujska.

LICHOCKI *(kłaniając się).*

Ścielę się do stópek jaśnie wielmożnej pani.

STAROŚCINA.

Bardzo jestem rada z poznania pana prezydenta, a na wstępie wyrażam moje uwielbienie, że waćpan dobrodziej porzuciłeś wysoki urząd, ażeby walczyć za ojczyznę.

LICHOCKI.

Wiele ten czyni, co musi, mościa dobrodziejko, ale cóż miałem robić... Całe miasto poszło — więc chociaż się brzydzę wszelką rewolucją, a wojny nienawidzę... pójść musiałem... to jest dla przykładu.

STAROŚCINA.

To jeszcze piękniej, że nawet wbrew przekonaniu...

LICHOCKI.

Ba! czegóżby człowiek nie zrobił dla ojczyzny!

STAROŚCINA.

Czy waćpan dobrodziej miałeś udział we wczorajszej batalji?

LICHOCKI.

Ale jaki! Przez calutki dzień, pani starościno, kawałeczka chleba, odrobinki kawy w ustach nie miałem!

---

[1] *bywszy* — były; stara forma.

LICHOCKA (*tuląc go*).

O mój biedny robaczek! Zaraz ci sama cały imbryk ugotuję.

STAROŚCINA.

Gdzież stoczono batalję?...

LICHOCKI.

O półtorej mili stąd, pod Racławicami.

STAROŚCINA.

Jakże wypadła, kto zwyciężył?...

LICHOCKI.

Wziąłem do niewoli oficera rosyjskiego — potem on mnie wziął i jakby zastrzelił, a potem uciekł... potem ocaliłem ochotników Wasilewskiego, a potem ocaliłem siebie.

ANNA (*niecierpliwie*).

Ale bitwa! bitwa! Niechże wuj powie, kto zwyciężył?

LICHOCKI.

Wszyscy wycięci co do nogi!

STAROŚCINA *i* ANNA.

Ależ kto? Kto?

LICHOCKI.

Kto? Naturalnie że szewcy, krawcy, rzeźniki, Kościuszko, Wodzicki, Czapski, Sztummer, Dzianotty, Krzycki etc. etc.

ANNA (*załamując ręce*).

O mój Boże! Więc pan Stanisław zabity!

LICHOCKI.

A — gdzie drzewo rąbią, tam trzaski lecą; a cóż on to lepszego od innych, żeby go nie zabili?

(*Anna opiera się na Lichockiej*).

STAROŚCINA.

Opowiedz nam waćpan przebieg batalji.

LICHOCKI.

Przez całą bitwę aż do północy siedząc w rowie pod mostkiem ukryty, *(spostrzegając się)* to jest na zasadzce... takiej wojennej *(wzdychając)* w błocie!... byłem świadkiem batalji. Naprzód strzelali, no i dopóty strzelali, dopóki było do czego strzelać — potem się uciszyło, no, jakże się uciszyć nie miało, kiedy wszyscy kaput![1]

(Przerażenie między kobietami).

STAROŚCINA.

A Moskale?...

LICHOCKI.

Rozlecieli się po całym kraju: palą, smalą, rąbią, ćwiertują, strzelają, ścinają i wieszają. *(Rozmawia z żoną).*

FILOMENA *(idzie ku Lichockiemu, staje za nim i dyga parę razy, poczem, gdy ją spostrzeże, mówi).*

A pan Nicefor? Widziałeś pan dobrodziej pana Nicefora?

LICHOCKI *(namyśla się).*

Nicefora? *(Niby przypominając sobie)* A... a... ten... młody... z wąsami... to doskonałe, jakżebym go nie widział? Kulą armatnią rozerwany na dwoje!

FILOMENA.

Miłosierny Boże, daj wieczny odpoczynek nieszczęśliwej duszy!

STAROŚCINA.

Jednakże to nie może być, żeby wszyscy zginęli!

LICHOCKI.

Dlaczego nie może być? Na wojnie niema żartów, moja mościa dobrodziejko! Wybili co do nogi, i supponuję, że z całego wojska tylko ja sam jeden zostałem. *(Kobiety płaczą).*

---

[1] *kaput* — już po nich, zginęli, koniec; zapewne z łac. *caput mortum* — martwa głowa.

SCENA CZWARTA.

Dawni i STAROSTA.

STAROSTA *(wychodzi ze dworu i widzi płaczące kobiety).*

A to co?... Wszelki duch Pana Boga chwali! Cóż to za lamenty?

STAROŚCINA.

Okropne nieszczęście moja duszko — Kościuszko ze szczętem pobity!

STAROSTA *(mocno wzruszony).*

Przewidywałem to — takie szaleństwo nie mogło się inaczej skończyć — nowe nieszczęścia spadają na biedny kraj. Skądże macie te smutne wiadomości? Czy przybył kto z pola bitwy?

STAROŚCINA.

Właśnie przybył *(prezentując Lichockiego)* Imci pan Lichocki — bywszy prezydent miasta Krakowa.

STAROSTA *(podając mu rękę).*

Witam łaskawego pana; — więc waćpan dobrodziej byłeś naocznym świadkiem pogromu Kościuszki?

LICHOCKI.

To jest tak, jakbym był, gdyż znajdowałem się w pobliskim lesie... wszyscy zginęli.

STAROSTA.

A zatem nie widziałeś Waćpan na własne oczy?

LICHOCKI.

No, tak jakbym widział — bo koło mnie uciekająca kawalerja przeleciała.

STAROSTA.

Jak skoro kawalerja salwowała się ucieczką, zatem nie wszyscy zginęli. Relacja jego mi nie wystarcza — muszę się sam dowiedzieć *(idzie w głąb).* Hej! osiodłać wilczatą!

STAROŚCINA *(z obawą).*

Ja cię nie puszczę Antosiu — kozactwo wszędzie się rozbiegło — jeszcze cię zabiją.

STAROSTA.

Ach! przecież nie jestem dzieckiem *(idzie w głąb i spotyka się z Krzyckim).*

SCENA PIĄTA.

Dawni i KRZYCKI.

KRZYCKI *(z ukłonem).*

Czy mam zaszczyt mówić ze starostą Szujskim?

STAROSTA.

Do usług.

KRZYCKI.

Jestem Stanisław Krzycki, namiestnik w kawalerji generała Mangeta. *(Lichocki niezmiernie zdumiony).*

ANNA *(z radością do Lichockiej).*

O mój Boże! Pan Stanisław żyje!

KRZYCKI.

Generał Kościuszko, który ciągnie z wojskiem, wysłał mię przodem, ażebym jego imieniem prosił waćpana dobrodzieja o chwilową gościnność dla siebie i dla wojska.

STAROSTA *(zdziwiony).*

Jakto, a więc wczorajsza batalja?...

KRZYCKI.

Zakończona najświetniejszem zwycięstwem. Dwa tysiące położyliśmy trupem i zdobyli dwanaście armat, straciwszy zaledwie pięciuset ludzi.

STAROSTA.

Cud! Zaiste cud Boży! Ale skądże nas ten honor spotyka, że zwycięzca chce odwiedzić nasz ubogi domek?

KRZYCKI.

Większy jeszcze honor zgotował Pan Bóg panu Staroście w osobie jego poddanego, Bartosza Głowackiego. *(Powszechne zadziwienie, wszyscy z ciekawością słuchają Krzyckiego. Lichocki zakłopotany usuwa się na bok).*

STAROŚCINA.

Co waćpan mówisz?

KRZYCKI.

Baterja rosyjska, będąca kluczem pozycji, raziła nas straszliwie: kawalerja, nie mogąc wytrzymać gradu kartaczów, pierzchnęła — ochotnicy zdziesiątkowani — bataljony się chwieją, wtem Kościuszko nadbiega z kosynierami: »Weźcie mi to dzieci!« zawoła, wskazując ziejące działa. Kosynierzy rzucają się jak burza, Bartosz Głowacki pierwszy na baterji, zakrywa panew swoją czapką — Moskale pierzchają — armaty zdobyte a zwycięstwo decyduje Głowacki!

BARTOSZOWA *(rzucając się na kolana przed krzyżem).*

O mój cudowny Jezusieńku, dziękuję ci!

KRZYCKI.

I naczelnik tu się zatrzyma, ażeby podziękować panu Staroście za Głowackiego.

STAROŚCINA *(z uniesieniem).*

A widzisz duszeńko, jak się nasz Bartosz popisał — a nie dowierzałeś chłopskiej odwadze.

STAROSTA *(zakłopotany).*

W istocie... powtarzam, cud Boży, ale dajmy teraz pokój, trzeba się zająć przyjęciem miłych, a niespodziewanych gości. *(Do Krzyckiego)* Daruje waćpan, że go tu zostawiam z moją żoną, gdyż jako gospodarz, muszę wydać dyspozycje *(odchodzi do dworu).*

SCENA SZÓSTA.

Dawni bez STAROSTY.

STAROŚCINA *(do Krzyckiego).*

Śliczną nam waćpan dobrodziej przyniosłeś nowinę, — należy mu zatem nagroda. *(Prowadzi go do Anny)* Patrzaj waćpan, kto tu na niego czeka.

KRZYCKI *(z radością).*

O mój Boże! panna Anna, jakież to szczęście!

LICHOCKI *(który skonfundowany wieścią o zwycięstwie stał na boku, widząc, że Krzycki Annę wziął za rękę, wchodzi pomiędzy nich).*

Za pozwoleniem, zdaleka.. zdaleka... chcąc się zbliżyć, trzeba mieć pozwolenie opiekuna, a wojna czy nie wojna, ja się na to nigdy nie zgodzę.

LICHOCKA.

Dajno jegomość pokój — nie pozwalałeś dawniej, ale teraz musisz zezwolić, żeby nie złamać wykonanej przysięgi.

LICHOCKI.

Jakiej znowu przysięgi?

LICHOCKA.

Przysiągłeś, że dopiero wtenczas zezwolisz na marjaż Andzi z żołnierzem, jak sam nim zostaniesz — jak cię zobaczymy w mundurze i pod karabinem. Otóż kiedy jesteś żołnierzem, trzeba słowa dotrzymać.

LICHOCKI *(na stronie).*

A to mnie baby osiodłały, a bodajże to wszyscy djabli wzięli! *(Głośno)* No tak... jestem niby żołnierzem..

STAROŚCINA *(żartobliwie).*

I to jeszcze jedynym, pozostałym przy życiu, jak waćpan dobrodziej supponujesz [1].

---

[1] *supponować* — przypuszczać.

LICHOCKI *(zmieszany).*

A więc i pani starościna życzy sobie tego marjażu? Nie będę się dłużej sprzeciwiać, dobrze, żeńcie się, żeńcie, tylko mnie dajcie święty spokój.

STAROŚCINA.

Trzymam waćpana za słowo, a gdy się wojna skończy, zapraszam do Rzędowic na wesele. *(Do kobiet)* Pójdźmy teraz zająć się przyjęciem bohaterów z pod Racławic.

(Wszyscy, prócz Filomeny, odchodzą do dworu).

SCENA SIÓDMA.

FILOMENA, *później* NICEFOR.

FILOMENA *(ciężko strapiona).*

Otóż się i kabała sprawdziła... kulą armatnią rozerwany na dwoje! Boże wielki! Czy tylko nieboraczek dostał się do nieba? *(Nicefor wchodzi i pomału zbliża się do niej)* Dam na egzekwje, będę wszystkie soboty, jako w dzień, w którym go zamordowali, suszyć do samej śmierci, odprawię nowennę za nieszczęśliwą duszę. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. O biedny! biedny panie Niceforze!

NICEFOR *(stając nagle przed nią).*

Wasińdźka mnie wołasz?

FILOMENA *(z krzykiem).*

Jezus Marja Józefie święty! Strzygoń![1] Upior! *(Ucieka na prawo)* Wszelki duch Pana Boga chwali! Czego żądasz nieszczęsna duszo?

NICEFOR.

Czy wasińdźka zmysły straciłaś? Jaka dusza mopanku, przecieżem mopanku żyw i zdrów?

---

[1] *Strzygoń, upiór* — według wierzeń ludowych zmarli nienaturalną śmiercią, którzy nie zaznają na tamtym świecie spokoju i wracają, prześladując żywych.

FILOMENA *(z trwogą).*

Ale czy tylko pewno — może zły duch przybrał postać waszmości, żeby mnie niewinną zgubić?!

NICEFOR *(żegnając się).*

W imię Ojca i Syna, ależ przysięgam na wszystkie świętości, jakom żyw i zdrów jak ryba, mopanku

FILOMENA *(uspokojona).*

Przeżegnał się. *(Zbliża się ku niemu)* A więc waszmości kula armatnia nie rozerwała na dwoje?

NICEFOR.

Patrzajże wasińdźka, żem caluteńki mopanku i nic a nic mi nie brakuje.

FILOMENA.

Chwała Bogu! Więc waszmość nie byłeś w batalji?

NICEFOR.

Owszem, byłem i kropiłem co się dało z mej koneweczki [1], mopanku.

FILOMENA.

A więc powiedz mi waszmość, ile harmat zdobyłeś?

NICEFOR.

Ani jednej mopanku!

FILOMENA *(z oburzeniem).*

Jakto? A więc poddany, prosty chłop, zdobył harmatę, a waszmość, szlachcic, ani jednej? A więc widzę, iż cham lepszy od szlachcica!

NICEFOR.

Cham, mopanku, ale animusz w nim rycerski! Cham, ale wiktorję [2] zdecydował. Był on ci tam druż-

---

[1] *koneweczka*—aluzja do szturmaka z szerokiem gardłem.
[2] *wiktorja* (z łac.) — zwycięstwo.

bartem[1], Świstacki starką[2], a twój mizerny sługa *(całuje ją w rękę)* plichtą[3], mopanku!

FILOMENA *(wyrywając mu rękę).*

Kiedy tak, to ja waszmość pana kwituję z przyjaźni i solennie deklaruję, że choćbyś o mnie drugie piętnaście lat konkurował, to ja wasindziejowi mojej ręki nie oddam.

NICEFOR.

Jakto mopanku?

FILOMENA *(zaperzona).*

Degraduję waszmość pana z króla czerwiennego na tuza żołędnego, i zapowiadam, że dopóty do maści czerwiennej nie wrócisz, dopóki waszmości nie ujrzę jadącego na zdobytej harmacie. *(Odchodzi z gniewem do dworu).*

NICEFOR *(patrząc za nią).*

Ot, zachciało się jejmościance armaty mopanku, a sama *(ogląda się)* wygląda, mopanku, jak zdemontowana haubica[4]. *(Patrzy w lewo)* Kogoś tu niosą. Babska fantazja mopanku, skąd ja jej wezmę harmaty?...

SCENA ÓSMA.

NICEFOR. — DZIANOTTY. — GRZEGORZ *i* SZYMEK *niosący zranionego* ONUFREGO. — BRANDYSKA.

DZIANOTTY.

Postawcie nosze na chwilę, gdyż bardzo osłabł.

---

[1] *drużbart* — król czerwienny (sercowy) w starej grze, również drużbartem zwanej.
[2] *starka* — dziewiątka żołędna (pikowa).
[3] *plichty* — karty najniższe w marjaszu, grze staropolskiej.
[4] *haubica* — rodzaj armaty, zwanej też w dawnem wojsku polskiem śmigownicą lub granatnikiem.

GRZEGORZ.

Dyć juz dwór, będzie tu jegomości bardzo dobrze, bo nasa dziedzicka to okrutnie ucciwa pani.

NICEFOR.

Kogóż to waszmoście niesiecie? *(Zbliża się do noszów i poznaje Onufrego)* Święty Niceforze! Co ja widzę, pan brat? Tak okrutnie pokiereszowany? Łaska boska, że waści nie zabito.

ONUFRY.

Oj... nie zabito, ale mnie kozactwo skłuło dzidami jak sito.

NICEFOR.

Wszelki duch Pana Boga chwali! A to jak mopanku?

DZIANOTTY.

Z mojej przyczyny! Obskoczony od kozaków, byłbym niezawodnie zginął, gdy nagle zacny konfederat rzucił się na nieprzyjaciela, mnie ocalił, ale sam padł ofiarą.

NICEFOR.

Aha! Przyszła koza do woza mopanku, wymyślałeś waszmość na szlachciców i Bóg zrządził, że cię szlachcic swoją krwią uratował.

DZIANOTTY *(podając mu rękę).*

Wybacz waćpan, zagraniczne to wyobrażenia mnie opanowały: w boju dopiero przekonałem się, że wszyscy my dobrzy, gdy idzie o ojczyznę.

ONUFRY.

Dajno pan brat pokój, widziałem pana Dzianottego w ogniu; a chociaż, mosterdzieju, pierwszy raz, bił się lepiej od niejednego szlachcica.

BRANDYSKA.

Niechno jegomość nie gada dużo, bo to burzy krew, gotów jegomość znowu zemdleć, jak w lesie,

a ja nie mam już ani bobrowych kropli, ani amedyny [1], żeby jegomości trzeźwić...

ONUFRY.

Niech asani Bóg nagrodzi, że mię tak pielęgnujesz.

BRANDYSKA.

Ha! no, kiedy bić mi się nie wolno, to trza chociaż ranionych ratować, chociaż, prawdę powiedziawszy, wolałabym wojować. Dyć to chłop nie cuda: mój nieboszczyk był o głowę wyższy odemnie, a co się nieboraczysko nabrał po łbie! Ho! ho! poradziłabym ja i kozakowi, chociaż ma pikę!

DZIANOTTY.

Odnieście rannego do dworu. *(Grzegorz i Szymek odnoszą Onufrego do dworu i natychmiast wracają. Dzianotty i Nicefor odchodzą).*

SCENA DZIESIĄTA.

BARTOSZOWA.—*Kobiety i dzieci wiejskie.*— GRZEGORZ *i* SZYMEK.

BARTOSZOWA *(ujrzawszy Grzegorza i Szymka, wychodzących ze dworu).*

Co ja widzę? Kowál i Szymek? A kajze mój?

GRZEGORZ.

Co jeno go nie widno, będzie tutaj zaraz.

BARTOSZOWA.

Co to prawda kowálu, ze mój zabrał harmatę?

GRZEGORZ.

Cie? Jesceby nie!?

SZYMEK.

Adyć kieby nie Bartos, toby nas wsyćkich wystrzelali, tak okrutnie prazyło.

---

[1] *bobrowe krople*, esencja bobrowa — *tinctura valer. comp.; amedyna,* zamiast anodyna (krople Hoffmana), środek trzeźwiący.

BARTOSZOWA.

Jakoz to było, mój złociuśki Grzegozu, mówciez, bójcie się Boga.

GRZEGORZ.

Jako było? Cekajciez, zaraz wam opowiem:

ŚPIEW.

Ot tak było: Z wiecora,
W Racławicach stojewa,
Wtem coś błyśnie z za bora,
I Moskáli widziewa.
Gdy Kościusko ich zocył,
Kazał bębnić na bitwę,
Wtem Głowacki wyskocył,
A miał kosę jak brzytwę.

*
* *

Jak wziął machać, wywijać,
My tez obces na wrogi,
Dalej rąbać, zabijać,
Az Moskále het w nogi.
Bez góry i przepaście
Uciekali jak wściekli.
Myśmy harmat dwanaście
Do Kościuski przywlekli.

*
* *

Gdy sięześli wodzowie,
Bartosa przywołali,
I pili jego zdrowie,
I serdecznie ściskali.
Młodziez kubki naláła,
Wychyliła je duskiem,
Níechaj zyje — wołała,
Nas Głowacki z Kościuskiem!

NICEFOR *(który nadszedł podczas śpiewu).*

Rycerski animusz mopanku, rycerski animusz! Wart być mopanku herbowym. *(Słychać muzykę za sceną).*

BARTOSZOWA *i* WŁOŚCIANKI.

Nasi idą! Nasi idą!

SCENA DZIESIĄTA.

Wchodzą KOSYNIERY, *na czele* BARTOSZ, ŚWISTACKI, GRZEGORZ *i* SZYMEK *z chorągwią, następnie* WASILEWSKI *na czele piechoty,* DZIANOTTY *i* SZTUMMER *na czele ochotników, pomiędzy którymi* SIKORSKI. *Obchodzą scenę, a potem szykują się, kosyniery naprzeciw dworu, za nimi ochotnicy, w głębi piechota frontem do publiczności.* BARTOSZOWA, *włościanki i dzieci na schodach dworu).*

ŚPIEW KOSYNIERÓW *podczas marszu*

Wsławiły się Racławice,
Pobiliśmy wroga;
Górą kłosy i kłonice
Przy pomocy Boga!
Albośwa to nie Krakusy,
Albośwa to jacy?
Nie mámy to polskiej dusy,
Dyćwa Krakowiacy.
Dana jeno dana,
Ojcyzna kochana!

* * *

Choć stselają — cóz to znacy,
Hej w górę obuski,
Nie bojewa się kartacy [1]
Pod wodzą Kościuski!
Albośwa to nie Krakusy,
Albośwa to jacy,
Nie mámy to polskiej dusy,
Dyćwa Krakowiacy.
Dana jeno dana, Ojcyzna kochana!
Dana jeno dana, Ojcyzna kochana!

SCENA JEDENASTA.

W głębi ukazuje się KOŚCIUSZKO *na czele sztabu, ze dworu wychodzi* STAROSTA, *niesie na srebrnej tacy chleb i sól. Za nim* STAROŚCINA, *niosąca na poduszce wieniec laurowy, kilku szlachty.* LICHOCKA, ANNA, KRZYCKI, FILOMENA.—*Werbel, okrzyki.*

WSZYSCY.

Niech żyje Kościuszko!

(Kościuszko ze sztabem zajmuje środek sceny).

---

[1] *kartacze* — małe kule żelazne, któremi z armaty strzelano w tłum, na małą odległość.

STAROSTA *(na czele kilku szlachty, stając naprzeciw Kościuszki).*

Znakomita wiktorja, nad wojskami najjaśniejszej imperatorowej w dniu wczorajszym na polach Racławickich odniesiona, Ciebie, jaśnie wielmożny naczelniku, i wojska nasze nieśmiertelną chwałą okryła. Szczęśliwy jestem, że mnie pierwszemu danem jest złożyć ci gratulację imieniem krakowskiego ziemiaństwa. Starożytnym obyczajem ofiarujemy ci chleb i sól *(podaje)* jako symbol życzliwości i wierności tego województwa, a prosimy wszechmocnego Boga, ażeby błogosławił orężowi twojemu. Niechże ta strapiona, a owdowiała po Jagiellonach i Batorych Rzeczpospolita w tobie godnego ich obrońcę znajdzie, a mieczem twoim z poniżenia się dźwignie. Niechaj uciemiężony naród tobie szczęśliwość swą zawdzięcza, a najpóźniejsze wieki ze czcią wspominają imię Tadeusza Kościuszki.

KOŚCIUSZKO *(skromnie).*

Zawczesne to pochwały, mości starosto. Początek dopiero dzieła, którego koniec Bogu tylko wiadomy. Chwała dnia wczorajszego nie mnie, ale tym walecznym, którzy ją krwią własną okupili — należy. Ja jestem tylko narzędziem w ręku Opatrzności, a jeżeli spodoba się Najwyższemu narzędzie to zgruchotać, — niechajże po mnie pozostanie ta pamięć, żem pragnął ofiarą życia wykupić z rąk nieprzyjaciół tę ukochaną Ojczyznę!

STAROŚCINA *(podając wieniec).*

Oto skromny upominek od niewiast polskich; niechże on będzie symbolem owego nieśmiertelnego wieńca, który Ojczyzna, przez ciebie zbawiona, na twojej głowie złoży.

KOŚCIUSZKO.

Obyśmy na niego zasłużyli.

(W głębi tumult, wszyscy się zwracają).

NICEFOR *(ciągnąc na przód Abrahama).*

A tuś mi mopanku! Jaśnie wielmożny naczelniku! Oto judasz, delator[1], wierny sługa Moskwy, który w Kozubowie zabudowania dworskie podpalił i wojska nasze szpiegował.

KOŚCIUSZKO.

Mylisz się waćpan. Abrahamie! w obliczu wszystkich zaświadczam, jakoś wiernie służył ojczyźnie. O! gdyby wszyscy jego współwyznawcy byli jemu podobni, o ileżby nam było łatwiej odzyskać wolność! *(Podaje rękę Abrahamowi, który ją całuje).*

ABRAHAM *(rozrzewniony).*

Boże moich ojców, dozwoliłeś mi dożyć szczęśliwego dnia, teraz mogę umrzeć spokojnie.

KOŚCIUSZKO.

Teraz kolej na bohatera wczorajszej bitwy. Bartoszu Głowacki, wystąp. *(Daje znak).*

WODZICKI.

Baczność! prezentuj broń! *(Werbel).*

(Bartosz występuje z szeregu i staje przed Kościuszką).

KOŚCIUSZKO.

Bartoszu Głowacki! Nadludzką odwagą, okazaną wczoraj, dałeś przykład włościanom, jak za Ojczyznę walczyć należy. Wiekopomni królowie nasi nagradzali waleczność włościan wynoszeniem ich do stanu szlacheckiego. Nieśmiertelnej pamięci król Stefan Batory, za męstwo okazane pod Wielkiemi Łukami, Marcina Wielocha, włościanina, wyniósł do stanu szlacheckiego.

Ja, Tadeusz Kościuszko, naczelnik sił zbrojnych i władz cywilnych narodu polskiego, z mocy mi służącej mianuję ciebie, Bartoszu Głowacki, porucznikiem kosynierów *(werbel)* i wynoszę cię wraz z twojem potomstwem do stanu szlacheckiego *(werbel).* Czynię to

---

[1] *delator* (łac.) — donosiciel, zdrajca.

nie dlatego, ażebym stan włościański uważał za nikczemny, ale aktem tym uroczystym pragnę wznowić piękny obyczaj ukochanych naszych monarchów, a ciebie uwolnić od pańszczyzny i ciężarów, włościan przytłaczających. Nakoniec, aby cały naród wiedział o tem, że kto szlachetnie służy ojczyźnie, ten jest prawdziwym szlachcicem!

WSZYSCY.

Wiwat!

BARTOSZ.

Jasny Nácelniku, pod twoją komendą tak się będziewa bili, ze nie nastarcys robić ślachciców. Niech zyje ten, co pierwsy uznáł, ze chłop polski moze kochać Ojcyznę i potrafi za nią ginąć!

WSZYSCY.

Wiwat!

KOŚCIUSZKO *(uroczyście, wznosząc oczy ku niebu).*

Bóg z nami!

TREŚĆ

Str.

WSTĘP

I Życiorys III
II Poezje patrjotyczne IX
III »Kościuszko pod Racławicami« XIII
Bibljografja XXXI

POEZJE PATRJOTYCZNE

Emisarjusz 3
Tyrteusz 6
Pieśni zbudzonych
Do Ojczyzny 16
Hymn 17
Pieśń bojowa 18
Pieśń Strzelców 20
Pieśń rzemieślników polskich 21
Pieśń kmieci polskich 24
Jeniec 27
Poranek w borach Litwy 30
Szubienica 33

KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI 35

Nr. 46 BIBLJOTEKA NARODOWA SERJA I

ANTONI MALCZEWSKI

MARJA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

PODŁUG AUTOGRAFU WYDAŁ
WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI ZAOPATRZYŁ
JÓZEF UJEJSKI
PROF. UNIW. WARSZAWSKIEGO

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE

13 X 18

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE
A 1925

WSTĘP

I

ANTONI MALCZEWSKI

1. KOLEJE ZYCIA

Autor *Marji* urodził się w 1793 r., w domu, który wyrósł na gruncie »świata zepsutego« czasów stanisławowskich. Ród, niegdyś niewiele lepiej niż chudopacholski, niedawno dopiero — przez spryt dorobkiewiczowski i następnie ożenek dystyngowany dziadka poety, Ignacego — wszedł w sferę wielkopańską, zaczerpnąwszy nawet trochę krwi saskiej dynastji. Pozatem pani Ignacowa Malczewska, Duninówna z domu, spokrewniła synów swoich, Jana i Ksawerego, z Sanguszkami, spowinowaciła więc z całą arystokracją, i stosownie do takiej sytuacji towarzyskiej wychowała na modnych kawalerów, »ptymetrów« bez żadnych aspiracyj prócz zabawy i najgrubszego użycia, a wreszcie na marnotrawców całej wielkiej mężowskiej fortuny. Ojciec Antoniego, Jan, dobrawszy sobie godną towarzyszkę życia w osobie Konstancji Błeszyńskiej, którą był uwiódł pierwszemu mężowi — pułkownikowi (później dzielnemu jenerałowi kościuszkowskiemu)

Haumanowi, uwinął się ze swoją częścią spadku pierwej jeszcze niż młodszy brat. Na szczęście Targowiczanin ten, wpierw orderami srebrny niż wiekiem, jenerał wojsk rosyjskich, wychowaniem synów swych, Antoniego i Konstantego, niewiele się zajmował. Złamany stratą żony, która (także na szczęście) zmarła, kiedy Antoni miał zaledwie 7 lat, pozostawił opiekę nad nim rozumnej i zacnej pani Juljannie z Błędowskich Skibickiej, a ożeniwszy się później po raz drugi, o dzieci z pierwszego małżeństwa niebardzo się już troszczył. Umarł zresztą w r. 1808, gdy starszy syn był dopiero w III klasie krzemienieckiego gimnazjum.

Znalazł się tam przyszły poeta właśnie za sprawą pani Skibickiej, osobistej przyjaciółki Czackiego a podobno i Kołłątaja. Protekcja Czackiego towarzyszyła też Malczewskiemu przez cały czas studjów, a on rzetelnie na nią zasługiwał. Wybitnemi zdolnościami i pracą zarabiał na odznaczenia coroczne, zachowaniem, mimo wielkiej żywości temperamentu również, wzorowem jednał sobie zupełne uznanie przełożonych. »Cień nagany go nie dotknął« — pisze Czacki w świadectwie, które mu na końcu (w r. 1811) wystawił. Z uznaniem łączył się zarazem i powszechny sentyment. »Antośko« podbijał sobie serca zarówno nauczycieli, jak i kolegów dużemi zaletami charakteru (nie wiedzieć po kim odziedziczonego), a także naturalnym wdziękiem obejścia i nieporównanej urody.

Co się tyczy samych studjów — widać z pomienionego świadectwa Czackiego, że cały ich niemal zakres krzemieniecki, tak obowiązkowy, jak i nadobowiązkowy (włącznie z t. zw. talentami), Malczewski ogarnął. Z wykładów stylistyki i poetyki — Euzebjusza Słowackiego, a potem literatury — Alojzego Osińskiego, skorzystał zapewne przyszły poeta niemało. Prawdopodobnie jednak, zgodnie z góru-

jącą tendencją zakładu, oraz z powziętym już w gimnazjum zamiarem karjery wojskowej, ze szczególną gorliwością oddawał się studjom matematycznym.

Opuścił Krzemieniec, nie ukończywszy (nie wiedzieć dlaczego) ostatniego kursu — gdzieś w maju 1811 r., i już z dniem 1-go września tegoż roku wstąpił w Warszawie do Korpusu Inżynierów w randze podporucznika. Przez czas służby w tym Korpusie pracował głównie przy zarządzonych rozkazem Napoleona robotach fortyfikacyjnych w Modlinie, ale to mu nie przeszkadzało bawić się szeroko w Warszawie. Pierwsze salony stolicy, oczarowane jego urodą i świetnem ułożeniem, zabiegały oń skwapliwie, powodzeniem u płci pięknej wnet głośno zasłynął. Najczęstszym gościem bywał w domu Wołynianina Aleksandra Chodkiewicza, znanego chemika, równocześnie poety i żołnierza, przytem zaś możnego pana, który życie prowadził wystawne i rozrzutne. Acz znacznie starszy niż Malczewski, dopuszczał on go jednak do bliskich i poufałych stosuków, a nie mniejszemi łaskami darzyła też młodego oficera i pani Chodkiewiczowa, słynna z urody i zalotności Karolina z Walewskich. Te jej łaski miały Malczewskiego doprowadzić do pojedynku z najbliższym przyjacielem, Aleksandrem Błędowskim, którego morały poczytał sobie porywczy młodzieniec za śmiertelną obrazę. Z pojedynku wyniósł przyszły autor *Marji* dużo wstydu i strzaskaną nogę, którą, wnet po wyleczeniu, nadwerężył ponownie przy harcach na dzikim, nieujeżdżonym koniu. Było to zaś w chwili, kiedy właśnie — już jako porucznik konnej artylerji i adjutant polowy jenerała Kosseckiego — gotował się do wyprawy moskiewskiej 1812 r. Nim stał się zdolnym na nowo do służby, rozpoczął się już odwrót. Udział więc jego w tej pamiętnej wojnie ograniczył się tylko do uczestnictwa w obronie oblężonego Modlina. Pocie-

szał się jakiemiś nowemi miłostkami, dla których raz nie wahał się nawet przekradać przez obóz Paszkiewicza do Warszawy.

Po upadku Napoleona, spędziwszy jakiś czas u rodziny, wstąpił znów do wojska Królestwa Kongresowego, tym razem do sztabu Kwatermistrzostwa, ale jeszcze w tym samym roku (28 grudnia 1815) otrzymał na własne żądanie dymisję. Przyczyną takiej decyzji była, zdaje się, znowu miłość. W każdym razie wkrótce potem wyjechał Malczewski zagranicę z księżną Fryderykową Lubomirską, z którą, jak własny jej brat (Józef Załuski) świadczy, niedaleko było do małżeństwa. Historji tego romansu bliżej nie znamy; to tylko zdaje się być pewnem, że go poeta mocno odcierpiał.

Pobyt zagranicą trwał blisko pięć lat. Bywał Malczewski przez ten czas dłużej lub krócej w Szwajcarji, Włoszech i Francji, robił wycieczkę do Anglji, wracając do kraju miał się zatrzymać i w Niemczech. Wśród tych wędrówek oddawał się różnym studjom — to literackim, to znów przyrodniczym, — najgoręcej podobno zajął się głośnym wówczas w całej Europie »wynalazkiem« Mesmera, t. zw. magnetyzmem zwierzęcym. Zresztą szukał wrażeń i niebezpieczeństw, odbył zuchwałą wprost wówczas wycieczkę na Mont-Blanc i Aiguille du Midi, z której zdał sprawę w drukowanym zaraz liście do genewskiego profesora Picteta. We Włoszech, gdzie najczęściej i najdłużej przebywał, poznał się osobiście z Byronem, którego gorącym wielbicielem pozostał do śmierci.

Do ojczyzny powrócił polski Childe-Harold 1820 lub 1821 r., w lecie. Majątku pozostało mu ledwie tyle, że mógł wziąć małą dzierżawę w powiecie włodzimierskim. Na swoje nieszczęście podjął się, niedługo potem, leczyć zapomocą magnetyzmu chorą na histerję powinowatą swoją, Zofję Rucińską, któ-

rej mąż gospodarował w pobliskim Hrynowie. Kuracja ta wymagała ciągłej niemal obecności przy chorej i miała pozbawić poetę wolności do końca życia. Gdy sobie uświadomił, że się na to zanosi, próbował pęta zerwać, uciekł z domu Rucińskich (do którego się musiał był całkowicie przenieść), ale było już za późno. Pani Rucińska przybyła do niego do Łaskowa, i raz odwieziona mężowi i dzieciom, uczyniła to ponownie. Malczewski nie widział innej rady, jak tylko wywieźć ją za zgodą męża — z powiatu zrazu, a następnie z kraju — i starać się dla niej o rozwód. Po rocznym pobycie u krewnych w okolicach Łucka przybyli oboje z początkiem 1824 do Warszawy. Rozwodu dla braku funduszów, czy z innych jakich powodów, uzyskać się nie dało, a »związek niepojętej mocy« trwał i pogrążał Malczewskiego z każdym dniem w coraz większą melancholję i w coraz dotkliwszy niedostatek. Ofiarowaną sobie (podobno) przez jen. Kosseckiego posadę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych musiał zaraz porzucić, gdyż pani Rucińska nie mogła znieść kilkugodzinnej jego nieobecności. Nadzieje dochodów z pracy literackiej rozwiało zupełne niepowodzenie księgarskie wydanej w r. 1825 *Marji*. Bliski nędzy, opuszczony przez świat, wśród którego niedawno jeszcze błyszczał, nawet przez najbliższych, do których sam ręki o pomoc wyciągać nie chciał, pogrążony w magnetyzmie, którego tajemnicze sprawy odrywały go od bolesnej rzeczywistości, — umarł Malczewski 2 maja 1826 r. śmiercią, o której różnie mówiono.

Kilka osób ledwie odprowadziło jego zwłoki na Powązki, gdzie spoczywa w zapomnianym, nieznanym grobie, mniej więcej naprzeciw drugiej cmentarnej bramy.

2. KOLEJE TWORCZOSCI

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że pod koniec studjów w Krzemieńcu Malczewski należał do powstałego tam w 1809 r. Towarzystwa kształcących się w porządnem mówieniu i pisaniu. Gdyby się księga z protokołami zebrań tego towarzystwa i utworami jego członków kiedyś znalazła, to w niej znalazłyby się może i pierwsze próby pióra autora *Marji*. Na jedną z nich wygląda przechowana w »sztambuchu« towarzysza jego dzieciństwa i młodości, Franciszka Skibickiego, *Oda do wojny*. Jest to naprawdę coś niby »ćwiczenie w porządnem pisaniu«, mozolnie wypracowane w stylu i duchu jakby Woronicza, z postaciami alegorycznemi, z reminiscencjami z Karpińskiego, — bez najmniejszych śladów talentu.

W tym samym sztambuchu przechował się też zupełnie banalny czterowiersz miłosny (*Jeżeli jest istota pełnie doskonała*... i t. d.), który również z krzemienieckich jeszcze chyba lat pochodzi, i to wczesnych. Oba te grzechy studenckiej muzy (*Odę* z pewnemi opuszczeniami) opublikował po raz pierwszy K. Wł. Wójcicki w I tomie *Cmentarza na Powązkach* (1855) i następnie przedrukował w II tomiku *Pism A. Malczewskiego* w r. 1857.

Daleko bliższym zapewne prawdziwej twórczości poetyckiej był Malczewski, sam o tem nie wiedząc, wówczas, gdy w domu starych Januszewskich [1], w kontuszu i żupanie dziadka Słowackiego

[1] Por. J. Ujejski, *Antoni Malczewski. Poeta i poemat.* — Warszawa 1922.

»udawał szlachcica zawadjakę, perorującego na sejmiku, lub poważnego starca przy kominku stare dzieje opowiadającego«[1]. To mogły być już jakieś zadatki na starego Miecznika w *Marji*.

Można przypuszczać, że po opuszczeniu Krzemieńca i wstąpieniu do wojska wywietrzała Malczewskiemu poezja z głowy zupełnie. W każdym razie, jeżeli nawet i próbował swoich sił na tem polu w owych latach, — to tak skrycie i wstydliwie, że nie mógł się tego domyślić nawet Aleksander Chodkiewicz. Pisząc do niego z początku r. 1815 list wierszem, wyobraża sobie poeta zdziwienie przyjaciela i sam żartuje ze swego zuchwalstwa całkiem szczerze:

Ja... co żadnych nie mam przymiotów poety,
Ja niebaczny puszczam się do tej śliskiej mety.

Cały też wiersz[2] traktował Malczewski jako żart, żadnych zgoła pretensyj literackich z nim nie wiążąc. Inaczej jak w wymęczonej *Odzie do wojny*, — tutaj najmniejszej troski o jakikolwiek kunszt nigdzie nie widać. W stylu typowo pseudoklasycznym, w którym czasem jakby echo Trembeckiego słychać, ale naogół niedbałym, nie bez obrazy rytmu tu i ówdzie a w rymach często gramatycznych, przypomina poeta Chodkiewiczowi jak — pułkownikiem wówczas będąc własnym kosztem wystawionego pułku — mężnie bronił niedawno oblężonego Modlina, jak się opierał podpisaniu kapitulacji, i jak pewnego razu do niego (Malczewskiego) »nastrzelał się bez miary«, omylony kozackiem przebraniem przekrada-

---

[1] *Z życia Antoniego Malczewskiego — Dziennik literacki*, Lwów 1852 (Nr. 3, str. 20).

[2] Ogłoszony po raz pierwszy w *Pamiętniku literackim* w 1918 r. przez Kazimierza Czernego.

jącego się do Warszawy trzpiota; przypomina także dawniejsze jeszcze dysputy chemiczne, i na te »piękne rezonowania« się powołując, jako na dowód, że »nie tylko umie bruk zbijać w Warszawie« i że go »czasem zajmują poważniejsze rzeczy«, proponuje pogawędkę polityczną. Rozwiane nadzieje 1812 r., dola Polski i Napoleona, odbywający się w Wiedniu kongres — oto przedmiot jego dumań i troski. Wydaje mu się, że Polskę ściga najwyraźniej jakieś fatum, że jej nieszczęście okazało się mocniejszem nawet niż szczęście Napoleona, które »uciekło, bo o Polskę idzie«. »Dziś już niewolnik Elbie ten, co światem rządził«; ale Malczewski myśli o nim zawsze z tym samym entuzjazmem. »...Choć to zdanie tysiąc przeciwników wzbudzi: to zawsze wielki człowiek, to największy z ludzi!« Pisze tak, choć przypuszcza zgóry, że Chodkiewicz jego zapału nie podzieli, i choć sam wie, że ten zapał rozsądny nie jest:

Że też ja być rozsądnym nie mogę do końca —
Śliczny początek popsuł ten koniec szalony;
Teraz powiesz zapewne: to trzpiot zapalony!

I żeby zmienić temat, wypytuje przyjaciela o klub »Juntą« zwany i jego członków [1], a wreszcie:

Co tam wieść nowego o Monarchach niesie?
Czy długo myślą bawić na wiecznym kongresie?
Czy będzie Polska? Za nią nie przestaniem wzdychać!
Bo u nas na Wołyniu coś niedobrze słychać.

---

[1] W nocie do tego ustępu czytamy, że »w Warszawie uformowali zgromadzenie Chodkiewicz, Bromirski i inni i rozprawiali na niej *(sic!)* o uczonych rzeczach; nazwali to Juntą«.

Być może, że w tym okresie czasu Malczewski istotnie już odczuwał »niezbędną pisania potrzebę«, którą się Chodkiewiczowi z popełnienia tego wiersza tłumaczy.

Bielowski, we wstępie do swoich wydań *Marji*, wymienia wśród zaginionych utworów jej autora, o których mu mówiono, »listy wierszem i prozą na wzór Krasickiego (wiersz do Chodkiewicza byłby więc może jednym z nich), satyrę *Karnawał Warszawski*; tudzież parę aktów nieukończonej tragedji pod napisem *Helena*, ułożonej na sposób *Barbary* Felińskiego«. Sam rodzaj wyraźnie klasyczny tych utworów świadczy, że powstały one przed podróżą zagraniczną poety, z której wrócił on już niewątpliwie zdecydowanym romantykiem. Bielowski przytacza też i opinję swych informatorów o tych poezjach, opinję n. b. trochę sprzeczną. Z jednej strony zapewniali go oni »o niewielkiej ich wartości« (w co chętnie wierzymy), z drugiej strony (w co wierzyć nie tak łatwo) o *Helenie* twierdzili, że »wymowa niepoślednia i powierzchowna wierszów ogłada miały ją wielce przybliżać do swego wzoru«, t. j. do *Barbary*[1].

Jakkolwiek jednak na podstawie prób znanych trudno przypuścić, żeby nieznane z tego samego okresu posiadały jakąś istotną poetycką wartość, a zwłaszcza żeby miały się właśnie odznaczać zewnętrzną ogładą wiersza, — to przecież jeszcze trudniej uwierzyć, żeby autor wiersza do Chodkiewicza (nie mówiąc już o autorze *Marji*) miał być równocześnie, czy później nawet, autorem tych po-

---

[1] Wprawdzie *Barbara* dopiero w 1817 r. została wystawiona w teatrze, a wydrukowana dopiero w 1820, ale właśnie w 1815 r. zdobyła już autorowi rozgłos wielki w stolicy, czytywana z zapałem w salonach warszawskich; Malczewski zatem poznał ją niewątpliwie już wówczas.

wiastek, które się pod jego nazwiskiem ukazywały w *Rozmaitościach* lwowskich 1820 i 1821 r.[1] Są to przypowieści moralizujące tonem i stylem, u młodego człowieka, który odrobinę bodaj współczesnej kultury literackiej zachwycił, wręcz niemożliwym. Wiersz *Do Julji* jest wprawdzie zgrabniejszy, ale także wygląda raczej na madrygał XVII wieku, czterowierszowy zaś *Ucinek do Piotra i Pawła* — dowcipny nawet — jest drobiazgiem nic nie mówiącym. Utwory te przedrukował Bielowski w dwu swoich wydaniach *Marji*, bo mu zapewne nie przyszło do głowy, że tożsamość imienia i nazwiska bynajmniej jeszcze nie świadczy o tem, żeby to miały być rzeczy autora *Marji*. Tymczasem Malczewskich w samej tylko armji Księstwa Warszawskiego służyło wówczas dziewięciu; powiastki i wiersze w *Rozmaitościach* z większem zapewne prawdopodobieństwem możnaby przysądzić temu Antoniemu Malczewskiemu, który w czwartym dziesiątku XIX w. był proboszczem w Niżniowie i w r. 1838 wydał (również we Lwowie) *Homilie na całoroczne niedziele i święta*, a w r. 1820/21 jeszcze księdzem nie był. Co się zaś tyczy autora *Marji*, ten w tym czasie albo jeszcze był zagranicą, albo dopiero co był powrócił. Powrócił jednak ze smakiem literackim tak subtelnie wykształconym, że gdyby nawet mógł był kiedyś rzeczy tego rodzaju pisywać, toby ich w każdym razie teraz za nic w świecie już chyba nie drukował.

Czy w czasie pobytu na Zachodzie tworzył

---

[1] Pierwsza ukazała się *Ifigenja czyli Skutki niewierności* (Nr. 85, — w sobotę 29 lipca 1820 r.). Potem *Atenais* (19 września), wreszcie *Podróż* (Nr. 33, — 20 marca 1821). Pełnem nazwiskiem: Ant. Malczewski — podpisana jest tylko *Podróż*, inne noszą podpis: Ant. Mal . . . . . i.

Malczewski cokolwiek, — nie wiemy. Wspominają Bielowski i Goszczyński, że słvszeli o jakiejś, drukowanej »w pismach czasowych paryskich«, rozprawie przyrodniczej, »która od powszechności ówczesnej z zapałem przyjętą była«, ale nic bliższego nie umieją o niej powiedzieć[1]. Pozostała z tego okresu tylko relacja z wyprawy na Mont-Blanc i Aiguille du Midi, drukowana w *Bibliothèque universelle* genewskiej z r. 1818, p. t. *Lettre au Prof. Pictet sur une ascension à l'Aiguille du Midi de Chammouni et au Mont-Blanc, par un gentilhomme Polonais dans les premiers jours d'Août de l'année 1818.* Tegoż jeszcze roku ukazał się przekład polski tego listu w październikowym zeszycie *Dziennika Wileńskiego*, i ten też przekład, dokonany przez Józefa Rayznera, przedrukowywał następnie w swych wydaniach Bielowski[2]. Nie jest to żaden utwór literacki. Ani śladu romantycznych opisów — powściągliwość pod tym względem graniczy wprost z oschłością. Ujmuje zato zupełny brak chełpliwości turystycznej, zupełne niemal pomijanie niebezpieczeństw. Dopiero w jednym z przypisów do *Marji* powie nam poeta coś o swoich osobistych wrażeniach z tej wyprawy i da uczuć całą jej karkołomność. Z samego *Listu* niktby się romantycznego poety w autorze nie domyślił.

Jakoż miał się taki poeta urodzić w Malczew-

---

[1] Podobnie też wiadomość, jakoby istniała jakaś broszurka, »zawierająca zdanie o projekcie nowego umocnienia twierdzy Modlina«, rzuconym przez Malczewskiego, jeszcze gdy był oficerem, opiera Bielowski tylko na »zapewnieniu jednego z bliskich krewnych Antoniego«.

[2] Oryginał przedrukowała po raz pierwszy p. Janina Narzymska w wydawnictwie uczenic gimn. H. Strażyńskiej w Krakowie, p. t. *Na rozstaju* (Kraków 1914). Dodała też swój własny przekład.

skim — według pani Rucińskiej przynajmniej — nieco później dopiero, pod wpływem osobistego zetknięcia się z Byronem. Wspominając w swym liście do K. Wł. Wójcickiego (por. *Cmentarz na Powązkach* I, str. 42) o pobycie autora *Marji* w Wenecji, pisze pani R.: »Tam odezwał się w nim jeniusz pobratymczy Byrona — od niego duchem poezji natchniony został«. Istotnie pierwszym śladem prawdziwego talentu Malczewskiego jest dopiero wiersz: *O jak przykro do swoich wracać bez nadziei!*, którym po podróżach witał rodzinny Wołyń. W tej — drukowanej po raz pierwszy w *Ateneum* z r. 1876 — elegji odczuwamy już bardzo wyraźnie tchnienie *Marji*; całe też jedno porównanie i wiatr, co »jęczy smutnie uginając kłosy«, przeszły stąd do niej bez zmiany.

Ale kiedy powstała *Marja* sama? »Różnie mówią o tem, lecz pewnie nikt nie wiedział ni przedtem ni potem«. A raczej zarówno ci, którzy twierdzą, że większa jej część powstała wkrótce po powrocie poety, na Wołyniu, jak i ci co, utrzymują, że dopiero w Warszawie, mówią tak, jakby wiedzieli »pewnie«, ale nie mówią, skąd wiedzą. To tylko pewne, że poemat nie został ukończony przed schyłkiem r. 1822. Świadectwo stanowi przypis 8-y do poematu, gdzie poeta objaśnia, że o tatarskiej technice mylenia śladów dowiedział się od Beauplana, którego *Opisanie Ukrainy* ogłosił Niemcewicz w III tomie *Pamiętników o dawnej Polsce*, właśnie w r. 1822 [1].

Na tem się kończy wszystko, co o czasie napisania *Marji* możemy dzisiaj powiedzieć pewnego.

---

[1] Pozwolenie cenzury na druk tego tomu nosi datę 28 lutego 1822; przed jesienią więc tego roku do rąk Malczewskiego dostać się chyba nie mógł.

Z druku wyszła ona między połową lipca a 9 sierpnia 1825 r.[1].

Nie ulega wątpliwości, że twórczość Malczewskiego, raz rozbudzona w całej pełni, już potem nie ustawała. Z pewnością można przyjąć, że wkrótce po *Marji* napisał on drugą powieść historyczną wierszem, której jednak ani losów nie znamy niestety, ani nawet tytułu. Bielowski i brat pani Rucińskiej, Michał Modzelewski, mówią o *Samuelu Zborowskim*. Ostatni dodaje przytem informację, że był to poemat »w guście *Pieśni ostatniego minstrela* Walter Scotta«[2]. Atoli Hipolit Skimborowicz, który wiadomość swoją zdaje się czerpać od Karola Kossowskiego, najbliższego przyjaciela poety w ostatnim roku jego życia, zapewnia, że »poemat mniemany *Samuel Zborowski*, nigdy nie był na świecie. Pisał wprawdzie Malczewski poemat, ale ten odnosił się do czasów *Księcia Zbaraskiego*. Zborowski a Zbaraski *(litera nocet, litera docet)* mała na pozór różnica, a w rzeczy samej zupełnie co innego«[3]. Wreszcie Józef Zieliński we wstępie do swego wydania *Marji* w Agen r. 1837 opowiada, że »krótko przed zgonem« autora *Marji* »miał sposobność słyszeć czytane, pełne zalet ustępy poematu z dziejów polskich wyjętego a osnowanego na rycerskich czynach i obywatelskich poświęceniach X-cia Jeremiasza Wiśniowieckiego, ojca króla Michała«. Możnaby z tych świadectw wnioskować, że były aż trzy powieści historyczne Malczewskiego obok *Marji*, a można też przypuścić, że wszystkie cztery świadectwa mówią o jednej i tej samej.

Ale oprócz tej (czy tych) powieści miało pozostać

---

[1] *Kurjer Warszawski* z dnia 7 lipca 1825 r. donosi, że »wkrótce wyjdzie«, a w dniu 9 sierpnia, że już wyszła.

[2] *Bibl. Warsz.* 1876, Tom II, str. 653.

[3] *Sprostowania i wiadomości tyczące się żywota Malczewskiego* — w rękopisie Ossolineum Nr. 2442.

jeszcze wiele utworów drobniejszych polskich i francuskich, tylko gdzie się to wszystko podziało — Bóg raczy wiedzieć. Pani Rucińska twierdzi, że całą tę spuściznę zabrał Karol Kossowski, czemu przyświadcza i Michał Modzelewski, dodając tylko, że część mogła zostać u rządcy domu, w którym poeta umarł (Elektoralna 796, dziś 3). Kossowski natomiast zapewniał, że Malczewski wszystkie swoje papiery przed śmiercią spalił. Jakkolwiekbądź, niema już nadziei, żeby się coś z tego odnalazło. Drukowany jeszcze w r. 1842 w *Tygodniku literackim* poznańskim wiersz p. t. *Dumanie nad Wisłą* (Z pism niedrukowanych autora *Marji*) niewiadomo z jakich czasów miałby pochodzić, a zresztą autentyczność jego budzi znaczne wątpliwości.

Pozostaje więc Antoni Malczewski i pozostanie zapewne na zawsze w historji literatury polskiej jako *auctor unius libri.*

II

»*MARJA*«

1. GENEZA PSYCHOLOGICZNA, HISTORYCZNA I LITERACKA

Natchnienie, z którego *Marja* wzięła początek zrodziło się przedewszystkiem z wielkiego i wciąż rosnącego bólu życia. Kiedy poeta odczuł ten ból po raz pierwszy i jakie były pierwotne jego przyczyny — nie wiemy. Możemy snuć domysły wiążące go z ks. Fryderykową Lubomirską, ze sprawionym przez nią Malczewskiemu zawodem i cier-

pieniem miłosnem, ale te domysły napewne w głąb samą rzeczy nie sięgają. Zmiana, która zaszła między rokiem 1816 a 1820 w duszy młodzieńca, lekko i wesoło a porywczo biorącego życie, i przetworzyła tę duszę w samym — zdaje się — jej rdzeniu, we wszystkich najistotniejszych dyspozycjach, — ta zmiana jest zjawiskiem zbyt skomplikowanem i w swej niesamowitej wprost tajemniczości zbyt wiele respektu budzącem, żeby je można traktować poprostu jako zwykłą miłosną »balladę jakich wiele«. Czyż możliwe, żeby ten prototyp Selima Mirzy zmienił się nagle w odludnego mistyka i guślarza z powodu jednej kobiety? Zdaje się, że najlepiej tej kwestji nie rozstrzygać, a tylko trzeba stwierdzić fakt, że Malczewski, autor *Listu do Chodkiewicza*, i Malczewski. autor *Marji*, a nawet już autor wiersza »*O jak przykro*« — to dwaj ludzie zupełnie różni, nic prawie nie mający z sobą wspólnego. Pierwszy ślizgał się po powierzchni życia jak po woskowanej posadzce. Jeżeli się kiedy przewrócił i potłukł, zrywał się zaraz, ból — fizyczny raczej — szybko opanowywał, i sunął dalej znów ze śmiechem i z pewnością wdzięku swoich poruszeń, o to, czy się tam pod jego stopami gruz komu przypadkiem na głowę nie wali, nie troszcząc się bynajmniej. Ten drugi tymczasem już właśnie sam gruz tylko widział w życiu, same spękane ściany obsuwające się w niezgłębione przepaści, i szukał już tylko szczeliny jakiejś, przez którą mógłby rzucić okiem na drugą stronę. Ponad wszystkiem unosił się jednak gęsty opar smutku, który wszystkiemi porami jego coraz bardziej znękanego serca wciskał się do duszy i wkońcu się z nią nieledwie utożsamił. Pulsy uczuć wszelkich poczęły teraz zgodnie uderzać w takt jakiejś coraz wyraźniej słyszalnej dla niego melodji, na której skrzydłach poczęły zjawiać się z kolei różne

wizje, wspomnienia, myśli i słowa[1]. Wtedy dopiero budził się uśpiony artyzm i świadomą pracą przykładał się do budowy arcydzieła.

Melodję ową słyszymy wyraźnie już w wierszu »*O jak przykro*«. Wizje i myśli, które się miały stać źródłem subjektywnej treści poematu, możemy sobie na podstawie jego analizy łatwo odtworzyć. Wszystkie wydobywały się z otchłani bólu poety i ukazywały mu ten ból jako nieunikniony skutek ziemskiego istnienia. Śmiech ludzki przedstawiał mu się jako świadome kłamstwo lub nieświadomy obłęd, chwile tak zwanego szczęścia jako zdradliwe zasadzki złudy, które nielitościwie spychają naiwnych w doły okrutnych rozczarowań. Sama wreszcie złość ludzka i zbrodnia odsłaniały przed nim boleścią wykrzywione twarze i zwierzały mu się, że one też są tylko jedną z postaci cierpienia. Step ukraiński, pusty, z jęczącemi głosem wichru mogiłami swemi — wydawał mu się wielkim symbolem życia, i bujał po nim wzrok jego »nie sparłszy się na nic, jak Rozpacz — bez przytułku — bez celu bez — granic«.

Ale rócz tego step i mogiły powoływały do życia i in e wizje; budziły jakieś niecałkiem jeszcze zastygłe w duszy poety tęsknoty rycerskie, nieciły ową »miłość, która nęci wiecznie duszę w kraj pamięci« i co »oczom patrzeć każe w dawno zmarłych żywe twarze«. Wstawały obrazy przeszłości »zbrojnej w stal, powiewnej rycerskiemi pióry«, i z tą »Obecnością«, co się »tarza w ohydzie«, i z Przyszłością, która »otruta rozczochrana idzie«, łączyły się »wspólnictwem niedoli«.

I jeszcze w to wszystko plątały się echa dawnych marzeń miłosnych i nawiedzał wyobraźnię poety ich idealny przedmiot, wizja kobiety, której w rzeczywistości nigdy nie spotkał, a którą w tęsknocie in-

[1] Taka też mniej więcej była zwykła kolej twórczości Schillera według jego własnego wyznania.

stynktu kochania widział teraz jak żywą. Bo i teraz jeszcze wierzył on, że w miłości jest »część zachwycenia, z jakiem wybrani słyszą cherubinów pienia«, i nawet jego gorące pragnienie »ucieczki od rozpaczy« ziemskiego bytu, pragnienie śmierci jako wyzwolenia i początku życia innego, było w nim jakby zbłękitnieniem jakiemś pragnień miłosnych.

Cały ten rój zjaw, myśli, uczuć i nastrojów, połączywszy się z nagłym napływem sił twórczych, zażądał od nich kształtu, któryby je wszystkie harmonijnie zestroił, dał im objektywne życie w dziele sztuki. Trzeba im było do tego opleść się i wpleść w jakąś stosowną fabułę, wejść w żywą kolej jakichś zdarzeń, któreby im służyły częścią za symbol, częścią za bezpośredni wyraz, lub wreszcie za uzasadnienie.

Już od pierwszej może chwili, gdy z przeżyć Malczewskiego począł się wyłaniać proces twórczy, narzucała się jego wyobraźni — na mocy nieuchwytnych zapewne i dla niego samego w przyczynie swojej skojarzeń — historja Gertrudy Komorowskiej. Słyszał ją prawdopodobnie w chłopięcych jeszcze latach, może i wielokrotnie[1], najdokładniej jednak z pewnością od niejakiego Chrząszczewskiego, który stryja jego w Tarnorudzie często nawiedzał, a famulusem Potockich krystynopolskich niegdyś będąc, znał rzecz zbliska i potem nawet opowiedział w swych pamiętnikach. Wrażenie, jakie ta historja na Malczewskim wywarła, musiało być bardzo silne i wracał do niej myślą zapewne nieraz. Szczególniej zaś musiała go zastanawiać rola w niej Szczęsnego Potockiego, który w Chrząszczewskim miał gorącego obrońcę. Jeżeli ówczesny starosta

[1] Niewiele starszy od Malczewskiego Wołynianin Andrzejowski opowiada w *Ramotach starego Detiuka* (I, 10), że »smutną tę powieść w dzieciństwie swojem, jako ciągle po kraju krążąca, wielokrotnie i rozmaicie słyszał opowiadaną«.

bełzki naprawdę tak gwałtownie odcierpiał śmierć żony, jak to Chrząszczewski opowiada[1], jeżeli naprawdę na życie swoje się targał i do śmierci ciosu tego nie przebolał, — to w takim razie może dopiero ten cios »ziemi ohydą« go zrobił, może to serce, nim »zdradzone, pokłute, zepsuło się w truciźnie przez jedną minutę«, biło niegdyś szlachetnie i nawet bohatersko. Teraz, kiedy zbrodnia poczęła Malczewskiemu coraz częściej ukazywać swoje oblicze cierpiące, przypuszczenie takie mogło mu się wydać jeszcze prawdopodobniejsze. Przedstawić zaś straszliwą przemianę psychiczną tak żywo, żeby każdy mógł snadnie w jej możliwość uwierzyć, to był problemat artystyczny, który dla popędu twóczego poety — z innej, ale równie bolesnej przemiany zrodzonego — mógł być przedmiotem bardzo kuszącym.

W tej to prawdopodobnie kolei rzeczy powstała z myśli o Szczęsnym Potockim zewnętrzna i wewnętrzna historja męża Marji, Wacława. Zewnętrzną — poza wyprawą na Tatarów i bitwą z nimi — całą osnuł poeta na tem, co słyszał o tajemniczem zniknięciu synowej Franciszka Potockiego. Zdradziecki list wojewody, zapustne przebranie zbirów, utopienie nieszczęsnej ofiary — a nawet szczegóły takie, jak uczta, podczas której ojciec Szczęsnego źle ukrywa wewnętrzną burzę, jak Kozak, który się spóźnił, jak wreszcie »mały człowiek«, który miał jakieś tajemnicze wieści dla męża zamordowanej, — wszystko to można znaleźć w tych materjałach, które zebrał w dwutomową książkę o *Starościnie bełzkiej* J. I. Kraszewski. Oczywiście Malczewski powiązał te różne dane podań i rela-

---

[1] Znamy to opowiadanie z fragmentu pamiętnika Chrząszczewskiego, który wraz z pamiętnikami Ochockiego opublikował Kraszewski. Por. *Pamiętniki Ochockiego*, Wilno 1857. Tom IV, str. 233.

cyj, jak mu było dogodniej, osobom dał pełniejsze życie, i występom ich sens zgodny z własnemi artystycznemi celami, ale surogatu do utworzenia powieści o Wacławie i Marji dostarczyły niewątpliwie opowiadania o Szczęsnym i Gertrudzie.

To zewnętrzne źródło treści poematu spłynęło się z wewnętrznemi. Tragiczne losy bohaterów poematu wyrosły na symbol tragedji bytu ziemskiego wogóle, miały stanowić jeden typowy fragment »nowego widoku świata i ludzi«, służyć jako jeden z przykładów, że na ziemi to, »co dobre, szlachetne, tylko chwilę świeci, że zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci«, że »rola wzniosłych chęci nigdy się nie uda« a wszędzie jest niedola i cierpienie. Jedna miłość tylko »anielskim promieniem, fałsz przyjaźni, serć próżność powłóczy złudzeniem«; ale dlatego właśnie staje się jednym czynnikiem tragizmu więcej. Albo w przedmiocie swoim się najboleśniej pomyli (bo »w śliczny welon cnoty stroi się Obłuda«), albo, jeśli ten przedmiot naprawdę ma »anielską duszę«, — to los zawistny i złość ludzka wydrze go miłującemu i porazi jego serce tem okrutniej. Poeta pierwszy rodzaj tragizmu miłości znał z własnego doświadczenia, drugi przeżywał teraz w wyobraźni. W Gertrudę Komorowską wcielił pod imieniem Marji swój typ i zarazem ideał niewieści, swoją niezaspokojoną tęsknotę miłosną, i tem łatwiej mu przyszło dać Wacławowi całą siłę własnych uczuć.

A znowu owe echa przeszłości rycerskiej, narodowej i własnej, które w tem melancholijnem zawodzeniu rzeczy pogrzebanych i niepowrotnych, jakie duszę Malczewskiego przenikało, osobną odzywały się nutą, uczepiły się postaci ojca Gerdrudy-Marji i wbrew temu, co wieść o nim niosła, uczyniły go uosobieniem idealnego typu dawnego kresowego szlachcica.

Wszystko to razem organizowało się w dojrzały owoc poematu w skojarzeniu z nagromadzonemi w pamięci reminiscencjami lektury Byrona i Waltera Scotta. Wacław-Szczęsny, od chwili gdy się już stał »wygnańcem swych myśli zawiedzionym w sromotę«, mimowoli ukazywał się poecie jako człowiek typu Korsarza i Lary. Jeżeli więc każdemu czytelnikowi tych powieści Byrona musi się nasuwać pytanie, jaką drogą psychiczną doszli ci ludzie do tego stanu, którego charakterystyką tak szczegółowo się ich twórca zajmuje — to Malczewskiemu nasunęło się to pytanie wprost jako problemat artystyczny. Sam pomysł, żeby osią swej powieści uczynić historję wewnętrzną człowieka, który, mając wszelkie dane na bohatera, staje się zbrodniarzem — powstał w głowie Malczewskiego może niezależnie od Byrona, a tylko pod wpływem myśli o Szczęsnym Potockim. Ale niewątpliwie wizja artystyczna tej przemiany odrazu zawierała w sobie składniki reminiscencyj z *Korsarza*. Bo wszakże i Korsarz...

Serce w nim było tkliwe: lecz skrzywdzone,
Strute zbyt wcześnie, zbyt długo drażnione,
Poszło ku złemu: czucia były czyste,
Lecz jako rosy krople przeźroczyste
W głębi grot zimnych, niedostępnych słońcu,
Ścięły się, skrzepły, skamieniały wkońcu.

Tylko że właśnie Korsarz, podobnie jak i Lara, zjawiają się jako charaktery już gotowe i historji ich ani nie znamy, ani nawet nie możemy się domyślać. Więc historja wewnętrzna Wacława snuła się w wyobraźni Malczewskiego jako dopełnienie niby psychologiczne historji, a przez to uzasadnienie i wyjaśnienie, stanu duchownego bohaterów Byrona. O tem, że *Korsarz* zwłaszcza ciągle był w myśli jego przytomny, świadczy najlepiej cały szereg

podobieństw w poszczególnych sytuacjach Wacława i Konrada, świadczą też i wcale liczne reminiscencje stylistyczne![1]

Jak zaś psychologiczna powieść o Wacławie ukształtowała się ostatecznie pod natchnieniem Byrona, tak znowu tło historyczne, na które ta powieść została rzucona, nabrało samoistnego, niezależnego od niej życia, stało się, rzec można, odrębnym celem artystycznym, napewne nie bez wpływu Waltera Scotta. Wprawdzie słyszymy, że już w Krzemieńcu Malczewski »zadziwiał« kolegów »jakąś instynktowną znajomością staropolskich manierów« i niewątpliwie »głos przeszłości« brzmiał w jego rycerskiej naturze nawet wówczas, gdy już melancholja przeżarła ją niemal do gruntu, — ale niewątpliwie również chęć wskrzeszenia tej przeszłości w utworze poetyckim zrodziła się, a przynajmniej wzmogła, pod wpływem świeżego przykładu w tej literaturze, w której się autor *Marji* rozczytywał z największem zamiłowaniem. Wrodzony »zmysł historyczny« i skłonność do dumań nad wszelkiemi szczątkami minionych czasów sprawiły właśnie to, że Malczewski odrazu odczuł żywo całe piękno poezji Scotta; szukając zaś podobnego piękna na gruncie polskim, odkrył w Ukrainie jego źródło zupełnie analogiczne do tego, które Walterowi biło w Szkocji. Wszakże i Ukraina była ziemią dzikiej swobody i pieśni barda, wszakże stosunek jej do Polski ze stosunkiem Szkocji do Anglji niejedno miał podobieństwo, a Kozacy z góralami szkockimi znamion wspólnych mieli cały szereg. Cały też ukrainizm historyczny polskiego romantyzmu był niejako najwłaściwszą nostryfikacją skottyzmu w naszej literaturze. Kozak zaś Malczewskiego na stepie i »stary

---

[1] Jedne i drugie wykazujemy w komentarzu do poematu, pod tekstem.

siwy pan Miecznik« w waśni z możnym sąsiadem i w boju z Tatarami są tego prądu twórczości najwyższym artystycznym tryumfem.

2. *KOMPOZYCJA*

Już z powyższych uwag wynika, że w *Marji* Malczewskiego nietylko pierwiastek subjektywny łączy się z objektywnym, liryczny z epickim, ale że nadto łączą się w tym poemacie dwa odrębne motywy, odrębne cele artystyczne. Możemy jeden nazwać powieścią o Wacławie, drugi powieścią czy dumą o Mieczniku. I pierwsza i druga jest równocześnie powieścią o Marji, i to je łączy; gatunkowo jednak różnią się one bardzo wyraźnie. Pierwszej przedmiotem jest tragiczny proces psychiczny bez względu na czas i miejsce, i przedstawienie artystyczne tego procesu jest tutaj celem poety najistotniejszym. W drugiej chodzi głównie o to, żeby »ożyło na wieki w poezji«, co w rzeczywistości umarło—o ducha dawnej Polski«. Genetycznie mamy tu do czynienia ze skrzyżowaniem się dwu skłonności Malczewskiego, dwu stron jego talentu i wreszcie dwu wpływów literackich: Byrona i Waltera Scotta. Trzeba zaś mówić raczej o skrzyżowaniu się, niż o zlaniu, gdyż, mimo zręczne naogół powiązanie obu czynników w akcji poematu, nietrudno je rozróżnić, a nawet rozróżnia się je mimowoli, bo każdy daje inną kategorję estetycznych wzruszeń.

Co się tyczy powiązania kompozycyjnego tych składników w jednej akcji, to trzeba stwierdzić, że jednoczy je przedewszystkiem zasadnicza tragiczność ogólnego założenia. Wszystkie osoby poematu są tragiczne, i jakkolwiek tragiczność każdej jest od-

mienna, to przecież źródło jej jest wszystkim wspólne. Z punktu widzenia poglądu na świat poety, ujawniającego się w refleksjach, źródłem tem jest ogólna tragedja bytu ziemskiego, której tragedja przedstawiona w *Marji* jest tylko wymownym dokumentem. Z punktu widzenia samego zewnętrznego biegu akcji jest tem źródłem — sam również tragiczny — Wojewoda. Wszystko, co się dzieje w poemacie, jest tylko realizacją i konsekwencją obmyślonego przezeń planu.

Plan ten gotowy już poddawała historja Gertrudy Komorowskiej. Malczewski zgodnie z tą historją przedstawił jego poczęcie i niektóre istotne szczegóły wykonania. Pozorne pogodzenie się wojewody z dokonanym faktem małżeństwa syna, uczta na zamku, list zapraszający »w dom« synową dla uśpienia czujności jej ojca — wszystko to wzięte z tradycji. Tylko list wojewody zawiera prócz zaproszenia jeszcze coś, czego w liście Franciszka Potockiego nie było i być nie mogło, mianowicie: wiadomość o równoczesnem wyprawieniu syna na Tatarów. I właśnie ci Tatarzy w planie wojewody stanowią właściwy węzeł kompozycyjny obu celów artystycznych poematu. Ta wyprawa splecie powieść o Wacławie z dumą o Mieczniku w sposób taki, żeby ów dualizm koncepcji jak najmniej dał się odczuć. Udało się to jednak poecie nie ze wszystkiem. Pomysł takiego powiązania był wprawdzie sam przez się bardzo zręczny. Wojewoda chce oddalić Miecznika od córki, a znając go widocznie doskonale, przewiduje, że byle tylko stary zagończyk uspokoił się do co losu Marji, to już napewne nie oprze się pokusie towarzyszenia Wacławowi w wyprawie na Tatary. To przewidywanie okazuje się następnie rzeczywiście zgodne z psychiką Miecznika, i sukces Wojewody wydaje nam się psycholo-

gicznie zupełnie prawdopodobny. Gdy jednak w ten sposób Tatarzy do zamysłów wojewody przypadają doskonale, to natomiast niełatwo ich pogodzić z poprzedzającem otrzymanie listu zachowaniem się i uczuciami Miecznika. Ci Tatarzy muszą być bardzo blisko, skoro Miecznik obiecuje sobie powrót z wyprawy jeszcze tego samego dnia, w którym (i to wcale niezbyt wcześnie) wyrusza. Nie od wojewody dopiero się o nich dowiedział, bo przecie mówi wyraźnie:

Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam
A dlaczego wżdy siedzę — bo się w zad oglądam.

To »oglądanie się w zad« oznacza niewątpliwie obawę jakiegoś zamachu ze strony wojewody. Czyż jednak wobec grasowania Tatarów w najbliższej okolicy nie powinno się było Miecznikowi stokroć straszliwszem wydawać niebezpieczeństwo napaści tatarskiej? Tymczasem ani śladu troski o to bardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo nie było u Miecznika widać. I po otrzymaniu listu wojewody, z radością, że znikło niebezpieczeństwo z tej strony, żadna zgoła nie łączy się radość z tego powodu, że równocześnie z tamtem i drugie niebezpieczeństwo przestało już być straszne.

Otóż te zaniedbania u tak czujnego psychologa, jakim się Malczewski wogóle okazuje, wynikły niewątpliwie z niedość organicznego zrośnięcia się w jego fantazji obu motywów koncepcji, — stąd zatem, że Tatarzy weszli w tragedję Szczęsnego i Gertrudy jako czynnik wprowadzony tam sztucznie, li tylko poto, żeby z tej tragedji uczynić równocześnie powieść historyczną.

Jest zapewne dużym sukcesem artystycznym Malczewskiego, że w dalszym rozwoju akcji tej sztuczności nie odczuwamy. Splot obu elementów

w drugiej pieśni żadnych logicznych ani psychologicznych wątpliwości już nie nasuwa. Żeby jednak i w czysto estetycznem reagowaniu jeden element drugiemu nie przeszkadzał, tego powiedzieć już nie można. W czasie bitwy zwłaszcza uwaga nasza — podminowana niepokojem, wywołanym przez przewidywanie zasadzki ze strony wojewody i sugerowanym przez przeczucia Marji i Wacława — niechętnie odrywa się od dramatycznego raczej dotąd zozwoju ich losu i piękne obrazy bojowe przebiega z roztargnieniem, jak zwykle epicki epizod w dramacie. Jeżeli zaś ów wielki rozmach talentu, jaki poeta w tę bitwę włożył, porwie kogo tak silnie, że przeważy nawet dramatyczne napięcie troski o Marję, — to stanie się to znów ze szkodą tego ostatniego.

Dramatycznym jest zasadniczy wątek akcji poematu Malczewskiego nietylko ze względu na swoją treść, ale również ze względu na sposób jej przedstawienia. Poeta nie o p o w i a d a w właściwem tego słowa znaczeniu, tylko — zupełnie jak w dramacie — stawia czytelnika odrazu wobec poczynającego się właśnie działania jakichś osób, którego sens właściwy, cele i pobudki poznajemy stopniowo dopiero z poruszeń, gry fizjognomij i wreszcie słów ich samych. Mamy przed sobą szereg następujących po sobie scen-obrazów, z których pierwsze, jak zwykle ekspozycja w dramacie, nasuwają nam różne pytajniki, zmuszają do snucia różnych domysłów, podniecają ciekawość, ale jeszcze błądzącą trochę poomacku, aż wreszcie (następuje to między 12-ym a 14-ym ustępem pieśni I) zaczynamy wszystko rozumieć, i odtąd już śledzimy dalszy bieg zdarzeń z ciekawością o określonem uczuciowem napięciu, przeczuwając coś strasznego. Poeta przytem tak układa owe sceny-obrazy, że to napięcie ustawicznie wzrasta. Niepokój, który powstaje przez zesta-

wienie treści listu wojewody z jego tajemniczem i złowróżbnem jakiemś zachowaniem się bezpośrednio po wysłaniu Kozaka — potęguje się stale, naprzód pod wpływem przeczuć Marji, potem na widok zagadkowych Masek, wreszcie pod sugestją przeczuć Wacława, aż wkońcu, gdy razem z nim pukamy bez skutku do pogrążonego w grobowem milczeniu domu Miecznika,— dochodzi do punktu kulminacyjnego. Ma zaś owo stałe pomnażanie emocji tem bardziej dramatyczny charakter, że poeta unika z dość wyraźnem staraniem wszystkiego, coby ją mogło rozpraszać lub hamować. Z wyjątkiem bitwy, nie zatrzymuje nas Malczewski przy niczem, coby się w ten lub inny sposób nie miało przyczynić do spotęgowania wrażenia katastrofy. Tempo rozwoju akcji jest naogół szybkie, widoczna wszędzie nie epicka zgoła troska o koncentrację wszystkich jej elementów ze względu na zamierzone wywołanie wrażenia jak największego tragizmu. Wymyka się tylko tu i ówdzie z pod panowania tej ogólnej celowości — element historyczny. Ten ma niewątpliwie swój byt w poemacie niezależny, mimo że poeta zachowanie się Wacława w czasie bitwy nie z przesłanek bitwy samej wysnuł, tylko właśnie z przesłanek koncepcji psychotragicznej.

I sam jednak ten historyczny, epicki element został przez Malczewskiego ujęty — jak cała akcja — dramatycznie. Akcja ta jest mianowicie wszędzie naprawdę akcją. Opisowości epickiej brak prawie zupełnie. Wszystko niemal podane nam jest w słowie i w działaniu osób poematu, z tą tylko od dramatu różnicą, że w słowie i działaniu słyszanem i widzianem tylko uszyma i oczyma wyobraźni. Sam zająwszy wobec treści swego utworu niby stanowisko widza, dzielącego się tylko z kimś poza kulisami wrażeniami z tego, co właśnie widzi i słyszy, — umiał się Malczewski utrzymać na tem

stanowisku wcale konsekwentnie przez cały niemal czas swego opowiadania, i tym sposobem żywość i teraźniejszość swojej wizji potrafił zasugerować czytającemu. Sugestja ta zaś jest tem silniejsza, że poeta nietylko patrzy i słucha, ale także przeżywa wszystko z całą bezpośrednością uczuć. Refleksje osobiste, któremi, podobnie jak Byron, przeplata obficie swoje obrazy, nie mają nigdy charakteru rezonowania na zimno, są stale albo okrzykami na widok tego, co się właśnie dzieje, albo głośną zadumą nad tem, co się dopiero co stało, albo wreszcie wyrazem przeczuwania tego, co się prawdopodobnie stanie. W każdym razie wszystkie są wyrazem bezpośredniego udziału uczuciowego poety w wypadkach, które się przed oczyma jego duszy rozgrywają aktualnie.

3. PRZYRODA I LUDZIE

Zgodnie z dramatycznym charakterem całej wizji artystycznej Malczewskiego, na czoło jej obrazów wysuwają się oczywiście ludzie. Przyroda przeważnie znajduje się na obwodzie naszego pola widzenia, którego środek zajmują pojedynczo, samowtór, lub w większych grupach *dramatis personae.* Tak właśnie jak na scenie, uwaga widza i słuchacza, zajęta akcją, dorywczo tylko może się zwracać ku szczegółom dekoracyj, natrafiając na nie jakby, przypadkiem wśród gonitwy wzroku za poruszającymi się ludźmi. Tylko gdy się chwilami zdarza, że nikogo na scenie niema, jest sposobność do zajęcia się tłem dekoracyjnem dla niego samego. Są takie chwile i w *Marji*: ustęp I, 2 np., I, 8, lub ustęp II, 3. Zwykle jednak tło pejzażowe[1] akcji kreśli poeta

[1] Z wyjątkiem ustępów 4—6 pieśni I (na zamku) 16 pieśni II (przy trupie Marji), i wreszcie epilogu (w cerkwi), wszystko w *Marji* dzieje się *sub Iove.*

krótkiemi napomknieniami, wplecionemi jakby od niechcenia pomiędzy słowa, które mówią o ludziach. Najszersze perspektywy krajobrazowe roztaczają się przed oczyma naszej imaginacji wówczas, gdy przedmiotem obrazu są ludzie w ruchu. Wówczas — a jest takich ustępów cały szereg (I, 1—3, 7, 19; II 5, 14) — poeta ściga ich wzrokiem z pewnego stałego punktu, i właśnie zapomocą wzmianek o tem, co mijają, stwarza bogatą perspektywę krajobrazu. Że zaś wzmianki te są zawsze charakterystyczne, że w całej pełni podtrzymują ową sugestję bezpośredniej wizji, więc widok okolic, przez które »ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje«, pozostaje w ogólnem wyobrażeniu ogromnie plastyczny, i odrębny koloryt lokalny tej »Ukrainy« mocniej się wraża w pamięć z tego tła *Marji* niż z całej reszty naszej ukraińskiej poezji. Przyczynia się zaś do tego także w bardzo dużej mierze przenikający wszędzie krajobraz Malczewskiego głęboki liryzm. Duszą przyrody jest u niego dusza ludzi żyjących na jej łonie. Jej barwy i głosy są kolorem i mową uczuć tych ludzi. Są też — ilekroć poeta sam na sam z przyrodą zostaje — kolorem i mową uczuć jego własnych. I właśnie taka przejmująca do głębi treść tej mowy daje krajobrazom *Marji* niezwykłą siłę poetyckiego oddziaływania.

W przeciwstawieniu do pewnego stopnia z takiem traktowaniem przyrody, kreacje ludzi mają w poemacie Malczewskiego charakter mniej lub więcej objektywny. Nawet tym osobom, którym dał dużo z siebie samego, chciał i umiał poeta nadać równocześnie życie ich własne, uzgodniając doskonale owe pierwiastki subjektywne z objektywnemi założeniami psychologicznemi, które dla nich obmyślił, czy też które mu podsuwał przyjęty schemat akcji. Główny bohater poematu, Wacław, ma w so-

bie niewątpliwie dużo z swego twórcy. Jego najogólniejsza, najprostsza charakterystyka zawarta (II, 15) w słowach:

Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem;
Nie był jednym ni drugim — umiał walczyć w boju,
Kochać, być wiernym, wdzięcznym — już Wacław w pokoju —

ta charakterystyka z pewnością stanowi szkic duchowy Malczewskiego w jego wojskowym okresie życia. Wielka uczuciowa miękkość Wacława w stosunku do ukochanej przy równoczesnej wybitnej męskości duszy i postawy, skłonność do entuzjastycznych porywów idealnych obok dzikiej popędliwości — wszystko to niewątpliwie rysy charakteru wspólne mężowi Marji z samym poetą w jego pierwszej młodości. I jeżeli uczucia i wogóle stany duchowe Wacława przedstawione są wszędzie z taką ogromną prawdą, z takim realizmem psychologicznym, jeżeli sam ten przełom gwałtowny, owo »zepsucie się w truciźnie przez jedną minutę« pod wpływem katastrofy, wydaje się także, nie już prawdopodobne, ale wprost nieuniknione, — to znowu przedewszystkiem dlatego, że poeta samego siebie przenosił w wyobraźni w analogiczne sytuacje i odtwarzał reakcje psychiczne Wacława jakby swoje własne. Zawsze jednak są one ściśle zastosowane do założeń i warunków pomyślanych objektywnie, zgodnie z rozwojem akcji, nie mającej z samym poetą nic wspólnego; słowem, Malczewski zużytkowuje artystycznie w Wacławie własną treść duchową w bardzo obfitej mierze, ale ją objektywizuje doskonale.

Podobnie też i Marji charakter zrodził się niewątpliwie ze źródeł głęboko subjektywnych. Ucieleśnił w niej poeta swoje osobiste marzenia o ko-

biecie, swoją tęsknotę do miłości takiej, jakiej nigdy nie zaznał, a w jakiej istnienie. a raczej zdarzanie się na ziemi jednak wierzył. Razem z tą wiarą zaś dał wyraz i przekonaniu, że takie zdarzenie, dając tym, którym się objawiło, przedsmak nieba i anielstwa, musi się stać dla nich z drugiej strony źródłem najgłębszego z tragizmów. Bo »co czule, szlachetne, tylko chwilę świeci« na grzęzawiskach ziemskiego istnienia i jakby poto tylko żeby — gdy zgaśnie — uczynić ciemność tem straszniejszą. Gdy nietylko »Obecność tarza się w ohydzie, — Przyszłość jeszcze otruta, rozczochrana idzie, komu? anielskiej duszy, co za to przeklęta, że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta — gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia, większe to niźli ziemskie — piekielne cierpienia«. To tragedja Wacława, upotworniona jeszcze przez to, że »zgon najdroższego szczęścia« przyszedł »z błogosławieństw ręki«.

Ale i Marja sama jest tragiczną. Winą jej tragiczną jest to, że aniołem będąc, dotknęła się ziemi; — »do Aniołów grona dążyła, ich czystości czarem otoczona, ale trawiący oddech światowych uniesień owiał pęk młodych uczuć i zwarzył jak jesień«. Jest w niej ciągłe, choć ciche, rozdarcie między *amor sacro* i *amor profano*. I myśl, że »może Pan Bóg skarze tak żywe kochanie«, ściska serce lękiem nawet wówczas, gdy w ramionach ukochanego tak jej napozór »lekko, tak słodko, że już nic nie trzeba, jakby w jego objęciu leciała do nieba«. A w miarę jak chwila rozstania się zbliża, lęk zamienia się w rozpaczliwe przerażenie, przeczucie złowrogie — niemal w pewność. Tragizm ten Marji wzrusza może tem mocniej, a w każdym razie w swoisty zupełnie sposób, że jest przeniknięty cały pierwiastkiem najczystszej kobiecości. Zarówno źródła jego, jak i wszystkie przejawy, zostają w sferze uczuciowej. Reakcyj woli, ani nawet intelektu na to wszystko, co się

z nią i koło niej dzieje, nie wprowadził poeta do duszy swej bohaterki prawie zupełnie. Same tylko reakcje serca. Z Grażyny niema w Marji nic. Bez dopełnienia w mężczyźnie ona nie miałaby ani racji, ani możności bytu na ziemi. »A wszak bez obrony więdnie pieszczotny powój — a wszak bez osłony nie trwa tu słodki owoc«. Być zaś czyichś »chwil osłodą — czasem ich ozdobą«, żyć dla kogoś i w kimś, brzmieć w jego »szlachetnych pomysłach, w spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą« — oto »wszystkie Marji chęci« i oto też prawdopodobnie, zdaniem Malczewskiego, idealny cel kobiety wogóle.

I znowu trzeba przyznać, że ten swój, tak wyraźnie swój, ideał niewieści umiał poeta ukazać w kobiecie żywej, prawdziwej i naturalnej, że każde poruszenie jej duszy i ciała zdaje się nie z subjektywnego marzenia wzięte, ale z objektywnej obserwacji kobiet rzeczywistych.

Wprost już personifikacją osobistych uczuć i myśli Malczewskiego jest — w pierwszym swoim występie przynajmniej — postać tajemniczego pacholęcia. Wszystko, co wówczas mówi, jest elegją samego poety. Później — w chwili, gdy szepce do ucha Wacławowi tajemnicę jego nieszczęścia — dalej, gdy wsiada z nim razem na koń i »obejmuje rycerza«, aby nie opuszczać go już nigdy, — wtedy staje się symbolem, który można sobie tłumaczyć rozmaicie, najlogiczniej jednak może jako uosobienie rozpaczliwego pesymizmu, który ze śmiercią Marji przeniknie ducha Wacława, tak, jak przeniknął ducha jego twórcy. Zresztą jest to jeden z tych nastrojowych przedewszystkiem symbolów, które raczej odczuwać trzeba niż tłumaczyć, a które rozmnożył w literaturze dopiero symbolizm modernizmu. W każdym razie, jeżeli w Wacławie zobjektywizował poeta różne cząstki swego charakteru dawnego, z przed okresu podróży, to w tem pacholęciu zob-

jektywizował znów swój nastrój duchowy obecny, ten, w którym pisał *Marję*. Zobjektywizował w postaci jakby nie z tego świata, jedynej w poemacie fantastycznej, niesamowitej, przybyłej tu z wyższego (i w oczach poety zapewne rzeczywstego) »planu istnienia«.

Wszystkie inne osoby poematu objektywne są już i w samym pomyśle. Wyszły bowiem z jego koncepcji jako powieści historyczno-epickiej. Wojewoda czy Miecznik, Kozak czy stary sługa — żadna z tych postaci nie służy poecie do wypowiedzenia czegoś mniej lub więcej osobistego; o tyle tylko chyba, że tragizm dwóch pierwszych jest, narówni z tragizmem Marji i Wacława, wyrazem charakterystycznej dla Malczewskiego tragicznej koncepcji świata. Ale źródłem całego zewnętrznego i wewnętrznego ich wyglądu w imaginacji poety są wyłącznie wyobrażenia zrodzone z obserwacji i z lektury wspomaganej intuicją, podczas gdy tamte trzy osoby wiele składników swego bytu artystycznego zawdzięczały introspekcji.

Z tych czterech, o których mowa obecnie, najzupełniej, najwszechstronniej żyje w naszej wyobraźni oczywiście Miecznik. Stanowi on jedną z tych wielkich syntez plastycznych, z których promieniuje cały sens pewnej epoki i warstwy historycznej, jej dusza i koloryt, jej ideał i jej rzeczywistość równocześnie. Szlachcicem XVII w. jest Miecznik naprawdę w każdem swojem wewnętrznem i zewnętrznem poruszeniu, i w treści swego bytu i w formie. Życie publiczne schodzi mu »wśród boju i rady, wśród spornego wyboru i hucznej biesiady«. Pojęciami swojemi, poglądem na świat, nie przerasta poziomu tego życia ani o cal. »Przywileje« naszej szlachty — »skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje«, »kiedy hufy nie z sobą na sejmie, krzyczeć *veto* jeszcze i w rozejmie«, — zajazd jako forma wymiaru

sprawiedliwości — wszystko to wydaje mu się porządkiem rzeczy zgoła boskim, przyrodzonym. Stary obyczaj jest regulatorem naturalnym wszystkich jego myśli i postanowień, nieledwie że myśli i postanawia za niego. Ale moralnie daje Malczewski Miecznikowi wszystko, na co tylko ten obyczaj i czas w Polsce stać było najlepszego. Czyniąc go typem epoki i warstwy, czyni równocześnie jej ideałem. »Czystym ogniem« zapala w nim »imię ojczyzny«, obrońcą jej, rycerzem i wodzem czyni go doskonałym — pierwszym w naszej literaturze »znakomitym zagończykiem«. I jeszcze z ludźmi i w domu czyni go złotym, najlepszym człowiekiem, w którego przeźroczystej duszy widać tylko *candor* najszlachetniejszych instynktów. Z pod rzęsy szorstkości żołnierskiej, która słowom nadaje zawsze jakiś ton obozowych rozporządzeń, ukazuje się co chwila najczystsza krynica serca miękkiego i czułego, — skorego nawet do załzawień. Oczywiście najwrażliwszą strunę tej czułości stanowi córka. W starości ona się stała dla niego jedyną »władzą życia«, i oto tragedja tej starości w tem, że «gołąb od przekleństw odleci i władzę życia zabierze z sobą, wprzód nim gromnica zaświeci«. Całą zaś »winą tragiczną« nieszczęsnego ojca jest tylko jego prostoduszna łatwowierność. Sam do żadnych »mataczyn« nie zdolny, uwierzył prędko w nieprawdopodobną odmianę serca Wojewody, i oto »chętny w drugich obronie, sam się w przepaść zagrzebał«. Ale:

Krótka stąd radość w Zawiści łonie:
Choć złe i dobre w grubej zasłonie,
Sąd ostateczny jest w niebie;
Może w kłopocie i silna głowa
Posępnie kiedy się rzuci.

Jakoż ukazał nam poeta jeszcze w ekspozycji rzucającą się posępnie głowę Wojewody, bo i zbrod-

nia była w jego oczach zjawiskiem przedewszystkiem tragicznem.. Wojewodę — inaczej jak Miecznika — widzimy tylko w przekroju jednego psychicznego momentu. I ani jednego słowa z ust jego nie słyszymy. Z poruszeń tylko, z twarzy, z zachowania się w czasie uczty i po niej, poznajemy, jak drogo zostało okupione to zwycięstwo, które pycha rodowa odniosła w nim nad wszystkiemi innemi uczuciami. Ale te poruszenia i ta twarz z taką plastyką wyrażają grozę zapadłych w duszy postanowień, że cień jakiś ustawicznie niepokojący pada od tej zdaleka tylko oglądanej postaci na całą akcję poematu, i do dramatycznego napięcia uczuć czytelnika przyczynia się ten cień przedewszystkiem. Równocześnie — doskonale zharmonizowany w wyglądzie i geście swojem z całem otoczeniem, z zamkiem dawnym, z galerją starych portretów, z ucztą szlachecką i wyruszającą w pole pancerną drużyną — jest Wojewoda także w całej pełni postacią historyczną. Narówni z Miecznikiem jest on pierwszem u nas objawieniem prawdziwego zmysłu historycznego w twórczości poetyckiej, — obaj są pierwszymi przedstawicielami w literaturze naszej nietylko już nazwiska i kostjumu minionej epoki, ale i jej ducha. Pierwszy w Polsce uczeń Waltera Scotta, naprawdę pojętny, umiał Malczewski odtworzyć właściwy koloryt przeszłości i dać jej złudzenie artystyczne, mimo że ani nazwisk, ani czynów, ani nawet dat historycznych nigdzie nie wymienił. I mimo, że nigdzie ani w niczem nie widać osobnego sadzenia się na tę historyczność, że barwy jej rozrzuca poeta mimochodem, jakby o tem nie myśląc, i nawet język Miecznika, przy całej swojej odrębności nie jest przecież językiem XVII wieku, tylko językiem, który Malczewski słyszał u starych ludzi swego czasu; a jedynie formę jego ukształtował tak,

żeby do charakteru starego rycerza przylegał jak najlepiej.

Obrazu przeszłości polskiej na Ukrainie dopełnia jeszcze Kozak. Do polskiej przeszłości należy, bo jest on z tych, co »z rodu panom wierni«. Ale od »poziomego chłopa« różni się i postawą, i całem zachowaniem się, i całą swoją naturą. »Poddany, lecz swobodę z ojca powziął łona«, i wierność jego nie łączy się bynajmniej z jakiemś poczuciem przymusu. Kark ma twardy i spojrzenie harde. Poeta wyraźnie lubi na niego patrzeć, a widzi go w całej krasie dzikiego junactwa, widzi przedewszystkiem na stepie »z wichrem ukraińskim w zawodach«, na koniu, co jak on »dziki lecz posłuszny żyje« i z nim razem i ze stepem stanowi jedną »dziką duszę«. Nie dał Malczewski temi Kozakowi rozmyślnie żadnych rysów indywidualnych. Nie dał nawet imienia. Widział w nim i przedstawił typ — gatunek. Rysy same ogólne: umiłowanie swobody i pędu, zabobonność, czułość »na śliczne czarne oczy«, »dumka żałośna« na ustach. Cały on zresztą jest dumką w tym poemacie, wcieloną poezją Ukrainy, tak, jak górale Scotta są wcieloną poezją Szkocji.

Jeżeli zaś tutaj jest tylko analogja, to w starym słudze Miecznika, choć to tylko sylwetka, są także wyraźne rysy skottowskiego stylu. Nie w tym sensie wprawdzie, żeby ta sylwetka przypominała tego lub owego famulusa z powieści Scotta poszczególnie, ale w tym, że należy ona do tego samego, przez Scotta głównie wprowadzonego do literatury, gatunku postaci i że jest w podobny sposób, zlekka humorystyczny, traktowana. Ten uśmiech, który zdaje się przemykać po smętnej twarzy Malczewskiego na widok, jak »stary sługa wstrzymał tych przychodniów (masek) śmiałość, i znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość«, poto, aby im jednak za chwilę te wrota z naiwnej ciekawości otwo-

rzyć—uśmiech ten, zaledwie zresztą dostrzegalny, jest w *Marji* czemś zgoła wyjątkowem. Zawdzięczamy go niewątpliwie temu, że poeta żywo odczuwał wartość estetyczną podobnych figur Scotta i mimochodem jakby chciał zaznaczyć, że w polskich dworach żywych wzorów tego typu nie brak. Ten uśmiech też sprawia, że mimo drobnych zupełnie rozmiarów roli ten majordomus Miecznika jest jednak postacią żyjącą własnem życiem. Zresztą i mówi on przecież, jak wszystkie inne postaci *Marji*, z wyjątkiem milczącego Wojewody, swoim własnym językiem.

Malczewski jest właściwie pierwszym w Polsce poetą, który konsekwentnie i ze względów li tylko artystycznych, a nie satyrycznych, stosował jako środek charakterystyki indywidualizację dykcji. Napozór może się wprawdzie zdawać, że tylko Miecznik, Kozak i ów stary sługa [1] mówią każdy po swojemu. W gruncie rzeczy jednak także między językiem Wacława a językiem Marji zachodzą wcale istotne różnice. Wacław mówi zdaniami krótszemi, Marja powłóczystemi okresami, przyczem i cały koloryt i melodja mowy jest dla każdego z nich inaczej charakterystyczna. Tylko znamiona indywidualne ich sposobu mówienia nie wpadają w oko tak, jak odrębność mowy Miecznika lub Kozaka, bo naprzód Malczewski język Miecznika indywidualizuje staranniej, z osobno ku temu skierowaną uwagą, powtóre, co ważniejsza, nietylko indywidualizuje, ale prócz tego stara się konsekwentnie o zupełny tego języka realizm. Streszczenie listu Wojewody w I, 14, lub mowa do wojska w II, 4, są pod tym względem skończonemi arcydziełami. Ma się wra-

---

[1] Pacholę jako postać nierealną tutaj pomijamy. Mówi ono właściwie językiem autora, który jednak w II, 17 przechodzi w charakterystyczne nastrojowe strofy o jakiemś brzmieniu kamiennem, jakby grobowem.

żenie, że są stenografowane. Tymczasem — choć Wacław także niekiedy używa wyrażeń nieliterackich (np.: »ja się błąkał«), lub zdań zaczynających się od »to«, a nawet wpada raz zupełnie jakby w styl Miecznika (»Bo z panem wojewodą nie służy żartować« i. t. d.) — to jednak naogół oboje z Marją mówią językiem literackim, a raczej poetycznym, ozdobnym, który zresztą w dialogu miłosnym nienaturalnym się nie wydaje.

Wogóle trzeba powiedzieć, że technika charakteryzatorska Malczewskiego stoi tak wysoko, jak u nikogo przed nim i jak u niewielu po nim. Do charakterystyki bezpośredniej (wprost od siebie) ucieka się autor *Marji* bardzo rzadko. Charakteryzuje ludzi przez ich własne słowa, postępowanie, przez obrazy ich uczuć w pewnych momentach akcji. Te obrazy zaś tworzy najchętniej w ten sposób, że wyczytuje niby z twarzy i poruszeń człowieka jego stan psychiczny i komunikuje to wszystko czytelnikowi, stwarzając przytem jakby fikcję wspólnego z nim na daną postać patrzenia. Nigdzie rysopisu, ani wogóle opisu jakiegokolwiek w ściślejszem tego słowa znaczeniu, tylko zawsze poddanie jakiegoś najcharakterystyczniejszego szczegółu wyrazu twarzy, czy poruszenia, na podstawie którego wyobraźnia czytelnika dotwarza sobie resztę. Tak samo też ma się rzecz i z kostjumami i z całem tłem. Gdy kontemplacja całej wizji trwa nieco dłużej, powstają z tego takie pełne arcydzieła charakterystycznego portretu, jak np. wizerunek Marji w I, 10. Ale nawet tam, gdzie na kontemplację dłuższą niema czasu, gdzie poeta ukazuje obraz tylko na mgnienie oka, zawsze umie on jednak zasugerować ową dramatyczną niemal bezpośredniość wizji, i tym sposobem osiąga jej wielką plastykę i żywość. Gdy do tego dołączyć wielki realizm psychologiczny, wielką prawdę drobiazgowo nieraz (u Wa-

cława zwłaszcza) odtwarzanych ludzkich uczuć, wielką wreszcie tych uczuć i wogóle charakterów rozmaitość i różność, to złoży się to razem na epitet wielkości i dla całego epickiego talentu Malczewskiego.

4. STYL

W oczach wielu czytelników obniżał i obniża po dziś dzień wartość artystyczną *Marji* jej język. Wcale często dawał i daje się słyszeć zarzut, że jest to język człowieka, który nawykł wyrażać się w mowie obcej i którego myśl szuka sobie uzewnętrznienia w polszczyźnie z wyraźnym trudem. Goszczyński *(Nowa epoka poezji polskiej)* poszedł nawet tak daleko, że nazwał *Marję* jakby »próbką« pisania po polsku, dokonaną przez kogoś, kto się na to »odważył« po raz pierwszy. Musi zatem istotnie być w języku Malczewskiego coś, co takie wrażenie ogólne usprawiedliwia, a przynajmniej tłumaczy. Nie opiera się ono chyba jednak na wyrazach ani zwrotach cudzoziemskich, bo takich jest w *Marji*, jak na czas, w którym powstała, bardzo niewiele. Kilka razy przeczenie z biernikiem, galicyzm w zdaniu: »aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi, opuściły się ręce«, — oto właściwie wszystko. Daleko obfitsze są archaizmy i prowincjonalizmy, ale te romantyka nie powinny były razić zupełnie, klasykom zaś mogły się wydawać wykroczeniem przeciwko ich estetyce, ale przecież nie dowodem słabego władania polszczyzną. Jakoż zdaje się, że ci wszyscy, którzy czynią *Marji* taki zarzut, nietyle wyraźne błędy językowe mają na myśli, nietyle cudzoziemski tok języka, ile raczej to, że istnieje w poemacie Malczewskiego cały szereg zdań zawiłych i niejasnych, niedokończonych lub zdefektowanych tak, że tylko z trudem można się domyślać, co właściwie poeta chciał w nich wyrazić; czasem nie można

się nawet domyślić. Zwrócimy na nie później uwagę w przypisach pod tekstem poematu, — tutaj zaś wypadnie tylko rozstrzygnąć pytanie, czy to naprawdę nieumiejętność, brak swobody i łatwości w wypowiadaniu się po polsku, czy też tylko zaniedbanie. Rozstrzygnięcie to zaś nie przyjdzie trudno, gdy się zważy, że dowodom rzekomej nieumiejętności można przeciwstawić o wiele dłuższy szereg przykładów umiejętności, i to niejednokrotnie wprost zadziwiającej. Wszakże nawet sam przywoływany tu Goszczyński stwierdzał w *Marji* fakt »mistrzowskiego wyprowadzania w dotykalnych niemal postaciach najgłębszych uczuć z najistotniejszemi ich odcieniami«. Kogo zaś razi duża liczba wyrazów nieużywanych w dzisiejszej literackiej polszczyźnie i byłby może skłonny do uważania ich za jakieś dziwaczne nowotwory lub prowincjonalizmy, ten ze zdziwieniem może dowie się z komentarza pod tekstem niniejszego wydania *Marji*, że prawie wszystkie te wyrazy można znaleźć w *Słowniku* Lindego. Trzeba więc raczej przyjąć, że zarzuty pod tym względem wynikają po części z niedostatecznej znajomości języka, po części zaś z uprzedzenia, którego źródło nietrudno nawet wskazać. Oto pierwszy biograf Malczewskiego, Bielowski, powiedział, niewiadomo na jakiej podstawie, że autor *Marji*, w dzieciństwie »mówiąc a nawet pisząc językiem obcym, polskiego do lat późnych nie umiał«. Wiadomość tę powtarzano odtąd za Bielowskim aż do ostatnich czasów, pomimo że już w roku 1852 najwiarogodniejszy świadek, kolega krzemieniecki Malczewskiego, stwierdzał zupełną jej bezpodstawność, zapewniając, iż »przez cały ciąg pobytu w Krzemieńcu ani śladuśmy tego nie widzieli«. Otóż najprawdopodobniej podświadomą przyczyną owego wrażenia, że *Marję* pisał człowiek, który nawykł wyrażać swoje myśli po francusku, jest właśnie nie

co innego, tylko ta fałszywa wiadomość biograficzna, w skojarzeniu oczywiście z owemi częstemi niejasnościami i ułomnościami wysłowienia, ze zdarzającemi się też, choć rzadko, formami języka niepolskiemi.

Wyjaśniwszy jednak w ten sposób przyczynę złudzenia nieumiejętności tam, gdzie się ma do czynienia jedynie z zaniedbaniem, trzeba teraz z kolei zastanowić się nad tem, jak sobie wytłumaczyć tak niezaprzeczone już w każdym razie uchybienie u poety, który naogół wkładał w swój utwór bardzo dużo świadomego i czujnego starania artystycznego.

Godzi się jedno z drugiem najprawdopodobniej znów w ten sposób, że Malczewski nie kontrolował formy gramatycznej i logicznej swego wypowiadania się, tylko właśnie wyłącznie artystyczną. Z chwilą gdy napisany ustęp osiągał zamierzony efekt barwą, dźwiękiem i uczuciową wartością słów, artysta był zadowolony, choćby wiązadła gramatyczne i pojęciowa przejrzystość tych słów wiele nawet pozostawiały do życzenia. Podobny był w tem malarzowi malującemu plamami, z tą jednak różnicą, że jemu więcej jeszcze może chodziło o wartości melodyjne, niż o barwne. Z pewnością wiele zaniedbań gramatycznych, opuszczeń, przestawiań szyku itp. powstało poprostu stąd, że poeta biernie niemal dawał się ponosić fali rytmu. Każdy chyba odczuwa, że najistotniejszy czar stylu *Marji* stanowi niezrównana harmonja jego melodji, że w tej melodji objawia się najdoskonalej jedność i zarazem jedyność artystyczna tej powieści, i zarazem najwewnętrzniejsza treść duchowa indywidualności jej twórcy. W tragedję własną i w tragedję postaci swego poematu, w przeszłość Ukrainy i w jej obraz teraźniejszy, w świat widzialny i niewidzialny — we wszystko to jest Malczewski jeszcze bardziej wsłuchany niż wpatrzony. W przeważnej części obrazów *Marji* wyrazy budzące wyobrażenia słuchowe znacz-

nie przemagają liczbą nad temi, które się odwołują do wzrokowych:

> Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
> Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje...

a kiedy rycerze »w ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem«, to:

> Zabrzmiała długiem echem do sklepienia drżąca —
> Aż łagodniejszą ziemię lżej kopyto trąca;
> I ciszej, ciszej brzęcząc — już słabo — zdaleka —
> Głuchy dochodzi odgłos i coraz ucieka.

Takie przykłady możnaby mnożyć bez końca. Z tego jednak nie wynika bynajmniej, żeby malarska strona stylu była w *Marji* zaniedbana. Przeciwnie,— Malczewski jest niewątpliwie jednym ze świetniejszych epików-malarzy naszej literatury. Tylko naogół raczej dźwiękowe wyobrażenia wywołują wzrokowe, niż odwrotnie, i prócz tego raczej koloryt obrazów jest ilustracją muzyki, niż muzyka ilustracją obrazów. I można przytem jeszcze powiedzieć, że barw poszczególnych przedmiotów, a przynajmniej odcieni tych barw, przeważnie autor *Marji* nie narzuca wyobraźni czytelnika: pozostawia pod tym względem dużą swobodę jej współtwórczości, zastrzegając sobie tylko ogólny koloryt, a przedewszystkiem koloryt oświetlenia. Operuje jako malarz przedewszystkiem światłem; barwy, odcienie, drgania i połyski światła przenikają jego styl na każdym kroku. Daje je odczuć bardzo często przy pomocy przenośni z zakresu zjawisk duchowych, i odwrotnie też — zjawiska duchowe uplastycznia zapomocą porównań ze zjawiskami świetlnemi. Prześliczny zachód słońca w II, 3 przy całym mickiewiczowskim zgoła realizmie barw i ruchu światła uduchowia się stopniowo, i napełniwszy oczy kolorami, rozrzewnia potem serce »jak wzrok tęsknej przyjaźni, co w podróż ucieka«. I podob-

nie jest bardzo często. Z drugiej zaś strony każde uczucie objawia się na twarzy człowieka — zależnie od rodzaju — bądźto płomieniem, bądź światłem. Słowo b l a s k należy do tych, które się powtarzają najczęściej. I można przytem stwierdzić pewną predylekcję do blasków opalowych, przymglonych, załamujących się jakby we łzach.

Porównania, któremi się Malczewski w celach malarskich posługuje, są zazwyczaj krótkie, przelatujące szybko przez długość najwyżej jednego wiersza. Tylko bitwa wywołała dwa porównania homeryckie (Wacław i »potok wstrzymany w swoim bystrym pędzie«, oraz Miecznik ze »zmieszanem czuciem i matki i lwicy«), nadto cała refleksja II, 19, ujęta w ramy refrenu »w tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie« — jest cała jednem długiem porównaniem a raczej przenośnią w stylu nastrojowo-romantycznym. Przeważnie zarówno porównania, jak i (częstsze daleko) przenośnie Malczewskiego uderzają oryginalnością i trafnością zarazem, a obfitość ich sprawia, że styl *Marji* nie staje się ani na chwilę niemal abstrakcyjny, pojęciowy, — zawsze jest wyobrażeniowy, konkretny. Można to jego znamię podziwiać szczególniej przy niezmiernie licznych personifikacjach. Upodobanie do nich przejął Malczewski prawdopodobnie od Byrona, ale gdy angielski poeta tworzył je bardzo często poprostu przez pisanie takich abstrakcyj jak: miłość, zemsta, zbrodnia i t. p. wielką literą, — polski nie zadowalał się tem prawie nigdy. U niego Sława ukazuje się na pobojowisku »zapylona«, Odwaga załamuje ręce, Obecność tarza się w ohydzie, Przyszłość otruta rozczochrana idzie, i t. d. Często personifikacja przybiera rysy jednej z postaci poematu (najczęściej Marji; por. n. p. »Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie«), czasem zamienia się w zamknięty w sobie obraz głęboko nastrojowy.

Tak jest np. z owem Przypomnieniem (w II, 14), które jak widmo wstaje »i budzi martwą przeszłość i w wonne kotary szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary«, — albo gdy »w próżnem (po Wacławie) miejscu, zadumana, blada, Ciszę budząc westchnieniem Samotność usiada«.

Nastrojowość, powstająca przez szczególny dar harmonizowania elementów muzycznych i malarskich w jakąś przedziwną jedność działania, stanowi jedno ze znamion stylu Malczewskiego najbardziej swoistych. Najsugestywniej występuje ono w obrazach przyrody, uduchowiając je w sposób, który do podobnej perfekcji doprowadzili dopiero późniejsi symboliści. Ale ten sam właściwie nastrój ogarnia cały poemat, i pozostaje w duszy po jego przeczytaniu jako najtrwalsze może wspomnienie, jako najwyraźniejsze bodaj wyróżnienie tego poematu i tego poety wśród innych. Ten nastrój właśnie spaja całą ogromną rozmaitość wrażeń, które *Marja* wywołuje, w zupełnie harmonijną syntezę, — podobnie jak melodja zasadnicza wiersza Malczewskiego chłonie w siebie całą wielką rozmaitość tonów i motywów muzycznych i tworzy z nich doskonałą symfonję. Melodja ta przykuwa ucho i serce, — czasem się nawet zdaje, że niezależnie od treści. W jednostajnym przez cały czas schemacie trzynastozgłoskowego wiersza, rymowanego parami [1] (i to rymów wcale nie wyszukanych), umiał Malczewski nietylko uniknąć monotonji aleksandrynu, ale przeciwnie: wprowadził w ten schemat ogromne muzyczne bogactwo. Wielka rozmaitość ustosunkowania członów akcentacyjnych, prócz tego zaś zmuszanie czytelnika do ciągłych zmian modulacji głosu

---

[1] Trzy razy tylko pojawiają się trójki rymów: II, 5, w. 851—853, II, 6, w. 894—896 i II, 17, w. 1305—1307. Pomija się tu oczywiście obie pieśni masek, których kunsztowna budowa rytmiczna musiałaby być omówiona obszerniej.

przez wielką obfitość wykrzyknień, pytań [1] i pauz, wreszcie zmuszanie go przez układ wyrazów i ich uczuciową wartość do wprowadzania bardzo często różnego iloczasu samogłosek [2] — oto środki, z których każdy zosobna, a tem bardziej wszystkie razem w harmonijnem współdziałaniu nadają rytmice giętkość i zmienność taką, że fale jej, mimo ujęcia ich w wymurowane łożysko zawsze jednakowej szerokości, coraz to inny przybierają kształt i szybkość, i szumią to głośniej, to ciszej, skalą szmerów bardzo bogatą. Ze się przytem nigdy nie rozbijają o siebie nawzajem, że nie tworzą żadnych zamętów i wirów, tylko płyną jednolicie w jednym kierunku i szumią w jakiś jeden zasadniczy takt, czyli że całe to bogactwo rytmiczne *Marji* ogarnia tak doskonale kompozycyjna jedność muzycznej całości, — to już jest fakt, który można stwierdzić, ale który wyjaśnić znacznie trudniej. W niektórych ustępach można zauważyć przewagę pewnego gatunku członów akcentacyjnych nad innemi; szczegółowa analiza wykazałaby może również przewagę lub charakterystyczne rozłożenie pewnych dominujących dźwięków samogłoskowych; są częste nawroty do tych samych motywów muzycznych; zdarza się co jakiś czas wpadanie w ton

---

[1] Prof. M. Szyjkowski dowiódł statystycznie w pracy p. t. *Wykrzyknik i pytanie retoryczne w młodocianej twórczości Słowackiego* (»Rozpr. Wydz. filolog. Ak. Umiej.« 1909), że obie te figury stylistyczne występują w poezji romantycznej o wiele obficiej niż w klasycznej. Wykazał nadto, że u Słowackiego obficiej niż u Mickiewicza. U pierwszego jest w pierwszem siedmioleciu jego twórczości jedno pytanie na 34 wiersze przeciętnie; wykrzyknień u Mickiewicza, aż do *Wallenroda* włącznie, jest 1 na 24 w., u Słowackiego w pierwszem siedmioleciu 1 na 17. U Malczewskiego wykrzyknień przeciętnie 1 na 9 w., a pytań 1 na 17½.

[2] N. p. w cytowanym nieco wyżej fragmencie: »I ciszej, ciszej brzęcząc — już słabo — z daleka«, albo:

I długo i daleko słychać kopyt brzmienie,
Bo na obszernych polach rozległe milczenie, i t. p.

i rytmikę ludowej piosenki (por. n. p. »Szumi młyn na odnodze i wróg w łozie szumi, A żwawy wierny konik Kozaka rozumi... i t. p.) — wszystko to jednak, gdyby nawet (opracowane szczegółowo) mogło stanowić objektywny opis formy dźwiękowej poematu, nie wytłumaczyłoby jeszcze przecież jej estetycznego działania, nie odsłoniłoby duszy ożywiającej tę formę. A właściwym czynnikiem harmonizującym, zestrajającym, jest właśnie owa dusza.

W melodji stylu i wiersza *Marji* spoczywa istota jego odrębności, a ta melodja jest zarazem emanacją najbardziej bezpośrednią ogólnego nastroju duchowego poety w czasie pisania tego poematu, jest wykładnikiem poetycko-muzycznym jego ówczesnego stosunku do świata i ludzi. Ona też czyni ten poemat lirycznym, mimo wszystkie cechy epickie, czyni go naprawdę pieśnią. I ta »pieśń melodyjna i melancholijna, ta pieśń tak słodka — a taka okrutna, i tak anielska — choć tak ludzko smutna«, — ta pieśń jest jedyną w swoim rodzaju.

5. CO NOWEGO WNIOSŁA »MARJA« DO LITERATURY POLSKIEJ?

Wpływu wielkiego na następne koleje naszej poezji *Marja* Malczewskiego nie wywarła [1]. Aczkolwiek całkiem niezależnie od poezji mickiewiczowskiej, pojawiła się jednak już po pierwszych jej dwu tomikach, i całe pchnięcie w nowym kierunku, które w tym czasie literacka twórczość polska otrzymała, musi być przypisane Mickiewiczowi. I nawet te rzeczy, które w *Marji* są absolutnie nowe, których w poprzedzającej ją poezji Mickiewicza niema, rozwinęły się później w naszej literaturze przeważnie nie pod wpływem *Marji*, tylko pod wpływem tych

---

[1] Najwybitniejszym może tworem tego wpływu jest *Jan Bielecki* Słowackiego.

samych kierunków nowej poezji europejskiej, które wpłynęły i na *Marję* samą. Atoli początek chronologiczny dał Malczewski niezaprzeczenie całemu szeregowi nowości na polskim gruncie, zatem rok ukazania się jego poematu jest w historji literatury polskiej datą jedną z ważniejszych. Już gdy chodzi o sam rodzaj literacki, trzeba uznać, że *Marja* jest pierwszą u nas powieścią poetycką w stylu Byrona i równocześnie pierwszą też w najcharakterystyczniejszym rodzaju Waltera Scotta. Co do pierwszeństwa w tym drugim, to wprawdzie nie da się zaprzeczyć, że w *Grażynie* pewne wpływy i znamiona skottyzmu już są, najistotniejsze jednak z tych znamion, mianowicie odnalezienie barw i głosów przeszłości rzeczywistych, naprawdę charakterystycznych dla tego tylko kraju i plemienia, a nie innego — to najważniejsze znamię skottyzmu w poezji czy w prozie, spotykamy u nas w *Marji* po raz pierwszy i na dość długi czas — jedyny. I z tem się też łączy odrazu najważniejsza ze wszystkich nowości, jakie *Marja* przynosi, — ta, że jest ona pierwszą naprawdę n a r o d o w ą powieścią, że jest zatem realizacją jednego z głównych postulatów romantyzmu, — u nas nawet nietylko romantyzmu. »Podczas kiedy w s z y s c y mówili o narodowości w poezji i o b i e d w i e szkoły, klasyczna i romantyczna, kłuły tem sobie w oczy, Malczewski wykonywał, czego obiedwie nie wypełniały: staroświecką obyczajowość narodową wystawiał epicznie«.—Tak mówił już w r. 1828 Michał Grabowski.

Innego znów rodzaju nowości przynosi *Marja* jako byrońska »powieść o Wacławie«. W treści tę przedewszystkiem, że jest pierwszym u nas romansem psychologicznym w pełniejszem słowa znaczeczeniu—w tem mianowicie, że miłość nie występuje tu tylko jako węzeł intrygi, czy nić kompozycyjna akcji, ale jako przedmiot osobnego zainteresowania ar-

lysty-psychologa, jako źródło stanów duszy, których wierne oddanie jest jednym z jego celów artystycznych niezależnie od innych. W realizmie psychologicznym, w prawdzie żywej przedstawienia tych stanów, przewyższył Malczewski znacznie Byrona, a naszej literaturze dał przytem pierwszą prawdziwą i żywą, idealną a jednak typową postać kobiecą i pierwszy też prawdziwie poetyczny, wzruszający, miłosny dialog [1].

Co się tyczy techniki, to znowu wśród szeregu powieści, komponowanych u nas według wzoru danego przez Byrona, *Marja* jest pierwszą. A jest zarazem i tą, która ten wzór najbardziej udoskonaliła, najlepiej umiała go pogodzić z przejrzystością biegu akcji i plastyką objektywną postaci. Wogóle umiała podnieść artystyczne wartości tej techniki kompozycyjnej, a zmniejszyć jej wady. Odrazu też — przed *Wallenrodem* — przez wprowadzenie w tekst osobnych pieśni (masek) w innym metrycznym kształcie, uzupełniła byroński typ kompozycyjny charakterystycznym rysem powieści poetyckich Scotta.

W zakresie wreszcie poszczególnych środków artystycznych stanowi *Marja* ogromny krok postępu pod wieloma względami, a pod niejednym także nowość zupełną. Po malarsku skomponowane obrazy spotykamy już niekiedy we wcześniejszej poezji Mickiewicza, ale jako stały niemal i główny sposób rozwijania fabuły przed oczyma wyobraźni czytelnika występują one po raz pierwszy w *Marji*. Technika charakteryzowania postaci, która w powieści polskiej przed *Marją* nie wyszła poza środki mniej lub więcej prymitywne, i nawet w *Grażynie* wzniosła się ponad ten poziom raczej artyzmem ich

---

[1] Zwrócił na to pierwszy uwagę St. Tarnowski w *Historji literatury polskiej*, IV, 300.

użycia, niż inwencją nowych — tutaj po raz pierwszy świadomie zdaje się unikać charakterystyki bezpośredniej, indywidualizuje konsekwentnie dykcję, tworzy malarski portret i t. d.

Trzebaż nakoniec przypomnieć raz jeszcze malarskie i muzyczne środki wywoływania nastrojów, szczególniej w krajobrazie, który jednak »do całości tego smutnego poematu tak należy, jak żeby tchnął jedną duszą z ludźmi i przeczuwał ich losy« [1]. Takie zaś napełnienie przyrody duszą ludzką i takie zharmonizowanie obrazów tej przyrody z akcją całą poematu, żeby w ogólnem wrażeniu tworzyły z nią jedność wprost nierozdzielną — to także jedna z nowości w naszej literaturze, i to z tych, które są dla *Marji* właśnie najcharakterystyczniejsze.

Malczewski jest jedynym romantykiem polskim nie »z Mickiewicza«. Gdyby nie było Mickiewicza, *Marja* stanowiłaby początek naszego romantyzmu. I wolno powiedzieć, że byłby to początek inny, ale nie mniej świetny.

6. KILKA SŁÓW O WYDANIU OBECNEM

Tekst *Marji* w niniejszem wydaniu jest wiernem — o ile możności — odtworzeniem tekstu pierwszej edycji poematu, z r. 1825. Został on troskliwie porównany z rękopisem poety, przyczem można było stwierdzić, że Malczewski żadnych zmian w korekcie już nie wprowadził. Rękopis, znajdujący się w Bibljotece Raczyńskich w Poznaniu, zawiera tekst przepisany już na czysto i — na ostatniej, 62 stronicy, pod datą 26/6 1825 — zezwolenie na druk »*z polecenia JW. Radcy Stanu D. J. W. P.*« [2]

[1] St. Tarnowski *l. c.*

[2] Na ostatniej stronie pierwodruku jest nalepiona karteczka, na której wydrukowano: *Wolno drukować J. K. Szaniawski. R. S. D. J. W. P.*

podpisane: *R. Łubkowski*. Kilkanaście tylko znajduje się tam poprawek ręką poety, które uwidoczniło się w objaśnieniach. Pisownię Malczewskiego, charakterystyczną dla jego sposobu wymawiania, zachowaliśmy wszędzie wiernie. Jedynie tylko usunęliśmy oczywiste, rzadkie zresztą, błędy ortograficzne (n. p. »rząda« zamiast: »żąda«).

Od wszystkich innych wydań po śmierci poety dokonanych różni się obecnie dość znacznie [1]. Dwa tylko z nich starały się o poprawność tekstu: wydanie W. Dropiowskiego z r. 1905 [2] i wydanie G. Korbuta [3]. Pierwsze z nich, oparte na kopji rękopisu dostarczonej wydawcy przez p. St. Kossowskiego, krytyki nieco surowszej zgoła nie wytrzymuje; drugie, oparte na pierwodruku, jest znacznie staranniejsze, grzeszy jednak wielką swobodą w traktowaniu interpunkcji, mało się licząc z wyraźnemi intencjami poety.

Interpunkcja Malczewskiego, wielce niedbała z punktu widzenia logiczno-gramatycznego, jest jednak równocześnie wprost wyjątkowo staranna z punktu widzenia (a raczej słyszenia) rytmicznego. Niema może drugiego poety, któryby tak bardzo jak ten pragnął kierować wszystkiemi przestankami i modulacją głosu czytelnika, któryby tak koniecznie chciał uzgodnić melodję cudzego czytania z tą, którą sam słyszał — pisząc.

Na pierwszy rzut oka — to mnóstwo przecinków tam, gdzie ich reguła gramatyczna nie chce, przy równoczesnym braku ich tam, gdzie są przez

---

[1] Wydanie Al. Brücknera (1925) opiera się już zasadniczo na tekście niniejszego (t. j. pierwszej jego edycji z 1922 r.).

[2] *Arcydzieła polskich i obcych pisarzy* — wydawnictwo F. Westa w Brodach, Nr. 1.

[3] *Wybór pisarzów polskich i obcych dla domu i szkoły* — wydawnictwo Gebethnera i Wolffa, Nr. 10.

tę regułę nakazane, dalej średniki tam, gdzieby, zdaje się, wystarczały przecinki, wreszcie pożądane wykrzykniki lub dwukropki zastąpione pauzami (myślnikami) — na pierwszy rzut oka może to wszystko wyglądać na anarchję, i przychodzi wielka pokusa zrobić z tem porządek. Zauważywszy jednak zupełną i na tym punkcie zgodność rękopisu z pierwodrukiem, niepodobna przypuścić, żeby w tem nie miało być celowej i świadomej pracy poety, która w takim razie musiała się przecież kierować jakąś zasadą. Jakoż wystarczy przeczytać głośno kilka ustępów poematu, poddając się posłusznie interpunkcji autora, żeby sobie tę zasadę uprzytomnić. Właściwa przyczyna nieporozumienia między nim a wyuczonym w szkole poprawnej interpunkcji czytelnikiem sprowadza się do tego, że dla Malczewskiego znaki pisarskie są jakby znakami muzycznemi. Więc n. p. gdy czytamy:

I koń rześki, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął, i wierzgnął, i dalej pospiesza —

to nietrudno zrozumieć, że te zbyteczne gramatycznie przecinki po »parsknął« i po »wierzgnął« wcale nie są obojętne d l a u c h a. Gdy się zaś trochę niżej czyta:

Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik Kozaka rozumi —

to też można śmiało przypuścić, że znowu brak przecinka między »żwawy« a »wierny« nie jest przypadkowy, tylko że poeta przestanku głosu między temi wyrazami poprostu sobie nie życzy.

Szczególniejsze upodobanie ma autor *Marji* do znaku pauzy. Jest takich znaków często po kilkanaście w jednym ustępie i również mogłoby się wydawać, że to tylko napół świadome robienie kreski zamiast przecinka lub też tam, gdzie nie-

bardzo się wie, jaki znak postawić. Trochę wyobraźni jednak, a na pewne się stwierdzi, że nawet taki dwuwiersz n. p. jak:

Tam — za wsią — stoją — całe zakrywają pole —
Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole

wcale bez sensu artystycznego nie jest. Te pauzy ogromnie podnoszą przecież wrażenie bezpośredniości wizji u poety.

Albo przy bardzo częstych t. zw. »nagromadzeniach«, np. w wierszu: »Zachęca ich — szykuje — obraca — naciera —«, nie są przecież pauzy zastępstwem przecinków bezcelowem i zbytecznem. Gdy, nieco niżej, pisząc: »Rąbie, sili, morduje...«, przecinkuje już tylko poeta, to widać mu zależy na tem, żeby to inaczej było czytane, i każdy przyzna, że istotnie efekt tego innego czytania jest też inny, i że to rozróżnienie ma swoją artystyczną wartość. Podczas więc gdy nawet G. Korbut opuszczał po większej części pauzy Malczewskiego, a czasem zato wprowadzał je tam, gdzie ich u Malczewskiego niema, — wydanie niniejsze idzie pod tym względem wiernie za pierwodrukiem i rękopisem.

Wogóle zaś poprawiło się i uzupełniło interpunkcję poety tylko tam, gdzie nam się zdało, że to nie może stać w sprzeczności z jego artystycznemi intencjami.

BIBLJOGRAFJA

M. Mochnacki: *O literaturze polskiej XIX wieku*, 1830 (w wydaniu »Sfinksa« z r. 1911, str. 130—146).
L. Siemieński: *Antoni Malczewski* — (»Portrety literackie« Tom IV).
Wł. Chodźkiewicz: *Antoni Malczewski.* — (»Bluszcz« 1878).
St. Gramlewicz: *»Marja« Malczewskiego w świetle nowej krytyki.* (Dodatek do »Przeglądu Tygodniowego« r. 1883, wrzesień).
S. Przyborowski: *»Marja« Antoniego Malczewskiego, Szkic krytyczny.* (»Ateneum« r. 1887, Tom III).
M. Mazanowski: *Żywot i utwory A. Malczewskiego* — Lwów 1890.
M. Zdziechowski: *Antoni Malczewski. Ustęp z dziejów bajronizmu polskiego* (»Bibljoteka Warszawska« 1895, Tom II).
St. Tarnowski: *Historja literatury polskiej*, Tom IV, str. 293—305.
J. Ujejski: *Antoni Malczewski. Poeta i Poemat.* Warszawa 1922.
A. Brückner: *O »Marji« Malczewskiego słów kilka* (»Przegląd Warszawski«, styczeń 1923).

Nadto wydania z obszernemi wstępami:
A. Bielowski: *A. M. »Marja«* — Lwów 1833, 1838 i 1843.
S. Goszczyński: *A. M. »Marja«* — Lipsk 1844.

Wreszcie dwa wydania z obszernym wstępem i komentarzami:
P. Parylak: *Antoniego Malczewskiego »Marja«.* Wstępem, żywotem poety i objaśnieniami opatrzył... (»Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami«. Lwów 1884).
Wł. Dropiowski: *A. Malczewskiego »Marja, powieść ukraińska«.* (»Arcydzieła polskich i obcych i pisarzy«. Brody 1905).
Al. Brückner: *A. M. Marja.* Ze wstępem i objaśnieniami (Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich, Lwów-Warszawa-Kraków 1925).

Pierwsza serja

BIBLJOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Kochanowskiego ODPRAWA POSŁÓW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewicza POWRÓT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigonia* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA, w opracowaniu prof *Marjana Szyjkowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILEŃSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBÓR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia* (Nr. 17)
Krasińskiego PRZEDŚWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III., w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry ŚLUBY PANIEŃSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Krasińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
POLSKA PIEŚŃ LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDÓW, w oprac. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIEŚNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBÓR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Blizińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZĘ Z SĄCZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOŚWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

Krasińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
Słowackiego POWIESCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
Goszczyńskiego KROL ZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 56)
Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
SREDNIOWIECZNA PIESN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
Anczyca KOSCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
TOWARZYSTWO FILOMATOW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 79)
Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIOWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

MARJA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

DO JAŚNIE WIELMOŻNEGO
JULJANA NIEMCEWICZA

Dawno już niedoznana pociecha ożywia serce moje w chwili, w któréj mi wolno, przypisując JWWPanu tę powieść, publicznie wyrazić uwielbienie dla Jego charakteru, i téj niezmordowanéj życiem świetnéj wyobraźni a pełnéj wdzięków erudycji, jakich nie przestajecie używać na wzbogacanie literatury polskiéj w coraz nowe i tak szacowne dzieła. Nie dziw, że mnie to bardzo podchlébia, iż mi pozwalacie ozdobić karty moje Waszem imieniem; kiedy dusza każdego rodaka lubi się karmić słodyczą Waszego pióra, i nie tylko mój umysł rad się przegląda w biegu czystym i użytecznym Waszego życia: więcéj powiem — i nikt mnie o przesadę nie oskarży — imię Wasze jest dla młodych Polaków noszonym przy sercu zabytkiem, bośmy się o Waszéj sławie jeszcze od naszych ojców dowiedzieli a Wy czarownym sposobem przypominacie się ciągle naszéj wdzięczności. Nie znajdziecie w moich wierszach tego powabu, który swoim nadawać

---

w. 7: »*Nie dziw, że mnie to bardzo podchlebia, iż mi pozwalacie*... i t. d. — Wynika z tych słów, że Malczewski Niemcewicza o to pozwolenie prosił. Bardzo prawdopodobne, że jako dawnego znajomego. Niema jednak żadnych śladów zainteresowania się *Marją* i jej autorem ze strony Niemcewicza. K. W. Woycicki we wstępie do swego wydania pism Malczewskiego (Warszawa 1857, str. 27) zapewnia, że Niemcewicz »poznał się na wysokiej wartości« *Marji*, ale wówczas dopiero, kiedy ta wartość została już ustaloną przez Mochnackiego. Skąd W. czerpie tę wiadomość, nie podaje.

umiecie; tęskne i jednostajne, jak nasze pola, i jak mój umysł, ciemną tylko farbą zakryślą Wam niewykończone obrazy: ale jeśli ten hołd słaby, oddany Waszej zasłudze, wznieci w Was jakie miłe uczucie, już ja wtedy hojnie zapłacony będę za moje posępne malowidło, kiedy się choć chwilę zastanowicie, jak to ziomkowie wysoko cenić umieją Wasze przymioty i prace.

Jaśnie Wielmożnego WPana

Najniższy sługa

MALCZESKI

Malczeski — tak podpisuje się poeta i tutaj, i na różnych dokumentach z ostatniego okresu życia. Ale jeszcze na podaniu o dymisję z wojska (12 grudnia 1815) widnieje czytelny podpis: *Antoni Malczewski;* tak też pisane jest jego nazwisko na wszystkich aktach krzemienieckiego liceum, i taka właśnie pisownia jest prawidłowa. Dlatego wprowadziliśmy ją u nas, mimo tego podpisu pod listem do Niemcewicza, i mimo że na karcie tytułowej I wydania z r. 1825 czytamy również: *Malczeski.*

PIEŚŃ I

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie:
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.
Jan Kochanowski

I

Ej! ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze?
Czy zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swéj lubéj, co czeka wśrzód niwy,
Nucąc żałośną dumkę lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojéj twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość;

---

w. 1: *Ej! ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz...* podobnie jak w *Giaurze* Byrona początek opowiadania: »Who thundering comes on blackest steed with slackened bit and hoof of speed«.

w. 2: *Czy zaoczył... czy* a nie *czyś!* jest zarówno w autografie jak w wydaniu z r. 1825, *zaoczył* zam. zoczył prawdopodobnie dla rytmu, gdyż gdzieindziej, np. w. 1074 używa poeta zwykłej formy: zoczyć.

Gdy koń, co jak ty, dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher, wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu z swą mażą skrzypiącą —
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty, czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi,

II

Pędzą — a wśrzód promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od Niebianów gońca —
I długo, i daleko, słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołéj szlachty, ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojéj staréj sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niéj słowa,
Które Duch dawnéj Polski potomności chowa —

---

w. 13: *Czarnomorcu* — poprawny wołacz od Czarnomorzec: Czarnomorcze. (Słowacki w wierszu *Poeta i natchnienie* woła: Mój Ukraińcu!). — *Maża* — gatunek wozu używany przez Kozaków. Linde przytacza z *Sielanek* Zimorowicza: »W mażach łubianych wozili Kozacy połcie do Lwowa«.

w. 14: *Bo ci synowie stepu...* t. zn. kozak i koń. Toż samo w. 18: *oni* ujść gotowi.

w. 23: *Ani wesołej szlachty, ni rycerstwa głosy* — domyślne: »nie dają się słyszeć«.

w. 24: *Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy* — ten wiersz znajduje się także w utworze Malczewskiego zaczynającym się od słów: *O jak przykro do swoich wracać bez nadziei!* a ogłoszonym po raz pierwszy w *Ateneum* 1876, IV, 204.

A gdy cały ich zaszczyt, krzaczek polnéj róży,
Ah! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?

III

Minął już kozak bezdnię i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jéj wzgórek znany,
Bo pod nią już oddawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rzeski żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parschnął, i wierzgnął, i daléj pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje —
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumi —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodjaki,
Lżéj się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiéj kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —

---

w. 31: Zob. Przypis poety na końcu. *Bezdnie* — Linde zna tylko: to bezdnie (rodz. nij.).
w. 37: *I koń rzeski* — dziś *rześki*. (U Lindego tylko: *rzeski*).
w. 38: *Tylko parschnął* — dziś *parsknął*.
w. 42: *A żwawy, wierny konik kozaka rozumie*, w A. i wyd. I. *rozumi*. Czterowiersz kończący się temi słowami brzmi jak zwrotka ludowej piosenki.
w. 43: *bodjak* — roślina kolczasta (ukr.)
w. 44: *pierzchliwe sumaki* — w A. *pierszchliwe*. Sumak: rodzaj antylopy — dziś już wyginął. Zdanie znów niedokończone: lżej... niż?
w. 45—46: *I jak strzała schylony na wysokiej kuli* — trzeba się domyśleć: jak strzała położona na cięciwie łuku. Kula — u przodu siodła.

A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniéj pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nicht go nie dogoni.

IV

Ruszaj, ruszaj kozacze — pośpiech nakazany;
W starym, wyniosłym zamku nie małe odmiany:
Pan Wojewoda z synem od dawna w rozprawie,
Długo teraz rozmawiał — i bardzo łaskawie;
A jednak — żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,
I łzy czułéj rozpaczy i pychy zapału
Płynęły — często — gorsko — ale bez podziału.
Już inaczéj w tym zamku — znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, naddziadów wspaniałość;
Już wśrzód licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty, (długo nie widziany)
Zeszedł pan Wojewoda, bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić —
Zdawał się więcéj synem, niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię

---

w. 50: *nicht* — tak stale pisze Malczewski.
w. 53: *Pan wojewoda z synem oddawna w rozprawie* — znaczy tu: w sporze, w niezgodzie.
w. 56: *zniszczone układy*, może majątkowe.
w. 58: *Płynęły—często—gorsko— ale bez podziału.* T. zn. wojewoda nie dzielił rozpaczy syna, Wacław zapału pychy ojca. — *gorsko* (w A. *gorszko*) obok gorzko, i *gorsknąć* obok gorzknąć zna i Linde.
w. 62: *rycerzy domowego znaku* — t. zn. stanowiących prywatne wojsko domu wojewody (znak = sztandar).
w. 65: *A gdy każdy to szczęście usiłował głosić...* każdy z obecnych — szczęście oglądania znowu wojewody.
w. 67: *W spokojnych jego rysach...* i t. d. podobnie w *Kor-*

Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię —
Świetna mowa, dla ludzi — imię znakomite —
Co w sobie, to na zawsze dla wszystkich ukryte;
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłém wzruszeniu,
W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie — uśmiech igrał na poważnéj twarzy;
A w oczach się mignęła szybka, dzika radość,
Jak kiedy długim chęcióm już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę — choćby na mrowisku.
Spocznie? — oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

V

Do późnéj nocy w zamku zgiełk i tentent trwały;
Do późnéj nocy trąby i wiwaty grzmiały:
Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły śklniły od srebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty —
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,

---

sarzu Byrona (I. 10)... »the lightest palenes thrown a long the govern'd aspect, speak alone of deeper passions«.

w. 68—69: *tylko dzielne ramię, świetna mowa...* i t. d. — charakterystyczne dla stylu Malczewskiego skróty myśli; domyślne: na zewnątrz widoczne: tylko dzielne ramię... i t. d. wszystko to bije w oczy z samej postawy wojewody.

w. 76: *chęcióm...* tak w A. i w I. wyd.

Muzyka z swą melodją przebiła się czasem.
Do późnéj nocy, twarze — ostre — malowane —
Przodków w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących — i ruszać wąsami.

VI

W ustach mieszka wesołość — w oczach myśl
[zgadnienia —
W głębi to, w głębi serca robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzie zbierze,
I Pycha, i Pochlebstwo śmieją się — nieszczerze.
Może tak w dawnym zamku — bo w rznięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już ucichli surmacze; Sen Szczęście osłania;
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;

---

w. 88: *Muzyka z swą melodją przebiła się czasem* — poprzez wesoły hałas uczty, z którym zresztą tony jej (»huczne«) były w zupełnej zgodzie.

w. 93: *...w oczach myśl zgadnienia* — tego co się wewnątrz drugich kryje? Taki domysł mógłby nasuwać wiersz następny — ale tylko domysł.

w. 94: *W głębi to, głębi serca...* i t. d. podobnie w *Korsarzu* (I. 10) »Within, within — 'twas there the spirit wrought!« Cała pierwsza część tego ustępu przypomina nadto początek II. pieśni *Pana wysp* Waltera Scotta, gdzie z powodu podobnych okoliczności (uczta) znajdują się podobne refleksje i gdzie również widzimy możnego pana dręczonego tajemną zgryzotą a udającego wesołość.

w. 97: *...bo w rznięte podwoje* — rzeźbione. »Bo« tutaj niczem nie uzasadnione.

w. 99: *Już ucichli surmacze; Sen Szczęście osłania* — surmacze: ludzie grający na surmach (rodzaj trąby) (w A. przekreślone: *klarnety*). *Sen Szczęście osłania:* obraz alegoryczny złożony z dwu personifikacyj — sens ten, że t. zw. szczęście jest samo rodzajem snu — nieszczęście jest tylko przebudzeniem.

A jeszcze — w boczném skrzydle obszernéj budowy,
Gdzie dzielny Wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska —
Jeszcze stuk chodu słychać — lub ciężkie westchnienia,
W przerwaném tępotaniu, wracają sklepienia.
Nicht tam nie zawołany wnijść się nie poważy —
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy —
Tam może brnąć już w rozpacz, w niezwykłéj niemocy
Depce burżliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jéj czarném tchnieniu chciał gdzieś znaleźć rękę
Krwawéj zgubnéj przyjaźni — lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczów sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wąskie okno — patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanéj zbierały wyprawy;
Słuchał budzącéj trąby i wojennéj wrzawy:
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,

---

w. 104: *jaszczur* = skóra wyprawna z zachowaniem łuskowatej a przynajmniej chropawej powierzchni. Tu mowa niewątpliwie o rękojeściach szabel oprawnych w »jaszczur« a wysadzanych drogiemi kamieniami.

w. 106: *W przerwanem tępotaniu* — tępotanie: nowotwór zam. tupotu (użytego zresztą w w. 630); w »przerwanem«—bo oczywiście westchnienie słychać tylko wówczas, gdy tupot chodu ustaje.

w. 110: *burżliwym...* tak w A. i w I. wyd.

w. 112: *...krwawéj, zgubnéj, przyjaźni—lub zgasić swą mękę*— poeta ma zapewne na myśli pomoc (przyjaźń) szatana; zamiast *lub* byłoby może stosowniejsze: b y l e; choć może poeta myśli o »zgaszeniu« razem z życiem?

w. 113: *I gdy z gorących oczów..* Stan psychiczny wojewody objawia się fizycznie gorączką — myśl się *żarzy*, mękę chciałby *zgasić*, *duszno* mu — otwiera okno.

Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowéj pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W ślniącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywéj, słodkiéj nucie
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie:
Nie dla niego — on nie chciał na widoku zostać —
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennéj nocy — poranek rozprasza.

---

w. 122: *Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli* — słońce tu uosobione w postaci niewieścicj — przytem *różowa pościel* wskazuje jako źródło literackie obrazu homerycką jutrzenkę. *Widokres* zam. widnokręgu, rzadko używany, ale Lindemu znany.

w. 127—128: *Dla nich gwar małych ptasząt*... i t. d. użycie c o zamiast k t ó r ą czyni to zdanie niezrozumiałem. Domyślać się dopiero trzeba, że to znaczy: w... słodkiej nucie, którą (co ją) uczucie wyrywa z mokrych rosą dzióbków. *Nb.* w A. i w I. wyd. zamiast *nucie* jest *nócie.*

w. 129: *Nie dla niego*... — Podobnie jak wojewoda nie może znieść blasku czystego poranka — tak Lara Byrona cofa się przed widokiem cichej, pogodnej nocy: »It was a moment only for the good... Such scene his soul no more could contemplate, a night of beauty mock'd such breast as his« (I. 10).

w. 131: ...*Jak te straszące mary*... i t. d. — Podobnie też i Lary »bristling locks of sable, brow of gloom... glanced like a spectre's attributes and gave his aspect all that terror gives the grave«.

VII

Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy —
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje; i szybkim obrotem,
W ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrżmiała długiem echem do sklepienia drżąca —
Aż łagodniejszą ziemię lżéj kopyto trąca;
I ciszéj, ciszéj brzęcząc — już słabo — z daleka —
Głuchy dochodzi odgłos i coraz ucieka.
Dopiero to na polu — gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce — bujają wesoło;
I pstrym swoim proporcem nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią:
Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi;
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;
A na ich bystrych oczach siedziało Zwycięstwo,
A na ich serc opoce kwitły wierność, męstwo,
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec.
Lecz któż on? Jakiż chwały czy szczęścia rumieniec

---

w. 134: *Mężnego towarzysza wierny szeregowy...* Towarzysz: szlachcic, właściciel konia i pachołka — tutaj »szeregowego«.

w. 137: *Zagrżmiała* — tak w A. i w I. wyd. *...długiem echem do sklepienia drżąca — Do sklepienia* — prawdopodobnie należy rozumieć: aż do sklepienia.

w. 138: *Łagodniejszą ziemię* — mniej ubitą, nie brukowaną, mniej twardą.

w. 143—144: *I pstrym swoim proporcem nim sławy dostąpią...* i t. d. — kąpią się w świetle, zanim przy pomocy swych lanc z pstremi proporcami (chorągiewkami) zaczną się kąpać w sławie.

w. 147: *A na ich bystrych oczach siedziało Zwycięstwo...* — w A. poprawiono w wyrazie Zwycięstwo *z* na *Z*, natomiast *wierność* i *męstwo* w następnym wierszu małemi literami — widać więc świadomie tylko Zwycięstwo widział poeta upersonifikowane i nie

Lniane chcą cienić włosy? Oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy i jaśniejszy od chwały połysku
Ten blask — co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech — w którym może choć część zachwycenia,
Z jakiém wybrani słyszą Cherubinów pienia.
Na lotnym jechał koniu — i nad jarów brzegi
Poprowadził w porządku milczące szeregi;
Znikli w zarosłą przepaść — aż krążąc parowy,
Jeszcze raz świetne z krzaków ukazali głowy;
Jakiś na wzgórku rozkaz młodzieniec dał znakiem —
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali,
Wietrzyk z Rosą jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII

I ciche, puste pola — znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za niemi bierze:
Włóczy się wzrok w przestrzeni, lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie:
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci —
Czasem kracząc, i wrona i cień jéj przeleci,

należy go pod tym względem poprawiać, jak to wielu wydawców dotąd czyniło.

w. 155: Zob. Przypis poety na końcu.

w. 159: *Znikli w zarosłą przepaść — aż krążąc parowy...* W zarosłą przepaść zam. w zarosłej przepaści — bo poeta pisząc *znikli* myślał: zapadli; *parowy* — narzędnik: parowami.

w 164: *Wietrzyk z Rosą jak dzieci, piaskiem przysypali:* piaskiem przysypali: przenośnia — a raczej porównanie i przenośnia jednocześnie. Właściwa interpunkcja byłaby: jak dzieci piaskiem, przysypali.

w. 168: *...ni spocząć nie znajdzie* — domyślne: na czem.

Czasem w bliskich burjanach świérszcz polny zaćwiérka,
I głucho — tylko jakaś w powietrzu roztérka.
To jakże? Myśl przeszłości w téj całéj krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie;
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie — chyba lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne, co zardzałe leżą,
I koście, co niewiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozlęgłe w świéżem jeszcze ciele;
Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak Rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez granic.

IX

Pod staremi lipami Miecznik dumał stary;
I dźwigał w zwiędłéj głowie utrapień ciężary:
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiźnie,
Nosił i jasne barwy gdy służył ojczyźnie.

---

w. 171: *Burjany* — (ukr.) burzany: wysokie trawy stepowe.
w. 173: *To jakże? Myśl przeszłości...* — trzeba rozumieć: myśl o przeszłości.
w. 179—180: *Tam znajdzie pełne ziarno...* i t. d. — może to przeciwstawienie *robactwa*, rozlęgłego w epoce dopiero co minionej, *pełnemu ziarnu* w rodzajnym popiele epok dawniejszych należy rozumieć symbolicznie. W takim zaś razie powierzchnia *pól*, po której błądzi Rozpacz, oznaczałaby teraźniejszość.
w. 182: *Jak Rozpacz — bez przytułku...* i t. d. — w *Giaurze:* »Woe without name, or hope, or end«.
w. 185—186: *Chociaż ten czarny żupan...* i t. d. Zdanie przyzwolone nie jest tu jasno uzasadnione. Oczywiście też nie *ten żupan* nosił niegdyś jasne barwy, tylko miecznik. Prof. Brückner uważa *czarny żupan* za metonimję znaczącą tyle co »miecznik« (*Przegląd Warszawski* 1923, str. 46).
w. 186: *Nosił* — w I. wyd. przez omyłkę (przestawienie liter): niosł.

Ojczyźnie! któréj imię wśrzód boju i rady,
I spornego wyboru, i hucznéj biesiady,
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już zciemniał — ej! minął,
I boli tylko życie a kwiat jego zginął.
Dumał — i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebîty grożącéj sromoty;
O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętéj pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!
Lecz potém? — dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci — gniewu — a może i wzgardy.

X

Przy nim młoda niewiasta — czemuż kiedy młoda
Tak zamglonym promieniem świeci jéj uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech Cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, wpośrzód gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka, jéj lica zrumieni,

---

w. 189: *...a serce jak w wiośnie...* — w wiośnie *licentia poet.* zamiast na wiosnę; podobnie gdzieindziej: w cmentarzu, w poście (zam. na poście).
w. 193—4: *...i przeszłe żale, obecne zgryzoty pokrył kir...* i t. d. To znaczy, że myśl w grożącej teraz sromocie czarniejszą chmurą okrywała czoło miecznika niż wszystkie inne dawniejsze i obecne troski i zgryzoty.
w. 201: *kiedy młoda* — w A. *jeśli* młoda.
w. 205: *A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości* — zam.: Smutek, który czoło schyla w cichości.

To tak mdłém, bladém światłem — jak gdy księżyc [w pełni
Niezwykłém życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień:
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a śmieci jak zorza.
Podobna do owoców Umarłego Morza,
Pod których śliczną farbą, wśrzód trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, — znajduje — popioły.
Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu;
Ani łzy, ani żalu w jéj mglistém spojrzeniu;
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny;
Tylko zniknęłéj nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jéj oczach paliła,
I zgasła — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI

Przy nim młoda niewiasta nad Księgą Żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary; i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.

---

w. 218: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 219: *Mozoł* — Forma żeńska zam. męskiej w owym czasie pospolita. Por. Karpińskiego *Laura i Filon:* »Czy w każdym roku taka z kochania jak w osiemnastym mozoła?«
w. 220: *Podróżny widzi nektar*... widzi w znaczeniu: spodziewa się; już, już widzi — a tymczasem...
w. 227: ...*nad księgą Żywota* — nad Pismem św.

A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonéj Pokory,
I drży nić, którą serce do nieba związane:
To kropla słodkiéj rosy upadła w jéj ranę.
I wznosząc w górę oczy, z tym tkliwym wyrazem, —
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie Przyszłość do Przeszłości, po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo,
Rozbłąkanéj w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłódła,
Tęsknić szlachetnéj duszy do swojego źrzódła!
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jéj twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie —

---

w. 231: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 231—234: *A że nad przepych świata... widniejsze...* i t. d. oczywiście widniejsze niebu czy Bogu. *Do nieba związane* — zam. przywiązane, lub też związane z niebem, *drży nić* — drga głębokie uczucie religijne.
w. 235: *...z tym tkliwym wyrazem:* w A. *tkliwym* na miejsce przekreślonego: słodkim.
w. 237: *Gdzie Przyszłość do Przeszłości...* i t. d. Przyszłość szczęśliwa zlewa się z szczęśliwą przeszłością, co się odbija w zachwyconem spojrzeniu.
w. 240: *Rozbłąkanéj w swym żalu swego szczęścia zgubą: rozbłąkać się* — według Lindego: ze wszystkiem się zabłąkać, zawikłać. Kniaźnin mówi o »rozbłąkanych włosach«. *Swego szczęścia zgubą*—zdaje się zam. z p o w o d u zguby swego szczęścia.

Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z Hebrajską rodziną,
I w spólnictwie niedoli, czując trwogę świętą,
Poznał — też samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka;
Też same zawsze troski wygnańca — człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

XII

»Ojcze! ja nazbyt długo w miłych myśli kole
Obłąkałam się dzisiaj — a na twojém czole
Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
Jak promyk, co z obłoków na wyniosłe góry
Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa?
Tu — na łonie; nie bój się — teraz żal nie spływa
Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany
I wstał, schylonéj córki łzami zapłakany!

---

w. 255: *I w spólnictwie niedoli, czując trwogę świętą...* t. j. w poczuciu, że z pod owego prawa, które byt utożsamiło z cierpieniem, nie była wyjęta nawet Rodzina Najświętsza. W A. *niedoli* na miejscu przekreślonego nieczytelnego wyrazu — podobnego do: *poświęceń*, lub: *powinnem*.

w. 262: *Obłąkałam się dzisiaj...*, por. w. 240: »Rozbłąkané w swym żalu«.

w. 265—266: *Jak promyk, co z obłoków...* i t. d. — te dwa wiersze znajdują się także w wierszu: *O jak przykro* (por. obj. do w. 24).

Sroga nieszczęść igraszka: — i tak zżółkły parość
Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
I tak zaparte czucia długiém uciśnieniem,
Rwąc tamę méj rozwagi, lały się strumieniem.
Ah! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
Widzieć Rozpacz grożącą i nie móc się wrócić!
Ah, jakże to okropnie w przymusie zostawać,
Ręką, co chce lekarstwo, truciznę podawać!
Ojcze! drogi mój ojcze! czyż już żadnéj chwili,
Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
Gorszka jéj była dola — ale to już przeszło:
Patrz, jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniéj,
I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu — jak dawniéj.
Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
Tak lube! tak ulotne! i mojego tata
Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa,
I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie —
Póki się nie rozjaśni i śmiać się nie zacznie.

---

w. 271: *parość* = gałąź wyrastająca u nasady pnia.
w. 273: *I tak zaparte czucia* i t. d. — szyk niepotrzebnie przestawiony; powinno być: I tak czucia, zaparte długiem uciśnieniem i t. d.
w. 275—276: *Ah! jakże to boleśnie...* i t. d. — znaczy: jakże boleśnie jest cofać się myślą do chwili, w której nieszczęście będące teraz już za nami było przed nami i było do odwrócenia, jakże boleśnie cofać się do tej chwili myślą tylko, w poczuciu, że w rzeczywistości wrócić już do niej nie można.
w. 281: *Gorszka* — tak w A. i w I. wyd. — Por. w. 58.
w. 286: *Tak lube! tak ulotne!* — ulotne, zdaje się, w znaczeniu: przemijające.

I gdzież to się podziała tej dziewczynki władza?
Pierwéj zganiała chmury, a teraz sprowadza;
I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął;
A nasz śliczny kanarek, gdzież to się obraca?
Chciał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca.
O! póki ten, co w moim na zawsze był sercu,
Nim go moim nazwałam na szlubnym kobiercu —
O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
Brzmić w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach [ulatać,
W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
Było więcéj niż szczęście, było dla mnie niebo —
Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
Zostawił łzę wdzięczności, któréj czas nie zmiecie,
O! póki ten mój miły, ten świat mojéj duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy;
Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom:
Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko:
Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,

---

w. 291—296: *I gdzież to się podziała...* i t. d. Te trzy pytania i odpowiedzi mają rytm piosenki.
w. 294: *Mruczał na swą nikczemność* — narzekał, że maleńki.
w. 298: *na szlubnym* — tak w A. i w I. wyd., i tak zawsze pisze Malczewski wyraz ślub i ślubny.
w. 300: *Brzmić* — tak w A. i w I. wyd

Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie —
Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
Ludzi już nie zobaczą — lecz niebo łaskawsze!«

Rzekła — i jak w stojącéj a popsutéj wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadłe na spodzie,
Z serca jéj wyszły czucia, co w łzach długo mokły —
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.

»Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
Wolałbym w ciemnéj turmie pewnéj czekać zguby,
Niźli patrzyć spokojnie na te smutne śluby;
Alboż to naszéj Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
I tak jak dawniéj było — rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek za wiano!
Nie, Marjo! nie trza wzdychać — twego nie obrażam,
Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam;
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,

---

w. 313: *Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia*: – telepatyczny niejako wpływ duchowy na uczucia »umarłe« zresztą tylko w tym sensie, że bezpłodne, nieczynne, skoro im wyrwano ich przedmiot. W A. *uczucia* na miejscu przekreślonego: *czucia*.
w. 328: *Co to pannom umieją* — zam. d o p a n i e n.

I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem:
Taż to u naszéj szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy Przyjaźń sciemnieje.
Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie;
A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy;
I gdyby twoja matka (daj jej niebo Panie!)
W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie;
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach smakiem
Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem —
Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować;
Anibym jego złości dozwolił grasować.
Bo cóż to ja zastałem? Żonę zmiotła kosa —
A córę — szczep jedyny — z łez poléwa rosa!
Dla staréj karabeli zbyt to wielkie dziwy,
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.

---

w. 336: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 339: *Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie* — Możni panowie polscy nieraz przyprowadzali z sobą na sejmy hufce nadwornego wojska. Miecznik oczywiście swoją własną siłą zbrojną nie rozporządzał i mówiąc »nasze hufy« ma zapewne na myśli z jednej strony hufy wojewody, z drugiej zaś hufy jakiegoś możnego przeciwnika wojewody, którego sam był adherentem.
w. 340: *A nasze veto krzyczy jeszcze i w rozejmie* — *Veto* założone przeciwko jakiejś uchwale forsowanej przez stronnictwo wojewody trwa w mocy mimo chwilowego zawieszenia broni między nim a partją, do której należał miecznik.
w. 344: *W swe rańtuchy*... i t. d. — rańtuch: długa chusta.
w. 347: *Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować* — Nigdyby ktoś z wrogiego stronnictwa (w tym wypadku Wacław) nie mógł potajemnie przebywać w granicach (kopce graniczne) mego majątku.
w. 349: *Żonę zmiotła kosa*... — oczywiście kosa śmierci.

Alboż choć raz do serca me dziécie przytulił?
Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił?
Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania;
I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania!
O! co tak, to najlepiéj! I mnie to rozwiąże —
Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę;
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą:
To w końcu téj tam waśni — dzwony się odezwą!«

Otarł znużone czoło, czapkę głębiéj wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

XIII

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa,
Skąd to kozak przypędził, że taka kurzawa?
I zsiada — i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.
Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie;
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona.

---

w. 353: *Alboż choć raz do serca me dziécie przytulił?* — naturalnie wojewoda.
w. 357: *O! co tak, to najlepiej* — Poeta stara się w sposobie mówienia miecznika odtworzyć jaknajwierniej język potoczny, codzienny· Więc: *trza* (w. 331), *taż to* (w. 373) i podobnie też tutaj.
w. 358: *Wysunie raźna młodzież*: należąca do przeciwnej wojewodzie partji — Miecznik grozi tu wojewodzie t. zw. zajazdem.
w. 360: *...dzwony się odezwą* — na trwogę, lub też pogrzebowe.
w. 361: *...czapkę głębiej wmiesił* — wtłoczył.
w. 370: *Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona* — w A. przekreślone: *z matki wyssał łona.*

I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
Wśrzód wiodącéj go zgrai jak władca wygląda;
Zwinne jego obroty, kroki jego letsze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,
A barania mu czapka, za każdém ruszeniem,
Miga gdyby chorągiew, czerwonym płomieniem —
Pomiędzy chwast, zarośle — gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu —
Aż przed pana Miecznika stawi się z orszakiem.
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!

»Czy masz pismo?« — »Jest Panie — i jeszcze list [wczora
Oddałby, nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,
Ale że czart na stepie tumany wyprawiał, —
To żeby was z Jéjmością Bóg od złego zbawiał«. —

---

w. 373: ...*kroki jego letsze*—Formy stopnia wyższ. letszy obok lżejszy używano wówczas i w literackim języku, np. Trembecki w *Zofjówce.*

w. 375—6: *A barania mu czapka... miga czerwonym płomieniem:* czapki kozackie miały zwisające dno z czerwonego sukna.

w. 382: *Oddałby, nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,* — *świsnął:* poleciał, wyruszył galopem (por. w. 36: »I jak wiatr świsnął stepem z pilnymi rozkazy«). *Oddałby, świsnął,* jako 1 os., zam. oddałbym, świsnąłem, charakterystyczny prowincjonalizm kresów ruskich, wprowadzony rozmyślnie.

w. 383: *Ale że czart na stepie tumany wyprawiał...* Lud ukraiński »wichry nocne«, które stają się przyczyną zmylenia drogi — przypisuje złośliwemu działaniu czarta — por. Goszczyński *Zamek Kaniowski* (»Bibl. Nar.« Nr. 44 str. 48). *Tuman* tu w podwójnem znaczeniu: mgła i omamienie (por. otumanić kogoś).

w. 384: *To żeby was z Jejmością Bóg od złego zbawiał* — Poprzedniego zdania — ekskuzy swojej kozak już nie kończy. Wymówiwszy słowo czart — przerywa ją, żeby odrazu odpędzić zły urok. Poeta sposób mówienia kozaka odtwarza z całym realizmem.

»Że wasze mi z listami spóźnił się — to gorzéj:
Czyj kozak, co się djabłów, abo ludzi trwoży?« —

»Ałboż wam nie świadoma krasnych czapek sława,
Co z rodu panom wierna? — czyj? — Grafa Wacława!«

Czyta Miecznik: gdy w Marji ockniouém wejrzeniu
Nie czcza tylko ciekawość — życie w przesileniu;
Jéj łono podniesione w lekkiéj pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali;
Jéj lica płomień zajął z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem — jak suchot kolory.

»O kozaku i koniu niech mają staranie!
Ja wraz listy odpiszę — Waszeć czekaj na nie.«

Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne, czarne oczy spojrzał rozczulony;
Skłonił nisko Ichmościom, i co bądź się zdarzy,
Kozak z służbą odchodząc — wesoło im gwarzy.

---

w. 387: *...krasnych czapek sława* — krasnych: czerwonych (z czarnym barankiem).

w. 390—394: *Nie czcza tylko ciekawość...* i t. d. — cały ten opis objawów zewnętrznych tego, co się w tej chwili dzieje w Marji — przypomina mocno następujący ustęp w *Pani jeziora* (II. 32) Waltera Scotta: »In Ellens quivering lip and eye *(w ocknionem wejrzeniu)* had Douglas mark'd the hectic strife, where death seem'd combatting with life (*życie w przesileniu*) for to her cheek, in feverish flood one instant rush'd the throbbing blood«. (*Jej lica płomień zajął z pod serca zapory*). I tutaj też jest scena między ojcem i córką.

w. 397: *Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony* — to zn. przez wrodzoną hardość udawał małą wrażliwość na łajanie (miecznika). W A. *grzmiące* na miejscu przekreślonego: *brzmiące.*

XIV

»Niechaj kto ludzi zgadnie! — Jeśli to nie zdrada
To mojéj biednéj Marji radość zapowiada.
Pisze mi Wojewoda w cukrowych wyrazach,
Że mamy już zapomnieć o naszych urazach;
Że żałuje za grzechy — nie tylko ogłasza
Swój afekt dla synowéj, ale w dom zaprasza:
Więcéj jeszcze — takiego, jak mówi, zamęścia
Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia;
Pragnie więc, żeby wprzódy w wojennéj potrzebie
Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie:
I gdy właśnie Tatarzy grasują w téj stronie,
Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;
A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
Że tę co umie kochać — potrafi ocalić!
Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć«. —

»Dziś? ja go zobaczę?
O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
Ale na cóż te bitwy? Czyż z twarzy wyrazu,
Że śmiały i szlachetny, nie widać od razu?
Jednak to rzadko ludzi jak pan Wojewoda,

---

w. 407: *zamęścia* zam. ożenienia. Błąd pospolity w potocznej mowie i dlatego w ustach miecznika nie rażący.
w. 414: *Że tę co umie kochać* — zam.: tę którą umie kochać. Poeta nie zauważył widocznie dwuznaczności.
w. 419—420: *Jednak to rzadko ludzi jak pan Wojewoda...* i t. d. *rzadko ludzi* zam. mało ludzi albo raczej skrót zam.: rzadko się spotyka ludzi. Zachodzi wątpliwość, komu te dwa wiersze przypisać. W autografie rozmieszczenie cudzysłowów i prócz tego jeszcze odstępy na szerokość jednego wiersza między tem co mówi miecznik a tem co mówi jego córka — wskazują, że poeta wkładał te słowa w usta Marji. Atoli

Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!
Ojcze! ja taka blada — on mnie się przerazi;
Może się dużo zmartwi — może się obrazi —
Trzaby się trochę przywdziać — jakże znajdujecie?
Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!« —

»Czekaj! czekaj — przed siecią nie złapiesz szczupaka;
Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka:
Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
A dlaczego wżdy siedzę? bo się wzad oglądam;
Zobaczym tych rycerzy — mnie się wszystko roi,
Że jakieś mataczyny Wojewoda stroi«.

Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie;
Słychać z dala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie:

---

w I wyd. cudzysłowy przydzielają je miecznikowi. Czy zatem poeta rozmyślił się przy korekcie, czy też tylko nie zauważył omyłki składacza? Wszak nie zauważył też braku cudzysłowu zamykającego o cztery wiersze niżej. Skłaniamy się do tej drugiej alternatywy i przywracamy omawiany dwuwiersz Marji. W ustach miecznika jako ironja nic licowałby z jego usposobieniem — bez ironji byłby już nadto naiwny i zresztą wówczas słowa: *lecz mnie ciebie szkoda* byłyby już stanowczo niezrozumiałe. Jeżeli te słowa wypowiada Marja, w takim razie odnoszą się one oczywiście do Wacława, z myślą o niebezpieczeństwie, na jakie go ojciec naraża.

w. 425: *...przed siecią nie złapiesz szczupaka* — warjant przysłowia: nie łap ryb przed niewodem.

w. 426: *...zagrać w straszaka*: gra w karty, pospolita i teraz jeszcze w Małopolsce pod mianem ferbla.

w. 428: *Wżdy:* staropolski wyraz = przecie, oto. *Wzad* = po za siebie, t. j. na niebezpieczeństwo grożące ze strony wojewody.

w. 430: *mataczyny* — wyraz używany w starszej polszczyźnie (por. Linde); dziś: matactwa (krętactwa).

w. 431: *...rozlega się brzmienie* — w A. i w I wyd.: *brżmienie*.

Już wyprzedziwszy hufce, co w wolnéj szły mierze,
Stanęli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.
»Wacław«! krzyknęła Marja — i prędzej niż strzała,
Kirem okryta postać do niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświéca
Młode szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodném spojrzeniu jaśniało wspaniale
Wdzięczne serce młodzieńca w całéj swojéj chwale!
I na tle przeźroczystém pociechy rozlanéj
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanéj:
Mężny — wyniosły — miły — po niszczącéj burzy
Różowy blaskiem tęczy, co mu przyszłość wróży —
Z jakąż lubą rozkoszą w każdéj żyły biciu
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką, tkliwe drżące łono,
Skrytéj cichéj pieszczoty utulił obroną!
Precz złocisty luzaku — weź tego rumaka —
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.

---

w. 441—2: *I na tle przeźroczystem...* i t. d. Tu pierwszą część zdania należy rozwinąć, w drugiej przestawić szyk: I na tle przeźroczystem rozlanej na twarzy pociechy jaśniały słodkie sny duszy kołysanej przez nadzieję.

w. 445. *Z jakąż lubą rozkoszą...* — w A. *lubą* zam. przekreślonego: *żywą*.

w. 447—8: *Z jakże pyszną opieką...* i t. d. — Tutaj wyrazy *opieka* i *obrona* służą do odmalowania gestu, w którym »utulenie« przybierało równocześnie jakby kształt osłonienia.

w. 449: *Precz złocisty luzaku...* — *luzak*: służący, pacholik pancernego towarzysza.

A ty panie Mieczniku spocznij — moja rada;
Kręci się łza w twem oku i na wąsy spada,
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja?— ah! i Marja czuła się szczęśliwą!
Szczęściem niewiast — dla których słodkie w życiu [chwile
Są jak pogodne niebo — gdy piorun grzmi w tyle!

XVI

»No, panie zięciu!« — Miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami:
»W tym, widzę, dzikim świecie wiatr pociechę wodzi;
A ledwo witać zdążysz — żegnać się przychodzi!
Tą razą nie na długo — mężnie się postawim,
Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim.
Dobrze mówią, że twarda powinność rycerza —
Kiedy mu zwłaszcza Miłość wygląda z pancerza —
Ależ po krótkim znoju, spokojnéj swobody
Użyć bezpieczniéj można na wesołe gody,
Skoro dóm mój uczciło takie lube goście;
I w kielich się uderzy — i nie będziem w poście.

---

w. 455—6: *Szczęściem niewiast...* i t. d. Jest to jakby inaczej trochę wyrażona myśl W. Scotta: »When lovers meet in adverse hour, 'tis like a sun-glimps through a shower; a watery ray, an instant seen the darkly closing clouds between« (*Rokeby* IV. 27).

w. 459 *W tym, widzę, dzikim świecie wiatr pociechę wodzi* — t. zn. żadna pociecha nie jest stałą.

w. 461: *Tą razą* — zam. tym razem — prowincjonalizm pospolity do dziś dnia, napotykany zresztą i u pisarzy naogół poprawnych, n. p. u Koźmiana w *Pamiętnikach.*

w. 462: *...to się nie zabawim* — to nie zabawimy zbyt długo.

w. 467: *Skoro dóm mój uczciło takie lube goście* — to goście (goście?) — niby archaizm, dowolnie jednak wymyślony przez poetę. *Dóm:* w A. i I wyd.

Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni —
Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany;
Bo to ten piękny rycerz w bakaljach chowany.
O winie ja pomyślę — i gdy w onym stawie
Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,
Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia,
Tatar rosę pić będzie — ja za zdrowie zięcia!
Co teraz, to was żegnam; po ciężkim frasunku
Milsza jeszcze pomyślność — na cnoty kierunku!
Ja ludziom oręż rozdam, siebie też przysłonię,
Ale jak w trąby wrzasną — to zaraz na konie!«

XVII

Poszedł. — Na świetném, zimném rycerza ramieniu
Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnym cieniu;
Czarne warkocze dźwięczą, bo w łusce pierś harda
Giętką kibić nie ciśnie, choć ściska dłoń twarda;
Stalowa odzież — w świecie i Przyjaźń złośliwa,
Wdzięczne serce — to Miłość na zbroi spoczywa.

O! jak z spłonionych liców, czułém chciwém okiem
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!

---

w. 470: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 481: *Poszedł. — Na świetnem, zimnem rycerza ramieniu* — zimnem, bo okrytem stalą.
w. 483: *Giętką kibić nie ciśnie...* zdarzający się u Malczewskiego nie ten raz tylko błąd: przeczenie z biernikiem.
w. 485—6: *Stalowa odzież...* i t. d. Myśl nie dość jasna. Prawdopodobnie znaczy: Stalowa odzież — twarda; niestety nic na tym świecie nie jest bez kolców; ale gdy serce wdzięczne — upojone miłością, spoczywa nawet na zbroi, nie odczuwając twardości.
w. 487: *O! jak z spłonionych liców...* i t. d. — Mowa oczy-

Jakby powaby liczył? i znowu nie wierzy,
Czy mu Czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczny połysk, co jéj oczy krasi
Nie znikomy — bo z duszy — chyba go Śmierć zgasi;
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł, i posępną radość,
Co przy żałobnéj szacie aż ćmi przez swą bladość;
I słodki w górę uśmiech — boleści wdzięk cały;
I na tle czystém — plamy — co łzy wymaczały;
Szczęście się jego prędko owlokło jéj chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy — niż u czapki pióro.

»Gdym w stepowéj i w dzikszéj umysłu pustyni
Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini;
Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady:
A koń bił się do domu przez wicher i grady.
Tyś dla mnie zeszła Marjo! i w brzasku mych myśl
Tyś dla mnie zeszła Marjo! i w brzasku mych myśli
Świetną drogę twe światło ku niebiosóm kryśli;

---

wiście o licach Wacława, spłonionych radością, w przeciwieństwie do bladości Marji. Znaczy to: okiem jakby wybiegającem ze spłonionych liców. *Liców* zam. lic — forma w XVIII w. i na początku XIX w. prawie powszechna. Podobnie nawet: uczuciów, pojęciów i t. p.

w. 495: *I słodki w górę uśmiech...* Marja niższa zapewne dużo od Wacława, miała wzrok i twarz całą wzniesioną ku niemu w górę.

w. 498: *To słabszy, wietszy, bielszy* i t. d. — domyślne: i stał się... wietszy stopniowanie od *wiotki.*

w. 499—500: *Gdym w stepowej...* i t. d. Podobnie mówi o sobie Manfred (Byrona): »My joy was in the Wilderness to breath...«

w. 502: *A koń bił się...* — w znaczeniu: przebijał się.

w. 504: *...ku niebiosóm kryśli* — tak w A. i w I. wyd.

O! szczęśliw — pyszny — wdzięczny — że w zaletném
[gronie
Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
O! błogi, że w twem sercu, przez mokre zrzenice,
Życia — czucia — Aniołów — czytał tajemnice!
Lecz czemuż ta mgła smutku, któréj ciężkiém tchnieniem
Ja oddychał — i ciebie okryła swym cieniem?
Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie,
Tobie mdłym pachnąć kwiatem w krótkiéj swojéj
[wiośnie?
I mnie wydarli wszystko — i więcéj niż tobie —
Ty do nieba należysz, ja się błąkał w grobie;
A czarném pędzon widmem, gdym jasność postradał
Byłbym świętym przedmiotóm srogie ciosy zadał.
Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować;
Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,

---

w. 505: ...*wdzięczny, że w zaletném gronie*... zaletny: pełen zalet; także zalotny (Słownik Lindego).

w. 508: ...*czytał tajemnice* — *czytał* zam. czytałem, tak samo jak w w. 510: *ja oddychał* i w. 514: *ja się błąkał.* Mówi zatem Wacław podobnie jak kozak (w. 382).

w. 511: *tarń* — według prof. Brücknera (l. c. str. 44) Malczewski »chyba *tarń* mylnie napisał zamiast pospolitego *cierń* albo dawnego *tarn*«. Linde jednak przytacza przykłady używania w starszej polszczyźnie *tarń* i *tarnie* (to) obok *cierń* i *ciernie* (to).

w. 512: *Tobie mdłym pachnąć kwiatem*... i t. d. — zdanie zdefektowane; znaczy zapewne: żeby mnie ranić, a tobie już tylko pachnąć. Chyba że *pachnąć* błąd zam. *pachnąc.*

w. 513: ...*i więcej niż tobie* — bo ty masz przynajmniej ostoję w twojej religijności.

w. 517: ...*nie służy żartować* — nie służy = nie wychodzi na dobre (nie zdrowo).

w. 519: *Toby się ojców zamek*... i t. d. Poeta, starając się odtworzyć język potoczny, często wprowadza *to* w znaczeniu: *przeto, więc;* por. w. 521, 527, 529.

I niejeden pokrewny oblewał posoką;
Toby w sercu osiadły ten dym i ich Cienie —
Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!
Nie drżyj — wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył;
Jeszcze pierwéj — jak tylko, żeś moją, oświadczył,
Tak mi tém jedném słowem serce usposobił,
Jak gdyby mi — nikt — nigdy — nic złego nie zrobił.
To wziąwszy moją szablę, któréj blask odsłonię
Nie prywacie, lecz twojéj i kraju obronie;
To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
Tak szybko mnie unosił — jechałem szczęśliwy.
Oh! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem!
Ty nie wiesz — ty co umiesz bez chluby łzy koić —
Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
W których wspomnieniu umysł chciałby istność schować.
Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
Jakbyś się do Aniołów myślała już dostać;
I w nowém udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
Prawie się spytać pragnę — czy mnie kochasz jeszcze?«

»Czy Marja ciebie kocha? Mój drogi, mój miły,
Więcéj niż kochać wolno, i niż mogą siły;

---

w. 543: *...gdy jemu już zadość* — gdy mu (sercu) się stało już zadość.
w. 521: *Toby w sercu osiadły ten dym i ich Cienie, — ich* t. j. tych popalonych zamków i pozabijanych ludzi. W sercu osiadły: t. j. zaciążyły na sumieniu.
w. 524: *...jak tylko, żeś moją, oświadczył...* — wojewoda.
w. 533: *...bez chluby:* nie chwaląc się tem.
w. 536: *istność* tutaj = rzeczywistość, albo też może: »w których wspomnieniu umysł chciałby całe jestestwo zanurzyć (pogrążyć)«.

Więcéj — niż wątłe serce, gdy jemu już zadość.
Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość;
I gdyby nie Tatarzy, co mi w oczach błyszczą,
I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą,
Tak mi letko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
Jakbym w twojém objęciu leciała do nieba.
Czy Marja ciebie kocha? Pytaj się jéj cienia,
Czym dla Marji świat cały bez twego spojrzenia?
Czym dla Marji świat przyszły — bez twego spomnienia?
Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą,
Zniżona całem czuciem przed Stworcy potęgą,
Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
Zaraz mi brzmiało jakby — twego żalu echo!
To może Pan Bóg skarze tak żywe kochanie,
I tatarska ci strzała w serce się dostanie;
Widzisz ten jasny promień? co z liści osnowy
Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
Ten promień żywi — zdobi — każdego weseli;
Czemuż gdyśmy złączeni — on jeszcze nas dzieli?

---

w. 547: *Tak mi letko* — Por. w. 373: »kroki jego letsze«. Zresztą używa Malczewski także formy: lekki, por. n. p. w. 163: »którego *lekkie* ślady...« lub w. 391: »w *lekkiej* pływa fali«.

w. 549: *...Pytaj się jej cienia...* — Co poeta przez ten »cień« tutaj rozumiał — trudno się domyśleć. Może to znaczy: Już nie Marji samej, ale choćby jej cienia tylko — a to samo odpowie. A może: pytaj się tego cienia na obliczu Marji, który cię tak zaniepokoił? Jest to jeden z tych licznych skrótów słownych myśli, które stanowią jedną z charakterystycznych cech stylu autora *Marji.*

w. 551: *...bez twego spomnienia* — to znów może znaczyć, albo: bez wspomnienia o tobie, albo: bez twojej pamięci o mnie.

w. 554: *Gdym chciała ciebie stłumić — ciebie* zam. myśl o tobie.

Próżno, próżno, mój luby — choć usta z ustami,
Patrzaj — chyli się z liściem, i jest między nami:
Ah! wśrzód uniesień bitwy i zwycięstwa wrzawy,
Przypomnij sobie drogi, że promień twéj sławy
Tak czysty, taki świetny, jak słońca na niebie,
Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie —
Oh! niechaj pierwej Marją w ciemnościach zagrzebie!
Nieprawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny;
A gdy już moje oczy wdrążone zgryzotą
Długą, patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą;
Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali —
To może się na miłość Wacław nie pożali?
Cieszyć się twą radością — twój smutek łagodzić —

---

w. 565—6: *Przypomnij sobie. drogi...* i t. d. — Przypomnij sobie moje słowa... Jest to przepowiednia, że sławę zdobytą w bitwie z Tatarami przyjdzie okupić strasznem nieszczęściem, że promień tej sławy będzie miał jaskrawy, krwawy zachód, po którym nastąpi noc niczem nieukojonej rozpaczy.

w. 568; *Oh! niechaj pierwej Marją:...* Przeczucie *Marji* nie jest dokładnie określone. Podobnie jak później Wacław (II, 6) słyszy »w całem swojem ciele głos: Zdobędziesz ty trumnę« — ale ten głos nie mówi czyją i dlatego Wacław w bitwie rozmyślnie szuka swojej — tak też i Marja tutaj ma tylko ogólne przeczucie nieszczęścia, ale w kogo ono ugodzi bezpośrednio, dobrze nie wie. Lęka się przedewszystkiem oczywiście śmierci Wacława.

w. 575—582: *Cieszyć się twą radością...* i t. d. Oddawna już zauważono, że te słowa Marji przypominają nieco słowa Zulejki w *Narzeczonej z Abydos* Byrona, wyrzeczone tam (I, 18) do Selima. Istotnie są podobieństwa frazeologiczne takie jak: »With thee to live, with thee to die« (»*żyć dla ciebie i w tobie — umierać przed tobą*«, albo zakończenie: »To these alone my thoughts aspire« — »*To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci*«. Warto też zwrócić uwagę

Nie myśleć, tylko o tym, w czym tobie dogodzić —
Być twoich chwil osłodą — czasem ich ozdobą —
Żyć dla ciebie i w tobie — umierać przed tobą —
I w téj ostatniéj chwili, choć w cierpień natłoku,
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojém oku —
A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojéj pamięci —
To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję,
I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,
W tkliwéj, smutnéj, jak lubisz, unosząc się nucie,
Te, co nicht nie wyraził — przywłaszczym uczucie.
Ah! — z jak okropną trąby zagrały żałobą!
Oh! nie rzucaj mnie znowu! Oh! zabierz mnie z sobą!«

XVIII

Padła w drogie objęcie, i wygiętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić,
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona

---

na to, że Zulejka czytuje Koran podobnie jak Marja Biblję. Pozatem jednak charaktery tych dwu postaci podobne do siebie nie są.

w. 583: *Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję.* — Podobnie w *Korsarzu* (I, 14) Byrona obiecuje Medora Konradowi: »or my guitar, which still thou lov'st to hear, shall soothe or lull«.

w. 586: *Te, co nikt nie wyraził — przywłaszczym uczucie:* — *te, co nicht* znaczy: to, którego nikt. *Te* zamiast *to* stałe też u Słowackiego, a wogóle (jak stwierdza Brückner) pojawia się już od XVI w. *Przywłaszczym:* wyrażenie zgoła tu niejasne; znaczy, zdaje się: wyrazim, damy mu własny, właściwy wyraz. Uczucie, którego nikt nie zdoła wyrazić (słowami), wyrazimy w muzyce...

w. 587: *Ah! z jak okropną trąby zagrały żałobą!* — Tak też przy pożegnaniu Medory z Konradem: »List! — 't is the bugle — Juan shrilly blew«.

w. 589: *Padła w drogie objęcie...* i t. d. Podobnie Medora: »She rose — she sprung — she clung to his embrace« i t. d.

Tak go czule garnęły do słodkiego łona —
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niém czuł bole.
Nie — zostać niepodobna — chyba sławę skazić,
I zawdzięczając miłość, na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczy swéj kochanki hartować swą stałość!
Ani jéj wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie;
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rozpięte znaki, zwycięstwo ucieka.
Powstał — złożył swą lubę — dzikim ogniem błysnął —
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jéj szczupłe, gładkie, rozkoszne ugięcie
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł — wziął spokojność — przed wzrokiem,
[co czuwa,
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa;
Już w jego prożném miejscu zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, Samotność usiada;
A na odłogu szczęścia Zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi robaczliwéj zdrzeni.

---

w. 595: *Nie — zostać niepodobna — chyba sławę skazić* — To samo czuje w analogicznej scenie Korsarz Byrona.
w. 596: *I zawdzięczając miłość* — *zawdzięczać* w znaczeniu pierwotnem: płacić wdzięcznością, nagrodzić, wywdzięczać się za co (por. Słownik Lindego).
w. 600: *Ni czasu w marnych jękach...* domyślne: nie miał.
w. 603. *Powstał—złożył swą lubę...* W A. *swą lubę* zam. przekreślonego: *skarb drogi. Lubę* prowinc. zam.: lubą.
w. 611: *A na odłogu szczęścia Zgryzota korzeni* — *korzeni* = zakorzenia, zapuszcza korzenie.
w. 612: *Swe kolczyste łodygi robaczliwéj zdrzeni* — przypo-

XIX

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław — i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary Miecznik — i w pędzie zawinął nim koło.
Za niemi brżmią puzany — za niemi, za niemi,
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi;
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara —
Sunie się towarzystwo i w szeregach wiara,
Pancerni i usarzy — za niemi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziécie z pod słomianéj strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może dziki owoc zerwie potym wojna;
A ty matko, co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna,
Nie trwoż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami,
Zapał Polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze — jeszcze słuch łoskotem
Drga dźwięcząc przygłuszony i koni tupotem.

---

mina trochę: the salt-surf weeds of bitternes w *Manfredzie* Byrona (II, 1). *Zdrzeń*: wyr. staropol. = rdzeń.

w. 617: *Za niemi brżmią puzany...* — *brżmią*, tak w A. i w I. wyd. *Puzany* — rodzaj trąby, dziś *puzon* zwanej, ale Linde zna tylko *puzan*.

w. 620: *Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara:* towarzystwo: towarzysze pancerni — szlachta; wiara: żołnierze.

w. 621: *Pancerni i usarzy* — usarzy = husarze; ten wiersz jest bliższem objaśnieniem poprzedniego.

w. 625: *To może dziki owoc zerwie potem wojna* — znaczy: to może sam kiedyś zostaniesz żołnierzem i zginiesz na wojnie.

w. 628: *Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami* — w związku z poprzednim wierszem: nie trwoż się: n i e p ł a c z, bo twoje łzy gaszą zapał żołnierzy.

w. 629—30: *...jeszcze słuch łoskotem drga dźwięcząc przygłu-*

Już we wsi kurz osiada — jeszcze przerywanie
Zdała wojennych rogów dolatuje granie.
I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kryśli;
I pusto — smutno — tęskno — jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry,
Nic nie widać — tylko wiatr szare goni chmury:
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczów w niebo utkwionych, kroplami żal spada;
I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie —
I pusto — smutno — tęskno — jak gdy szczęście minie.

---

szony i t. d. — Jeszcze drga słuch od dźwięku puzonów i szczęku broni, aczkolwiek przygłuszonego łoskotem (?) i tupotem koni.

w. 638: *...kroplami żal spada* — kroplami łez; (por. drops of sadness w *Korsarzu* I, 15).

w. 639: *I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie* — podobne porównania w *Narzeczonej z Abydos:* Soft, as the memory of buried love, Pure, as the prayer which childhood wafts above (I. 7).

PIEŚŃ II

On Conrad's stricken soul exhaustion prest,
And stupor almost lulled it into rest.
Byron

I

»Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
I wrok daleko, próżno, błądzi po równinie:
A w niezbędnéj zgryzocie jeśli chcesz osłody,
Chmurne na polu niebo, i cierpkie jagody.
Idź raczéj w piękne mirtów i cyprysów kraje;
Codzień w weselnéj szacie u nich słońce wstaje;
U nich w czystém powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
I głosy rozpieszczone i rozkoszne tchnienie:

On Conrad's stricken soul... i t. d.: »Na ogłuszoną ciosem duszę Konrada przyszło wyczerpanie i odrętwienie prawie że ją ukołysało do snu« (Byron: *Korsarz* III, 22).

w. 643—4: *A w niezbędnéj zgryzocie...* — niezbędnej zapewne w znaczeniu: nieuniknionej, której się nie można zbyć. Profesor Brückner (l. c. str. 42) przypuszcza, że *ę* jest w tym wyrazie błędem składacza, że poeta miał na myśli stary wyraz: *niezbedny*, który Linde tłumaczy: sprosny, plugawy, brzydki, przytaczając szereg przykładów tego znaczenia. Prof. B. natomiast daje mu znaczenie: przykry. Przytaczamy to ze względu na powagę autora, nie sądząc jednak, żeby miał słuszność. — *Chmurne na polu niebo...* i t. d. — domyślne: zamiast niej (osłody) znajdziesz chmurne niebo i t. d.

w. 645: *w piękne mirtów i cyprysów kraje* — do Włoch.

w. 646: *u nich* — poeta pisze tak zamiast poprostu: t a m (w tych krajach), myśląc widocznie o mieszkających tam ludziach.

U nich wawrzyny rosną; i niebo pogodne,
I ziemia ubarwiona i myśli swobodne;
A na kształtnych budowlach męże wieków dawnych
Stoją w bieli — i pyszni z swoich imion sławnych,
Zapraszają z daleka w czarowne zwaliska,
Bogów i bohatyrów — pająków siedliska.
Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko
Słodycz w rozpaczy znajdziesz i lubość w żałobie,
Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnéj chorobie:
Ale na pola nie chodź, gdy serce zbolało;
Na równinie mogiły — więcéj nie zostało —
Resztę wiatr Ukraiński rozdmuchał do znaku —
To siedź w domu, i słuchaj dumek o kozaku«. —

»Moje młode pacholę, gdzież to ty wędrujesz?
Czy z Ziemi Świętéj wracasz, że tak utyskujesz?«

---

w. 652: *Stoją w bieli...* t. j. jako marmurowe pomniki.
w. 654: *Bogów i bohatyrów — pająków siedliska* — t. j. zwaliska bogów i bohatyrów, a siedliska pająków.
w. 655: *...jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko* — co poeta przez to rozumie, trudno napewno orzec. Może trzeba uzupełnić: głęboko uśpiona. Czyli: jeśli masz sentyment dla rzeczy dawnych, to przyniosła by ci może ulgę »w niezbędnej zgryzocie« kontemplacja tych ruin dawnej świetności; jeżeli nie — to może przynajmniej w »śliczny błękit« włoski wpatrzywszy twe oko, słodycz w rozpaczy znajdziesz i t. d.
w. 662: *To siedź w domu... to* zam.: więc, zatem.
w. 664: *Czy z Ziemi Świętéj wracasz...* Stary sługa Miecznika, który wysłuchał całej powyższej jeremjady nieznanego pacholęcia, tyle z niej zrozumiał, że chłopiec narzeka na ukraińskie pola, przeciwstawiając im jakieś ciepłe kraje. Przypuścił więc, że najpewniej ma na myśli Ziemię Świętą.

»Oh! nie — ja wszystkim obcy wśrzód mojéj ojczyzny —
I Śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny —
I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze —
To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę;
A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę;
Bo w mojéj zwiędłéj twarzy zamieszkała bladość,
Bo w méj zdziczałéj duszy wypleniono radość,
Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy«.
»To czegoż chcesz pacholę?« »Uciec od Rozpaczy«.

II

Stało młode pacholę, pod płotem zostało,
Na smutek, co się skarży, uważają mało,
A ten, co z niém rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczérzył w inną stronę wzrok cały otwarty —
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakiem zbliżały się maski.

I

»Czy znasz Weneckie zapusty?
I w noc, i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie;

---

w. 666: *I Smierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny* — Śmierć — zapewne wszystkich blizkich; — por.: Ja wszystkim obcy i t. d.
w. 673: *Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy...* — Słowa bardzo niejasne. Prawdopodobnie znaczą: Bo pod wpływem anioła mego losu grób ujrzę w blasku t. j. jako coś bardzo pożądanego, zbawczego.
w. 676: *Na smutek, co się skarży...* — Smutek jest tu uosobiony (w pacholęciu).
w. 678: *Wyszczérzył w inną stronę.. wzrok* — wytrzeszczył

Maska twarz kryje — a kto się pyta
O sprawy czyje, tego przywita
Wrzawa, śmiech pusty.
Żywo, radośnie,
Skrycie, miłośnie,
Staruszek Doża, Arlekin młody,
Dziewczyna hoża, szuka osłody;
Matrony, księża, oszusty,
Swobody;
A kryte łodzie
Czernią na wodzie.
Wrzawa, śmiech pusty
Czy znasz Weneckie zapusty?«

2

»My sobie jedziem kulikiem;
I w noc, i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie;

---

w. 684—5: *...a kto się pyta o sprawy czyje..* i t. d. znaczy: każdemu coby się pytał o to, co się kryje pod tą czy ową maską — odpowie tylko wrzawa, śmiech pusty.

w. 691: *Matrony, księża, oszusty...* — W I wyd. i za niem we wszystkich dotychczasowych wyraz *księża* zastąpiony kropkami. Autograf jednak wskazuje wyraźnie, że wyraz ten został usunięty nie przez poetę, tylko przez cenzora. Przekreślony bowiem został tymsamym atramentem, którym na rogu każdej stronicy cenzor Łubkowski kreślił swój podpis: *Łub.* Tymże atramentem jest napisany na marginesie obok wyrazu księża znak korektowy ϑ. Wobec tego zgodnie z intencją poety przywracany tekst autografu.

w. 694: *Czernią na wodzie:* zam. czernią s i ę.

w. 697: *My sobie jedziem kulikiem...* Kulik = korowód sań, w których jeżdżą od dworu do dworu zamaskowani i poprzebierani w różne kostjumy uczestnicy

Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć
Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem.
Szczéra ochota
Otwiera wrota;
Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
Żydzi, Cyganki, uderzą w pary;
Wróżki, Djabli, nie oszusty,
W puhary:
Lecim saniami,
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty;
Czy znasz ty Polskie zapusty?«

»Ale tu wejść nie można — teraz nie zapusty —
Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty«.
Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość;
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać
Poczęły wszystkie larwy — a nogami pląsać;
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe — w migające koła;
I farby, blaski, cienie rozwijać w polocie;

---

balów, urządzanych w t. zw, »ostatki« karnawału, czyli zapusty.

w. 706: *Żydzi, Cyganki uderzą w pary*: puszczą się parami w taniec.

w. 707: *Wróżki, djabli, nie oszusty* (uderzą) w puhary; nie oszusty: w przeciwieństwie do weneckich zapustów w Polsce maskowanie się ma jedynie żart na celu, nie zaś użycie sekretne zakazanej swobody (por. w. 692—3).

w. 718: *Poczęły wszystkie larwy...* — larwy = maski.

I skoczno, zwinno, huczno rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącéj głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział jak się pomiarkować:
Śmiał się z Żydów, Cyganek; bał Wróżek z Djabłami;
I chciwie łapał ruchy — i mrużył oczami. —
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce — zatrzymały nogi —
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem:

»Ah! na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

A gdy się troski do duszy wkradną,
Hucząc w niéj chmury czarnemi;
A gdy nieszczęścia na kogo spadną;
I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
Smutek nachyli ku ziemi;
O! niech na chwilę Złość się już schowa,
Rany sztyletem nie cuci...
Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
Wróci spokojność — wróci!

---

w. 723: *...myśl wzięła tańcować...* — wzięła (lud.) = zaczęła.
w. 729—30: *Aż wykrojone usta zadmuchawszy...* i t. d. Błędnie (gallicyzm): zam. aż, gdy wykrojone usta zadmuchały...
w. 735—745: *A gdy się troski do duszy wkradną...* i t. d. Mowa tu o duszy Marji. Ta pierwsza strofa pieśni — jak również i refren: *Bo na tym świecie...* i t. d. zapowiadają śmierć Marji. Pierwszych pięć wierszy strofy maluje stan jej duszy w obecnej chwili; następne, pełne współczucia, życzą, żeby przynajmniej przed zgonem ukoił ją ktoś zapewnieniem, że »spokojność wróci«.

Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

Albo gdy nieba cud nad chorobą,
  Gołąb' — od przeklęstw odleci;
I władzę życia zabierze z sobą;
A wyschłe lica nadmie żałobą
  Wprzód nim gromnica zaświeci;
Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
  Tryumfu pieśni nie nuci. . .
Chyba te słowa w końcu umieści:
  Wróci twój Anioł — wróci!

Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

A gdy kto chętny w drugich obronie,
  I sam się w przepaść zagrzebie?

---

w. 746—54: *Albo gdy nieba cud nad chorobą... gołąb* — tak nazywa poeta Marję. Życie jest chorobą; posiadanie takiej córki lub żony jak Marja jest cudem nad chorobą (por. w. 658: »jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnej chorobie«) — *Gołąb'* (tak w. A., I. wyd. i u Lindego) — *od przeklęstw odleci:* porzuci ten przeklęty padoł. *I władzę życia zabierze z sobą...* i t. d. — Malcz. ma tu myśli miecznika. Jemu to śmierć córki zabiera z sobą władzę (zdolność do) życia, wprzód nim mu zabierze życie samo (wprzód nim mu gromnica zaświeci). Z wyprawy na Tatarów powróci Miecznik zwycięski; ale niechże mu nikt z tego powodu i dla uśpienia boleści z powodu zgonu Marji »tryumfu pieśni nie nuci« — chybaby go równocześnie zdołał przekonać, że jego anioł — wróci!

w. 757—65: *A gdy kto chętny...* i t. d. — Miecznik sam się zagrzebał w przepaść przez to, że »chętny w drugich obronie« a łatwowierny równocześnie — dał się wojewodzic wyprowadzić w pole. Ale krótka będzie radość wojewody. Sąd ostateczny jest w nie-

Krótka stąd radość w Zawiści łonie;
Choć złe i dobre w grubéj zasłonie,
  Sąd ostateczny jest w niebie;
Może w kłopocie i silna głowa
  Posępnie kiedy się rzuci. . .
Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
  Wróci wesołość — wróci!

Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

A gdy kto, dążąc z dalekiéj drogi,
  W mieszkanie Przyjaźni zajdzie?
I już w uściskach topić ma trwogi?
Lecz ciche, puste przebiegłszy progi,
  Twarzy kochanéj nie znajdzie;
Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
  Spuszczone czoło zasmuci. . .
Niech choć Gościnność, kręcąc się, powie:
  Wróci gospodarz — wróci!

---

bie i nawet silna głowa (w znaczeniu *esprit fort)* wojewody na myśl o tem »posępnie kiedyś się rzuci«. *Niech z ust życzliwych...* i t. d. — Wszystkie strofy jednakowo kończą się aktem współczucia. Nawet wojewodzie życzy poeta, żeby go ktoś pocieszył wśród zgryzot sumienia, słowami: »Wróci wesołość — wróci!« Bo cierpienie uważał za godne współczucia, bez względu na to, jaka jest tego cierpienia przyczyna.

w. 768—776: *A gdy kto, dążąc..* i t. d. Ta ostatnia strofa jest zapowiedzią ustępu 15-go, w którym Wacław po powrocie z wyprawy na Tatarów będzie z najwyższym niepokojem pukał do pogrążonego w grobowem milczeniu domu miecznika. *Wróci gospodarz —*

Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie«.

»Ha! — Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie Duchy,
To wasze pstre maszkarki wesołéj otuchy;
Alboż to nam pierszyna? wszak nieraz kuligi
Po całych tu miesiącach skakały jak frygi:
Prosim — Jegomość wróci — a choć nie jest w domu,

---

wróci! — gospodarz — w tym wypadku oczywiście: Marja.

w. 780: *To wasze pstre maszkarki wesołéj otuchy*... Fakt, że powyższa pieśń takie *wesołe* wrażenie zrobiła na starym słudze, musi (mimo, że nam poeta nie dał żadnego prawa do podejrzywania tego famulusa o lotność umysłu) wywoływać duże zdziwienie. Nie mniejsze jednak powinien wywoływać i ten fakt, że ową przesmutną pieśń, pełną tak rzewnego współczucia dla tragedji wszystkich (po kolei) czterech głównych osób poematu, śpiewają zbirowie, którzy za chwilę mają dokonać ohydnego morderstwa. Oba te fakta wytłumaczyć można chyba tylko w ten sposób, że co innego śpiewały maski w rzeczywistości a co innego słyszał w ich pieśni przeczuwający ich czyn poeta. Pieśń rzeczywiście »wrzaśnięta« przez maski, była w tak jaskrawym kontraście z tragedją, której miały się stać sprawcami, że Malczewski słysząc tę pieśń w swojej wyobraźni a równocześnie wiedząc, jakiej ona »jest otuchy« (co zapowiada), rzeczywiście nie mógł się oprzeć pokusie przetłumaczenia jej niejako na język swojego własnego jej odczucia. (Takie też mniej więcej przypuszczenie wyraził pierwszy p. Bol. Szomek w artykule p. t. *Z praktyki szkolnej* w »Muzeum«, Lwów, 1903). — Zauważyć tu jeszcze należy, że ta druga pieśń masek może się stać zrozumiałą dopiero dla tych, którzy treść poematu już znają.

w. 781—2: *pierszyna* lub pierwszyna = nowina, nowa rzecz (zob. Sł. Lindego); dziś utarło się: pierwszyzna. *Kuligi* — tutaj przez *g* na końcu (w w. 697 było: *kulikiem*) dla rymu do *frygi*, albo raczej poprzednio *kulikiem* dla rymu z *krzykiem*. — *Fryga:* zabawka zwana dziś częściej b ą k i e m.

Na winie i pierzynie nie braknie nikomu«.
Weszły — nizko kłaniają — w parach się prowadzą —
Obzierają się wkoło — i kupią, i radzą.

III

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki;
A żółtém drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome rozsiewa promienie;
I w krótkiém pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Smiertelnym oczom patrzyć pozwala na siebie:
Jeszcze — w chwili ostatniéj nie znika z pośpiechem,
By wszystkie twory, życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknéj Przyjaźni, co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury —
Gdy Noc, zazdrośnym palcem ścierając Dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu, dla zbrodni i zdrady.

---

w. 784: *Na winie i pierzynie nie braknie nikomu* — nie braknie zam. nie zabraknie.
w. 799: *Lecz łagodne, widome rozsiewa promienie* — widome t. j. takie, na które już można patrzeć, bo nie rażą.
w. 793—5: *I w krótkiém pożegnaniu...* i t. d. — Podobnie w *Korsarzu* (III, 1) słońce zachodzące »...pauses on the hill – the precious hour of parting lingers still, but sad his light to agonising eyes...«
w. 796: *By wszystkie twory, życia napoić uśmiechem* — por. »*parting smile*« zachodzącego słońca w *Panu wysp* W. Scotta (V, 6).
w. 802: *Ciemny płaszcz wlecze z tyłu...* — por. »night with dusky mantle«. W drugiej oktawie *Beppa* Byrona.

Lecz gdzież bawi pan Miecznik? Właśnie to jest pora,
W któréj przyrzekł po bitwie wziąć się do gąsiora;
I miał żywéj radości w sercu nie uchować,
Dom zebrać, córę szczęścić — bo zięcia częstować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę:
Jakąż niewczesnéj zwłoki może dać przyczynę?

IV

Od chwili, co zwycięstwa odkryła się meta:
Od chwili, co w niéj dosiadł żartkiego dzianeta;
Od chwili, w któréj trąby w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnéj przeszłości jak grom uderzyły;
I widział raźną młodzież — i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni;
I dążąc w drużbie z zięciem, gdzie im sława świeci,
Czuł to co stary orzeł, gdy pisklę z nim leci:
Od chwili, co mu w myśli, wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem —
Hardość w zmarszczoném czole, ogień był w zrzenicy,
Czapka na lewém uchu, zniszczenie w prawicy,

---

w. 805—6: *I miał żywéj radości w sercu nie uchować...* i t. d. — w sercu nie chować, tylko ją okazać na zewnątrz, dom zebrać, córę szczęścić = uszczęśliwiać. *Szczęścić* jako sł. przechodnie, niegdyś często spotykane obok: szczęśliwić; dziś używane tylko w zwrocie: szczęść Boże, i to nie *was*, ale *wam*.

w. 809: *Od chwili, co zwycięstwa odkryła się meta* — *co* zam. w której (por. w. 811).

w. 814: *Trzask goleń...* i t. d. — goleń zamiast: goleni, a to zamiast: nagolenic.

w. 815: *w drużbie:* w parze (zob. Słownik Lindego).

w. 817—18: *Od chwili co mu w myśli, wstecznym kręcąc biegiem...* i t. d. — Zdanie bardzo zagmatwane: *co mu w myśli* zam. gdy mu w myśli; *wstecznym kręcąc biegiem.* podczas gdy ta myśl cofała się wstecz, w przeszłość.

Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie strząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś — mieczem z pochew świsnął,
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,
W bitne hufce patrząjąc, że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie:

»Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!
Wiem, żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi;
A ktoby się miał straszyć Tatarskiego tańca,
A ktoby życie szczędził srogiego pogańca,
Niech mi tu precz na szkapie do domu wyskoczy —
Bobym mu potym kordem zamalował oczy!
To szybko, łącznie, śmiało, — strzałki wystrzelają —
Bóg wiara — ufność szabla — i łby pospadają,
Jak kłosy, co to niby migocą się świetnie,
Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
Ale nicht nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie;
To cicho — bacznie — mądrze — aż gdy huknie w trąbie,
Wpaść obces i pokazać, że to Polak rąbie:
Wtedy dopiero każdy niech mi ryb nałowi,
Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!« —

w. 821: *walek* — dziś nieużywana, ale właściwie poprawniejsza forma niż *walk* (zob. Brückner l. c. 42). — *strząsać* — w znaczeniu dzisiejszem: *wstrząsać* napotyka się jeszcze na początku XIX w. dość często.
w. 825: *W bitne hufce patrząjąc, że aż serce rośnie...*—znaczy właściwie: patrząc na hufce tak bitne, że aż serce rośnie na ich widok.
w. 829: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 833: *To szybko, łącznie...* i t. d. zob. obj. do w. 519.
w. 834: *Bóg wiara — ufność szabla* — skróty zam.: wiara (nadzieja zwycięstwa) w Bogu, ufność w szabli — oto hasła.

Potym jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze;
Mówił śpiegów wywiadki; tłumaczył jak, kędy,
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy;
Jak korzystać z zwycięstwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru;
Słuchał zajęty Wacław — gdy ręka i głowa
I każdy rys Miecznika popierały słowa;
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza,
Żywość w starcu, w młodzieńcu Rozwagę wyraża.

V

Tymczasem wieś minąwszy, z bitéj schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiéj, wpędzali w odłogi; —
Gdzie wiatr ziarna zasiewa, Czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu Chciwość, ni schyla się Praca —
Samotne — ciche — błogie — dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki,
Niebo je obejmuje — gdy w całym przestworze
Rozfarbionéj żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca
Szybował swojém wojskiem w kierunku bez końca;
Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła

---

w. 843: *Potym jadący szłapią...* — szłapią, lub człapią (mian. szłap' lub człap') = sporym krokiem (końskim).

w. 845: *Mówił śpiegów wywiadki...—śpiegów*—tak w A. i w I. wyd. Wywiadki obok wywiady, używane np. przez Naruszewicza (zob. Linde); *mówił wywiadki* zam: mówił o wywiadach.

w. 861: *Rozfarbionéj żyzności...* i t. d. *Rozfarbionéj* = rozigranej tysiącem barw.

w. 864: *Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty...* i t. d. krzą (stary wyraz) = kruszą.

Składają pod kopyta balsamiczne czoła;
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie;
Ni lubość tchu słodkiego w groźném biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochóm pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy,
Gdy zszedł Tatarskich śladów kręcone obłędy —
Co wśrzód gęstych zarośli niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnéj poznaki —
Lecz w poprzek przerzynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się — jak strzelec, gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce — złączone hufce — w umyślnym fortelu
Rozdzielił na dwie części — dla jednego celu:
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie;
Z swojemi w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodjaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie —
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie —
Już kołpaki — proporce — już znikli jak w wodzie

---

w. 869: *prochóm...* tak w A. i w I. wyd.
w. 871: *Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy... zszedł* = napotkał; obłędy = labirynty: kręte linje zwodniczych śladów, porobione rozmyślnie dla zmylenia pogoni.
w. 873: *...dla mylnej poznaki* — dziś używa się jeszcze: dla niepoznaki. W starszej polszczyźnie *poznak* i *poznaka* znaczyły to samo, co *znak* i *oznaka:* to po czem się poznaje.
w. 873: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 881: *Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie* — bodjaki kwitną czerwono; stąd też w następnym w.: *na skrwawionym spodzie.*

VI

I Wacław, pan wszechwładny wśrzód stepów przestrzeni
Sam buja w swojéj woli — czegoż tak się mieni?
I Wacław dziki, mężny, wśrzód dzikiéj natury
Wiedzie hufce do chwały — czegoż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy — czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty,
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty,
A dla czego? sam nie wie, — tylko że mu Sława,
Łzami Marji spłakana, przed oczami stawa;
Tylko że jego serce w takiém nagle drżeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił — w trosce — i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy —
Jakby się pozbyć starał zimnéj na nich rosy;
Szybkiéj konia w wyskoku przychylił się woli —
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w téj chwili,

---

w. 887: *Wiedzie hufce do chwały — czegóż tak ponury*? Podobnie pyta Byron w *Korsarzu* (I, 17). »Why doth he start — and inly seem to mourn?«

w. 889: *Śpiewa mu głośno wicher...* »loud sung the wind above« (*Korsarz* II, 7).

w. 899: *Szybkiéj konia w wyskoku przychylił się woli* — t. j. pozwolił się ponieść rwącemu się koniowi.

w. 901—904: *A w jego mglistych oczach...* i t. d. Myśl zawarta w tych wierszach jest najprawdopodobniej następująca: Najwspanialszem świadectwem nieśmiertelności duszy w śmiertelnem ciele jest zdolność opanowywania uczuć wysiłkiem woli. Otóż na śmiertelnej twarzy Wacława zabłysło nagle nieśmiertelne światło zwycięstwa odniesionego nad wszyst-

Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięstwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnéj twarzy.
To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła — zbijały go z drogi;
To jakiekolwiek losy zwalczą jego czynność:
Już teraz miłośnicą — rycerska Powinność!
Czy Duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką Nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem?
Może on w boju legnie? — Co bądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie ulęże snadnie;
A chociaj Śmierci oddech mgłą oczy zasłoni,
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie
Dno porze, i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska, i wiatry wymija;
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,

---

kimi smutkami. Gmatwa tę myśl wiersz: *I wszystkie razem smutki w zwycięstwie rozżarzy;* należy go właściwie rozumieć: I wszystkie razem smutki zwycięży i to zwycięstwo rozżarzy się na twarzy światłem nieśmiertelności.

w. 911: *Czy struny, natężone tkliwych władz wysnuciem*.. *Struny* (w A. i w I wyd. *strńny*) oczywiście: struny duszy (nerwów) – *tkliwych władz wysnuciem:* tkliwych dyspozycyj uczuciowych — roztkliwieniem się przy rozstaniu z Marją.

w. 912: Zob. Przypis poety na końcu.

w. 921: ...*niecofnięty w swym ciemnym zawodzie.* — *Zawód* tu = bieg życia, w sensie przeznaczenia.

Rozdarłszy tło przyszłości, co mu na przeszkodzie,
Tém chciwiéj, tém gwałtowniéj na sztych się wydziera
Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera:
A jednak, głos straszliwy (choć spojrzenie dumne)
Brżmi w całém jego ciele — »zdobędziesz ty trumnę!«

VII

Jest trosków — kolców — bolów — nie mało w tém
[życiu;
I więcéj, niż na jawie, płynie łez w ukryciu:
A kto się hucznym śmiechem wśrzód jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu — szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł, szlachetnéj uległszy ponęcie,

---

w. 922: *Rozdarłszy tło przyszłości, co mu na przeszkodzie:* znaczy, zdaje się: rozdarłszy tło ciemne swych myśli o przyszłości, co mu przeszkadzały w oddaniu się »rycerskiej powinności«, która teraz powinna być jedyną jego miłośnicą. *Rozdarłszy* = zniszczywszy, usunąwszy wysiłkiem woli.

w. 923: *...na sztych się wydziera* — Sztych = ostry koniec miecza; wydzierać się na sztych: szukać niebezpieczeństwa.

w. 924: *Groźnym pewności wzrokiem... pewności* = pewności siebie; a groźnym oczywiście: dla wroga.

w. 926: *Brżmi* — tak w A. i w I. wyd.

w. 927: *Jest trosków, bolów...* i t. d. Trosków — zob. obj do w. 487. Zresztą M. używa także formy: trosk np. *trosk nie czując* w II, 15.

w. 930: *Jak szalony w szpitalu — szczęsnym się nazywa* — robi wrażenie manjaka, któremu się tak właśnie zdaje, że jest szczęśliwym, jak innemu się będzie wydawać, że jest n. p. królem i t. p.

w. 931—48: *Lecz gdy umysł...* i t. d. Cały ten mocno zawiły ustęp wyszczególnia różne sytuacje, w których cierpienie ludzkie przekracza już zwykłą normę ziemską i staje się poprostu piekielnem. Jest trosk, bólów... i t. d. mnóstwo w tem życiu, — szczęście jest ułudą — to wszystko zwykła ziemska norma; z tem

Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwéj ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem —
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepocze swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła —
Gdy sroższéj od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet Odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych, co jéj w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży —
Gdy Złość w swojém szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwéj sławę,

---

się człowiek jak najprędzej musi pogodzić — zrozumieć, że byt ziemski i cierpienie to jedno. Kto tego nie widzi, jest chyba ślepym albo warjatem. Lecz bywają takie cierpienia, że pogodzić się z niemi niepodobna. Tak n. p.: 1) *gdy umysł, szlachetnéj uległszy ponęcie...* i t. d. — to wyraźnie wypadek Wacława, (a także miecznika, który uległ szlachetnej ponęcie wyprawy na Tatarów). 2) *Gdy ptak...* i t. d. — tu już trudno określić, co poeta ma na myśli. *Chłopię z pałeczką* — pałeczka widocznie część jakiegoś przyrządu do chwytania ptaków. 3) *Gdy sroższéj od najsroższych...* i t. d. prawdopodobnie Wacław (Odwaga) w chwili, gdy na widok trupa żony i oznak najsroższej męki na jej twarzy (p. ustęp XVI) natychmiast poczuł w sobie »gniazdo syczących węży« — odrazu stał się »ziemi ohydą«. 4) *Gdy Złość...* i t. d.: tu nietrudno odgadnąć, że *Złość* to Wojewoda, a *anielska dusza* to Marja — ale co znaczy: wydrzeć życie ale pierwej *sławę?* — co znaczy, że jej (Marji) Obecność tarza się w ohydzie, a Przyszłość idzie otruta? Domyślać się znów tylko można, że wojewoda, nim się na zbrodnię zdecydował, wprzód jeszcze, żeby uzyskać argumenty do starania się o rozwód, usiłował Marję zniesławić. Tak działał istotnie w stosunku do Gertrudy Komorowskiej Franciszek Potocki. — »Wydrzeć życie w *kaduku*« — wyraz *kaduk* znaczył w języku dawnej palestry: spadek bezdziedziczny i beztestamentowy... Wydrzeć w kaduku — wydrzeć bezprawnie.

I nie tylko Obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta, rozczochrana idzie,
Komu? anielskiéj duszy, co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta —
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia: —
Większe to niźli ziemskie, piekielne cierpienia!

Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze,
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę;
Ci, co za nim rzędami w śklniącéj gonią fali,
Na smutek swego wodza nie wiele zważali:
Każdy myślał — i chociaż różnica w sposobie,
W tém przecież podobieństwo, — że każdy o sobie;
A jednak każdy gotów z wzniesioném żelazem
Rzucić się w ciennik Śmierci — za jednym rozkazem.
Szli — w milczeniu — w porządku — konie koniom [w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy —
Kędy ich długim sznurem, wedle swojéj chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci;
Przez niezmierzone niwy — tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina,
Dochodząc — naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak Rycerze powietrzni wydali się oku.

---

w. 949: *Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze...* Poeta przypuszcza, że takie lub tym podobne wizje (p. wyżej) nawiedzały pod wpływem nieokreślonego przeczucia wyobraźnię Wacława.

w. 956: *Rzucić się w ciennik Śmierci* — Ciennik u Lindego w pierwszem znaczeniu: zasłona od słońca lub świecy, w drugiem: miejsce cieniste. Używa też tego wyrazu Zaleski w wierszu p. t. *Przechadzka poza Rzymem* (»Augustowskie cienniki«).

VIII

Lecz cóż widać na wzgórku? Z bliskiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry,
W ciężkie — czarne — skrwawione — rozchodzą się
[chmury.
Lecz cóż słychać na wzgórku? W przyległéj nizinie
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy w słomianéj dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwém brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą — westchnieniem.
»Baczność! — do broni wiara! — chorągiew rozwinąć!
Tatarzy wieś rabują, — zwyciężyć lub zginąć!«
I nagle jak wodoskok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak — pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął;
Gdy lud zlękły, bezbronny, w krwi i łzach utonął:
Lecz nie czas koić boleść, ni mienie ratować,
Lub pojedyńczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już — przez swoje czaty ich Han ostrzeżony
Zebrał znaczniejsze ordy w taniec ulubiony;
Tam — za wsią — stoją — całe zakrywają pole —
Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole:
Widzi ich dobrze Wacław; ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? Ej! któż zdoła minąć
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
»Czyja wola, to za mną« rzekł, i spiął rumaka,

w. 971: *w słomianej dziedzinie*: zam. w chatach krytych słomą.
w. 975: *wodoskok* = fontanna (znany Lindemu).
w. 977: *...wieś całą ochłonął...* = ogarnął. Linde zna wyraz *ochłonąć* tylko w tem właśnie znaczeniu.
w. 984: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 986: *Że napad uchybiony* — zam. chybiony.

Co nim się rzucił w pożar, zżyma się i wskaka
(Mniéj ów, niźli Graf Wacław, odważny i dziki).
Jakżeby wodza Polskie odstąpiły szyki?
To i oni w płomienie — wśrzód blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia, szukają swéj drogi.
Już za wsią — i wraz szybko, sfornie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko; i w linji ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwię-
[kiem —
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i Zemsta i Chwała.

IX

Dzielne było natarcie: Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy
Cały ten widok wreszcie, w dzikość okazały —
Pożar — stepy wokoło — świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach Polskich zrobiły wrażenie.

---

w. 990: *wskaka* — Linde formę: wskakać podaje jako już wyszłą z użycia. Tu *wskaka*, nie *wskacze*, dla rymu.

w. 1002: *Ich księżyce, buńczuki...* i t. d. — półksiężyc: godło wiary w Mahometa; buńczuk: ogon koński na drzewcu — godło władzy.

w. 1006: *W których śnie srogość...* — Dlaczego *śnie*? Może poeta ma na myśli brak (sen) duszy w tych oczach.

w. 1009: *...jak z bodźców odzienie* — z kolców. Ale *bodziec* znaczy także: podnieta, i tu ta dwoistość znaczenia wyzyskana.

Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom — pyskiem pyska —
Gdy w półobręcz wpadali — wsławionem prawidłem
Skrzydło Tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
»Alla hu!« wrzasły hordy, i tysiączne roty
Na opasanych — strute wypuściły groty.
»Hura!« krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała — w śrzodku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą — zbitym w rzędy tłumem —
Lasem dzid najeżonych — z hukiem, z trzaskiem, z szumem;
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana:
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało — bo z boków, i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonéj sile:
Czas ginąć hufcom Polskim; młody wódz je zbiera —
Zachęca ich — szykuje — obraca — naciera —
Dopiero mieszanina — każdy obskoczony,

---

w. 1012: *...koniom* — tak w A. i w I. wyd.
w. 1023: *Koncyrze, kopije:* koncerz = długi, prosty miecz używany przez polską husarję.
w. 1030: *Zachęca ich — szykuje — obraca - naciera* — por.: »Commanding, aiding, animating all« w *Larze* Byrona (II, 15). Sytuacja jednak podobniejsza w *Korsarzu*, gdzie Konrad jest w podobnem zupełnie położeniu jak Wacław tutaj i Seid podobną gra rolę jak tutaj Han. *Zachęca ich* — błąd; powinno być zachęca *je* (hufce).

Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają,
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

X

W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam — bez wsparcia — nadziei — świadka — przyjaciela —
Walczył ponury Wacław; i walczył już o to,
Żeby życia, co cięży, nie oddać z sromotą,
Śmierć miotał, śmierci pragnąc — oh! bo w serca głębi
Pisk taki jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonją jego myśli: lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
Widzą — poznają wodza — i każdy koleją
Rzuci się, zmiesza, zginie — zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitném okiem rozpoznał młodzieniec
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,
Smutku tylko doświadczył z téj dziwnéj korzyści —

---

w. 1033: *Rąbie, sili, morduje...* po każdym z tych czasowników domyślne: się (w związku z poprzedzającem: »na wszystkie wywija *się* strony«.

w. 1043: *Harmonją jego myśli* — Tu czegoś brakuje; trzeba się domyśleć: jest (harmonją jego myśli). Zdaje się że Wacław odczuwa telepatycznie chwilę mordowania Marji *(Pisk gołębia pod dzióbem jastrzębi).*

Że już jego przeczucie na nim się nie zjiści:
Czemuż choć jednéj strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?!
Żal mu, że już uchodzą — życia się obawia —
Goni ich srogie dusze — piersi im nastawia!
Zaraz, zaraz — otyły, brunatno czerwony
Han Tatarski tam wpada, wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega — że to męstwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę — z rozpaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia: o! zgrozo! o! wstydzie!
Na jednego tysiące z zmarszczoną powieką
Miecze wznoszą — już lecą — rozsieką! rozsieką!

---

w. 1052: *Że już jego przeczucie na nim się nie zjiści* — Przeczucie to mówiło: »Zdobędziesz ty trumnę« — ale nie mówiło czyją. Wacław szuka tedy śmierci. chcąc, żeby to przeczucie sprawdziło się na nim a nie na Marji. Gdy ta śmierć zdawała się wyraźnie przed nim uciekać: *smutku tylko doświadczył z téj dziwnéj korzyści...*

w. 1054: Zob. Przypis poety na końcu.

w. 1060: *Postrzega — że to męstwo samotnego męża...* Por. w *Korsarzu* (II, 6): »Seyd perceives, then first perceives how few compared with his, the Corsairs roving crew«.

w. 1061: *Targa kłaczystą brodę:* Podobnie w *Korsarzu* (II, 4) o Sejdzie: »he tore his beard...«

w. 1064: *Miecze wznoszą...* i t. d. Ogólna dyspozycja przebiegu bitwy w *Marji* przypomina bitwę w *Grażynie* Mickiewicza. Wojsko mniemanego Litawora zastaje również nieprzyjaciół uszykowanych i Grażyna podobnie jak Wacław uderzywszy na oślep w środek ściany nieprzyjaciół, wywołała wśród nich zrazu popłoch zaciekłością swego męstwa. Dopiero gdy zauważono, że ciosy jej są zadawane słabą jakby niewieścią ręka, sytuacja się zmieniła i stała się dla Grażyny krytyczną — podobnie jak tu dla Wacława.

XI

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świéże hufy czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz, krzyżowym zamachem,
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnéj postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie.
Jak lwica, opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłém męstwem, gdy je w pośrzód ludzi zoczy —
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecie, w radości topnieje —
Z takiém zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świécącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczóm gdyby jakiéj mary,
Obok swojego zięcia — Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie
Tobie należy najprzód, napuszony Hanie!

---

w. 1072: *Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie...* Domyślne: widać. *Pośpiech* i *Szybkość* — personifikacje.

w. 1078: *z lotem błyskawicy* — tu *z* zbyteczne, natomiast brak go w w. 1074: *skoczy zajadłem męstwem*.

w. 1079: *oczóm* (tak w A. i w I. wyd.) zlękłym jakby jakiego widma.

w. 1082: *Tobie należy najprzód, napuszony Hanie!* — W A. *napuszony* nad jakimś innym zamazanym wyrazem. Rola miecznika tutaj, odpowiada zupełnie roli Czarnego Rycerza w bitwie Grażyny z Krzyżakami. I ten w podobnym momencie rzucił się na komtura i przez powalenie go odwrócił losy walki.

Lecą obces na siebie — Polacy, Tatarzy,
W bezczynném zachwyceniu patrzą, co się zdarzy —
Jakiś czas Miecznik zmudził; uderzy — odskoczy —
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy:
Aż wybrawszy swą porę, w odwet, silnym razem,
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie, i gaśnie — z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana:
Strach przejął barbarzyńców; grżmią trąby — rzeź grają —
Nowi rycerze gonią — dawni się zbiegają —
Trzask, iskry — świst z połyskiem — huk — wrzask —
[jęki — rżenie —
A zapylona Sława upięknia zniszczenie.

XII

Krótko już trwała walka — wielu oręż składa,
Więcéj legło, płochliwych straż tylna dopada:

---

w. 1083—4 ...*Polacy, Tatarzy, w bezczynném zachwyceniu* i t. d. Źródłem ogólnem takich pojedynków jest monomachja Aleksandrowa z Menelausem w III ks. *Iljady* Homera.

w. 1085: *zmudził* — ociągał się.

w. 1088: ...*święconém utopił żelazem*: zam. święcone utopił żelazo (licencja dla rymu do: *razem.*) Święcone: por. w. 336: »I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem!«

w. 1091: ...*i gaśnie — z tułupa*... tułup: długi kożuch z rękawami. Tu przen. zam.: tułów.

w. 1099: *Krótko już trwała walka:* — »Short was the conflict« — w *Larze* II, 4.

Na stratowanéj ziemi płyną krwi potoki —
Leżą Polskie, Kozackie i Tatarskie zwłoki;
Jak który upadł, tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola,
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich, posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męstwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięstwa!
Zobacz — jak wpośrzód trupów, co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź — nie drżyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie —
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie:
A jeśli w tobie budzi — życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków — tylko strachu drżenie;
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie:
Opatrz się dobrze wewnątrz — to zlękniesz się siebie

---

w. 1100: ...*Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada* — w A. *płochliwych* zam. przekreślonego: *a resztę.*
w. 1105: *Opodal od nich w kurzu...* i t. d. Ten obraz pobojowiska przypomina analogiczny obraz w *Larze* II, 16.
w. 1109: *Zobacz — jak wpośrzód trupów, co już robak wierci* — domyślne: co je już robak wierci.
w. 1113: *Chodź — nie drżyj...* i t. d. — przypomina frazeologicznie anastrofę z *Korsarza* (I, 10) »Stranger! if thou canst and tremblest not — behold...« (Por.: »zobacz« — w w. 1109).
w. 1118: ...*to zlękniesz się siebie* — spostrzegłszy, że jesteś moralnem *monstrum.*

Chodź — do stalowych piersi twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięcznėm sercem — i całuj ich rany.

XIII

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około;
Na nim, schylone brzozy, w swéj białéj odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak Cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy.
Tam, pod ich snem mroczące, balsamiczne wieńce,
Ściągnęli na spoczynek zwycięzcy i jeńce;
Bo w życiu choć ta jedność — że rozkosz z cierpieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława, kończą się — znużeniem.
Z przodu — gasnący pożar jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem na plac bojowiska;
Z tyłu — słońce, już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem;
Szarzały wszystkie farby — kruki gromadami
Zlatywały się, krążąc, wrzeszcząc nad trupami —
Czaty porozstawiane — przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi — w końskich zębach trawa
Jak chrzęst odległych zbroi — a jak orzeł biały,
Siwy, stary pan Miecznik, ale pełen chwały,
Chłodząc odkrytą głowę, pod brzozą tam siedział,

w. 1119: *Chodź — do stalowych piersi, twój kaftan wełniany...* Kaftan wełniany przeciwstawiony »stalowym piersiom« świadczy, że cała ta apostrofa zwraca się do stanu mieszczańskiego, którego »byt zawisł od współbraci (szlachty) męstwa«.

w. 1128—9: *Bo w życiu choć ta jedność...* i t. d. por. »Where weakness, strength, vice, virtue, sunk supine, alike in naked helplessness recline« — (*Lara* I, 29).

w. 1140: *Chłodząc odkrytą głowę* i t. d. w A. zam. przekreślonego: *Kąpiąc w rosie swą głowę...*

I ponuremu zięciu te słowa powiedział:
»Synu! — bo kiedyś z sercem połączon tak blisko
I masz w niém miejsce syna, miejże i nazwisko! —
Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwéj nici:
Nasz Wacław powrócony — Tatarzy pobici —
Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi —
Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.
Lecz kiedy dusza, zda się, dzierży czego żąda,
Coś Wasze na zwycięzcę smutnie mi wygląda?
Patrzno, jakże ci pięknie księżyc oto wschodzi —
Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi;
Siadaj na koń, śpiesz wesół, kędy szczéra żona,
I wierna wam drużyna, przyjmieć utęskniona:
Ja tu objażdżki dojrzę — a jutro ze świtem
Brzęknę wam na dobry dzień witaném kopytem.
Siadaj — twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
Bądź zdrów! niech ci Bóg zawsze jak ja błogosławi!«

XIV

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę — co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;

w. 1141: *I ponuremu zięciu...* zam.: zięciowi, analogicznie do: ojcu *(lic. poët.)*.

w. 1151: *Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi* — Sławie już się stało zadość, więc teraz już i sercu można pofolgować.

w. 1153: *I wierna wam drużyna...* — W A. *drużyna* zam. przekreślonego *czeladka*.

w. 1154: *Ja tu objażdżki dojrzę...* Objażdżka — patrol, objazd nocnych wart (Słownik Lindego).

w. 1155: *Brzęknę wam na dobry dzień witaném kopytem:* brzękiem podków, witanem przez was na »dzień dobry«. W A. *witaném* napisane po przekreśleniu: *nietrwożném.*

I już bystry koń z jeźdcem przesadza drzew cienie —
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy —
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny pobłysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca malutka się dwoi.
O! jak ślicznie, wśrzód ciszy w naturze rozlanéj,
Lecieć z stęsknioném sercem do swojéj kochanéj!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony, brżmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody, i żab skrzekotanie,
W dzikiéj, tęsknéj, i żywéj, i tkliwéj muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiém tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata.
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała:
Wtedy matką Natura — wszystko z człekiem dzieli;
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:
Wtedy w schowanéj szabli uraz zapomnienie,
W pyszném spojrzeniu — dobroć, w ustach — prze-
[baczenie.
I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle

---

w. 1161: *...przesadza drzew cienie* — W A. *przesadza* zam. przekreślonego jakiegoś innego wyrazu.
w. 1169: *...wyścigać nieścignioną chęcią:* niedościgniona dziś, ale w dawniejszej polszczyźnie często *nieścigniony* (zob. Linde).
w. 1170: *brżmiące* w A. i w I. wyd.; *przerywanie*—przysłówek.
w. 1173: *czuciom* — tak w A. i w I. wyd.
w. 1177: *I dusza rozjaśniona* — staje się rozjaśniona.
w. 1182—86: *I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle...* i t. d. Myśl z powodu opuszczenia jakiegoś ważnego ogniwa bardzo niejasna. W zamiarze poety była

Piorun rozdarł w téj chwili jego życia żagle,
Boby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnéj mogile.
I tak to mijał stepy — lecz świetne marzenie,
Co niém ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh zbyt krótkie! jak widmo wstaje Przypomnienie;
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepczą droszcz i niepokój zgromadzone mary.
»Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
Więdnie pieszczotny powój — a wszak bez osłony
Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? ledwo wrócił,
Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
Dla czego? dla czczéj sławy, któréj blask nie waży
Jednego uśmiechnienia ukochanéj twarzy:
Gdybyż przynajmniej w los swój wierzyć miał powody;
Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
Niepomny, jak to gorżko czas zgryzotą liczyć,
Płochy, wydarł się szczęściu, co mógł odziedziczyć«.
Ah! daléj, prędzéj! Lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty — a brzękiem podkowy,

---

prawdopodobnie ta, że Wacław byłby błogi (w znacz. szczęśliwy: O! jakieżby to szczęście było) gdyby nagle w tej chwili piorun i t. d. Jest to nawiasowa refleksja, poczem poeta nawiązuje przerwany nią wątek, powtarzając: *I tak to mijał stepy.* Po słowach: *chybaby szumiał wściekły po zimnéj mogile* jest w I wyd. przecinek. Musi to być błąd składacza. W A. jest kropka.

w. 1190: *Szepczą droszcz i niepokój...* droszcz = dreszcz, jest i u Lindego.

w. 1199: *Niepomny, jak to gorżko czas zgryzotą liczyć...* t. j. Niepomny, że Marja czas jego nieobecności »liczyła zgryzotą«.

w. 1200: *...szczęściu, co mógł odziedziczyć*: t. j. szczęściu, które mógł wziąć w dziedzictwo (w znaczeniu: w posiadanie).

Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
»Ha! ha!« — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz, i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione;
I zarżał — nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę:
Lecz chociaż księżyc jasny, nie widać nikogo;
Ni giermek do strzemienia szybką skoczył nogą.
»Musi być bardzo poźno — niech śpią — trosk nie czując —«.
Tak myślał młody Wacław, konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą, w któréj serce tonie,
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochaném łonie,
I z tém świetném wejrzeniem, gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem — u drzwi domu stawa:
Ah! ileż wdzięków, pieszczot jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od Aniołów! — Zastukał — raz — drugi — i trzeci —
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy — to jedyny znak ruchu lub życia,

---

w. 1205: *...nim otarł oczy i serca mógł dowieść...* *otarł* zam. przetarł (ze snu—ów wieśniak) — *serca mógł dowieść* — zapewne: poczuć (uświadomić sobie) bicie własnego serca (w znacz. oprzytomnieć).
w. 1217: *I z tém świetném wejrzeniem...* W A. *świetném* zam przekreślonego *słodkiém.*
w. 1221: *Zastukał — raz — drugi — i trzeci...* Cała ta scena przypomina analogiczny powrót Konrada w *Korsarzu* (III, 19) tam też: »He knock'd, and loudly. | footstep nor reply«...

Który tam, drzymiąc, czekał rycerza przybycia;
Ni chodu śpiesznych kroków, zgiełku w nagłéj mowie,
Ni światła — w ciemnéj — cichéj — zamkniętéj budowie.
Oh! jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi,
Że szabla jedném cięciem przez próg przeprowadzi —
Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić;
Wnosić jéj niespokojność, żeby swoją skrócić?
Raczéj niech w jego piersiach burz kończy się droga,
Byleby nigdy do niéj nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał — lecz słabiéj — bo już w serca niebie
Rosło anielskie czucie: zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem — nieraz w pośród ciszy
Zatrzymując się nagle — czy kogo nie słyszy?
Spojrzał na księżyc w pełni — co jego postawę,
W czarnych, olbrzymich kształtach, obalał na trawę —
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!
Uchylił rycerz głowę; widzieć mu się marzy
Jakby szyderski uśmiech w téj pyzatéj twarzy.
I tak dumając smutnie, lub nie myśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,
Błąkał się koło domu śpiącego w milczeniu —
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści,
Jak te zaklęte zamki Arabskich powieści.
Lecz cóż to? Już w zupełnéj nadziei utracie,
Postrzega ruch nareszcie — w sypialnéj komnacie

---

w. 1233: *Jeszcze stukał, lecz słabiéj...* w *Korsarzu* (tamże) = »He knock'd, but faintly«. (Odtąd jednak zachowanie Wacława jest już inne.)

w. 1245: *Miłość, wspomnienia, szczęście...* i t. d. W A. *wspomnienia* zam. przekreślonego: *nadzieja.*

Widzi otwarte okno — i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.
O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pośpieszyły;
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem;
Nie był jednym, ni drugim — umiał walczyć w boju —
Kochać — być wiernym — wdzięcznym. Już Wacław — w pokoju.

XVI

Na nierozsłaném łożu, w żałobnéj odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży;
Ale jéj snu twardego Wygoda nie pieści;
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,
Jeszcze w jéj sinéj twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało;
I długie jéj warkocze spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki Miłość śpiące wdzięki kładzie;
I smutnie się nadęła, wysileniem tłusta,

---

w. 1252: *Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona*.. t. j. pełniąca straż przed ćmami i nietoperzami.

w. 1261: *Na nierozsłaném łożu*... i t. d. Podobnie Konrad w *Korsarzu* zastał za drzwiami, do których nadaremnie pukał, rozciągnięte na łożu zwłoki Medory. Obraz jednak tych zwłok zupełnie odmienny.

w. 1264: ..*jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści* — zam.: jakby za nagłą przerwą, lub: po nagłej przerwie.

w. 1269: *I smutnie się nadęła, wysileniem tłusta* — Poeta rozmyślnie zdaje się używać wyrażeń jaskrawo

Jakby się skarżyć chciała, tylko że jéj usta
Ścięte silniejszą władzą; a promień księżyca,
Co tę posępną postać, migając, oświéca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Marja — rycerz przed nią stoi —
Przyniósł jéj ziemskie szczęście — i czegoż się boi?
To młoda śliczna Marja? Oh! jakże zmieniona!
Czy już się będzie robak tulić do jéj łona?
Ale nie długo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drżeniu;
Schyla się na jéj lica, usta do ust łączy
I słodycz swego serca rozkosznie w nie sączy.
»O! moja droga Marjo! ty zimna i niema —
A dla nas już jest szczęście« — echo mówi: »niema«.
»Marjo! kochana Marjo! w boju mnie widzieli —
Ojciec mię z tobą spoi« — echo mówi: »dzieli«.
Znowu ją pieści — cuci — z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą;
Jéj głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonéj zbroi jękiem odpowiada.
Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom przebiegał —
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca — znalazł nadzieję — może czy nie zetrze

---

brzydkich w kontraście z urodą Marji, aby realizmem obrazu utopionej wywołać grozę.

w. 1274: *Z jaką mizg upiorzycy...* Zdanie niedokończone; wystarczyłoby: jak mizg... i t. d. *Mizg* obok *umizg* jest u Lindego.

w. 1284: *A dla nas już jest szczęście — echo mówi: »niema«.* — Pomysł zapożyczony z *Narzeczonej z Abydos* (III, 27): »Hark! to the huried question of Despair: Where is my Child? an Echo answers — Where?«

Mroku z jéj czarnych oczów otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramie,
W jakież okropne ruchy jéj kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością, co w dół nie przyciska,
Lecz w całém opuszczeniu świeżego zwaliska,
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
Czynią z niéj przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.
»Oh! wody! wody!« wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII

W szaréj chwastów zarośli lekki ruch się zdaje —
Rozsuwają się liście, i czapka wystaje —
I głowa się podnosi — i stanęło ciało,
Co tam w cichém czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pacholęcia, co na świat płakało. —
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza;
Czy strachu, czy uroku schowane tam siłą,
Nie wiem — wyszło z gęstwiny, i tak przemówiło:

»Niech rycerz drżącém sercem nie pragnie tak wody,
Bo w niéj zgasnął dopiero blask ziemskiéj urody;
To te obrzydłe maski, w swéj zdradnéj zabawie,
Śliczne łono téj Pani zatopiły w stawie,
A kto raz ludzi porzuci,
Nigdy już do nich nie wróci.
Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby,
Pobiegli w pogoń — drudzy, po księży i baby;

---

w. 1318: Zob. Przypis poety na końcu.

I dom teraz w cichości — lecz nim zorza znijdzie,
Mrucząc — kadząc — śpiewając — służba Śmierci
[przyjdzie
A kto im raz się dostanie,
Zawsze już u nich zostanie.
Zawsze — oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem
Ciężkiéj straty i żalu stanie się odgłosem!
W miłości i przyjaźni, w każdéj życia dobie,
Tak często powtarzane, a prawdziwe — w grobie,
Bo kto raz ludzi porzuci,
Nigdy już do nich nie wróci«.

I podniósłszy na palcach swoją małą postać,
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść — a w twarzy rycerza
Czarna, czarniejsza chmura coraz się rozszerza;
I znów nagle, rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświéca:
Aż w nim powstała wreszcie ta Ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
Gdy i w najbliższém sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta Chciwość szalona
Krwi — krzyku — dzwonów — płomień popsutego łona,
Co domowéj niezgody rozpala pochodnię,

---

w. 1320: *I dom teraz w cichości...* W A. *teraz* zam. przekreślonego: *zost* (ał).

w. 1324—27: *Zawsze — oh! smutne brzmienie...* i t. d. por. u Byrona w *Korsarzu* (I, 15): »But still her lips refused to send: — »Farewall!« For in that word, that fatal word — howe'er we promise — hope — believe — there breathes despair«.

I w własném swojém gnieździe — zbrodnią karze
[zbrodnię!
Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki —
O! jak bezecnéj Zemście, co nim słusznie miota,
Towarzyszy okropnie Rozpacz i Zgryzota!
A wszystkie razem bole, w osłupiałém oku
Łączy myśl przeraźliwa — Niezmienność Wyroku!
Mniéj straszna w swém nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona.

XVIII

I tak Wacław odrazu wszystko w świecie traci:
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi, swych braci;
I już nigdy swéj lubéj ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Któréj blask, czysty, słodki anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni — serc prożność — powłóczył złu-
[dzeniem;
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni —
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni!
Długo on przy jéj zwłokach stał w nieméj żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiéj złości, i widok jéj skutku

---

w. 1349: *...od wężów jedzona* — forma powszechnie niemal za czasów Malczewskiego używana zam. *przez* węże.
w. 1351: Zob. Przypis poety na końcu.
w. 1352—54: *I tak Wacław odrazu wszystko w świecie traci...* i t. d. — Podobnie Konradowi w *Korsarzu* (III, 21): »The love of youth, the hope of better years, the source of softest wishes, tenderest fears, the only living thing he could not hate was reft at once«.

Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku;
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił:
»Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!«
I gdy w jéj zbrzękłéj twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze Śmiercią mimo niéj zmartwiało:
Pierwszy — ostatni wyrzut — i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście i siebie — zagubił z nią razem;
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie —
Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziécie!
Lecz niedługo — już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciźnie przez jedną minutę;
Już duszy wprzód wyniosłéj, zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło:
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczéj — na co dobroć się tu przyda?
Gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci —
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci —
Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udanéj tkliwości,
Cieszy się ich niedolą, lub szczęścia zazdrości —

---

w. 1367: *Co tam w walkach ze śmiercią, mimo niej zmartwiało...* — Mimo śmierci pozostało, stężało we wyrazie martwej twarzy, mimo że śmierć zwykle kształtuje rysy tak, że sprawiają wrażenie spokoju.

w. 1370: *...i płakał jak dziécie* — Także i korsarz: »like an infant wept« (III, 22).

w. 1372: *...już serce zdradzone, pokłute...* w A. *zdradzone* zam. przekreślonego: *zranione*.

w. 1374–5: *Już duszy, wprzód wyniosłéj, zatknięte to godło...* i t. d. Już los (desperacja) duszy, dotąd szlachetnej, naznaczył jako hasło (godło) dalszego życia zemstę. *Wygnańców swych myśli:* Ludzi, którzy z kręgu swoich jasnych zrazu i pogodnych myśli o życiu i ludziach zostali wygnani przez uczucie ciężkiej krzywdy z ich strony.

w. 1377: *Ah! pytaj raczej* — w *Korsarzu* II, 12: »Ah! rather ask...«

Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon Cnoty stroi się Obłuda —
Gdzie tylko jedna słodycz: — w wzajemnym zachwycie
Serc wiernych, niezgadnionych, zanurzyć swe życie.

XIX

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,
Dla jednych, czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku; aż w późnéj jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni.
Drugim — skwarem ich słońca zbite nawałnice
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda — i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje —
Lecz kto się bliżéj wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże — czarne wewnątrz spalenizny znaki:
A gdy w rażoném drzewie wicher rdzeń rozżarzy?

---

w. 1382: *Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda:* — poeta myślał oczywiście: n i g d y się nie uda.

w. 1385: *Serc wiernych, niezgadnionych...* Nie wiadomo co właściwie Malczewski rozumiał przez słowo: *niezgadnionych* (Por. w. 93: *w oczach myśl zgadnienia* (?).

w. 1387: *Dla jednych czas powoli...* i t. d. Do tej kategorji ludzi należy miecznik.

w. 1390—91: *Drugim — skwarem ich słońca zbite nawałnice...* i t. d. — Znaczy zapewne: przez skwar ich potężnych, gorących namiętności nagromadzone chmury, rzucą z grzmotem błyskawice, przy których blasku ujrzą »dzikie tajemnice« istoty życia (tą istotą jest cierpienie i zło). Do takich należy Wacław (por. w. 1405: »...nie czas ale płomień zniszczy w nim zwaliska«.) Cała ta długa przenośnia przypomina zakończenie *Paryzyny* Byrona: »The tainted branches of the tree« i t. d.

Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.

Co Wacław sobie w życiu może obiecywać,
Trudnoby wytłómaczyć — i straszno zgadywać;
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć — na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał — i chyba to zyska,
Że nie czas, ale płomień zniszczy w nim zwaliska.
To w krótkiém zamyśleniu korząc się przed Bogiem —
Z swym małym przyjacielem, czyli nowym wrogiem,
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty;
A księżyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jéj mości;
I czułém wyręczeniem bezwładnéj Skromności
Jéj członki, włosy, szaty w porządek układa,
Bo ciekawa Złośliwość i w śmierci ogada.
Wtedy — z tęskném wejrzeniem na jéj martwe lica,

---

w. 1397: *Któż pożar od piorunu gasić się odważy?* — Przesąd ludowy zabrania gasić pożar powstały od pioruna.

w. 1406: *To w krótkiém zamyśleniu korząc się przed Bogiem* — *To* zam. więc. Korzenie się przed Bogiem w tym momencie jest w kontraście z obecnemi uczuciami Wacława trochę dziwnym. Może ma poeta na myśli mechaniczne tylko poruszenie kolan i warg, zwykłe u ludzi wobec majestatu śmierci.

w. 1408: *Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty* — Widocznie poprzednio (»ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem«) Wacław wyniósł zwłoki Marji przed dom.

w. 1414: *Wtedy — z tęskném wejrzeniem...* i t. d. Wtedy — t. j. po dokonaniu wyżej wymienionych czynności. Jaśniej byłoby zam. *wtedy* powiedzieć: potem. Taksamo też w w. 1418.

W którém żałość rozstania, lecz i obietnica
Prędkiego połączenia — z uwagą Rozpaczy,
Co każdy rys Nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
Wtedy dobywszy miecza, co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie, i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł — i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole;
Skoczył na koń — a za nim usiadło pacholę.
Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy Duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczérze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem — objął rycerza, i w czwał polecieli.

XX

Na Ukraińskiéj cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A Ukraińskie baby szepczą swe pacierze.
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy — czy pogrzeb, czy to chrzciny —
[śpieszą:
Wewnątrz — kiry, katafalk, i trumna — a w rzędy
Blado się palą świece — czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać wśrzód ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?

---

w. 1419: *...i w trupa zostanie ujęciu...* t. j. nawet martwa już ręka jeszcze go nie upuści.
w. 1423: *Czy szczérze drażni męki...* Wyraz: *szczerze* tutaj niezrozumiały; zapewne znaczy: czy przez współczucie szczere — czy też przez kusicielską złośliwość (por. Aniołem? Szatanem?)
w. 1425: *...Objął rycerza i w czwał polecieli* — por.: »Post equitem sedet atra Cura« (Horacy: *Car.* III, 1, 40).
w. 1426—29: *Na Ukraińskiéj cerkwi...* — Te cztery wiersze mają budowę i rytm jakby ludowej pieśni.
w. 1430: *truna* = trumna.

Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swéj nieméj pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega,
Smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świécą jego oczy.
Ah! to Pana Miecznika siwa, nędzna głowa;
Niedawno żonę stracił — teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
Na to jéj woził lamę, żeby całun szyli.
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potym — ni żalu, ni skargi,
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łzów w hardém spojrzeniu nie było oznaki;
Mniéj z ludźmi, więcéj z Bogiem, a z resztą — jednaki.
Codzień on w jednéj porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca Czujność nadzieję utraca —
Gdy dziko grają trąby — a ze snu, jak z procy,

---

w. 1444: *Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili* — należy rozwinąć: Na to ją huśtał w kołysce, by ją (córę) teraz w trumnie uśpili.
w. 1445: *lama:* materja przetykana złotem lub srebrem.
w. 1450: *Ni łzów*: zob. objaś. do w. 927.
w. 1453: *Lecz nim wydano hasła:* hasła wojskowe strażom rozstawionym na noc.
w. 1455: *I gdy patrząca Czujność:* por. w. 1453 oraz w. 1457; widocznie było jakieś pogotowie wojenne, którego Miecznik był wodzem.

Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy, —
Znaleźli go w cmentarzu; przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość —
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość —
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi —
I żupan ten sam czarny — tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennéj dochodził daleki,
Nie porwał się do korda — już spał — spał na wieki.
I cicho — gdzie trzy mogił w posępnéj drużynie;
I pusto — smutno — tęskno w bujnéj Ukrainie.

---

w. 1458: *Znaleźli go w cmentarzu* — zam. na cmentarzu.
w. 1462: *...wąsy, dla Polski straszydło na wrogi...* t. j. służące Polsce jako straszydło na wrogi (postać Miecznika budziła postrach u wrogów).
w. 1466: *...trzy mogił w posępnéj drużynie* — t. j. w towarzystwie jedna drugiej.

PRZYPISY

(Przypis 1. str. 6, w. 31:)

Minął już Kozak bezdnię i głębokie jary.

Na Rusi, ledwo nie w każdéj wiosce, znajdują się zrzódła lub studnie, osądzone przez pospólstwo za tak głębokie, że im dna brakuje; ale za to każda z tych otchłani wsławiona jaką nadzwyczajną powieścią, a czasem od Duchów strzeżona.

(Przypis 2. str. 13, w. 156:)

Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia
Z jakiém wybrani słyszą Cherubinów pienia.

Wyraz zachwycenia, który dlatego może tak jest ujmującym w pięknéj twarzy, że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje, nie pozwala utrwalić żadnym opisem swego ślicznego zapomnienia się; a tylko pędzel Rafaela, w obrazie Ś-téj Cecylji, zatrzymać go potrafił w całym uroku, jakiemu się nikt, prócz wyobraźni

---

Strona 6... i t. d. — W I wyd. zam. »strona« wszędzie: *karta.*
w. 5: *Od Duchów strzeżona.* — por. obj. do w. 1349.
w. 9: *Swego ślicznego zapomnienia się:* »*swego*« powinno się odnosić nie do »wyrazu zachwycenia« — tylko do osoby, na której twarzy się maluje. *Zapomnienia sie* = oderwania się od rzeczywistości.
w. 11: *Uroku, jakiemu się nikt... nie wpatrywał* — błędnie zam. w jaki się nikt nie wpatrywał lub też: jakiemu się nikt nie przypatrywał.

nie wpatrywał. Ś-ta Cecylja, lubownica muzyki, wystawioną jest w tém malowidle wśrzód narzędzi muzycznych, w chwili, gdy ją dochodzi odgłos Anielskiéj harmonji; i nie masz słów, któreby opowiedzieć umiały uczucie, jakiém uderzona jéj postać: zdaje się, że jéj dusza rozpierzcha się i żeni z każdym z tych słodkich dźwięków, kiedy wdzięczna skromność hamuje ją zamyśleniem, że nie warta tak niepojętego szczęścia, a wśrzód rozkoszy nieznanych jéj sercu wkrada się smutek, że już muzyka ziemska bawić ją przestanie. Największa prostota panuje w całym układzie tego obrazu, twarz nawet Ś-téj Cecylji mniéj ładna, niż twarze niewiast w innych obrazach tego malarza, sama jedynie myśl gienjuszu świeci od wieków w tém szacowném płótnie i nieopisanym wdziękiem do siebie pociąga. Obraz ten znajduje się w Bolonji, i jest policzony przez znawców w rzędzie najsławniejszych Rafaela, a co do swego poetycznego wrażenia, i mego *widzi mi się,* najpiękniejszy, jaki wydało malarstwo.

(Przypis 3. str. 16, w. 218:)

Podobna do owoców Umarłego Morza.

Wiele pięknych przyrównań czytać można w Angielskich poetach do tych szczególnych owoców, które rosnąć mają nad brzegami jeziora Asphaltes, znanego pod imieniem martwego morza.

---

w. 17: *jakiém uderzona jej postać* — raczej: przeniknięta.
w. 18: *Żeni z każdym z tych słodkich dźwięków* — por. w IV cz. *Dziadów*: »jak dwuch lutni zbiegają się głoski harmonijnem ożenione brzmieniem«.
w. 22: *Smutek, że już muzyka ziemska bawić ją przestanie* — por. słowa Marji (w w. 552—5); wogóle z tego przypisu widoczne, że portret Marji »pod jasności wrota wzbijającej ducha wiary« kształtował się w wyobraźni Malczewskiego pod wpływem św. Cecylji Rafaela.

»Like to the apples on the Dead Sea's shore,
»All ashes to the taste«.

Byron. *Harold's pilgrimage. Canto III.*

»Like Dead Sea fruits, that tempt the eye,
»But turn to ashes on the lips«.

T. Moore. *Lalla Rookh, I. 222.*

(Przypis 4. str. 17, w. 231:)

A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonéj Pokory;

Wyrażenie to, stosowne do ducha Religji Chrześcijańskiéj, nie jest może niewłaściwém i co do sposobu, pod jakim się przedstawiają oku, w znacznéj wysokości, utwory dumy lub dowcipu człeka, sama nawet piękność natury, którą mu dojrzeć pozwolono. W podróży mojéj na szczyt góry Mont-blanc, gdzie przez dwie godziny pobytu doznałem uczuć jakich już zapewne w życiu mojém nie doświadczę; w podróży téj straciłem żywy z oczów i z myśli dziedzinę, na któréj panuje człowiek, i tylko z jego siedziby przedmioty białéj farby, a te właśnie, których swą władzą odmienić nie zdołał, rozróżnić się dawały: i tak, widoczne były jeziora: Genewskie, Neuszatel, Morat, Bienne i t. d., jakby rozciągnięte na mroku żagle, kiedy domy, miasta nad ich brzegami stojące,

---

Like to the apples... i t. d.: »Podobne do jabłek na wybrzeżu Martwego Morza, w dotknięciu czysty popiół«. (Byron: *Wędrówki Harolda*. Pieśń III).

Like Dead Sea fruits... i t. d.: Podobne do owoców Martwego Morza, które kuszą oko, lecz na wargach zmieniają się w popiół. (*Lalla Rookh,* najsławniejszy poemat Tomasza Moora),

w. 38: *Co do sposobu, pod jakim się przedstawiają:* zam.: ze względu na sposób, w jaki...

w. 41: *W podróży mojéj na... Mont-blanc* — zob. wstęp str. VI i XIII.

w. 46: *a te właśnie* — *a* jest tutaj albo niepotrzebne, albo też zastępuje *i*.

barwy, blaski, ciemną mgłę tworzyły; podobnie rozpoznać było można lodozwały (*glaciers*), kiedy łąki, lasy, góry nawet znacznéj wyniosłości, lecz niższego rzędu, w szary koło nich mieszały się tuman. Nic jenak wspanialszego i dzikszego, jak widok z góry Montblanc; ale gdy różny zupełnie od znajomych widoków, inaczej go sobie wyobrazić niepodobna, jak wystawując się uniesionym przez jakiego dobrego czy złego Ducha w chwili, gdy Bóg Chaos utwarzał. Wszystko, co dziełem człeka, znika przez swoją małość; tysiące gór olbrzymich z granitowemi szczytami lub śnieżnemi tarczami, niebo prawie czarnego koloru, słońce przyćmione, blask rażący od śniegu, rzadkie powietrze, a stąd krótki oddech i szybkie bicie pulsu, nadludzkiém jakiemś czuciem i uczuciem przejmują śmiertelnika: i pewny jestem, iż oprócz innych przyczyn, nawet dla niezmiernéj różnicy tego dziwnie górnego widoku a słabości naszych zmysłów, niktby go długo znieść nie potrafił. Niech to wspomnienie nadzwyczajnego zajęcia, jakiego doświadczyłem na téj ogromnéj i odosobnionéj górze, nie będzie powodem żadnemu z naszych młodych wędrowników do przedsięwzięcia téj podróży; oprócz wielkiego bardzo trudu i niebezpieczeństw, koniecznie do tego zamiaru przywiązanych, jeszcze jego pomyślny skutek od wielu obcych nam okoliczności zależy. Trzy dni pogody bez najmniejszéj chmury i niezbyt rozmiękłe śniegi, prawie potrzebniejszą pomocą, niż najcierpliwsza wytrwałość i najmo-

w. 56: *ale gdy różny zupełnie* — w znaczeniu: ponieważ jest różny.
w. 57: *jak wystawując się uniesionym:* jak wystawiając (wyobrażając) sobie, że się jest uniesionym.
w. 67: *dla niezmiernéj różnicy tego... widoku* — domyślne: dla różnicy tego widoku od innych, (por. wyżej: »różny zupełnie od znajomych widoków«).
w. 68: *a słabości naszych zmysłów* — zam. *i dla słabości...*
w. 70: *nadzwyczajnego zajęcia* — raczej: wrażenia.
w. 77: *prawie potrzebniejszą pomocą* — domyśl. potrzebniejszą są tu pomocą.

cniejsze piersi; bez tych jednak warunków tylko na zgubę narazić się można, i byłoby najszkodliwszym uporem nie słuchać ostrzeżeń przewodników, którzy wszędzie w Szwajcarji a szczególniéj w Chamouni pełni są odwagi i rozsądku.

(Przypis 5. str. 22, w. 336:)

I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem;

Zdarzyło mi się widzieć szczególną w tym rodzaju pamiątkę. Na szabli Tureckiéj, gdzie wzdłuż klingi wypisane były zdania z Alkoranu, znajdował się wyryty przy rękojeści wizerunek N. S. Panny z napisem polskim greckiemi literami. Szabla ta należała do jednego Anglika, który ją we Włoszech nabył; dalekie więc, a zapewne nieraz i krwawe, odbywała podróże. Szkoda tylko, iż w napisie nie było ani roku, ani przez kogo zdobyta.

(Przypis 6. str. 30, w. 470:)

Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni.

O guście przodków naszych w korzennych zaprawach wiele ciekawych opisów czytać można w szacownym i zajmującym zbiorze: *Pamiętniki o dawnéj Polsce,* przez Juljana Niemcewicza.

(Przypis 7. str. 51, w. 829:)

A ktoby się miał straszyć Tatarskiego tańca.

»Od Tamerlana podane prawidła zachowywali Tatarzy, i to nazywali nasi dziadowie tańcem Tatar-

---

w. 95: *Pamiętniki o dawnej Polsce* — ściśle: *Zbiór pamiętników o dawnej Polsce* — wydawany przez J. U. Niemcewicza w 5 tomach, w latach od r. 1822—1833. Malczewski przed wydaniem *Marji* mógł znać tomy I—III.

w. 97: *Od Tamerlana podane* — Tamerlan czyli Timurleng (1336—1405), wielki zdobywca Tatarski, pogromca sułtana Bajazeta.

skim«. Czacki *O Litewskich i Polskich prawach* k. 235 przepis 111.

(P r z y p i s 8. str. 53, w. 873:)

Co wśrzód gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony dla mylnéj poznaki.

»Stepy te wysoką okryte trawą; nie można je- »chać przez nią, by jéj nie stratować; dla niepozna- »nia więc toru i śladów używają Tatarzy następują- »cego wybiegu. Wnosząc, że ich jest 400, dzielą się »na cztéry części po sto; część jedna idzie na zachód, »druga na wschód, trzecia na południe, czwarta na »północ; każda część uszedłszy półtoréj mili, dzieli się »na cztery części, postępuje daléj i znów się dzieli, »tak, że na końcu nie będzie jak po 10 lub 11 w hufcu: »wszyscy jadą sporym kłusem; kiedy są postrzeżeni »każdy hufiec ucieka w swą stronę; tak trafnie kie- »rując się przez stepy, dochodzą do przeznaczoneg »miejsca, jak najlepszy żeglarz kompasem swoim le »piéj kierować się nie może. Pędzący za niemi kozacy »trafiając na labirynt potratowanych przez nich ście- »szek, nie wiedzą, w którą stronę gonić za niemi«. *Opisanie Ukrainy Polskiéj* przez Beauplana, w *Pamiętnikach o dawnéj Polsce* J. Niemcewicza, Tom III, karta 373.

---

w. 99: *Czacki o Litewskich*... i t. d. — Znakomite dzieło Tadeusza Czackiego p. t. *O Litewskich i Polskich prawach, o ich duchu, źródłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym statucie dla Litwy 1529 r. wydanym.* Pierwsze wydanie 2 tomy in 4° Warszawa 1800—1801.

w. 117: *Opisanie Ukrainy... przez Beauplana:* Wilhelm Beauplan, inżynier i geograf francuski w służbie królów polskich Zygmunta III i Władysława IV, kapitan artylerji pod hetmanem Koniecpolskim, zbadał dokładnie Ukrainę i po powrocie do Francji wydał tam w r. 1650: *Description d'Ukrainie qui sont plusieurs provinces du Royaume de Pologne, contenues depuis les confins de la Moscovie jusque aux limites de la Transylvanie ensemble leurs moeurs, façon de vivre*

(P r z y p i s 9. str. 55, w. 912:)

Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem
Tknięte ręką Nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem.

Granice władz naszych umysłowych bez wątpienia ścieśnione są niezmiernie w stosunku nieskończoności, która nas otacza; ale gdy to, czego pojąć nie możemy, za niepodobne uznamy, tak trudno i mało pojmując, staniemy się podobni do tego sceptyka z komedji, który dla tego tylko wierzył, że żyje, że się mógł w każdéj chwili pomacać. Nie będę ja tu rozprawiał, na obronę tych dwóch wierszy, jak to być może, ażeby ludzie przewidywali czasem przyszłe i odległe zdarzenia, lub czy sprawdzenie zwłaszcza szkodliwego nam przeczucia właśnie od ufności w nie pochodzi; nie będę przywodził znajomych przykładów z dawnéj i nowożytnéj historji; wspomnę o szczególnym i bliskim nas wypadku, który się wiąże z nieodżałowaną dla kraju stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełném zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszéj wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciołom, iż ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód przeczuciem dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzoną była niepojętém ostrzeżeniem. Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem, upewnił domowników, iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się, że widział umie-

---

et de faire la guerre, par le sieur de Beauplan. Polski przekład, skrócony wyszedł w *Zbiorze pamiętników o dawnej Polsce,* wydawanym przez Niemcewicza, w Tomie III (1822).

w. 120: *w stosunku nieskończoności* — opuszczone: d o (w stosunku d o nieskończoności).

w. 128: *czy sprawdzenie... przeczucia właśnie od ufności w nie pochodzi* — to zn.: czy dlatego się przeczucia sprawdzają, że się w nie mocno wierzy...

w. 142: *iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się* — błęd-

rającego swego przyjaciela i krewnego generała Karwickiego, który go wołał do siebie; jakoż dziwnie i okropnie sprawdziły się te słowa, gdy w kilka dni przyszła wiadomość o śmierci generała Karwickiego, mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł się połączyć z wzywającym go przyjacielem. Lecz jakże wierzyć w podobne powieści, i nie sprowadzić uśmiechu na twarz oziębłą rozwagi? Fizyków i metafizyków o pozwolenie prosić wypada; do których powiedziećby można z Shakespearem: *There are more things in heaven and earth, than are dreamt of in your philosophy«.* Są rzeczy na ziemi i w niebie, o których wam się ani marzy w waszéj filozofji.

(Przypis 10. str. 59, w. 984:)

Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole.

»Tatarzy radzi się potykają w polu równém, »pułki swe w około zgromadziwszy szykiem zakrzy- »wionym, który pospolicie ludzie rycerscy marsowym »tańcem zowią, a na pierwszém potkaniu tak gęste »strzały puszczają, jako najgęstszy grad«. *Kronika* Gwagnina, tłumaczenia Paszkowskiego, kar. 593.

»Tatarowie zaś zwykłym tańcem, a na kształt

---

nie (gallicyzm) zam.: iż gdy był w swoich pokojach... i t. d.

w. 154: *Są rzeczy na ziemi...* i t. d. Właściwie dosłownie: Jest więcej rzeczy w niebie i na ziemi, niż się śni waszej filozofji. (*Hamlet* I, 5, 166).

w. 160: *Kronika Gwagnina, tłumaczenia Paszkowskiego:* Aleksander Gwagnin † 1614, rodem Włoch z Werony, (otrzymał później indygenat) naprzód żołnierz, »kawaler przepasany i dowódca jazdy Jego król. Mości«, na starość dziejopisarz i geograf, autor wydanej w r. 1578 u Wierzbięty w Krakowie: *Sarmatiae Europeae descriptio.*

— *Paszkowski* — zob. niżej.

półmiesiąca zakrzywionym szykiem, różnie się rozstrzelili«. *Kronika* Marcina Stryjkowskiego, karta 345.

(Przypis 11. str. 63, w. 1054:)

Czemuż choć jednéj strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie.

»Tatarzy strzały swe jadem jaszczurczym napuszczają«. Paszkowski, *dzieje Tureckie,* kar. 15, patrz *Słownik* Lindego, pod wyrazem jaszczurka. Nie znalazłszy bowiem téj książki w Bibljotece Uniwersytetu Warszawskiego, nie byłem w sposobności sprawdzenia tego wypisu.

(Przypis 12. str. 75, w. 1318:)

Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby.

Drab, żołnierz pieszy, p. *Słownik* Lindego.

---

w. 164: *Kronika Marcina Stryjkowskiego. — Która przedtem nigdy światła nie widziała, kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiej Rusi...* wyszła po raz pierwszy w Królewcu 1582 r.

w. 167: *Paszkowski, dzieje Tureckie* — Marcin Paszkowski, tłumacz dzieła Gwagnina na język Polski, oraz poeta okolicznościowy i autor poematów historycznych, między innymi jednego pod tytułem: *Dzieie Tureckie y utarczki Kozackie z Tatary. Tudziesz też o narodzie, obrzędziech, nabożeństwie, gospodarstwte etc. tych pogan.* Kraków, 1615 in 4°. Tam na str. 14, opisując »broń tatarską na wojnie« wymienia Paszkowski także »Y Saydak pełno strzały iadem napuszczony« i dodaje:

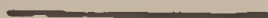
O czym Naso poeta on Rzymianin sławny
Tam mieszkając napisał, bo był świadek iawny.
Hostibus in mediis, interque pericula versor,
Tanquam cum Patria pax sit adempta mihi,
Qui mortis saevo geminent ut vulnere causas,
Omnia vipereo spicula felle linunt.
(Lib. 1 de Ponto.)

. . . .

(P r z y p i s 13. str. 77, w. 1351:)

Mniéj straszna w swém nieszczęściu, od wężów jedzona
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona.

Powszechnie wiadoma historja, a wielu z moich rodaków widziało sławny posąg, do którego stosuje się to przyrównanie.



. . . .

(Co się na polski ięzyk tak wyłożyć może:)
W przyśrzodku nieprzyiaciół, y między Pogany
Mieszkam iakbym z oyczyzny wiecznie był wygnany.
Którzy przyczyny śmierci sowite zmyślaią,
A strzały swe iaszczurczym iadem napuszczaią.

w. 169: *nie byłem w sposobności* — zam.: nie miałem sposobności.

w. 172: *wielu z moich rodaków widziało sławny posąg, do którego stosuje się to przyrównanie* — posąg ten znajduje się w muzeum watykańskiem w Rzymie.

Pierwsza serja

BIBLJOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Kochanowskiego ODPRAWA POSŁÓW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewicza POWRÓT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigonia* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA, w opracowaniu prof *Marjana Szyjkowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILEŃSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBÓR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia* (Nr. 17)
Krasińskiego PRZEDŚWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III., w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry ŚLUBY PANIEŃSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Krasińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
POLSKA PIEŚŃ LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDÓW, w oprac. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIEŚNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBÓR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Blizińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZĘ Z SĄCZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOŚWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

Krasińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
Słowackiego POWIESCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
Goszczyńskiego KROL ZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 56)
Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
SREDNIOWIECZNA PIESN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
Anczyca KOSCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
TOWARZYSTWO FILOMATOW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 79)
Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIOWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

Nr. 21 BIBLJOTEKA NARODOWA SERJA I

WINCENTY POL

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ

ORAZ

LIRYKI WYBRANE

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI ZAOPATRZYŁ

DYR. ROMAN ZAWILIŃSKI

WYDANIE TRZECIE

K R A K Ó W

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE
1929

WSTĘP

I

PODRÓŻE POLA PRZED R. 1840

Okolice Lwowa, a zwłaszcza południowe strony (Mostki w pobliżu Szczerca), znał Pol ze swego dzieciństwa, bo jego rodzina wyjeżdżała tam często do posiadłości krewnych. Nie był mu obcy i Złoczów przez przyjaźń ojca z Komarnickimi, ale dalsze okolice i Podole z Tarnopolem poznał dopiero po śmierci ojca, kiedy go matka wysłała na naukę do kolegjum jezuickiego w Tarnopolu i oddała pod opiekę sędziwego przyjaciela rodziny, Benedykta Winnickiego.

Nie mamy dowodu, ale domyślać się możemy, że Pol jako student lwowski w latach 1826—1827 odbywał i dalsze wycieczki z kolegami, i sposobem Ludmira i Wiktora z *Jowialskiego* Fredry zbierał pieśni i tradycje ludowe, skoro je spisał i częściowo wydał (w przekładzie niemieckim); ale jak daleko sięgały te wycieczki i jakie objęły okolice, trudno oznaczyć. Dopiero mając zająć miejsce nauczyciela języka niemieckiego w uniwersytecie wileńskim, musiał się puścić w dalszą podróż i przejechać różne ziemie dawnej Polski. Przez Podole (Kamieniec), Wołyń (Krzemieniec), może zba-

czając i na Ukrainę, przez Polesie wreszcie — dostał się na Litwę i do Wilna (początek listopada 1830 r.). Zawiązawszy znajomości z młodymi studentami, jeszcze przed zimą poznał góry Ponarskie i jezioro Trockie, poznał zarówno lud litewski, jak i zaścianki szlacheckie i wyniósł z tej wycieczki bardzo dodatnie o ludzie tamtejszym wyobrażenie.

W związku z wybuchem powstania listopadowego zorganizowano oddziały powstańcze i na Litwie, ale dopiero z końcem kwietnia roku 1831 wyruszyła młodzież wileńska w lasy. Cała odysseja utarczek, pochodów i trudnych przepraw, małych zwycięstw i dotkliwych klęsk trwała do połowy lipca, kiedy z Chłapowskim i Rolandem resztki sił powstańczych, a między niemi i Pol, przekroczyły na Żmudzi granicę pruską. Internowany w okolicy Królewca nad morzem, ale ze swobodą poruszania się na terenie Prus, jeździł do Elbląga, a stamtąd nawet w Poznańskie (do Łukowa). Potem przebywał w Lipsku i Dreźnie. W powrocie do stron rodzinnych przybył znowu w Poznańskie (Miłosław, Turwia), a wreszcie do Lwowa.

Nowy okres przymusowej podróży, a raczej tułaczki, otwiera się teraz przed Polem. Z przyczyn natury politycznej przebywa w domu Ksawerego Krasickiego w Dubiecku, Krasiczynie i w Lisku, i poznaje dokładniej ziemię sanocką. Niebawem w misji politycznej wyruszył ku wschodowi; przebywszy granicę pod Radziwiłłowem, krążył po Wołyniu, aż się dostał do Sławuty; później dotarł na Ukrainę i wrócił przez Podole, przepędziwszy w tych stronach kilka miesięcy r. 1834. Po krótkim pobycie w Krakowie a potem

w Lisku u Krasickiego, na wiosnę r. 1835 zwiedza Pol po raz pierwszy Tatry i Podhale i bawi tu parę miesięcy; na schyłku lata tegoż roku przebywa tu dłużej po raz wtóry i wynosi z tego pobytu niezatarte wrażenie. Przez Sandeczyznę przybył do ziemi bieckiej i pozostawał w gościnie u Skrzyńskich w Zagórzanach, gdzie powstała właśnie w r. 1835 *Pieśń o ziemi naszej* (wydana w r. 1843).

Od roku 1836—1839 przebywał Pol w Kalenicy w Sanockiem, jako administrator w dobrach hr. Krasickiego. Lata to najspokojniejsze w życiu Pola; lata szczęśliwego małżeńskiego pożycia i powstania *Obrazów z życia i podróży* (wydanych w r. 1846). Wkrótce potem przeniósł się poeta pod Zagórzany, do Marjampola, do własnego domku, na tej zmianie zamykając najciekawszy okres swego życia i dla twórczości swojej najszczęśliwszy.

Jeżeli w roku 1833 we wstępie do *Pieśni Janusza* śpiewał:

Byłem w Litwie i w Koronie,
Byłem w tej i owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporoża
Całą Polskę znam —

zgadzało się to w głównych rysach z rzeczywistością, bo nie dotykało ani Tatr, wówczas Polowi jeszcze nieznanych, ani Wielkopolski; Pomorze znał tylko z przejazdu, chyba że za Pomorze będziemy uważać okolice Królewca. Dopiero w r. 1835 mógł z całą prawdą pisać, że zna

Górali i Litwinów
I Żmudź świętą i Rusinów —

i mógł z entuzjazmem wzywać młodzież polską, aby »te skarby i obrazy« górskie, obrazy »natury i swobody« — chwytała póki młoda, »póki w sercu jeszcze rano«, bo sam doświadczył, że tam

Świeższe, żywsze barwy, wonie,
I powietrze bywa lżejsze,
Ach, i bole serca mniejsze!
Czystsze czucia w lżejszem łonie...

II

»PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ«

Pragnąc »z serca czy z pamięci coś wysnować i zanucić«,

Coś o bracie, czy o bitwie,
O Koronie, czy o Litwie...

poeta idzie za podszeptem przyjaciela i postanawia zaśpiewać »o tym naszym polskim kraju«. Zwraca się tedy do młodych, i zapytując, czy znają »pokrewne rody«, ziemie polskie i płody, kurhany, mogiły i dzieje, »co się ściemniły« — zachęca ich, by wylecieli z gniazda

spojrzyć z góry na twe ziemie
i rodzime twoje plemię...

Mamy tedy we wstępie poematu (ww. 1—56) dyspozycję tego materjału, który napotkamy w poemacie, ale nie w całości. Poeta bowiem mówi wprawdzie o »pokrewnych rodach«, o wodach i ziemiach polskich (historycznych), ale mniej o kurhanach i mogi-

łach, a już wcale nie mówi o »dziejach, co się śćmiły«. Nadto ziemia polska etnograficznie jest ledwo naszkicowana:

738 A od ruskich rzek wybrzeży
Aż po Tatrów pierś jałową,
Po dziedzinę Krakusową,
Tam po Odrę, po Żuławy,
Stara ziemia Piasta leży —
I lud gnieździ starej sławy,
744 A w pośrodku Wisła bieży!

A potem jeszcze:

862 Bo od gór tych aż po morza
Legła ziemia, sławna z zboża,
Z wiary, męstwa, z gościnności,
I z nieładu i z wolności.
Wielka krzywdą i cierpieniem,
867 Święta krwi tej poświęceniem.

Obrazek mały, poświęcony ryczałtowo ludowi polskiemu (868—993), ma objąć »Sandomierskie i Kujawskie i Proszowskie okolice«, bez wyróżnienia odmiennego charakteru ludu krakowskiego a mazowieckiego, czy kujawskiego, że już nie wspomnimy o ludzie śląskim i wielkopolskim, zupełnie pominiętym.

Rozpoczynając ten przegląd z lotu ptaka (»wyleć ptakiem z tego gniazda«) od dalekiej północy, poeta opisuje Litwę, »dziedzictwo Gedymina«, dosyć szczegółowo, bo jej poświęca wierszy 170, maluje kraj (w. 57—82), lud (83—152), szlachtę (153—178) i lud znowu (179—227) a wszystko w barwach jasnych, sympatycznych. Tą samą sympatją cieszy się i Żmudź (w. 232—272) i tym samym układem.

Po dygresji do Krakowa, Warszawy, Wilna

i Żmudzi znowu, przechodzi poeta na »pińską drogę« i krótko charakteryzuje Polesie i Poleszuków (w. 297—325), poczem wjeżdża w »Ruś pasznistą«, poświęcając dłuższe ustępy Wołyniowi, Ukrainie i Podolu. I tak na Wołyniu maluje kraj (w. 348—397) lud (w. 398—470) i jego stosunek do dworu, wreszcie dwory i ich panów (w. 471—530; — »nic polskiego krom imienia«). Na Ukrainie wielbi swobodę w stepie rozległym i świecie otwartym (w. 531—580), lud bujny (w. 581—598) i chwacką szlachtę (w. 599—616); na Podolu sławi urodzajność ziemi (»płynie mlekiem, płynie miodem«) i romantyczność jarów (w. 617—681), lud wdzięczny (w. 682—689), ale smaga ostremi wyrazami »półpanków« podolskich, co to wzrośli »z podstarościch na dziedzica« (w. 690—737).

Po obrazie Beskidu (w. 745—764) zbliża się do Tatr i maluje ich obraz ogólny (w. 765—790), potem lud podhalski (w. 791—826), wreszcie przyrodę tatrzańską (w. 827—847).

Na Dunajcu przez Pieniny
W równie, w równie —

puszcza się poeta z powrotem, aby rzucić okiem na część Małopolski południową. Widzimy tedy obraz kraju (w. 862—879), lud w ogólnych rysach (w. 880—899), dwory (w. 900—927), obyczaje i charakter ludu (w. 928—981) i obyczaje szlachty (w. 994—1034).

W zakończeniu (w. 1035—1182) apostrofa do przyszłości Polski w zgodnej pracy szlachty z ludem, przy którym poeta umrzeć pragnie.

To jest część epicka poematu; ale »pieśń o ziemi naszej« musi mieścić i pierwiastek liryczny,

uczuciowy i dydaktyczny. Ma go ten poemat w miarę, tak wpleciony w treść opisową, że tylko miejscami wydobywa się większemi splotami, które można naznaczyć wierszami kilku, rzadziej kilkunastu.

Przedewszystkiem liryczny jest sam wstęp, i liryczne zakończenie; ramy tedy »pieśni« odpowiadają założeniu. Dalej są liryczne przejścia od jednej części do drugiej, jak dygresje do Krakowa, Warszawy, Wilna, do poświęcenia i do rozumu, albo zachęta do zwiedzania gór i upajania się czarem górskiej przyrody wcześnie, zamłodu. Nie wymieniamy tych drobnych wierszy lub nawet wyrazów lub wykrzykników, które są podmiotowym objawem serca poety, kreślącego »rzewnie czy miłośnie« części ziemi naszej.

Rzecz prosta, że do wymalowania tych obrazów i wysnucia różnych wrażeń z ich treści nie mógł poeta użyć formy zbyt poważnej, prawdziwie epickiej miary. Użył wiersza ośmiozgłoskowego, trochaicznego, nużącego wprawdzie jednostajnością przestanków (cezur) i szablonowością stóp dwuzgłoskowych, ale dającego możność lekkiego i szybkiego posuwania się naprzód. Ta »lotność«, urozmaicona nieszablonowem powiązaniem rymów i łączeniem wierszy bądź w zwrotki czterowierszowe, bądź w ustępy dłuższe, nierzadko nawet rymem wewnętrznym (pleć pleciugo, byle długo..., ani ruchu, ani duchu..., nie po cnocie, lecz po złocie..., niby sosna, niby wiosna..., jarem, jarem, za towarem... manowcami za owcami..., i co zmoże, w skład wyorze..., póki zgodnie, póty godnie..., czy do pitki, czy do bitki... a przy szklance, pogadance... i t. p.) sprawia przecież, że nawet po tysiącu

czyta się je jeszcze bez znużenia. Wprawdzie uchu nawykłemu do równych miar trochaicznych niemiłe wydać się może niekiedy rozpoczęcie wiersza od amfibracha lub skrócenie go do trzech stóp (Co ci, to Litwinie?... A cnota domowa... Dla zagórskich Panów... Na pobojowisku...), ale przerwy takie są nawet pożądane. Poza temi nielicznemi wyjątkami wiersz Pola *Pieśni* jest potoczysty i gładki.

W rymach niezawsze brzmienie wytworne, niekiedy nawet naciągane (jak zaraz w w. 1. *męci* do w. 3. *pamięci*); nie unika też Pol rymów dwu imiesłowów, lub dwu form czasownikowych, albo nawet rzeczowników w tym samym przypadku, ale okupuje to rymem wewnętrznym (zob. powyżej) i przeplataniem, przez co unika jednostajności.

Język w powiązaniach syntaktycznych daje dwa przykłady »niegramatyczności«: w w. 97 »Nie marnuje grosz na szaty« (zam.: grosza) i w 351 »I zapomnisz kraj ubogi« (zam.: kraju ubogiego); poza tem jest poprawny, chociaż pełen prowincjonalizmów: w opisie Litwy — litewskich, w opisie Polesia, Wołynia, Ukrainy, Podola — ruskich, których Pol chętnie i obficie używa, nawykły do nich od dzieciństwa. Sięga również i we formy staropolskie, zwłaszcza deklinacyjne (*bracia* się rozdarła, — *na ledzie, niemce* i *najemce, czerńce-starowiery, współdziedzicy, szałase),* i przymiotniki i imiesłowy rzeczownikowe, nie przymiotnikowe (np.: nałożon, bezpieczen, odzian), a nawet wspomnienie Reja zabłądziło do ostatniego wiersza o Wołyniu, gdy pisze o »pomiernym staniku«.

III

LIRYKI POLA

Pol lirykiem nie był w dosłownem tego wyrazu znaczeniu, o ile się przez liryka rozumie piewcę uczuć własnych i cierpień własnych. Sam powiedział o sobie we wstępie do *Pieśni Janusza,* że

Mego serca pieśni własnéj
Słucha tylko miesiąc jasny
I stuletni dąb.

Liryka Pola ma charakter altruistyczny; odtwarza to, co innych cieszy, co innych boli lub smuci, a że odtwarza we formie prostej, dostosowanej bardzo do przedmiotu, więc nic dziwnego, gdy się podoba powszechnie, popularyzuje łatwo i przechodzi na własność narodu. To, co się stało z *Pieśniami Janusza,* staćby się było powinno i z *Obrazami z życia i podróży,* gdyby nie wyprzedzenie przez Pola kierunku, u nas w literaturze »podhalskim« zwanego: Pol wniknął w życie i psychikę górala na lat 60 przed Tetmajerem, ale że sam później kierunek ludowy porzucił, nie pamiętano i o *Obrazach z życia i podróży.*

W tych dwudziestu blisko obrazach, nie pieśniach, na tle epickiem malowanych, »poeta wystudjował górala w różnych położeniach; pokazał go, jakim jest przy ognisku domowem, jakim w zapasach z żywiołami, jakie ma pojęcie o reszcie świata — za górami. Motywa te przyodział wdziękiem poezji, co więcej, przeniknął nią i człowieka i jego skalną sie-

dzibę«[1]. Kiedy rozpatrzymy kolejno *Obrazy z podróży*, widzimy cały szereg faktów, potwierdzających powyższą charakterystykę Siemieńskiego; oto w II obrazie z podróży poeta poznaje się z góralami, i oni jego poznają, a poznawszy wyszczególniają; obraz III przedstawia w opowiadaniu górala tradycję powstania Podhala z jeziora i przecięcia przez Pieniny spływu wód; obraz V daje rzetelną naiwność dziewczęcia w stosunku miłosnym do poety, ubraną we formę zupełnie ludową; w obrazie VII naiwna wiara ludu i przywiązanie do obrazów, jako opiekunów domowych; obraz X przedstawia szczęście domowe i zadowolenie; w obrazie XI stosunek górali do emigrantów, chroniących się w góry po powstaniu; obrazki XV i XVI są we formie i w treści właściwie piosenkami góralskiemi. W ten sam sposób *Obrazy z życia* treści więcej ogólnej dają wyraz: w obrazie II pragnienie poety, aby na biedną ziemię i ojczyste niwy zeszedł Anioł pokoju i szczęścia i stale na niej zagościł; w obrazie IV przedstawiono losy starego żołnierza, który stracił rękę pod Możajskiem i śmierci doczekać się nie może; w obrazie VII westchnienie za młodością i życiem swobodnem a prostem.

Zamieszczone w niniejszym tomiku trzy ostatnie liryki, wybrane z innych zbiorków, dają dowód odczucia natury i wmyślenia się w nią, jakiego w poprzednich utworach nie było. Zarówno *Ranek w puszczy*, a jeszcze w większej mierze *Leśne jezioro* zawierają poetyckich obrazów tyle, jak żaden utwór Pola. Dość

[1] L. Siemieński, *W. Pol i jego poetyczne utwory* — Kraków 1873 str. 42.

przypomnieć początek *Ranka*, a z *Leśnego jeziora* obraz komarów w gasnących promieniach słońca, czaplę czatującą na brzegu i zaskrońca przepływającego zatokę, przepiórkę »wabiącą przez pokosy« rozpędzoną dziatwę i t. p.

Forma wierszowa liryk jest o wiele poprawniejsza, niż w *Pieśni o ziemi*. Wprawdzie brak Polowi lotnej wyobraźni a wskutek tego niezwykłych porównań, przenośni i porywających obrazów, ale nie brak mu poprawności wiersza i wysłowienia, a niekiedy nawet piękniejszej figury »Pod względem formy nic piękniejszego nad te obrazy. Miłość i natchnienie to Bóg Ojciec, który wszystko daje, o co go się prosi. Z miłością wszedł Janusz w góry, spojrzał — odgadł i zrozumiał wszystko. Przyswaja sobie odrazu język olbrzymiej natury i równie wielki język ludu, wielki, bo pełen prostoty«[1].

Co do owego języka góralskiego, trzeba zaznaczyć, że Pol go używa bardzo dyskretnie i nieśmiało. Poza zwrotami takiemi jak: *zwarz mleka, juścić, bez urazy*... zresztą używa Pol tylko wyrażeń luźnych miejscowych, jak: *płony, drzewiej, żywina, marnina, szumny, kierpce, cesta, regle, turnie, pustać* i t. p., które w niczem nie przeważają szali na stronę ujemną, ale owszem dodają językowi barwy. Naśladowanie prostoty i naiwności ludu, oddanie jego wierzeń i przekonań, podchwycenie tonu i sposobu obejścia się z obcymi, udało się Polowi nadzwyczajnie, w nierównie większej mierze niż Goszczyńskiemu.

---

[1] K. Ujejski, *Listy z pod Lwowa*, str. 65.

IV

ESTETYCZNA WARTOŚĆ UTWORÓW POLA

Mierzyć wartość utworów Pola estetycznemi przepisami i warunkami naszych czasów, byłoby rzeczą niesprawiedliwą i zgoła nieodpowiednią. Przyznawszy, że utwory, tu przedrukowane, nie sięgają nietylko wyżyny trzech naszych wieszczów, ale nawet nie dochodzą do miary poetów takich, jak Ujejski, Lenartowicz lub Syrokomla, ustalimy miejsce Pola między mniejszymi, ale niemniej zasłużonymi poetami polskimi. Na współczesne Polowi panegiryki nie można zwracać uwagi, ale nie wolno również dla utworów małej wartości, jakie znajdujemy w produkcji Pola, odmawiać innym, stanowczo wyżej stojącym, należnego im uznania.

Pieśń o ziemi naszej podobała się nowością tematu, ale nie zadowalała kompozycją i nierównością traktowania. Poza Litwą i Żmudzią, a wreszcie choćby i poza Wołyniem i Podolem, inne części Polski historycznej są przedstawione szkicowo, nawet Podhale, że nie mówimy już nic o Krakowskiem. Są części Polski zachodniej zupełnie nietknięte, a przecież to jądro i gniazdo polskości.

Że »pieśń o ziemi« nie opiewała z i e m i samej, ale przedewszystkiem ludzi, to tylko na korzyść utworu wyszło; że jednak, wbrew zapowiedzi, nie wspomniał poeta, z czego wody polskie słyną i kędy giną, że nie wspomniał o »kurhanach i mogiłach«, a szczególniej o tych »dziejach, co się ścmiły« — to już sta-

nowczo niedobrze, i tego każdemu czytającemu brak w *Pieśni o ziemi naszej.*

Sama nazwa »pieśni«, dana utworowi, napotykała na krytykę ujemną; twierdzono, że ten opis pobieżny niektórych ziem polskich (albo nawet »rymowana geografja« — jak ją nazwał St. Tarnowski) nie jest pieśnią, ale co najwyżej gawędą, w myśl wstępu: *gadu-gadu, pleć pleciugo, bajże baju...* Część słuszności tkwi w tych zarzutach, ale jeżeli wolno było Niemcewiczowi nazwać szkicowe opowiadania historyczne »śpiewami«, a muzycy polscy do nich dorabiali muzykę, dlaczegóżby Polowi nie wolno było nazwać pieśnią (= śpiew) tego rzutu oka na ziemię i ludność polską? Za świadectwem M. Dzieduszyckiego (Wyd. zbior. t. VIII, str. XV) Pol sam nazwał ten poemat pierwotnie gawędą, jak to widać na odpisie z grudnia r. 1842, a dopiero pierwsze wydanie poznańskie nosi napis *Pieśń.* Czy to była zmiana na skutek rady jakiej przyjacielskiej dokonana, czy może poeta sam, znany dotąd z *Pieśni Janusza,* chciał zaznaczyć pewną wspólność ideową tego nowego poematu z dawnemi — nie możemy rozstrzygnąć, ale przechylamy się do prawdopodobieństwa drugiego, bo przecież i w *Pieśniach Janusza* są ustępy czysto epickie, a na końcu mieści się *Wieczór przy kominie,* pierwsza gawęda Pola, nie pieśń, a mimo to nikt tytułowi tych utworów zarzutu nie czynił.

Otóż tak treść, jak i tytuł, tak kompozycja, jak i jej forma, nie dają utworowi prawa do miana arcydzieła poetyckiego; nierównie wyżej pod tym względem stoją *Obrazy z życia i podróży.* Siemieński mówi

o *Obrazach:* »Niekoniecznie jest (Pol) malarzem, starającym się o dokładny rysunek, o całość kompozycji, o harmonję ogólną, — to go mniej obchodzi; zato w częściowych rysach, oddanych kilkoma pociągami, tyle jest życia, taka głębia prawdy, tyle blasku, że to już robi wyrozumiałym na inne niedostatki« [1]. Trafnie też ocenia *Obrazy* M. Mann pisząc: »...trudno nie przyznać, że ze względu na ilość zawartej w nim (w cyklu) prawdziwej poezji jest to może najlepszy dorobek twórczy Wincentego Pola. Nie są to wprawdzie arcydzieła; ...lecz sądzę, że mówiąc o Polu, jako o poecie, przedewszystkiem należy mieć na myśli cykl *Obrazów z podróży* [2]. Razem z *Pieśniami Janusza* stanowią *Obrazy* dwa najpiękniejsze klejnoty w całym Pola dorobku poetyckim i na najtrwalszą zasługują pamięć« [3].

V

POWODZENIE I POPULARNOŚĆ POLA

Pomimo bezimienności *Pieśni Janusza* i *Pieśni o ziemi naszej* popularność Pola była niezwykła. »W niepochlebnym obrazie — opowiada Siemieński — przedstawieni panowie wołyńscy byli tym kozłem ofiarnym, pokutującym za innych, gorszych może i bardziej wynarodowionych, a jednak pominiętych milczeniem... Nie przeszkadzało to jednak, owszem pomogło wielce do spopularyzowania tej pieśni, który chwytała się pamięci i serca. Niektóre wiersze odrazu stały się przy-

[1] *W. Pol i jego poet. utw.* str. 42. [2] M. Mann, *W. Pol. Studjum biogr.-kryt.* Kraków 1904, tom I str. 345. [3] Tamże str. 350.

słowiem narodowem, co uważam za jeden z niepoślednich triumfów poety«[1]. Natomiast *Obrazy z życia i podróży* przeszły bez rozgłosu — »publiczność chciała zapewne, żeby jej śpiewał na dawniejszą nutę«[2].

Naszem zdaniem, publiczność ówczesna odwróciła się już od romantycznego, sielankowego Wiesława, a jeszcze nie rozumiała rzeczywistego górala. Przytem już się rozpoczął zwrot ku przeszłości szlacheckiej, zainaugurowany Rzewuskiego *Pamiątkami Soplicy* i Pola gawędą *Powrót z Nieświeża B. Winnickiego*. Ta popularność haseł stała się zgubą dla talentu Pola, który już później nie potrafił nawiązać raz zerwanej struny ani w *Pieśni o Krakusowym grodzie*, ani tem mniej w *Pieśni o domu naszym*.

»Nieszczęśliwa to była chwila — pisze K. Ujejski — kiedy po raz pierwszy zasmakowało serce Janusza w oklaskach białych, aksamitnych rączek, szczerych uniesieniach »niezłych ludzi«, w miękkiej wygodzie wielbionego i ugaszczanego poety, którego sadzano na elastycznym fotelu, aby palić przed nim kadzidła i obsypywać go kwiatami«[3]. To wpłynęło na kierunek gawędziarski Pola, apoteozujący szlachtę XVIII w.; dało mu to sławę i wziętość u współczesnych. Ostatnim jej wyrazem po śmierci poety zbiorowe wydanie dzieł w tomach dziesięciu; potem — grobowe milczenie.

Inne czasy, inni ludzie; inna poezja, bo inne ideały.

Zapomnienie dzisiejsze o Polu nie jest sprawiedliwe. Co jest prawdziwym nabytkiem w skarbnicy

---

[1] l. c. str. 57. [2] l. c. str. 42.
[3] K. Ujejski, *Listy z pod Lwowa* str. 95.

literatury, wybraliśmy do przedruku i spełniliśmy obowiązek względem pamięci poety.

VI

WYDANIA I ZMIANY TEKSTU

I. *Pieśń o ziemi naszej,* pod tym tytułem a bezimiennie, wyszła po raz pierwszy w r. 1843 w Poznaniu, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. Format małej ósemki (12×19 cm.), stronic 88 i 1 nl. (omyłki druku); na końcu rozdziałów ozdoby figuralne drukarskie; okładka jasno-bronzowa, i jedna i druga, ma *tableau* rysowane przez Juljusza Kossaka: tytuł przedstawia bramę kamienną ze zwieszonym nad nią orłem zygmuntowskim i zwieszającemi się roślinami, na których tytuł książeczki kamiennemi literami; pod jednym bokiem bramy siedzi lirnik grający na lirze, pod drugim stoi z rękami założonemi Polak, a obok niego siedzi chart i stoi laska z czapką rogatą; w środku na drugim planie krakus, góral i inni ludzie, a na trzecim wzgórze z kościołem. Okładka tylna ma *tableau* z chaty wiejskiej, a po obu stronach piramidalnie emblematy rolnictwa, myślistwa, pszczelnictwa, rybołostwa — nad tem wszystkiem orzeł w locie [1]. — Tekst *Pieśni* w tem wydaniu obejmuje wierszy 1188.

Wydanie drugie, również u Żupańskiego w r. 1852 dokonane, jest nieco od pierwszego mniejsze (11×17 cm.), ale zresztą jest wiernym przedrukiem wydania pierwszego z poprawieniem omyłek druku.

Jako wydanie trzecie tego samego tekstu i pod

---

[1] Te same motywy, nieco zmienione, mamy na tytule wydania ilustrowanego z r. 1855, również u Żupańskiego *folio* wydanego.

tym samym tytułem należy uważać wydanie ilustrowane przez J. Kossaka, a wydane przez Żupańskiego w r. 1865 (str. fol. 48).

Natomiast wydanie Orgelbranda warszawskie z r. 1859, chociaż nosi podpis Pola, ma nietylko tytuł zmieniony na *Pieśń o ziemi* (»naszej« opuszczone), ale ma tyle zmian w tekście, że należy je uznać za przeróbkę bardzo nieszczęśliwą tekstu pierwotnego, dokonaną nietylko ręką poety, ale i cenzora petersburskiego[1]. Dodano dawny wiersz *Na jesieni* jako wstęp, i połączono go z treścią wstępu dawnego bardzo nieszczęśliwie; czemu za tą redakcją poszła rodzina w wydaniu zbiorowem — nie wiemy. Przywracając tekst pierwotny »Pieśni o ziemi *naszej*«, czynimy to z pietyzmem dla poety i jego koncepcji pierwszej, wolnej od wpływów postronnych i przymusowych, jakie *Pieśnią o ziemi* kierowały.

Po wydaniu zbiorowem było jeszcze kilka wydań osobnych w różnych publikacjach, ale te opierały się na wydaniu warszawskiem, a więc nie uwzględniały wydania pierwszego.

II. *Obrazy z życia i podróży*, z których największą ilość podaliśmy ustępów, ukazały się bezimiennie w r. 1846 we Wrocławiu, drukiem i w komisie Wilh. Bog. Korna, 8⁰, podzielone na dwie części: *a)* większą p. t. *Obrazy z podróży* (str. 3—73) i *b)* mniejszą p. t. *Obrazy z życia* (str. 75—106).

Obrazy z podróży mają jedno motto z Psalmu XLV: »Pójdźcie a oglądajcie sprawy Pańskie, jakie uczynił

[1] Ciekawym polecamy *Listy z pod Lwowa* Kornela Ujejskiego str. 205—223.

cuda na ziemi...« a drugie z Goethego: »Wer den Dichter will verstehen, Muss in Dichters Lande gehen«. — Nadto każdy ustęp, znaczony cyfrą rzymską *(Z podróży* I—XXI, *Z życia* I—X), ma motto własne, dorobione przez autora, lub przerobione z przysłowi. Przed ustępem III »z podróży« na całej stronicy dedykacja »Ludwikowi Zejsznerowi (Badaczowi dziejów ziemi ojczystej, Powieść ludu górskiego o dziejach tej ziemi w dowód wysokiego poważania poświęca autor); podobnież przed ust. XII dedykacja »Przyjaciółce od serca«, przed ust. XV »Młodemu Przyjacielowi Komecie«. W *Obrazach z życia* dedykacyj niema.

III. Trzy ostatnie wiersze umieszczone w tym zbiorze: 1) *Ranek w puszczy,* 2) *Leśne jezioro* i 3) *Pierwsza noc we dworze* — pojawiły się po raz pierwszy w t. III czterotomowego wydania *Poezyj* (w Wiedniu 1857), w zbiorze ***Z klasztoru i z boru*** i ***Ze dworu.***

VII

BIBLJOGRAFJA

Do poznania życia i działalności Pola a nadto wartości literackiej jego utworów polecić można:

L. Siemieńskiego: *W. Pol i jego poetyczne utwory.* Kraków 1873.

Ludwika Dębickiego: *Winc. Pol.* »Przegląd lwowski« z roku 1873—1874.

Al. Tyszyńskiego: *Wizerunki polskie.* Warszawa 1875.

W. Spasowicza: *Studja nie z natury.* Wilno 1881.

K. Estreichera: *W. Pol.* Lwów 1882 — a szczególniej:

Maurycego Manna: *Wincenty Pol.* Studjum biograficzno-krytyczne. Kraków 1904. 2 tomy.

UWAGA. Objaśnienia pod tekstami, ujęte w cudzysłów i zaopatrzone cytatą (liczba rzymska i arabska), są wyjęte z dzieł Pola dosłownie i wskazują tom i stronicę wydania zbiorowego, dziesięciotomowego (Lwów 1872).

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ

»Paść może i Naród Wielki;
zniszczeć nie może, tylko nikczemny!
Stanisław Staszic

Co to tak się w głowie męci?
Radbym duszę mą ocucił;
Ach! i z serca, czy z pamięci
Coś wysnował i zanucił,
Jakoś rzewnie, czy miłośnie,
I wesoło, czy żałośnie,
Coś o bracie, czy o bitwie,
O Koronie, czy o Litwie?...

— »Gadu, gadu, stary dziadu!
Pleć pleciugo, byle długo;
Bajże baju po zwyczaju
O tym naszym polskim kraju!« —

W to mi grajcie, panie bracie!
W to mi grajcie, miły swacie!
Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni.

Długom błąkał się bez celu,
I milczałem, troską blady,
Jak grobowy głaz Wawelu;
Bo nie było z wami rady.

---

w. 1. *męci* — forma niezwykła zam.: *mąci.*
w. 7—8. *o bracie, o bitwie...* śpiewał poeta w *Pieśniach Janusza.*

W waśni bracia się rozdarła,
I jak wróg mi życie zbrzydło,
Jak w więzieniu pieśń zamarła
I sokole zwisło skrzydło...

Dziś, gdy jest znów śpiewać komu,
Gdy was widzę znowu w zgodzie,
W wielkopolskim starym domu
Znowu wam brząknę: *Żyj, narodzie!*

---

w. 21. *W waśni bracia się rozdarła...* odnosić się może tylko do waśni politycznych w r. 1831, których wynikiem był upadek powstania. Stąd zniechęcenie poety do życia.

w. 27. *W wielkopolskim starym domu*, u pp. Skrzyńskich w Zagórzanach (w jasielskiem), którzy pochodzili z Wielkopolski. Tam powstała *Pieśń o ziemi naszej.*

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany i mogiły,
I twe dzieje, co się ścmiły?

A czy wiesz ty, co w nich leży?
O, nie zawsze, o, nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!

---

w. 32. *Żmudź świętą* czyli świątobliwą, pobożną; wiadomo bowiem powszechnie, że Żmudzini odznaczają się niezwykłą pobożnością i przywiązaniem do wiary katolickiej.
w. 36. *dunaj* — nie jest tu imieniem własnem, ale pospolitem, i dlatego oznacza każdą rzekę głęboką i cicho płynącą.
w. 39. *kurhany* — kopce, mogiły stepowe.
w. 40. *dzieje, co się ścmiły* nietylko przez polityczny upadek w trzech rozbiorach, ale i przez upadek powstania r. 1831.

I niejedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować...

Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?...

Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzyć z góry na twe ziemie
I rodzime twoje plemię...

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Nieba bledsze, trawy rzedsze,
Rojsty grząskie, groble wąskie,
Ryby, grzyby i wędliny,
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie. —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.

---

w. 62. *Puszcze czarne...* — »Ziemia tutejsza nie jest lesistą, ale raczej jednostajnym lasem, miejscami wykarczowanym tylko, bo orne i bezleśne obszary, lubo w ponurych okolicach znaczne, nikną w porównaniu olbrzymich lasów, które tam nazywają *puszczami.* — Nic nie zdaje się bardziej oko i umysł trudzącem, jak widok tych puszcz, ponury i jednostajny, nieprzebyte morze iglastego drzewa na piasczystej nizinie. Spodem nagie, proste pnie, a górą ciemne sklepienie w jeden strop zrosłych gałęzi« (Pol IV, 74).

w. 64. *rojsty.* — »Są to duże, dzikie, dymiące się błota, ostrowami mchu rudego i kępami skrzypiu porosłe« (Pol IV, 77).

w. 69—70. *lipce stare* — stare miody lipowe; *łosie chrapy* i *niedźwiedzie łapy* uchodziły za osobliwe przysmaki.

w. 72. *dziedzictwo Giedymina.* G. był protoplastą rodziny Jagiellonów, Litwa była dla jego następców krajem po nim odziedziczonym.

w. 74. *pasieka* — miejsce wyrąbane w lesie, trzebież, karczowisko.

Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym żwirze socha świszcze,
A za drogą gdzieś w postronne
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to, Litwinie?
Ale Litwin nie wygada!
Bo w tej duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity;
Kiedy szczery, jak wosk topnie,
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy
I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego niebogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie, —
I dobytek w dom gromadzi,
I o *jutrze* wiecznie radzi.

---

w. 75. *zgliszcze* — »Rolnictwo szerzy się tylko na spaleniskach i pasiekach, a pług walczy tu przez całe stulecia z wrzosowiskami« (Pol IV, 53).
w. 76. *socha* — pierwotny rodzaj radła (pługa), cały z drzewa, mający tylko krój i lemiesz żelazne.
w. 79. *obłączny* — zaprzężony do wozu w hołoble (dwa dyszle) z dugą (kabłąk nad chomontem).
w. 82. *dranica* — deska, nie rznięta piłą, ale *darta* czyli łupana z pnia drzewa; służy do krycia dachów.

To też znajdziesz w każdej porze
Wbród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce,
Jest w serniku ser na półce.
Wiszą kumpie i wędliny,
I półgęski i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby;
Z siatki pachną leśne grzyby,
A kwas czysty miasto wody;
W lochu stoją białe miody,
Wódki, starki i nalewki,
I rok cały lód przeleży.
A już w świrnie wiszą wianki
I rozliczne przyodziewki:
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży.
W kubli stoi ów miód święty,
A dokoła włok rozpięty...

Nucąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowéj
Toczy kołem wąż domowy.

---

w. 105. *krajanka* — ser w kształcie cegły albo wogóle kawałek odkrojony; *gomółka* — serek okrągły z przyprawionego kminem lub miętą twarogu, białkiem osmarowany i przypieczony.
w. 107. *kumpie* — szynki (litew. kumpis).
w. 109. *w długich żerdziach ryby*, zawieszone do suszenia.
w. 111. *kwas czysty* — kwas z chleba, do picia używany na Rusi i Litwie.
w. 112. *w lochu* — w piwnicy.
w. 115. *w świrnie* — w spichlerzyku, w lamusie, skarbczyku.
w. 119. *w kubli* — naczynie drewniane, wiaderko.
w. 120. *włok* — sieć rybacka podłużna, z matnią lub bez.
w. 121—122. *...pieśni o Birucie,*
O Perkunie i Kiejstucie —
Biruta była wajdelotką, potem żoną Kiejstuta i matką Witołda.— *Perkun*, bóstwo piorunów i urodzajnego deszczu. — *Kiejstut*, książę litewski, syn Giedymina, brat Olgierda.
w. 126. *Toczy kołem wąż domowy.*
»Jakież było przerażenie moje! — mówi Pol. — Kilka wężów snuło się około mnie kłębem, i wspinając się na ogonach syczało

Krosna stoją w małem oknie,
I czółenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną, jak uroda,
A wiek schodzi, niby woda...

Niby w ciężkiem zadumaniu
O przeszłości, czy kochaniu,
Stoją niemo czarne puszcze;
I rozlały się jeziora...
A po toniach ryba pluszcze,
A na niebie stoi gora.
Puszcze płoną gdzieś zdaleka,
I w zaścianku pies gdzieś szczeka;
A za głosem z tokowiska
Czesze gęstwią leśnik śmiały
Przez jelniki i zawały
Do rodziny i ogniska.

Stanął, — słucha, — tam dzik ryje,
Uroczyskiem łoś pomyka, —

---

ku mnie złośliwie. W trwodze serca krzyknąłem: »Boguńka!« — I wyskoczyła z chaty z łyżką w ręku i śmiejąc się głośno z przerażenia mego uderzyła lekko węże po główkach, wołając: »A kysz! Nie bójcie się, panie; to nasze. One pilnują chaty jak Kruczek, tylko że Kruczek pilnuje w nocy, a one we dnie«. Zbite z pędu węże przesunęły się po przyzbie i znikły po norach« (Pol IV, 66—67).

w. 128. *czółenko pływa w włóknie;*
Czółenko z wątkiem przerzuca się przez osnowę we warstacie tkackim i tym sposobem przez zmianę nici osnowy robi się płótno. Czółenko rzucone między nici wygląda jakby płynęło.

w. 136. *na niebie stoi gora.*
»Do osobliwości tych okolic będą należały letnie *gory lasów* czyli *pożary puszcz.* Jak u nas zdarzy się widzieć podczas posuchy gorejące błota lub stawiska niekiedy, tak tu są zwykłem zjawiskiem gorejące puszcze. Opuszczone lub z pustoty nałożone ognisko, wichrami rozdęte, obejmuje niekiedy kołem całe okolice leśne« (Pol IV, 81).

w. 139. *tokowisko* — miejsce, gdzie tokują albo żerują ptaki leśne, zwłaszcza cietrzewie.

w. 140. *czesze* — idzie szybko.

w. 141. *jelniki* — jedlniki, jedlina.

w. 144. *uroczysko* — część lasu odludna i oddzielona, tajemnicza, niedostępna.

Padło wietrząc, wilk gdzieś wyje,
A puszczami żubr poryka...

»Da! niech ryje, niechaj wyje,
Niech pomyka, niech poryka!
Na strzał padnie mi przed psami,
Com dziś jeszcze nie zastrzelił,
Byle tylko się barciami
Niedźwiedź ze mną nie podzielił...«

Jak lud żyje po Bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem
Na zaściankach po staremu;
Czas jej duszy nie wykrzywił,
Nikt cię państwem nie oparzy,
A gdy w Litwie pan się zdarzy,
To pan sobie jak Radziwiłł!

Bracia szlachta powietnicy,
Leśnych włości współdziedzicy,
W niebielonych siedzą dworach;
Tam to kolej do sąsiada,
I z wielebnym ojcem rada
O sejmikach, o wyborach,
Jaka komu padnie gałka,
Kogo wynieść na marszałka?

Wówczas zcicha to wybije,
Co się w głębi serca kryje;
A gdy w puszczy pociemnieje,
I miód stary pierś rozgrzeje:
To przybędzie i czułości,
Wówczas żywiej i myśl płonie,

---

w. 145. *padło* — padlina.
w. 151. *barcie* — ul pszczół w drzewach wypróchniałych.
w. 156. *zaścianki* — oddalone, jakby »za ścianą«, osady drobnej szlachty.
w. 161. *powietnicy* — mieszkańcy tego samego powiatu.

A więc radzą o Koronie,
O statucie i przyszłości...
Lub pociesznie drwią z Pińczuka,
I z Żmudzina, jak z nieuka.

Lud tam jeszcze nie zmieszany,
Wszystko jeszcze jest gniazdowe,
Jak te drogi powiatowe —
Każdy swój i każdy znany.

Więc też każdy wie, co niesie,
A choć drugim nie pomiecie,
Hardy strzelec w swoim lesie,
A brat szlachcic w swym powiecie.
I choć poznać nie da skoro,
Że o sobie wiele sądzi,
Choć w cichości i z pokorą,
Ufa twardo, że nie zbłądzi,
Bo dokoła się ogląda,
I wie dobrze, czego żąda;
A stąd bywa hart w narodzie: —
Litwin mądry nie po szkodzie.
I w tem głównie, głównie pono
Góra Litwy nad Koroną...
Lud niedarmo to myśliwy,
I skąpany w jezior łonie!
Bo głęboki, jak wód tonie,
A jak łono puszcz, stróżliwy!
W puszczy też go widzieć warto:
Z strzelbą w ręku lub na łodzi
Jak mu lekko i otwarto,
Jak strzał trafia, wiosło chodzi,

w. 177. *Pińczuk* — mieszkaniec Polesia nad rzeką Piną i Prypecią.
w. 178. *Żmudzin* — mieszkaniec Żmudzi, oddalonej od ognisk kultury i nauki.
w. 180. *gniazdowe* — rodzinne, ojczyste, patrjarchalne.
w. 200. *stróżliwy* — baczny, ostrożny.

Jak zna dobrze wagę zwierza,
Wszystkie knieje i ostępy,
Kędy jaka rzeka zmierza,
Gdzie mielizny, rapy, kępy!
Toteż wodą, czy na ledzie,
Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdradno,
Lecz gdy w puszczach przyschną brody,
Gdy rzekami kry opadną,
I powtórne niskie wody:
Lądem, wodą — jadą, płyną,
Telegami i wiciną
Do Mitawy, do Libawy,
A Wiliją, Niemnem, Dźwiną,
I do Tylży i do Rygi
Z kupią swoją na wyścigi.

Stamtąd Niemce i najemce
Za dalekie pławią morza
Maszty, klepki, runo owiec,
I niejednę beczkę zboża,
I niejeden lnu bierkowiec!

---

w. 206. *ostępy.* — Wąskie pasma wód nazywają brodami. »Niekiedy obiega bród takowy obszar puszczy, znacznie wyniesionej dokoła, i to nazywają ostępem. Myśliwi mają takie ostępy za oddzielne knieje...« (Pol IV, 78).
w. 208. *rapy* (niem. Rappe): bystre miejsca w rzece Niemnie lub Wilji.
w. 211. *jechać zdradno* — niepewnie, niebezpiecznie.
w. 212. *brody.* »Jeżeli się wody leśne na twardszym dnie zbierają i cieką węższemi pasami wzdłuż puszczy, wówczas powstają t. zw. *brody,* które nie mając spadku, wzbierają pod dżdżystą porę a podsychają na pogodę. Dno brodów twarde, nieobrosłe, a wody ich czyste, przejrzyste, stoją miałko na piasku« (Pol IV, 78).
w. 216. *telegami i wiciną.* — *Telega,* ruski wóz prosty, z przodem wyższym od tyłu. *Wicina* — statek rzeczny, większy od berlinki, z dachem ruchomym i masztem, pływający po Niemnie.
w. 217 i 219. *Mitawa, Libawa, Tylża, Ryga* to miasta większe: Libawa w Kurlandji nad morzem Bałtyckiem; Tylża na Litwie, nad dolnym biegiem Niemna; Mitawa w Kurlandji nad dolnym biegiem Ay, a Ryga w Inflantach nad dolnym biegiem, prawie przy ujściu Dźwiny.
w. 220. *z kupią* swoją — z towarem.
w. 225. *bierkowiec* (ros. bérkovec), waga 10 pudów = 163 kg.

Litewskiemi sycąc płody
Zamorskiego ludu głody...

Jak za morzem Litwa spławna
Z puszcz odwiecznych w świecie sławna,
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to święta! ziemia Boża!
Na pół leśne jej obszary,
A na poły strojne w zboża;
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary. —
Bo lud wierny w ziemi żyznéj,
I nieskąpo tej ojczyzny!

Od tych prądów świętej rzeki
Aż po morza brzeg daleki
I Łotyszów płone ziemie,
Siadło twarde żmudzkie plemię.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale zato duże chaty,
I wysokie, dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Ponad drogą krzyżów pełno
I kapliczek tuż przy domu:
Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu,
I zażywny, i nie marny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny, i nabożny;
Jednej krwi z tym swoim panem,
Jednej wiary z tym kapłanem.

---

w. 211. *Łotysze* — plemię pokrewne Litwinom, zamieszkujące Kurlandję.
w. 250. *srom* — wstyd, skromność.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie rozrzutny, ani butny;
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wiedzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpuście Świętej Żmudzi!

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny zrazu;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu;
Lecz łza tryśnie nawpół rzewna,
Nawpół krwawa, nawpół gniewna,
Piersi jękną z tajnej głębi,
Zamiar padnie, niby w studnię,
Lecz czas krwi tej nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłódnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

---

w. 262. *po zakonie* — *Zakon* po ros. = prawo, a więc żyć po zakonie — żyć podług prawa.

Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
Nasza przeszłość w swojem łonie,
Jako stara sława płonie:
To jedź, bracie, do *Krakowa*.

Jeśli poznać chcesz zabawy,
Serce niewiast, świat ochoczy,
Gładkie słówka, piękne oczy:
To jedź, bracie, do *Warszawy*.

Jeśli myśl ci przyjdzie mylna
Zwątpić w przyszłość i w swobodę,
Wówczas, bracie, jedź do *Wilna*,
Poznać z hartem dusze młode.

Gdy widoku szukasz *złota*,
Patrz! gdzie nędza obok *błota*;
Gdzie człek żyje śród *spodlenia*,
Znajdziesz ducha *poświęcenia*.

Do *rozumu* niema klucza,
Ale wszędzie jest w odwodzie,
Kędy bieda już dokucza,
Gdzie pracuje człek o głodzie.

Lecz gdyś w świecie trochę pożył,
I zatęsknisz już do ludzi
Czystych, jako Bóg ich stworzył,
To się przypatrz im na Żmudzi.

A gdy Żmudź ci przyjdzie rzucić,
Nazad Litwą znowu wrócić,
To przed pińską opatrz drogą
Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką;
Bo w pustynię wjedziesz wielką,
W ziemię dżdżystą i ubogą.
Droga pójdzie ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie,
A kraj nudny — niby słota!

Ani ruchu, ani duchu,
Woda stoi, wiatr nie wieje,
Lud po puszczach mało sieje,
Jedno lasem się zabawia:
Dziegieć pali, drzewo spławia,
Drze dranice, gnie obody
I nałożon jest do wody,
Jak tych bobrów leśne plemię,
Co z nim naspół trzyma ziemię.

Mnóstwo jezior, rzek niemało
Po kotlinach się rozlało;
Miasto trawy — rokiciny,
Miasto bydła — huk zwierzyny.

---

w. 303—304. *Droga pójdzie ci przez błota,*
Po nich długi pomost spłynie —

Pol objaśnia w *Powodzi*: »...drogi są bardzo złe, na całe mile częstokroć długie bagniska przychodzi przebywać po niespojonych pomostach z okrąglaków lub po bagnistych groblach, które osadę z osadą łączą. Pomost taki pływa częstokroć po bagnie, zatapia się znacznie, gdy się na niego wjeżdża, a podnosi się następnie za powozem i końmi, tak, że konie w błocie i we wodzie brodzą«.

w. 311. *dziegieć* — smoła brzozowa, produkt suchej destylacji.

w. 312. *obody* — obwód (obręcz) drewniany koła wozowego z jednego kawałka giętego drzewa.

w. 318. *rokiciny* — najmniejszy gatunek wierzby, dochodzący do 2 lub 3 stóp wysokości.

Lud też strzelcem, póki lody;
Lecz gdy z wiosną ruszą wody,
A po puszczach zbiorą kały:
To pod wodą jest kraj cały,
A bezpieczen lud na łodzi
Pływa wszystek wśród powodzi.

---

w. 322. *kały* — błota, kałuże.

w. 324—325. *A bezpieczen lud na łodzi*
Pływa wszystek wśród powodzi.

W objaśnieniach do dramatu p. t. *Powódź* Pol tak mówi: »Osobny to świat, i Pińczuki są osobnym leśnym rodem, osiadłym na dnie owego jeziora, i jak sami siebie mają za oddzielny ród, tak też są miani za oddzielny ród od sąsiadów. Wielkie tu są lasy i wypasy, oddzielny rodzaj bydła i koni; ród jest z rodu orylcem, myśliwym i rybakiem; trudni się wyrąbem lasu, żyje z bydła, a żywi się głównie rybą i piskorzami, które tam »wjunami« nazywają.

»...Cały lud pływa wówczas z bydłem i dobytkiem swoim pospołu na statkach i skupia się na suchych ostrowach, gdzie wielkie koczowiska i obozy zakłada, gdzie się odprawiają jarmarki i wesela..

»...Mieszkańcy wszyscy są tak oswojeni z tą powodzią, i tak przygotowani do niej, tak wprawni w prowadzeniu statków, tak pełni nadziei na szczęśliwy połów ryb, drzewa i zdobyczy, jak gdyby tu powódź normalnym stanem była, a wyjątkowym ląd suchy...«

Gdy wyniesiesz z pińskiej drogi
Z ludźmi twymi całe ziobra,
A z furmanką całe nogi,
Podróż była bardzo dobra!
Lecz pamiętaj gałąź-choją
Poza bryką zatknąć swoją.
Gdy się będziesz na Ruś wdzierać,
Pamiętaj się nie obzierać,
By ci czego bies nie wlepił
I za bryką nie uczepił!
A gdy wjedziesz w Ruś pasznistą,
Równą, suchą, nielesistą,
W łada którem ruskiem siole
Krasawice, stojąc w kole,
Z puszczy jadą! wołać będą
I z hałasem wóz obsiędą
I rozerwą gałąź-choją,
I do cerkwi się przystroją.

Gdy przypomnisz wówczas sobie
Owe puszcze, patrząc krajem,
Mrówie pójdzie aż po tobie,
A Ruś ci się wyda rajem!

Kędy wóz twój, bracie, wbiegnie
Na szerokie, czarne drogi,

---

w. 330. *gałąź-choja* (rus. chwoja) — gałąź choinowa, jodłowa, lub wogóle z drzewa szpilkowego.
w. 336. *pasznisty* — obfity w paszę.

Tam przed tobą Wołyń legnie,
I zapomnisz kraj ubogi.

W lewo spłyną czarne role,
Ukrainy bujne leże;
Nawprost, aż po Dniestr, Podole,
A wzdłuż Dniestru Pobereże.

Tam już dostać wody zdrowéj,
Tam krynice i dąbrowy,
I brzozowe, czyste gaje,
A pług czarną ziemię kraje.

Zwolna wznoszą się kopanie,
Rzeki śmielsze nurty wiodą,
I tam, kędy łan nastanie,
Ciągną stawy się za wodą.
Czajki wrzeszczą nad błotami,
Bocian stoi nad żabieńcem,
A rybitwy krążą wieńcem
Ponad groblą i wodami...

Jeśliś, bracie, jest myśliwy,
Na wołyńskie zajedź stawy,
Boś nie słyszał takiej wrzawy
Dzikich ptaków, jakoś żywy.
Podsuń czółnem pod szuwary,
Bo pocieszne ptasze rady:
Tam to sejmy, tam to gwary,
I zaloty i biesiady!
Słysząc krzyki i gwar dziki,
Patrząc na te ptasze zwady,

---

w. 357. *krynica* — woda źródlana.
dąbrowa — las dębowy.
w. 360. *kopanie* — szczyty, wierzchołki.
w. 365. *żabieniec* — staw płytki, gdzie się żaby chowają.
w. 366. *rybitwy* — ptaki wodne, pletwonogie.
w. 372. *szuwar* — sitowina i tatarak na stawie.

Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptaszej wrzawie,
Iż przepomni człek o świecie...
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
Że człek ptakiem sam nie żyje,
Takie szczęsne te bestyje!

Pełny oddech ma tam życie,
I wszystkiego wbród obficie:
Ryb, i zboża, i świniny,
Bydła, koni, i zwierzyny,
I konopi, pszczół i miodu,
I niemało też narodu!

Tam ku górom miodoborskim
Coraz wyżej kraj się wznosi,
Milę jedziesz łanem dworskim,
Ziemia z datkiem aż się prosi!
Lecz człek pracy nie podoła,
Bo, choć duże, długie sioła,
Więcej ziemi, więcej trudu,
Niż jest szczęścia, niż jest ludu...
Smutna bywa ludu dola,
Bo pan twardy i niewola;
Nie pocieszyć się tem dobrem,
Kędy praca lezie ziobrem.
Otóż, kiedy łan obsiewa,
Smutne dumy lud tam śpiewa,
I śród wioski niegrodzonéj
W wiecznej żyje on tęsknicy...
Ruskie kawki i gawrony
Gwarzą tłumnie na dzwonicy;
Przy niej stoi dąb odwieczny,
Jak śród ludu kniaź bezpieczny.

---

w. 390. *góry miodoborskie,* pasmo wzgórz na Podolu, nad Smotryczem, ciągnące się od źródeł Bohu aż do Kamieńca Podolskiego i Dniestru.

Cerkiew z trzema kopułami,
W niej odprawa — a pokłony,
Przed carskiemi stojąc drzwiami,
Bije lud na twardo chrzczony!

Na nim kożuch lśni barani,
Albo świta w domu bita,
Rzemień suty i but kuty,
A bekiesza z sukna na niéj,
A na dziewce wieniec z ruty.
I naówczas wzdłuż krainy
Drzemią łęgi i caryny...
Lecz w dzień budny w polu głośno,
I hukanie grzmi donośno,
A gdy cichnie nad wieczorem,
Ścielą mgły się ponad borem;
Z pasowiska wraca stado,
Żuraw skrzypi u krynicy,
A koniuchy na noc jadą;
A ostatni blask wieczoru
Złoci białe szczyty dworu
I potrójny krzyż cerkwicy.

Wówczas starzy się gromadzą
I o swoim statku radzą:
Przy kieliszku w karczmie kumy,
Na potulne wieczornice
Ciągną z śmiechem krasawice,
Stare, ruskie piejąc dumy.

---

w. 415. *świta w domu bita*,
świta, odzienie zwierzchnie, robione (bite) na warstacie tkackim w domu, z wełny swojej.
w. 417. *bekiesza* (węg. *bekes)* — futro długie, węgierskim krojem.
w. 420. *łęgi* – zarośla na łąkach błotnistych; *caryny* — pola urodzajne (rus. càryna, z rum. tsearina).
w. 421. *dzień budny* — dzień powszedni (rus. — budnyj).

I matula świeci doma,
Choć już północ kur ogłosi;
A donieczka choć się sroma,
Choć się sroma, chłopców prosi,
Aby nie iść do dom saméj,
Bo się różnie ludziom zdarza
Na przełazie, u cmentarza,
I u dworskiej, pańskiej bramy.

Różnie sobie dziewczę wróży,
Za co jej to chłopak służy?
A za służbę tak użytą
Płaci całus słodkie myto!
Gdyby matuś nie łajali,
Toby pewno się żegnali
Bez ustanku, aż do ranku,
Bo to nigdy już niesyta
Młoda dusza tego myta...

Tyle też to szczęścia, tyle.
Co te nocne dadzą chwile!
Bo o świcie krwawe życie!
Niema kumy, niema swata,
Nie usłyszy nikt już śpiewki.

Gdy ataman zakołata:
»Hej do dwora!« — nieprzelewki! —
Bo tam kiedy dwór — to wielki!
Kiedy posłuch — to już wszelki!
Kiedy liczą — to miljony!
Kiedy jedzą — to łakotki!
Kiedy biją — to na sotki!
Kiedy pan — to urodzony

---

w. 439. *dońka, donieczka,* rus. donia — panna, dziewczę, córka.
w. 448. *słodkie myto* — słodka nagroda za odprowadzenie do domu.
w. 459. *ataman* — karbowy, pomocnik ekonoma.
w. 465. *sotki* (rus.) — setki.

Pewno z księcia, albo z króla!
W domu jego dworno, szumno,
A tak straszna jego wola,
Że nieposłuch — chłopu trumną!

Tysiąc pługów na obszarze
Orze zagon, gdy pan każe;
I po dawnym tam zwyczaju
Brzęczy złoto przy tokaju;
Koń arabski rży przy żłobie,
Służba panu szczerość kłamie,
A o głodzie i po dobie
Drży przy koniu kozak w bramie.

Gdy przybędziesz tam nieznany,
Pan cię dumnem okiem zbada:
Sam zamorską mową gada,
A z błazeńska dwór ubrany.
Na to tylko w dom cię prosi,
By cię dumą upokorzył,
Bo łaskawie ledwo znosi,
Że i ciebie Pan Bóg stworzył...

Choć cię w świecie brano w kleszcze,
Choć wyszedłeś już z językiem
— Jak to mówią — ze szkół jeszcze,
A z żołnierki szczwanym ćwikiem,
Nie znasz, z czego począć mowę,
Kiedy w taki dom przybędziesz,
Choć do kogo się przysiędziesz,
Takie wszystko czcze, jałowe,
Nieużyte, zimne, twarde,
Takie nudne, takie harde,
Jakby nigdy nie słyszeli
Polskiej mowy, brzęku strony;

---

w. 474. *przy tokaju* — przy piciu najdroższego wina węgierskiego.

Nigdy serca nie ujęli,
A w tem sercu krwi czerwonéj!

Nie po cnocie, lecz po złocie
Poznasz, że to wnuk hetmański,
Albo tylko po klejnocie,
Co ozdabia dworzec pański.
Już z przeszłości ani cienia,
Ni zwyczaju, ani zbroi!
Państwo tam za wszystko stoi,
Nic polskiego — krom imienia...

Nimby z nami los dzielili,
Nimby jeszcze warci byli
Promnickiego kawał chleba,
I braterstwa, i swobody,
Ochrzcićby ich jeszcze wprzódy
W Wiśle albo w Gople trzeba.

Prędzej w duszy tam niewieściéj
Rzewna, prawa myśl zagości,
I dzisiejszych tych boleści
I bezprawia i przyszłości;
Lecz o panu Ryczywole,
(Jak ów mówił) milczeć wolę!

Jednak — jeśli chcesz z pociechą
Kraj opuścić, to patrz, bracie,
Kędy dom pod niższą strzechą —
Tam przyjęcie czeka na cię,
Tam młódź rzeźka i świat inny,
Umysł prawy i niewinny,

w. 511. *promnickiego chleba* — prądnicki chleb wypiekali podmieszczanie krakowscy na Prądniku Czerwonym.
w. 513—514. *ochrzcićby ich w Wiśle albo w Gople*—zanurzyć w prawdziwej polskości.
w. 519. *o Ryczywole* — Ryczywół, miejscowość w Radomskiem. Użył tej nazwy Krasicki, jako czegoś niegodnego wspomnienia, a Pol nawet zmienił to na nazwę osoby *(o panu R...)*.

Tam się jeszcze tylko chowa
Serce polskie i myśl zdrowa —
A zacisznie i w kąciku
I w pomiernym tym staniku...

---

w. 530. *stanik* — zdrobn. stan; »pomierny stanik«, wyrażenie Reja Mikołaja w *Żywocie człowieka poczciwego*, oznacza stan mierny, średni.

Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód twe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!

Wóz twój wbiegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza,
I krew raźniej ruszy w żyłach, —
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoję po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu —
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...

Hej, ku morzu, ku Czarnemu,
Ku limanu szerokiemu

---

w. 547. *jary* — »...płyną tu rzeki w głębokich, kamienistych, *jarami* zwanych złobach, a pomiędzy niemi leżą wolne suche równiny, które dzikiemi polami lub stepami nazywają« (Pol IV, 192).

w. 552. *liman* — jezioro nadmorskie albo zatoka, oddzielona wąskim pasem lądu od morza (rus. łymán, z tur. liman).

Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj, koniu, po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci,
Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem lis pomyka.
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną mary przez czahary,
I krynica bije na dnie...
A tu czesze stepem, borem,
Z listem kozak, gdzie pan każe;
I czumackie ciągną maże
Od limanów w świat taborem;

---

w. 554. *Ławra,* wielki klasztor, monaster mnichów w Kijowie. — *Sława Bogu,* chrześcijańskie pozdrowienie ruskie, jak u nas: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«
w. 555. *rozłóg* — otwarte pole, wolna przestrzeń.
w. 557. *porohy* — progi skalne w Dnieprze, powodujące wodospady.
w. 561. *burzany* na stepie, chwasty, zielska, krzewy niskie.
w. 562. *oczeret*—»...Kotliny i zapadliska, suchsze i płytsze (niż *bałki*) ciągną się nieraz na milę wzdłuż stepów i porastają całe lasem pierzastej trzciny. Są to t. zw. *oczerety,* po których jak po kniejach całemi dniami polują i błądzą myśliwi... Szelest tych oczeretów wichrem zamąconych wydaje gwar osobliwy... ostry, szorstki, przykry niekiedy, przeciągły i rzewny, dziwnie zgodzony z widokiem tej ziemi i z ojczyzną mogił!« (Pol IV, 198).
w. 563. *tabun* — wielkie stado koni w stepie.
w. 565. *przez czahary.*
»Zbocza jarów, niekiedy nagie i skaliste, niekiedy ziemią zawiezione, porastają rozkosznemi drzewami różnego rodzaju i zazwyczaj widać tu dęby i brzozy, jawory i brzosty, jesiony, lipy i klony czarne obok siebie rosnące, dereniami i leszczyną gęsto podszyte... Lud nazywa takie porosty mieszanego drzewa *czaharami, bajrakami.* Drzewa te są bujniejsze i większe niż gdziekolwiek, a ciemna zieloność liści, która o sile roślinności świadczy, trwa jednostajnie świeżo do późnej jesieni« (Pol IV, 199).
w. 569. *czumackie maże*—wozy łubiane przewoźników ukraińskich, przewożących towary, a zwłaszcza sól, za pomocą wołów. (»Uciekaj Czarnomorcu z swą mażą skrzypiącą, bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą«. Malcz.).

Po rozdrożach czort je wodzi
I tumany nocne płodzi...

Ponad Dnieprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijów stary;
Tam złocone monastery,
A w nich czerńce starowiery;
A gościńcem do Kijewa
Płyną maże z miodem, z zbożem,
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A mołojec każdy wojec,
Raźny, harny — a od lica!
W sercu śmiałem, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew koszowych;
A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśni żyje;
Jak stepami Dniepru szumy
Płyną siołem stare dumy...
A po dworach pusta służba,
I koń czerkies, kozak drużba;
I poszyto i obuto,
Niewymyślnie, ale suto!

Tu języka Lach nie zbłaźni,
Jak przed wiekiem nieodrodny;

---

w. 575. *monaster* — kościół i klasztor, szczególniej wyznania greckiego.
w. 576. *czerńce starowiery* — zakonnicy obrządku wschodniego.
w. 577. *Kijewa* — forma ruska zamiast polskiej: *Kijowa*.
w. 583. *lewada* — czyste miejsce otoczone wierzbami lub topolami.
w. 587. *mołojec* (rus.) — młodzieniec; *wojec* — wojak, żołnierz, rycerz.
w. 588. *harny* — hardy, dumny.

Stały w gniewie i przyjaźni,
I zuchwały i dorodny;
Nie zwykł w księgach łamać głowy,
Ale z serca idą mowy. —
Chwat poprostu! Lubi konie,
Węgrzyn stary, krymskie burki,
Charty, łowy, jasnę bronie,
I bekieszki, i lisiurki!
W męskiem ciele serce prawe,
W prostej głowie rozum zdrowy,
A za dobrą jaką sprawę
Zawsze życie dać gotowy.
Bo tak ojciec i dziad czynił,
Więc i syn i wnuk się kusi:
Niechaj padnie, co paść musi,
Byle człek się nie obwinił!...

---

w. 608. *lisiurka* — kubrak podbity futrem lisiem.

Jasne słońce nad Podolem!
Po parowach kraj się zboczył;
Wielkim łukiem, czy półkolem
Dniestr ku morzu się zatoczył...

Jarem, jarem za towarem,
Obłogami za wołami,
Manowcami za owcami,
Pobereżem na Podole,
A w Podolu, jak w stodole!

Jak zalegly ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zjedź świat cały, przepłyń morze,
Niema kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie,
I w obszarach oko ginie...

---

w. 622. *obłogi* (obłóg) — miejsce otoczone czemś, drzewami, pagórkami i t. p.
w. 624. *Pobereże* (po pol. = Pobrzeże), pas ziemi ciągnący się nad Dniestrem aż ku granicom tatarskim.
w. 629. *Niema kraju nad Podole!*
Pol z osobliwą sympatją kreśli ten kraj: »Te brogi i sterty, kraj cały jak ogród uprawny — te rozległe łany, co się mszą jak czarny aksamit wyorane świeżo, te niewielkie cieniste dąbrowy, rozrzucone jak wianki po polach, te osiadłe kamienne krzyże, te mogiły, samotne jak przeszłość, i te sioła ludne, zaciszne, leżące po jarach, i te stawy na wierzchowinie, porosłe dużemi trzcinami, i to mnóstwo siwego bydła, wracające wieczorem do domu, te dzieci, lecące skwapliwie, by podróżnemu otworzyć kołowrót, i ten lud dorodny i poważny gdym znowu ujrzał i usłyszał odgłos tych rzewnych dumek podolskich—ogarnęła mię jakaś tęsknota...« (Pol, X 169).

Tu kraj cały jednym łanem
I nadany wszelkim płodem:
Płynie mlekiem, płynie miodem —
A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale zato chleb do pasa!
Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie, Boga chwali!

Kilkoletnie sterty, brogi,
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone na obszarze —
I na polu skot w koszarze,
Co zabiela dniem rozłogi.
A skot bywa szerści siwéj,
A koń bywa gęstej grzywy,
Nóg żelaznych, twardej skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Za okopem lub za płotem
Wsie, zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

---

w. 635. *nadany* — obdarzony, uposażony.
w. 638. *niepochybny* — nie zawodzący, pewny.
w. 642. *kłopić się* — mieć kłopot, wiele trudu.
w. 644. *w skład wyorać* — znaczy: wyorać jedną skibą, na szerokie zagony, bez powtórnego głębokiego orania.
w. 647. *tok* — sterta zboża.
w. 650. *skot* (rus.) — bydlę; *koszar* — legowisko bydła na polu, ogrodzone.

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska istne mury;
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,
Na łotokach szumi woda,
A staw czysty, jak zwierciadło!
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum ustanie,
Jakbyś był na stepie znowu,
Równo, cicho znów na łanie...

Cicho — jednak niby ludno:
Wszędy zboża, wszędy krzyże,
Konik polny piosnkę strzyże,
O mogiłę też nietrudno...

Kłosy płyną w lekkiej fali,
A gdzieś widne w sinej dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne...

A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto, biało odzian,
Jak dąb młody, rzeźki młodzian,
A dzieweczka — jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zlecą Bogu.

---

w. 664. *Skała żebrem wzrok ubodzie* — skała, stercząc u brzegu prostopadle, wygląda jak żebro jakiegoś wielkiego zwierzęcia, a że jest biała i odbija od zieleni — »bodzie« niejako wzrok.
w. 668. *łotoki,* korytka młyńskie, któremi pędzi woda ze stawu na koła.

Stary zwyczaj — dobre plemię —
Człek po Bogu — chleb po ziemie —
Wszystko zgodne — wszystko w cale —
Lecz i tutaj *nie bez ale...*

Bo wśród Bożej tej krainy
W tło narodu ćma się wprzęgła,
Co z klęsk kraju się wylęgła —
Czeladź podła, wszemu krzywa,
Która wierzchem ludu pływa —
Jak nieczyste szumowiny!

Daj ją katu, gospodyniu,
I to zboże czyść z kąkolu!
Gorszy niż pan na Wołyniu
Jest półpanek na Podolu!

Wzrośli oni w ziemi naszéj
I rozbojem i kradzieżą,
Za plecyma naprzód Baszy —
A dźwignąwszy się łupieżą
Z podstarościch na dziedzica,
By tumanem świat złudzili,
W carskie grafy się poszyli —
Resztę dała Targowica...

Że ich państwo nowej daty,
Więc co swoje, to im wadzi:
I pod lada stare graty
Podszyćby się chętnie radzi!
A więc świecą blichtrem, szumem,
Drżą przed ludem i rozumem,
I przed Bogiem i przed wiarą,
Przed przyszłością i przed karą.
I na ich to kiedyś głowę
Spadną grzechy zaborowe!

---

w. 692. *w cale* — w całości.
w. 708. *podstarości* — ekonom.

Chroń się, bracie, ich widoku,
Bo niemiło cię poruszy.
Co u ciebie w sercu, w oku,
Nie postało to w ich duszy!

Lecz raz jeszcze potocz okiem
Po tych łąkach, po tych łanach,
I po stawie, po szerokim,
I po złotych tych basztanach;
A wypiwszy strzemiennego
Starym miodem lub wiszniakiem
Z rąk człowieka poczciwego,
Jedź na zachód bitym szlakiem!
Bo od tych to niw kurhanu,
Aż do Bugu, aż do Sanu,
Leży czarno wyorana
Ruś czerwona, Ruś hreczana!

A od ruskich rzek wybrzeży
Aż po Tatrów pierś jałową,
Po dziedzinę Krakusową,
Tam po Odrę, po Żuławy,
Stara ziemia Piasta leży —
I lud gnieździ starej sławy,
A w pośrodku Wisła bieży!

Na południu w jasne chmury
Wystrzeliły sine góry!
Za górami, za lasami
Poszedł Beskid granicami!
Wziął się, kędy Wisły źródła,
A zaginął w Czarnym Lesie,

---

w. 729. *basztany* — kawały ziemi, wyorane na wypalonym stepie; na nich sadzą melony, kukurudzę, ogórki (stąd *basztany złote*).
w. 731. *wiszniak* — nalewka spirytusowa na wiśnie, dająca dobry napój.
w. 741. *Żuławy* są to niziny między ramionami Wisły w okolicach Gdańska, Malborga i Elbląga leżące; odwodnione kanałami, tworzą jedną z najżyźniejszych okolic.

Kędy zwierz się w gawrach kudła,
A ku równiom Świéca rwie się.

Tam to szumią górskie wody,
Wierzchem ćmią się jaworzyny,
I woń ronią połoniny
I jelenie wieją chłody!
A Beskidem płyną chmury
W czarne lasy, w sine góry...

Z Bogiem, ludu, z Bogiem, w Bogu,
Od tych źródeł do Rozrogu!
Boć ci dobrze w twoich górach
Na tym owsie i żętycy!
Orły twoje współdziedzicy,
I swobodny ów świat w chmurach.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup, zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.

---

w. 751. *w gawrach* — »Najeżone łomy i zawały drzew, jeżeli opodal od pasiek i siedzib leśnych w głębiach puszczy leżą, nazywają myśliwi *gawrą niedźwiedzią*, albo *matecznikiem* (Pol IV, 76).
w. 752. *Świéca*, dopływ Dniestru z brzegu prawego; wpada do niego poniżej Żurawna.
w. 754. *jaworzyny* — gaje drzew jaworowych.
w. 755. *połoniny* — »dopiero w ziemi sanockiej, na górnym obszarze Sanu, poczynają się połoniny od wsi Smereka. Są to podhalskie pasze, które zaległy grzbiety lub czubułki gór najwyższych, w sposobie wysp oddzielnych, powyżej górnej granicy lasów« (Pol IV, 130).
w. 757. »Górale nazywają sam grzbiet graniczny, od źródeł Wisły do źródeł Świcy dniestrowej, *Beskidem*« (Pol IV, 127).
w. 760. *do Rozrogu* — »Od źródeł Świcy aż po *graniczne rozdziele* Rozrogu« (Pol IV, 127). Jest tedy Rozróg czy Rozrogi nazwą tych szczytów, na których się schodzą granice Polski, Rumunji i Siedmiogrodu.
w. 762. *żętyca* — napój kwaskowy z serwatki owczej, po wyciśnięciu grudy sera.
w. 771. *hale* — »Powyżej tych lasów (regli) legły alpejskie pasze, *halami* zwane« (Pol IV, 461).

Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia:
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica...

Każda skała z tobą gada;
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orlę wieszcze.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku,
I dokoła okiem błyśnie:
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice...

Czeladź górska też niepodła:
Lud wysmukły niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak — lekki, jak pręt — gibki,
Wiecznie niby młody młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany
I sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy, niż lud w dołach.

---

w. 791. *czeladź* — domownicy, ludność w ogólności.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi;
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na Świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy:
Stary baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.

---

w. 808. *równie* — równiny, w przeciwstawieniu do podhala.
w. 818. *jar*, właściwie: jarz — wiosna.
w. 822. *juhas* — pasterz tatrzański.
w. 823. *baca* — niby gazda na polanie, a juhasi są jego parobkami.
w. 824. *pies liptowski* — gatunek psa owczarskiego osobliwych przymiotów, hodowany na dolinie Wagu górnego w żupaństwie liptowskiem na Słowaczyźnie.

W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szałase do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży,
Gdzie się serce sercem mierzy
I w swobodę człowiek wierzy.
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiécha,
Gdy się wiosną śmieją góry.

A gdy ponad turnie czasem
Przegrzmi latem nagła burza,
To zieleńsze potem wzgórza,
Popod hale, ponad lasem;
Świeższe, żywsze barwy, wonie,
I powietrze bywa lżejsze,
Ach, i bóle serca mniejsze,
Czyste czucia w lżejszem łonie...
Trawnik błyszczy w świeższych rosach,
A olbrzymie półobręcze,
Rajskie wstęgi, jasne tęcze,
Pną się łukiem po niebiosach.

O! te skarby, te obrazy
I natury i swobody
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!

---

w. 836. »*turniami* zwą się skaliste szczyty, które powyżej regli i hal olbrzymio strzeliły ku górze« (Pol IV, 461).

Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwycone pozostaną...
Nie wyrywaj się z gościny,
Gdy cię losy tam zawiodą,
A z powrotem puść się wodą,
Na Dunajcu przez Pieniny,
W równie — w równie, gdzie ci tworzyć,
Gdzie ci działać bez wahania,
I w potrzebie żywot złożyć
W dobrej sprawie z przekonania!

Bo od gór tych aż po morza
Legła ziemia, sławna z zboża,
Z wiary, z męstwa, z gościnności,
I z nieładu i z wolności!
Wielka krzywdą i cierpieniem!
Święta krwi tej poświęceniem!

Bóg, choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodrą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszic prawi:
»Dał mu chleba i stal twardą,
Złota, srebra jedno w miarę!«
Serce czułe, duszę hardą,
Miękką wolę, silną wiarę,
Kraj otwarty, miłość kraju,
Złych sąsiadów, ramię silne,
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomylne!

Toteż ludzie tam najszczersi!
Tam to polski świat ochoczy:
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.

---

w. 871. *ojciec Staszic*. — Ks. Stanisław Staszic, pisarz polityczny z końca w. XVIII i pierwszy badacz geologji Tatr polskich.

Tam to dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka tylko śpiewki!
Stare baby wygadane;
A wesołe i rumiane
U matusi rosną dziewki.

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda;
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią,
I na *Anioł Pański* dzwonią;
A gołębie krążą stadem
Nad plebanją i nad sadem...

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń puścizna:
Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara,
A lud jednej krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!
Po kościołach chwała Boska,
Na odpusty naród płynie —
I cudowna Częstochowska
Jak szeroka Polska słynie!
Rej na godach drużba wiedzie,
A z weselem kulig jedzie!
Tam to druchny śpiew miluchny,
I gospodarz gościom rady,

w. 906. *kord* — broń sieczna.
w. 915. *kulig* — staropolska zabawa zapustna.

Tam to tany a biesiady!
A gosposie takie wdzięczne,
Takie lube i urocze
I w przyjęciu takie zręczne,
Iż, gdy która cię powita,
Z mazowiecka zaszczebiocze,
I ogości i opyta,
To aż serce żałość chwyta,
Taka to tam szczera mowa,
Tak serdeczne, proste słowa!

Póki zgodnie, póty godnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzempolą raźno grajki,
Nie policzy kółek w pasie,
Gdy go wezmą na kiłajki!
Tam nie żarty, bójka sroga!
Pod razami trzeszczą kości,
A kosterę wiedzie droga
Suchym lasem do wieczności.

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
Toteż czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już żmudnie,
I co robi, to już robi
Z całej duszy, nieobłudnie!

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrej wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą!

---

w. 933. *kiłajki* — wyraz nieznany; domyślać się można, że znaczy tyle, co kije.
w. 936. *kostera* — gracz, szuler.

Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz niebardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromadą
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na obżynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki;
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głową!

A przy szklance, pogadance,
Jeśli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu:
Toś mu zabrał duszę całą!
To i we łzach się rozpłynie,
I przebaczy lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

Choć to swoje, człek się kusi
I pochwalić, co się godzi:
Niezła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzie rodzi!

---

w. 959. *dograbki,* uroczystość wiejska na zakończenie sianokosów; — *obżynki, dożynki* — zabawa żniwiarzy po ukończeniu żniw; zwykle 15 sierpnia, w święto Matki Boskiej.
w. 965. *tanka* — taniec.

Częste, gęste piaski, laski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem
I dołoży silnej ręki,
To niedarmo się i znoim:
Gumna, stogi się potroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyną te pszenice
I za morzem ziemie maskie!
Sandomierskie i Kujawskie!
I Proszowskie okolice!

Choć im jedna świeci zorza,
Jednak różne znajdziesz kraje;
Lecz po dworach aż po morza,
Wszędzie jedne obyczaje:
W stajni konik domorosły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły,
A cnota domowa!

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne ławy w ganku,
Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne burki
I wyprawne pękiem skórki.
Drzwi na oścież — a w pokoju
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany,
Dzban cynowy do napoju,

---

w. 991. *maski* — mastki, mazisty, tłusty, a więc urodzajny. Ale możliwe także, że tu jest błąd drukarski i ma być »naskie«, t. j. nasze ziemie.
w. 1003. *półtoraczny* — zawierający półtory miary, a więc półtora razy większy.
w. 1006. *rzędy*, uprząż na konia pod wierzch; — *drożne burki*, burki do drogi, do podróży.
w. 1010. *niedźwiedź* — skóra niedźwiedzia.

A na ścianach antenaty,
A na półkach srebrne blaty.

Jak dzień Boży, szum na sali,
A z tej sali coraz daléj,
W lewo, w prawo, jasne, ciemne,
Opuszczone i przyjemne,
Jawne, strojne i ukryte,
I bielone i obite
Zakomórki i kąciki,
I pokoje, pokoiki,
I sioneczki, narożniki!

To dla pana, dla jejmości,
To dla panien, to dla gości,
Dla paniczów, pokojowych,
To dla panien respektowych.

Co tam schowka, co tam sprzętów,
Dworskiej służby, rezydentów!
A dopieroż spojrzeć wkoło
Po układzie tym pokojem,
Jak tam dziwnie i wesoło,
Jak tam każde swoim strojem
W swem gniazdeczku się sadowi,
Któż to wszystko wam opowié?!

---

w. 1012. *antenaty* — przodkowie.
w. 1013. *srebrne blaty* — srebrne naczynia i podstawki.
w. 1026. *panny respektowe* — W dworach polskich panie miewały przy sobie uboższe panienki szlacheckie (zwane *respektowemi*), trzymały do nich guwernantki, ochmistrzynie, i kształciły je i wychowywały.
w. 1028. *rezydent* — przyjaciel lub weteran, albo biedny daleki krewny, rezydujący stale w bogatym domu.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nieludno.
U nas mury się nie świécą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył:
Dom niewielki — wtem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nieciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta,

Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban niepusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla *zagórskich panów!*

Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne...
Przed świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie
Ponad łożem karabela...

Gdy zawcześnie do spoczynku.
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marjąsza przy kominku:
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje...

Wszystko cicho — nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie,
Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą...

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda!

---

w. 1072. *zagórscy panowie* — mogący nadjechać goście, ale jeszcze nieobecni (za górami...).
w. 1080. *karabela* — krzywa szabla bez kabłąka o rękojeści ozdobnej.
w. 1087. *szasnąć* — zaszeleścić, lekko coś potrącić.

Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!
Boć to w cnocie i w szczerocie
W wiejskim domku uchowane,
Wypieszczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka!
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje...

Gdy wesołe, istne trzpiotki
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna,
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jej nie zbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wyspowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije,
To cię dojmie tak do żywa,
Iż to cudne, cudne dziwa,
Że się serce nie rozpłynie,
Że od szczęścia człek nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskiem dzieckiem, czy z aniołem.
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przebolcje dusza młoda;
Jednak lat i łez nie szkoda,

Boć raz w życiu to kochanie.
A jak ci się która pod[illegible]
Z całej duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie,
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyziębi:
Ona sercem pojmie skrycie;
Co myśl wieku dźwiga w głębi;
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciadle się odbije,
Bo w tem łonie przyszłość żyje.

A czy chcecie wiedzieć, jaka?

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta, jak modlitwa,
Przed skonaniem odmówiona;
A potężna, jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy!

Wyleć, wyleć, orle młody!
Ponad ziemię, ponad grody,
Z myślą, pieśnią wyleć społem!
Potocz młodą duszę kołem!
Wyleć śmiało i wysoko,
I odetchnij w świat szeroko!
Obleć ziemię skrzydłem gońca,
Opatrz wszystko okiem słońca!
Bo tych twoich borów szumy,
I tych łanów złote kłosy,
I tych ludów śpiewne dumy,
I wód fale i niebiosy,
Grają jedną pieśnią zgodną,
Jak Bóg wielką i swobodną,

Pieśnią, której nic nie stłumi!
Temu tylko zrozumiałą,
Kto zrósł z ziemią duszą całą,
Kto za kraj ten zginąć umié.

Gdyby wierze pognębionej
Traf szczęśliwy podał plecy,
A tej szlachcie znarowionej
Gdyby Bóg dał rozum kmiecy:
Cóż za życie pełne cudu!
Co za dola! co za zorza!
Zeszłaby nam z tego morza
I świeciłaby dla ludu!

Bo i cóż to tam za dusza,
Co tym ludem skrycie wzrusza!?
I wybija w tych to pieniach,
W tej dzielności na igrzysku,
I w tych męskich uniesieniach
Na pobojowisku...

O, z tym ludem, ojców Boże!
Nim w spoczynku głowę złożę,
Dozwól jeszcze siać i zbierać!
Lub, gdy nie dasz przy nim pożyć,
Dozwól przy nim choć umierać —
I strudzone kości złożyć!

OBRAZY Z ŻYCIA I PODRÓŻY

„Pójdźcie a oglądajcie sprawy Pańskie, jakie uczynił cuda na ziemi...“
Psalm XLV.

Wer den Dichter will verstehen
Muss in Dichters Lande gehen.
Göthe.

II

Co nas wiąże, to i broni,
To i zbliża w pierwszym kroku:
Oto serce masz na dłoni!
Myśl w tych słowach, duszę w oku!...

»Ha! jak się macie w halach gazdowie?«
— Skądże nas znacie? skądże to przecie? —
»Po chrzcie, po chlebie, po ludzkiej mowie,
»Po czem się ludzie znają na świecie«.

— A to witajcie! Skąd Bóg prowadzi?
Pewno idziecie szukać tu złota?
My by go sami wynaleźć radzi,
Ale to płona dla nas robota —
Bo czarnoksiężnik skarby zamówił,
I błędną ścieżką człowieka wlecze;
Choćbyś to złoto już, już ułowił.
Niby to para z ręki wyciecze.

»Szukam ja wprawdzie — szukam ja złota
»Ale nie tego, co ludzie kopią:
»Bo złotem mojem prawda żywota,
»I dusza, której djabły nie stopią«.

— Co tam — ku swoim rzekł góral stary —
Co wy tam znowu, człeku, bajecie? —
Złoto nie złoto, czary nie czary,
No — kiedy z drogi, to siądźcie przecie...

---

w. 8. *płona robota* — mało wartą (słowackie: planý).

Witajcie w halach! A czy zdaleka?
Pewno, że z Lachów? — my Lachów chwalim.
Siądźcie za stołem! Kachno, zwarz mleka,
A my tymczasem lulkę zapalim.

Nie chcę waszego — ja inny palę!
Chłop tem zuchwalszy, czem więcej bity;
Niemiecki tytoń człeku nie syty,
Więc ja też sobie basiaka chwalę.

»Gładko się rzekło, co z serca idzie:
»Stara przypowieść: Po grosz do miasta,
»A już do chłopa po rozum w biédzie —
»Jestem więc w halach z wami — i basta!«

— Gładko ja rzekłem, lecz i wy prawo —
Kachno! czy słyszysz? Nie warz już mleka,
Lecz skocz po wódkę. — A tylko żwawo!
Trzeba pogościć tego człowieka.

---

w. 22. z *Lachów* t. j. z nizin; Lachami nazywają górale tatrzańscy wszystkich mieszkańców Polski, na północ od gór tatrzańskich i Beskidów mieszkających.
w. 28. *basiak* — tytuń węgierski (słowac. bašiak, z węg. *pasa*dohany).

III

LUDWIKOWI ZEJSZNEROWI
badaczowi dziejów ziemi ojczystej
Powieść ludu górskiego
o dziejach tej ziemi
w dowód wysokiego poważania
poświęca *Autor*

Woda płynie,
Wiater wieje,
Człowiek ginie,
Ale dzieje
Powieść sieje,
A pieśń leje.

Ha! ha! pocieszne i pytanie wasze!
Skąd się w tych górach wzięło plemię nasze?
Czemuż to człeku nie pytacie o to,
Skąd się w tych Tatrach bierze polskie złoto?

Od wieków wieka, jak lasy i hale,
Osiedli wszystkie te działy górale,
Lecz jako każdy dziś wam jeszcze powie,
A naszym ojcom mawiali ojcowie,
Drzewiej tu u nas inaczej bywało:
Gdzie dziś doliny, tam jezioro stało,
Po Gorzec tylko zbierała miód pszczoła,
A Tatry dunaj oblewał dokoła.

---

w. 9. *drzewiej* — dawniej; wyrażenie stare, w gwarach żyjące.
w. 11. *Gorzec* (nie Górzec), nazwa gór, należących do Beskidu zachodniego, leżących na północ od Nowego Targu. Dziś zowią je pospolicie *Gorce,* a najwyższy ich szczyt *Turbacz.*

Gdzie dziś Orawa i Dunajec płynie,
Morska się ryba pławiła w głębinie —
I tak to było. — Aż lud uweselić
I między ojców polany podzielić,
Ściągnął król w góry ze stolicy swojéj,
I stanął w Gorcu, gdzie »Święty Krzyż« stoi,
A był to mocarz potężny i dobry,
Dziad wszystkich królów — zwan Bolesław Chrobry.

Stanął na Gorcu i spojrzał wokoło,
I zdjął koronę i przegarnął czoło,
Tak to się zdziwił i ludem i światem;
Więc ziemię świętą okrył swym szkarłatem,
I po bożemu lud pozdrowił wzajem,
I spojrzał w niebo i potoczył krajem,
I patrzy w Tatry — Tatry za dunajem —
Patrzy na dunaj — a dunaj szeroki —
Patrzy na naród — a naród wysoki —
Patrzy na bydło — a bydło dorodne —
Patrzy na góry — a góry swobodne —
Patrzy — i zważa to sobie jedynie,
Że już za ciasno ludziom i żywinie;
Więc się sfrasował, bo chciał lud swój zbawić;
Otóż, gdzie stanął, kazał krzyż postawić,
Ukląkł i westchnął serdecznie do Boga:

»I w Tatrach będzie miód zbierała pszczoła!
»Dobędę złota — złoto dla kościoła —
»Dobędę stali — stal zda się na wroga«.

A potem skinął, kędy wodom droga:

»Płyń-no dunaju, zbierz mi tylko skoro,
»Mojej ja ryby napuszczę w jezioro«.

A potęm krzyknął na swoje narody:
— »Złamać te skały i spuścić te wody!«

---

w. 33. *żywina* — tak górale zowią wszelki dobytek zwierząt domowych.

Lecz lud stał niemo, choć rozkaz był dany.
Bo nie był naród na posłuch złamany,
A jak tu łamać skały, co Bóg stworzył?
I spuszczać dunaj nieprzejrzany okiem?

Więc do czakana sam król się przyłożył;
Ciął! przeciął skałę — a łomem szerokim
Zbiegły te wody aż po Tatrów krajec,
I opadł dunaj — a został »Dunajec«.

V

Sercem gościa płacą,
I miłe lada co.

»Czy ty mnie kochasz moja dziewczyno?«
— A juścić kocham was, panie! —
»Ach! jak tu łacno te słowa płyną!
»A tam — czekałem tak na nie.

»Czy tutaj biją serca już żywiej,
»Że tutaj nieba już bliżej?
»Czyli tam może biło prawdziwiej,
»I chociaż skrycie, lecz szczérzej?

»I za cóż ty mnie kochasz też przecie?«
— A jacy, jacy ladaco!
Jeśli bez wstydu pytać będziecie,
Pewnie nie powiem ja, za co. —

»Powiedz mi, proszę!« — No, to wam powiem,
Boście na ludzie podobni,

---

w. 49. *czakan* albo *czekan* (z węg.) — broń ręczna, jakby mała dzida połączona z toporkiem.

A w sercu jacyś niby żałobni,
A gdy mówicie — to zdrowiem.

Gdyście raz pierwszy mnie tu zastali
(Choć was to może zadziwi),
To mnie się zdało, gdyście gadali,
Żeście mi pono nie krzywi. —

Ot i myślałam: Gdybym to była
Panią, co w złoto ją stroją —
I jakoś znowum się zasmuciła,
Myśląc, że macie już swoją.

I znowu myślę: Jabym jej dała
Chustkę jedwabną za niego —
Onaby chustkę od święta miała,
A ja już jego, jak swego.

A gdyście poszli, to mi się zdało,
Że mnie już samej ubyło,
A już w duszyczce tak coś płakało,
Jakby się strasznie coś śniło.

I już nie chciałam więcej być panią,
Tylko tą halą zieloną,
Co to tam strzyżki pognali na nią,
Bo lżej byłoby mi pono. —

»Gdybyś ty halą była nad lasem,
»Ja byłbym wówczas juhasem,
»Strzyżki na halę pognałbym sobie,
»I byłbym znowu przy tobie«.

— Gdybyście byli w halach juhasem,
Kozą byłabym tymczasem;
Skacząc bym uszła w turnie przed wami,
I stalibyście znów sami. —

---

w. 20. *żeście mi nie krzywi* — nie obojętni dla mnie, a więc okazujący sympatję.
w. 35. *strzyżki* — owce strzyżone.

»Choćbyś mi uszła, jabym cię zwabił,
»Bo wówczas byłbym myśliwcem;
»Lecz jabym ciebie, kózko, nie zabił,
»Tylko pochwyciłbym żywcem«.

— To jabym wówczas chmurą wzleciała,
I stalibyście znów sami —
Jabym myśliwca w turniach wyśmiała,
Stojąc wysoko nad wami. —

»Kiedy ty chmurą, ja byłbym słońcem,
»I przecież dopadłbym ciebie;
»Bo jasny promień wysłałbym gońcem
»Za tobą, chmurko na niebie!«

VII

> Te ojczyste progi,
> I domowe Bogi,
> Toć moje i wasze,
> To i skarby nasze!

— Jak mówią: chleb, ludzie i obraz nie dziwy. —
Czy wyście katolik? — »Katolik prawdziwy!«
— A zacóż o święte obrazy pytacie?
Wszak wy też na Lachach obrazy tam macie?
»A mamy i czcimy«.
— Więc u nas tak samo,
Gdzie święty pod dachem, tam Bóg już za bramą,
Tak matuś mię uczą. — Bez waszej urazy,
Wiem ja już od dziecka, co święte obrazy. —
To święta jest Magda, straszliwie pokutna,
Bo być też to miała grzesznica okrutna,
Gdy Chrystus Pan jeszcze po ziemi tej chodził,
I grzeszne ludziska na dobre nawodził.
— To święty Piotr z Pawłem — co klucze trzymają,
I ludzie poczciwe do nieba wpuszczają.

A potem widzicie ten obraz tu wielki?
To Józef, jak uczy Jezusa ciesielki;
Bo ojciec mój także z ciesielki tej żywie,
Więc chowa ich tutaj za szkłami poczciwie;
A tu się pokłońcie! — To świętość największa,
Bo z małym Jezuskiem Panienka Najświętsza!

Raz śniła się ojcu — a dziwnie się śniła!
I tak się serdecznie przed nimi żaliła,
Że ją tu tak biednie trzymają jak służkę,
I bosą z obrazu wskazała im nóżkę;
Więc ojciec się długo myślami też wodził —
I kiedy za kośbą na Lachy był chodził,
Wziął sobie do serca, co dawno miał w głowie,
I złote trzewiczki zakupił w Krakowie —
I przypiął do nóżek, — a po tej już dobie
Najświętsza Panienka nie przykrzy nam sobie.

Ja do niej się modlę — i gładko też rosnę,
Tak jako widzicie przed sobą mnie wcale!
I ona Najświętsza śni mi się co wiosnę,
Gdy mają już owce wypędzać na hale.

X

Co małe,
To całe.

Nic ani szaśnie — cichutko wszędzie,
Nalepa wkoło zmieciona,
Słychać jak pająk nitkę swą przędzie,
I serce bije u łona.

A na nalepie jasnym płomieniem
Palą się drewka bukowe,
A święci patrzą ostrem wejrzeniem
Ze ścian na rządy domowe.

W górze na półkach, rzeźbionych drobno,
Kolejno misy pisane,
A rząd dzbanuszków stoi osobno,
A przy nich kubki w rząd szklane.

A jak tu miło, czysto i gładko!
I nic nie dłużne nikomu:
»Powiedźcie, proszę, mi moja matko,
To wam tu dobrze w tym domu?«

— A jużciż dobrze nam Bogu dzięki!
Jak możem, statek nasz krasim,
Trzydzieści niedziel żywimy z ręki,
Resztę po halach już pasiem.

A zresztą przędziem i kopiem grzędy;
Skąpo człek sobie pozwala,
Lecz gdy się dobrze zakrząta wszędy,
Stanie na kawał moskala.

»A gdzieżeście się matko rodzili?«
— A z przeproszeniem w tej budzie!
»A gdzie was matko ojcowie chrzcili?«
— W tym tu kościele, gdzie ludzie. —

»A gdzie tu cmentarz?« — A pod kościołem. —
»I tam już wszyscy wraz leżą?«
— A jużci wszyscy w Bogu i społem,
Jak razem żyją i wierzą.

XI

Od wieka do wieka,
Nic niema nad człeka.

Oj cesta staremu już nie chce dziś płużyć,
I służyć nie lubię — niedobrze jest służyć!

---

w. 18. *statek* — dobytek; bydło i owce.
w. 24. *moskal* — placek owsiany.
w. 1. *cesta* — droga.

Lecz kiedy z Kościelisk tak wam już dziś pilno,
To dziewczę pokaże wam drogę niemylną —
A milej z dziewczęciem, bo coś wam rozplecie,
I śmiechów przymiesza i coś wam przypowie,
Bo pocóżby zresztą człek chował i dziecię,
Żeby to nie miłe być miało człekowi? —

Czysta jak woda,
Miła, bo młoda,
Jak jagoda słodka,
A pusta i plotka.
Kiedy plecie szczerze,
To się na śmiech bierze,
Gdy serce otwiera,
To się na płacz zbiera.

»Kędyż pójdziemy, moja panno miła?«
— Kędy? Oj siła o tem mówić, siła,
Kędyby dziewczę was w górach wywiodło:
Ale pójdziemy cesteczką nie podłą;
Światem — polaną — dalej po chruścinach,
I popod regle, hen! na one gaje —
Byliście kiedy z dziewą na malinach?
Mówcie-że, mówcie, albo wam nałaję.

»A wszakże mówię — kędyż pójdziem daléj?«
— Co oni dali? — mój ty młody panie!
Ot nic nie dali — i tak pojechali —
Tak u nas mówią na takie pytanie!
Czegoście tacy, czy smutni, czy hardzi!
Wszak-ci Bóg, mówią, góralem nie gardzi!
„Na Lachach śpiewki, a po górach dziewki,
„A od Krakowa, jak krzemień człek krewki".
— Tak ciotka mówią — a z wami nie rada!
I jak ze skałą człek się nie rozgada —
Przy nich to jeszcze i ja się osmucę:
Toć się poprawcie, albo was porzucę!

Czy wy umiecie też jakie śpiewanki!
Bywają czasem i u nas te panki:
Łońskiego roku zaszło tu człeczysko,
Co się powlokło na Orawską stronę —
Oj biedne jakieś było to panisko!
Przychrome niby i setnie zdręczone —
Ale poczciwe! Nauczył mnie śpiewki;
Toteż mi bardzo zazdrościły dziewki,
Kiedym im śpiewać poczęła w niedzielę,
I dali za nią mi też cacek wiele.

— A wy to czemu z gołemi rękoma
Przyszliście w góry? — Było siedzieć doma —
O grosz nie proszę. — I my pieniądz mamy:
Ale tam cudne u was, mówią, kramy!
To przecież trzeba było myśleć w domu,
Że też i w górach przyda się co komu:
Szczerszy był tamten, choć biedny i ranny,
Bo dał mi obraz Częstochowskiej Panny,
Sam z piersi swoich — co go miał od matki.
Cudny to obraz! złocisty i rzadki —
Wszystkim się ludziom jak ołtarz podoba:
Bo niby żywa najświętsza osoba —
Ja też go noszę jedynie od święta,
A gdy go włożę, tom taka kontenta,
Jakbym urosła! Bo to mówi ciotka,
Że jeszcze rosnę... ale ciotka plotka!
Otóż wam powiem, jako to się stało,
Że takie święte do mnie się dostało:
Była to jakaś wojna tam na świecie —
A może także i wy o niej wiecie?
— Ojciecby lepiej wam powiedział o tem —
Otóż po wojnie lud z wielkim kłopotem
W świat się rozsypał. A tu w nasze góry,
Chromiąc o szczudle, przyszedł człek ponury —
Lecz nie ponury, jacy się widziało,
Nim się człeczyska na piękne poznało.

Otóż powiadał, że go gdzieś więziono,
A miał na wojnie nogę poranioną;
Więc ojciec mówił: »Gdzie im światem chodzić?
»Aż się obaczy, człowiek poterany
»Niech z nami będzie«. I kazał złagodzić
Łoże w tokarni — a podbiał na rany
Jam mu zbierała. —
Otóż tak się stało,
Że z nami przebył cały rok nie mało;
Jego to było nie żal się popytać
O cuda w świecie. Wyuczył mnie czytać
Różne modlitwy na książce pobożnéj,
A choć sam z rodu pono Wielkomożny,
Jak się widziało, choć o tem nie gadał,
Codzień za ojca do tokarni siadał,
I lepiej toczył, niż ojczysko stary.
O! cudne mam też od niego puhary,
Jak szkło toczone, i z cyny i z koście,
Że się im ledwo wydziwują goście. —
Zdjął też swe szaty, a wdział na opaski
Ojców przyodziew, niby człowiek naski;
Ludzie mówili, że się będzie żenił
Ze mną w jesieni — lecz Bóg wszystko zmienił!

Raz przybiegł stryjek, a późno już w nocy,
I począł stukać we drzwi z całej mocy;
Ojciec się zdziwił, czego to tak stuka?
A stryjek zcicha: »Wyprawcie wy człeka,
»Bo to nie żarty, pogoń niedaleka,
»A już i po wsi wojsko za nim szuka;
»Jam z ciotką mówił na Orawskiej stronie,
»Że z nim przyjdziemy, i co tchu tu gonię.

---

w. 78. *podbiał* (Tussilago) — ziele z liśćmi wielkiemi, mięsistemi, używanemi przez lud na wrzody i rany.
w. 84. *wielkomożny* — tak tytułował szlachtę lud słowac od niego przejęli to nasi górale.

»Będzie nas w lesie za pustacią czekać,
»Ale co żywo wypada uciekać!
»Strażnicy piją i będą się bawić —
»Lecz przez granicę trzeba się przeprawić
»Jeszcze przed świtem!...
O mój miły Boże!
Cóż było czynić? i płacz nie pomoże!

Ojciec się zebrał i rzecze: »Powoli!
»Kiedy nie biją, to jeszcze nie boli —
»Jeszczeć i oni nie są tu tak blisko,
»Kiedy o cudzych nie ostrzega psisko«.
I sam go odział, opatrzył mu nogę,
I z chlebem Bożym wyprawił na drogę;
Stryjek go powiódł, — a ja już płaczący
Szłam tuż za nimi. — I szliśmy milczący
Kędyś bez drogi. —
Odniało tymczasem,
Aż tu i pustać, i ciotka pod lasem
Czekała na nas. — I było bezpiecznie,
Ale się przyszło pożegnać już wiecznie!

Ciotka cieszyła — stryjek dobył wódki:
»No, dobry trunek bywa na frasunek,
»A kiedy smutno, nieźle zapić smutki«.
Jam pić nie chciała, bo mi było trudno
I płacz ten przełknąć — i na sercu nudno. —
— On siadł na ziemi, bo nogę zmocował,
I nic nie mówił, jeno się litował;
A potem powstał — i raźno mi powié:
»Wracajcie do dom i ostajcie zdrowi!
»Ostajcie zdrowi i w opiece Boskiej!«
I dał mi obraz Panny Częstochowskiej:
»Jeśli Bóg łaskaw, dam ja sobie radę!
»I jeszcze z matką tu do was przyjadę;

---

w. 103. *pustać* — miejsce nieuprawione, na Podhalu pola torfowe, i owdzie zalesione.
w 126. *nogę zmocować* — nogę przesilił, sforsował, zmęczył.

»Bóg zapłać za chleb! I za to, co z nieba
»Bóg jedno daje, co świętsze od chleba«.
I nie wiem jako już skończył i na czem,
Bom go odeszła, zanosząc się płaczem —
Przeszłam granicę, załamawszy dłonie,
I spojrzę jeszcze raz ku onej stronie:
Łzy świat zakryły, góry mi się dwoją,
A oni troje w miejscu jeszcze stoją,
Stałam — patrzałam jak przewijał nogę,
Potem się podniósł i ruszył w swą drogę;
A w sercu po nim taka żałość szczera,
Iż co pomyślę, to się na płacz zbiera!...

— Mój miły panie! powiedzcie mi przecie,
Poco to ludzie wojują na świecie?

XV

Hej wesoło i bogato,
Po przednowku idzie lato,
A niedziela i bez chmiela
Lud poczciwy rozwesela.

Tańczą góralczyki,
Chłopaki jak smyki,
Kobzarz im przygrywa,
A dzieweczka śpiéwa.

Po gospodzie krzyki —
Szumią góralczyki,
Toporeczek furczy,
A bas w kącie burczy.

Wkoło, wkoło, wkoło,
Raźno i wesoło!
Drużba przodem skacze:
»A od ucha, gracze!«

A hulajże Grzela!
Bo to dziś niedziela —
A dalejże w kółko,
Na święte niedziułko!

XVI

»Gdy inni skaczą, patrzy, lecz nie skacze.
Gdy inni płaczą, czuje, lecz nie płacze,
Ale gdy sen się nad światem przesuwa,
On nie śpi i czuwa!«

Świeci miesiąc, świeci,
I przepływa w dali,
Na srebrzystej wieci,
A po drżącej fali.

Lekka mgła w zawoje
Po dolince suwa,
I tylko ócz dwoje
Wśród tej nocy czuwa.

Nic się ani ruszy,
Tylko źródło pleszcze,
Ale głucho w duszy
Brzmią te śpiewy jeszcze.

Wszystko we śnie leży.
Cicha wieś w padole,
Miesiąc górą bieży,
Woda płynie w dole.

Płyń miesiączku w górze!
Płyń ty wodo dołem!
Nie kryj się w tej chmurze,
Co wisi nad czołem.

Wszak ci to ta nuta,
Co śpiewa i skacze?
Tylko, że myśl struta, —
Tylko, że coś płacze...

Tylko, że coś ziębi,
Co się w serce wjada,
A co jeszcze w głębi,
Tego nie wygada!

Życie pełne trudu
Sądzi sam Bóg w niebie;
O! spoczywaj ludu,
Gdy cierpią za ciebie!

XVIII

»Gdzie wiara, tam czary,
Bez czarów, ni wiary,
Ni szczęścia, ni cudu,
Ni życia, ni ludu«.

Gdzie matuś, dziewczę? — »Poszli na zioła!«
— A to zawołaj ją, dziecię!
»Na Giewont poszli, a niech pan woła,
»Lecz pono zginie głos w świecie!
»Dobrze jeżeli wrócą w niedzielę,
»Bo to na Giewont nie w skoku;
»A kędy spojrzyć jest tam ziół wiele,
»I raz je biorą do roku.
»A drogo płacą zioła w Krakowie,
»To się człek za niem kłopoce,
»Boć to w tych ziołach wszelakie zdrowie,
»Na dziwne ludzkie niemoce.
»A jest tam zioło i od kochania,
»I od gryzienia we wnątrzu,

»Jest i od gośćca — jest i od spania,
»I suchych bolów i jątrzu!
»Jest tam i zioło, co wskaże człeku,
»Gdzie złoto w górach tych leży;
»I co od niego mleko odbieży,
»I co poprawi na mleku. —
»I jest tam także ziele szalone,
»Co ciągnie człeka w swą stronę;
»Choćbyś uciekał, to tobą skręci,
»I snem ku sobie przynęci. —
»A jak się po śnie człowiek obudzi,
»To światem czegoś już szuka,
»Chodzi a chodzi, i sobą nudzi,
»I nocą po wsi się puka.
»Nie spocznie nigdzie, choć mu otworzą,
»Tylko rozważa coś zcicha,
»I nie pozbędzie się tego licha,
»Aż mu już ręce w krzyż złożą!«

I tutaj nagle dziewczę zadrżało,
I z trwogą ku drzwiom spojrzało,
Widać, że w myśli coś się tam waży,
Bo niby zbladła na twarzy;
Żywy rumieniec przeleciał po niéj,
A potem rzekła: »Czy wiecie?
»I wami może to zioło goni
»Tak bez spoczynku na świecie?«

— Nie bój się dziewczę! Bóg wielki z tobą!
I ze mną — nic ci nie zrobię!
Ja nie pobudzę ludzi złą dobą,
Jam tylko ciężki sam sobie!
I u nas rośnie zioło na dolach,
W cichych dąbrowach po niżu,
Przy bojowiskach, starych kościołach,
Zamkach i grobach w pobliżu.

w. 16. *od jątrzu* — od rany ropiejącej.

Otóż jak przy niem chłopię cierpliwe
Uśnie — nie przykre nikomu;
Bo we śnie bywa takie szczęśliwe,
Że wnosi szczęście do domu. —
Jam spał snem takim doma, u siebie,
A za nagrodę czy karę
Widział Wielkiego Boga na niebie,
Co cudem wzmocnił mą wiarę —
Żyłem wśród ludu, co w słońcu pływał,
I sam się rządził i sądził,
Którego serce sam Bóg rozgrzéwał,
Żeby w zakonie nie błądził. —
A ziemia jego była mi rajem,
Bo wszędy dobro i zgoda,
W domu i w polu, w kraju, za krajem,
A na niebiesiech pogoda.
I to zabrało mi wszystką duszę,
I to mi cięży, to trudzi!
Bo tego świata i takich ludzi
Do śmierci szukać już muszę!
Lecz kiedy znacie ziele wszelakie,
Co się po górach zrodziło,
Powiedz, czy jest tu i ziele takie,
Żeby zapomnieć, co było?

XIX

»Mam i serce — mam i oko,
I po świątu mi szeroko«.

Hej turnie moje! Wy hale moje!
Jakie was cudne wychwalą słowa?

---

w. 57. *Żyłem wśród ludu...* Jaki lud tu ma na myśli Pol, trudno odgadnąć; najwięcej to wygląda na Włochy (»w słońcu pływał«), ale tam Pol nigdy nie był. Gdzie on znalazł ten raj i tę zgodę — niewiadomo.

Widno z was, widno, widno na dwoje,
Bo i do Spiżu i do Krakowa. —
Kiedy nad Spiżem W ę g i e r s k a świeci,
Orły się nasze w chmurach weselą,
A kiedy mgły się nad B a b i ą ścielą,
To nawet orzeł na gniazdo leci.
I tylko góral, co się nie boi
Burzy na niebie, niby Łomnica,
Chłop jak toczony, prosty jak świéca,
On jeden tylko burzy dostoi!
A pod nim szumią dokoła wody,
I biją gromy i deszcze chłodne,
Lecz zanim zbiorą na Lachach brody,
Już nad Tatrami niebo pogodne.
I znów po halach gwiżdżą juhasy,
I wyrządzają dziewczętom psoty,
I grają kobzy i szumią lasy,
A hen podźwiga dunaj umłoty...
Gdy się przed człekiem świat ten rozłoży
I tak wesoło i tak szeroko,
Aż serce skacze, że też Bóg tworzy
I góry takie i w głowie oko!
Kiedy toporkiem człowiek wywinie,
To się aż stracha, żeby nie zmącił
Jasnej chmureczki w orlej dziedzinie,
Albo o samo niebo nie trącił!
Bo odrobina tylko do nieba,
Gdzie z aniołami sam Pan Bóg mieszka —
To jużciż, Lachy, do was zejść trzeba,
Bo wam za ostra góralska ścieżka!
Niech się wam wszystko po myśli wodzi!
Niechaj wam dziatwa i chleb się rodzi!
Bom to ja nigdy chleba nie prosił,
Kiedym na Lachach, bywało, kosił.
— Choć u nas niema żytniego chleba,
Przecież, czem można, pogościć trzeba;

---

w. 34. niema w wyd. pierwszem.

I ufam sobie, żeby nie pościł
Lach — chociaż tutaj ziemia jałowa;
A kto ma rolę, niech Bóg zachowa,
Żeby też chleba komu zazdrościł!

Czasem się do nas zbłąka panisko,
Czasem i kilku — toć z nimi chodzim,
I do Morskiego-oka ich wodzim,
Do Zakopanej i w Kościelisko —
A gdy ich wiedziem za kozią drogą,
Kędy na górach Bóg chmury złożył,
Tam to wydziwić się już nie mogą,
Jaki góralom Pan Bóg świat stworzył!
Boć srebro, złoto jest w górach naszych,
I na świat widno z halów dokoła,
Tylko nam w Tatrach tych dźwonów Laszych
I Panny Marji brakło kościoła —
I ciągnie człeka coś do Krakowa;
Ale co ciągnie? nie wiedzieć zgoła;
Ludzie nie ludzie, mowa nie mowa;
Jednak coś nęci, jak do kościoła!
I miło spojrzeć na Lacką stronę,
I miło wspomnieć one gościnki!
Tam to pod kosą łąki zielone!
Tam to dograbki — tam to wyżynki!
Co to za dziewki szły tam pod wieniec!
Gdyby nie lata i kości stare,
Szedłbym na kośbę, a na gościeniec
Zaniósłbym Lachom kwiczołów parę.

---

w. 57 niema w wyd. pierwszem.

OBRAZY Z ŻYCIA

II

**»Aniele, skąd Tobie
Gościna w tym grobie?«**

PACHOLĘ

— Skąd ci ta prawda? skąd ci to wesele?
I skąd się bierzesz? gdzie idziesz, Aniele?

ANIOŁ

— Do was ja idę, bo kocham to plemię,
Raj wam otworzę i ozłocę ziemię!

PACHOLĘ

A skądże tyle wzięło się miłości,
Że śród tej nędzy Anioł niebios gości?

ANIOŁ

— Skąd ziemskim orłom bierze się na loty,
Dziecku na uśmiech, gwiaździe na blask złoty!

PACHOLĘ

I czy zostaniesz już na zawsze z nami?
Czy znowu będziem i rzewni i sami?

ANIOŁ

— Pytaj jutrzenki, czy zawsze przyświéca?
I wód, czy zawsze czysta ich krynica?

PACHOLĘ

A jeśli znikniesz, niebieskie kochanie!
I cóż po tobie na ziemi zostanie?

ANIOŁ

— To, co zostało wam po wieszczem słowie,
Po łzach, po rosie, po pieśni w dąbrowie.

IV

»I cicho, spokojnie,
Po ogniu, po wojnie!«

Strojne w zachodzie słońca leżą góry!
Poważna cisza — w dali szumią wody,
Polany mierzchną — milczy bór ponury,
I dym wieczorny ciągnie przez zagrody,
I noc nadciąga. — Po dziennem igrzysku
Ulżył świat sobie, jak człowiek w westchnieniu. —
Pod starym bukiem, przy małem ognisku,
Siedzi staruszek na wielkim kamieniu.

— Skąd dziadek w górach? Pewno że zdaleka?
A starzec rzecze: »Ot, z całego świata,
»Nędza na ziemi — a wielki Bóg w niebie!«
I zmierzył okiem obcego człowieka:
»Idę, mój panie, po proszonym chlebie«.
— A gdzieżeś ojcze strawił młode lata?
»Wiele to o tem mówić, panie miły!
»Jam je nie strawił — one mnie strawiły...
»Jestem rodziców szlachetnego rodu,
»Ojciec nieboszczyk był dziedzicem w Rajskiem.
»A jam sługiwał wojskowo zamłodu...«
— Gdzieś rękę stracił? — »W bitwie pod Możajskiem«

— I prosisz chleba? — »A proszę, bom głodzien!
»Znać już lepszegom losu nie był godzien,

»Gdy mi tak padło Boże zmiłowanie!
»Gdziem lata strawił? Strawiłem, mój panie:
»Młodość na wojnie — średni wiek w niewoli,
»Starość na żebrach! Krótko to się prawi,
»Lecz żywot taki gorzej blizny boli —
»Świat mi dokuczył, a śmierć gdzieś się bawi«.

— I nie wyrzekasz? — »A czego wyrzekać?
»Tylem też tylko w życiu miał pociechy,
»Żem nie wyrzekał. — Lecz mi nudno czekać
»Dłużej już śmierci; wybrałem się w drogę,
»Bo myślę sobie, że spotkam niebogę,
»A życie moje wszak stanie za grzechy?«

— Stanie, mój ojcze! jak Bóg żywy, stanie!
Życzę ci śmierci. — »Bóg wam zapłać, panie!«
Rzekł starzec zcicha, spokojny w sumieniu,
Poprawił ognia, westchnął sobie szczerze,
I czekał śmierci, szeptając pacierze,
Pod starym bukiem, na wielkim kamieniu.

VII

»Jak człek, tak wiek,
Jak ród, tak lud«.

O! czarnoksięski młodych lat uroku!
Cóż dziś mężowi za twe cuda stanie?
Za te nadzieje i za tę łzę w oku?
Za kwiat tych uczuć i za to kochanie?

Co to za życie śród rodzinnej wioski
Wiek młody spędzać bez trudu i troski;
Ranki w rozmowach z księgą, lub z kniejami,
W południe zasiąść z ojcem pod dębami,
A po miesiącu, nocą lub wieczorem
Śpiewać piosenki z bracią nad jeziorem,
I lekką myślą iść i śmiałem czołem

Przez pracę wieków i życia zawady,
Rybą, motylem, chmurką czy sokołem,
Bez trwogi, zwłoki, trudu i porady!...

Powiastki starych i tych dziejów karty
Wtórzą piosenką tym porannym zorzom,
A umysł stoi, jak błękit otwarty,
Światłu i walkom, i światom i morzom!
I z ramion niby odrastają skrzydła,
I pierś się śmiało podnosi jak tarcza,
Jak koń stepowy nie zna myśl wędzidła,
Na oddech ledwo powietrza wystarcza!
I prze coś serce w świat obcy, daleki,
I coś je ciągnie za góry, za lasy,
Za góry, lasy, za morza, za rzeki,
Bo w dali tylko rozumie zapasy;
A tu, wśród braci, choć czasami rzewny,
Tak sobą władnie i taki jest pewny,
I taki lekki, jakby wypadł z ciała,
Sercem wyniosły, jak anioł zwycięstwa,
Niby miecz Boży, taka mu myśl śmiała,
A pełen cnoty, rozumu i męstwa!

Lecz choć sokołem od gniazda wystrzeli,
Spuszcza się sępem, co własną pierś krwawi,
I nikt go nie zna, bo w ciszy dnie dławi,
I między boleść a trud żywot dzieli...

Nie puści skargi, choć go życie trudzi,
Nie wyda bolu hart ponurej dumy;
Zna, co jest miłość, lecz stroni od ludzi,
Jak spryt kuglarski mierzną mu rozumy!

Zamknął rachubę z światem i z sumieniem,
Oko w badawczym wzroku się wytęża,
Do pracy tylko ramię się napręża,
I ciągnie pług swój z wielkiem natężeniem!

Jedno po czole poznać jeszcze można,
Że się w tej głowie coś pięknego śniło!
Jedno w westchnieniu, niby myśl pobożna,
Wzniesie na chwilę piersi dawną siłą.

O! gdyby wówczas znów mu anioł Boski
Skrzydła młodości do ramion przyprawił,
Gdyby go zaniósł do rodzinnej wioski,
Możeby jeszcze i on się poprawił.

Gdyby tym kniejom znów się wyspowiadał
Domowej pieśni znowu się pożalił,
Gdyby z tym dębem jak z ojcem pogadał,
Jeszczeby miłość i wiarę ocalił.

A was to dziwi, kiedy naród cały
Choć pieśnią westchnie do młodości swojéj?
I do tych wieków miłości i chwały!
I na myśl ojców swe życie potroi?

Wszak-ci to z młodu i dąb rośnie przecie!
Z młodu człek wesół, na starość bogaty;
Wiosną to, wiosną, buja wszelkie kwiecie;
Lecz kto nie mądry i podepce kwiaty,
Czyż temu owoc jesienią dojrzeje? —
Kwiatem i wiosną są dla ludu dzieje.

Przeszłość, jak prorok, o przyszłości wróży;
Kto chce przeszłości? Świat się wstecz nie wraca;
Co mu służyło, to mu dziś nie służy!
Lecz dzieje przodków, oto krwawa praca!!!

A kto spuściznę dziadów marnotrawi,
I z grobów rusza w Bogu ległe kości,
Jak ptak, co kala gniazdo, się osławi,
I miasto życia, poczyna wiek czczości!

---

w. 60 niema w wydaniu pierwszem.

Duchem przejść trzeba, co się sercem żyło!
Użycie trawi — lecz pamięć jest siłą,
A gdy jej obraz przesnuje się wstęgą
Przed duszą ludu, jest pamięć potęgą!

Z ducha ma urość to, co chce być dzielném,
W tem tylko życie, co siła przetrawi;
A gdy się w dziejach duch narodu spławi,
Jak anioł świeci blaskiem nieśmiertelnym!

Nam duszę skąpać w Piastowem jeziorze,
Świętym tej ziemi grzechy wyspowiadać,
Nam z mogiłami naddziadów pogadać,
I pieśnią ludu poczcić sądy Boże!

Kiedy człek upadł, anioł się zasmucił;
»Bogu bądź chwała!« choć przekleństwo gniecie!
Chociaż Bóg w gniewie twarz groźną odwrócił,
W miłości swojej pamięta o świecie...

Z KLASZTORU I Z BORU

(Wyjątki)

RANEK W PUSZCZY

Ha, już i dzionek — i jakaż noc krótka!
I jakże szybko i bez snów zleciała?
Jak się przy oknie otwartem przespała,
I przy tej woni leśnego ogródka!

Co za chłód miły, jak bogata rosa!
Jak lazur czyste i jasne niebiosa!
I woń konwalij błąka się po łące,
A tuż przy oknie pachną bzy kwitnące.
I jakiś ptaszek szczęśliwie ukryty
I nie płoszony widać w tej ustroni,
Wpół senną piosnką pozdrawia te świty,
Kwili i skacze od kity do kity,
Kąpiąc się w rosie i w porannej woni.
Już się i w ulach pobudziła pszczoła,
I miodne oczko oblega dokoła.
Z pod węgła domu wymknęła łasica,
A za nią druga — jakież pląsy stroi!
Ale ostrożna widzę swawolnica,
Bo to i rosy i pszczoły się boi.
Jakaż to zwinna, jaka miła skoczka!
A jakie żywe, jakie bystre oczka!
I chociaż ręki nie miała na sobie,
Tak wymuskana już o rannej dobie,

Że się ułyska takim lśniącym pasem,
Jakbyś ją całą pomusnął atlasem.

Pojmuję, jako w raju człeku było,
Gdy niespłoszone oglądał zwierzęta,
Kiedy bez grzechu wszystko społem żyło,
A dzicz to wszystko owiewała święta!

Cyt! wszak to słowik? z zielonych krużganków
Ostatnie może pieśni już wywodzi!
Iluż-to takich świat mnie zbawił ranków,
A czem tę szkodę sercu wynagrodzi?
Za jeden oddech rannego powiewu,
Za jedną zwrotkę słowiczego śpiewu,
Za jeden promień wschodzącego słońca
Oddałbym wszystko z początku do końca,
Wszystko, co tylko świat dawać przyrzeka,
Co tylko swoim wybranym zgotował,
Byle choć czasem obaczyć zdaleka,
Co Bóg w szczęśliwem ukryciu zachował.

Pies szczeknął w ganku i skrzypnęła furtka,
I jakiś człowiek wszedł zwolna do sieni,
Widać, że leśny, bo myśliwska kurtka,
Strzelba na plecach, w ręku róg jeleni.
Spojrzał kwatermistrz, i pyta zdziwiony:
Skąd taka zdobycz?

»Chodziłem po borze:
Ryby łapano na leśnem jeziorze,
I w wodzie został ten róg znaleziony.
Niema już dzisiaj pamiętnika prawie,
Jak na jelenie przestali polować;
Więc ku pamięci, a puszczy ku sławie,
Wartoby, panie, ten róg jakoś schować?

»Zgoda! więc przybij go tutaj u progu.
Niech strzelby wiszą na jelenim rogu!«

»Panie — rzekł leśny — mnie się to nie zdaje.
Co w puszczy żyło, niech w puszczy zostaje,
A z pokolenia i z rodu ostatnie
Niech to tam idzie już Bogu na płatnię!
Jest wpośród puszczy kapliczka w uboczy:
Tam Matce Boskiej u stóp róg ten złożę,
To wpadnie przecie niejednemu w oczy,
Co, idąc puszczą, pomodli się w borze,
I dłużej stanie tam ludzkiej pamięci,
Bo trwałe bywa, co się Bogu święci!«

Kwatermistrz słuchał, i podumał trochę,
I jakieś myśli naszły go nie płoche,
Spojrzał na puszczę, przeszedł się po sieni,
I gajowemu oddał róg jeleni.

— »Ha! dobrze mówisz, co z rodu ostatnie,
Niech to tam idzie już Bogu na płatnię!«

Słońce tymczasem wyszło z puszczy cało,
I przez gąszcz nawet promień się przesączył,
I cicho było — a mnie się zdawało,
Jakbym poranną modlitwę zakończył.

LEŚNE JEZIORO

Duch puszczy szumiał nad głuchym przestworem,
Lecz się ukoił nad samym wieczorem...
I co ogłuchło, przychodzi do siebie,
I znowu głosy na ziemi i niebie.

Na gniazdo bocian pociągnął już górą,
A na wschód kawek rój wrzaskliwą chmurą,
I czujna czapla wraca do noclegu,
I stanowisko wzięła już po brzegu...

W ostatnim blasku gasnących promieni
Gra słup komarów bujno i swobodnie,
W ostępie długich i łamanych cieni,
Leśne się wody rozlały łagodnie.

Jezioro ciche, czyste jak zwierciadło,
Pali się blaskiem do zorzy wieczornéj,
Na żerowisko stado kaczek padło,
A w trzcinie huka sobie bąk nieszporny.

Wielka się ryba rzuciła w jeziorze,
I czapla drgnęła trwożliwie na brzegu;
Wężowa główka ciche nurty porze,
A zorza znaczy dróżkę jego biegu;

Przebrnął zatokę, wspiął się na szeliny,
Już go nie widać — a szelina klęka;
Znać strach mu czapli — lecz z jakiej przyczyny
Ta mądra czapla tak się ryby lęka?

Nie bój się, czaplo! nie o ciebie chodzi,
Bardzoś ty dzisiaj bezpieczna w tym domu,
Nikt na królewskie piórka twe nie godzi,
Bo czaplej kitki niema nosić komu...

Ha, nie dowierza! uleciała z brzegu,
Snać pewniejszego szuka gdzieś noclegu...
Teraz rozumiem, czego się obawia:
Ktoś tam w jeziorze więcierze zastawia.

Każde pluśnięcie wiosła jeszcze słyszę...
Lecz już się mroczy, już i fale zmierzchły,
Tylko mgłą białą cicha woda dysze,
I kwiat grzybieni po wodach rozpierzchły,
Co się jak Nimfa nawpół z wód wygina,
Od wód się jeszcze ku niebu odrzyna.

---

w. 21. *szelina* — gąszcz, gęstwina leśna.
w. 36. *grzybienie* — nenufary: wielkie, białe kwiaty wodne.

I na dobranoc jeszcze skrzydłem musła
Lotna rybitwa oblicze wód sennych...
I gruba ryba śmiałym rzutem plusła!
I już po walkach i zapasach dziennych!

Cyt! jakieś nowe ozwały się głosy!
Błędna przepiórka wabi przez pokosy...
Ktoś ani łąki, ni gniazda nie szczędził,
I drobną dziatwę dograbkiem rozpędził;
A że nie słychać ni ludzi ni grabi,
Szuka swej zguby i po nocy wabi...

Gdzieś od błót dalszych ozwała się czajka
I głosi światu, że już zniosła jajka:
W mądrzejszej pono sokół siedział radzie,
Bo nikt nie zgadnie, gdzie swe gniazdo kładzie!

Czego to, czajko, robisz tyle wrzawy?
Co ma róść światu, niechaj w ciszy rośnie,
Czego po nocy zawodzisz żałośnie?
Czy pokutujesz za dawne złe sprawy?
Żeś nawodziła nieprzyjaciół domu
W łozy i bagna, kędy się lud chował...
Brzydkie twe sprawki, pełne krwi i sromu!
Nikt twego gniazda nie będzie żałował!

Poczciwy kulik, co piszczy po brzegu,
Topielców strzeże i rybaka budzi...
I na tej straży póty się nie strudzi,
Aż rybak wkońcu wraca do noclegu.

Cyt! jakieś nowe głosy się ozwały,
W suchych konarach zahukała sowa...

---

w. 44. *pokosy* — trawa skoszona, leżąca rzędami.

I jakby posiał maku na las cały,
I kulik ucichł, i znać gdzieś się chowa;
Znać to już północ, kiedy gospodyni
Północnych cieni rządy rozpoczyna;
Niedarmo spadła, jakiś łomot czyni,
I zapiszczała w jej szponach ptaszyna.

I znowu cicho — straszno jak po zbrodni,
Błędne światełko mignęło po błocie,
Puszczyk chichoce do błędnej pochodni,
I coś pierzchnęło po gąszczach w łomocie.

Spokojnie patrzą na to gwiazdy z góry,
I świerk wyniosły śmiało w górę pnie się,
Tam w górze pięknie, choć tu świat ponury,
I jakiś zapach pociągnął po lesie.

Powodzią płynie jakaś ciepła fala,
Gdzieś z łąk brzegowych, gdzieś od Wisły zdala,
Znać, że się jeszcze nie spotkała z rosą.
Że też tak pachnie, co padło pod kosą?
Ach, to podobno wszystkich kwiatów dzieje,
Które Bóg w łąkach i po sercach sieje...

Razem z tą wonią zajaśniały krzaczki,
Bo świętojańskie wypełzły robaczki,
I niby iskry wonnego kadzenia,
Wzbiły się rojem w majowe sklepienia.

Lecz gdy chłód powiał z leśnego jeziora,
Wonne iskierki ponikły do razu,
Nic nie zostało z całego obrazu,
I tak się zdało, że to było wczora!

Jutrzenka wyszła z ciemnego błękitu,
W dalekiej chacie zapiał kur do świtu,

Jedyna głucha w całej nocy chwila,
Znać, że się ciemność z jasnością przesila,
I walka duchów zaświatowych włada,
Gdy tak do ziemi wszystko snem przypada!

Gwiazdy promienne! teraz duch w niebiosy
Wzlatuje ku wam — teraz myśl się prości,
Wy się użalcie tam naszej żałości,
Gdy wszelkie ziemskie ucichły już głosy,
Bo może w takiej chwili uroczystej,
Kiedy ze światłem walczą jeszcze mroki,
Dla dusz czyszcowych ważą się wyroki,
I wielkie losy na szali wieczystej.

O, jakżeś cudna świętojańska nocy!
Bądź ty cierpiącym duszom na pomocy!
Może szczęśliwy jaki po twym mroku
I kwiat paproci, niewidziany oku,
Co gdzieś po nocy zaklęty tam kwitnie,
Znajdzie nareszcie i w szczęściu oświtnie!

O jakżeś cudna! o jakaś ty pańska!
I jaka czujna, nocy świętojańska!
Ledwo że zgasły te zorze nieszporne,
A już poranne palą się od wschodu,
I z jednej przędzy marzenia wieczorne,
I pierwsze kwiaty z jutrzenki ogrodu.
Rosę poranną nocna woń przenika,
Po rąbku ziemi zorza się przesuwa,
I sennych marzeń ocknięcie dotyka,
Ni sen — ni jawa, — a duch czujny — czuwa...

ZE DWORU

PIERWSZA NOC WE DWORZE

Noc świętojańska siadła na zagrodzie,
Gwiazdy zadrżały na przejrzystej wodzie,
Zapachy trawy odwilgły w pokosie,
I głos ligawki ozwał się po rosie...

I świętojańskie wypełzły robaczki,
I co to oraz woni i uroku!
Bo poznaczyły i cętki i ślaczki
Po wonnych krzewach i w starych drzew mroku.

Jakgdybym z ciężkiej podniósł się choroby,
Wszystko mię nowo uderza od doby;
I zapoznawać się ze wszystkiem muszę,
Jakbym po leciech znów odzyskał duszę.

Znajome głosy ozwały się z sioła,
A każdy niby od lepszych lat woła
Na powitanie z sobą towarzysza:
Wielka, swobodna i urocza cisza!

Cisza na siole, w polach i na borze,
I pod okienkiem kwitnie jeszcze róża,
I taż ligawka, i taż nocna stróża,
I po staremu wszystko w starym dworze...

TREŚĆ

Str
WSTĘP 3
PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ 21

WYBOR LIRYK

Z »Obrazów z podróży«

II Ha! jak się macie w halach gazdowie? 73
III Ha! ha! pocieszne i pytanie wasze? 75
V Czy ty mnie kochasz, moja dziewczyno? . . . 77
VII Jak mówią: chleb, ludzie i obraz nie dziwy? 79
X Nic ani szaśnie — cichutko wszędzie 80
XI Oj, cesta staremu już nie chce dziś płużyć . . 81
XV Tańczą góralczyki 86
XVI Świeci miesiąc, świeci 87
XVIII Gdzie matuś, dziewczę? 88
XIX Hej, turnie moje! Wy hale moje! 90

Z »Obrazów z życia«

II Anioł i pacholę 93
IV Strojne w zachodzie słońca leżą góry! 94
VII O! czarnoksięski młodych lat uroku! 95

»Z klasztoru i z boru«

Ranek w puszczy 99
Leśne jezioro 101

»Ze dworu«

Pierwsza noc we dworze 106

Pierwsza serja

BIBLJOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Kochanowskiego ODPRAWA POSŁOW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewicza POWROT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBOR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigonia* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁOWNA, w opracowaniu prof *Marjana Szyjkowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOSCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILENSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBOR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia* (Nr. 17)
Krasińskiego PRZEDSWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘSC III., w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIESN O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry SLUBY PANIENSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Krasińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
POLSKA PIESN LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDOW, w oprac. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIESNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBOR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Blizińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZĘ Z SĄCZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBOR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOSWIADCZYNSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

Krasińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
Goszczyńskiego KROL ZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 56)
Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
SREDNIOWIECZNA PIESN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
Anczyca KOSCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
TOWARZYSTWO FILOMATOW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 79)
Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIOWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

Nr. 37 BIBLJOTEKA NARODOWA SERJA I

KORNEL UJEJSKI

WYBÓR POEZYJ

OPRACOWAŁ

PROF. DR. MICHAŁ JANIK

WYDANIE DRUGIE
UZUPEŁNIONE I ROZSZERZONE

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1924

WSTĘP

I

ŻYCIE POETY

Kornel Ujejski, syn Erazma i Ludwiki z Wolańskich, urodził się 12 września r. 1823 we wsi Beremianach, położonej przy ujściu Strypy do Dniestru. Rodzina wywodziła się z Bolesławowych Szreniawitów i mieszkała w Małopolsce. Jeszcze pradziad poety, Józef, stolnik sandomierski, jeden z regimentarzy konfederacji barskiej, posiadał znaczne dobra w Tarnowskiem. Dopiero dziad jego, Piotr, przeniósł się na Ruś Czerwoną. Kornel był najstarszym z czterech synów Erazma. Ojciec poety odznaczał się dobrocią serca i wielką prawością, matka tkliwością uczuć przy silnym charakterze. Pod troskliwą opieką rodziców i rozkochanej w nim babki, Teresy z Witwickich Wolańskiej, chłopiec szybko się rozwijał. W domu rodzicielskim panował gorący nastrój katolicki i narodowy, który już wtedy utrwalił się w przyszłym poecie na całe życie. Późniejsze wątpliwości młodzieńcze, jako nieugruntowane na zasadach filozoficznych, trwały niedługo.

Także wuj poety, Henryk Kozicki, cioteczny brat matki, krzemieńczanin, patrjota i wielbiciel poezji, wywarł znaczny wpływ na rozwój umysłowy chłopca.

Beremiany leżały w pięknej okolicy, pełnej pamiątek przeszłości. Góra Orliska nad Strypą kryła w sobie prastare cmentarzysko; na rozległych polach znajdowały się mogiły z czasów wojen tureckich; w sąsiednim Jazłowcu wznosiły się potężne ruiny starego zamku. Przyczyniło się to do szybszego rozwinięcia wyobraźni poety.

W r. 1831 ujrzał na własne oczy niedobitków z korpusu Dwernickiego, których cząstka oparła się o Beremiany:

W cichym naszym domku jawią się wąsacze,
Ludzie różnej broni, powagi i rangi,
Żelazne ogniwa z rozbitej falangi,
A każdy z nich siarki dorzuca po szczypcie
Na żar mojej duszy: ten o Saragosie,
Ten prawi o Włoszech, tamten o Egipcie;
Ten swój krzyż pokazał, ów odkrył swe blizny,
A inny zapłakał na imię ojczyzny;
To znów, gdy rozmarzy ich księżyca promień,
Chórem pieśń wojenną puszczają po rosie...
Zanadto, zanadto orkanowych wrażeń
W gorącą mą duszę dęło — buchnął płomień!

Zostawiło to niezatarte wrażenie w umyśle ośmioletniego chłopca, a wyobraźnia tak silnego doznała wstrząsu, że popadł w rozdrażnienie nerwowe, które dzięki opiece lekarskiej i podjętej z ojcem podróży szczęśliwie minęło, nie zaszkodziwszy czerstwemu później i długiemu zdrowiu poety. W podróży tej zwiedził Wieliczkę, Kraków, Tyniec, Lanckoronę i Tatry, oraz ro-

dzinne niegdyś gniazdo, wioskę Świerczków w Tarnowskiem. Przeżycia z tego czasu opisał potem w *Podróży przerwanej,* posługując się w znacznej mierze wyobraźnią, skoro w autobiografji zanotował, że Kraków znał dopiero od r. 1842 czy 1843, gdy towarzyszył matce, odwożącej młodszego brata na nauki do Wiednia. Najmilszem wspomnieniem po podróży zostało mu zetknięcie się z ludem wiejskim w Świerczkowie:

Kiedy już na bryczkę siadać nam wypadło,
Nadeszła gromada z sołtysami w czele,
Między nimi jedno półwiekowe stadło,
Któremu dziad jeszcze wyprawiał wesele.
I wszystko do kolan ojcu się schyliło
I zaczęło prosić: »Zostań, panie, z nami,
Bo dobrze nam było z twoimi ojcami,
Z nimi naszym oczom pół słońca ubyło;
Zostań, panie, z nami, prosimy z miłością;
Niech znów nasze ręce zejdą się na łanie,
A głosy w kościele, a w grobie kość z kością,
To Bóg się ucieszy; o wykup nas, panie!« —
Łzy mojemu ojcu puściły się strugą,
Jechaliśmy smutni...

W r. 1833 oddano Kornela do bazyljanów w Buczaczu. Tam ukończył dwie ostatnie klasy normalne i zaczął pierwszą gimnazjalną, w której »zbrzydził sobie łacinę«. Wyprawiono go tedy do szkoły realnej we Lwowie, dokąd przenieśli się także rodzice dla dozorowania dzieci, gospodarując równocześnie na dzierżawie w sąsiednim Dawidowie. Prawidłowa nauka skończyła się na szkole realnej. Po jej odbyciu wolał czytać lub bawić się muzyką, niż pracować systema-

tycznie nad dalszem wykształceniem, które wskutek tego miało szczerby, co odbiło się potem na przedwczesnem wyczerpaniu się wyobraźni poetyckiej Ujejskiego.

W tece młodzieńca gromadziły się coraz obficiej pierwsze próby poetyckie, głównie pod wpływem Mickiewicza i Słowackiego (*Wallenroda* umiał na pamięć, za Słowackim »szalał«), opanowywał dość szybko formę, marzył o roli wieszcza narodowego:

Zapieram siebie! wszystkie moje troski
Rzucam w głąb serca, niech bez echa giną;
Zapieram siebie — jam zesłannik boski!
Cały mój naród jest dla mnie rodziną!
Łzy z jego oczu, krew z jego ran czerpię,
Cierpiąc ból jego chcę śpiewać...

W r. 1844 zwiedził Warszawę, gdzie opiekował się nim Kazimierz Władysław Wójcicki. Tam poznał także Teofila Lenartowicza, Wilkońskich, Łuszczewskich i ówczesną »cyganerję« warszawską, od czasów propagandy Konarskiego nastrojoną na ton spiskowo-ludowy. W powrocie z Warszawy oglądał pamiątki w Puławach i modlił się w Zwoleniu na grobie Jana Kochanowskiego.

Właśnie w tych latach zaczął się we Lwowie żywszy ruch naukowy i literacki, którego budzicielami byli: August Bielowski, Józef i Leszek Borkowscy, Wincenty Pol, Karol Szajnocha (serdecznie z Ujejskim zaprzyjaźniony), Dominik Magnuszewski, Lucjan Siemieński, Józef Dzierzkowski, Jan Dobrzański, Żegota Pauli, Stanisław Przyłęcki, Władysław Zawadzki. Grono to skupiało się do pewnego stopnia koło Ossolineum, a jako organem posługiwało się *Dziennikiem*

Mód Paryskich, wydawanym od r. 1840, w którym pojawiły się także pierwociny Ujejskiego. Wśród grona młodych entuzjastów ustaloną sławę poetycką zdobył Ujejski w r. 1845, gdy na jednym z wieczorów u dyrektora Ossolineum, Kłodzińskiego, zadeklamował swój *Maraton*, napisany »w Dawidowie w oficynie w dwóch nocach«, który pięknością formy, tematem i siłą uczucia zachwycił wszystkich obecnych.

Rok 1846 wstrząsnął poetą do głębi. Rodzice mieszkali w tym czasie w Brzeżańskiem, gdzie nabyli Lubszę, Wyspę i Mełnę. Na początku tego roku bawił u Wróblewskich w Czortkowie i wszedł tam w przygotowanie przedpowstańcze, wstrzymane wskutek wybuchu »rabacji«. Dnia 31 lipca tegoż roku szedł we Lwowie za wozami, na których wieziono męczenników narodowych: Wiśniowskiego i Kapuścińskiego. Pod wpływem tych bolesnych przeżyć poeta, który od dłuższego czasu zatapiał się w Biblji i przełożył z niej nawet *Pieśni Salomona (Pieśń nad pieśniami* i *Kaznodzieja)*, wybuchnął *Skargami Jeremiego*, utworzonemi »w kilku nocach w Lubszy«. *Chorał* napisał już nieco wcześniej we Lwowie, jak sam o tem później powiedział na obchodzie jubileuszowym: »A trzeba i to wiedzieć, że nie moje słowa natchnęły Nikorowicza, ale jego utwór muzyczny mnie natchnął. W czasie, kiedy zacząłem pisać *Skargi Jeremiego* i w innej pierwotnie formie, odwiedziłem go, jako miłego przyjaciela, w Zboiskach pod Lwowem i zagrał mi wtedy świeżo skomponowany swój chorał. Do głębi wzruszony, uniosłem tę muzykę w uchu i w duszy i jeszcze tego samego dnia napisałem do niej słowa«.

W r. 1847 wyjechał do Paryża dla odbycia wyższych studjów, co jednak do skutku nie doszło, bo jakkolwiek zapisał się jako wolny słuchacz do Sorbony i *Collège de France,* dobre chęci skończyły się podobno na wysłuchaniu prelekcyj Micheleta. Po drodze odwiedził Wincentego Pola w Warmbrunnie i poznał tam Jana Purkyniego, głośnego fizjologa czeskiego; w Brukseli oddał pokłon Joachimowi Lelewelowi i był u jen. Skrzyneckiego. Po przybyciu do Paryża zrobił nazajutrz wycieczkę do Hawru nad morze, które pragnął zobaczyć. Był także w Rouen, aby poznać miejsce męczeństwa Dziewicy Orleańskiej. W Paryżu doznał dobrego przyjęcia, bo wnet po przyjeździe poety pojawił się *Chorał* w tamtejszym *Dzienniku Narodowym,* a Walery Wielogłowski, zachęcony powodzeniem utworu, wydał bezimiennie pierwszy nakład *Skarg Jeremiego.* Mimo bezimienności, nazwisko autora stało się wkrótce głośne i cenione, a on sam wszedł rychło w stosunki z emigracją. Miał szczęście przedstawić się Mickiewiczowi, wszedł w bliższą znajomość ze Słowackim, który osobnym wierszem uczcił autora *Skarg Jeremiego,* poznał Chopina i Bohdana Zaleskiego, tańczył na tygodniowych zebraniach u Adamostwa Czartoryskich, miał stosunki z Towiańczykami, ale do nich nie przystąpił, choć wpływowi ich jako poeta dość silnie potem ulegał. Należał do Klubu Polskiego, o czem zapisał w autobiografji: »Tam zjawił się raz na chwilę, jak blade widmo, Szopen... i dał mi swój wizytowy bilet z adresem i zaprosił do siebie; tam objawił mi się równie przelotnie Słowacki, równie blady, o wielkich

czarnych oczach, i znikł, a ja drżący zbliżyć się do niego nie śmiałem...«

Rewolucja lutowa w dawnym czytelniku dzieł o Wielkiej Rewolucji wzbudziła podziw i uwielbienie: »Takiej drugiej rewolucji już nie będzie. Chrystus unosił się nad Paryżem«. Poeta wziął bezpośredni udział w wyważeniu bramy do Tuilerjów. Zostało mu z tych czasów kilka pamiątek: kawał aksamitu z tronu, kropielnica z kaplicy królewskiej, z bibljoteki książka i leżący na podłodze zwitek papierów, związany wstążką... Nadziejom, złączonym z rewolucją, przypisać należy, że nazwisko poety znalazło się na akcie złączenia się emigrantów w konfederację przedwstępną, spisanym 15 marca w Paryżu. Naglony przez zaniepokojonych rodziców do powrotu, już w maju r. 1848 wrócił do Lwowa, gdzie rozbudziły się również nadzieje lepszej przyszłości, ożywiające wszystkie szlachetnę umysły oświeconej Europy. Lecz stolica Galicji doczekała się narazie tylko zbombardowania przez Hammersteina, co tejże nocy natchnęło Ujejskiego do wiersza *Krzyż a miecz*, dołączonego do trzeciego wydania *Skarg Jeremiego* (Lipsk 1862).

Wrażenia paryskie i lwowskie oddziałały znacznie na wyobraźnię poety. Widać to z przedmów do *Kwiatów bez woni* i *Zwiędłych liści*, wydanych we Lwowie w latach 1848 i 1849. W pierwszej przedmowie pisze: »A więc uważajcie te pieśni za jakąś przegrywkę poplątaną i niewypełnioną... Do niedawna byłem słowikiem, zawieszonym na zielonej gałęzi, potrzebującym dla swej pieśni ciszy i nocy księżycowej... Nim orłem wylecę, żegnam mój gaj zaciszny...« Bar-

dzo znamiennie brzmi druga przedmowa, zalatująca reminiscencjami z zakończenia *Anhellego:* »Świat starożytny, świat wczorajszy pisze już ostatnie karty swych dziejów... Czarna ta księga, pełna krwi i błota, niechże leci w piekło, niech przepada! a nam nowy świat i życie nowe... Niech więc Poezja nowa jak rycerz pokutny powstanie z kolan od ołtarza, zakuta w zbroję niech wyjdzie na próg kościoła, niech mistyczną podniesie przyłbicę i *jawnie ogłosi ludom ostatnie słowo zbawienia;* a potem niech dosiada konia, w świętem szaleństwie niech go rzuci na wiatr i wolę! rozwiany sztandar niechaj szumi w jej ręku...«

W r. 1849 poślubił Henrykę Komorowską i oddał się gospodarstwu. Zmiana warunków życia i pracy wpłynęła niekorzystnie na rozwój talentu i twórczości. Zamknął się na zawsze świetny okres »burz i dążeń«. Nie wyrzekł się wprawdzie wielkich ambicyj, tworzył jeszcze dość wiele, próbował różnych tematów, nieraz bardzo szczęśliwie, ale nie wzniósł się już nigdy ponad *Maraton* i *Skargi Jeremiego.* Zamieszkał naprzód w Pawłowie, majętności teścia, skąd brał nieznaczny udział w redakcji czasopisma *Krzyż a miecz,* które wychodziło przez czas niedługi w Poznaniu, podpisywane przez Ewarysta Estkowskiego. W r. 1854 przeniósł się do Podlipiec w Złoczowskiem, w r. 1857 mieszkał w Medyce u Mieczysława Pawlikowskiego, a następnego roku wziął w dzierżawę od miasta Lwowa wieś Zubrzę i gospodarował tutaj przez lat przeszło dwadzieścia. Pożycie małżeńskie było pobłogosławione kilkorgiem dziatek; najstarszemu synowi dał imię Kordjana.

Z początku usiłował utrzymać łączność z życiem

literackiem we Lwowie, które po złagodzeniu cenzury weszło w okres przyśpieszonego rozwoju. Obok starszych pojawiły się młodsze talenty: Henryk Jabłoński, Tadeusz Cieszyński, Jan Zacharyasiewicz, Adam Pajgert, Mieczysław Romanowski, Zygmunt Kaczkowski. Podjęto wydawnictwo *Dziennika Literackiego*, który w pewnym okresie był najlepszem w Polsce pismem literackiem, a na łamach jego oprócz większości wspomnianych, starszych i młodszych, pomieszczali swoje rzeczy: Józef Szujski, Juljan Klaczko, Teofil Lenartowicz. Ujejski był dość czynnym współpracownikiem, a wystąpił także w prozie jako publicysta.

W okresie spokojnego żywota sielskiego kończy piękne *Melodje biblijne*, próbuje się bez większego skutku w dramacie *(Początek Samsona, Ostatni Buczaccy)* i w powieści poetyckiej *(Podróż przerwana, Konfederat, Ustęp z powieści sybirskiej, Po latach ośmnastu, Błonia medyckie, Pług i szabla)*, kreśli sympatyczne wierszyki z serdecznem współczuciem dla ludu wiejskiego *(Zawiana chata, Za służbą)*, poświęca melodyjne utwory bohaterom narodowym *(Pogrzeb Kościuszki, Wieść o Adamie Mickiewiczu)*, tworzy *Tłumaczenia Szopena* i pisze prozą głośne *Listy z pod Lwowa*, w których między innemi słusznie i z szlachetną namiętnością gromi W. Pola za szkodliwy kierunek gawęd, uwielbiających najgorsze wady saskiej staroszlachetczyzny, oraz atakuje A. E. Odyńca za niefortunną robotę ugodową z rządem rosyjskim na Litwie. Z powodu tych *Listów* rząd austrjacki wziął go podobno pod obserwację, wskutek czego wyjechał na ja-

kiś czas do Jass bez paszportu, a stamtąd zrobił wycieczkę na pola cecorskie. Pol nie przebaczył nigdy Ujejskiemu ostrego wystąpienia.

W dobie przed powstaniem styczniowem Ujejski brał podobno udział w wschodnio-galicyjskiej organizacji powstańczej, a pragnąc propagować hasło »za naszą i waszą wolność«, wydał w r. 1862 w Lipsku zbiorek *Dla Moskali (Po latach ośmnastu* i *Ustęp z powieści sybirskiej)*, który zaopatrzył bardzo charakterystyczną przedmową. Pobudkę do ogłoszenia zbiorku dało mu szlachetne zachowanie się oficerów rosyjskich, Potapowa i Aleksandrowa, w czasie manifestacyj przedpowstańczych w Warszawie. Napisał tam między innemi: »Dopokąd rząd i naród nie zleją się w jedno pojęcie, jak jest dziś w Anglji i zaczyna być we Włoszech, dotąd trzeba je stawiać osobno i nie brać jedno za drugie. Rządy można nienawidzieć, narodom należy przebaczać. I jeśli wolno nam kiedy zwoływać zemstę Boga, to zawsze tylko słowami: O, rękę karaj, nie ślepy miecz!... Co mnie zawsze rozbrajało z nienawiści do Rosjanów, zgadnijcie! Oto ich ludowe pieśni smutne. W ich nutach jest żal, jest ból, rozpacz nieraz; jest tęsknota za utraconą godnością człowieka; jest ten przerażający jęk, którym się skarży i modli męczone zwierzę nieme. Lud, który w niewoli wydobywa z siebie jęk taki, ma bliską i szczęśliwą przyszłość przed sobą... Nie pojmuję miłości bez siły, zbawienia bez walki. Czeka nas zapewne bój straszny, bój zaciekły z tymi, których kochać zalecam. Niechże wtedy ta miłość nie staje się rozmiękczeniem. Polska, jak Michał archanioł, przy swojem anielstwie winna mieć zawsze że-

lazny pancerz na sobie, a w ręku płomienisty miecz i dzidę...«

W tejże przedmowie zamieścił słowa o poetach-wieszczach, które niewątpliwie także do siebie odnosił: »Podnieśli się oni własną pracą, długą męką, łaską bożą — i stoją na wyżynach. Pierwsi oni witają wschodzące słońce, choć jeszcze noc w dolinie... Nie żyjąc w sobie ani dla siebie, mierzą oni czas miarą dziejów i nieraz biorą za chwilkę to, co dla ludzi-jednodniówek staje się półwiekiem. Prości, z dziecięcem sercem rybacy biedni, pierwsi przyjmują oni słowa, ludzkość czy naród zbawiające. Ci rybacy stają się nieraz apostołami: prorokują, cuda czynią, mówią wszystkiemi językami, a właściwie jednym tylko językiem, zrozumiałym dla duszy wszystkich — językiem ducha...« Za przedmowę tę prokuratorja austrjacka pociągnęła poetę do odpowiedzialności; przy tej sposobności wygłosił on obronę sądową we Lwowie dnia 10 października r. 1863.

Nadszedł r. 1863 i krwawa tragedja. Dla Ujejskiego nadeszła trzecia epoka w życiu. Nie ugiął się pod brzemieniem klęski:

Na ziemi mogił pogasły ognie,
Słychać w ciemnościach syk węży; —
Cięży nam ręka straszna, o cięży,
Lecz nas nie złamie, nie pognie!
Nie płacze naród na trupie syna,
Choć z niego proch i glina.
Gdy przyjdzie pora,
Jutro jak wczora,
Proch — na proch weźmiem, glinę na ołów —
Pożary wstaną z popiołów.

Głos jego gęśli dolatywał tylko przygodnie (*Skarg Jeremiego część druga, Obrazki dramatyczne,* wiersze okolicznościowe, n. p. *Na drukarski jubileusz, W dniu stuletniej rocznicy nadania Konstytucji 3 maja),* przez jakiś czas myślał o poezji dla ludu (*Ptasie gniazdko, Grzela czyli rok 1846).* Pod względem formy są to rzeczy przeważnie słabe, pod względem treści powtarzają dawniejsze myśli entuzjasty i rewolucjonisty. Znamiennym jest w tej mierze przygodny wiersz z r. 1873 na drukarski jubileusz. Życząc sobie, aby czcionka jak najprędzej zastąpiła kulę, pisze:

Gdy czcionka zabije kulę,
Znikną żołdaki i króle.
Zwaśnionym braciom rozgoreją serca,
W tor nowy pójdą święcie i statecznie;
Duch zakróluje, którego otula
Ta nikła czcionek obsłonka.
Niechże w śmierć idzie to, co uśmierca;
Co daje żywot, niech żyje wiecznie —
Niech ginie kula!
Niech żyje czcionka!

Natomiast przy różnych okolicznościach głosi mowy, pełne entuzjazmu i mistycznych poglądów na Polskę (*Żywe słowa Jeremiego).* Roli Jeremjasza pozostał wierny, prorokiem chciał być dla swoich do końca. W r. 1878 wystąpił z wiedeńskiego Koła Polskiego, do którego należał jako poseł z okręgu bobrecko-rohatyńskiego, nie chcąc sprzeniewierzać się nieugiętym ideałom narodowym i demokratycznym.

W r. 1867 poznał bliżej J. I. Kraszewskiego w czasie jego pobytu we Lwowie. W r. 1868 przemawiał

przy odsłonięciu pomnika narodowego w Rapperswylu, następnego roku mówił do młodzieży polskiej w Brukseli i Leodjum. Słowa jego robiły wielkie wrażenie na słuchaczach, zapewne dzięki barwie głosu i dostojnej postaci, w czytaniu wydają się niekiedy jednostajne. W tych latach poeta wyjeżdżał kilkakrotnie do Włoch, gdzie widywał się z Lenartowiczem. Schyłek lat spędził u syna Romana w Pawłowie. Siedmdziesiątą rocznicę urodzin poety naród uczcił obchodem jubileuszowym we Lwowie, na którym Ujejski pięknie przemawiał: »W pismach, jakie otrzymywałem, i w tych przemówieniach, których tu ze wzruszeniem słuchałem, wszędzie góruje myśl uczczenia we mnie nietylko poety, ale i dobrego syna ojczyzny — a dla Polaka najwyższy to tytuł i uznanie. I wielką jest mi to radością, że naród zrozumiał moją duszę i wie, że poezja nie była dla mnie ukochaną sztuką, ale jednem z narzędzi, którem posługiwałem się najchętniej w pracy narodowej... Wszystko tu zmienne i znikome, wszystko przemija. I nic niestosowniejszego jak wyraz »nieśmiertelny«, przyczepiony do dzieł ludzkich. To tylko trwa, to tylko ma wieczną wartość, co człowiek w usługach wielkiej idei dla swego ducha zarobi. A ten szczęśliwy i błogosławiony, kto tym dorobkiem z bliźnimi podzielić się może i wzbogaci ich dusze, podnosząc je i doskonaląc...« W cztery lata potem umarł ostatni epigon romantyzmu, w nocy z 19 na 20 września r. 1897. Śmiertelne szczątki, zgodnie z życzeniem poety, złożono głęboko w ziemi w niemurowanym grobie na cmentarzu w Pawłowie.

II

TALENT UJEJSKIEGO

Był Ujejski lirykiem o nastroju patrjotycznym. Ten nastrój przeważał zasadniczo nad innemi; wierszy egotycznych zostawił stosunkowo niewiele. Do typu patrjotycznego należą także *Melodje biblijne,* gdyż pod obcą szatą odnoszą się do Polski. *Tłumaczenia Szopena* mają przeważnie inny charakter, ale są to raczej popisy wirtuozostwa formy, choć niektórym nie brak głębokiego uczucia ogólnoludzkiego. Poeta próbował sił także na polu epiki i dramatu, ale zostawił tylko fragmenty, niekiedy bardzo piękne *(Pług i szabla, Początek Samsona).* Ten rodzaj poezji nie leżał widocznie na skali jego zdolności. *Maraton,* nazywany przez niektórych powieścią poetycką, jest w rzeczywistości alegorją liryczną. Talent liryczny Ujejskiego jest też zupełnie niepośledni, zwłaszcza w tych utworach, w których dopisała mu forma, a jest ich niemało.

Forma Ujejskiego jest nierówna. Obok klejnotów powstają utwory pod względem formy niedbałe i banalne. Napisany w r. 1844 *Maraton* uderza mistrzostwem, ale mniej więcej w tym samym czasie powstaje słaby przekład *Pieśni Salomona. Skargi Jeremiego* mają formę doskonałą, ale w tworzonych w tym okresie lirykach, pomieszczonych potem w *Zwiędłych liściach* i *Kwiatach bez woni,* obok kilku pereł znajdują się rzeczy zupełnie słabe. Jeżeli jednak idzie o ogólną charakterystykę jego formy, trzeba jej przyznać bardzo wysokie zalety, a poetę pomieścić w szeregu naszych wirtuozów. Jest ona ćwiczona na mistrzach

swoich i obcych, ale poeta umiał wydobyć z wzorów własny ton, własny język, o własnej barwie i wdzięku. Znamionuje go patos i namaszczenie, w drobnych utworach utrzymane w doskonałej mierze. To też drobne jego utwory sprawiają bardzo estetyczne wrażenie, niekiedy zadziwiają siłą i powagą, to znów delikatnością i subtelnością wyrażenia. Budowa zwrotek, oczywiście wzorowana, jest bogata i prawie zawsze szczęśliwa.

Jako twórca pomysłów nie jest poeta oryginalnym. Korzysta bezpośrednio z lektury, bierze myśli cudze, ale dzięki zdobyciu własnej formy podaje je w sposób swoisty i czyni wrażenie poety oryginalnego. Nie można też uważać go za prostego naśladowcę. Ma on osobliwą zdolność przetapiania pomysłów wielkich romantyków swoich i obcych na perły liryki, przez co w inny sposób, a więc oryginalnie przemawia do duszy. I formę i pomysły urabiał poeta na tych samych wzorach, ale gdy w formie znalazł szybko swój własny styl i ton, w pomysłach nie przestał być zależnym; z nielicznemi, małoważnemi wyjątkami nie zdołał wprowadzić nowych motywów, jak się to udało innym epigonom romantyzmu: Lenartowiczowi i Syrokomli. Natomiast swoisty ton, rola proroka Jeremjasza, jaką sobie wyznaczył, zabarwia tak dalece wzięte od innych motywy, że poeta nawet w zakresie motywów wywołuje poniekąd wrażenie oryginalności.

Pierwszą większą rzeczą, jaką Ujejski ogłosił, były *Pieśni Salomona.* Dowód to rozczytywania się w Biblji, z której najpiękniejszych utworów i pomysłów zamłodu i później często się zapożyczał, a która

musiała go zaprowadzić do poznania Kochanowskiego. Jakoż w całej działalności poetyckiej Ujejskiego znajdujemy mnóstwo reminiscencyj z *Psałterza* i *Trenów* Jana z Czarnolasu, głównie zaś w *Skargach Jeremiego.* W wyrazach, zwrotach, myślach, obrazach, nawet w budowie strof odkrywa się podobieństwa. Dość porównać zwrotkę *W cześć umarłym* i *Eli, Eli, Lama Sabachtani* ze zwrotką Psalmu VIII, *Za zbłąkanych* z Ps. II, *Akt wiary* z Ps. VII. Pilnie także czytywał *Narzekania Jeremjasza,* skąd zaczerpnął wiele motywów, a zwłaszcza rolę swoją Jeremjaszową, która przez porównanie nieszczęść obu narodów mimowoli mogła się była nasuwać.

Na wielu miejscach uderza podobieństwo stylu Ujejskiego i Wiktora Hugo. Porównanie stwierdza je najzupełniej. Same tytuły zbiorków: *Zwiędłe liście* i *Kwiaty bez woni* a *Les feuilles d'automne* i *Les chants du crépuscule* dowodzą pokrewieństwa, nie wspominając o szeregu identycznych wyrażeń i obrazowań. *Lazara* Ujejskiego jest wprost przeróbką *Lazzara* i *La sultane favorite* z *Les Orientales* W. Hugo. Nawet tam, gdzieby się tego najmniej czekiwało, widać wpływ poety francuskiego. Dość przytoczyć często deklamowaną zwrotkę z *Nocy natchnienia,* która jest reminiscencją, wspaniałą zresztą, opisu Egiptu W. Hugo:

Widzicie! Oto kraj nasz szeroki,
    Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem!
    Na nim chleb biały i sól i miód;
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
    Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;

Puharem stoi jedno — drugie morze...
Mój Boże — mój Boże... *(Ujejski).*

L'Egypte! Elle étalait toute blonde d'épis,
Ses champs bariolés comme un riche tapis,
Plaines que des plaines prolongent;
L'eau vaste et froide au nord, au sud le sable ardent
Se disputent l'Egypte, elle rit cependant
Entre ces deux mers qui la rongent. *(V. Hugo).*

Obaj gorliwi czytelnicy Biblji, ulegli każdy dla siebie jej wpływowi. Dlatego poezja genjalnego Francuza musiała zaraz przy pierwszem poznaniu wydać się Ujejskiemu bliską i sympatyczną, nastrojem podobną do tej, którą sam nosił w piersi, uległ też jej urokowi. Obaj pełni namaszczenia, przekonani o kapłaństwie poezji, uważali się za proroków, występowali jako synteza ducha narodowego: jeden w imię rewolucyjnych haseł społecznych, drugi w roli Jeremjasza. Stylem, ukwieconym tropami i figurami, tak dalece są do siebie podobni, że tylko u nich obu spotyka się tę bombastyczną podniosłość, która dobiega nieraz do granic karykatury, ale ich nie przekracza, świadcząc o wielkiem u obydwu poczuciu artystycznem. Ujejski jest w tej mierze mniej doskonały i w niektórych lirykach młodocianych wpada przecież w karykaturę.

Wpływ W. Hugo zaważył jako bardzo poważny czynnik na szali twórczości Ujejskiego. Zaprowadzi on go kiedyś do przesady w wyrażeniach, bez względu na to, że podyktuje ją szlachetnie oburzone uczucie. Pisząc w r. 1860 artykuł o *Albumie Wileńskim,* radzi Odyńcowi położyć się krzyżem przed Najśw. Panną w Ostrej Bramie i błagać przechodniów, by go deptali nogami.

W tymże roku w innym artykule pozywa Wincentego Pola przed sąd w roli prokuratora. Pisze tam o wpływie Antychrysta na Pola i ocenia jego dzieła jako grzechy lub cnoty, a nie jako utwory poetyczne. Innym razem śpiewaczkę polską, która wróciła do kraju z zagranicy, mianuje heroiną narodu. Zabroni nareszcie poetom polskim pisać o czemkolwiek innem, jak tylko o polskości, bo u nas tego »nie wolno! u nas nie wolno!!!«

Ulubionym poetą młodego Ujejskiego był także romantyk niemiecki Ferdynand Freiligrath, pozostający pod wpływem W. Hugo i Musseta, rozmiłowany w przyrodzie Południa i Wschodu, na której tle kreślił piękne i pełne uczucia utwory, zawierające aluzje do najbliższych mu stosunków społecznych i narodowych. We wstępie do *Maratonu* widać pewne reminiscencje wiersza Freiligratha *Wär' ich im Bann von Mekka's Thoren,* przełożonego między innemi przez Ujejskiego p. t. *Gdybym się zrodził był na Synaju;* widoczny ten wpływ i gdzie indziej, a głównie w tem, że obaj na tle obrazów wschodnich wypowiadali uczucia patrjotyczne, jak to Ujejski w szczególności uczynił w *Melodjach biblijnych,* w których nie brak też reminiscencyj z W. Hugo, Moore'a i Byrona.

Wpływ Byrona na Ujejskiego był w ogólności niewielki. Możnaby go widzieć w najwcześniejszych, egotycznych utworach poety, ale szedł on raczej pośrednio przez Słowackiego, jak to było także w *Maratonie,* jakkolwiek Ujejski na czele tego poematu pomieścił nawet sestynę z Byrona, pozwalając niesłusznie przypuszczać, że wpływ poety angielskiego dotarł do niego samoistnem łożyskiem. Tak nie było. Ujejski

z natury miał inne usposobienie. Porządny obywatel, dobry ojciec, ziemianin, siłę natchnienia czerpał nie z buntowniczej walki potężnej indywidualności, choć nie brakowało mu temperamentu, ale z źródlisk tradycyj domowych i z patrjotyzmu, zabarwionego mistycyzmem proroków biblijnych, przesyconego natchnieniami trójcy naszych romantyków.

Ideowość Ujejskiego urobiła się przedewszystkiem na poezji polskiej. Słowacki, Mickiewicz i Krasiński byli piastunami jego myśli poetyckiej i uczucia, najważniejszemi zarazem wzorami jego formy. Obok nich dużo zaważył Jan Kochanowski. Nie bez znacznego wpływu na poetę byli: Wincenty Pol (próby gawędziarstwa), Teofil Lenartowicz (tematy sielskie) i Bohdan Zaleski (głównie na formę *Tłumaczeń Szopena).* Są to wpływy najistotniejsze, które określają zarazem skalę wyobrażeń Ujejskiego, granice jego natchnienia. Wpływy te stały się szczególnie ważne od chwili, gdy Ujejski wystąpił w roli poety narodowego. Można to wykazać bardzo dowodnie na genezie największych i najpiękniejszych utworów Ujejskiego. Trzeba dodać, że trójca romantyków działała na poetę głównie w pierwszym okresie, rówieśnicy ich i epigonowie nieco później, w okresie żywota wiejskiego.

Nie bez wpływu na wątek patrjotycznej poezji młodego Ujejskiego pozostało rozbudzone naówczas zamiłowanie do dziejów narodowych, które naprzód równolegle z poezją, potem samoistnie staną się światłem i przewodnikiem społeczeństwa. Uczyć naród na własnych jego dziejach lub w obcych wzór mu stawiać — oto hasło, które na powstanie *Maratonu* bezwątpienia

wpłynęło. Przykład Grecji trafiał młodzieńcowi do przekonania, bo znał już pewnie *Lambra* i *Grób Agamemnona*, a walka o wolność nowej Hellady żyje wtedy w świeżej pamięci i podnieca uczucie i wyobraźnię Byrona, u nas Słowackiego. Przypomniała mu się jednocześnie rola wajdeloty z *Konrada Wallenroda*, więc postanowił wezwać rodaków na bój, który musi być zwycięski, jeśli będzie jednomyślny i ofiarny:

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z nimi wskrzeszę stary świat zamarły,
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły...
Cierpka to mowa, — jak krew spiekła, czarna,
Ale w niej skryta myśl zbawienia leży;
Wszak wiecie, bracia! że z cierpkiego ziarna
Dąb rozłożysty pod niebo wybieży.

Strofy *Maratonu* były świetne. Nawet nasi najwięksi nie wchodzili z większą sławą w krainę poezji. Młody poeta poczuł się w prawie i w mocy. Lecz zamiast szczęśliwej walki wybuchła »rabacja«. Polała się bratnia krew, krzywdy wiekowe zamieniły się w jad, myśl narodowa strasznego doznała wstrząśnienia. Ujejskiemu, który właśnie rozczytywał się w Biblji, wydało się, że Syjon jego został zburzony; jednak nie stracił wiary ni ufności; nowy Jeremjasz myślami Biblji i trzech wieszczów, zwrotkami Kochanowskiego i Słowackiego, począł się żalić przed Bogiem w *Skargach Jeremiego.* Znalazł winę w niegodziwości wroga. I z Konradem w celi więziennej zawołał »zemsta!« Lecz wnet, jak on, otrząsnął się i uwielbił Boga, który kieruje losami narodów. Następują teraz modlitwy i roz-

pamiętywania, najwymowniej wypowiedziane w *Chorale,* najrzewniej na nutę Słowackiego w *Smutno nam Boże,* aż nareszcie kończy poeta *Aktem wiary,* w którym myślami Krasińskiego, ufny już i pogodny, woła w imieniu narodu:

Wierzymy, Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą jak na słońce!
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy, Panie!

Skargi Jeremiego przyjęto z entuzjazmem, znaleziono w nich pociechę i pokrzepienie. Wielka ich wartość jest nietylko poetycka. Pieśni te świadczą zarazem o szlachetnym patrjotyźmie poety. Nieszczęście nie zabiło w nim miłości do ludu, jak się to stało z Wincentym Polem, nie podyktowało gorzkich wyrażeń, jakie znajdujemy w Krasińskiego *Psalmie żalu.* Ujejski czyn straszny zrozumiał i przebaczył, a przebaczenie było szczere; dowodzą tego takie utwory, jak *Zawiana chata, Za służbą* i *Ptasie gniazdko,* gdzie zwraca się do ludu z rozrzewnieniem i sercem współczującem. Snadź zrozumiał szlachetny poeta, że i lud polski szczęśliwszej swojej braci wiele ma do przebaczenia.

Poeta zachował do śmierci to żywe uczucie dla ludu wiejskiego. Gdy dnia 27 sierpnia r. 1894 odbywał się we Lwowie wielki wiec włościański, zwołany przez młode wówczas Polskie Stronnictwo Ludowe, Ujejski, usprawiedliwiwszy się, że z powodu choroby nie może przybyć osobiście, pisze do przewodnictwa wiecu z całą serdecznością:

»Wysłuchajcie szczerem sercem, bom Wasz wierny przyjaciel od lat pięćdziesięciu. Radość mam wielką. Doczekałem, czego pragnęła dusza moja. Lud polski czuje i głosi gromadnie swoją przynależność do narodu, a święta pieśń »Jeszcze Polska nie zginęła« już zaczęła grzmieć na jego ustach. W poczuciu łączności z narodem upominacie się o szersze dla siebie obywatelskie prawa i sprawiedliwszy rozkład ciężarów. Sprawa Wasza — to nie sprawa chłopska, to sprawa narodowa. Nadając Wam ulgi i więcej praw, robi się Was zdolniejszymi do pełnienia obowiązków dla nieszczęśliwej Ojczyzny. Naród — to wielka rodzina. W nim, jak w rodzinie, zdarzają się swary i nieporozumienia. Utrzeć je co rychlej należy, bo inaczej urosłyby w złość i zawziętość. W Was, w ludzie polskim, nowa upragniona potęga, której Polsce brakowało, bez której upadła, bez której marniały wszystkie nasze krwawe wysiłki dla oswobodzonej Ojczyzny«.

Maraton i *Skargi Jeremiego* stanowią główny tytuł do chwały Ujejskiego. Nigdy już nic lepszego nie stworzył. W późniejszej dobie inni jeszcze, głównie polscy poeci pobudzają wyobraźnię Ujejskiego, ale wpływy młodości pozostawiły niezatarte piętno na jego gęśli Jeremjaszowej i dały jej ten serdeczny urok, którym działa na serce każdego Polaka. Ponieważ ideologja poety nie uległa w dalszym rozwoju zasadniczym przeobrażeniom, należy go uważać za typowego epigona naszego wielkiego romantyzmu. Nie można w nim widzieć poety przejściowego, jak niektórzy chcieli; — takim jest dopiero Asnyk; — Ujejski stanowi ostatni wyraz romantyzmu, ostatni odgłos najpiękniejszej tradycji Polski szlacheckiej, a postać jego to jedna z tych, które świecą jak czyste gwiazdy nad przeszłością, ku którym oko Izmaelów zwraca się bez skargi. Mieczy-

sław Romanowski, młodszy od Ujejskiego poeta-romantyk i na nim ćwiczony, zginął przedwcześnie bohaterską śmiercią w powstaniu styczniowem. Starsi od niego, Lenartowicz i Ujejski, głosili dalej w epoce pozytywizmu nieśmiertelne hasła nadziei narodowych. W r. 1893 zabrakło Lenartowicza. Ujejski pozostał sam, ostatni epigon wielkiego romantyzmu.

Na osobną uwagę zasługuje poczucie posłannictwa u Ujejskiego, o którem od samego początku miał bardzo wysokie pojęcie. Już jako młodzian siedmnastoletni pisał:

O, brzozy wysmukłe! nie gardźcie dębczakiem,
Co ledwie gałązką podniósł się od ziemi;
W nim zaród potęgi rozpostarł się znakiem
I on was przerośnie konary wielkiemi.
Śród burzy, gdy sarkać będziecie na losy,
Jak słabe niewiasty, rozpuściwszy włosy,
On wtedy wytęży żelazne swe ramię,
Okuje się wolą i siłą jak zbroją,
Że burze mu w dzikiej walce nie dostoją,
A grom go nie schyli — chyba go połamie...

Pragnął być ulubieńcem narodu, jego przodownikiem, natchnieniem i nauczycielem *(Młodości moja);* harfę swoją nazywał »złotostrunną« *(Do Lilji);* uważał się za ostatniego z bożych śpiewaków *(Pod ziemię).* W *Gęśli Jeremjaszowej* z r. 1844 napisał o sobie: »Zapieram siebie — jam zesłannik boski«. Słowa wydały mu się potem za mocne, w następnych wydaniach przerobił je na: »Zapieram siebie — jako nasz mistrz boski«. W tymże utworze czuje się równym prorokowi biblijnemu Jeremjaszowi:

Czuję się mocnym — już duch wstąpił we mnie,
Krwawe obrazy cisną się natłokiem.
Tak jasno widzę! — i przyszłości ciemnie,
Jak błyskawicą, rozświetlam mem okiem.
Dźwięk dzikich tonów już mnie nie przestrasza —
Witaj mi gęśli! — gęśli Jeremjasza...

Ta pewność siebie już w bardzo wczesnych utworach odpowiadała z jednej strony naturze człowieka, z drugiej brała wzór z wielkich poetów romantycznych, swoich i obcych, którzy twórczość poetycką uważali za rodzaj wyższego posłannictwa, za kapłaństwo w swoim narodzie. Niemało również przyczyniło się do tego naśladowanie proroków biblijnych. Zwłaszcza zamłodu Ujejski ciągle podkreślał to posłannictwo, a powodzenie *Maratonu*, głównie zaś *Skarg Jeremiego*, a w nich *Chorału*, utwierdzało go w tem przekonaniu jeszcze silniej. Utwory z lat późniejszych mniej często to przypominają, ale i wtedy poeta odzywa się zawsze z wysokim patosem i namaszczeniem: czyto w *Listach z pod Lwowa*, czy w *Części drugiej Skarg Jeremiego*, czy w *Wieści o Adamie Mickiewiczu*, czy nareszcie w *Przemówieniach* z lat między 1863 a 1893. Rówieśnicy Ujejskiego uważali takie namaszczenie za rzecz naturalną, bo taki był duch czasu, a rola poezji w pewnym okresie naszego życia porozbiorowego nabrała pierwszorzędnego znaczenia, jako wyobrazicielki całości narodu i jego ideałów. Niektórzy tylko gorszyli się. J. Szujski w *Portretach nie-van-Dycka* mówi o »modzie psalmów, w których słowo »wszech« i słowo »Panie!« tak ważną odegrało rolę, że mimowoli nasuwa się nam trawestja Biblji: nie każdy, który mówi: Panie!

Panie! — wejdzie do królestwa niebieskiego... Gawędowicze i psalmiści, nie patrząc na treść, poczęli szermować formą wielkich poetów«... Klaczko w *Poezji polskiej i poecie bezimiennym XIX wieku* atakuje Ujejskiego z boku: »Na Jeremjaszach i Ezechjelach nie zbywało zaiste Polsce, ale na czem jej dotąd zbywało, to na Izajaszu z ognistą mową, to na Dantem, odważnym i bez litości...« Pokolenie młodsze, choć mniej odczuwało potrzebę patosu, patrzyło z wdzięcznym szacunkiem na ostatniego epigona romantyzmu, czciło go jako żywą relikwję. Poeta tkwił wyobrażeniami w epoce swojej młodości, w atmosferze arcydzieł wieszczów, przyjmował też hołdy jako rzecz należną i uważał się do końca za polskiego Jeremjasza.

III

POEZJA WIESZCZA

Gdy nawalnica nieszczęść zwaliła się na Polskę, naród polski, w pojęciach katolicko-chrześcijańskich wychowany, z natury rzeczy musiał w tem widzieć rękę Opatrzności. Wydawało się to tem pewniejsze, że prześladowcy i zwycięzcy byli przeważnie innowiercami, czyli według wyobrażeń katolickich bluźniercami Imienia Pańskiego. Porównanie nasuwała Biblja. Wszak już przed wiekami prawowierny lud Hebrajczyków, wybrany przez Boga do spełnienia szczególniejszego posłannictwa, doznał tylokrotnie gniewu bożego, ilekroć opuścił prawe ścieżki i wstąpił na drogę nieprawości. Gdy się nawracał, Bóg przywracał mu łaskę i darzył

dobrodziejstwami. Któryż naród, jeśli nie polski, jest wybrany przez Boga, sam jeden na całej Północy wierny religji katolickiej. Czemżeż tedy są klęski, na ten naród wybrany zsyłane. Oto chwilową tylko próbą, wyraźnym dowodem miłości bożej, przygotowaniem do wyższych przeznaczeń. Z łona Hebrajczyków wyszło dzieło odkupienia, z łona Polski wyjdzie ostateczne dzieło boże, utwierdzenie królestwa bożego na ziemi. Pogląd taki był nieuniknionym wynikiem zasad, głoszonych przez religję, przyjmowanym ochotnie przez zbolałe uczucie narodowe. Taki jest bezpośredni rodowód polskiej poezji wieszczej i mesjanistycznej.

Pierwsze podźwięki tego poglądu słyszymy już w *Kazaniach sejmowych* Skargi. Znajdą się one później w *Psalmodji* Kochowskiego, w *Hymnie do Boga* Woronicza, w *Posłaniu* Brodzińskiego, lecz głównie i przedewszystkiem znalazły potężny swój wyraz wtedy, kiedy były najbardziej na dobie, w wielkiej poezji na emigracji po-listopadowej. Zaczął go tam Adam Mickiewicz. Za pobytu w Rzymie, przebywszy w sobie okres odrodzenia katolickiego, a kochając i cierpiąc za miljony, stanął odrazu z całą potęgą na gruncie apostolstwa Polski wśród narodów świata i stworzył *Dziadów* część III i *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego.* Natchnione słowa stały się balsamem na rany, zaspokajały uczucie, dogadzały ambicji narodowej. Jeden tylko Słowacki trzymał się na uboczu i bryzgnął odważnie w *Grobie Agamemnona*, w *Lilli Wenedzie,* w *Beniowskim.* W niewoli narodu nie łaskę bożą widział, ale następstwo własnej winy, do poprawy więc wzywał, do ofiary i poświęcenia, do dróg królestwa ducha, a wzamian wy-

zwolenie i świetniejszą przyszłość przepowiadał. Mowa jego za twarda była, za szczera i za prawdziwa. Nie jemu też, ale Mickiewiczowi było danem stać się przewodnikiem pokolenia Polaków na emigracji, Mickiewicz bowiem był dla ogółu przystępniejszy. Kojące jego słowa przełożył na język symbolów Krasiński, choć mówił ze stanowiska tych, którzy z wyżyn zakulisowej polityki znacznie odmienniej zapatrywać się byli powinni na losy narodu. I oto pod plugastwem najazdu dojrzewała nowa Polska, Polska-Chrystus, drugi naród wybrany, który z woli bożej przez ofiarę mesjaszową miał zostać odkupicielem wszystkich narodów świata. Z niezachwianą ufnością mistyka czekano zjawienia się męża, którego imię miało być »Czterdzieści i cztery«; wyglądano, kiedy na ziemi mogił i krzyżów stanie Irydjon, który dla wielkiej miłości dostąpi łaski Wszechmocy.

Tłumaczem uczuć narodowych w kraju stał się Ujejski. Naprzód myślami Słowackiego wzywał rodaków na wielki bój Maratonu. Tymczasem, jak grom z jasnego nieba, spadła na Polskę rabacja z r. 1846. Rzeczywistość nie mogła silniej przemówić, a przecież Polska nie ocknęła się jeszcze na życie pracy wyzwoleńczej. Modliła się jeszcze żarliwiej, wierzyła w sen księdza Piotra, w widzenia *Przedświtu*. Ujejski złączył się z tonem ogólnym i dał mu wyraz w *Skargach Jeremiego*, idąc za Mickiewiczem i Krasińskim, już tu i ówdzie tylko przypominając sobie Słowackiego. Stan modlitewny w Polsce trwał do r. 1863. Po klęsce nastąpiła reakcja, porzucenie haseł romantycznych, okres pozytywizmu. W życiu i literaturze dokonała się ta

reakcja na całej linji, pozostali tylko coraz częściej milczący niedobitkowie romantyzmu. Takim niedobitkiem w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu pozostał aż do śmierci Kornel Ujejski. Wierzył do końca z Mickiewiczem i Krasińskim, gromił ze Słowackim. W duszy jego dokonała się bowiem dziwna synteza, która umiała pogodzić wykluczające się — możnaby sądzić — przeciwieństwa. Było to dowodem wzmożonej niezawodnie samowiedzy narodowej, a rysem bardzo charakterystycznym dla Ujejskiego i jego niewątpliwą zasługą.

Gdy grudki ziemi rodzinnej spadały na trumnę poety, w Polsce dokonywała się nowa przemiana. Młodzi zbrzydzili sobie pożyteczny do pewnej granicy, ale bezduszny pozytywizm, nadchodziła fala powrotna, zbliżał się neo-romantyzm, może bez złudzeń Mickiewicza i Krasińskiego, tem silniej natomiast nawołujący do czynu, nakazywanego niegdyś przez Słowackiego. Ton nowy podjął Wyspiański. Rzecz słuszna i oczywista. Życie w niewoli oburzało, dusza polska wołała o swoje prawa. Niemało było w tem zasługi wielkiej poezji romantycznej, która pokazywała narodowi świetlane cele ideału. Była tam także drobna cząsteczka Ujejskiego, jako wiernego epigona romantyzmu.

TEKST. — BIBLJOGRAFJA

Tekst pomieszczonych utworów oparto na ostatecznem brzmieniu, jakie wyszło z pod pióra poety. W przypiskach uwzględniono wszędzie wydania pierwsze i następne, tem więcej, że mieszczą niekiedy znaczne warjanty w porównaniu z tekstem ostatecznym. W wyborze kierowano się charakterystycznością danych utworów i ich artyzmem. Naprzód pomieszczono utwory większe i zgrupowane w zbiorki przez samego poetę, z kolei podano porządkiem lat różne wiersze egotyczne i okolicznościowe, nakoniec wyimki z listów i mów. Z wydań dotychczasowych poety najzupełniejsze są: lipskie Brockhausa z r. 1866 i przemyskie Jelenia i Langa z r. 1893; z edycyj częściowych na uwagę zasługuje wydanie *Maratonu* i *Skarg Jeremiego* z wstępem M. Janika (Brody 1906) i Wybór pism K. Ujejskiego z przedmową I. Chrzanowskiego (Kraków 1909).

Z prac o Ujejskim podaje się rzeczy najważniejsze. Pominięto garść przygodnych artykułów dziennikarskich i rzeczy mniejszego znaczenia.

Estreicher Karol: Kornel Ujejski (»Tygodn. Illustr.« 1860).

Tretiak Józef: Kornel Ujejski i jego poezja (Kraków 1893).

Bądzkiewicz Antoni: Kornel Ujejski. Zarys biograficzno-literacki (Kraków-Petersburg 1893).

Chmielowski Piotr: Kornel Ujejski (»Kurjer Codzienny« z r. 1897, Nr. 260).

Pini Tadeusz: K. Ujejski. Wspomnienie pośmiertne (Lwów 1897).

Błeszyński J.: Kornel Ujejski jako dramaturg (»Kurjer Niedzielny« 1897, Nr 41).

Wolska M.: Ze wspomnień o K. Ujejskim (»Tyg. Illustr.« 1897).

Łoziński J.: Ze wspomnień o Ujejskim (»Słowo Polskie« z r. 1897, Nr. 223).

Janik Michał: Geneza twórczości Kornela Ujejskiego (»Życie« za r. 1898, Kraków).

Mazanowski Antoni: Kornel Ujejski (wyd. Zuckerkandla).

Tarnowski Stanisław: Kornel Ujejski (»Przegląd Polski« z r. 1898).

Wróblewski Kazimierz: Kornel Ujejski. W dodatkach garść listów Ujejskiego, Szajnochy i B. Zaleskiego (Lwów 1902).

Chrzanowski Ignacy: Kornel Ujejski (»Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek«, Warszawa 1903. T. II).

Biegeleisen Henryk: Nieznana autobiografja K. U. (»Świat« z r. 1908).

Ujejski Kornel: Moja autobiografja. Pisałem 15/VIII 1888 (»Lamus« 1909).

Brzostowski A. B.: Ci, których znałem (Warszawa 1910).

Chrzanowski Ign.: K. Ujejski (»Wiek XIX, Sto lat myśli polskiej«. T. VI, Warszawa 1911).

MARATON

The mountains look on Marathon
And Marathon looks on the sea;
And musing there an hour alone,
I dream'd, that Greece might still be free,
For standing on the Persian's grave,
I could not deem myself a slave.

Byron

[1] Angielski urywek z Byrona, znaczy po polsku: »Góry patrzą na Maraton, a Maraton patrzy na morze; dumając tam godzinami w samotności, marzyłem, że Grecja może być jeszcze wolna; stojąc bowiem na grobowcu Persów, nie mogłem uwierzyć, że sam jestem niewolnikiem.

WSTĘP

Wy chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni,
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha,
A ja mam dla was, o! moi rówieśni,
Pieśń, co przypomni wam brzęki łańcucha.

Wy chcecie pieśni ni kwiatu do wieńca,
Coby śród uczty mogła was pochwalić,
A jabym pragnął wam w ogniu rumieńca
Rozmiękłe dusze jak zbroję ostalić.

O! żal się Boże — tak młode pachole,
Zamiast miłować, muszę nienawidzić,
I jasne czoło omarszczać w mozole
I czyste usta wykrzywiać — i szydzić.

Wciąż się szamocę, szukając sposobów,
Jakby was zmężnić, — wszystkie drogi mylne!
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne. —

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z nimi wskrzeszę stary świat zamarły;
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły.

Może choć wtenczas, stojąc na pręgierzu
Przed sądem świata, przed własnem sumieniem,

---

w. 4 wyd. I: pobrzęk.
w. 5: *ni* — w znaczeniu: niby, jako.
w. 8: *ostalić* — zrobić hartowne jak stal.

Przyznacie sami, że rdzę na puklerzu
Można zmyć tylko własnej krwi strumieniem.

Cierpka to mowa, — jak krew spiekła, czarna,
Ale w niej skryta myśl zbawienia leży;
Wszak wiecie, bracia! że z cierpkiego ziarna
Dąb rozłożysty pod niebo wybieży.

r. 1845

1

Ha! Sardes gore! A spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzymie,
I osmalone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,
Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył,
I nóż ocierał, co się w niej obroczył...
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,
Ha! Sardes gore!...
                    Z płonącego miasta
Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
Jęk konających przy uchu mu dzwoni; —
On leciał nocy osłoniony mrokiem;
Czasem za siebie rzucał trwożnem okiem,
A wiatr przez góry za nim żarem dmuchał,
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:
Może mu teraz wróg braci wyrzyna
I starą matkę napawa krwią syna
I chatę niszczy ogniem i żelazem? —
— Hej, niema czasu! Z satrapy rozkazem

---

w. 29: *Sardes* — miasto w Małej Azji, niegdyś stolica Lidji, w r. 500 przed Chr. spustoszona przez Jończyków.
w. 34 wyd. I: w nim.
w. 36 wyd. I: Z jednej strony miasta.
w. 39 wyd. I: I leciał.
w. 46: *satrapa* — perski namiestnik prowincji; zczasem despota.

Pędź dalej, gończe! Jeszcze drogi wiele!
Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele.
Zerwał się goniec, znękany boleścią,
Ruszył przez puszczę z nakazaną wieścią,
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca;
A gdy na czatach zszedł innego gońca,
»Hej, Sardes gore! Do Suzy! Do Suzy!«
Krzyknął i wrócił; a tamten przez gruzy
Jak struś popędził, rozwinąwszy skrzydło —
I znikł przed słońcem, jak nocne straszydło.

2

Suza, wiosenna królewska stolica,
Jako wybrana młoda miłośnica,
Rozpieszcza pana; o, bo jej kochany
Zatęskni w lecie do swej Ekbatany,
A stamtąd w zimie mknie do Babilonu;
A gdy się skłoni do wiecznego schronu,
W Persepolisu skałach grób wyrąbie,
I na wiek wieków uśnie w katakombie.

W Suzie, na dworze, król Darjusz ucztuje;
Sto cudnych dziewic jemu usługuje,
Sto niewolników na klęczkach się wije; —
On innej wody przy stole nie pije,
Tylko z Choaspu dalekiej krynicy,
A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,
A wino jego, to aż z Chalibamu
Sól z puszcz Afryki, ze świętego chramu

---

w. 50 wyd. I: Ruszył przez stepy.
w. 53: *Suza* (miasto lilij) — jedna z czterech stolic starożytnego państwa perskiego. Trzy inne były: Babilon, Ekbatana (dziś Hamadan) i Persepolis (później Istachr).
w. 65: *Darjusz* (521—485) — król perski.
w. 69: *Choaspes* (dziś Kercha) — rzeka, dopływ Eufratu.
w. 71: *Chalibam* — kraj nad wybrzeżem morza Czarnego.
w. 72: *chram* — świątynia.

Zewsa-Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgina,
Co ma najlepsze, z drugiemi pospołu
W pokorze znosi do pańskiego stołu.

A gdy tak Darjusz rozległ się za stołem,
Przybieżał goniec i padł przed nim czołem
I woła: »Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes, to klejnot w twej złotej koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy,
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy
I palą miasto!«

A drugi nadbieży
I woła: »Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynie,
Winem napełnia święcone naczynie
I tobie, królu, przy uczcie urąga!«
Król, wściekły gniewem, wielki łuk naciąga,
Wybiegł i w błękit wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do bogów, aby tę zakałę
Krwią obmyć dali. I jednego sługę
Odstawił, aby każdą rwącą strugę
Wrzawnych uczt jego tamował wykrzykiem:
»Pomnij się, panie! mścić nad Ateńczykiem!«

A potem magów rozkazał przywołać
I pyta: »Grekom godzienem podołać?
Naród to wielki, gdy taki zuchwały«.
A oni rzeką: »Królu! kraj ich mały

---

w. 73: *Zews-Ammon* (Ammon, wyraz egipski, znaczy: słońce) — bóg starożytnych Egipcjan, czczony później przez Greków w sławnej z wyroczni oazie Ammon.
w. 89 wyd. I: I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę.
w. 93 wyd. I: tamował okrzykiem.
w. 95: *magowie* — uczeni, kapłani.
w. 96 wyd. I: godzien też podołać?

I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa:
Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.
To szczypta ziemi, tyle, co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
A gdybyś kazał ostremi pazury
Rozerwać stare Babilonu mury,
To mógłbyś, panie! żwirem i kamieniem
Zasypać kraj ten z całem pokoleniem«.

Magowie prawdę mówili ci, królu.
Naród to mały, lecz, jak pszczoła w ulu,
Każdy zosobna o swym domu radzi,
A, gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
O! kraj to mały — tyle, co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
O! kraj to mały, niby szyba tarczy;
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy

3

W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie
Stoją na rynku i w nieznanej mowie
Coś ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał.
Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
Wstąpił na kamień i zaczął tłumaczyć
Na język swojski; a miało to znaczyć:
»Darjusz, król Persów i Medów, pan świata,
»Na harde ludy plaga i zatrata,
»Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
»Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię,
»A może da się pokorą przebłagać
»I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać«.

Za każdem słowem lud jako lew mruczał,
A potem śmiechem szyderczym zahuczał,

---

w. 109 wyd. I: o swym domie.
w. 110 wyd. I: wszystko się gromadzi.
w. 115: *herold* — woźny, poseł.

Plwał w oczy Persom, szaty im rozdzierał,
Ciskał kamieniem; — Pers z trwogi umierał,
A lud, jak rzeka ogromna w wylewie,
Rwał ich ku sobie — szalał w srogim gniewie
I wlókł ich drżących poza miasta bramy.
Tam między skalne przepaści rozłamy
Wtrącił heroldów i w ciemnię głęboką
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;
W dzikiej radości aż zębami zgrzytał,
Widząc, jak Pers się po urwiskach chwytał,
I czepiał cierni i okrwawiał ręce
I wył jak szakal w przedśmiertelnej męce.
A potem — ścichło, — potem jęk: — o skały
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,
Szydził, nad jamą stojąc pochylony:
»Tam poddostatkiem i ziemi i wody!
Jedzcie i pijcie!«

Temistokles młody
Wystąpił z tłumu i rzecze: »Ojcowie!
Słuszną ponieśli karę heroldowie,
Lecz między nami jest Grek winowajca;
Niechaj więc ginie jak oni, jak zdrajca!
Niech więc i tego nie ominie kara,
Co plugawemi wyrazy barbara
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył,
Ojcowie! on nam język nasz znieważył!
On jego świętość pokalał i zbrukał,
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał.

---

w. 132 wyd. I: w wściekłym gniewie.
w. 133 wyd. I: aż za miasta bramy.
w. 146: *Temistokles* — ateński wojownik i polityk, jeden ze strategów pod Maratonem, zwycięzca pod Salaminą w r. 480 przed Chr., spowodował pokaranie śmiercią Greka, który podjął się być tłumaczem perskim (por. Plutarcha *Żywoty*, Bibl. Nar. Serja II, Nr 3).

Od kiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
Jeszcze tak w niej się nie wiązały słowa.
On nierozważnie o jej męty trącił
I czyste źródło mowy naszej zmącił«.

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie:
»W przepaść z nim! w przepaść! Niech ginie, niech ginie!«
I ciągną Greka; — on błaga ze łzami,
Żeby go razem nie grzebać z Persami,
Żeby nie mieszać jego wolnych kości
Z kośćmi sług podłych. W oznakę litości,
Dwaj przyjaciele i bracia najszczersi
Własną mu ręką rozpłatali piersi.
On błysnął okiem w bezmownej podzięce
I umarł cicho, padłszy na ich ręce.

4

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy:
Medy z Egiptem, Pers z Indyjanami,
A Artafernes i Datys wodzami.
Aż wichr się zrywa od wiania buńczuków
I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,
Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
Tak wielka koni i ludzi nawała.

---

w. 157: *z Olimpu* — z siedziby bogów, z nieba.
w. 161: *słynie* — tu znaczy: słychać, jest słyszany.
w. 171: *Z czterech stron świata ciągną się zastępy.* Głośna w historji jest wyprawa Darjusza na Grecję. Liczba wojsk perskich, podana przez dziejopisów greckich, jest przesadzona. Nie ulega jednak wątpliwości, że była to w każdym razie armja olbrzymia, zebrana ze wszystkich stron potężnej monarchji Achemenidów.
w. 172: *sępy* — tu: krwiożerczy nieprzyjaciele.
w. 173: *z Indyjanami* — właściwie: z mieszkańcami Indyj, Hindusami.
w. 175: *buńczuk* — proporzec, drzewce z ogonem końskim, także sama kiść włosiana, przyczepiana do szyszaka.

Możnaby nimi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: »Do Aten! Do Aten!!«

I mają rozkaz surowy wodzowie
Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie
I wiele, wiele przysposobić łyków —
Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą. Z pięknego Miletu
Zostały jeno ogryzki szkieletu.
Na szyjach niewiast szczerbiły się miecze;
Chodzono w zakład, kto więcej wysiecze.
Naksos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach;
A starce z dziatwą chronią się po górach.
Morska Eubea w perzynie osiadła;
Harda Eretrja do ziemi przypadła;
I cała Grecja struchlała i zbladła.

5

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Wierny swój naród opuściły bogi
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepcą: »Nieprzyjaciół siła!
Nacóż się przyda ofiara i męstwo?«

---

w. 180: *Ateny* — stolica dzisiejszego królestwa greckiego, niegdyś serce Hellady, siedziba sztuk, nauk i umiejętności.
w. 183: *łyka* — pęta, kajdany.
w. 185: *Milet* — starożytna kolonja jońska na wybrzeżu Małej Azji.
w. 189: *Naksos* (dziś: Naksja, Aksja) — najpiękniejsza z Cykladów, wysp na morzu Egejskiem.
w. 191: *Eubea* (dziś: Egripos, Negroponte) — wyspa na morzu Egejskiem, blisko wybrzeży środkowej Hellady.
w. 192: *Eretrja* — miasto na Eubei, głośne z bogactw w VI wieku przed Chr.

A drudzy krzyczą: »Śmierć albo zwycięstwo!«
Śród nich Milcjades, jak zesłannik bogów,
Jak ona Pitja z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słucha.

»Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza,
Pan niedaleko, — niech do niego pełza!
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech jak pies głodny czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca.
A my zostańmy! My w nieszczęściu razem,
Albo wytępim wrogów tem żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą.
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
Lub bladość trupia — nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną?
I tą przemocą, co się zda niezłomną?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem?

Jakąż nad nami może mieć przewagę
Zgięty niewolnik, którego odwagę

---

w. 202: *Milcjades* — wódz ateński, zwyciężył Persów pod Maratonem 12 września r. 490 przed Chr.
w. 203: *Pitja* — dziewicza prorokini Apollina w sławnej świątyni w Delfi, głośnej w starożytności ze swoich wyroczni. Prorokowała, siedząc na trójnogu nad pieczarą; z zawiłych jej słów kapłani układali odpowiedź.
w. 219 wyd. I: lecz nigdy.
w. 227: *odwagę* zamiast: odwagi, dla rymu.

Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą prawo nie włada, lecz pycha.

A nas, nas wielkich praojców posągi,
Do świetnych czynów wzywając, jak ongi,
Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

A nas, nas wszystko do boju porywa:
Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swojem łonie tyle sławy chowa!

Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!«

A lud wykrzyknął: »Śmierć albo zwycięstwo!«
I śród radości weselnych okrzyków
Posłał do Sparty i do Platejczyków
Prosić pomocy.

Odmówiła Sparta,
Bo jej zabrania święta ustaw karta,

w. 235 wyd. I: aby osądzić.
w. 241 wyd. I: cienia poległych.
w. 247: *Tytanowie* — synowie Nieba i Ziemi (Uranosa i Gei), olbrzymi bogowie, pokonani przez Zeusa i wtrąceni do Tartaru, do piekła.
w. 252: *Sparta* — niegdyś stolica Lakonji, sławnej w starożytności z organizacji społeczno - wojskowej swoich mieszkańców.

Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,
Na bój wyruszać w księżyca początku.
Ale Platea, nie bacząc na gwiazdy,
Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

6

Nad Maratonem
Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonem.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy.
Bijąc skrzydłami niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu obaczą.

A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
Persom się zdaje, że ich oko łudzi;
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska.
Med pomrukuje: »Szaleni! Szaleni!
Jeden na tysiąc! my niezwyciężeni!«

Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą;
I na znak dany miecze się podnoszą,
Noga wprzód sunie, mur się tworzy z tarczy;
Od strony Medów już miljon strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biegą,
Szczęk, jęk, kurzawa...
Niech ich bogi strzegą!

---

w. 256: *Platea* — miasto w Beocji, w środkowej Helladzie.
w. 258: *Maraton* — dziś mała wioska na ziemi starożytnej Attyki.
w. 270: *Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą.* — Było zwyczajem Greków, że przed każdą bitwą radzili się bogów. Wróżono zwykle z lotu ptaków, piania koguta i z wnętrzności zwierzęcych.

7

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli
I za kraj może w tej chwili polegli.
I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojczyzny synem.
W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzał w trwożnym niepokoju,
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać. I słońce zagasło
I gwiazdy... Cyt — cyt — coś w pobliżu wrzasło...
Prędkiemi kroki ktoś po bruku bije
I woła: »Tchu! Tchu! Głosu! Grecja... żyje!
Cześć! Cześć! Milcjades!... Tchu!... Zwycięstwo z na- [mi!«
Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył
I padł, wołając: »Zwy — cięstwo!« — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję: — całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany.

8

Na pobojowisku,
Po całodziennem morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie,
Tysiące ludu usnęły spokojnie.
Grecy z Persami, na jednem posłaniu,
Leżą bez gniewu w wiecznem pobrataniu.

---

ww. 282—3 odnoszą się bardzo wyraźnie do Polaków, przypominają ton zasadniczy Słowackiego.
w. 298: *ni śladu rany* — z radości pękło mu serce.

A przy nich kruki skaczą i godują,
I schrypłym głosem braci swych zwołują.

Z jednego Greka kruk ciało wyrywa;
Grek konający tak do niego śpiewa:
»O szarp, szarp serce, niech już zaumiera!
O pij, pij kruku, krew to bohatera!
Szarp, pij, a dziób twój jak ramię urośnie!«

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,
Czy okrytego nieprzyjaciół szańcem
Nie ujrzą ojca, kochanka lub męża...

Wschodzący księżyc bije w lustr oręża;
To Sparta idzie — obaczyć ciekawa,
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,
Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie,
Teraz bezwładny snem spokojnym drzymie.

r. 1844

---

w. 305 wyd. I: schrzypłym.
ww. 306—310 rażą przesadą i sztucznością i szpecą doskonałe piękno poematu.
w. 315: *w lustr* — w zwierciadło, odbija się w błyszczącym orężu.

ZAKOŃCZENIE

Błogosławiony, kto w chwili zwątpienia
Duchem nie spada, ale się przemienia
W onego orła, co pioruny dzierży,
Pewny zwycięstwa, gdziekolwiek uderzy.

Błogosławiony, kto się trupem kładzie,
By dumnej nodze stanąć na zawadzie,
Kto z próżną dłonią, poświęceniem silny,
Bez trwogi czeka na cios nieomylny.

Błogosławiony, kto po niej w żałobie
W świetnej przeszłości zakopie się grobie;
On tam niejedną wielką myśl wygrzebie,
Co będzie bronią i tarczą w potrzebie.

---

ww. 321—332, stanowiące zakończenie, zamykały pierwotny rękopis. Na rękopisie tym *Das k. k. Bücher-Revisions-Amt* umieścił klauzulę: *Imprimatur omissis deletis* (wolno drukować z opuszczeniem ustępów przekreślonych). Otóż ten ustęp przekreślony podaje się obecnie na swojem miejscu. Cenzura przekreśliła go najwidoczniej dlatego, iż wyjaśniał poniekąd alegorję utworu, który w Grekach chciał widzieć Polaków, jakimi być powinni, aby zwyciężyli.

SKARGI JEREMIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA

NAPISANA W R. 1846

9. ...widziałem pod ołtarzem dusze pobitych dla
słowa Bożego i dla świadectwa, które o niem
mieli.
10. I wołali głosem wielkim, mówiąc: Czemuż wżdy,
miły Panie, któryś jest święty a prawdziwy, nie
sądzisz a nie pomścisz się krwi naszej nad tymi,
którzy mieszkają na ziemi?
11. A dano z nich każdemu po białej szacie i powie-
dziano im, aby jeszcze w spokoju byli do czasu
małego, ażby się dopełnił poczet spółsług i braci
ich, którzy mają być pobici jako i oni.

Apokalipsis, Roz. VII

SŁOWO JEREMIEGO

Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,
Wyleciał nad obłoki, jako ptak zraniony,
I patrzał w swoją matkę, co pod jego okiem
Płonęła nito lampa przykryta obłokiem,
I dumał nad jej życiem tak bladem i niskiem.
Aż oto światłość owa czerwieńszym połyskiem
Buchnęła i gwar dziki powiał od niej nagle...
A więc zwinął Jeremi białych skrzydeł żagle
I spuścił się z błękitu...
Patrzę... moją ziemię
Krew zlała!... to wróg moje pomordował plemię.

Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony,
Co wzleciał nad obłoki jako ptak zraniony,
Uczuł, jak krew płynęła z jego dawnej rany,
Bo z braćmi pobitymi był sercem związany.
A więc upadł z obłoków — bo swej krwi kropelkę
Chciał dorzucić w czerwone to jezioro wielkie...

w. 1: *Jeremi* (Jeremjasz) — prorok hebrajski za króla Jozjasza w VII w. przed Chr., uważany niesłusznie za autora »Narzekań« *(Threnoj, Lamentationes)* nad spustoszeniem świątyni i niedolą ziomków.
w. 4 por. Kochanowskiego *Ps.* 18.
w. 10 odnosi się do rabacji z r. 1846. Wrogiem nazwano tu ówczesny rząd austrjacki.

Bo zapragnął na biednej matki swojej łonie
W sen pieśni ukołysać rozmiotane skronie.

Na ziemi jego Ojców biły łuny krwawe,
Krzyk rozpaczy przedzierał się przez śmiech i wrza-
Pośród ogniów szatana przemykały posły [wę;
I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły!
A za nimi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła, jak plaga, strącona karaniem nie-bożem:
Gdzie przeszła, zapadały domy — groby rosły!

Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni,
I mniemał, że miecz dzierży archanielski w dłoni;
I okiem iskier pełnem spojrzał po narodzie
I mniemał, że w nim duszę odbije jak w wodzie.
A przy drogach, jak stare pochylone słupy,
Sterczeli ludzie — spojrzał im w twarz: żywe trupy!
Bo wszyscy skamienieli, nikt bolem nie władał:
Kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał!
I widząc to, Jeremi spłonął strasznym gniewem
I ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem, śpie-
[wem;
Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgliszczach
I mieczem bijąc w lutnię, ćwiczoną na mistrzach,
Łunami obleczony i dymem owiany,
Uderzył w hymn, jak jego serce, potargany.

PIEŚŃ ZEMSTY

Razem głosy, dłonie razem,
A niepróżne dłonie;

---

w. 23: *dzicz ślepa* — oznacza ludność wiejską, biorącą udział w rzezi.
w. 37 poeta wyznaje, że wzorował się na innych.
w. 40 i nast. *Pieśń zemsty* pisana pod wpływem reminiscencyj z Mickiewicza.
w. 41: *niepróżne dłonie* — uzbrojone.

A ty zahucz nam na ucztę,
Sycylijski dzwonie!
Już oddawna chytry wróg
Krwią frymarczy laszą,
Naszą krzywdę święcąc Bóg,
Święci zemstę naszą.
Póki starczy w żyłach krwi, póki w piersiach tchu:
Zemsta mu!

Pan miłuje zapał siły,
Nie bezmocy trwogę;
On rzekł: »Kto sobie pomaga,
»Temu dopomogę«.
Wżdy z pod stopy lichy płaz
Na wolność się pręży,
Mamyż leżeć jako głaz,
Gdy nas wróg ciemięży?
Hej! olbrzymów dawna krwi, obudź nas ze snu:
Zemsta mu!

Wróg, podobny do onego
Zdeptanego węża,
Jednych kusi, drugich truje,
A wszystkich rozprzęża.
Póty jemu w świecie stać,
Póki mętne matnie;
A więc on na rodną brać
Zbroił dłonie bratnie!?...
Za tysiące spadłych głów na katowskim pniu:
Zemsta mu!

---

w. 43: *Sycylijski dzwon* — 30 marca r. 1282 rozgoryczony lud sycylijski wyciął w pień najezdniczych Francuzów, a stało się to w czasie nieszporów (*Vespro Siciliano*). Dzwony, zwołujące na nieszpory, były hasłem wybuchu.

w. 49 wyd. I ma za każdą zwrotką trzy razy: Zemsta mu, zemsta mu, zemsta mu!

I wróg, ten dziki satrapa,
Hańbi nasze córki
I przy pieśni niewolników
Szare kręci sznurki;
Potem w ziemię wbija słup,
Porywa nam syna
I na czarnych ptaków łup
Na sznurku upina...
Więc za każdą taką nić skrwawionego lnu:
Zemsta mu!

Słowo święte, słowo wiary,
Wróg oddechem ziębi,
A więc pieśń o zemście naszej
Skryjmy w serca głębi:
A tam tajnie niechaj w niem
Jak wulkan się chowa
(Tak w pieczarach dawny Rzym
Skrywał prawdy słowa),
Aż wyleci kiedyś w świat nakształt pieśni chrztu:
Zemsta mu!

A Ty, Panie! co w Swem ręku
Ważysz nasze losy,
Boże wielki! dla tej pieśni
Otwórz swe niebiosy!
A gdy przyjdzie ów dzień nasz,
Ów dzień upragniony,
Ty aniołom swoim każ
W cztery świata strony
Na miedzianych trąbach grzmieć hasłem w onym
Zemsta mu! zemsta mu! zemsta mu! [dniu:

---

ww. 74—79 por. Kochan. *Ps.* 79 (Trupy sług twoich, któremi karmi się ptactwo brzydliwe).
w. 86: *w pieczarach* — w katakombach, gdzie ukrywali się chrześcijanie.

I odśpiewał Jeremi tę pieśń rwącą szałem
I wychylił się za nią duszą, sercem całem.
Drgnął naród! — lecz za chwilę ściągnięty łańcuchem
Znowu opadł — bo Bożym nie odetchnął duchem,
I nie w Bogu, lecz w zemście ze snu się obudził.
A Jeremi, gdy poznał, że swe skrzydła zbrudził,
Za śladem skruszonego króla i proroka
Chciał zapłakać — i ręką gdy sięgnął do oka,
To zamiast łzy, krew sępia spłynęła mu z powiek:
I poznał, że u Boga niżej stał — niż człowiek!
A więc czołem uderzył, jak syn się rozżalił
I Panu na ofiarę całą duszę palił
I przed progiem kościoła długo pokutował;
Aż wkońcu Pan w litości język mu rozkował,
Ażeby, modląc Jego — imię Jego chwalił.
O, mój ludu! krwią moją są te pieśni moje!
Jam je, jak w arkę świętą, złożył w ręce twoje;
Niechaj gra w twych natchnieniach, niech w twych
[żyłach płynie,
Niech wrogom urągając, w tobie nie zaginie,
A innego pręgierza nie trzeba dla wroga...
Dla szatana najsroższą karą — »*chwała Boga!*«

---

w. 100 wyd. z r. 1862: rwiącą szałem, — spodziewaćby się należało: wrącą szałem.
w. 104 przypomina potępienie Konrada, wzywającego do zemsty.
w. 106 *skruszony król i prorok* — Dawid.
w. 114: *modląc Jego* — niezwykła składnia, na wzór: prosząc go, może pod wpływem przekładu Biblji.
w. 116: *jak w arkę świętą* (złożone pieśni) — przypomina wyrażenie Mickiewicza z *Konrada Wallenroda.*

NOC NATCHNIENIA

MODLITWA WSTĘPNA

Pogladam w niebo — a niebo ciche;
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
Ona, co we dnie miota się w pychę,
Ona, co we dnie broczy się w krwi.
A teraz księżyc srebrną pogodą
Obrylantował rosisty wrzos,
I stoją senne wierzby nad wodą,
A wiatr leciuchny muska im włos,
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — mój Boże!...

Wzlatuję w górę, między obłoki,
Z jaśni błękitu pozieram w dół;
Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód;
Jak siwy gazda z otwartem sercem
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;
Puharem stoi jedno, drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

---

ww. 1—5 przypominają nieco obrazowanie Jeremjasza (VI, 23): Patrzyłem na ziemię, cała czcza była i nikczemna — i na niebo, a nie było na niem światłości.

w. 6: *rosisty wrzos* — ta roślina polskich borów często wspominana jest w pismach Jeremjasza.

A na tej ziemi lud się położył,
Lew — co przed światem straż trzymał wciąż;
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego jako stal twardy
I w słońcu wiary błyskał jak stal,
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy,
Rozrastał w sławie — toż szumem fal
Klaskało jemu jedno, drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

A oto patrzcie — tę ziemię błogą
Zbójca-grabieżnik naszedł — nie gość,
Nasze świątnice niszczył pożogą,
Naszej przeszłości wyrządzał złość.
A oto patrzcie — gdy krusząc pęta,
Z ciężkiej niemocy powstawał lew,
To chytry tygrys podmówił lwięta,
By wytoczyły ojcowską krew.
I krew płynęła w jedno, w drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

I krew spłynęła — i znów ni śladu
Po strasznej męce, po strasznej łzie;
A noc tak cicha... liść winogradu
Po mojem oknie wiotko się pnie,
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
Drzemiące głowy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach, spadłych na wody dno.
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — mój Boże!...

---

w. 36: *z ciężkiej niemocy powstawał lew* — szlachta przygotowywała powstanie.
w. 37: *lwięta* — lud polski.
w. 38: *ojcowska krew* — krew szlachty.
w. 43 por. Jerem. (IV, 29).

I

OJCZE NASZ

Na gwiazdach oparty, z za obsłon błękitu,
O Panie! przeglądnij nas okiem,
Patrz, ile tu śmiechu, zwątpienia i zgrzytu
Pomiata cierpieniem głębokiem,
Jak życie Twych ludów opaczną szło drogą
Na uździe ciemięzców, pod biczem...
To ziemię zhańbioną w otchłanie trąć nogą!
Nie umie być wolną — niech będzie znów niczem!
O zniszcz nas lub podnieś! wołamy do Ciebie,
»*Ojcze nasz, któryś jest w niebie!*«

Niech światło Twej łaski ród wzniesie zdeptany,
Jak księżyc, co morze podnosi;
Z ołtarzów i z tronów strąciwszy bałwany,
Niech Ciebie za Pana ogłosi;
A ludy, gdy znamion pozbędą się pychy,
Za Tobą polecą jak roje,
Miodowe zapasy gromadząc w kielichy...
»*Święć się Imię Twoje!*«

Niech ludy, co w wiecznym trapiły się boju,
Odetchną w braterstwie i zgodzie;

---

w. 17: *miodowe zapasy gromadząc w kielichy* — wyrażenie z psalmów: gromadząc dobre.

Niech rosną w tak zgodnej równości, w pokoju,
Jak rosną szuwary na wodzie;
Niech miłość i wolność opaszą tę ziemię,
Jak wiecznie zielone powoje;
Niech jeden Bóg będzie — cel jeden — i plemię...
»Przyjdź królestwo Twoje!«

O, wtenczas to, wtenczas żyć byłoby warto
Swobodnym pod Twoją opieką!
Dziś, kiedy nam przyszłość niewolą zaparto,
Napróżno bijemy o wieko;
Dziś naszej pokory rozkrusza się zbroja,
Dziś słowy jąkamy cichszemi:
»Bądź wola Twoja
»Jak w niebie, tak i na ziemi!«

To ześlij, o Panie! nam Swoich proroków,
Co w wielkiem zwątpieniu człowieczem
Rzucają pociechę jak mannę z obłoków,
A słowem wojują jak mieczem!
I daj im stal w piersi, grom w głosie, skrę w oku,
A kieruj ich okiem i głosem;
Na Pańskiej biesiadzie umieść ich przy boku,
Niech pierś Twą obwiną swym włosem,
I nasyć nas wszystkich pokarmem aniołów,
A w gniazda hyjeny i rysia
Z odwagą pójdziemy, wstawszy od Twych stołów...
»Chleba naszego powszedniego daj nam dzi-
[siaj!«

To wytęp tych czarnych, szatańskich handlarzy,
Co kupczą głowami swych braci,
Za które im tyran uśmiechem na twarzy,
Srebrnikiem lub blaszką zapłaci;

---

w. 44: *w gniazda hyjeny i rysia* — przeciw nieprzyjaciołom.
w. 47: *szatańscy handlarze* — prawdopodobnie politycy ugodowi.
w. 50 ma zapewne na myśli Szelę, przewódcę rabacji.

To wytęp ich, Panie! bo ręka człowieka
Na karę tak wielką za miękka,
I od nich jakoby od trądu ucieka
I skalać dotknięciem się lęka.
A nikt ich nie karci, nikt, Panie! prócz śliny,
Wyplutej na czoła tym zdrajcom —
»I odpuść nam nasze winy,
»Jako my odpuszczamy naszym winowaj-
[com«.

Wielbiony niech będzie, kto tyle ma męstwa,
Że zamiast zasłonić się zbrodnią,
Sam siebie rozpina na krzyżu męczeństwa,
Sam stos swój zapala pochodnią!
To dodaj nam siły, bo w trudnej tej walce
Nieprawi przewagą się szczycą,
Nad nimi potęga, znaczenie — i chwalce
Wzlatują jak sępy nad lwicą.
A wiernym w ślad idzie ubóstwo, strapienie
I praca dla chleba dziennego —
»I nie wódź nas na pokuszenie,
»Ale nas zbaw ode złego«.

AMEN

II

SMUTNO NAM BOŻE!

Od Twego ludu, co w mękach umiera,
Ostatnia może dochodzi Cię skarga,
Bo nas już robak toczy i pożera
I serce targa;
Bo tylko próchno świeci w naszej korze...
Smutno nam, Boże!

II. *Smutno nam Boże* — skarga ta zwrotką, obrazowaniem i nastrojem przypomina znany wiersz Słowackiego.

Choć nas Twój palec ostrzega strażniczy,
Dzieci-sieroty błądzimy śród grzéchów;
Ależ my, Panie, wypili goryczy
Krocie kielichów!
Ależ my, Panie! wylali krwi morze...
Smutno nam, Boże!

Na naszych braci palące się stosy,
Na naszych synów, pragnących na palu,
Gromy dorzucasz... miast chłodu i rosy!
Oh, toż my w żalu
Wołamy gardłem, zakutem w obrożę...
Smutno nam, Boże!

Pełni jesteśmy płaczu i żałoby,
Że domy nasze wróg kiedyś posiędzie,
I znieważając wodzów naszych groby,
Plwać na nie będzie;
Że nasze kości po świecie rozorze...
Smutno nam, Boże!

Że dotąd dębom skołysanym nocą
Ojczyste słowa szeleszczą nad głową,
Że w całej ziemi jaskółki świegocą
Rodzinną mową,
A wielu synów pogardza nią może...
Smutno nam, Boże!

Że wszelkie ptactwo, co w obcy kraj leci,
Wiosną łańcuchem pieśń powrotu nuci,
A z naszych braci, pędzonych w zamieci,
Żaden nie wróci!
Ciałami tylko wytyczą bezdroże...
Smutno nam, Boże!

---

w. 14: *na palu* — na szubienicy.
w. 33: *pędzonych w zamieci* — pędzonych na Sybir.

Że wróg w lichwiarskie porwał nas objęcie,
Łzami — perłami naszemi frymarczy,
A my bezsilni! — i znać już pęknięcie
Na naszej tarczy;
Że wrogów na niej nie kruszą się noże...
Smutno nam, Boże!

I już więc nigdy, Panie, nie pocieszysz
Lud Twój pokutny? — więdniemy jak liście
Pod Twojem okiem, a Ty nie przyśpieszysz
Zbawienia przyjście?!
Toż, choć przed Tobą klękamy w pokorze...
Smutno nam, Boże!

III

ELI, ELI, LAMA SABACHTANI

O Panie, Panie, czemuś nas opuścił!
Gwiazdy nad nami zmgliły się żałobą,
Czemuż Ty, Panie! naszych łez nie uczcił,
Gdyśmy płakali przed Tobą?...

Onego czasu było orle gniazdo,
Gniazdo zapaśne, szerokie, a całe,
Orłowie z niego swą podniebną jazdą
Rozgłaszali Pańską chwałę.

Orłowie, skrzydła łamiąc w zawierusze,
Padli nieżywi na skały dalekie,

---

w. 39—40: *pęknięcie na naszej tarczy* — osłabienie ducha narodowego.

III. *Eli, Eli, Lama Sabachtani* — wyrazy hebrajskie, znaczą: Boże, Boże, czemuś mnie opuścił, — wypowiedział je Chrystus na krzyżu.

w. 5: *orle gniazdo* — Polska.

w. 6: *zapaśne* — pełne zapasów, bogate.

Czemużeś, Panie, ich dzieci bezpusze
Trzem wężom oddał w opiekę?

Orlęta skrzydeł nie mogą rozwinąć,
Karmione śliną i niemocy jadem;
Lepiej im było wraz z ojcami zginąć,
Niż w jednem gnieździe żyć z gadem!

Żałobni, Panie, żałobni my bardzo,
Bo duchy ojców, gdy lecą obłokiem,
To na swe syny, co ich lotem gardzą,
Ponurem patrzają okiem.

Korni jesteśmy, choć żywot nasz lichy
W jarzmie i w hańbie wleczemy powoli;
Wszak łatwiej zniesiesz w człowieku grzech pychy,
Niźli pokorę — niewoli!

U obcych ludów stoim w poniewierce:
Ci, mimo idąc, głowami kiwają
I zimne dłonie kładą nam na serce,
Oni, co serca nie mają!

Inni nas cieszą lub płaczą nad nami,
Jak owe słabe niewiasty Syjonu...
Oni w poddaństwie hodowani sami,
Odstępcy Twego zakonu!

I mniej cierpimy przykuci do krzyża
Naszych odwiecznych nieprzyjaciół złością,
Niż kiedy naszym boleściom ubliża
Niewierny kłamną litością.

---

w. 12: *trzem wężom* — trzem zaborcom.
w. 24: *pokorę niewoli* — przypomina: heroizm niewoli, wyrażenie Mickiewicza z wiersza *Przegląd wojska.*
ww. 25—28 przypominają Kochan. *Psalm* 109.
ww. 31 i 32 pojmowanie przeszłości na sposób *Przedświtu* Krasińskiego.

O! jakże cierpkie są, Panie, te słowa,
Lecz ból niezmierny pierś naszą rozrywa,
O, Panie! dziecko, gdy w grób matkę chowa,
To płaczem ryczy — nie śpiéwa!

Więc Ty, o Panie! opuść ku nam ręce,
Podnieś nas, zanim rozpacz nas ogarnie,
Bo szkoda, Panie, aby w strasznej męce
Twój naród zaginął marnie.

I daj nam siłę, by za dawne grzechy
My aż do końca wytrwali w pokucie;
Bo, gdy dla siebie nie widzi pociechy,
Trętwieje miłość i czucie.

IV

SUPLIKACJE

»Święty Boże, Święty mocny,
»Święty nieśmiertelny —
»Zmiłuj się nad nami!«

I ogarnął postrach nocny
Twój lud niegdyś dzielny —
Zmiłuj się nad nami!...

Jako kłosy wstajem z bolem,
Zgłuszeni kąkolem —
Zmiłuj się nad nami!...

»Od powietrza, głodu,
»Ognia i niewoli —
»Wybaw nas, Panie!«

Od wrażego rodu
Pastwy i swawoli —
Wybaw nas! Panie!

Od bratniej niezgody
Przy czerpaniu wody —
Wybaw nas, Panie!

»*Od zgonu nagłego*
»*Bez skruchy pacierza* —
»*Zachowaj nas, Panie!*«

I od zelżywego
Z wrogami przymierza —
Zachowaj nas, Panie!

Od pokus do grzechu,
Bluźnierczego śmiechu —
Zachowaj nas, Panie!

»*My grzeszni Ciebie*
»*Boga błagamy* —
»*Wysłuchaj nas, Panie!*«

Przez ojców w niebie
Bez grzesznej plamy —
Wysłuchaj nas, Panie!

Przez pełnię czaszy
Łez i krwi naszéj —
Wysłuchaj nas, Panie!

V

DO BOGARODZICY

1

Bogarodzico, Dziewico,
Przyjmij ten głos człowieczy,
To wielkich bolów głos.
Nas siedem krwawi mieczy,

V. *Do Bogarodzicy* — w tytule reminiscencja starej pieśni i wiersza Słowackiego.

Potrójny gniecie grób...
Bogarodzico!
Jak wichrem zgięty kłos
Kładziem się u Twych stóp.

2

Bogarodzico, Dziewico,
Patrz, oto naszą ziemię
Okręcił zdradny wąż.
Na wierne Tobie plemię
Oh! nawróć blask Swych ócz —
Bogarodzico!
Łańcuchem węża zwiąż
I na dno piekła wtłocz.

3

Bogarodzico, Dziewico,
Słuchaj nas, Panno czysta,
Bo wróg urąga nam;
Nad nami w palce śwista,
Kiedy łzy lejem w dłoń;
Bogarodzico!
Ty hardy kark mu złam,
Prochem mu osyp skroń.

4

Bogarodzico, Dziewico,
Niejedna matka płacze
U szubienicy stóp,
A gad tam na nią skacze
I czarny bije ptak;
Bogarodzico!
Pomnij, że krzyża słup
I Tyś łzawiła tak.

---

w. 5: *potrójny grób* — w niewoli u trzech zaborców.
w. 20: *nad nami w palce śwista* — wyrażenie z Biblji.

5

Bogarodzico, Dziewico,
Umocnij nas wejrzeniem,
Bo, niosąc męki krzyż,
Padamy pod brzemieniem,
Jak Syn upadał Twój.
Bogarodzico!
K'nam Galilejkę zbliż,
Co krwawy ściera znój.

6

Bogarodzico, Dziewico,
Gołąbko Ty Syjonu!
Cudowna Twoja moc;
Nad ziemią Twego tronu
Roztęczuj skrzydeł blask,
Bogarodzico!
A w czarną ziemi noc
Wolności pryśnie brzask.

7

Bogarodzico, Dziewico,
Wszak Polski Tyś Królową,
Czemuż odwracasz twarz
Od ziemi Twej na nowo?
O! usłysz ludu śpiew,
Bogarodzico!
Pod Twoją świętą straż
Składamy naszą krew.

---

w. 39: *Galilejka* — Weronika, która ocierała pot z czoła Chrystusa, gdy upadał pod brzemieniem krzyża.
w. 42 przypomina wyrażenie Mickiewicza z *Hymnu do N. Panny*.

8

Bogarodzico, Dziewico,
Wysłuchaj tę modlitwę,
Jak ojców tak i nas
Tą pieśnią prowadź w bitwę,
Niech wrogom strasznie grzmi:
_B o g a r o d z i c o!
A w niespożyty czas
Hołdować będziem Ci.

VI

W CZEŚĆ UMARŁYM

Och! cała ziemia ta nasza cmentarna
Wygląda, Panie, jak czara ofiarna,
W którą poganie zlewali krew wrogów
Dla dawnych bogów.

Coraz się więcej spód ziemi zaplemia,
Na nowe groby miejsca nie ma ziemia,
A więc na prochach ojców twarzą bladą
Syny się kładą.

I oto, Panie, jak się wypiętrzyła
Warstwami trupów sypana mogiła!
A innem licem każda pokolenia
Warstwa się zmienia.

I naprzód leżą daleko u spodu
Ciemne olbrzymy, ojcowie narodu:
Ci pospierali o krwawe oszczepy
Czaszek czerepy.

---

ww. 57—60 przypominają jedną z wizyj *Przedświtu.*
w. 63 wyd. I: niepożyty.
VI: Skarga ta ma zwrotkę *Psalmu* VIII Kochanowskiego.
w. 5: *zaplemia* (od plemię) — zaludnia plemieniem polskiem.
ww. 14—16 przypominają jeden z ludów lechickich w *Lilli Wenedzie.*

I niedźwiedziową okryli się skórą...
A znać im z oczu przymkniętych ponuro,
Że w borach wiodły niejeden bój dziki
Te zapaśniki.

A na tych ciałach szeregiem się łożą
Ludzie, co znali już naukę bożą,
Bo szorstkie dłonie na zbroi ze stali
W krzyż poskładali.

A każdy patrzy pokojem natchniony;
Widać, że poległ dla kraju obrony,
Widać, że synom kraj wolny zostawił
I siebie wsławił.

Wyżej na owych ojcach bogobojnych
Kłębią się ciała w rzutach niespokojnych;
Jak na wędrowcach, co zmylili drogę,
Znać na nich trwogę.

Jedni z nich troską zadumani leżą,
Drudzy w rozpaczy miecz złamany dzierżą,
A inni zdrajców osypani trądem
Straszą się sądem.

A prócz tych, Panie, co śpią w ziemi zmierzchu,
O! ileż trupów tu, na samym wierzchu!
A wszystkie, w niebo patrząc znaną twarzą,
Ach! o nas marzą...

Sercem i ręką naszą obwiązani,
Teraz, o Panie, leżą przepasani
Przez szyję siną pręgą, a przez łono
Pręgą czerwoną.

I jako słudzy Twoi w dawnej Romie
Z pieśnią stawali na płonącym łomie

---

w. 36 — lękają się sądu.
w. 45: *słudzy Twoi w dawnej Romie* — pierwsi chrześcijanie.

I na świadectwo Twojej wiecznej prawdy
Cierpieli zawdy;

Tako i nasi bracia, wielki Boże!
Jak na spoczynek szli na krwawe łoże,
A strasznym bolem pokurczone wargi
Nie miały skargi.

Panie! toż wszystkie ojców naszych winy
Już śmiercią swoją okupiły syny —
Panie! Tyś musiał zmarłych poczet cały
Wziąć już do chwały.

A jeśli naszą pokutę żałobną
Chcesz nam przedłużyć — daj nam śmierć podobną,
Ale nam powiedz: »*Do ofiarnej katni*
»*Idźcie ostatni!*«

Ale nam powiedz: »*Was umieszczę w chwale,*
»*Kraj wasz ku morzom rozścielę wspaniale,*
»*A dzieci wasze do jednego stołu*
»*Sproszę pospołu!*«

Cześć, cześć i chwała niech będzie popiołom,
W proch, w proch, w pokorę giąć się naszym czołom,
W jęk, w łzę rozlewać to nasze wołanie
Do Ciebie, Panie!

VII

MODLITWA WIĘŹNIA

Mówią, o Panie, żeś mię upokorzył,
A Tyś mi zasług i chwały przysporzył;
Mówią, o Panie, żeś Ty na mnie gniewny,
Że twardy grzesznik Twoje gromy kuszę,

ww. 57 i 58 wyd. I: A jeśliś naszą pokutę żałobną
Dotąd nie skończył —
w. 59: *katnia* — miejsce katuszy.

A wżdy ja w duszy spokojny a pewny,
Bom w Tobie, Panie, położył mą duszę.

I Tyś nad ludzi wywyższył mię wielce,
Bo płoniesz we mnie, jak w rosy kropelce
Słońce; snać Tyś mię bardzo umiłował
I jako syna pokochałeś szczerze,
Kiedyś mię, Panie, na męki zachował,
Bym dał świadectwo Twojej świętej wierze.

Snać łaska Twoja jest ze mną, o Boże,
Gdy wróg się trwoży, a ja się nie trwożę.
Niedawno temu, jak mię na powrozie
Przed liczne sługi cesarskie przywiedli,
Więc mię pytali w pogardzie i grozie:
»Tyżeś to?« — *Jam jest.* — A oni pobledli.

Potem sędziowie posiadali w kole
I położyli krzyż Pański na stole,
I rzekli: »Ktoś ty?« — Jam sługa narodu.
— »Coś czynił zdawna?« — pytali ze złością,
— Jam naród kochał zdawna, bo od młodu.
Więc rzekli razem: »Tyś winien — miłością!«

A Syn Twój, Panie, co miłość nauczał,
Co bliźnim bliźnich w opiekę poruczał,
Co rzekł, że w niebie ci będą najpierwsi,
Którzy kochali — bardzo się zasmucił
I niżej głowę opuścił na piersi
I oko swoje od sędziów odwrócił.

Wrogi, o Panie, pastwią się nademną
I na mieszkanie dali otchłań ciemną,
Otchłań wilgotną, z ciemnością bez końca,
Ciężkim łańcuchem skuli ręce moje...
A mnie się zdaje, że ja mam dwa słońca!
Że mi od ramion rośnie skrzydeł dwoje!

A jednak, Panie, ciężko sercu memu,
I lotu ptaku zazdroszczę każdemu,
Bom ja na świecie zostawił w żałobie
Wiele serc bratnich i rodzinę drogą —
To za nich oko podnoszę ku Tobie,
Bo ręce skute podnieść się nie mogą.

Ty moje gniazdo, wszechmogący Panie,
Swoim aniołom oddaj pod czuwanie;
Niech każdy z moich z wiecznie jasnej strugi
Twych błogosławieństw jasny żywot czerpie
I na kraj wolny nie czeka czas długi
I łez niech nie zna. A ja — niech już cierpię.

Nieraz ja, Panie, przez muru szczelinę,
Gdy wzrok nie może, to myślą wypłynę,
A myśl do mojej rodziny mię niesie,
W raj mej zagrody cichy i uroczy —
Och, za tym rajem dusza moja rwie się!
Och, za tym rajem tęsknią moje oczy!

A wszakże, Panie, w Twojej leży mocy
Wyrwać mię z więzów i z tej strasznej nocy;
Lecz jeśli sądzisz, że moje męczarnie
Ojczystą sprawę w stanie są popierać
Mocniej, niż życie prześlizgane marnie...
O Panie, Panie! ja tu chcę umierać!

VIII

MODLITWA OJCA

PRZY CHRZCIE SYNA

Czarny kir biorę — dziecka jasne skronie
Żałobnym znakiem pokutnika słonię,

VIII. *Modlitwa ojca.* Wiersz ten myślą zasadniczą przypomina Mickiewicza *Do matki Polki.*
w. 2: *słonię* — okrywam.

Krzyż mu podkładam, z którym będzie chodził;
I tak go niosę w świątyni przedsienia,
Bo oto w ziemi Twego potępienia
Nowy niewolnik się zrodził!

Jam ojcem, Panie! a nad jego głową
Wylewam skrycie łzę heraklitową,
Godzę go wcześnie z życia jego treścią;
O! bo kto wyjdzie z krainy żałoby,
Kto dzieckiem ujrzy ofiar świeże groby,
Ten już żyć musi — boleścią!

Gdybym mógł, Panie! jabym mu zamłodu
Wyporał serce, co jest nakształt wrzodu,
A będzie chodził swobodnie, choć luźnie;
Bo ci szczęśliwi tylko w swym żywocie,
Co zapomnieli o sercu i cnocie...
O Panie, Panie! — ja bluźnię!!

O Panie, Panie! ciężka Twoja kara,
Kiedy tak w duszę wkrada się niewiara,
Że nawet ojciec niemowlę nią wita.
W skrusze i żalu przed Tobą upadam,
Chciałbym się modlić, a sercem nie władam...
Ciemno mi! — Panie, już świta!

Oto ja Tobie przynoszę na ręku
To dziecię moje, co jest pełne jęku
I jakiejś wielkiej, tajemniczej trwogi;
Syn to człowieczy — a pół-anioł boski
Zleciał na ziemię i jest pełen troski,
Bo nie zna miejsca, ni drogi.

Więc mu krzyż Pański kładę na prawicy,
Garść z naszej ziemi rzucam do chrzcielnicy,

---

w. 8: *łza heraklitowa* — wyrażenie z *Trenów* Kochanowskiego. Heraklit, filozof grecki, działał około r. 500 przed Chr., dla swoich poglądów nazywany »płaczącym« w przeciwstawieniu do »śmiejącego się« Demokryta.

Imię tej ziemi na piersi mu piszę
I oko jego obracam na słońce;
Dwóch krzywych szabel skrzyżowałem końce,
Na szablach dziecię kołyszę!

Chrzest się dopełnia — o Panie! o Panie!
Niechaj to dziecię w przyszłości powstanie
Obrońcą wiary, bohaterem, mężem —
Za słońcem prawdy niechaj się kieruje,
Niech swą ojczyznę nad życie miłuje,
Niech ją wywalcza orężem!

Gdy ślubem ducha z Tobą się zaręczy,
Niech śmiało stąpa, przy wiary poręczy,
Drogą, co przepaść ma tylko lub ciernie;
O Panie! dziecię miej moje na pieczy,
Dozwól niech ono cierniem się kaleczy,
Lecz od przepaści chroń wiernie.

Strzeż go, by obcym nie kłaniał się bogom,
Niech Tobie służy, a nie Twoim wrogom,
Im niech nienawiść i zemstę przysięże;
Niech nie zna szczęścia, ni snu, ni pokoju,
Pokąd nie będzie zwycięzcą, lub w boju
Z męczeńską chwałą nie lęże.

Oto go Tobie składam na ofiarę
Za wolność mojej ojczyzny, za wiarę;
Chociaż Twych sądów nie mogę ja dociec,
Wysłuchaj, Panie, to moje wołanie,
Bo świętszych modłów już niema, o Panie,
Jak kiedy modli się ojciec!

w. 60 wyd. I: modli się — ociec (forma staropolska).

IX

ZA ZBŁĄKANYCH

1

Maleje, Panie, maleje Twój naród,
Widomej śmierci osłabia go zaród,
Duch jego siły z ciałem się rozprzęża,
Toż łatwiej u nas o karła, niż męża.

Niby nas wiele — a jakże nas mało!
Wszystko się w inną stronę rozleciało,
Twojego głosu prawie nikt nie słucha;
Pękły ogniwa — nie stało łańcucha!

Lud nasz, o Panie! co wichrzy się spodem,
Dotąd się jeszcze nie nazwał narodem;
Jak liść jesienny, zgromadzony w lesie,
Tam on ulata, gdzie go wiatr uniesie.

Do obosiecznych podobny on mieczy:
Kto nim zamachnie, wprzód siebie kaleczy;
A straszne jego i śmiertelne cięcia,
Bo on ma siłę — choć siłę zwierzęcia.

I jak łódź, długo więziona w przystani,
Zerwawszy łańcuch buja po otchłani,
I, skał niepomna ukrytych pod wodą,
Zgubną swawolę nazywa swobodą —

Tak lud nasz wybiegł w bezdroża manowców;
A więc Ty, Panie, coś strażą wędrowców,
Tę łódź błądzącą do brzegu nakieruj,
My jej wioślarzem — a Ty, Panie, steruj!

---

w. 4 wyd. I: Toć.
w. 5 wyd. I: a jakżeż.
w. 8: *nie stało łańcucha* — niema łączności.

2

Inni znów, ślepą trapieni bojaźnią,
Wrogu hołdują, z wrogiem się przyjaźnią;
Jadem powolnym krąży w nich zepsucie,
Pycha w nich piątrzy, a trawią ich chucie.

Jeśli się skruszą, to sercem nie całem;
Jeśli się zerwą, to krótkim zapałem;
Niezdolni wznieść się do żadnej ofiary,
Popchnięci, w przyszłość idą — lecz bez wiary.

Słabe te duchy, marne samoluby,
Syny to ciała, frymarki, rachuby,
U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,
To tylko ciężkie, co na dłoni zważą.

Kiedy ich matka z grobu wstaje wskrześnie,
Oni wołają: Zawcześnie! zawcześnie!
I każą biednej aż do j u t r a czekać,
A sami będą przed j u t r e m uciekać.

O! Panie, oni jeszcze nie zgubieni,
Ale niełaską Twoją nawiedzeni;
O Panie! otchnij ich potęgą słowa,
A jeszcze życiem tryśnie pierś jałowa.

3

Tyś wielki, Panie! za Twoim rozkazem,
Co było miękkiem — staje się żelazem,
Co było ślepem — to przewidza nagle,
Co było niskiem — puszcza skrzydeł żagle.

---

w. 28: *piątrzy* — piętrzy się.
w. 32: *Popchnięci, w przyszłość idą — lecz bez wiary* — sposób pojmowania Słowackiego.
w. 37: *wskrześnie* (przysłówkowo) — zmartwychwstając.

Tyś wielki, Panie! na ruch Twego palca
Zgubną moc swoją traci jad padalca,
Dla głów wyniosłych przepaść się otwiera,
A wiecznem życiem spłonie — co zamiera!

X

CHORAŁ

1

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniéj
Do Ciebie, Panie, bije ten głos;
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

2

Ileż to razy Tyś nas nie smagał!
A my, nie zmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: »On się przebłagał,
»Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!«
I znów powstajem w ufności szczersi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg
I śmiech nam rzuca, jak głaz na piersi:
»A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?«

3

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
Sto słońc nie spadnie wrogom na znak...
Cicho i cicho — pośród błękitu
Jak dawniej buja swobodny ptak.

---

w. 50: *jad padalca* — wyrażenie biblijne, por. *Ps.* 140 Kochanowskiego.
w. 52 wyd. I: A wiecznem życiem płonie.

Owóż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce:
Sądź nas po sercu, nie według słów!

4

O! Panie, Panie! ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas:
Syn zabił matkę, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ o Panie! oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

5

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem jak senni ptacy,
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,
Daj nam widzenie przyszłych Twych łask,
Niech kwiat męczeństwa uśpi nas wonią,
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

6

I z archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającem szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!

---

ww. 25—28 wspomnienie rabacji z r. 1846.
w. 28 wyd. I: Kaimów.
w. 32: *O, rękę karaj, nie ślepy miecz!* — prosi o karę nie dla ludu, ale dla tych, którzy go do rzezi nakłonili.
w. 38 widzenie, jak w *Dziadach* i *Przedświcie*.
w. 40 wyd. I: otoczy męczeński blask.
w. 41: *archanioł* — oznacza tu zapewne św. Michała.

Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest;
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
Naszą odpowiedź: »B ó g b y ł i j e s t!«

XI

CHWAŁA TOBIE PANIE!

Jak onemu Jobowi, gdy słudzy w żałobie
Przybiegli, krzycząc: »Starcze, wszystkie syny twoje
»Pan odebrał tobie« —
A on wciągnął na głowę zdartych szat zawoje
I jęknął: »Święta wola niech się Twoja stanie,
»Chwała Tobie, Panie!«

Podobnie, kiedy zbójcy braci nam pobili,
A my ze snu okropną ocuceni wieścią,
Chociaż w pierwszej chwili
Bluźnili Ci, bezbrzeżną targani boleścią —
Jak ów Job teraz w skrusze wznosimy wołanie:
Chwała Tobie, Panie!

Twe oko, co nad płazem opiekuńczo świeci,
I nas pokutujących trzyma na swej pieczy;
A wszak dla swych dzieci
Pelikan własnym dzióbem pierś białą kaleczy,
Toż niedarmo krwi naszej stało się wylanie...
Chwała Tobie, Panie!

Wróg, jak tygrys, co we dnie pochowa pazury,
Choć w nocy coraz nową ofiarą się krwawi,

---

w. 45: *dla błędnych braci* — dla błądzących braci, dla ludu.
XI. w. 1: *Job* (Hiob), postać symboliczna, albo wzięta z podań sąsiadów Hebrajczyków. O losach jego opowiada piękną hebrajszczyzną pisana, sławna *Księga Hioba*.
w. 16 porównanie o pelikanie wzięte z Biblji (por. *Ps.* 102 Kochan.).
ww. 19—24 malują obłudę rządu austrjackiego.

A wznosząc do góry
Krwawą łapę, udaje, że nas błogosławi;
Więc, że teraz przed światem odkrył swą tyranję,
Chwała Tobie, Panie!

I wielu wśród nas było, co na duchu mali
Przed wrogiem się kłaniali, a płużąc w dostatkach,
Hymny mu śpiewali;
Aż kiedy im wróg synów mordował przy matkach,
Ustały ich pokłony, ścichło ich śpiewanie...
Chwała Tobie, Panie!

Wyręczył się wróg w zbrodni naszą młodszą bracią,
A swą rękę, co ciosom dawała kierunek,
Skrył za jej postacią;
Lecz kiedyś, gdy ją dojmie sumienia frasunek,
W objęcia nam się rzuci na nasze zwołanie...
Chwała Tobie, Panie!

I myśli wróg, że jednym zniszczył nas zamachem,
I myśli, że nam dusze, pełne świętej wiary,
Znicestwił przestrachem;
Lecz my dotąd wierzymy, że z każdej ofiary
Kiedyś tysiąc mścicieli w przyszłości powstanie...
Chwała Tobie, Panie!

A obrazem przyszłości my się nie przestraszym,
Bo wierzymy, że niema pokuty bez końca,
Że Ty dzieciom naszym
Miecz zemsty błyskający oddasz nakształt słońca;
I stanie się w ich sercach wielkie radowanie...
Chwała Tobie, Panie!

Twe oko, co nad płazem opiekuńczo świeci,
I nas pokutujących trzyma na swej pieczy;

---

w. 26: *płużąc* — obfitując.
w. 29 wyd. I: zcichło.

A wszak dla swych dzieci
Pelikan własnym dzióbem pierś białą kaleczy,
Toż nie darmo krwi naszej stało się wylanie...
Chwała Tobie, Panie!

XII

AKT WIARY

I rzekł Jeremi: Słuchaj mnie, narodzie,
A nie patrz na mnie tak łzawo i smutnie;
Długom ja płakał w oliwnym ogrodzie,
Długo ja łzami rozdźwięczałem lutnię,
A teraz wstaję ciałem utrudzony,
Lecz duszą silny — wielki — namaszczony.

Oto się do was stało moje słowo,
Wy do mych kolan jak dzieci przybiegli,
Otom was nakrył koroną cierniową,
A wy w pokorze w proch czołami legli:
Teraz powstańcie z koroną gwiaździstą
I oblekajcie szatę białą — czystą.

Ileż wy żółci nie pili kielichów!
I przeto pełni byliście obawy:
Gorycz żre duszę, lecz nie zmywa grzechów.
Teraz, narodzie, tyś przebył chrzest krwawy.
Tą krwią dopiero grzechyście spłukali,
A więc do światła występujcie — biali!

Ja was utwierdzić chcę w tej świętej wierze,
A więc bierzmuję wasze dusze jeszcze,

---

w. 2 wyd. I: łzawo a smutnie.
w. 9 wyd. I: okrył.
w. 15 wyd. I: zrze duszę.
w. 17: *tą krwią dopiero grzechyście spłukali* — grzechy przeszłości przez niesprawiedliwość, czynioną ludowi.
w. 20: *bierzmuję,* od łac. *firmo* — wzmacniam.

Pierś w archanielskie skuję wam pancerze,
Na pogląd w przyszłość dam wam oko wieszcze,
Pieśnią pogodzę was z dzisiejszym losem...
Śpiewam ją! — a wy, idźcie za mną głosem.

PIEŚŃ

Wierzymy, Panie, o! wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabymi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem,
Żeś aniołami otoczył otchłanie,
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele i matła
Twą świętą wiarę, co niepokalana
Z tryjumfem skończy z nim swe bojowanie...
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, że synowie pychy
Silni są złością, ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze upniesz na łańcuchu,

---

w. 25 i następne zawierają myśli z Krasińskiego.
w. 39: *matła* — miesza, zamąca.
w. 46 wyd. I: przypniesz.
w. 46: *że ich tu jeszcze upniesz na łańcuchu* — znaczy: że ich ukarzesz, pogrążysz w niewoli.

Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać będą na nas jak na słońce,
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy, Panie!

r. 1846

DODATEK
DO TRZECIEJ EDYCJI

KRZYŻ A MIECZ

1

Rozwiążmy usta wszem gwiazdom w cześć,
Bo Pan nas święci ogniowym chrztem,
Bo w archanielską znurzany wieść
Każdy ból nowy staje się snem;
Bo już świat stary, jak Jerycha turmy,
Wali się w gruzy na głos Twojej surmy,
Tobie na chwałę, Ojcze nasz,
Tobie na chwałę, Ojcze nasz!

2

Pierwsza to, Panie, giniem bez skarg,
Bo nam ofiarna krew płynie w jaw,
Więc Cię tysiącem sławimy warg,
A Ty odwagą błogo nas sław:

---

ww. 5 i 6 zawierają aluzję do paryskiej rewolucji lutowej.

Aby był zbawion, gdy wytrwa do końca,
Twego imienia Twój naród-obrońca,
Twego obozu przednia straż,
Twego obozu przednia straż!

3

Z niebieskich progów Ty schodzisz już,
To my spokojnie idziem na sąd,
Niosąc krew naszą, zlaną do krуż;
Więc nas zapytasz: »Dzieci, a skąd?«
Z Polski, o Panie! z głodu i pragnienia,
A niesiem mirrę na całopalenia,
Byś nam ojczyznę, Panie, dał,
Byś nam ojczyznę, Panie, dał!

4

A Ty nam rzeczesz: »Wiernyś ty lud!
»Idź w bój ostatni wrogom na kres«.
Więc miast chorągwi poniesiem wprzód
Dzbany krwi naszej i dzbany łez.
A gdy nas przyprze poganów plemię,
Wtedy roztrącim dzbany o ziemię,
By nowy hufiec z tej krwi wstał,
By nowy hufiec z tych łez wstał!

5

I z szczytu naszych mogilnych gór
Ogłosim ludom sojusz i mir,
I zlecim z szumem orłowych piór,
Nie z brzękiem stali, lecz z brzękiem lir;
A jeśli przyjmą naszą pieśń z urazą,
Czy nam w dłoń włożysz, zamiast strun, żelazo,
To już ojcowska Twoja rzecz,
To już ojcowska Twoja rzecz!

---

w. 28: *dzbany krwi naszej* — reminiscencja dzbanów-popielnic harfiarzy z *Lilli Wenedy*.
w. 34: *mir* — pokój.

6

Wówczas hetmaństwo weźmiesz już sam,
A nam dasz, Panie, pioruny Twe,
I nam, co z krzyża zeszli bez plam,
Każesz wytępić sprośne i złe.
I świat zamarzy o strasznych aniołach,
Co na sodomskich siedzieli popiołach...
A hasłem naszem: *Krzyż a miecz!*
A hasłem naszem: *Krzyż a miecz!*

r. 1848

W nocy po bombardowaniu Lwowa.

MODLITWA

1

Grzeszni, senni, zapomniani,
Ojcze nasz!
Budzimy się już w otchłani,
Ojcze nasz!
Daj nam jutrznię jasnowłosą,
Z plam i ze snu obmyj rosą,
Niech nas w górę skrzydła niosą...
Ojcze nasz!

2

Upadaliśmy pod krzyżem,
Chrystusie!
Ale Tobie się uniżym,
Chrystusie!
Twoje Imię nam buławą,
Zmień na jasną drogę krwawą,
Daj zmartwychwstać nam ze sławą,
Chrystusie!

---

w. 44 wyd I: Sprośne i Złe.
w. 45: o *strasznych aniołach* — o aniołach kary.

3

Dawna nasza Ty Królowo,
O Marjo!
Ach, za nami przemów słowo,
O Marjo!
Ochromiałym podaj rękę,
Niewytrwałym skracaj mękę,
Twe królestwo weź w porękę,
O Marjo!

4

Ty zwycięski na katusze
Spłyń, Duchu!
Czekają Cię nasze dusze
W posłuchu!
Rozpal miłość w naszem łonie,
Mieczną palmę podaj w dłonie,
Na przygasłe nasze skronie
Spłyń, Duchu!

r. 1860

---

w. 26: *Duchu* — znaczy Duchu św.
w. 30: *mieczna palma* — miecz w kształcie palmy.

SKARGI JEREMIEGO

CZĘŚĆ DRUGA

URYWKI

W RÓŻNYCH CHWILACH I CZASACH PO ROKU 1863 PISANE

(WYBÓR)

III

Nie! nie! nie!
Śmierci być nie chcę zwiastunem.
Posłanko światła i życia,
Iskro, co z bóstwa wybiegasz okrycia,
Broń mnie!

Broń mnie przed wnętrznej rozterki piołunem,
Przy którym gorzknieje słowo:
Ty jesteś prawdą surową!
Broń mnie przed pychy ołowianą zmorą:
Tyś uskrzydloną pokorą!
Nie daj mi cierpieć w szamotaniu dzikiem:
Harmonją jesteś, nie krzykiem!

Czemu mnie wiedziesz tak niemiłosiernie,
Tam, gdzie nie róże twe kwitną, lecz ciernie;
Żądny spokoju, gnany niepokojem,
Czułem moc dziwną w rozkazaniu twojem,
Aby iść drogą odważną, niekłamną,
Choćby po wężach, co dziś syczą za mną.
Inni wybrani twoi ulubieńce
W ciszy pracują na miłość i wieńce,
W czarownym stoją dla tłumów powabie
Oni, co przędą złoto i jedwabie,
Z nikim w szermierce i z niczem we wojnie
Na wiry świata patrzają dostojnie,

A gdy im nadto uprzykrzą się żywi,
To z umarłymi obcują szczęśliwi,
Lub tworzą sobie świat inny, swój własny,
Szerszy, świetniejszy, niźli ten tu ciasny.

Mnie burza pędzi od cichego brzegu
I każe stawać w walczących szeregu;
A gdy chorągiew podniosę nad tłumy,
To pomrukują, że to czynię z dumy;
Gardzę niskimi, podłymi się brzydzę,
A faryzeje lżę i nienawidzę;
Toż moja droga nie sunie się gładko,
Źle mi, poezjo, z tobą — stara matko.

I słyszę głos, co nie mój:
»Tyś nie poeta tylko, tyś i duch,
A jego znamieniem:
Ruch!
Przeznaczeniem:
Bój!«

Na mój żal, na moją spowiedź,
O jakże chłodna ta odpowiedź,
Co z pogańskiego wybrzmiała trójnoga.
Mnie ból i męki,
Mnie noc i trwoga,
Zwątpiały w sobie,
Jak dziecko szukam ciepłej ojca ręki...
Gdzie rada? Co zrobię?...

— Idę szukać Boga!

VI

Na zgon rozstrzelanych w Irkucku[1]

»Lepsza nam kula, niźli takie życie!«
Rzekli, powstali, rozbroili zbirów;
A gdy broń mieli, to w pierwszym zachwycie
Błysnęła ku nim ziemia łez i kirów.
Potem pustynia, skąd niema wychodu,
Bój, gdzie szczęśliwsi giną, — męki głodu
I znowu dawne pęta. Sąd otwarty...
Dla katów spisy żeru... Czy słyszycie?
Padł strzał — i drugi — i trzeci — i czwarty!

Salwo męczeńska! Bądź dla tych zbudzeniem,
Których sumienia głos syren utula,
A tym, co naród chcą zbawiać spodleniem,
Powiedz: Niż takie życie — lepsza kula!

---

[1] Według pamiętników Z. O. p. t. *Powstanie polskie nad Bajkałem i sprawa kazańska* (Lwów 1878) męczarnie wygnańców syberyjskich były tak straszne, że okropne przykłady, znane z tradycji zesłańców, nieudałej ucieczki ks. Sierocińskiego, a potem Piotra Wysockiego i towarzyszy, nie odstraszyły Celińskiego i towarzyszy od nowej próby. Przedwczesny wybuch szeroko rozgałęzionego spisku rozstrzygnął o jego niepowodzeniu. Uzbrojonych powstańców było zaledwie 260. Rozdrobnieni z konieczności na małe oddziały, które różnemi drogami miały uciekać, wszyscy padli ofiarą upragnionej wolności: jedni od kul, ran i głodu, reszta na placu okrutnej egzekucji. Dnia 15. listopada r. 1866 rozstrzelano w Irkucku czterech, uznanych przez Moskali za najwinniejszych: Szaramowicza, Celińskiego, Rejnarta i Kotkowskiego. Wtedy to Szaramowicz zawołał: »Lepsza kula niż takie życie«. Major kozacki, Lisowski, wpadł nawet na bezbronnych, którzy usunęli się od współudziału, własną ręką kilku zamordował, a za przykładem herszta rzucili się kozacy szeregowi. Major za swój czyn niegodny otrzymał pochwałę, podziękowanie i awans.

Powiedz: Na sprzedaż nie wolno nikomu
Wynosić słupów ze wspólnego domu,
By w ciasnem szczęściu na chwilę utonąć.
Niźli obcego ciała stać się cieniem,
Lepiej jak gwiazda w własnym ogniu spłonąć!

VIII

Pamięci Trauguta

Na stoku cytadeli poniósł śmierć okrutną...
Nie ginie, kto za wiarę i wolność umiera;
A jednak grób zarasta, pamięć się zaciera —
To smutno!

Ledwie dla własnych potrzeb wystarcza uczucie,
Przestano cześć oddawać żałobnym pamiątkom —
I brakło chleba twoim sierocym dziewczątkom,
Traugucie!

Poskarżę się przed tobą, coś trwał do ostatka;
Upada Polska — z winy, nie dzikich Moskali,
Nie chytrych Niemców... na własne dzieci się żali
Ta matka.

Bluźnią jej, urągają — a w każdym bluźniercu
Już jest zatrute ziarno, co w zdradę kiełkuje;
Okropne idą czasy, okropne... och, czuję
Tu, w sercu!

---

[1] Romuald Traugut, ostatni dyktator Rządu narodowego w powstaniu styczniowem, zginął powieszony przez Moskali na stokach cytadeli w Warszawie dnia 5. sierpnia r. 1864. Wraz z nim powieszono innych, uważanych za członków Rządu narodowego: Jeziorańskiego, Żulińskiego, Toczyskiego i Krajewskiego.

Dokończą pieśń przedzgonną ostatnie łabędzie,
I ścichnie na wiek cały. Powiedz, ta ich Polska,
Ona ewangeliczna, ona apostolska,
Czy będzie?

On rzekł: Jeżeli z wiernych trzech tylko zostanie,
Tylko trzech napełnionych dawnym ideałem,
To Polska z tych trzech wyjdzie, oblecze się ciałem—
I będzie!

— A jeżeli nie znajdzie i trzech — co się stanie?
On rzekł: To duchy zmarłych jeszcze raz powtórzą
Przebyte już żywoty i Polskę wysłużą —
I będzie!

X

Niech wstaje pieśń!
Zdeptana i pogardzona
Niech wstaje pieśń!
Niech strząsa proch i pleśń,
Niech błyśnie w słońcu jej korona,
Kapłańską przewita wstęgą —
Tyś jest, ty trwasz — o potęgo!

Cieszą się twym pogrzebem —
Tyś jako nieśmiertelny goniec
Pomiędzy ziemią a niebem.
Dopokąd czułe biją serca,
Cierpi duch ludzki potyran,
Nie spłoszy cię szyderca,
Nie spęta żaden tyran.

---

w. 17: *ostatnie łabędzie* — ostatni poeci romantyczni.
w. 18: *I ścichnie na wiek cały* — przypomina »I wiek haraczu« z *Lilli Wenedy*.
ww. 26 i 27 zawierają ślady nauki Towiańskiego, po części są też reminiscencją jednej z przestróg Szamana w *Anhellim*.
X. w. 12: *potyran* — poterany, lekceważony.

Wszystko od ziemi rwie się w górę.
Niegdyś, gdy ścichły już płomienie,
Popotopowe tężało błoto,
Natenczas twory milczące, ponure,
Uczuwszy słońca promienie
I wiatrów łagodny wiew,
Wielką ku niebu zawrzały tęsknotą.
Tęsknota daje skrzydło —
Od skrzydeł wyszedł śpiew —
I tak, i tak
Z tęsknoty pierwotworów
Zrodził się ptak!

Czy chcemy, czy nie chcemy,
Czem kazał Bóg — będziemy!
Od doskonalszych my wyszli wzorów
Niżeli ptaki i bydło;
Wyżej tęsknota rwie nas w górę,
Ponad tej ziemi naturę.
Duch nasz, duch lotny, to nasze skrzydło —
Od skrzydeł ducha wyszła pieśń...
Niech wstaje pieśń!
Niech strząsa proch i pleśń,
Niech błyśnie w słońcu jej korona,
Kapłańską przewita wstęgą —
Tyś jest, ty trwasz — o potęgo!

XI

W dzień zaduszny

Bogataś Polsko w rady i sposoby!
Nie u żyjących wszystkie twoje siły —
Kiedy ci milczą — przemawiają groby,
Kiedy ci wątpią — wierzą twe mogiły.

---

ww. 16—26 zawierają reminiscencje prawdopodobnie z *Genezis z ducha* Słowackiego.

Bogataś Polsko! Na naszych ubraniach
Wojenne znaki zostawiły burze:
W strzępach chodzimy głodni po swych łanach...
Lecz twoi zmarli, ci leżą w purpurze!

Krwią za ojczyznę czechło farbowane
Większą ma wartość, niźli płaszcz królewski,
Trumna, co kryje wewnątrz taką ranę,
Na tron wspanialszy odda swoje deski.

Z prośbą na ustach chodźmy na mogiły,
Z otuchą w sercu, wolni od żałoby;
Nie u żyjących wszystkie nasze siły —
Bogataś Polsko w rady i sposoby!

XIII

Moje zaciszne mieszkanie
Przed gwarem świata zamknięte;
W niem na jednej ścianie
Umieściłem godło święte.
I samotny patrzę w ciebie,
Na krwawem utkwiony niebie,
Ptaku czystości i chwały:
Orle nasz biały!

Potężnych twych skrzydeł końce
Mierzyły w słońce;
Dzisiaj w cierpieniu i męce
Trzymasz je także do góry,
Lecz jak błagalne dwie ręce —
O białopióry!

w. 9: *czechło* — koszula śmiertelna.

Trzech . . . . trzy miecze
W tobie utkwiły;
A każdy inaczej piecze
I innej próbuje siły:
Jeden cię płata, świdruje,
Drugi obłudnie cię truje,
Trzeci urąga, gdy szarpie...
Ho, harpje!!...

Gdybyż te tylko! W twem łonie,
Po drugiej, serdecznej stronie
Tkwią jeszcze inne, aż cztery,
Sroższe od tamtych rapiery
Wbite po rękojeści...
O, ptaku siedmiu boleści!

Tyle krwi z ciebie wyciekło!
A do każdej jej kropelki
Jad szyderstwa domieszany;
Tyle cierpiałeś bez miary,
W drodze pokuty i kary,
Że jużby się samo piekło
Zemsty nad tobą wyrzekło...
A cóż dopiero Bóg wielki,
Miłościw, choć zagniewany!

Anielskie miałeś oręże
I pochopne do nich męże;
W takiej zbroi,
Jużby ciebie do tej chwili
Wywalczyły bohatery,
Jużby ciebie wymodlili
Święci twoi...
Gdyby nie te miecze cztery...
Ach te cztery!

---

w. 22: *harpje* — według mitologji greckiej potwory piekielne, wyrywały lub zanieczyszczały zmarłym jadło.

Napróżno wołasz do Boga: o Ojcze!
Nie znaleźć tobie pociechy...
Bo cztery miecze, te miecze zabójcze,
To twych dzieci własne grzechy:
Nasza »Pycha« i »Prywata«
I »Lenistwo« i »Obczyzna«.

Wśród obojętnego świata
Nie prędzej wskrześnie Ojczyzna,
Aż ból szczery i żal szczery
Tak nam ducha nie owładną,
Że wyrwiemy miecze cztery!...
Tamte trzy wtedy wypadną.

XIV

Wobec wroga stać spokojnie,
Spokojnie a hardo;
Nasz złamany miecz po wojnie
Trzymać w dłoni twardo;
Jeśli trzeba płacić głową,
Czynić to z pogardą,
A przed wrogiem z narodową
Nie kryć się kokardą.

Dla swych braci, co zaskrzepli,
Być jak promień słońca:
Sercem tylko się rozciepli
Dla Polski obrońca.
Nie każdemu w locie błyskać
Wytrwale do końca,
A więc uczcić i uściskać
Spóźnionego gońca.

Oko boże, skryte chmurą,
Czyż już mniej łaskawsze?
Rośnie w siłę, idzie górą,
Co złe i plugawsze.

Trwogą blady, zgrozą niemy,
Świat ma rany krwawsze —
Rzadko wiemy, gdzie idziemy,
Lecz Bóg — ten wie zawsze!

XVI

Weteranom z r. 1831

Pieśń polska, niepodległa, ta, co jeno wierzy
W Boga, w ducha narodu i w jego rycerzy,
Więc przy Ojczyźnie stoi i hasła nie zmienia —
Ta pieśń, co z naszych ojców wyrosła cierpienia
I dotąd wierne syny z całej Polski garnie,
Bo w jej trzech ranach jedną odczuwa męczarnię;
Ta pieśń, której ze sobą nie zabrali wieszcze,
Nie zabrali jej w grób — nie! ona żyje jeszcze!
Ona, kiedy bluźnierców wzmaga się rozpusta,
Zawsze komuś w narodzie rozpłomieni usta,
Rozkazując: Idź, mów, głoś! chleb anielski zamień
Na ich gniew, urąganie — a choćby na kamień!
Więc ta pieśń, co pogańskie omija ołtarze,
Żadnych nie szuka zysków, głosi, co Bóg każe,
Przed mocarzami świata nie wyprawia harców,
Ta pieśń pada do kolan tych żałobnych starców,
Niesie im cześć i miłość synowską, pokorną,
Choć w łatach ich mundury i przy nich nie dworno.
Dlaczego?... bo ci jedni w dzisiejszej rozterce
Zachowali myśl polską wzniosłą, czystą, zdrową.
W łonie wielkie, smętne serce,
Na ustach żelazne słowo:
Usque ad finem!

Wstańcie! mówcie! podajcie złotą nić nauki,
Którą wnuki zerwali — nawiążą prawnuki;

---

w. 23: *Usque ad finem* (wyr. łacińskie) — aż do końca.

Powiedzcie, że najsroższa padła na nas kara:
W złudnej masce otuchy głęboka niewiara;
Dłoń rodacza, co strzępem narodowym błyska,
Gdy druga ręka wiernych wyznawców uciska;
Powiedzcie im, że temu biada, trzykroć biada,
Kto przyszłe swoje losy w obce ręce składa,
I tem samem największej pozbywa się mocy,
Tej, która z pracy idzie o własnej pomocy;
Powiedzcie, że krew nasza do Polski należy,
Dopokąd nas przygniata hańba trzech grabieży,
Że dla cudzych korzyści tę ofiarną rosę
Tylko nędzny niewolnik bezmyślnie przelewa...
Kto miał w dziejach Saragosę,
Niech się lęka Serajewa!

O Ojczyzno! Choćbym został z wierzących sam jedny,
Głosić ciebie nie przestanę samotny i biedny;
A jeżeli nas zostanie »Ostatnich dziesięciu«,
My »Czwartaki«, my wytrwamy i w tem piekłowzięciu,
Bo my wierzym, że te chwile, to jak brudne dymy:
Przejdą, znikną — a i z grobów jeszcze wykrzykniemy:
Przy Tobie Polsko stoimy,
I przy Tobie stać będziemy
Ad mundi finem!

---

w. 31 występuje przeciw polityce ugodowej z zaborcami.
w. 38 Saragossa w Hiszpanji, sławna szarżą ułanów polskich w czasie wojen Napoleońskich.
w. 39. Pod Serajewem walczyli ułani polscy za Austrją przy okupacji Bośni i Hercegowiny w r. 1878.
w. 48: *Ad mundi finem* (wyr. łac.) — do końca świata.

MELODJE BIBLIJNE

(WYBÓR)

JUBAL

21. Imię zaś brata jego, Jubal, ten był ojcem grających na harfach i muzyckiem narzędziu.

Genesis roz. IV

Potomek Kaina, zrodzony na nędzę,
Choć harfa pociechą, ciężki żywot pędzę,
I dziecko tułacze och! nieraz zapłaczę,
Gdy wspomnę na raj nasz — na Eden.

Choć jedzą chleb w znoju synowie Lamecha,
Im w myśli swoboda i w sercu uciecha,
Choć jedzą chleb w znoju! — a ja w niepokoju,
Za wszystkich sam cierpię — ja jeden!

Synowie Lamecha zbytkują nademną;
Gdy ujrzą twarz moją w noc cichą a ciemną
Na harfie opartą, jak niebo otwartą,
Jak księżyc promienną i bladą:

---

ww. 1 i 2 brzmiały w wyd. I:
Potomek Kaina, zrodzony na biédę.
Po ziemi wygnania z moją harfą idę.

w. 5: *synowie Lamecha* — według Biblji: Jubal, ojciec muzyków, Jabel pasterzy i Tubalkain, wynalazca kowalstwa. Lamech był jednym z praojców ludzkości przedpotopowej.

To wtedy pełzając mój namiot podchodzą,
Mój namiot z gałęzi, gdzie pieśni się rodzą,
I ciężkie swe dłonie jedni mi na skronie
A inni na struny pokładą.

Choć jednej nawiązać struny nie umieją,
Synowie Lamecha z mej harfy się śmieją,
Do jarzma wdrożeni, od Boga wzgardzeni,
O raju straconym i nie śnią.

A jabym w ich piersiach zaszczepić chciał bole,
By żywo uczuli swą własną niedolę,
A potem znużone te serca skrwawione
Cieszyłbym nadzieją i pieśnią.

O! ojciec ja pieśni, gdy siądę na górze,
To orzeł przelotny usiada na chmurze
I długo mnie słucha, nim skrzydła rozrucha
I dalej z wiatrami poleci.

I nieraz, gdy śpiewam, to leśni ptakowie
Bez trwogi siadają na młodej mej głowie,
A zejdzie-li gwiazda, to lecą na gniazda
Wyuczać mej pieśni swe dzieci.

Synowie Lamecha wzgardzają pieśniami —
Lecz kiedyś, o! kiedyś nadejdą ze łzami,
Jubala obsiędą i prosić go będą
O jedną piosenkę — jałmużnę.

A kiedy z tą pieśnią przed Panem upadną,
To raju stróżowi miecz z ognia wykradną;
Na ziemi wygnania usłyszą wołania:
»Zwijajcie namioty podróżne!«

---

w. 27: *rozrucha* — dla rymu, zwykle mówimy: rozrusza.
w. 38 wyd. I: miecz ognia.
w. 40. Zwijajcie namioty podróżne, bo wrócicie do raju. Utwór ten maluje potęgę pieśni i alegorycznie oznacza poetów polskich, których pieśni, zrozumiane przez naród, wrócą ojczyźnie wolność.

OSTATNIE GŁOSY SODOMY

> 24. Tedy Pan dżdżył na Sodomę i Gomorę siarką i ogniem od Pana z nieba.
>
> *Genesis roz. XIX*

GŁOS PIERWSZY

Na Boga! gdzie droga do miejskich, do bram,
Przedemną, nademną tu ognie i tam,
Z iskrami we włosach,
Po trupach, po stosach,
Ja lecę szalony w grób!

Wiatr szumi, a tłumi mój oddech ten szum,
Żar pryska, a ściska, nie puszcza mnie tłum,
Hej, z drogi! kto żyje,
Bo nożem przebiję,
Daremnie... oh! padam... trup!

GŁOS DRUGI

To do dnia pochodnia roznieca się już,
Na głowy ogniowy spadł wieniec nam z róż,
Ty drżysz mi na ręku?
O luba! bez lęku
Czekajmy w pieszczocie snu.

W połysku, w uścisku opada mi skroń,
Dym mroczy! — gdzie oczy, twe usta, twa dłoń!
Tam lawy wrą deszcze —
O luba! raz jeszcze
Pocałuj — bo konam — tchu!!

GŁOS TRZECI

Ja młoda! o! szkoda urody i lat,
Bez życia, użycia odlatam mój świat,
O Boże mój, Boże!
Przed Tobą w pokorze
Zanurzam twarz moją w proch.

Gniew boży się sroży za brzydki ich błąd,
Hej ludzie! kto w cudzie wyniesie mnie stąd,
Kto weźmie na ręce,
Ja temu poświęcę
Mą młodość... ha! pali... och!

GŁOS CZWARTY

Morderca bez serca wytępia swój ród,
I z nieba miast chleba śle ogień i głód,
Chce zniszczyć potopem,
To siarki ukropem,
Przez siebie wszczepiony grzech.

Choć skryła mogiła mnie węgli i siark,
Nie ścielę w popiele przed tobą mój kark,
Lecz w twoje otchłanie,
Jehowo-szatanie,
Wyrzucam przedśmiertny — śmiech!

GŁOS PIĄTY

Ogrody! gdzie młody bujałem śród drzew,
Gdzie głośno, miłośno brzmiał dziewic mych śpiew,
Nie ujrzę was więcej!
I śpiewy dziewczęce
Ogłuchły przy ryku burz.

Nim zginę, owinę się płaszczem — ja król!
Dziewczęta, chłopięta, przytłumcie wasz ból,
Tu do mnie, tu do mnie,
Rozkosznie, przytomnie,
Obsypcie mnie liściem róż.

Na łona ramiona zarzucam jak wąż —
Hej czary, puhary! hej harfy nawiąż!
Skry lecą — dym krztusi,
Kto ogień przydusi
Dostanie mej ziemi... ćwierć!

Popiołem padł kołem tłum wierny mych sług,
I wyżej i chyżej żar czepia się nóg,
Na pomoc! ha, płonę!
Zerwijcie koronę,
Co pali skroń moją... Śmierć!!

GŁOS LOTA

Spokojny śród wojny wprzód kroczę jak w śnie,
Choć płomień swój promień ku drodze mej gnie,
To żądło płomienia
Od mego odzienia
Sykając ucieka wstecz.

Gdzie zwrócę a rzucę zaklęcie mych słów,
Blask zmierzcha — i pierzcha tam bladych sto głów,
Gdzie spojrzy me oko,
To dymy się wloką
Daleko odemnie precz.

Przewodnią pochodnią jest dla mnie ten gród,
Dla wiary bez miary wypełnia się cud,
Kto bożym wybrańcem,
Za cnoty swej szańcem
Bezpiecznie ma w ogniu iść.

Straszliwy a mściwy Jehowy jest sąd,
Dla złego gniew jego, oh! sroższy niż trąd.
Choć złość się rozwinie,
To marnie zaginie,
Jak zwiędły w jesieni liść.

SŁUP SOLI

26. A obejrzawszy się żona jego nazad, obróconą jest w słup soli.
27. Abraham zaś wstawszy rano, gdzie pierwej stał z Panem,
28. Pojrzał na Sodomę i Gomorę i na wszystką ziemię onej krainy i ujrzał w górę lecący perz z ziemi jako dym z pieca.

Genesis roz. XIX

Wstał rano Abraham i wstąpił na wzgórze,
A poschły tam cedry, powiędły tam róże,
A z dolin siarczane wznosiły się kurze.

I z ręką na sercu i z ręką na czole
Napróżno coś szukał — wciąż pole i pole,
Ni drzewa, ni kwiatu nie było tam w dole.

I tylko obaczył tło czarne jeziora;
Więc smutno zadumał: Sodoma! Gomora!
Ach, jakaż to straszna w twej śmierci pokora!

Gdzie twoje okrzyki, gdzie twoje biesiady,
Gdzie gmachy złocone, kwieciste twe sady,
Gdzie piękność twej ziemi, a ludzi szkarady?

Rozkoszą zmęczona gdyś wczoraj się kładła,
Czy tobie mówiły to senne widziadła,
Że dziś cię zakryją jeziora zwierciadła.

I kędy popatrzę, i pusto i głucho,
Nie widzi nic oko, nie słyszy nic ucho,
A w piersiach nielekko, a w oczach niesucho.

Mówiłem do Pana: jeśli pięćdziesięciu
Jest prawych, to nie trwaj w swojem przedsięwzięciu;
A Pan rzekł: Mój sługo, tam niema i pięciu!

Sodomo! Gomoro! chodziłaś w swawoli,
To Pan cię nawiedził — i zamiast niewoli,
Śmierć zesłał na ciebie: — błogosław swej doli!

Motto w. 27 brzmi w wyd. I: Abraham lepak i t. d.

I umilkł Abraham, bo gałąź zwieszona
Odkryła mu nagle słup, co miał ramiona
I głowę — ta była ku miastu zwrócona.

Więc lepiej odchylił spalone cyprysy
I długo poglądał na słupa zarysy,
Na głowę, co miała znajome mu rysy.

Ze strachem się podniósł i podszedł ku drodze,
I poznał twarz oną, skamieniałą w trwodze,
I głośno zapłakał — bo zmartwił się srodze.

I usiadł pod słupem zemdlony mozołą,
I w dłonie drgające zaciągnął swe czoło,
A płacz swój serdeczny i oczy skrył połą.

HAGAR NA PUSZCZY

11. Wstał tedy Abraham rano i wziąwszy chleb i bukłak wody, włożył na plecy jej i oddał jej dziecię i odprawił ją, która poszedłszy błądziła w puszczy Bersabee.
15. A gdy nie stało wody w bukłaku...

Genesis roz. XXI

Od słońca pożaru sczerniała mi głowa,
A wkoło pustynia; do Ciebie, Jehowa,
Podnoszę płaczący mój głos.

---

w. 27 wyd. I: co była.
w. 36: *A płacz swój serdeczny i oczy skrył połą* nad zniszczoną Sodomą i nad żoną Lota, zamienioną w słup soli. Sodoma może oznaczać Polskę, ukaraną również za grzechy. Skamieniała żona Lota za to, że chroniąc się przed zgubą oglądnęła się na ojczyste miasto, może oznaczać dobrych Polaków, skamieniałych niejako z bolu z powodu nieszczęścia ojczyzny. Jest to oczywiście tylko przypuszczenie.

Hagar na puszczy. Hagar, kochanka Abrahama, wypędzona przezeń wraz z dziecięciem na żądanie Sary, żony Abrahama — może oznaczać grzechy Polski i karę za nie. Hagar prosi jednak o litość dla syna, Ismaela, co może oznaczać alegorycznie prośbę o litość nad dziatwą polską, która jest przecież bez winy, a cierpi także niewolę.

Motto w. 15: *bukłak* — worek skórzany.

Spraw, Panie! by niebo nademną wychłódło,
I skały granitu zmień Panie na źródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn.
Jam, Panie, kochała i była kochaną,
Szczęśliwą — to słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój Ismael — bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Ismael opada jak kwiat;
Ja tobie, o Panie! natenczas się kłaniam
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając, gdy zdrzemię na piasku,
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku:
Dławionej gazeli to wrzask;
A wkoło szakale oczyma mi świécą,
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą;
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Sczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.

---

w. 9 wyd. I: Ni pana mojego, ni ród?
w. 25 wyd. I: zdrzymię.
ww. 31—36 przypominają obrazowanie z *Farysa* Mickiewicza.
w. 31 wyd. I: skielecie.

I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami,
A innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
Ismael się zachwiał, iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg,
I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody, och rosy,
Kropelki, kropelki choć dżdżu!

REBEKA

16. Dzieweczka zbytnie śliczna i panna bardzo piękna...
Genesis roz. XXIV

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty,
Mury Aramu bielały,
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Aramem na staj niewiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami, skubając ziele,
Wielbłądy w rząd się pokładły.

---

w. 48 wyd. I: Kropelkę, kropelkę choć dżdżu.
w. 2 wyd. I: Nachoru; *mury Aramu* — mury któregoś z miast Syrji lub Mezopotamji. Wyraz hebr. Aram znaczy: kraj górski.
w. 5 wyd. I: Nachorem.
w. 6: *cysterna* (wyr. łac.) — studnia, krynica.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące;
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach;
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślał w swych modłach:

»Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno;
I z powitaniem nikt nie pospiesza,
Choć niby ludno — odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysiągłem przywieść synowę —
Wtedy podołam, gdy łaską szczodrą
Pan Bóg uświęci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech Jego w niej będą rządy:
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy«. —

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnej szacie, z dzbankiem na głowie
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna jak gałąź wina,
Jak mgły, nad łąką co wiszą;
Nie tak się palma zgrabnie przegina,
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak srebrzała na tle murawy,
Jak biała lilja w dolinie;

---

w. 21: na znak zaklęcia i ślubowania.
w. 23 i 24 wyd. I: Lecz nie poradzę, gdy łaską szczodrą
Bóg nie uświęci mą głowę.

A taką lekkość miała z postawy,
Iż się zdawało — że płynie.

Czarne jej włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnem cyprysu liściem
Ognieżdża się gołębica.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modrej wodzie schyliła,
To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z koneweczką,
Podróżny, co stał przy zdroju,
Rzekł jej łagodnie: Piękna dzieweczko,
Udziel mi trochę napoju.

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkiej złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podróżny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jej urodę.

A ona rzekła: Wyście zdaleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbłąd smutny na wodę czeka,
Patrzając w próżne koryta.

A sludzy cisną głowy w zawoje,
Znużeni męką podróżną —
To ja wielbłądy wasze napoję,
Pozwólcie być wam usłużną.

w. 40 wyd. I: że się zdawało, że płynie.
w. 41: *iściem* — chodem, drogą.

I poszła wodę czerpać dla stada.
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzał w niebo długo i długo
I wyrzekł słowy cichemi:
»Wielki Bóg litość miał z swoim sługą« —
I skłonił czoło ku ziemi.

ŻONA PUTYFARA

10. Takiemić słowy na każdy dzień niewiasta przykrzyła się młodzieńcowi.
Genesis roz. XXXIX

»Hebrajczyku! dziecię lube,
Zbliż się do mnie, zbliż —
Nie na hańbę, nie na zgubę,
Na miłości pójdziesz próbę,
O jakiej nie śnisz.

Cisza wkoło! — na me łono
Białe czoło złóż;
Róże wonią, lampy płoną —
Nie lękaj się pod zasłoną
Ni blasku, ni róż.

Wygładź, wygładź gniewne lice,
Schyl się chłopcze, schyl,

---

ww. 1—5 wyd. I:
Hebrajczyku! harde dziécie,
Zbliż się do mnie, zbliż —
Patrz! na twoje ja przybycie
Okwieciłam łoże skrycie,
Rozścieliłam wszerz.

Ja rozkoszniej cię pochwycę,
Niźli ślubną swą dziewicę
Raz w rok chwyta Nil.

Śród wiosennej nocy chłodu
Jak tam pachnie błoń —
I tyś jako kwiat ogrodu,
A więc kochaj, kochaj z młodu,
Bo miłość — to woń!

Głazem stoisz, niewdzięczniku,
Jak w grobowym śnie?
Przystąp bliżej, Hebrajczyku,
Zgryź mi nitkę w naszyjniku —
Perły gniotą mnie.

Zerwij perły! — nie szczędź ząbka
I przepaskę zwiąż,
Bo pierś moja jak gołąbka
Drży od chłodu i z pod rąbka
Wychyla się wciąż.

Nie patrz na mnie tak ukośnie,
Ni mnie okiem mierz,
Bo mi serce bije głośniej,
Z twą pogardą gniew mój rośnie,
Strzeż się chłopcze, strzeż!

Patrz, jak cicho Nil się kładnie,
Gdy go głaszcze łódź,
Lecz zuchwale kto weń wpadnie,
Krokodyla znajdzie na dnie!...
We mnie go nie budź!

---

w. 13 i 14 Nilowi składano corocznie dziewicę w ofierze dla uproszenia dobroczynnych dla Egiptu wylewów.
w. 39 wyd. I: Co go będzie pruć.

Strzeż się, zanim żądłem błysnę,
Nim wyrzucę jad —
Gdy cię moją zemstą ścisnę,
Tak w pamięci twej zawisnę,
Jak na kwiecie gad.

Z tem wzniesionem czołem dumnie
Jakżeś piękny ty! —
Cóż naplotłam bezrozumnie!
Nie wierz słowom! bo to u mnie
Razem gniew i łzy!« —

— Precz kobieto! precz gadzino!
Nie czepiaj się nóg;
Gniew twój przejdzie, łzy przeminą,
Moje czyny w wieczność płyną,
Na mnie patrzy Bóg! —

PAN W GNIEWIE

14. A jeśli mię nie usłuchacie i nie zachowacie wszystkich przykazań moich,
15. Ja też wam to uczynię.

Leviticus roz. XXVI

Przyjdzie wróg wasz z licznemi jak gwiazdy zastępy,
A sprawię, że wam ręka kamieniem ocięży,
Waszą strzałę wiatr zniesie, wasz miecz będzie tępy,
Zawiść wam rzucę w serca, i wróg was zwycięży
Waszą bronią — padniecie krwią zlani, a sępy
Po polach włóczyć będą ciała waszych męży —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Wróg, jak szakal o ścierwo, targować się będzie
O wasze dusze — kraj wasz rozerwie na ćwierci
I na moim ołtarzu w koronie usiędzie,

w. 9: *kraj wasz rozerwie na ćwierci* — jak cały utwór, tak i te słowa odnoszą się także do Polski.

A klin wbity do ziemi tak wam kark przewierci,
Że nie ujrzycie gwiazd mych, ni mnie, com jest wszędzie,
Że zbawieniem wam będzie ciężka chwila śmierci —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

A jedni w obce kraje pójdą na tułactwo,
Konać będą z zwróconą ku swej ziemi twarzą;
A drudzy wór obloką i — liche żebractwo —
U progu pełnych stodół na głód się poskarżą;
A inni — zaślinione, plugawe robactwo —
Własny naród obrzucą zdradą i potwarzą —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Piorunem na was spadnie mojej klątwy słowo,
Od ust wam chleb ucieczе, a woda od dzbana,
I zawieszę wam niebo żelazne nad głową,
A ziemia wasza będzie martwa i miedziana,
I stanie się przedemną łzawicą kruszcową,
Dopóki jej nie spali łza w środku rozlana —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Chmury na was miast deszczem posypią popiołem,
Skwar słońca wasze ciała pokurczy, pokarli,
I czołgać się będziecie z zasłoniętem czołem,
Żałobnicy, co w bolu swe szaty rozdarli,
A nikt was nie pocieszy wieszczeniem wesołem,
Z swych grobów kląć wam będą ojcowie umarli —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

---

w. 11: *klin wbity do ziemi* — szubienica, niewola.
w. 15 aluzja do emigracji.
w. 24: *żelazne* — twarde, nielitościwe.
w. 29: *miast* — zamiast.
w. 31 wyd. I: z osłoniętem czołem.

PRZEKLĘCI

14. I będą mówić Lewitowie i rzeką do wszech mężów izraelskich głosem wyniosłym:

Deuteronomium roz. XXVII

Przeklęty! kto widział wielkie dzieła boże,
A pokłon oddaje w służebnej pokorze,
Nie Bogu na niebie, lecz cielcu złotemu.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto mężem, a swemu bliźniemu
Za urząd, za strawę, za lepsze odzienie
Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto naród spokojny najeżdża
I w nim się jak brzydka jaszczurka zagnieżdża,
I czystą myśl jego zaraża oddechem.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto z głupim pogląda uśmiechem
I gnuśny rozkoszą w bezczynności leży,
Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto zdradnie swych braci odstąpi
I smutnym w niedoli łez i pieśni skąpi,
A wrogom najemną cześć i chwałę śpiewa.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! ktokolwiek z ojczystego drzewa
Rwał słodkie owoce, a cierpkie odrzuci,
Kto duszę od wspólnych utrapień odwróci.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłami zacienia,

Przeklęci. Cały ten utwór zawiera zupełnie przejrzyste aluzje do Polski.

I wodzi swój naród w manowców zakręty.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, przeklęty, po trzykroć przeklęty!
Kto wroga oszczędzi, kto wroga ochroni,
Gdy nad nim miecz zemsty w miecz sądu zadzwoni.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

MOJŻESZ PRZED ŚMIERCIĄ

49. ...a oglądaj ziemię Chananejską, którą ja dam synom Izraelowym odzierżyć ją, a umrzyj na górze.
Deuteronomium roz. XXXII

1

GWAR MIĘDZY LUDEM

— Gdzie nasz wódz?
— Stary lew!
— A któż nas powiedzie?
— Mojżesz znikł!
— On, co zwykł stawać nam na przedzie.
— Czy się skrył?
— Wszak tu był!
— Snać rozmawia z Panem.
— Bóg wysoko, kraj nieznany, a wróg nad Jordanem.
— A cóż poczniem my nieszczęsne z małemi dziat-
— Uciekajmy!! [kami?
— Panie, Panie, zmiłuj się nad nami!

— Gdzie nasz Bóg?
— Bogi są.
— Kto o Bogi pyta?
— Pójdźże precz!
— Ja mam miecz!
— Jam pański lewita!

— I cóż stąd?
— Hej na sąd! zatłuc go kamieniem!
— Swar na uście, strach na sercu — klątwa nad ple-
[mieniem!
— A cóż poczniem my nieszczęsne...
— Płacz niewiast zaporą!
— W Egipt, w Egipt!
— Zwiń namioty, ruszajmy a skoro!

— W Egipt nam?
— Milsza śmierć, niż wtóra niewola!
— Co za wieść?
— Cześć mu, cześć!
— Za mną, czyja wola!
Silna dłoń, ostra broń, ja was tam zawiodę.
— Silną dłonią z twardej skały czy wyciśniesz wodę?
— Hej Mojżeszu! nie zostawiaj nas w takiej ohydzie.
— Jam Mojżeszem, siła Bogiem!
— Cicho, Mojżesz idzie!

Mojżesz wychodzi z przybytku prowadząc Jozuego

MOJŻESZ

I znowu swar? I znowu krzyk?
zmilknij bluźniercza głowo,
Bo zdeptam cię, jak miły Bóg!
bo zdeptam jak wężową.
Skinę! — a przepaść pod wami otworzę,
Skinę! — a zagrzmi tu Czerwone morze —
Zagrzebię, zatopię was!

Ojcowie raz uporem swym
z Jehową gdy się starli,
To błądząc szli przez cały świat,
dopokąd nie wymarli!

---

w. 9 wyd. I: utłuc go kamieniem.
w. 10: *na uście* — forma niezwykła w liczbie pojedynczej, zwykle w języku poetyckim: na uściech.

I rzekł Pan srogi, co swe słowa iści:
»Do mojej ziemi wejdą tylko czyści,
Wam zatracenie i śmierć!«

Patrzałem dziś na piękny kraj,
płynący mlekiem, miodem —
A Pan mi rzekł: »Toż dzieci ich
motłochem, nie narodem!
Przecz ja mam wpuszczać te niesforne trzody
W moje winnice i w moje ogrody?
Mojżeszu, nie żałuj ich«.

Więc ludu ty, sporny a zły,
pokorę przyjm do łona,
Bo dotkniesz się zdroju i gór
i wonnych winnic grona,
Do Chananejskich przystąpisz krawędzi,
Ale Bóg nazad od wrót cię odpędzi
W puszczę na hańbę i głód.

A kiedy tam zmorzony snem
na martwych legniesz piaskach,
To będziesz śnić o ziemi tej,
o jej czarownych blaskach,
I wyschniesz duszą od długiej tęsknoty,
I zwisłe głowy w grobu piasek złoty
Z radością sam będziesz kładł.

A mówię ci, że jeszcze czas, —
ta ziemia obiecana
Przed tobą lśni — ją tylko sam!
ja wrócę sam do Pana;
Na mojem miejscu Jozue, syn Nunów,
On, co ma władzę cudowną piorunów,
On będzie przed wami stać.

ww. 31 i 32 odnoszą się także do Polski i oznaczają, że tylko odrodzone duchowo pokolenie odzyska wolność ojczyzny.

Lękajcież go, bo straszny on,
Jehowa go postawił
Jak z ognia słup; — włożeniem rąk
jam go pobłogosławił —
Błogosławieństwo i wam rzucam z dłoni,
Błogosławieństwo wodom, ziemi, broni,
I błogosławieństwo wszem!

Mojżesz zakryty obłokiem wstępuje na górę

GŁOS LUDU

Odszedł nas smutny, płaszczem kryjąc twarz,
Poruszył go żal głęboki;
Milszym tyś dla nas, o! Mojżeszu nasz,
Niż Jozue chmurnooki.
Zawyjmyż płaczem, by ziemia brzmiała:
Chwała mu, chwała i chwała!

2

MOJŻESZ

Na górze — sam

Owoż ostatnia gospoda już bliska!
Na górze Nebo, tu na Fasga szczycie,
Jak pielgrzym składa kij swój u ogniska,
U nóg Twych, Panie, złożę moje życie.
Jestem zmęczony, smutek mnie uciska,
Słaniam krokami trwożliwy jak dziécię,
Albowiem jestem wracającym sługą,
Co z twoim skarbem błądził w świecie długo.

I nie wiem, jakiem sercem mnie powitasz,
Twojemu słudze czy dasz dobre słowo,
Czy go odepchniesz i z gniewem zapytasz:
»Cóżeś uczynił? przecz to, a nie owo?«

---

w. 75: *Nebo* — góra, na którą wyszedł Mojżesz w przeczuciu skonu.

A wszak Ty, Panie, w mojej duszy czytasz,
Wiesz, jak Izrael miotał się przodkowo
I stąd nabawiał mnie boleścią wielką,
Jakobym jego miał być rodzicielką.

Twardego karku był Twój lud, o Panie!
Przed Twojem okiem hardo się prostował,
A ku mnie zwracał swą złość i szemranie;
Małuczko raż mnie nie ukamienował.
Jako cień ze mną chodziło stroskanie,
I długom, długo z tym ludem biedował,
Nie miałem ulgi, widząc jego zakał,
Jeno gdym sobie w zakątku popłakał.

Miałem ja serce pokorne i ciche,
Kiedyś rozkazał, bym przed Tobą stawał;
I mnie wybrałeś sobie, koźlę liche,
Bym lwa srogiego przed ludem udawał;
Więc w smętne oko kładłem blask i pychę
I z tem udaniem zbiegłem świata kawał,
Spokojny, głowy nie nakryłem dachem,
A miłujący, wiodłem braci — strachem.

Bo też buntowny on lud wciąż się srożył,
Wiecznie pragnący, pełen win i brudów,
I ledwie syty do snu się położył,
Otwierał oczy i znów wołał: Cudów!
Jakiegoż króla onby nie zubożył!
Ale nie Ciebie, Panie, króla ludów!
Boś Ty mu wszystko dawał, co potrzeba,
W rodzajną niwę zamieniwszy nieba.

Wiem, pocoś wodził nas morzem i lądem,
Jam myśl Twą odgadł w błyskawicy gromu:

w. 87: *przodkowo* — z początku.
w. 96: *zakał* — złość, grzech, coś kalającego.
w. 106 wyd. I: Bo też buntownik on lud i t. d.
w. 113 wyd. I: Ognia z piorunów, pogody i chleba.

»Pamięć doznanej niewoli jest trądem!
W kraj obiecany, do mojego domu
Nikt z nią nie wejdzie!« — Pod strasznym tym sądem,
Nie przepuściłeś Ty, Panie, nikomu,
Bo zmarli moi rówieśni i bratni —
Wszyscy — a ja tu umieram ostatni!

Ale te dzieci to już się zrodziły
W puszczy, niepomne egipskiego jęku,
I nie łzy hańby, lecz Twą rosę piły,
A jam je wszystkie wynosił na ręku.
Niechże się staną ramieniem Twej siły
I głoszą imię Twe w orężnym szczęku,
A groby ojców mając za podstawę,
Niech patrzą w niebo i niech rosną w sławę.

Twojej ten naród poruczam opiece,
Sam już niezdatny na ziemię się kładę;
Wzdy łzę ostatnią czuję na powiece,
A w sercu czuję niepokój i zwadę;
Wyciągam ręce, poglądam ku rzece,
Piękna ta ziemia nasza! — przez mgły blade
Widzę świecącą Jozuego dzidę...
Lecz Ty mnie wołasz, Panie — to już idę.

Nakryłem głowę starą — jak mi smutno!
Raz jeden jeszcze zrobię sobie szparę
Dla słońca — próżno odchyliłem płótno...
Szumy, a wiatry, a obłoki szare...
Chanaan! Chanaan!......

---

w. 132: *wzdy* — tutaj znaczy: przecież.
w. 134: *ku rzece* — ku Jordanowi.
w. 142: *Chanaan* — kraj obiecany.

JEREMJASZ

27. Bo to mówi Pan: Spustoszona będzie wszystka ziemia, wszakże przecie kończenia nie uczynię.
Proroctwo Jeremjasza, roz. VI

Przyszedł Chaldejczyk, jak tygrys krwi chciwy,
I powlókł judzki lud do Babilonu,
A Jeruzalem rozburzył i spalił.
Zamilknął prorok jak łuk bez cięciwy,
Usiadł, dumając na gruzach Syjonu
I jęknął czasem, gdy go ból rozżalił.

I zdjął dłoń z oka i w niebo zapłakał:
»Ludu, mój ludu! gdzieżeś ty się podział,
Jakaż cię przepaść przedemną schowała?«
A nad nim orzeł libański zakrakał,
Co krwią ociekłem piórem się przyodział,
A w dzióbie kawał niósł ludzkiego ciała.

I rzekł Jeremjasz: »Gdzie źródła Hesbonu,
Wieczorna schadzka Izraela córek,
Kędy pląsały one jak gazele?«
I u stóp jego żałobnego tronu
Wybiegło w słońca blask dwoje jaszczurek
I wszczęło taniec w rozgrzanym popiele.

I zmartwiał prorok i dalej narzekał:
»O, Panie! w czynach swych bądź pochwalonym,
Lecz gdzież twój kościół, gdzie kapłanów hymny?«
A szakal w gruzach świątyni zaszczekał
I na ołtarzu usiadłszy spalonym
Zawył. — Z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

Jeremjasz. w. 1: *Chaldejczyk* — Babilończyk, tu pewnie Nebukadnezar, który wziął Hebrajczyków do niewoli. w. 13: *Hesbon* — miasto nad Jordanem.

I rzekł Jeremjasz: »Gdzież są wojownicy,
Gdzieżeś ty, królu, gdzie twoje hetmany,
Czy i w twej piersi tkwią wrogów oszczepy?«
A wtem niedoperz z przełomu ciemnicy
Wyleciał piszcząc i tłukł się o ściany
I rwał się w pętach, jak judzki król — ślepy!

A prorok, twarzą upadłszy na ziemię,
Ciałem złamany i duszą złamany,
Nie chciał już Boga o nic więcej pytać.
I w swojem sercu uczuł straszne brzemię —
I zdało mu się, że wszystkie szatany
Zaczęły nad nim i śmiać się i zgrzytać.

I odstąpiła go wszelka pokora,
I krzyknął w grozie: »Tyś ojcem, Jehowo!
A własne syny wytępiłeś z szczętem!«
I spojrzał w górę. — Zeschła sykomora
Z podartą korą, z potarganą głową,
Nad nim węglanym wahała się prętem.

A latorośli mnóstwo z jej korzenia
Pieło się w słońce zielono i zdrowo,
I ziemię, którą zniszczyła pożoga,
Znów świeżych liści wieńcami ocienia,
I przyozdabia ją nadzieją nową —
Ujrzał to prorok i pojął myśl Boga.

---

w. 40: *sykomora* — drzewo figowe.
ww. 40—48 odnoszą się także do Polski i oznaczają, że życie narodu polskiego odrodzi się w nowych pokoleniach.

SUPER FLUMINA BABYLONIS

1. Nad brzegami babylońskiej ziemi tameśmy siedzieli i płakali, gdyśmy wspominali na Sion.
Psalm CXXXVI

Płyną rzeki babilońskie, płyną, szumią w dal,
Wiatr powiewa brzeżną trzciną, nami chwieje żal,
Nad wodami my usiedli o chlebie żebraczym —
Ziemio święta! matko nasza! kiedyż cię obaczym?

Słońce płonie, cała rzeka migoce się w skrach,
Na te blaski smutnie patrzą oczy nasze w łzach,
Bo to słońce w naszej ziemi, gdy wstanie poranu,
Piękniej złoci dach syjoński i szczyty Libanu.

Tu na wierzbach długowłosych śród zielonych szarf
Pokruszone wiszą struny od milczących harf;
Niechaj milczą stare harfy o strunach dziesięciu,
Niechaj nigdy w niewolnika nie zabrzmią objęciu!

Z głośnym śmiechem idą ludzie po wodę przez błoń—
»Hej harfiarze, syny wraże, z prochu wznieście skroń,
Zawtórujcie nam pieśniami do naszej swawoli« —
Jakoż szukać wam wesela u tych, co w niewoli?

Nam tułaczom już swych dłoni na harfy nie kłaść;
Gdyby struny jak pioruny mogły na was spaść,
To słuchalibyście drżący z ustami blademi,
Jaką pieśnią grzmią harfiarze na przeklętej ziemi!

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem —
To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!

Super flumina Babylonis (Nad rzekami Babilonu). Pieśń ta jest przeróbką *Psalmu* 136. Psalm ten przełożył także J. Kochanowski, z większem jeszcze mistrzostwem.
w. 8: *Liban* (hebr. Lebanon: białe góry) — góry w Syrji.
w. 14: *syny wraże* — syny wroga, syny nieprzyjacielskie.
w. 15 wyd. I: Rozweselcie nas pieśniami, bo nas serce boli.

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń,
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się jak cierń,
Niech mój język jak gadzina przyschnie do gardziela—
Jeśli zaprę twych boleści dla chwili wesela.

Edomczyku! ty, co w krzyku swoich sprosnych żon
Ucztowałeś i pląsałeś przy błysku ich łon,
Ty, coś wołał, by nam Syjon spustoszyć do gruntu,
A odporne miecze nasze zwał mieczami buntu —

Pomnij w trwodze, że na drodze twych zwycięstw
[i chwał,
Jak lew zcicha, kiedy czyha, nasz Bóg będzie stał,
I coś zdziałał, toć z nagrodą odda sądem bożym,
I co spadło na nas deszczem, spadnie na cię morzem!

Chwila jeszcze! a już będziem błogosławić tym,
Co nad grodem twym rozwieszą pożarowy dym,
Z ramion matek wyrwą śpiące dzieciąteczek głowy
I ze zgrzytem roztrzaskają o brzeg granitowy!

r. 1845—1850

---

w. 29 wyd. I: Edomczyku! ty, co w krzyku niemowląt i żon
Ucztowałeś i pląsałeś przy połysku łon,
w. 29: *Edomczyk* — mieszkaniec Idumei (kraj na połud. od Palestyny), potem wogóle: obcy, wróg.
w. 38 wyd. I: Co nad grodem ci rozwieszą i t. d.

TŁUMACZENIA SZOPENA

(r. 1857—1860)

MARSZ POGRZEBOWY

(z Sonaty. Dzieło 35)

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony?
Czy w mej głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną o dwa kroki czarny wóz się toczy —
Jak mi ciemno! — ten wóz czarny
ściemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje,
migają pochodnie,
A prowadzą mnie pod ręce — idą tak wygodnie —
Same prawie się podnoszą zatrętwiałe nogi —
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą —
nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu
coś mnie strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony —
krzywe, ostre szpony,
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach, a po twarzy
coś zimnego cieknie —
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa —
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóz ciągną cztery konie, okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu —
                w tej trumnie! w tej trumnie!

Za co Tyś mnie tak ukarał,
                Ty, co zwiesz się Bogiem!
                Za co, za co? — och!
Samowładca nad słońcami,
                nad stworzeniem mnogiem,
                Mnie zdeptałeś — proch?!
                Gdzie ten Bóg,
                Co mnie zmógł?
Czy Go jęki dzwonów głoszą i krakanie wron?
Niech pokaże się przedemną z ironji obliczem,
                On, straszny jak noc —
Bom ja większy w moim bolu,
                chociaż jestem niczem,
                Niźli Jego moc!
                Ha, zły On!
                Ha, zły On!
        I tem słowem dzwony biją...
                Jezus, Maryjo!
        Jakże mnie ten razi dzwon —
            Ten dzwon! ten dzwon!

        Na atłasie piękna, cicha,
                Rączki trzyma w krzyż,
        Przez sen do mnie się uśmiécha —
                Oh! ty już nie śnisz!

        Oh! nie czujesz ty już woni
                Z wieńca białych róż —
        Całowaniem twojej skroni
                Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na świat,
I jam kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

* *
*

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu,
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Genjuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebieskich wrót.

---

ww. 61—64 przypominają wyrażenia z *Trenów* Kochanowskiego, dalsze zaś pozwalają sądzić, że pieśń opłakuje śmierć żony lub narzeczonej. Niektórzy sądzili, że to płacz po śmierci córki, ale w takim razie trudne byłyby do wyjaśnienia niektóre wyrażenia z następującego *Finale,* w szczególności wiersze 27 i 28, 35—40, 41—43, 49—66.

Gdzie zawiodło mnie na końcu,
Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szedłem w słońcu!
Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą —
haha! to pociesznie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie,
bo będzie nieszczęście —
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo —
precz z drogi ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi —
Mego bolu żadna z waszych piersi nie pomieści;
I pierzchnęli — a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny — do mojego tronu!
Ty grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?

A zakop mnie, a głęboko — tak mi źle na świecie!
Cięższej, niźli twoja ziemia, powietrze mnie gniecie...
Precz z kropidłem! i święcona woda ją poplami —
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokropię ją łzami!
Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
Jakaś jasna, jakaś mocna!
duch mój przed nią klęka —
Dotknęła mnie! a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mnie i ponieśli — gdzie oni mnie niosą?

Ach! za kilka kropel szczęścia ludzie światu płacą
Całem morzem łez!
Glupi świecie, marny świecie — stworzonyś ty naco?
W czem twój byt i kres?
Jego ruch,
To mój duch!
Jam jak serce w nim bijące, on próżny jak dzwon!
Czym ja kogo prosił o to? kto tu bez mej woli
Nakazał mi przyjść?
Chociaż bytem mnie okuto — nie jestem w niewoli!
Ja mam władzę — wyjść!
Ha, zły On!
Ha, zły On!
I tem słowem dzwony biją...
Jezus, Maryjo!
Jakże mnie ten razi dzwon —
Ten dzwon! ten dzwon!

FINALE

Czarodziejki jasnowłose,
Ciemnowłose, czarnowłose,
Płyńcie do mnie, płyńcie!
Żem was chwytał w me ramiona,
Żem przytulał was do łona —
Zasłyńcie!

Serce moje krwawe, smętne,
Rozognione a niechętne,
Niech idzie na rosę!
Jasnowłose, czarnowłose!

Żeście spadły na mą ranę
I chłodziły serce krwawe,
Raz kochane, zapomniane —
Dam wam sławę!

Jam mistrz wielki i potęga,
Co w harmonję dusze sprzęga —
Wiecznym jest mój głos;
Jam jest twórca mocny, dzielny,
Kto mnie dotknie — nieśmiertelny!
Jak mój żywot, jak mój los.

Pokąd żyję — płonę, świécę,
Wszystkie kocham białolice,
Wszystkie kocham wraz;
Na splamione piersi wieszcze
Gdy natchnienia spadną deszcze,
Już nie mają skaz!

Ta, co dla mnie przeznaczona,
W zgniłem łożu śmierci żona —
O straszny Ty, Boże!...
Rozkosznice,
Białolice
Niechaj duszę mą upoją —
Ta, co kocham, nie jest moją!
Moją być nie może!

Dziś, gdy kocham... kłamię! kłamię!
Cudzołożne każde ramię,
Jakby srebrny miecz,
Tak mnie rani, tak mnie boli,
Tak prowadzi do niewoli...
Precz odemnie, precz!

Ta, co duszę mą rozumie,
Odpowiedzieć mi nie umie,
W wiecznym leży śnie;
Te, co dla mnie miłość czują,
Choć kochają, nie pojmują —
Nikt nie kocha — mnie!

Jam płomienny, górny, lotny,
A samotny, tak samotny,
Chociaż ludzi rój
Depce progi mego domu —
O! nie powiem ja nikomu:
Jam twój! jam twój!

Ta, co kocha i co wierzy
W me cnoty i serce,
Ta bezwładna w ziemi leży,
A toczą ją żerce;
Ciężka ziemia ją przygniata —
Lekka dla robactwa!
A jam został pośród świata
Nito pieśń tułactwa!

Precz odemnie, precz odemnie!
Niech was piekieł skryją ciemnie,
Jaskrawe wietrznice!
Na tę moją, na tę jedną!
Na tę senną, na tę biedną!
Patrzą me źrenice.

Moich natchnień tyś natchnienie,
Twego ducha jam odzienie,
Tyś słońce, jam promień!
W tobie żyję, w tobie cierpię,
Z ciebie śpiewam, z ciebie czerpię,
Jam dym, a tyś płomień!

Daj mi błyski, daj mi burze,
Niechaj w nich się choć wynurzę
Żalem i tęsknotą;
Niechaj pieśni z ciebie płyną,
Niech jak tęczą mnie obwiną
Natchnieniem i cnotą!

---

w. 56: *żerce* — robaki.

WNIEBOWZIĘCIE

(Preludja 7. Dzieło 28)

1

Leżę na obłoku
Roztopiony w ciszę,
Mgłę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;
Fijołkowej woni
Opływa mnie morze,
Dłoń złożywszy w dłoni,
Lecę, płynę gdzieś...

2

Nie wiem, gdzie, czem jestem —
Czym anioł napoły?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.
Chyba Bóg określi
Moją słodycz... Boże!
Ach, nie zbudź mej myśli
I serca nie wskrześ!...

TERKOTKA

(Dzieło 30. Mazurek 2)

Bieda-ż moja z tą ciotką!
Przezwała mnie terkotką,
Jeszcze mi zawiąże świat,
A mam już piętnaście lat!

Taka plotka z poddasza
Kawalerów wystrasza,
A kawaler śliska rzecz,
Zaglądnie — i pójdzie precz!

Otóż to pora i niezła pobudka,
Wstanę od krosienek, zbiegnę do ogródka,
Niech kukułka powie, czy przy tym narowie
Prędko pójdę zamąż — tak, tak!

Ile więc razy kukułeczka kuknie,
To za wiosen tyle wezmę ślubną suknię;
Lecz nim zacznie kukać, trzeba ją wyszukać...
O Jezu najsłodszy! — jest ptak!

Gadajże mi — *kuku!*
Króciusieńko, — *kuku!*
Już mam dosyć — *kuku!*
Kukuleńko! — *kuku!*
To ptaszysko — *kuku!*
W uszach wierci, — *kuku!*
Krzycz-że sobie — *kuku!*
Aż do śmierci! — *kuku!*

Otóż im na złość pójdę zamąż prędko,
Złapię sobie chłopca siatką albo wędką;
Na ptaka konfuzję wezmę wielką fuzję
I wymierzę w ptaka — tak, tak!

Pani zaś ciotka na wstyd i za karę
Na mojem weselu pójdzie w pierwszą parę —
Toż będę chichotać, toż będę terkotać,
Żem już swoją panią — na znak!

---

w. 29 wyd. lipskie: na karę.

ZAKOCHANA

(Dzieło 7. Mazurek 2)

Jego dotąd niéma,
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencję
Dwa dni poszczę święcie —
A nuż nie przyjedzie?...
Przyjedzie! przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
A dziś już sobota —
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczki płotek —
Pewnie nie przyjedzie...
Przyjedzie! przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty!
Ach! piękny, ach! duszka,
Ach! srebrny, ach! złoty —
Tańczył tylko ze mną
I raz kląkł przedemną...
Nuż bałamut skręci?...
Nie skręci! nie skręci!

A potem tak grzecznie
Podchlebiał matusi;

Zakochana. Rytmika tej pieśni i treść przypomina *Dumkę przy krosienkach* Zaleskiego. I na wielu innych miejscach *Tłumaczeń Szopena* daje się zauważyć wpływ poezji Zaleskiego na Ujejskiego.
w. 2 wyd. lipskie: duszeczka.

Ach! kocham, ach! wiecznie,
    Ach! moim być musi —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
    A nuż panicz skrewi?...
    Nie skrewi! nie skrewi!

Nudno czekać — a więc za to,
    Gdy przyjedzie, to ukarzę;
Niech poczeka! — przed herbatą
    Pewnie mu się nie pokażę.

Lecz on jakiś taki żywy,
    W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
    No, to zresztą wyjdę już.
Ale zato będę nosić
    Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
    Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
    Że szaleje, mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie —
    No, to zresztą różę dam.

Ale zato pod krosienkę
    Nie zapomnę rączki schować; —
I to srogo — a więc w rękę
    Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niéma,
    A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
    Jak zaklęty stoi.
Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!
    Kasztanek na przedzie!...
    E! to proboszcz jedzie.

PANNA MŁODA

(Dzieło 7. Mazurek 4)

Całe niebo we mnie!
A z ócz płynie łza —
Ach! błoższej odemnie
Nie ma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze
Serce — z tego mrą...
Ach! dobrze, że płaczę —
Zbytek spłynie łzą.

A któż-to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Suknię dają mi.
Poczekaj waść,
Jam czekała tak;
No, widzisz go!
Suknię biorę wspak.

Już ja jegom prawie,
Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
Czy to tylko sen!
Któż te słowa zważy!
Jam jego — on mój!...
Ach! jak mi do twarzy
Leży ślubny strój!

A któż-to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Wieniec kładą mi.
Ach, jakiż on
Niecierpliwy wciąż —
Źle ze mną, źle,
Srogi będzie mąż.

Łza za łzą mi cieknie,
    A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się niepięknie
    W dzień ślubu — to grzech.
Schronię się od złego
    Do Maryji nóg —
Ach! wiem ze wszystkiego,
    Że mnie kocha Bóg!

Ot w kaplicy już
    Organ zaczął grać;
O duszyczko ma!
    Radź-że sobie, radź.
I kapela także
    Pobrzękuje razem —
Ja sobie tymczasem
    Klęknę przed obrazem.

Marjo! Pani nieba!
Daj nam, co potrzeba!
. . . .

Wróciłam z podróży
    Promieni i róż...
Ach! nie pukaj dłużéj,
    Idę, idę już!
Nieznajomą drogą
    Jasny puszczam wzrok —
Ach! jak lekko, błogo,
    Pierwszy stawiam krok!

KTO LEPIEJ?

(Dzieło 7. Mazurek 5)

Grają skrzypki, mruga dziewa,
    Dwóch tańczy mazura;
Niechże każdy z nich zaśpiewa —
    Czyja będzie góra?

PIERWSZY

Tańczę od wieczora, tańczę od wieczora,
Darmo gwiazdy gasną, darmo kogut pieje,
Nierychło mi kończyć, gdy dziewucha skora;
Prawda Małgorzatko? — dziewczyna się śmieje.

DRUGI

A ja tańczyć będę, a ja tańczyć będę.
Choć słoneczko zejdzie i minie południe;
Wieczorem na rosie, gdy przy miłej siędę,
Człek sobie wypocznie, chociaż nie wychłódnie.

PIERWSZY

A ja jeszcze dłużéj, a ja jeszcze dłużéj,
Bo ja tańczyć będę do samej niedzieli;
U Boga i dziewcząt człek, co chce, wysłuży —
A grajki niech biorą wszystko — prócz pościeli.

DRUGI

Ominę celebrę, ominę celebrę,
A tańczyć wciąż będę z fantazją zaciekłą,
A potem z Basienką pójdziemy na żebrę,
A jeśli Bóg każe — to z nią pójdę w piekło!

PIERWSZY

Ja mszy nie opuszczę, ja mszy nie opuszczę,
Lecz dokąd ze świata śmierć mnie nie wymiecie,
Dziewczyny serdecznej z mazura nie puszczę —
A nie kończ się rychło — hej świecie! mój świecie!

DRUGI

Źle ze mną jak widzę, źle ze mną jak widzę,
Toż chyba mi przyjdzie tańczyć w czarnej smole;
Lecz powiem już wszystko, chociaż się zohydzę:
Niż śpiewać godzinki — ja mazura wolę!

---

w. 17: *celebra* — msza uroczysta.

PIERWSZY

Oj bredzisz, mój zuchu, oj bredzisz, mój zuchu,
Ja łacniej mazura wyproszę dla siebie;
Ty tańczyć nie będziesz, spięty na łańcuchu,
A ja pójdę w taniec po szerokiem niebie!

DRUGI

Napędził mi strachu, napędził mi strachu,
Boć prawda, że w piekle czarci w pęta kują;
Ale gdy ja krzyknę: Ej ratuj mnie, Stachu!
To ty się pomodlisz — i wnet mi sfolgują.

PIERWSZY

Nie łatwo braterstwa, nie łatwo braterstwa
Zapomnąć i w niebie — lecz głupstw mi nie gadaj!
Ja tańczyć tu będę — a ty za bluźnierstwa
Idź rankiem do księdza i tam się spowiadaj.

(Senza fine)

NOC STRASZNA

(Dzieło 6. Mazurek 2)

Tam na dworze zawierucha,
w karczmie gra muzyka,
Ale jakaś dziwnie głucha,
do serca nie wnika.
Wiatr w chwiejące dzwoni szyby
i deszczem w nie tłucze —
Smutno, smutno! — ten deszcz niby
ziemię łzami płucze.
A tu w karczmie chłopak żwawy
rej w mazurku wiedzie,
Nito hetman od buławy
puszy się na przedzie;
Każda z dziewcząt kocha prawie,
każda doń się śmieje,
Tylko jedna, tam na ławie,
chmurna i łzy leje.

---

w. 40: *Senza fine* (wyr. włoskie) — bez końca.

DZIEWCZYNA

A jam jego tak kochała,
Jak już nikt na świecie!
A on jednak mnie porzucił —
Niech go Bóg przygniecie!
Choć sierota, długom była
Niewinna jak jagnie —
A on teraz z inną tańczy!
A on innej pragnie!

ŚPIEW W TAŃCU

Chłopaczek ja rzeski,
Podkówkami krzeszę,
Kaftan mam niebieski,
Kogo chcę, ucieszę.
Bądź-że mi jak siarka,
Dziewczyno kochana...
Ej żydzie! zła miarka!
Oj dana, oj dana...

DZIEWCZYNA

Przyśpiewuje, tańczy sobie,
Ja siedzę i płaczę;
Ty mnie nie znasz! — co ja zrobię,
Podumam — zobaczę!...

ŚPIEW W TAŃCU

Co człek nie wyżebrze,
To pewnie wykusi;
Srebro leży w cebrze
U mojej matusi.
Igraj, to doigrasz,
Dziewczyno kochana...
Ej skrzypku! źle mi grasz!
Oj dana, oj dana...

---

w. 22: *jagnie* — tak we wszystkich wydaniach zamiast poprawnego: jagnię. Podobnie poeta pisze zazwyczaj: książe, dziecie i t. p., co w tekście przeważnie zmieniono.

Coraz bardziej serce pęka,
Snać już wola boża;
A po stole moja ręka
Sunie się — do noża!

Oj, patrzy stara matka na swego pieszczocha;
Ach, tylko jedna matka tak patrzy i kocha!
Ze łzami uśmiechnięta, jak w niebie szczęśliwa,
Synowi klaska w ręce, siwą głową kiwa.
A tam z ławki dziewczyna rusza się — znów siada,
I powstała! — i idzie — jak trup senna, blada —
I patrzy prosto w niego — tańczących wymija —
I przyszła — i krzyknęła — i w serce mu wbija
Długi nóż.

»Matko święta! O ratuj! Tyś ze mną jednaka!
O ratuj moje dziecko! mego jedynaka!«
I leci — i porwała go jak sokół rączy,
I dłoń kładzie na serce, skąd jej krew się sączy,
I upadła ze synem...; rękami odpycha
Tych, co chylą się do niej — leży martwa, cicha;
On wyciągnął ramiona raz jeszcze — do łona
Przyciska biedną matkę... uśmiecha się... kona...
Skonał już!...

Poszła znowu jedna dusza
przed Boga, ze strachem;
A wiatr trzęsie i porusza
całym karczmy dachem,
I w chwiejące dzwoni szyby
i deszczem w nie tłucze —
Straszno, straszno! — ten deszcz niby
ziemię ze krwi płucze.
Do kątów się powpychali
ludziska przelękli,
Tylko krewni żalem śmiali
nad trupem uklękli —

Próżno nad nim łzy wylewać!...
Obłąkana, dzika,
Tamta krzyczy: Będę śpiewać!
Hej! a gdzie muzyka?!

DZIEWCZYNA

Niechże kat przychodzi zaraz,
Niech mi ręce wiąże,
Lecz niech dwie nie kocha naraz
Czy to chłop, czy książę!

Przeszedł-że mi żywot marny!
Krwawam gołębica!
Jemu łzy i grób cmentarny —
Dla mnie szubienica!!

WIERSZE RÓŻNE

PIEŚŃ O ZIARNIE

Niebo tak gładkie — bez chmury, bez plamy,
Jak ty, o ludu! gdy cię blask swobody
Jako zwierciadło weźmie w złote ramy.
Lecz gdy zagaśnie pochodnia przyrody,
Żałobne mroki kiedy się zasuną,
Natenczas gwiazdy twej wiary i cnoty,
Jak twego łona ukryte klejnoty,
W obłędzie świecą nam zbawienną łuną.

I lżej nam jakoś — nie tak boli serce,
Wiedząc, że płomień drży w każdej iskierce,
Wiedząc, że łącząc z sobą niebios końce
Wszystkieby gwiazdy w środek się zsypały,
W jednoby ciało swoje światła zlały,
I stokroć większe utworzyły słońce.

Niebo tak gładkie — jutrzenka się płoni,
Całe powietrze jak skowronek dzwoni;
Wybiegnę w pole — świat taki swobodny,
I dusza moja, jak w fali kwiat wodny,
Z taką rozkoszą w niebie się przegląda,
Że w niem utonąć, rozpłynąć się żąda.

Bogdaj-to w siole, na własnym zagonie,
Ukochać lud nasz chęciami młodości,

Odkrywać perły, skryte w jego łonie,
Z znoju mu ścierać podeptane skronie,
A karmić ziarnem wiary i miłości!

Wczoraj na łanie kiedy zboże siałem,
Tę pieśń wieśniakom o siejbie śpiewałem:

A razem, a z wiarą, rzucajmy w głąb ziarno,
A ziarno gdy czyste, to pójdzie nie marno;
Oj! pójdzie nie marno, choć silny wiatr wionie,
Nie na tym, to zejdzie na innym zagonie;
Choć trochę naddzióbią go wrony a kruki,
Plon zbiorą, choć nie my, to nasze prawnuki.

Śród siejby od gromu gdy siewacz upadnie,
Niech sławiąc śmierć swoją do trumny się kładnie;
»Do trumny się kładę, a ziarno nie zginie!«
O! miło tak dumać w przedśmiertnej godzinie.
A drugi na miejsce niech jego wystąpi,
Co także siać umie, a trudu nie skąpi.

Północno a mroźno jesienny wiatr wieje,
Lecz ziemia, jak matka, swe ziarno ogrzeje;
Oj! grzeje, jak matka, w pieluchy otula,
A po niej niech wicher tumani i hula;
Pod piersią to ziarno wkorzeni się, wrośnie,
I trawką, murawką wystrzeli o wiośnie.

A trawka ta będzie pod liściem łopuchu
Żyć skryta a w swojskim wyrabiać się duchu,
Wyrabiać się w duchu — a pełzać przy ziemi,
Że burza gromami nie znajdzie jej swemi,
I gniewna gdy gradem żółć swoją wyrzuci,
To trawki nie dotknie, a łopuch wywróci.

A trawka swobodna rozbuja się w kłosy,
Kłos słońcem pozłocą zbłagane niebiosy;

Zbłagane niebiosy zapomną o karze,
I przyjdą w świątecznych sukmanach żniwiarze,
I piersi wolnemi pieśń wielką zanucą
I z wozy pełnemi do zagród swych wrócą.

r. 1843

POD ZIEMIĘ!

Pod ziemię! pod ziemię! daleko od ludzi,
O, byle cichego gdzie schronu!
Ich śmiech mnie tak razi, ich głos mnie tak trudzi,
Jak brzęki grobnego podzwonu.

Próg domu nabiłbym ostremi kolcami,
I lwa bym umieścił przed progiem,
Bym raz już sam został z mojemi myślami,
Z mojemi myślami i z Bogiem.

By nikt mi gadkami codziennych wydarzeń,
Nikt myślą zbrukaną, jałową,
Nie psował świecących obrazów mych marzeń,
Gdy dumam z schyloną w dłoń głową.

I chciałbym mieć grodziec z twardego granitu,
By nie miał ni okien, ni wchodu;
Miast dachu, niech widzę sklepienia błękitu
I wierzchy drzew kwietnych ogrodu.

Powojem niech do mnie wspinają się róże,
Orłowie po niebie niech lecą,
Niech czasem pioruny płomienią się w chmurze,
W noc cichą niech gwiazdy mi świecą.

---

w. 4: *brzęki grobnego podzwonu* — dźwięki dzwonu pogrzebowego.
w. 13: *grodziec* — gród, zamek obronny.

I byłbym szczęśliwy daleki od wrzasków,
Od śmiechów cynicznych motłochu,
Daleki od podłych zawiści, niesnasków,
Kto głębiej zanurzył skroń w prochu.

I byłbym szczęśliwy, lecz niech was nie widzę,
Odgrodźmy się morzem dalekiem —
Gdy wglądnę w pierś waszą, gniewam się i wstydzę,
Że byłem zrodzony człowiekiem!

Nieznany gdy błądzę w waszym mrowim tłumie,
Nie wita mnie żaden duch bratni —
A mnie się wydaje w mej wzgardzie a dumie,
Żem z bożych śpiewaków — ostatni.

Otoczcież mnie takim pokojem i ciszą,
Bym słyszał, jak duchy pokrewne
Wieszczemi się skrzydły nad ziemią kołyszą
I w żale rozwodzą się śpiewne.

A gdy nikt nie wyjdzie naprzeciw mych dążeń,
Mnie ciszy nie szukać daleko —
Pod ręką jest ziemia głęboka na sążeń
I drewna kawałek na wieko!

r. 1844

MŁODOŚCI MOJA!

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!
Prowadź do celu i drogą cierniową,
Bylem szedł zawsze z podniesioną głową,
Bylem nie żółwiem był, ale sokołem.
Młodości moja! i nad mojem czołem
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,
Bylem narodu został ulubieńcem...
Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!
Osłoń me piersi przed niemęską trwogą,
Niechaj jak magnes siłami się wzmogą,
Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
Chociaż pioruny nademną zawarczą,
Niech jak chorąży przed moim narodem
Z sztandarem wiary postępuję przodem...
Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą!

Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!
Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,
Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem,
Kiedy go otchnę silnym moim duchem.
Orlą źrenicą, zaostrzonym słuchem
Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolałą,
Z której się tyle łez i krwi wylało...
Młodości moja! ty mi bądź łańcuchem!

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem!
Każda myśl moja niech się zazieleni
W sercach mych braci, niech się tam rozpleni;
Co ma być białem, niech nie będzie czarnem.
Młodości moja, nie bądź mi snem marnym,
Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,
By z niej się późne żyć uczyły syny...
Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem!

r. 1844

DAMOKLES

Nad Syrakuzą, miastem żałoby,
Tyran okrutny, sęp krwawodzioby,
Potężnem berłem panował.

---

w. 14 wyd. I: przed bożym narodem.
w. 1: *Syrakuza* — miasto na Sycylji.
w. 2 wyd. I: Denis okrutny.

Pod swoje stopy słał ludzkie czaszki
I niewolników pruł dla igraszki,
  A przy ich jęku — ucztował.

Nie znając miasta, ni obyczajów,
Do Syrakuzy z dalekich krajów
  Damokles, mędrzec, przybywa;
I ledwie wysiadł z okrętu łodzi,
Tuż mu niewolnik drogę zachodzi,
  Do zamku króla go wzywa.

Poszedł. Przy wielkich schodów podnóżu
Pielgrzymie suknie otrzepał z kurzu
  I wstąpił w zamku przysionki;
Każdy przysionek sługami pełny,
Każdego szatę z tyryjskiej wełny
  Bramują złote koronki.

I przez komnaty przechodził mnogie,
Na ścianach lśniły kamienie drogie,
  Ujęte w sztuczne oprawki;
A kiedy oczy wzniósł ku powale,
Zadrżał z podziwu — miast niej, zuchwale
  Wisiały szklane sadzawki!

W sali tronowej król siedział dumny,
Około tronu białe kolumny
  Złocone podnoszą głowy;
Damokles, patrząc na te przepychy,
Ukląkł olśniony, — do syna pychy
  Takiemi przemówił słowy:

»Potężny królu! bogów kochanku!
Twe czoło ciągle w bezwiędłym wianku
  Godowe ozdabia kwiecie;

w. 23: *miast niej* — zamiast niej.
w. 27 wyd. I: Aż w niebo parły swe głowy.

Budzisz się, żeby usnąć w rozkoszy,
A myśl o jutrze snu ci nie płoszy —
  Tyś najszczęśliwszy na świecie!

Na tobie, panie! potwór zawiści
Zamysłu swego nigdy nie ziści,
  Bo ty wytępiasz go w jądrze«.
Tu urwał mędrzec, co żył nie błądząc,
Damokles mędrzec — lecz z tych słów sądząc,
  Niebardzo przemówił mądrze.

Tyran się zaśmiał i odrzekł na to:
»Niechże cię moją obloką szatą,
  Na moje złożą posłanie;
Co tylko każdy zmysł twój zapragnie,
Niech do twej woli zaraz się nagnie,
  A z jutrem zmienisz swe zdanie«.

Wszechwładną ręką król na tłum skinął,
I wnet się z tłumu rój sług wywinął;
  Ci mędrca do łaźni wiodą;
A nim go futer okryli błamem,
Wprzód go natarli wonnym balsamem,
  Różaną oblali wodą.

A gdy omrokiem ćmiło wieczorze,
Damokles zaległ królewskie łoże,
  Oparty na złotogłowiu;
A przed nim stały z owocem czary,
Z Falerny winem złote puhary,
  W girlandy kwietnem okowiu.

---

w. 38 wyd. I: Zbrodniczy zamysł nigdy nie ziści.
ww. 52—54 wyd. I:
  Tam miękkich futer kryjąc go błamem,
  Jęli nacierać wonnym balsamem,
    Różanną zlewać go wodą.
w. 59: *Z Falerny winem* — wino włoskie, sławne już w starożytności.

A szereg krytych gwiazd w alabastrach
Przed nim się migał w tęczowych astrach,
Kadzidła wiały z trójnogów,
Dwanaście cudnych dziewic czekało,
By spowić białem ramieniem ciało —
Damokles drwił z wszystkich bogów.

Wtem, gdy znienacka z puchów zatopu
Szczęśliwy mędrzec w górę, do stropu
Wzrok rozmarzony podnosi —
W gardle mu zmarło przestrachu słowo:
Nad jego łożem, nad jego głową
Miecz duży wisiał na włosi!

Zerwał się z łoża — a drżąc o życie
Tak szeptał, z zamku uchodząc skrycie:
»Bezpieczniej owca zalękła
Może usypiać w wilków gromadzie,
Bezpieczniej noga stąpa po gadzie,
Niźli...«
Ach, struna mi pękła!

r. 1844

GĘŚL JEREMJASZA

1

O gęśli dawna! rzucam cię pod nogę
I gniewną stopą depcę cię i łamię,
Bo ja dla siebie już śpiewać nie mogę;
Po Jeremjasza gęśl wyciągam ramię!
Do wtóru bratnich jęków ją ostrunię,
Dzikim rozstrojem każdą pieśń spiołunię.

---

w. 61—62: Szereg świateł, ukrytych w alabastrowych lampach, rzucał gwieździste blaski tęczowe.

Bo chcę wyśpiewać i ten ból matczyny,
Gdy wróg jej dziecię rzuci do płomienia;
I cichą rozpacz ojca, gdy mu syny
Wloką, by przybić na krzyż poświęcenia; —
Bo chcę wyśpiewać wściekły szamot męża,
Kiedy przykuty widzi błysk oręża.

Zapieram siebie! wszystkie moje troski
Rzucam w głąb serca, niech bez echa giną;
Zapieram siebie — jako nasz mistrz boski.
Cały mój naród jest moją rodziną!
Łzy z jego oczu, krew z jego ran czerpię,
Cierpiąc ból jego chcę śpiewać. Ach, cierpię!

Gęśl w słabej ręce dzierżę po praojcu —
Chociaż mą duszę jego duch okola,
Trwogą się chwieję — i w moim ogrojcu
Wołam: Niech, Ojcze! spełni się Twa wola,
I jeśli wypić mam kielich goryczy,
Niech mnie umacnia Twój anioł strażniczy;

I niechże taką zbroją mnie okuje,
Od której każda chęć ziemiańska pryśnie.
O! bo ja słaby — nieraz potrzebuję
Przyjaznej piersi, co mi skroń przyciśnie,
Ciszy dla serca, snu dla moich powiek —
Daj mi zapomnąć — żem człowiek!

---

w. 11: *szamot* — szamotanie się.
w. 15—16 wyd. I.:
Zapieram siebie — jam zesłannik boski!
Cały mój naród jest dla mnie rodziną!
w. 18 wyd. I: Już cierpię!
w. 21 wyd. I: Lękiem się chwieję — jak Chrystus w ogrojcu.
w. 26: *ziemiańska* — właściwiej byłoby: ziemska.
w. 28—30 wyd. I:
Kobiecej piersi, co mi skroń przyciśnie,
Ciszy dla serca, snu dla moich powiek,
Bo ja nie tylko wieszcz — ja człowiek!

2

Czuję się mocnym — już duch wstąpił we mnie,
Krwawe obrazy cisną się natłokiem,
Tak jasno widzę! — i przyszłości ciemnie
Jak błyskawicą rozświetlam mem okiem.
Dźwięk dzikich tonów już mnie nie przestrasza. —
Witaj mi gęśli! — gęśli Jeremjasza.

I siadam smutny na zwalonym głazie,
Przedemną miasto smutku się rozściela;
Jestem, jak jedna palma na oazie,
Bez towarzysza i bez przyjaciela —
Miałem ich wiele! — wróg ich wymordował,
A resztę żywych pod ziemię pochował.

I nieraz w nocnej ciszy, o Jehowa!
Kiedy mną rzuci pokora i skrucha,
Kiedy na ziemię padnie moja głowa —
Słyszę podziemny, głuchy brzęk łańcucha,
Słyszę daleki jakiś łomot młota:
To moi bracia żłobią miny złota!

W ciągłych męczarniach moje oko wodzę
I wszystko widzę pod siłą zaklęcia;
Panie! ja widzę, jak matce niebodze
Wróg małe dzieci wydziera z objęcia,
Potem je rzuca na krawędzie lodu,
Żeby wytępić szczep mego narodu.

---

ww. 33 i 34 przypominają wyrażenia z *Improwizacji* Konrada.

w. 41 powinnoby być: Miałem ich wielu —

w. 48: *żłobią miny złota* — wydobywają żyły złote ze skał złotonośnych.

ww. 49—60 są reminiscencją z »Widzenia ks. Piotra« w *Dziadach*.

ww. 50—53 wyd. I:

Od wód Bałtyku do Czarnego morza;
Panie! ja widzę, jak matce niebodze
Wróg małe dzieci wydziera z pod noża,
Potem je rzuca o krawędzie lodu...

I widzę w puszczach, związany w szeregu,
Lud biczowany i głodem i mrozem —
Giną bez wieści! — i tylko po śniegu
Iście ich znaczy krew, starta powrozem;
Panie! czyż krew ta, wylana pod biczem,
Na naszej szali pokuty jest niczem?

Panie! my grzeszni, o, grzeszni my bardzo!
Klątwa nam ciąży, — bo są między nami,
Co pocałunkiem tyrana nie gardzą,
Co się bratniemi napawają łzami,
I żeby upstrzyć się plugawą gwiazdą,
Podli! — kalają własne swoje gniazdo.

Klątwa nam ciąży! o, bo są i tacy,
Co się z wrogami podzielają łupem,
Co ostrą szponą jak krwiożerczy ptacy
Nieraz się pastwią nad matczynym trupem,
A między bracią pełzają szakalem —
O płacz, płacz Polsko! siostro Jeruzalem!

3

Niezmierna żałość gniecie moją duszę,
Omdlała ręka już struną nie włada,
Wiatr mną kołysze, na proch się rozkruszę —
Proroku! duch twój niech do mnie zagada,
Bo ból owinął mnie ogniową szarfą
I na twarz padam razem z twoją harfą!

Warszawa, r. 1844

STANCE DO MOJEJ MATKI

Oto twe dziecię, twój syn pierworodny,
Znowu do serca twojego kołacze;

---

w. 58: *iście* — chód.
Stance do mojej matki. Stance (wyraz włoski) — wiersze zwrotkowe o określonym porządku rymów.

Ty je jak zawsze otwierasz — on płacze,
Bo w tę świątnicę znów wchodzi niegodny.

Ciasną mu była ojcowista chata,
Niby go gniotły matczyne pieluchy,
Młodego orła pobratymcze duchy
Wciąż go wabiły do boju — do świata.

Przestrzeżne słowa twojego pacierza
Mimo mych uszu płynęły jak woda;
Szalono grała krew gorąca, młoda:
Do lotu ptaszę! — a skrzydła bez pierza!
I poleciałem....

Oto twe dziecię, jak ptak zabłąkany,
Powraca nazad do rodzinnej strzechy,
Szukać spoczynku, ciszy i pociechy,
Szukać balsamu dla zadanej rany.

Po własnej ziemi w pielgrzymim przejeździe
Przechował w sercu ból swego narodu,
A jemu na nie kładziono garść lodu
I cierń go bodła w każdem obcem gnieździe.

To on nim nową zamyśli wędrówkę,
Aby oślepić pamięci straszydło,
Pod twoje, matko, podsuwa się skrzydło,
Jak słabe pisklę przytula swą główkę.

Nie wiń go, matko! jeśli czasem we śnie
Pomnąc na męki i cierpienia bliźnie,
On, choć szczęśliwy w swojej ojcowiźnie,
Nieraz zbudzony zakrzyczy boleśnie.

Nie wiń go, matko! gdy, ostrem wędzidłem
Jeżeli pamięć mu sercem zatarga,
Z ust jego wyjdzie przekleństwo lub skarga —
Choć mu tak błogo jest pod twojem skrzydłem.

Oto twe dziecię po męczącym boju
Na pierś twą kładzie zszamotane czoło

I swe ramiona oplata wokoło,
Niby dwie miękkie gałązki powoju.

Matko! on ciebie uwielbia i kocha,
Samego Boga on weźmie za świadka,
Boś ty mu wszystkiem, boś ty jego matka —
A resztę świata — to niby macocha.

O! bo dla niego, dla twojego syna,
Nieraz ci troski głowę zakłopocą,
Nieraz zapłaczesz i bezsenną nocą
Westchniesz dla niego — o moja jedyna!

Bo jeśli kiedy w nim dusza zagrała
Dla cnoty, jeśli myśl powstała wielka,
To tobie winien, boś ty rodzicielka
Tę iskrę w jego sercu rozdmuchała.

A on ubogi — czemże na podziękę
Za tyle ofiar, czemże się odpłaci?
Dla ciebie, matko, jak dla swoich braci
Nic nie ma — tylko miłość i piosenkę.

Lecz jeśli kiedy lud, wypłatnik boży,
Wieniec mu sławy zawiesi u głowy,
To on dla ciebie pierwszy liść laurowy
Zerwie ze skroni i u nóg twych złoży.

* *
*

O matko moja! jak silne łańcuchy
Zarzuć, o! zarzuć nademną ramiona,
Osłoń mi oczy, przyciśnij do łona,
Bo znów na boje wołają mnie duchy!

r. 1844

---

w. 54: *wypłatnik* — ten, który wypłaca, nagradza.

TRZY STRUNY

O! mam ja harfę — od Boga kochany!
On ją w olbrzymiej zbudował strukturze.
Wielkich gór szczyty i dwa oceany
Służą jej wspólnie za poboczne ściany,
A jasne niebo wisi nad nią w górze.
A moje serce — o! to jej podnóże.

I z tego serca biegną struny różne,
A wszystkie były z mych bolów poczęte;
Ja je wysyłam jak ptaki podróżne,
Niechaj brzmią pieśnią, którą ziemi dłużne,
Niech jak łabędzie, z milczenia odklęte,
Zawodzą hymny prorocze i święte.

Jedna z strun takich jak włókno pogody
Ciągle lecąca i w ciszy powiewa,
Wciąż się zaczepia o góry, o wody,
O prochy mogił, o zwalone grody,
Wciąż na podsłuchu, co tam szumią drzewa,
Co woda szemrze, co jaskółka śpiewa.

A kiedy całą tę harfę oblata,
Na tysiąc ramion, jak polip, rozwiana,
Kiedy się wszędzie ze wszystkiem pobrata,
I wkońcu pozna, że z całego świata
Ach! najpiękniejsza ta matka kochana —
To pod mą dłonią drży rozradowana.

A druga struna wiąże się do strzechy
Tych biednych sierot, co w zniewadze giną,
I tam opieśnia ich żal bez pociechy

---

w. 11—12. Według wyobrażeń niektórych ludów łabędzie odzyskują przed śmiercią głos i pięknie śpiewają.
ww. 25—36 malują pięknie serdeczny stosunek poety do ludu wiejskiego.

I te łzy krwawe, co przez nasze grzechy
Przez tyle wieków nieotarte płyną, —
Że zbrodnią jest już to, co było winą.

Ta druga struna chciałaby się dostać
Do ich serc głębi, by jej tajnię głosić,
Aby rozjemcą między nami zostać,
Aby wiedziała gdzie grozić, gdzie chłostać,
I komu kazać i kogo poprosić
I jakie modły do Boga zanosić.

A trzecia struna, moja struna złota,
Pnie się do nieba, jak sznurek pajęczy,
A tam niebieskie, zasunięte wrota
Tak gęstą siecią ciekawie obmota,
Że każde słowo wyroków oddźwięczy,
Każda wieść zbiegnie po takiej poręczy.

I po tej strunie płynie wielka skarga,
Skarga miljonów — ale w swoim biegu
Za każdym ruchem mojem sercem targa;
Tak przy gorącej modlitwie drży warga,
Tak, kiedy łabędź swą piersią ze śniegu
Rozbija fale, drży lilja u brzegu.

Biada, o biada temu, kto znieważy
Świętą tę harfę, spowitą w całuny;
Piętno mu hańby wycisnę na twarzy,
Każda go struna przeklnie i zaskarży
Przed sądem Boga; nad nim te trzy struny
Dzień i noc świecić będą, jak pioruny!

Lecz oto wiedzie nas gwiazda zaranna
W czas obiecany światłością obrończą:
Wtedy z tej harfy melodyja szklanna
Uderzy w niebo: Hosanna! hosanna! —
Wtedy te struny w jedną się połączą
I pieśń rozpoczną, co wieki nie skończą.

r. 1845

ANIOŁ-PAŃSKI

Och! jasno, zielono — a wieczór tak cichy:
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące;
Tam wiejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chruściele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze mącona rzeczułka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościółka:
Anioł-Pański...

O! dzwonek-skowronek lubuje w swym głosie,
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa;
A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny —
To wszystko się modli i śpiewa.
I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc dalej do chóru najgłośniej:
Anioł-Pański...

W cmentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci,
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co ziemię mogilą,

---

w. 6: *chruściele* — ptaki przelotne, gnieżdżące się w lecie na naszych łąkach moczarowatych.
w. 20 wyd. I: Wznioślejsza od wszystkich.
w. 30 wyd. I: co świat ten mogilą.

To pierś się podniesie, zbroicą zakuta,
A usta zamarłe odchylą:
Anioł-Pański...

Niekażdy w swym grobie spoczywa snem ciszy
I rzewną tę piosnkę niekażdy usłyszy. —
Są tacy, co walcząc ze strachem,
W okropnych męczarniach rzucają się w trumnach,
Bo marzą, jak niegdyś stojąc przy kolumnach
Z ojczystym zapadli się gmachem.
A głosy jęczące zgruchotanych dzieci
Aż dotąd piorunią im w uchu,
I żaden głos inny już ich nie doleci —
Więc za nich o, zadzwoń, mój duchu:
Anioł-Pański...

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię,
A ciało, pielgrzymką stargane boleśnie,
Do ciszy trumiennej się skłoni,
Jak dzisiaj, tak kiedyś w mej śmierci godzinie
Niech fleci pacholę, niech łąką mgła płynie,
Kościółek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi,
Konając, raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł-Pański...

Na krwawym puklerzu niech złożą mnie w trumnie!
Wojenne me pieśni niech brzęczą w niej tłumnie,
Jak pszczoły w swym ulu spróchniałym;
Niech marzę, żem widział konając lud zbrojny,
Zwycięstwem promienny, powagą spokojny,
Znów w gmachu zebrany wspaniałym.
Gdy hasłem pobożnem dzwon ozwie się z wieży,
Z dumania się mego ocucę,

---

w. 61: *w gmachu zebrany wspaniałym* — w wolnej ojczyźnie.

I serce tak żywo, jak dzisiaj, uderzy,
Jak dzisiaj pokornie zanucę:
Anioł-Pański...

r. 1846

CZARNY SZAL

(NA TEMAT PUSZKINA)

I wy mnie pytacie z pijanym hałasem,
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?

I wy mnie pytacie? Ha dobrze, Serbowie!
Lecz wprzódy niech wino zaszumi w mej głowie,
Niech pieśni lirników do reszty mnie zgłuszą,
Bym treści słów moich nie pojął sam duszą.

Więc żywo, lirniku, po strunach puść palce,
Z pełnemi kielichy przystąpcie, służalce;
Niech jeden mi głowę podeprze wezgłowiem —
A teraz słuchajcie, Serbowie, co powiem.

I pieni się puhar i lira już gędzie...
Ach, dotąd ja widzę jej piersi łabędzie,
I dotąd mi pachnie zwój czarnych warkoczy,
Pod którym gwiazdami świeciły jej oczy!

Na zamku ją miałem — a byłem ja młody
I lgnąłem tak do niej, jak czajka do wody,
I milszą mi była od pamięci czynu,
Żem sztandar zatykał na murach Semlinu.

I milszą mi była, niż koń mój cisawy,
Towarzysz wyprawy i wspólnik mej sławy;

Czarny Szal. — *Puszkin*, znakomity poeta rosyjski, zaprzyjaźniony w młodości z Mickiewiczem.
w. 20: *Semlin* — zwany także Zemuń, w starożytności Taurunum, gród obronny u ujścia Sawy do Dunaju.

I milszą mi była... gdzież puhar mój złoty?
Czy wina zabrakło? — Przez piekło i grzmoty!

Trzy beczki z piwnicy wytoczcie hajducy!...
O biali śpiewacy! Bojana prawnucy!
Dlaczegoż pieśń wasza z ust klątwę wystrasza —?
Ach! ona tem była, czem dla mnie pieśń wasza!

I miała w swem oku ta dziewica grecka
Powagę królowej i niewinność dziecka;
Toż przy niej wszelakiej pozbyłem się pychy
I byłem jak dziecko pobożny i cichy.

I próżno pod oknem rżał koń mój bojowy,
Jam z białej jej piersi nie podniósł już głowy;
I próżno miecz do mnie migotał ze ściany,
Jam dłoni nie zerwał od szyi kochanéj.

Bo ja ją tęczowem otoczyłem kołem,
A ona mi była mym stróżem-aniołem;
Bo ja ją z haremu uniosłem pod burką,
A ona mi była... ha, była jaszczurką!

I dotąd po szyi, po piersi pełzała,
Dopokąd mi serca nie wygryzła z ciała;
Więc z drugim... ha, piekło!—krew grać mi zaczyna—
Kindżała i wroga! — kindżała — lub wina!

Raz prosił na ucztę mnie towarzysz broni,
Na ucztę weselną — więc jadę w sto koni;
A w zamku, co hardo Dunajem potrąca,
Zostało sług kilku i ona — płacząca.

I ona, co czarnym osłonięta szalem
Na baszcie się chwiała tęsknotą i żalem,
Jak sztandar żałobny nad miastem wymarłem...
Więc skryłem oblicze i konia poparłem.

---

w. 26: *Bojan* — nazwisko legendarnego śpiewaka słowiańskiego, znane z *Pieśni o pułku Igora.*

Lecz gdym się z bratami za stołem rozłożył,
To we mnie na nowo burzliwy duch ożył;
Minęło dni wiele — przy śpiewie i winie
Jam marzył o bojach, a mniej o dziewczynie.

Do nocy nasz okrzyk rozlegał się echem —
Wtem stary mój sługa nadleciał z pośpiechem
I szepnął mi słowo i jedno i drugie...
Jak wściekły skoczyłem i zabiłem sługę!...

I zbiegłem w podwórzec i dopadłem konia,
Świat mglił się przedemną — a lasy i błonia
Migały w mem oku zjawiskiem znikomem —
Nim gwiazdy pobladły — stanąłem przed domem.

Kolanem i pięścią wybiłem podwoje —
Widzicie! — tam w kącie — tam było ich dwoje,
Tam było ich dwoje splecionych uściskiem...
Ha! jam ich rozerwał kindżała połyskiem!

I zdarłem z jej czoła żałobną zasłonę
I milcząc ścierałem nią ostrze zbroczone —
I przeszła noc krwawa — gdy dawnym zwyczajem
Świt płonął — dwa trupy płynęły Dunajem.

Więc wy mnie pytacie z pijanym hałasem,
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?

Hej wina! a chyżo! — niech pamięć złowroga
Zatonie w puharze... Lecz cóż to? — Na Boga!
O, patrzcie druhowie!... u tamtych podwoi...
Ktoś stanął... czy posąg?... Nie!... Ona tam stoi!

To ona... Haido!... odsłania swe łono
I wabi ku sobie... ach, w oczach czerwono!

---

w. 56 wyd. I: Jam prawie zapomniał o smutnej dziewczynie.
w. 78 wyd. I: Przez Boga!

Krew falą się wznosi... jak w onej tam nocy —
Zaczekaj... już idę... druhowie... pomocy!!!

r. 1847

DO AUTORA »KORDJANA«

O tak! baranek, co wybiegł zrana
Na chłodne rosy w dolinie,
Patrzy, czy z nieba jego Kochana
Z blaskiem nie spłynie.

Perlą się rosy — zleciało słonko,
A jego Święta nie zlata,
Li mgłą słoneczną zwisła nad łąką
Biała jej szata.

Ona upięta w tęczy opalu,
Błękitną więziona banią,
Tęskni za ziemią, — toż i on w żalu
Wciąż płacze za nią.

Płacze i czeka — tymczasem nogi
Wikłają mu się w pokosach,
I konający legł pełen trwogi
Na zimnych rosach.

Zamglonem okiem kiedy baranek
Żegnał się z kwieciem na błoniu,
Ujrzał, że pasterz, jego kochanek,
Stał na ustroniu.

Do autora »Kordjana«. Odpowiedź na wiersz Słowackiego, pisany do autora *Skarg Jeremiego*, a zaczynający się:

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach Pani słoneczna,
Ty idziesz za nią jak duch baranka
I wołasz: Wieczna!

w. 3: *Kochana* — Polska.
w. 6 wyd. I: A jego Miła nie zlata,
w. 19: *pasterz* — tutaj: Słowacki.

A więc czołgając się przez murawę,
U stóp się jego położył,
I oko podniósł ku niemu łzawe
I ożył!

On pasterz z niebem sojusz odnawiał,
Gwieżdżąc się myślą na szlaku,
On, co już nieraz z Panem rozmawiał
W ognistym krzaku.

On taki wielki! — a gdy obaczył
Płacz cierpiącego jagnięcia,
Do jego skargi zniżyć się raczył
Z błękituwzięcia

Bo on zrozumiał życia zawiłość,
I choć go ducha wynosi dzielność,
On rzekł duchowi: przez niższych miłość
Płyń w nieśmiertelność!

Paryż, r. 1847

LA RÉPUBLIQUE

(Wiersz napisany przez F. Freiligratha na pierwszą wiadomość o rewolucji lutowej w Paryżu)

1

La république! La république!
Hej, już nam po żałobach!
Na szabli mig stary tron znikł,
Toć był to bój! — *La république!*
A wszystko we trzech dobach.

---

ww. 27 i 28 aluzja do widzeń Słowackiego w ostatnich latach życia.

La République. Wiersze francuskie znaczą: Rzeczpospolita! Rzeczpospolita! Niech żyje Rzeczpospolita!

Freiligrath Ferdynand (1810—1876), wybitny poeta niemiecki, głośny zwłaszcza z utworów o tendencji demokratyczno-wolnościowej.

La république! La république!
Vive la république!

2

La république! La république!
Sto gromów wpadło w ciszę;
Ramienia rzut, a błysk, a krzyk,
I słowo słów: *La république!*
Tak Pan Bóg dzieje pisze.
La république! La république!
Vive la république!

3

La république! La république!
Tam za nią krew już leją;
Przez jęk i szczęk i harmat ryk
Zdobyty wał! — *La république!*
Sztandary nasze wieją.
La république! La république!
Vive la république!

4

La république! La république!
Hej, wiara z dolnych kątów,
Nam z wałów grzmią: do kos, do pik,
A w szczerby baszt! — *La république!*
Przy świetle naszych lontów!
La république! La république!
Vive la république!

5

La république! La république!
Ho! bracia tam na górze,
Za wami w ślad — *La république!*
Na mostach już tętni nasz szyk,
Drabiny już przy murze.
La république! La république!
Vive la république!

6

La république! La république!
Kto szemrze o rozdwoju?
Co? ludów gniew? — *La république!*
Gdy wszystkim z rąk opada łyk,
Wszyscy jednego kroju.
La république! La république!
Vive la république!

7

Od dzisiaj więc: *La république!*
Obozów dwa, dwie straży: —
Tu zastęp nasz, co w słońce wnikł,
Niewolnik tam, co w jarzmo wzwykł —
Niech pada, co się waży!
La république! La république!
Vive la république!

8

Więc w niebogłos: *La république!*
Kres bojom i rozdroży!
A liga wkrąg, szczęście z tych lig
I miłość wszem — *la république:*
I rozkwit w łasce bożéj!
La république! La république!
Vive la république!

r. 1848

OJCOWSKI PSALM

(PO URODZENIU SIĘ KORDJANKA)

Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba, światło ciche;

---

w. 39: *łyk* — łyko, więzy niewoli.
w. 47: *co się waży* — tutaj znaczy: co się chwieje.

Jedno dziecię! a weszło z niem takie wesele,
Jak kiedy w dom szlachecki zjedzie gości wiele
I napełnią go wrzawą uczciwą, świąteczną,
A sami się zespolą miłością serdeczną
I tak się rozkochają w tem braterskiem gnieździe,
Że starce jak pisklęta kwilą przy rozjeździe.

Błogosławieństwem dom mój nawiedził widomem
Błyszczący anioł, co rzekł: Pokój z twoim domem!
I zaledwie głos przebrzmiał, to niska ta chata
Swą strzechę jak ramiona dziękczynne rozplata,
I podniósłszy ją w górę swą małość przyczynia,
Aż stała się modlitwą — wielka jak świątynia.

I zaraz w niej przybrało wszystko pozór święty:
Radosnem przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały
I cedrami zapachły dębowe powały;
Każde usta dobroci pełne, myśli bielsze,
A piosenki czeladzi co wieczór weselsze.

I od kiedy w niej mieszka niewiniątko boże,
Pierwsze blaski rzucają na tę chatę zorze,
Czeremcha więcej kwiatu na jej dachy sypie,
Słodka muzyka pszczółek ciągle gra na lipie,
Gołębie lubią teraz na podwórku siadać
I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać,
A jaskółki przez okno wglądają ciekawe...
A ja chodzę jak senny, wielbię Pańską sprawę
I upajam się kwiecia i gołębi bielą
I tą z lipy na lipę lecącą kapelą
I tem światłem ścian moich i wonnością pował...
O! jak ty, Panie, ducha mego rozradował!!

r. 1850

USTĘP Z POWIEŚCI SYBIRSKIEJ

(W urywkach)

...On wrócił z Sybiru!
A iskrzy dotąd młodości zarzewiem
I mniej ma w licu żałobnego kiru,
Niźli to dziecię, które pod modrzewiem
Na progu domu siedząc, główkę składa,
Smutne tym cieniem, co na nie z drzew pada.
A oczy jego jasne, błogie, święte,
Jakby już ręką aniołów dotknięte,
Lub dotąd na nich świeciła pozłota
Z tych gwiazd polarnych, przez które on biedny,
Jak przez wiodące do ojczyzny wrota,
Latał do Polski po oddech powszedny,
I pełen szumu ojczystej topoli
Wracał i żył nim na ziemi niewoli.

Z czoła niebieska biła mu powaga,
Z ust jego prawda ostra, choć nie naga,
Bo prawie zawsze mówiący z zapałem
Słonił ją mimo chęci ideałem;
Ta poetyczność była w jego duchu,
Nie jak u innych chełpliwa, nieszczera,
Co za słuchaczem chętnie się obziera
I sama zwiędłe wije sobie wieńce.
W zwykłem obejściu i w głosie i w ruchu
Zachował szorstkość nabytą w żołnierce,
Pozór surowy, a w gruncie miał serce
Wiejskiej dzieweczki, jej łzy i rumieńce.

On Polskę naszą nie stroił wymową
Poetów, którzy ją widzą w ozdobie
Jak Przenajświętszą, gdy stoi na globie,
Depcąca węża swą stopą perłową,
W tęczach, przy chórów serafińskich grzmocie;
Ale on widział ją w syna prostocie

Jak błędną matkę, którą napotykał
Na skałach lodu i ran jej dotykał
I po ulżenie biegał często do niéj
I czuł jej ciepłe łzy na chłodnej skroni.
Więc stał się wkońcu jako ów najmłodszy
Ze siedmiu braci, syn wdowy najsłodszy,
Mogący w stosie gorejących polan
Konać z uśmiechem, z duszą u jej kolan.

Brzegiem jeziora szliśmy późnym zmrokiem,
Oba milczący w dumaniu głębokiem;
Żadnym powiewem niemarszczone wody
Legły jak wielka, gładka lodu szyba,
Na niej oczeret sklepił się w ogrody
I jedna w srebrze wyorana skiba
Gorzała światłem na uśpionej fali:
To księżyc długą kolumną się pali;
A innych więcej na grzbiecie gór błyska,
Wschodząc: to nocne pastusze ogniska...

On się po chwili rozłożył na darni
W zapadnem miejscu, gdzie dąb rosochaty
Nie wpuszczał światła niebieskiej latarni
Ni nocnych wiatrów — i mówił:
»Niech światy
Gasną, jak w bitwie niecelne granaty;
Niech wzdęte morze, złamawszy zapory,
Przebiegnie ziemię jak koń dziki, skory;
Niech gorzej morza Dżengis-chan lub Marat
Krwi jeziorami wygładzi ją wszędzie:
Wierzę! że jeden zostanie Ararat
Zielony, wzniosły — a Polska nim będzie!

---

w. 59: *Dżengis-chan* — okrutny wódz Tatarów.
— *Marat* — jeden z kierowników rewolucji francuskiej, znany z bezwzględności.
w. 61: *Ararat* — wysoka góra na Kaukazie, na której miał się zatrzymać korab Noego w czasie potopu.

Wszak nierozsądny, kto po rynkach chodzi
I taką wiarę dla gawiedzi głosi,
A tak czynicie wy, śpiewacy młodzi —
Żaden tej wiary w pokorze nie nosi,
Lecz ją jak szatę godową odziewa
I, co anioły szeptają — on śpiewa!
Gminowi zdala od wielkich tajemnic,
Bo ich nie pojmie, nie przekroczy ciemnic,
Ale pragnący i niesyty cudów
Weźmie pochopność do życia bez trudów
I zaślimaczy się i zleniwieje
I, co wziął, synom przekaże: nadzieję!
Toż milszy dla mnie zgiełk szlacheckich kłótni
Niźli prorocze granie miękkich lutni,
Gdy przez fałszywą półanielską smętność
Nie siłę budzi, ale obojętność,
I nieraz ludu zzwierzęconą głowę
Niegodnie stroi w blaski Chrystusowe
I po łzę każdą do pyłu się zniża,
Aby ją uczcić jak ofiarę krzyża.
Ty słusznie sarkasz, że polska kraina
Zamiera senna bezczynnością wrogą,
A ja ci powiem, w czem jest snu przyczyna:
Pieśń nie pieluchą ma być — lecz ostrogą!
Straszne ja rzeczy widziałem na świecie,
Bardziej straszniejsze słyszałem powieści,
Wszak ich smętnemu nie oddam poecie,
Bo mi znieważy powagę ich treści;
I takie orły ze wzrokiem surowym
I z krwawą piersią i z głosem spiżowym,
Co hasła boju roznoszą w piór chrzęście,
A dzieci uczą drobne ściskać pięście,

---

ww. 75 i 76 wyd. lipskie:
Toż milszy dla mnie zgiełk szlacheckich kłóteń
Niźli prorocze granie miękkich luteń —
w. 86 myśl wzięta z Słowackiego.

On, czuły śpiewak, ze sztuką ubierze
W jakieś błyskotne, tęczujące pierze,
I może zechce, co Bóg nie przebaczy,
Na łzy rachować u miękkich słuchaczy.

W tobie jest młodość ze siłą i zdrowiem
I słuchać lubisz — to ja ci opowiem
Kilka scen strasznych z mojego żywota;
A co usłyszysz, kiedyś pieśnią zamień
Na młot forteczny, co mury druzgota,
Na dzwon, co woła, na piorun, co wstrząsa,
A jeśli trzeba, niech pieśń się natrząsa,
A jeśli trzeba, niech pada jak kamień!«

I nie zważając, żem wyciągnał ręce,
Aby go czule uściskać w podzięce
Za dobre rady i przyjaźne chęci,
Powstał i zniknął w gąszczu bliskich krzaków.
Przez chwilę słychać było szelest pręci,
Potem trzask głuchy targanych łomaków,
Aż wrócił zgięty, obarczony chaszczem;
Podłożył ogień, owinął się płaszczem
I rzekł: »Jam gotów — a masz czas, to słuchaj«;
Wskazał na żagiew: »A czasem podmuchaj«.

»Siedziałem w Permie rok jeden i drugi,
A powiem tobie, czas mi nie był długi;
Bo w ciemną otchłań za mną, za wygnańcem,
Pobożna żona poszła z dobrej woli,

---

w. 96 wyd. lipskie: zwrotnikowe pierze.
w. 112: *łomaki* — drzewo zeschłe, dobre do łamania i na opał.
w. 113: *chaszcz* — zarośla; tutaj: kupa gałęzi.
w. 117: *Perma* — miasto na Sybirze. Opowieść o tym wygnańcu przypomina losy Wincentego Migurskiego i jego żony Albiny, pochodzącej z czortkowskiego, gdzie Ujejski miał wielu znajomych, między innemi rodzinę Wróblewskich. (Por. *Pamiętniki z Sybiru* Wincentego Migurskiego, Lwów 1863).

I przed cierpieniem stanęła mi szańcem
I weseliła jak na własnej roli.
A żony takie li w Polsce się rodzą!
Piękne, a więdnąć przeznaczone młodo,
Niejedne w Sybir za mężami chodzą,
A nieraz z sobą i dziateczki wiodą,
By w obcej ziemi być ojczyzny echem
Swoją miłością i dzieci uśmiechem.

Ulicą długą, szeroką, samotną,
Stały mieszkania więźniów, chaty niskie;
A były okna ich tak ziemi bliskie,
Że całe światło zabierał przechodzień,
Jeśli szedł ścieżką mniej od drogi błotną.
W takich to chatach, zwykle w innej codzień,
Bywało wszyscy schodzim się z wieczora,
I jak bociany gwarzym na obłogu.
A gdy nadejdzie rozejścia się pora,
To długo jeszcze stoimy na progu,
Patrzący w niebo szklane, wyiskrzone,
I pochyleni nad głowami dziatek
Wołamy głucho: Polsko nasza, Polsko!
I z tem imieniem usypiają one,
Ochrzczone wiarą ojców, łzami matek.

Wygnanie nasze było apostolską
Misją; tam ludzie stawali się lepsi
I sercem czulsi i na duchu krzepsi,
Kędy my przeszli.

Raz siedząc przy oknie,
Puszczałem myśli po tem czarnem włóknie,
Które prząść umie więzień i wygnaniec —
A wtem idący jakiś obszarpaniec,
Sałdat moskiewski, ten Job bez narodu,
Co na wystawie lub na carskiej mustrze
W niezwykłym musi okazać się lustrze,

---

w. 154: *lustr* — blask, świetność.

A wiedzie życie nędzy, wzgardy, głodu,
Popatrzył na mnie, nagle się obrócił
I wkoło okiem niespokojnie rzucił
I wbiegł do chaty. We drzwiach stanął prosty,
Pozdrowił Bogiem i wpycha w zanadrze
Rękę skośniałą; na ten ruch ja zadrżę,
Po mojej żonie uderzyły osty,
Sądzimy, że to posłannik z ukazem;
A on, ze szmaty rozwinąwszy pakiet,
Cicho przemawia: »Wot pismo i grosze
Z Polszczy od waszej matuszki przynoszę«;
Więc głośnym krzykiem odetchniemy razem
I do Moskala biegniem pędem rakiet.
A gdy ze łzami porwę go w ramiona,
Na czole złożę bratni pocałunek,
To biedny sałdat drży u mego łona,
Chwieje się, jakby rozmarzył go trunek,
Jakby go olśnił jakiś świat nieznany,
Jak na obrazie piękny, malowany;
Aż mu wypadnie z zamglonego oka
Łza dawna, ciężka, wyrwana z głęboka;
Wtedy to oko tak świetnie się żarzy,
Że on widomie pięknieje na twarzy.
Biedny! mil tysiąc niósł cudze pieniądze,
Głodny, a zwalczał kuszące go żądze,
Przecież o takiem nie marzył przyjęciu.
Niewolnik, wbity w rygor obelżywy,
Choć pełnił cnotę, nie wie, że cnotliwy —
Toż wyszlachetniał tak w polskiem objęciu,
Że wszedł jak zwierzę, a wyszedł jak człowiek,
Poważny, śmiały, z pełną w sobie duszą,
Zdybując ludzi już nie spuszczał powiek,

---

w. 160: *skośniałą* — poprawnie: skostniałą.
w. 161: *uderzyły osty* — tutaj: uderzyły wypieki z niepokoju, przestraszyła się.

Lecz wznosił głowę, jakby mówiąc chrobrze:
Wbrew carskiej woli — uczyniłem dobrze!

Wiesz, jakie skutki dla niego paść muszą?
Oto ten sałdat wnet uczuje wzgardę
Dla swego stanu i za pierwsze harde
Słowo wnet pójdzie wleczony pod pałki —
A gdy mu ciało poszarpią w kawałki,
Do dawnych karbów wróci z dzikiem czołem...
Lecz nie zapomni — że raz był aniołem!«

r. 1851

ZAWIANA CHATA

Chato polskiego chłopa, zasypana śniegiem!
Kiedy nad tobą cichą nocne wichry wyją,
Podobnaś do mogiły; kto zgadnie, że żyją
W tobie ludzie, dla bezsnu wstający do pracy?
Ledwie północ poddaszni obwołają ptacy,
Już się budzisz, czerwono już świecisz łuczywem,
Kobiety pieśni tęskne nucą nad przędziwem,
Razem z nicią zwijają swój żal na wrzeciona;
Gospodarz nudzi sobą, wyciąga ramiona,
To majaczy przy ścianach, to siada na ławie,
Często za próg wychodzi, wyglądając słońca:
W niebie i w myśli jego noc a noc bez końca!
Nad łożem nie migoce mu szlachecka szabla,
Dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie...
A spłonie świt! — weselszy chwyta za łopatę,
W świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuję [chatę!...
Z niej ku słońcu ofiarne ciągną dymy Abla.

r. 1852

w. 5: *poddaszni ptacy* — koguty.

POGRZEB KOŚCIUSZKI

Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w boleści,
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany!

Pogrzeb Kościuszki. Por. rytmikę tego utworu z rytmiką *Lacha serdecznego na marach* Zaleskiego (Bibl. Nar. Nr 30). Rytmikę tę znajdujemy także w *Marszu pogrzebowym* i *Wieści o Ad. Mickiewiczu.* Różnica jest w pierwszych dwóch wierszach każdej zwrotki, które u Zaleskiego są 13-zgłoskowe i mają rymy męskie.

w. 6: *Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści.* — Jednym z najpiękniejszych rysów czystej, do jasnowidzenia podniesionej duszy Kościuszki, jest jego sąd o Napoleonie. Kiedy pół świata, łechtane przez nowożytnego Cezara sławą lub nadzieją, otaczało go uwielbieniem, kiedy drugie pół, rozdrażnione bojaźnią lub prześladowaniem, wrzało ku niemu nienawiścią, Kościuszko jeden, sędzia bezstronny, duch cnoty i poświęcenia, ocenił moralną stronę c z ł o w i e k a w i e k u i — pogardził nim. Napróżno wielki kuglarz, genjalny samolub, to pochlebstwem, to groźbą chciał zmusić wychowańca Waszyngtona do oddania się jemu za narzędzie. Ręka despoty, przyzwyczajona giąć wosk miękki, trafiła na żelazo. Więc Napoleon fałszuje w r. 1806 proklamację z podpisem Kościuszki i z tem imieniem, jak z rozwiniętą chorągwią, wkracza do Polski. Pod tą chorągwią stanęło w krótkim czasie kilkadziesiąt tysięcy nowego żołnierza. Kościuszko, mieszkający naonczas blisko Paryża, strzeżony przez stuokiego Fouché'go, nierychło dowiedział się o tem oszustwie, a dopiero w r. 1814 był w możności umieścić po dziennikach swoją pełną oburzenia protestację. *(Przyp. Poety).*

Sąd ten Ujejskiego o Napoleonie jest o tyle ciekawy, że różni się od sądów Mickiewicza i Słowackiego, od których zresztą poeta bywał w sądach zależny.

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałośną zwilżyły się rosą,
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — ta najgłośniej
[szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie — szlochająż jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci,
To ich sztandar! wkoło niego tłum jęcząc wykrzyka:
»Koso nasza! choć zdaleka patrz na Naczelnika!«

O, panowie! zróbie miejsce — niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi,
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

*
* *

I na Wawel między królów ponieśli hetmana
I rozwarła się świątynia złotem nabijana,
U jej progu stanął Kmita i »Co zacz on« pyta —
Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczaj, mości
Kmita!

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: »Ja, król chłopków, rękę ci podaję,

---

w. 12: *A hen z tyłu chmura chłopstwa...* — »Starzy, wysokiej rangi wojownicy nieśli trumnę... poczem następowały: Generalicja, senat, duchowieństwo i obywatele. Lud zamykał pochód« (Falkenstein). Jeśli gdzie, to na pogrzebie Kościuszki lud powinien był mieć poczesniejsze miejsce. *(Przyp. Poety).*
w. 12 wyd. lipskie: to najgłośniej szlocha.
w. 23 posąg Kmity znajduje się u wejścia do katedry wawelskiej.
w. 29: *długobrody król* — Kazimierz Wielki.

Wzdy obydwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!«

Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:
»Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
Jeśli prawda, że krzyknąłeś raz: *Finis Poloniae*«.

Na to hetman: »O, mój ojcze! choć sercem przelękłem
Zanurzałem się w boleściach — tych słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięła,
Z czego wkrótce pieśń urosła: Jeszcze nie zginęła!«

* * *

w. 31 wyd. lipskie: obadwaj.
w. 38: ...*Tych słów nie wyrzekłem! — Finis Poloniae,* słowo straszne, złowrogie; dające uniewinnić się zwątpieniem, które i najwznioślejsze duchy chwilowo przygniata, a jednak faktycznie niepodobne, aby mogło być wyrzeczone pod Maciejowicami przez Kościuszkę. Wiemy, że w końcu krwawej tej bitwy pozostała garstka naszych w rozsypce szukała ocalenia. Kościuszko, uchodząc na koniu, przedzierał się zaroślami i trzęsawiskiem; dognany przez prostych kozaków, skłuty i zrąbany, bez przytomności padł na ziemię. Szczegółów tych nie podaje nam żaden z Polaków, widać nie było ich w pobliżu; a kozacy, opowiadający je przed Fersenem w obecności jeńców polskich, nie przytaczali żadnych słów upadającego Naczelnika. Toż i Naczelnik dla określenia swej rozpaczy nie używałby obcych wyrazów; każdy monologiczny wykrzyk szczerego, gwałtownego uczucia tylko w ojczystej wyrywa się mowie. Zbytecznie rozszerzamy się z naszemi dowodami, zwłaszcza, że chcieliśmy jedynie umieścić następującą notę: W zbiorze Leonarda Chodźki w Paryżu znajduje się list Kościuszki, w którym tenże oświadcza, iż nigdy, przy żadnej okoliczności, przypisywanych jemu słów: *Finis Poloniae* nie wypowiedział. *(Przyp. Poety).*

Trzeba tylko dodać, że list ten jest falsyfikatem (Por. J. Tretiak: *Finis Poloniae,* Kraków 1920). Wyrazy łacińskie: *Finis Poloniae* znaczą dosłownie: Koniec Polski.

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, klęczą przed kościołem.

Na ambonie krasomowca, nie kapłan natchniony,
Krągłe słówka i świecące wysyła z ambony,
I sukmanę coś hetmańską bramuje i złoci,
Wobec trumny coś wspomina — o carów dobroci!

Hej hetmanie! hej jedyny! całun z siebie ściągaj!
Zwróć się twarzą do kapłana, rzeknij: »Nie urągaj!
Patrz na lud ten, co w dziedzińcu przy twoich słów [chrzęście,
Płacze za mną, modli Boga — ale ściska pięście!«

Już skończono mszę żałobną; w miłej ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana [spuszczono;

---

w. 41: *śpiewak Sybilli* — biskup Paweł Woronicz, głośny poeta i kaznodzieja.

w. 45: *Na ambonie krasomowca, nie kapłan natchniony...* — Tą strofą nie mieliśmy wyłącznie na myśli kaznodziei przy egzekwjach Kościuszki; tem mniej chcieliśmy jemu samemu ubliżyć. Podzielał on ogólną prawie słabość tej części narodu, która, rozrzutna w poświęceniach, nigdy nie ufała sobie, ciągle potrzebowała bożyszcz i z jedną pochopnością garnęła się do Napoleona, a później do Aleksandra, tak zwanego restauratora Polski. Imię tego kaznodziei zatailiśmy umyślnie w naszym rapsodzie; bojąc się jednak, aby czyjakolwiek zbyteczna ciekawość, odgrzebawszy to imię, nie oddała je na poniewierkę, sami w tem miejscu, z należnem uczczeniem, wolimy je odkryć. Przy obchodzie pogrzebowym Kościuszki kazał ks. infulat Łańcucki, proboszcz kościoła Panny Marji, ostatni protektor Bractwa Miłosierdzia, przez Skargę założonego, dotąd ze czcią wspominany dobroczyńca ubogich Krakowa; umarł 29. grudnia 1841 roku. *(Przyp. Poety).*

w. 52: *modli Boga* — składnia niepolska, ma być: modli się do Boga, prosi Boga.

w. 53 wyd. lipskie: w chłodne ziemi łono.

w. 54: *W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana*

Poszedł zdobić triumf wroga i na żołd zelżywy
Król ostatni, wiele winny, więcej nieszczęśliwy.

Ten, co kochał lud prostaczy, sam skromny od młodu,
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: »Och, już go [zamknęli!«

* * *

»Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy,
Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiejby ci z nami leżeć na zielonych polach!

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Co dnia ptak-by ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,
Tybyś cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero, kiedy kosy na sztorc nabijemy!

Jeśli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie;
Trudne pisma na nagrobkach mało kto z nas czyta;
Dziecko wskaże na mogiłę — »A czyja to« — spyta«.

---

spuszczono. — W roku 1783 Stanisław Poniatowski, król polski, grób ten odnowiwszy, złożył w nim Jana III zwłoki, a dla swych przeznaczył miejsce, w którem dziś stoi sarkofag z Tadeusza Kościuszki zwłokami. (Mączyński). *(Przyp. Poety).*

ww. 55 i 56 wyd. lipskie:
Wrócił szeląg petersburski do swojej wypłatni:
Legł u wrogów król ostatni — daj Boże ostatni!

w. 57 wyd. lipskie: Ten, co z pługiem może chodził w ubóstwie za młodu.

w. 72: *na sztorc* — do góry, na bitwę.

Tak lud żali się i marzy — urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa —
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie—dobył iskrę z ducha!

*
* *

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona? cóż w nią schować na spoczynek
[wieczny?
Kości w polskim relikwjarzu złożył wódz-jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... »Hej, do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia;
Więc tę ziemię krwią przesiąkłą bierzcie jak sakra-
[ment,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament«.

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przekazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: »Wyżej! wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...«
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie: Mogiła Kościuszki!

r. 1853

---

w. 83: *w polskim relikwjarzu* — na Wawelu.

NIEBEZPIECZNA

— Więc ta róża, ta biała, już należy do mnie?
— O, nie jeszcze, mój panie.
— Chociaż tańczę skromnie,
Cuda się nieraz dzieją w tej szalonej polce;
Oto w piersi zostały mi tej róży kolce —
Za karą idzie łaska, kwiat idzie za kolcem,
Jeśli nie chcą iść w parze...
— Fredro z Bohomolcem!
— Którą rolę grasz pani najlepiej?
— Złej żony.
Bo słucham, słucham rada, co ptak rozpieszczony
Świegoce, jak świegotać już ma we zwyczaju;
Którym ptakiem pan dzisiaj?
— Dziś... ja słowik w maju!
— Spojrzyj pan, żona pańska patrzy na nas zdala,
Stąd słyszę, jak rozmowy naszej nie pochwala
Jej oko, choć milczące.
— Nic w niej złego zgoła.
— Cień grzechu już anioła smuci — masz anioła.
— A jam człowiek i grzeszny.
— Widzę ja to, widzę...
Wstydź się, mości poeto, wstydź się...
— Już się wstydzę...
A mąż pani nie patrzy?
— Tam gra preferansa.
— Mając żonę tak piękną... Boże! jaka szansa!
Co pani robisz na wsi?
— Co? ja gospodyni!
Hoduję ananasy i myślę o dyni.
Wszędzie, wszędzie mnie pełno, cały dzień się krzą-
Przeróżnemi rzeczami naraz się zaprzątam: [tam,

---

w. 6: *Jeśli nie chcą iść w parze... Fredro z Bohomolcem* — jeżeli rzecz nie jest prostym żartem komedjopisarza.

Smażę soki, kompoty, zlewam je do słojów,
Raz na tydzień w krowiarni pilnuję wydojów,
A czasem się ponudzę, a czasem zasmucę...
Wtedy zwykle z kucharzem o masło się kłócę;
Ja swoje, a on swoje — okrutnie uparty...
A gdy słota, a mąż mój wyjedzie na karty,
Albo dalsze znienacka lustruje folwarki,
To coś dłubię igiełką; widzisz pan te szlarki?
Te, na rękach — cóż, ładne? mojej są roboty...
Także z memi kotkami różne stroję psoty,
Białe jak śnieg kocięta... Ja bardzo szczęśliwa!
Żeby pan moje lniane zobaczył przędziwa,
Cienkie... jak włosy pana — ach! a moje kwiaty,
To moje ideały, to tęczowe światy,
Wszystkie a wszystkie własną pielęgnuję dłonią,
Do piekła zaprowadzić można mnie ich wonią;
Zobaczysz pan, zobaczysz, ja tak kwiaty lubię,
Umrę kiedyś z ich woni, kwiatami się zgubię...
— Byle nie białą różą...
— Ot, tańcujmy lepiéj.

* *
*

— Choć oddychać nie mogę... ten taniec mnie krzepi...
Jak pan tańczysz ochoczo... jakby nie poeta...
— Namiętnie lubię taniec...
— To wielka zaleta!
Patrz pan! młodsi od pana ledwie się ruszają,
Studenci dyplomatów poważnych udają...
Że też pan nie pilnujesz tak swojej powagi...
— Duch mój, jak posąg grecki, poważny, choć nagi.
— Jakże to uroczyście! jak w jakim dramacie!
— A to tylko w komedji —
— Bośmy na herbacie.
Żona pana zazdrośna?
— Zazdrośna, zanadto.
— Zazdrości, co z miłości, nigdy nie jest nadto.
Cobym ja za to dała, by mąż, co mnie kocha

Bardzo, bardzo — zazdrosnym był dla mnie choć trocha;
Gdzie tam! ani mu w głowie: ciągle gdzieś za domem —
Nie dorożką, to konno, nie konno, to promem;
A w domu? to nudnemi rzeczami zajęty,
Już się nawet nie kłócę, lubię spokój święty.
W lecie: woły na paszy, a próżne stodoły,
W zimie: pełne stodoły, na gorzelni woły, —
Ot i cała rozmowa — a stąd dla mnie smutki.
Czy wiesz pan, że złe z tego wynikają skutki;
Z białemi żabotami młodego markiza
Zaczęłam bałamucić... no, tak, tak... narcyza...
Zwykle koło sadzawki siedziałam na ławce,
On u nóg moich klęczał, — ale ku sadzawce,
Zamiast patrzeć mi w oczy, raz wraz zerkał zyzem,
I zakochanym w sobie zbrzydziłam narcyzem.
Znów o mało nie wpadłam w romans z tulipanem,
Zajął mnie swą purpurą i wysokim stanem,
Cóż, kiedy mój królewic w herbie nosił ciołka,
A ja ciołków nie lubię; więc ja do fijołka,
Co pachnie jak poezja, a oczy ma skromne,
Niby trochę zamglone, niby nieprzytomne,
I tak sobie romansik prowadzim na piękne...
Czego pan na mnie patrzysz? doprawdy się zlęknę;
Czy co złego mówiłam? myśl się nie natęża,
Tańcząc polkę... ja bardzo kocham mego męża;
Przyjedź pan kiedy do nas.
— Jeśli mnie zaślepi
Miłość róży — przyjadę.
— Ot, tańcujmy lepiéj.

* * *

— Już dosyć!
— Lećmy dalej!
— Siądźmy na tej sofce...

— Tam zwykle taniec wiedzie.
— Czasem na manowce. —
Nie uważał pan w tańcu, jak mi mocno bije
Serce?
— Kto sercem żyje, ten dwa razy żyje.
— Nie zawsze to iść dobrze za uczuciem szczerem.
— Często chwila jest liczbą, reszta życia zerem.
— Jak to smutno powracać do domu po balu
Z głową pełną chaosu... pan nie czujesz żalu?
— Ja wrócę do mych dzieci.
— Ach, ja nie mam dzieci!!
Nie oglądnie się duch mój, gdy z ziemi odleci —
Ja nie wiem, co bezsenne nad kołyską noce!
Serce moje bezludne, a życie sieroce,
I żadna nie zostanie tu po mnie pamiątka.
O! czemuż choć jednego ja nie mam dzieciątka!
Wtenczas, choćby po cierniach, chodziłabym gładko,
Ta już jest pół-aniołem, którą nazwą matką,
Jabym była aniołem, cnotliwą jak święta...
Cóż robić, z biedy kochać już muszę kocięta,
Kiedy nie mam nikogo. Stworzeńka dowcipne!
Czasem zła jestem, ach zła... więc kotka uszczypnę
I w dobry wpadam humor, tak to się naszczurzy.
Nie uważał pan nigdy, jak się kotek chmurzy?
O! to bardzo zabawne. Jednego mam kotka,
Cudo! taki rozumny, ledwie nie szczebiotka,
Pojęciem jak natchniony, a jako myśl wartki;
Kiedy czytam, na rozkaz odwraca mi kartki...
Czytałeś pan *Lirenkę*? jakże pisze ślicznie
Lenartowicz! — tak jakoś miodno, balsamicznie,
Jakby siedział pod lipą, a do jego skrzypki
Spływały brzęki pszczółek, woń kwiatu, miód lipki;
A przytem takie nieraz wydobywa tony,
Jakby grały kościelne w całej Polsce dzwony.
Ja na jego *Lirence* co wieczór się modlę...
Mój mąż czytać nie lubi, on ciągle na siodle —
Mówi, że dla próżniaków niezły wynalazek;

Ślepemu nie przedstawi natury obrazek!
No, kiedy pan przyjedziesz?
— Z różą, czy po różę?
— Na pogodne me czoło sprowadzasz pan burzę,
Burzę... jak mamę kocham, pono się odczepi...
Weź pan ją.
— Podziękuję.
— Ot, tańcujmy lepiéj.
O! muzyka ustała... pięknie! w samą porę!
Kiedy już moje palce wysunęłam skore —
Tak bywa i fantazjom moim, jeśli szpetnie
Nieznośna rzeczywistość w pół drogi je przetnie...
Schowaj pan! żona pana ot ku nam się zbliża. —
Mąż pani, to znajomość moja aż z Paryża,
Gdzie pono z nas obojga nie zrobiono ryżu,
I mówiliśmy właśnie wiele o Paryżu...
O jakże ja szczęśliwa, żem poznała panią,
Jak za snem pięknym zdawna już tęskniłam za nią,
Jak gwiazdy jej szukałam — tak słodkie zjawisko
Czy radość mi przyniesie?... mieszkamy tak blisko...

*
* *

Zbudziłem się — nademną moja bladolica
Jak lilja nad zmąconem źródłem się kołysze;
— O czem śniłeś? twarz twoja dotąd się zachwyca
Rozkosznem przypomnieniem.
— Ach! grzeszyłem we śnie.
— Cóż takiego?
— Czarowna ot roztrzepanica
Bałamuciła ze mną.
— Czy zbudziłam wcześnie?
— Już pierzchło: widzę ciebie!
— Piękne rzeczy słyszę —
Więc za karę opiszesz to wierszem —
— Opiszę.

r. 1855

ZA SŁUŻBĄ

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojne u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół-płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz, dziecię moje!
— Sława Bogu!
— Na wiek wieków — co chcesz, dziecię moje?
— Ta, za służbą... o pies! ja się boję!...
— Pies ten złego nie robi nikomu —
Chodź tu bliżej, bliżej — a czyja ty?
— Ta, niczyja —
— A gdzież matka?
— Zmarła maty.
— A twój ojciec?
— Ojciec w karczmie siedzi.
— Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami.. ot! człowiek bieduje...
— Jaki człowiek?
— Ta ja, pani miła —
Źle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej gdzie mogiła,
Tam, gdzie matka...
— O, moje ty złoto!
Takie małe! tak mówi rozumnie —
To ty, dziecię, ty chcesz służyć u mnie?

---

w. 6: *anioł mego domu* — żona.
w. 7: *Sława Bogu* — pozdrowienie na Rusi.
w. 12: *maty* (wyr. małoruski) — matka.

Cóż ty umiesz?
— Ta, chatę zamiatać,
Wodę przynieść...
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
— Czy ty głodna?
— O! o! bardzo głodna...

* * *

O ty, ziemio polska! ty zawodna!
O ty, ziemio polska! tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba!...
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny, ach! bo nieszczęśliwy.

O ty, ziemio polska! ty zawodna!
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje lasy, wody hojne,
Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu
O! nie owoców już, ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko, ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży,
I o grobie niby starzec marzy...
O ty, ziemio! ty, macocho gminu!...

---

w. 53: matka dla szlachty, macocha dla ludu.

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź, mój synu
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie!
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
Ta, co zmarła, równie była małą.
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo, jak wasze, białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale naprzód jeść, o! jeść jej dajcie!

r. 1856

CZY WY MNIE ZNACIE?

Wy mnie czytacie, wy mnie chwalicie,
A tak wam ciemne poety życie;
Wam się wydaje, że on w obłoku
Ptak, co ludzkiemu gdzieś znika oku;
A jego ziemia tak jak was więzi,
Jemu najmilej na tej gałęzi,
Gdzie jego gniazdo wisi włosienne,
Gdzie jego radość i troski dzienne.

On, jeśli światu góruje w locie,
To on samotny, to on w tęsknocie;
Jakże on chętnie wtedy się zniża
Do kościelnego w swej wiosce krzyża;
On nieraz skrzydła bujne opuszcza
Dla zielonego na łące kuszcza,
A cóż dopiero, jakże on leci
Do swojej ptaszki, do swoich dzieci.

Odkąd ja dolne pokochał niwy,
Odtąd ja lepszy, odtąd szczęśliwy;
Odkąd ja górne porzucił jazdy,
Już mi na ziemi palą się gwiazdy,

---

w. 14: *kuszcz* — gęsta krzewina.

Ojców mych dzieje, jak mleczna wstęga;
Stojąc, skroń moja do Boga sięga;
Wszystko się w moim gromadzi słuchu,
Wszystko stąd widzę — pokorny w duchu.

Czasem się w loty dusza wyprosi,
Wtedy ją ciemna burza unosi,
Na oceanu zdradliwej wodzie
Walczę z falami — ho, na swobodzie!
A niżej lśni się strumień mej wioski
I dzwonią od niej mych dzieci głoski...
Kończy się walką i burze cichną,
Kiedy się dzieci do mnie uśmiéchną.

r. 1856

WIEŚĆ O ADAMIE MICKIEWICZU

Dosyć jęków, niech już oczy nie płaczą niczyje;
Wiem i powiem — wiem co mówię: Ludu! wieszcz
[nam żyje!
— Tak, w swych pieśniach, w sercu naszem — rzek-
[niecie ze łzami.
— Nie! on żyje jasny, widny — tu, pomiędzy nami!

Mam ja moje wieści z nieba — a mówię to skromnie,
Czasem do nich się podnoszę, czasem schodzą do
[mnie;
Ale zawsze w męce ducha tylko tę moc czerpię,
Abym stał się czystą czarą, gdy w ogniach przecierpię.

Co wam z tego, gdy wam powiem, czemu często gasnę,
A za chwilę znów mam serce prorocze i jasne —
Kiedy śpiewam, tom głos żywy — Martwi! powsta-
[wajcie!
Wasze dusze ręczą za mnie: — Wierzcie i słuchajcie.

---

w. 9: *gasnę* — milknę, nie tworzę, nie prorokuję.

Stanął smutny w swem zmęczeniu, lecz bez żadnej
[zmazy,
Jak posłannik, gdy powróci, spełniwszy rozkazy;
Stanął w sukni swojej ziemskiej, z czystym blaskiem
[w oku,
Przed otwartą wielką bramą i czekał wyroku.

W bramie anioł płomienisty, stojący na straży,
Na dwóch skrzydłach jak na falach unosi się, waży,
On-to anioł, co strzegł raju — już miecza nie nasza,
Li białością swoją lśniącą grzeszników odstrasza.

I spłynęły miodne dźwięki: »Witam cię, mój bracie—
Ileż cierni tkwi złamanych w twej pielgrzymiej sza-
[cie —
A twe oko przecież jasne, choć krew z twych ran
[cieknie...
Oh, jak mało tu przybywa tak ubranych pięknie!

Nie chyl powiek — niech ominie cię pokory drżenie,
Bo od Pana mam do ciebie dobre polecenie;
Także od Tej, którąś wielbił, od Najświętszej Panny:
Tyś na polu Chrystusowem zwycięski, choć ranny!

Choć błądziłeś, lecz walczyłeś i kochałeś szczerze,
Lud twój biedny wychowałeś w miłości i wierze;
Na twem ciele ran tak wiele — a największe blizny
Jeszcze dotąd niezgojone — a te, dla ojczyzny.

Bo kto dla niej więcej znosi, ten duższy i starszy;
Ty spełniłeś wyznaczony swój cel patryjarszy —
Bracia twoi tam na ziemi twoim duchem stoją,
Twa pieśń będzie dla nich mieczem — dotąd była
[zbroją.

---

w. 17: *anioł płomienisty* — św. Michał.
w. 21: *miodne* — słodkie.
ww. 31 i 32 odnoszą się do znanego ustępu z *Dziadów* (cz. III).
w. 33: *duższy* — niezwykły stopień wyższy od: duży; tu w znaczeniu: większy, cnotliwszy, dostojniejszy.

Toż tam cały naród w żalu płacze nad twą trumną—
Marne to łzy i niewczesne — bądź ty, Polsko, dumną:
Powstał patron wiele możny, gdzie znikł słaby czło-
[wiek. —
O pokorny, nie płoń czoła, nie chyl, nie chyl powiek.

Wiem, że nieraz w ciemne strony burza cię uniosła,
Wiem, że nieraz zapomniałeś o godności posła;
O! bo młodość wielce krucha, któż nie grzeszył
[z młodu?
Wprzód kochankiem, potem ojcem zostałeś narodu«.

I jak białe dwa promienie schylił ręce obie,
I promieńmi magnetycznie ciągnął go ku sobie:
»Wejdź w tę bramę, kędy wchodzą Wybrani
[i Święci«.
A on na to: »Wszak ta brama — B r a m ą n i e p a-
[m i ę c i!

Za żywota już to czułem, że ten Boga dopnie,
Kto zasługą się podnosi w coraz wyższe stopnie;
Ale o tem nie wiedziałem, że kto sługą nieba,
O odbytem raz poselstwie zapomnieć mu trzeba«.

Więc znów anioł uśmiechnięty jak ranek pogodny:
»Twój duch pamięć stracić musi, aby był swobodny,
Bo go Ojciec znowu wyśle i na większe cele —
A w naszego Ojca domu jest pomieszkań wiele!

Patrz, jak iskrzą się drobniutko nieznane ci światy —
Zdejm twe suknie potargane, wdziejesz nowe szaty«.
A on patrzy w otchłań straszną, a żal go oniemia,
I wyszeptał: »Wskaż aniele — która moja ziemia?«

Anioł wskazał — wskazał prosto między gwiazd mi-
[rjady —
Tam od pyłu między pyłem lśnił promyczek blady;

---

w. 40: *O pokorny* — odnosi się do Mickiewicza.
ww. 54—55 zawierają odgłosy nauki Towiańskiego o prze-
chodzeniu dusz.

A on poszedł za tą ręką, wpatrzył się głęboko;
Uczuł w sercu, że niemylnie spoczęło mu oko —

I wyłonił się już cały i wytężył ducha,
Oczy łzami gdy mu zaszły — to on słucha, słucha...
Cisza była dziwnie wielka; aż mu z ust nieskoro
Łzą wyciekło: »Tam mych sierot — tam sierot sze-
[ścioro!«

I rozpłynął się w czułości na ten głos ojcowski,
Nieznający ludzkich cierpień dawny anioł Boski —
Aż mu w cichym, drżącym głosie równie łzą wy-
[ciecze;
(O anielskie wielkie serce, a czysto człowiecze!)

I w zniżeniu już po ziemsku mówi: »Bądź spokojny,
Naród kocha cię i wielbi — a on szczodry, hojny,
Nie da upaść twoim dzieciom — żyć będą bez troski,
Każdy między przyjaciółmi wśród ojczystej wioski.

A byłaż twa ojczyzna już ciebie niegodna,
Gdyby serca dla twych dzieci nie rozwarła do dna;
A byłbyż ten synem piekieł, ktoby śmiał zdradziecko
Jaką chęcią nieprzychylną dotknąć twoje dziecko.

Bądź spokojny—tam dłoń matek wnet im łzy obetrze,
A wprowadzi je dłoń ojców na polskie powietrze,
Ono brzmiące twem imieniem—tonąc w tem imieniu
Będą bujać twe orlęta w ciągłem zachwyceniu«.

Tak pocieszał go — i wabi znów anioł skrzydlaty:
»Wejdź w tę bramę — odrzuć pamięć — weźmiesz
[nowe szaty«.
On szedł zwolna, twarz oparłszy na konfederatce —
Odjął ręce — spojrzał na nią: »To po mojej matce!!

---

w. 87. Mickiewicz był pochowany w konfederatce.

Nie, aniele! ja nie mogę — wstaw ty się do Boga —
Jam się wszczepił w tę ojczyznę, pamięć o niej droga—
Jam zanadto na tej ziemi i kochał i bolał,
Bym dla zysków mego ducha pamięć tracić wolał!

Za żywota tam nosiłem oblicze surowe,
Dla poglądu ponad tłumy podnosiłem głowę,
Ułomności moje ludzkie słoniłem powagą:
Tum jak dziecko, co przed okiem ojca — leży nago.

On zna skrytość mojej duszy, widne mu jej głębie,
On, co sklepił orlem pierzem me serce gołębie,
On wie o mnie, o czem może nie wiedziała rzesza,
Że prócz błysków mojżeszowych — mam serce Mojżesza.

Serce miękkie i krwi pełne, co miłości żąda,
Co za swemi pamiątkami dotąd się ogląda,
Co jęczało pod pancerzem, krwawiło się zcicha,
Gdy w ten pancerz uderzały niska złość i pycha.

To nie mogę ja zapomnieć, wyrzec się żywota
I tych braci, których wiodła moja lutnia złota,
Bom zostawił ich w strapieniu, a wielu w obłędzie,
I drżę cały i wciąż pytam: co tam z nimi będzie?

Nie chcę błądzić, nie chcę sądzić, mój stróżu przedniebny,
Ale jakby mi się zdało, że ja im potrzebny,
Żem ich prawie osierocił i wcześnie porzucił...
O, aniele, módl się za mną, abym do nich wrócił.

Duchem cały zbłękitniały chciałbym wśród nich latać,
Tu podnosić pognębionych—tam zwaśnionych bratać;
Dwojgiem skrzydeł połączyłbym dalekie, a bliskie:
Jednem kryjąc dwory białe, drugiem chaty niskie.

---

ww. 93—104 przypominają ustęp o Mojżeszu z *Melodyj biblijnych* (por. wyżej str. 91).
w. 94: *Dla poglądu* — dla oka.
w. 98: co serce gołębie wzmacniał na orle, co umacniał serce moje czułe.

Często pójdę do pieśniarzy, między moją dziatwę —
Tym, co serce mają czyste, dam natchnienie łatwe,
Aby burzę, gdy na niebie zahuczy ponurem,
Niby dzwonkiem loretańskim rozpędzali — chórem!

A w męczeństwie jeśli padnie kto z braci — o Boże!
Ja na skronie okrwawione koronę mu włożę
I na ręce wezmę drżące i w niebo odniosę
Zwiędły ten kwiat i złamany — na słońce, na rosę.

Zwano mnie aniołem pieśni wśród mego zawodu —
Pozwól, Panie, abym został aniołem narodu;
A w Twem oku gdy dla niego ujrzę szczęścia wróżbę—
Oh! promienny i ochotny wrócę na Twą służbę.

Ty wiesz, Boże, co tam jeszcze w mojej duszy płacze;
Czy już nigdy mej ojczyzny, nigdyż nie obaczę?!
Wszak okryty Twoją łaską, w Twych natchnień bo-
[gactwie,
Przez ćwierć wieku ja tęskniłem do niej na tułactwie.

A ufałem ja tak mocno, że na starość może
Na zieleni własnej ziemi nawznak się położę
I nad sobą słyszeć będę skargę w gwarze sosen,
Żem daleko od nich spędził tyle w życiu wiosen.

Śpiewającą skargę matki mają tylko drzewa
Mej ojczyzny. Ach! z mej trumny taki głos nie
[śpiewa —
Z obcych jodeł brano do niej głuche, zimne deski...
O, wysłuchaj mego jęku, Ojcze mój niebieski!«

I na równi z kolanami pochylił się czołem;
Przed nim klęczał biały anioł i modlił się społem.

. . . .

Te schylone dwie postacie ujął w swoje ramy
Sklep arkady; a w dalekich głębiach jasnej bramy

w. 120: aluzja do wiary, że głosem dzwonka poświęconego w Lorecie (we Włoszech) można rozpędzić burzę.

Migająco przebiegały tajemnicze błyski:
Znak, że słucha ich modlitwy Bóg, co zawsze bliski.

Gdy ich dusze ukorzone silniej się zapalą,
To tam z głębi światło bucha, oblewa ich falą —
Wtedy słychać szumy skrzydeł: to ciche, milczące,
Przyciągnione blaskiem Bożym anioły lecące.

Jakby wiedząc, że modlitwa ta i za nim prosi,
Tam w otchłani jeden z globów drży na swojej osi,
Żywiej płonie, rwie się naprzód do tych dwóch po-
[staci...
Lecz go z toru nie wypuszcza siła starszej braci.

Jeszcze klęczał wieszcz schylony, gdy już nad nim
[cicha,
Promieniąca twarz anioła słodko się uśmiécha. —
Ten rzekł: »Powstań! Ojciec dobry przyjął twe mo-
[dlitwy —
Leć aniołem! — gdzie polecisz?« —
— »Ach! naprzód do Litwy!!«

*
* *

Tyle dla nich. Teraz głos mój podnoszę do ciebie,
Mistrzu pieśni! stróżu ludu! patronie w potrzebie!
Ja, com patrzał w twoje oczy — może tobie słodszy,
Bom z twych braci najuboższy i twój brat najmłod-
[szy,

Duszą lotny a dziecięcy, w troskach nieudolny,
Lecz na polu walk duchowych niezłamany, wolny —
Popatrz na mnie — lecąc blisko, wstąp pod moją
[strzechę,
Rzuć mi słowo przyjacielskie na moc i pociechę.

Anioł-stróż mój, ten o tobie przynosił mi wieści —
Ty o Innym daj wiadomość równie drogiej treści;

---

w. 148: *światło bucha* — znak bliskości Boga, jak w zakończeniu *Błogosławionej* Lenartowicza.
w. 152: *jeden z globów* — tutaj: ziemia.
w. 168: *Inny* — Słowacki.

Powiedz o nim — bo jednako jam was kochał obu,
A boleść po waszej stracie poniosę do grobu.

Powiedz! czy tam na błękitach, gdzie miłość rozlana,
Nie zdybałeś ognistego śpiewaka Kordjana?
Czy on zawsze niespokojny, samotny i smutny —
Czy już, jak ty, duch swobodny, czy jeszcze pokutny?

A w zdybaniu jakiem okiem on ku tobie błysnął?
Czyś wyciągnął doń ramiona? na szyi uwisnął,
Aby spłukać we łzach wspólnych przedgrobne nie-
[chęci?
Czy on z nami? czy już przeszedł B r a m ę n i e p a-
[m i ę c i?

Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słoniąc połą,
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło,
Próżne wieńca, który ledwie upadł mu na trumnę...
Genjusz blasków! duch Tytana! serce wielkie, dumne!

Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie! —
Kto je zbierał? kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością za nim wodził okiem do ostatka? —
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka!

Gdybyż jeszcze na swej ziemi, bez chwały hałasów,
Przysłuchując się dowoli głosom pól i lasów,
Mógł je obrać za słuchaczów, a one oddźwiękły —
Toby jemu struny serca tak wcześnie nie pękły.

O! szczęśliwszym ja od niego, bo te głosy słyszę,
Niedbający o poklaski, lubię wiejską ciszę;
A choć wzlecę rozbujały, namiętny, omamion —
Łatwo ściąga mnie z obłoków drogich parę ramion.

Wzdy, mój mistrzu, wielostrunne daj mi twe narzę-
[dzie,
A choć ono długiej sławy dla mnie nie zdobędzie,

---

w. 194: *drogich parę ramion* — żona i dzieci.

Byle tylko z twoją wiarą brzmiało, choć nie z siłą —
Dogoni mnie miłość ludu przed lub za mogiłą.

A w szeregu tych strun wielu jeśli się zagmatwę,
To przybywaj ku pomocy, daj »natchnienie łatwe«,
Jakeś przyrzekł przed aniołem — bo mam serce »czy-
[ste«
I kadzidłem wciąż płonące, — szklane, przeźroczyste.

Daj mi lutnię swą sierocą — ja jej nie ubliżę —
Jeśli ciężka — nieść ją będę tak, jak niosą krzyże;
Pieśnią będę błogosławić, a nikogo kąsać,
Złych gnieść będę, obojętnych za wnętrzności wstrzą-
[sać.

A tak idąc z twoją lutnią przez zasadzki zdradne,
Gdy na »polu Chrystusowem« w ciężkiej walce
[padnę —
Podejm, mistrzu, moje czoło zwiędniałe, bezwłose,
I odnieś mnie w »drżących rękach — na słońce, na
[rosę!«

r. 1856

W CISZY

Słońce się zniża — niebo pogodne
I zwierciadlane, jak szyby wodne,
A wieczór, jak sen, spokojny.
Dobry On w górze, dobry i hojny,
On bez nazwania — co ten świat niski
Stroi, jak dziecko własne,
W srebrne obsłony, w szmaragdów błyski,
A rankiem w kwiaty jasne.

Dókoła wzgórza zieleniejące
A w dole łąka — na gładkiej łące
Ciemniejsze łóz arabeski.
A wszędzie taki spokój niebieski!
Że mi się zdaje, że tu jest Eden,
Że w miejscu wczoraj stworzonem

Pierwszy żyjący stoję sam jeden
Pod szklanym niebios dzwonem.

Sam? sam? sam tylko! — Dusza się zlękła
Tego sieroctwa... ot, muszka brzękła!
Ot, ptak poleciał przez liście!
Ot, ścieżka czeka na czyjeś przyjście!
A tam na polu ludzie bieleją,
Ot, i dolata ich śpiewka!
A tam po wzgórzu dymy się ścielą,
Ot, chata! ot, cerkiewka!

Pełno nas, pełno na bożym świecie!
Jest z kim podzielić się szczęściem przecie —
Ile każdemu potrzeba
Znajdzie się zdroju, cieni i chleba;
Jednego Ojca jedne my dzieci
Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich świeci
I równa nam opieka!

Piękna ta ziemia i żyć w niej pięknie!
Aż łza się kręci, aż dusza mięknie
Pełna miłości i zgody;
I świat ten pewnie tak jak ja młody,
I miłujący jak ja i zgodny
I czuje rozkoszy dreszcze,
W czyste natchnienia na zawsze płodny,
Jak moje serce wieszcze!

r. 1856

KIEDYŚ — KONAJĄC

Po raz ostatni patrzę na tę ziemię,
Kędy od wieków chodzi moje plemię
We krwi a słońcu. Oczy we łzach mokną...
Szkoda mi Polski! — odsłońcie to okno...

---

w. 1 wyd. lipskie: O! raz ostatni itd.

Niech na nią patrzę, choć ją pożegnałem...
O! raz ostatni tę ziemię widziałem!

Ranek pogodny — z doliny mgły wstają,
Kościelne dzwony nowy dzień witają —
Chórami ptactwa tam dzwoni dąbrowa...
Ojczyzno moja, bądź zdrowa!

Dla żyć mających przeszła już noc krótka,
Tam po obozach brzmi ranna pobudka...
Z pługami ciągną wieśniacy na niwy...
Narodzie mój, bądź szczęśliwy!

r. 1856

BŁONIA MEDYCKIE

Już jeśli trza umierać, niech umrę za młodu
Z świeżą jeszcze pamięcią u mego narodu,
Co przy ogniu mych pieśni chętnie się rozgrzewał
I może powie: Szkoda! Byłby jeszcze śpiewał —
Kiedy czoło pogodne, choć nie całkiem gładkie,
Bo troski na niem znaki popisały rzadkie,
A oczy, nim przed blaskiem wieczności omdleją,
Jeszcze świat pożegnają z miłością, z nadzieją,
A ręka błogosławić będzie, nim opadnie,
A usta, nim stretwieją, uśmiechną się ładnie —
O tak umrzeć! bez żadnych na ludzi zaskarżeń,
Z piersią pełną natchnienia, z głową pełną marzeń.

Dla tego, co żył w ciszy, nie trzeba pomnika,
Czas go kruszy, a ręka ciekawa lub dzika;
I ten, ktoby mnie zamknął do drewnianej skrzyni,
Mnie, com więzów nie nosił — krzywdę mi uczyni.

Błonia Medyckie. W utworze tym poeta głosi miłość do ziemi rodzinnej i ludu wiejskiego, wierzy w pojednanie szlachty z ludem i w przyszłą wolność.

Niech ta ziemia kochana, ta ziemia rodzona,
Padnie na moje piersi niby rozżalona,
Ona miłującego ciężko nie przytłoczy,
Miękka, jak dłoń matczyna, przyciśnie mi oczy.
Toż tych, co tu zostaną, nie o wiele proszę:
Z świeżo ściętych gałęzi niech uplotą nosze,
I gdy niebo wieczorną oświeci się zorzą,
Niech zwiędłego na liście zielone położą,
I niech mnie niosą w pole stroskani wieśniacy,
Jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy.

Znam ja łąkę w Medyce, znam łąkę przestronną,
Gdzie po zimie najpierwej zielono i wonno,
Gdzie wiatry najrzeźwiejsze, najobfitsze rosy,
Gdzie nieraz w letnie nocy chylą się niebiosy —
Łąka to wspólnych użyć, łąka to gromadzka,
Tam duchów świętych ofiar odbywa się schadzka,
Bo chodzi wieść u ludu, że dawno, przed laty,
Stoczyły tam rozpaczny bój konfederaty;
I chodzi wieść prorocza, wieść natchnieniem męska,
Że stoczy się tam bitwa ostatnia, zwycięska:
Tam mnie nieście! tam głowę złóżcie pod murawą,
Niech ta wielka nadzieja będzie moją sławą,
Mniejsza, czy mnie pogrzebią z lamentem i krzykiem,
Niech ta wielka nadzieja będzie mym pomnikiem!

Leżeć będę pod trawą udeptaną gładko...
O, ziemio moich pieśni, o ty, moja matko!
Ty, co pociech dla wiernych swych synów nie szczędzisz,
Ty od siebie mej duszy tęsknej nie odpędzisz;
Ty to sprawisz, że ciała czyściejsza pozbyciem
Będzie jeszcze do czasu żyć dawnem swem życiem.
Więc naprzód na te błonia, gdy słońce zagaśnie,
Wiejscy chłopcy na koniach wybiegną hałaśnie,
Pętami w ręku dzwonią i hukają w głosy...
Tam na łanie ostatni sierp dożyna kłosy,

w. 45: sprawisz, że wolna od ciała...

Kobiety pod kopami wieniec plotą pszenny,
Śpiewają: — pieśń; to kąpiel na trud całodzienny,
Najpiękniejsza dziewczyna idzie strojna wieńcem,
Z makiem w ręku, i z takim, jak ten mak, rumieńcem,
Przed nią sunie z fantazją kulas, znany grajek,
Wkoło tłum, a nad głową pląsy i krzyk czajek.
I tak idą ze śpiewem przez błoń, przez pastwisko —
Tu już chłopcy błyszczące zażegli ognisko,
Ze śmiechem, z jakąś zmową stoją przy niem w kupie;
Ot i figiel — na konia, co spokojnie chrupie,
Porwali i wsadzili grajka — ten się miota,
Lecz go wnet ułagadza ogólna ochota.
Brząknął w struny — ku sobie biegną jasne twarze,
Ręka chwyta za rękę i już wszyscy w parze —
Grzmi taniec! w białej chmurze — bo się mgła roz-[ściela,
Od kościółka dzwon głosi, że jutro niedziela —
A tu w piersiach, co rzadko rozpiera wesele,
Proroczo dzwonią serca — na wieczną niedzielę!
Coraz raźniejszym tańcem po mym grobie depcą,
A do ucha miłośne słowa sobie szepcą,
Z miłością po tej ziemi każdy wzrok się toczy...
A gdy to dziać się będzie — ja otworzę oczy!

Znowu kiedyś w to miejsce, gdzie ja w grobie leżę,
Lud pośród ciemnej nocy na wiecę się zbierze.
Po niebie rozpostarły się czarne chmurzyska,
Z oddali huk dochodzi głuchy, czasem błyska,
W powietrzu cisza wielka, duszno — będzie burza!
A tu w ciemnościach błoni często się wynurza
Po kilka, kilkanaście postaci, a białych:
To lud schodzi się z wiosek w koszulach niecałych,
Głodny, jeśli pogardził bydlęciem dziś zdechłem.
Niejeden, ośmielony swem grobowem czechłem,
Wmieszał się w ten tłum biały, dawniej jemu nierad,
Teraz ze szkoły grobu wstały konfederat.

Zwiększa się rzesza chłopów — w środku tego tłumu
Stoją starce, posągi powagi, rozumu —
Rzekli: Zwołaliście nas, czego od nas chcecie?
A młodzi: Wy pytacie? dobrzeż nam na świecie? —
I z nagich, suchych piersi słowa naprzód smętne,
A potem rwą się krzyki chropawe, namiętne —
I wznoszą się do góry zaciśnione pięście.
Gołębi na sokołów zmieniło nieszczęście!
Więc starce głos podnieśli — spokojnie i długo
Płynie ich święte słowo z ojcowską posługą,
Coraz żywiej, płomienniej pierś u ludu dyszy —
Już powaga tych starców nie zdobywa ciszy
I okolnych słuchaczy złamały się ramy,
Skoczyły ręce w górę i grzmot: Przysięgamy!
A w odpowiedź błyśnięciem spojrzał okiem całem
Bóg synajski — a słowo to stało się ciałem!

Schyliły się w pokorze trwożne ludu dusze...
A gdy to dziać się będzie — to ja się poruszę!
Nakoniec przyjdzie chwila... och! czy ona bliska?!
Cała armja wybiegnie tu na te pastwiska,
Tysiące kos zabłyśnie na tej sianożęci.
Policzą się ci drobni, wyprostują zgięci!
Będzie bój, jako żaden od wieków nie słynie,
Dla trupów miejsca braknie, bliski San krwią płynie;
W gołębich dawniej piersiach wre wściekłość tygrysia,
Na ustach jedno hasło: Nigdy albo dzisiaj!
Od dusz ulatujących aż powstaje wiater,
Kto stoi, czy upada, każdy z nich bohater;
Dzieci biegną za kulmi, co jeszcze ogniste,
I darzą rozpacznego już artylerzystę,
Kobiety myją rannych — a najlepsze szmaty —
Krzyk nad konającymi: To za nasze chaty! —
Skończył się bój zwycięski. Głębokim oddechem
Odetchnęli — a potem i z płaczem i z śmiechem

---

w. 97: I nastało zamieszanie.

Rzucają się w ramiona, szczęściem wniebowzięci —
Ci, co jeszcze konają, konają jak święci —
A żywi z wysilenia na ziemię upadli,
Płaczą i oddychają...

Na ich nogi zbroczone krwią, na nogi bose,
Bóg spuszcza na obmycie czystą, białą rosę,
Zachodnie niebo płonie radością rumiane...
A gdy to dziać się będzie — to ja zmartwychwstanę!!

r. 1857

ORŁY I SŁOWIKI

Dawniej, o, dawniej tyle orłów było!
Czyto nad zamkiem, czyto nad mogiłą
Zawsze hetmański ten ptak się unosił,
Lotny, krzyczący — ho! bo chwałę głosił;
Dziś ich napróżno szukać na błękicie;
I ja, co wiodę roztęsknione życie
I patrzę w niebo — raz orła widziałem —
A leciał cichy i skrzydłem nieśmiałem.

Lecz zato, ile razy nad wieczorem
Wyjdę samotny ścieżką ponad borem,
Mnóstwo słowików słyszę. Takie mnóstwo,
Czy to bogactwo nasze, czy ubóstwo?
I pytam: Czy płaczący chór słowiczy
Już moją ziemię na zawsze dziedziczy?
Wiecznież o mroku ta pieśń kwilejąca?
Jabym chciał orłów słyszeć — przy wschodzie słońca!

I duch narodu miał orłowe krzyki —
A teraz co? Poszedł na słowiki.
Śpiewają piewcy z miłością, z nadzieją,
Dla czuwających przez całą noc pieją,

w. 16 i 18 — rytmiczność zmącona; może celowo, dla wywołania dysonansu, w tym wypadku zgodnego z treścią.

Tylko sarkają senni na te płaki,
I tylko szydzą z nich nocne hulaki;
Lecz gdy się brzaski jutrzenne oznaczą,
Słowiki ścichną — a orły zakraczą!

O, bracia orły! o, bracia rówieśni!
Wstańcie! bo koniec już słowiczej pieśni!
Rozwińcie skrzydła — do lotu, do lotu!
Ja wam zaśpiewam pieśń chwały i grzmotu!
Krzep się, mój duchu, nie leń się, nie wczasuj,
Krzycz mi jak trąba i jak dzwon hałasuj!!

r. 1857

Z LEGENDY:

PŁUG I SZABLA

1

Było to bardzo dawno, dawniej niż świat stoi,
Toż nie mogą pamiętać tego ludzie starzy. —

Pług i szabla. Autor tej legendy zastrzega się przeciw wszelkim podejrzywaniom go o nieuszanowanie dla religji. Fantazja ludu, tworząc legendy, wchodzi zawsze z ziemskiemi pojęciami w świat nadzmysłowy; podsuwa nawet Bóstwu słowa i uczucia ludzkie. To, co zdaje się być humorem, jest tylko dziecięcą naiwnością. Autor miałby się za grzesznego, gdyby czuł, że uderzał w struny dowcipu — on uderzał w poważne struny ludowej prostoty. Wiersz ten, chociaż nieraz wywołuje uśmiech, bez uśmiechu był pisany.

Legenda ta znaną jest między zagonową szlachtą podgórza karpackiego. W dalszej jej treści św. Michał, pokochawszy pobożne plemię Lechitów, gdy widział ich umęczonych przy uprawie ziemi, którą w braku żelaza obrabiali drewnianemi sochami — odłamał połowę swego miecza, narobił lemieszów, urządził pługi i obdarzył niemi swoich ulubieńców. Po niejakim czasie, lecąc nad ziemią, obaczył łuny pożarne i usłyszał lament wielki: — to Germany palą lechickie sioła i mordują mieszkańców! — a ci bezbronni, nieporadni, gołębiego serca, poddają się losowi w bezwładności

Po bitwie z szatanami wracał w pełnej zbroi
Święty Michał na czele niebiańskich husarzy.
Pospolite ruszenie rozpuścił do domu,
A sam jeszcze lustrował kwarciane szwadrony: —
Tym dał chwałę, tym lekką naganę — jak komu;
I ścierając znój z czoła, bitwą rozogniony,
Nie obmywszy się ze krwi, w boski dworzec kroczył
I wkroczył jak zwycięzca — śmiało i wspaniale.
Więc zaledwie hetmana swego Pan Bóg zoczył,
Powstał z tronu: »A witaj mi, święty Michale!«
On zniżył się w pokorze i ugiął kolano.
»Zmachanyś waść!«

»Świadczę się tą zbroją rumianą,
Boże mój miłościwy, żem nie szczędził dłoni;
Zajeździłem pięć koni — no, ale w pogoni.
Niech żyje Bóg! Zwycięską składam Ci buławę,
Czyste wielkiej ojczyzny oddając granice.
Z tem paskudnem djabelstwem djablą miałem sprawę;
Ale teraz, gdy zdala ujrzy mą przyłbicę,
Zmykać będzie w przestrachu za dziesiąte piekła

---

rozpaczy. Nie było chwili do namysłu; porwany uczuciem św. Michał, co tchu dopadł piekielnej bramy, oderwał resztę swego miecza, nakuł z niego mnóstwo szabel i wraca czemprędzej na ziemię, kędy ogień i krew. Lechici ledwie dotknęli się anielskiej broni, poczuli się rycerzami i uderzywszy na nieprzyjaciół, wyrugowali ich ze swoich siedzib. Od tego czasu rysuje się wyraźnie historyczny charakter narodu polskiego: napoły sielski, napoły rycerski, z jakiemś owianiem anielstwa; ale także od tego czasu uwolnione szatany rozbiegły się po świecie! Nasz drogi archanioł w niemały popadł ambaras; niemało nasłuchał się wyrzutów od Chrystusa Pana. Podjął się więc wychowania Polaków i w ostrej ćwiczy ich szkole w tej nadziei, że oni kiedyś w przyszłości oczyszczą świat ze szatanów i boże na nim zaprowadzą rządy. *(Przypisek Poety).*

Zgodnie z umysłowością szlachty, która, według poety, miała stworzyć tę legendę, wszystkie urządzenia niebieskie mają charakter polsko-szlachecki. Bardzo wiele podobnych przykładów spotyka się już w literaturze staropolskiej.

Ta reszta niedobitków, która mi uciekła.
Nie powstanie już więcej ten chytry pyszałek —
Skąd kuchcie do patyny! — To mi gad, to śmiałek!
Wzdy zgniecion już na zawsze, już spokój. Cześć Bogu!
Na wieczne, wieczne czasy przytarłem mu rogu!«
To mówiąc, hetman boży bardzo się zapalił,
Machał ręką, jak kiedy djabłów w piekło spychał;
Słuchano go w cichości — Pan Bóg go pochwalił,
A trąby uderzyły: Wiwat święty Michał!

I rzekł Pan Bóg: »A odpasz to mieczysko długie«,
(Długi był na trzy mile) — »już na boje drugie
Nie pójdziesz; rzuć go w otchłań, a sprawię, że [zniknie«.
On no to: »Miły Boże! toć na ten rynsztunek
Ja przecie zarobiłem; a szabla, jak trunek —
I anioł za nią stęskni, kiedy raz przywyknie —
A jeszcze taka głownia! bez skazy, bez szczerbu,
Czysta, jasna, jak splendor anielskiego herbu!
Niech ja już to żelazo na pamiątkę noszę;
Królu mój miłościwy — bardzo o to proszę«.
Więc pozwolił mu Pan Bóg przez wzgląd na zasługi.
I chodził święty Michał przez wiek wieków długi
Po świetlicach niebieskich w żelaznej odzieży,
Z posadzek brylantowych dobywając brzęki.
Z początku rozkoszował w nich, jak żołnierz świeży;
Lecz później, ile razy wziął szablę do ręki,
Czuł, że go pali w dłoni wojenne zarzewie;
Gdyby choć jakie mustry, albo jakie rewje —
Miałby czem swe marsowe zapały ostudzić;
Ale tego nie znano — więc zaczął się nudzić.

---

w. 38. Zgodnie z wyobrażeniami szlacheckiemi nawet aniołowie mają herby...
w. 40. Pan Bóg, według tych wyobrażeń, jest oczywiście królem.
w. 48: *rewje* (wyraz franc.) — przeglądy wojska.
w. 49: *marsowe* — rycerskie, wyraz od Marsa, boga wojny.

Przed tron raz przystąpiwszy, rzekł do Pana Boga:
»Wyślij mnie, Panie Boże, na jakiego wroga —
Wszak dałeś mi tę szablę ku swojej usłudze,
A w ciągłej bezczynności na śmierć się zanudzę;
Chodzę z kąta do kąta i aniołów straszę —
Chyba mi już zwierciadłem zostać w mojej blasze
Dla rozkochanych w swojej piękności anielic? —
Wzdy potrzeba takiemu zwierciadłu, oh! nie lic
Uśmiechniętych, lecz wrogów gromadę zaczepną,
Co zapędzą się, spojrzą — padną i oślepną.
A teraz ja straszydłem tylko dla gawiedzi!
Ten Lucyfer, jak zalazł w piekło, tak i siedzi.
Widzę, że i zwycięstwem można sobie szkodzić.
Nie trza było djabłowi tak ostro dogodzić —
Byłby się ruszał jeszcze«.

Pan Bóg się uśmiéchał
I jak na dziecko patrzał. Odszedł święty Michał,
Ciągle nosząc swej troski nieulżony ołów —
I był najnieszczęśliwszym najstarszy z aniołów.

* *
*

Aż gdy po długich wiekach przyszła ta godzina,
W której Bóg na tę ziemię wysłał swego Syna,
Aby ją splugawioną oczyścił krwią własną
I postawił przed Ojcem promienną i jasną, —
Umyślił Bóg, choć nieco wahał się w początku,
Dać świętego Michała swojemu dzieciątku
Za straż, co pierwsze kroki dziecka ubezpiecza, —
Lecz nakazał, by nigdy nie dobywał miecza.

Chodził więc święty Michał za Panem Jezusem;
Do ucieczki egipskiej nagiął się z przymusem,
I nawet z Marją Panną wskutek tej ucieczki
Podczas drogi do małej przychodziło sprzeczki.

---

w. 71 wyd. lipskie: krwią oczyścił własną.

Rozgderawszy się, mówił: »Trza było przeczekać —
Nie godzi się Synowi Bożemu uciekać!
Bezpiecznie można było zostać w Nazarecie —
A teraz, Bóg wie na co, włóczym się po świecie.
Nie dobywając szabli, zabiłbym Heroda
Ot tą pięścią — i spokój; — a i dzieci szkoda!
Już to Pan Bóg łagodnie postąpił z tym wrogiem. —
Tyle dzieci! mój Boże! — Od czegoż być Bogiem?!«
A więc Najświętsza Panna sfukała bluźniercę:
»Zczłowieczałeś, jak widzę, ludzkie już masz serce,
Czemuż nie masz rozumu pobożnego człeka,
Co korzy się przed Bogiem, lecz go nie docieka? —
Ty tajemnice boże chcesz przebić swem czołem?
Pyłem jesteś przed Bogiem, chociaż archaniołem!
Żal ci krwi niewiniątek? — a może anieli
Zazdroszczą tym wybranym tej krwawej kąpieli.
Nie wiesz, że krwi ofiarą zdobywa się ducha,
Że tę ziemię niepłodną łzami trza polewać,
Że na niej rosną tylko osty, kiedy sucha? —
Ja chwały mego Pana nie przestanę śpiewać,
Choć wiem, że, abym doszła do siódmego nieba,
Ze siedmioma mieczami w sercu iść mi trzeba;
Święta jest wola Jego — a jam służebnica«.

Archaniołowi wstydem zapłonęły lica
I łzy głębokiej skruchy pociekły mu strugą,
Gdy usłyszał królowę, co się głosi sługą.
Bił się w czoło i sarkał na siebie: »Ot głupi!
Czym ja od Lucyfera zaraził się pychą?
To królowa aniołów! a patrz, jak jest cichą!
Gdy komu wadzi serce — to niech go wyłupi!...«
I długo za świętego Józefa się chował,
A ukradkiem Maryi kraj szaty całował.

---

w. 86: *a i dzieci szkoda* — zabitych na rozkaz Heroda.
w. 97 myśl Słowackiego: przez mękę ciał rosnący duch.
w. 110 poprawnie powinno być: niech je wyłupi.

Odtąd przed wolą Boga zginał się w pokorze
I był jako owieczka, choć żołnierz i mściciel —
I chodził za Chrystusem, gdy już nauczyciel
Rzucał słowa żywota nito głodnym zboże.
Acz wkońcu nie odebrał z wytrwałości chluby,
Bo znów go krew uniosła w chwili strasznej próby.
Bowiem w nocy ostatniej na Oliwnej górze,
Kiedy Chrystus oddawał się w ręce siepaczy,
On, stojący przy furtce w ogrodowym murze,
A ujrzawszy żołdactwo — w żalu i rozpaczy
Chwytał już za rękojeść... i wstrzymał się w pędzie —
Spostrzegł się i wnet rękę opuścił bezwładnie,
Bo słowa nie dotrzymać bardzo jest niełądnie,
A dał słowo, że nigdy miecza nie dobędzie.
Lecz gdy widział, że żołnierz pochwycił za ramię
I wlókł Syna Bożego — a wojenne znamię
Miał Piotr przy boku — szepnął do świętego Piotra:
»A palnijże po uszach choć ty tego łotra!
Niech nam Chrystusa Pana nie biorą na sucho!«
Święty Piotr dobył szabli — i zleciało ucho.

Spostrzegł Pan Bóg, że będzie z nim trudniejsza [sprawa
W chwili, kiedy ofiara ma się pełnić krwawa;
Że choćby miał i słowa swego nie dochować,
Święty Michał Chrystusa nie da ukrzyżować;
A że go wielce cenił i pełen był względu,
Więc świętego Michała odwołał z urzędu. —
Inaczej świat nie byłby odkupionym światem,
Bo bez krzyża — a kręto byłoby z Piłatem.

Kiedy Chrystus, poniósłszy śmierć krwawą na krzyżu,
Wracał z piekieł, i ujrzał smutnego w pobliżu
Michała archanioła; ten do nóg się schylił,
Rany jego całował i jak dziecko kwilił:

---

w. 128: *wojenne znamię* — szabla.
w. 142 ma niepełny rytm, trzebaby uzupełnić: Wracał z piekieł, zobaczył smutnego w pobliżu.

»A bądźże miłościwym dla mnie, Chryste Boże!
Gdy Ty mi nie pomożesz — a któż mi pomoże!
Stary Pan Bóg coś gniewny — i ja się nie dziwię;
Miałby rację ukarać mnie — i sprawiedliwie.
Miałem spokój! a teraz schodzę na ohydę —
A jeszcze z własnej woli wlazłem w taką biédę;
Nie lepiej mi z innymi było hymny śpiewać —
Trzebaż mi było miecza jak dziecku zachciewać!
On to butną krewkością napoił me serce,
Jak wąż kusiciel szepce ciągle o żołnierce;
Oto przy Toich nogach tę pokusę kładę.
Co z nią zrobić, gdzie podziać — daj mi, Chryste, [radę!«
A Chrystus odpowiedział: »Oto miecz ten skruszę
Miłośnem przebaczeniem. Uwolniłem dusze
Pokutujące w piekłach za śmiertelne grzechy...
Bom nie jest wysłannikiem kary — lecz pociechy,
Ani ja jestem sędzią — lecz dawcą otuchy.
Oto pragnę i żądam, ażeby złe duchy
Nie chadzały z pokusą na glob odkupiony,
Nie podnosiły w ludziach już dłużej złych chuci
I nie stawiały sobie swych bożyszcz na trony;
Ach! bo te ludzkie dusze bez tego tak słabe...
Toż kiedy ciebie miecz ten i męczy i smuci,
Użyj go po mej radzie za zaworną sztabę
I załóż nią na zawsze te piekielne wrota,
Niech na świat nie wychodzi szatańska niecnota«.
Święty Michał przed wolą Chrysta się ukorzył,
Odpasał szablę, bramę piekła nią założył;
Po zawieszeniu broni odszedł święty Michał,
Ale wziąwszy dymisję, zawsze nieco wzdychał.

2

Był naród, mieszkający na wielkiej płaszczyźnie,
Co bujała to trawą, to lasami żyźnie,
A niedalekie morze dla tej ziemi synów
Wyrzucało na brzegi kawały bursztynów;

Te, przekłute na wylot, zsilone na sznurek
Zdobiły białe szyjki niewistek i córek —
A bardzo tem cieszyła się każda niewiasta.
Lud ten żył po bożemu, nie wiedział, co miasta,
O cesarzach nie słyszał nigdy, ni o królach,
I dzielił się na gminy, rządził się ojcami,
A od ojca narodu zwał się Lechitami;
I żył sobie swobodnie, jako pszczoły w ulach.
A już całym narodem, co miał kształt pasieki,
Rządził Bóg uśmiechnięty okiem swej opieki.

Więc prowadził ten naród żywot cichy, sielski,
I pobożny był wielce i prawie anielski,
Że mogło się wydawać, jakby prosto z raju
Wyszedł na swe wygnanie z pamięcią dziewictwa
I spełniał w przeznaczonym na pokutę kraju
Dany wyrok, bo prace i znoje rolnictwa.

Bóg dzieci nie opuszcza, choć je czasem karci,
I łatwo zdobyć łaskę, pełniąc Jego wolę,
Więc szczęśliwym był lud ten, uprawiając rolę
I chodząc z troskliwością około swych barci.
Lubiał pieśni, co słodzą rolnictwa mozoły:
Więc pracował i brzęczał tak, jak czynią pszczoły.
Jaki zachód, chleb taki — skutek rodzą środki:
To świętym był jak ziemia i jako miód słodki.

I chodził w białem płótnie własnego wyrobu
I w takiem białem płótnie chował się do grobu,
Nie mając żadnej krwawej plamy na odzieży;
Bez pochuci do kłótni, nie znający wojny,
Nie szukał za żelazem, co gdzieś w ziemi leży;
Więc rozrastał się mnogo — rojny, bo spokojny.

Był to widok ucieszny nieraz dla aniołów,
Gdy lud ten, pod lipami usiadłszy u stołów,

---

w. 179: *zsilone* — nanizane, nawleczone.
w. 180: *niewistka* — żona syna, synowa; wyraz użyty tutaj w brzmieniu małoruskiem.

Przysłuchiwał się chętnie radom braci starszej,
Co siedziała na wyższej kłodzie patryjarszej;
A opodal niewiasty, piękne jak królowe,
Rańtuchami nakrywszy ścięte włosy płowe,
Nito berła pokoju trzymają kądziele
I wesoło szczebiocą — a wiele, a wiele.
Nad niemi na rumianej owocem jabłoni
Kilka głosów dziecięcych wśród gałęzi dzwoni;
A pod drzewem siostrzyczki, oczka i fartuszek
Podniósłszy, do czerwieńszych milą się jabłuszek
I do sprytnych braciszków, coby je natrzęśli.
A tu słychać gęślarzy, strojących swe gęśli...
W długich szatach, z koroną dębową na głowie,
Wyszli cicho z zieleni, jak dobrzy bogowie;
Ich przyjściu dziwny jakiś powiew towarzyszy:
Starce, dzieci, niewiasty — wszystko tonie w ciszy.
O czarodziejska władzo słowiańskich śpiewaków,
Ty nawet do posłuchu niewalałaś ptaków!
Oto lecą z pod strzechy już ku nim gołębie
I u stóp czarodziejów siadły niestrwożone;
Tam bocian ruszył z gniazda na zeschniętym dębie
I rozkraczył przed nimi swe nogi czerwone;
I już od tych śpiewaków zdobyły na wieczność:
Bocian jasną powagę — gołębie serdeczność.

r. 1857

ODA DO POEZJI

Matko zapału!
Siostro wieczystego ducha!
Córko Boga!
Pokrewna każdemu ciału,
Rozlana wszędzie,

w. 214: *rańtuch* — chustka na głowę, wyraz pochodz. niem.
w. 227: *słowiańskich* — wyd. lipskie: sławiańskich.

Po ostatnich słońc krawędzie —
Których niema...
Błogosławiony, kto ciebie widzi, słucha,
Blasku Boga! Duchu Boga!

Siłami trzema
Bóg panuje:
Miłością, co tworzy,
Harmonją, co zlewa,
Poezją, co śpiewa...
Błogosławiony, kto to wie i czuje.

Nierozerwana, zespolona,
W jedno się łoży
Ta trójca ona;
W miłości poezja i harmonja,
W harmonji poezja i miłość,
W poezji tamte dwie...
Ot, rozwiązana wszechbytu zawiłość,
Co się na Dobro i Piękno wyłonia.

O, niebiański śnie!
Spadły na człowiecze serce liche,
Jeśli pokorne i ciche; —
W tobie nie mara i mglistość,
W tobie jest rzeczywistość
I moc i prawdy całość.
Wstańcie! których gnębi małość!
Rozradujcie się w wszechbycie —
Nędzne, krótkie wasze życie —
Przedłużcie je liczbą wrażeń,
Co są czyste i wieczyste,
Co są sielskie i anielskie,
Co są Pańskie i kapłańskie.

Więcej bytu w raju marzeń,
Niźli na ścieżkach tułaczych.
Ileż ludów nieboraczych
Zapadało w wieczną ciemność,

Bo prócz gwałtu, krwi i zbrodni,
Nie miały innej pochodni;
Idąc w zgiełku a samotnie,
Sypały się bezpowrotnie
Na gruz — na pył — na nicość!

Poezjo! w tobie odwzajemność,
Poezjo! w tobie jednolicość,
Tem licem patrzysz w Boga
I wiesz, jaka ci droga.

Wstańcie! których gnębi małość!
Ikarów lot, nie zuchwałość,
Ale bierzcie silne, zdrowe,
Stalne skrzydła — nie woskowe.

Poezjo! w tobie stal,
W tobie i siła i zdrowie,
Ale Boga chwal,
Ale wzlatuj ponad mrowie.

Temu mrowiu na mrowiskach
Świeć i śpiewaj w tęczy błyskach,
Bądź mu ulgą i otuchą —
Rosą, kiedy mrze posuchą,
Chlebem, kiedy łaknie głodne,
Szczęściem, kiedy śni swobodne.

A ty, Polsko, której wieszcze
Mieli zmartwychwstanne dreszcze,
Dla ciebie tylko, dla ciebie!
Bo o sobie nie myśleli,
A za swój chleb kamień wzięli —
Ty, Polsko! matko boleści,
Żebraczko, o skąpym chlebie,
Dla tych odepchniętych synów
Bądź tarczą w potrzebie —

---

w. 57: dalekie echa *Ody do młodości.*

Kto z nich *wie*, niechaj ci *wieści*.
Nie żądni oni wawrzynów,
Ani różnobarwnych szarf,
Ni dostojniczych chomątów —
Nie zabiorą miejsc nikomu!
Ale są synami domu,
I mają prawo do kątów
Dla siebie i dla swych harf.

r. 1885

LISTY Z POD LWOWA

(W URYWKACH)

ŻYWE SŁOWA JEREMIEGO

(WYBÓR)

LISTY Z POD LWOWA[1]

(W URYWKACH)

O ALBUMIE WILEŃSKIM

22. kwietnia 1860 r.

...Pisząc moje listy, w których często muszę uderzyć, aby poruszyć, smagać, aby później może uściskać — powtarzam sobie w duchu słowa Juljusza[2]:

Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę!

Ale dzisiaj niech serce śpi i milczy, a jeżeli już ma się odezwać, to jak przez sen tylko, a niechaj grzmi jedynie potęga słowa. Bo oto postawię przed wami czterech

---

[1] Z okazji przyjazdu cara Aleksandra II do Wilna w r. 1858 mieszkańcy urządzili wielką uroczystość, a znaleźli się nawet pisarze polscy, którzy na ten cel przygotowali hołdownicze wydawnictwo p. n. *Album Wileński.*

Ujejski zwrócił przeciw autorom pierwszy ze swoich *Listów z pod Lwowa;* w drugim napiętnował rodzinę magnacką Sieniawskich za nieposzanowanie trumien własnych przodków; w trzecim napiętnował W. Pola za szkodliwe idealizowanie staroszlachetczyzny z wyobrażeniami czasów saskich. W swoim czasie wszystkie trzy listy wywołały wielki rozgłos, zarówno ze względu na treść, jak i na osobę pisarza. Były one naprzód drukowane w lwowskim *Dzienniku literackim* z r. 1860, następnego roku wyszły osobno w Lipsku.

[2] *Juljusza* — Juljusza Słowackiego. Słowa te są wyjęte z ostatniej zwrotki pieśni drugiej *Beniowskiego.*

winowajców, czterech wielkich zbrodniarzy, i postawię ich na pręgierzu, przeczytam oskarżenie, powtórzę wyrok, spadły już na ich głowy, oplwam zebraną śliną wzgardy i strącę w przepaść.

Swobodniejsze dzienniki polskie w kraju i zagranicą wydały już w tej sprawie krzyk swego oburzenia, potępiły ją stanowczo, potężnie i surowo. Do tego chóru chcę i ja mój głos przyłączyć, nie dlatego, aby miał być silniejszym, ale aby ulżyć memu sercu.

Wiadomo już, z jakiego powodu Wilno obchodziło uroczyście dzień 6 i 7 września 1858 r. I o dziwne zrządzenie! Była to właśnie i rocznica szturmu i wzięcia Warszawy![1] Siostra litewska musiała ubrać się w kwiaty, rozgorzeć światłem iluminacyjnem, uderzyć w hymny radości i błogosławieństwa w rocznicę tych strasznych dni, kiedy jej siostra koronna zawodziła płaczem i tarzała się we krwi. Czterech ludzi, noszących imię polskie, z których jednego nazywano zasłużonym, a dwóch innych naród otaczał miłością i dał im szerszą sławę — postanowiło uświetnić tę chwilę trwałym w narodzie pomnikiem. Wybrano więc najtrwalszy papier, niespożyty atrament, orle może pióra — i przystąpiły do dzieła cztery wytarte, spiżowe czoła — i napisano księgę.

Antoni Edward Odyniec[2], poeta natchniony i religijny, dał do tej księgi hymn p. t. *Przyjdź Królestwo Boże!* W nim stawia on prawie narówni dwie władze i potęgi: Boga na niebie, a cara na ziemi. Ale w tym hymnie drugiemu tylko śpiewa: »Cześć i chwałę i triumf bez końca, bo on dawca pokoju i prawdy obrońca i budownik królestwa Bożego«. Antoni Edward Odyniec, poeta i Polak, radby więc jemu rozesłać świat cały pod

---

[1] *rocznica szturmu i wzięcia Warszawy* — dn. 6 i 7 września 1831.

[2] *Antoni Edward Odyniec* (1804—1885), przyjaciel Mickiewicza, poeta, autor m. i. dramatu *Felicyta* (1849), który młodzież uniwersytecka w Dorpacie ostentacyjnie spaliła, potępiając go za głoszenie idei wstecznych.

nogi; Antoni Edward Odyniec, autor *Felicyty i* katolik, radby więc całemu światu dać szyzmę[1]; a wkońcu rozmiłowany w przeszłości narodowej Antoni Edward Odyniec, autor *Barbary Radziwiłłównej*, w niebo wznosi oczy promienne świętem natchnieniem i woła:

»A wy, duchy Jagiellonów,
Rozradujcie się w wieczności,
Oto dziedzic waszych tronów,
Waszych myśli i miłości!«

Ignacy Chodźko[2], autor *Obrazów* i *Podań litewskich*, tak ukochanych przez Litwę i Koronę, równie rozmiłowany pisarz w tradycjach narodowych, umiejący z nich stawiać posągi oblane życiem i światłem — dał do tej księgi rzecz prozą p. t. *Dzień 6 i 7 września roku 1858*. W niej chwilę pobytu cara w Wilnie uważa jako »kartę wyjętą z księgi przeznaczeń«... woła, z pokorą uchylając czoło: »Palec Boży tu jest!«... wzywa Litwinów, aby »gościnę tę wiekopomną w narodowe święto zamienili«; przed cudownym obrazem w Ostrej Bramie, z pod której, niespełna lat temu sto, ubogi wileński mieszczanin strzelił z działa do Moskali, używszy żaru z fajki zamiast lontu, i wypłoszył ich z miasta — Ignacy Chodźko każe całej Litwie padać na kolana i słać »gorące, dziękczynne modły za niewysłowione łaski cara, który, rozdawając przebaczenie za błędy przeszłe, daje rękojmię szczęścia Litwy w dostojnych swych namiestnikach«.

Trzeciemu z rzędu, Mikołajowi Malinowskiemu[3],

---

[1] *szyzma* — tak w brzmieniu niemieckiem, poprawnie mówi się schizma (wyr. grecki) = odszczepieństwo; wyrazem tym katolicy określają prawosławie.

[2] *Ignacy Chodźko* (1794—1861), głośny w swoim czasie autor obrazków i powieści z życia szlacheckiego na Litwie; za najlepszą jego powieść uchodziły *Pamiętniki kwestarza*.

[3] *Mikołaj Malinowski* (1799—1865), historyk. Napisał m. i.: *A. Mickiewicz w Petersburgu w 1827 r.* Rzecz jego francuska na cześć cara znaczy po polsku: Litwa od wstąpienia na tron Naj. Pana cesarza Aleksandra II.

temu już język polski za ubogi do wypowiedzenia wzbierających się w łonie czarnych fal jego imperjo-patrjotycznych uczuć. Ten podał do księgi rzecz napisaną po francusku: *La Lithuanie depuis l'avènement au thrône de Sa Majesté l'Empereur Alexandre II.* Mikołaj Malinowski, historyk i uczony wydawca kronik Stryjkowskiego i Wapowskiego [1], zapatruje się na losy swego narodu z wysokości historji i objawia mu głębokie swoje pomysły. Według niego więc nigdy Litwa nie była szczęśliwszą, jak od wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II, gdyż przed tą błogosławioną chwilą sama ona była winną, gdy »skutkiem na zawsze opłakanych wypadków miała nieszczęście stracić zaufanie monarchy i zmusić rząd do surowych środków represyjnych, które przywiodły Litwę do ostatniej nędzy«. Według Mikołaja Malinowskiego, już pod koniec panowania poprzedniego dawała się w Litwie przewidywać możność wyjścia z tego położenia wyjątkowego przez uległość i pośpiech w spełnianiu wszelkich rozkazów władzy podczas wojny. Wspaniałomyślność nowego monarchy i jego podróż do Krymu przyspieszyły tak gorąco pożądaną chwilę. Gdyż, jak tłumaczy Mikołaj Malinowski, najjaśniejszy pan, zwiedzając szpitale wojskowe, znalazł wielu synów prowincyj zachodnich, okrytych szlachetnemi ranami w obronie ziemi cesarstwa. Zacni naczelnicy, jak tłumaczy Mikołaj Malinowski, dali im świadectwo męstwa i poświęcenia się zupełnego. Cesarz postrzegł, tak tłumaczy Mikołaj Malinowski, że generacja nowa, przejęta miłością ku jego osobie, gotowa jest przelewać swą krew dla okazania, że jej rodowość polska jest jedną więcej z przyczyn, skłaniających ją do wierności poprzysiężonej sztandarowi i pełnienia obowiązków obywateli. Niezdolnych do dalszej służby, opowiada dalej Mikołaj Malinowski, cesarz szczodrze na-

---

[1] *Maciej Stryjkowski* i *Bernard Wapowski,* kronikarze polscy z wieku XVI-go.

grodziwszy, odesłał na łono rodzin wielbić ojcowską dobroć i wysoką sprawiedliwość monarchy, który nie zwraca żadnego względu na różnicę narodowości swoich poddanych. Ci emisarjusze[1] nowego rodzaju, tak sądzi Mikołaj Malinowski, podnieśli do najwyższego stopnia miłość całej ludności dla osoby cesarza.

Wkońcu czwarty z tych apostołów, Adam Kirkor[2], a jak go dziennik paryski nazwał: woźnica tej powózki trzech litewskich magów, przyłączył do tej księgi artykuł w języku cywilizowanego świata i przyszłego Królestwa Bożego: *Istoriko-statisticzeskieje oczerki grada Wilny.*

. . . .

Co jest w tem wszystkiem najstraszniejszego, to same imiona winowajców. Odyniec, Chodźko, Malinowski, byli znani i cenieni w kraju. Teraz dopiero po ich spełnionej zbrodni zaczęto się bliżej im przypatrywać i teraz dopiero przypomniano sobie, że Mickiewicz, który żył kiedyś w zażyłości z Antonim Edwardem Odyńcem, nieraz powtarzał, iż się w jego piersiach nie mógł nigdy dostukać najmniejszego poczucia Polski; teraz dopiero wykryto, że młodzież polska, wiedziona wrodzonym instynktem, dawno już jego *Felicytę* spaliła; a nakoniec teraz dopiero krytyka zaczyna powątpiewać, czy Antoniego Edwarda Odyńca liczyć można w rzędzie poetów. Również teraz dopiero dowiedziano się o Ignacym Chodźce, że jest to szlachcic *à la* R z e w u s k i[3], któren uważał chama za stworzenie skazane na wieczne poddaństwo, niezdolne żyć bez pana — lubił nawet nęcić

---

[1] *emisarjusz* — wysłannik potajemny dla celów agitacyjnych.

[2] *Adam Kirkor* (1818—1886), używający pseudonimu Jan ze Śliwina, literat polski, między r. 1864—1868 wydawca pisma rosyjskiego *Nowoje Wremia.* W *Albumie wil.* pomieścił napisaną po rosyjsku rozprawę o Wilnie.

[3] *szlachcic à la Rzewuski* — w rodzaju powieściopisarza Henryka Rzewuskiego (1791—1866), wielbiciela złych tradycyj staroszlachetczyzny.

się[1] nad nim. Teraz dopiero rozgłoszono, że Ignacy Chodźko, zasiadłszy w Komitecie włościańskim, należał do najzaciętszych obrońców starego porządku i chciał z niego zachować jak najwięcej. Również teraz dopiero spostrzeżono, że Mikołaj Malinowski należał do najszczęśliwszych ludzi, którym jakiś przyjaźny rozgłos toruje drogi; że pierwej, nim złożył jakikolwiek dowód uczoności, znany już był za głęboko uczonego i stał się sławnym pisarzem więcej przez to, co miał napisać, niż przez to, co napisał; teraz dopiero zaczynają przebąkiwać o jego życiu prywatnem i oskarżać go o rzeczy przerażające. Nakoniec i o furmanie Adamie Kirkorze mówią i głoszą, że złe powożenie to najmniejsza z jego wad — bo to także człowiek bez czci i sumienia.

Teraz więc dopiero wykryto grzechy tych dawnych grzeszników. Bo u nas stróżliwość opinji publicznej nie sięga poza życie publiczne człowieka, a dom prawdziwego obywatela kraju powinien być szklannym, jak go chciał mieć Robespierre[2].

. . . .

Te nowe imiona Antoniego Edwarda Odyńca i Ignacego Chodźki łączą się do dawniejszych, należących do ludzi równie pobożnych: Michała Grabowskiego[3] i Henryka Rzewuskiego.

Płakać się chce, gdyby nie uśmiech tej wiary, co, jak powiada autor *Pieśni o ziemi naszej:* i w ogniu się nie mieni. A więc z pogodą na czole powtórzmy słowa Antoniego Edwarda Odyńca: Starszy Bóg, niż Bambiza![4] I dodajmy: Większy naród

---

[1] *nęcić się nad nim* — znęcać się nad nim.

[2] *Robespierre* — jeden z najgłośniejszych i najbezwzględniejszych działaczy francuskich w okresie Wielkiej Rewolucji.

[3] *Michał Grabowski* (1805—1863), powieściopisarz i krytyk literacki, znany z reakcyjnych poglądów.

[4] *Bambiza* (właśc. bombiza) — pogardliwe przezwisko »ministrów« (duchownych) protestanckich.

niż Antoni Edward Odyniec i Ignacy Chodźko.

Kiedyś staną na ziemi naszej dwie piramidy. Jedna biała ze złotym katalogiem imion tych z jej dzieci, co marli w tęsknocie i poświęceniu, jedząc długi czas po dantejsku[1] gorzki chleb dobrowolnego wygnania i deptając cudze schody; i tych, co zmarli w kopalniach Syberji lub zginęli w zamieci jej śniegów, i tych, co na własnej ziemi cierpieli krwawo i boleśnie, głośno czy milcząco. A druga piramida będzie czarna; i przywloką się do niej żołnierze ranni i ciekącą krwią własną wypiszą na niej imiona zdrajców na wieczną ich hańbę i potępienie.

O ty, matko święta, pełna przebaczenia i miłosierdzia, przeciwko której najwięcej grzeszono, boś zawsze najłatwiej przebaczała — tyś gotowa rozpłakać się nad tym pomnikiem niesławy swych dzieci i gotowaś własnemi łzami zmyć krwawe ich imiona. Uczynisz to zapewne i przebaczysz... ale my żyjący nie przebaczajmy!!

I cóż robić i cóż radzić teraz czterem tym potępieńcom? Oto niech te cztery ciała rozłożą się krzyżem przed Najświętszą Panną w Ostrej Bramie i niech zaklinają lud przechodni, aby deptał ich nogami. Błoto, pozostałe na nich z nóg tego ludu, wybieli może ich czarne dusze, przykryje śniegiem ich zbrodnie, a ta ich skrucha i pokuta, połączona z miłosierdziem bożem, może im da na ojczystej ziemi przynajmniej grób cichy.

---

[1] *po dantejsku* — jak wielki poeta włoski Dante (1265—1321), wygnany z ojczystej Florencji za przekonania polityczne.

O JANUSZU I O PANU WINCENTYM POLU [1]

I

28. kwietnia 1860

Uderzyłem na alarm. Podnieść naprzód chciałem trzy krzyki przeciwko trzem najstraszniejszym grzechom, dotąd lękliwie dotykanym, a oddawna już jak trzy bezmiłosierne miecze świdrującym serce narodu. Pierwszy mój krzyk był przeciw bezczelnym zdrajcom, co otuleni płaszczem łatwo u nas zdobywającej się powagi, każą narodowi wierzyć, że to krzyżacka suknia ukrytego Wallenroda, i prowadzą go drogą oczywistej przeciw niemu zdrady i najjawniejszego odstępstwa — ni to drogą zbawienia. Drugi mój krzyk powstał przeciw bezdusznej arystokracji, która krwawą pracą swych przodków dzierżąc imię, znaczenie i majątki, zapiera się całej swej przeszłości, szarga swoje imię i obchodzi się z odebranemi spadkiem dostatkami lekkomyślnie albo samolubnie, jak z zdobytym łupem w koszu tatarskim — a równocześnie skazuje na przerażającą poniewierkę kości własnych swoich przodków i dawców swego imienia. Trzeci mój krzyk, a najgłośniejszy, wstrzymany na chwilę nie z mojej winy, a który powinien był nastąpić zaraz po dwóch pierwszych, jako trzecie uderzenie młota — wymierzyłem przeciw apostazji kapłańskiej

[1] Ujejski w samym tytule odróżnia Pola jako twórcę *Pieśni Janusza* od pana Wincentego Pola jako autora szkodliwych gawęd staroszlacheckich.

Omawiane w tekście W. Pola *Pieśni Janusza* ob. wyd. »Bibljoteki Narodowej« Nr 33; *Pieśń o ziemi naszej* tamże Nr 21; *Mohort* tamże Nr 52.

mnóstwa naszych pisarzy, którzy swojem stanowiskiem stawali się jedynymi reprezentantami siły i ducha narodowego — a którego grzechu najważniejszym dla mnie przedstawicielem wydał mi się Wincenty Pol, ze względu na swoją, tak pięknie i cudownie cechującą go przeszłość, i z powodu tej ślepej ufności, jaką, w upadku już będąc, wzbudzał i dotąd jeszcze, chociaż w ciaśniejszych granicach, wzbudza.

Pan Wincenty Pol ma jednak wielką powagę w kraju; po Mickiewiczu żaden z pisarzy nie liczył tyle co on wielbicieli, nie cieszył się tak ogólną miłością. Wiele z pieśni Janusza drżało na ustach niepiśmiennych szeregowców wielkiej armji, rozpalały ich i prowadziły do boju, a miłość dla Wincentego Pola nietylko że była szczodrą, ale tak dziecięco ślepą i ufającą, że mu w czasach jego apostazji[1] z największą łatwością nietylko przebaczano, ale uniewinniano go — gdy tymczasem klęto, podejrzywano i szarpano olbrzymiego orła, Adama, którego potężne loty unosiły nieraz ponad donośność słabych ócz ludzkich.

. . . .

XVII

Tu także pora zastanowić się nad szkodliwemi wpływami, które zaczęły psuć ducha Januszowego. Nieszczęśliwa to była chwila dla śpiewaka i narodu, kiedy po raz pierwszy zasmakowało serce Janusza w oklaskach białych, aksamitnych rączek, w czarownym uśmiechu sentymentalno-patrjotycznych Polek, w nieszczerych uniesieniach »niezłych ludzi«, w miękkiej wygodzie wielbionego i ugaszczanego poety, którego sadzano na elastycznym fotelu, aby palić przed nim kadzidła i obsypywać go kwiatami. I tym sposobem stało się, że, wyjechawszy raz z domu Janusz, wrócił już jako pan Wincenty Pol. Nie w salonie miejsce dla wieszcza

[1] *apostazja* (wyraz grecki) — odstępstwo.

narodowego, ale na ulicy albo na pustyni. Atmosfera salonowa to atmosfera cieplarni, co wychowuje rośliny obce nam widokiem i swoim zapachem; milszy mi fiołek lub konwalja, kryjąca się w wilgotnym cieniu leszczyny, niż *Victoria regia* [1], a od kaktusu wolę naszą swojską pokrzywę. Skutek więc był ten, że kiedy Janusz w pełnem swojem narodowem kwieciu przeniósł się w tropikowe gorąco salonu — zwiądł, zmarniał, opuścił głowę i zabrakło mu tchu w piersiach. »Wlazłszy między wrony, krakajże jak one« — mówi nasze dawne przysłowie, więc pan Wincenty Pol stał się gładkim, grzecznym, nie lubiącym się sprzeczać, i zaczął pisać powiastki jak *Karusia*, w której dialoguje po francusku całą nieraz stronnicę. I od tej chwili pan Wincenty Pol, jak powiada Janusz: »państwem się oparzył« i jak powiada pan Wincenty Pol: »wierzchem żywota plusnął wesoło«...

. . . .

XXII

...Listy moje mniej są k r y t y k ą, a więcej s y n t e z ą [2] myśli i uczuć narodowych; dotykam w nich mnóstwa rzeczy bardzo potrzebnych, chociaż napozór nie mających związku z ich główniejszą treścią. Ważną jest zapewne osobą pan Wincenty Pol, ale ważniejszą chwila, w której te listy piszę. Mnie nie tyle chodzi o zwycięstwo nad panem Wincentym Polem, ile o zwycięstwo ducha narodowego. I nie uważam nawet pana Wincentego Pola za wroga, ale za jenerała, należącego do naszej armji, który w boju przezemnie wydanym — paść może. Nie w jednej stanowczej bitwie pada nieraz

---

[1] *Victoria regia* — nazwa wspaniałego kwiatu południowego.

[2] *synteza* (wyraz grecki) — ujęcie w całość, pogląd na całość.

kilkadziesiąt tysięcy ludzi i niema długiego żalu po nich tam, gdzie ważą się losy narodów.

Mówi mi duch, który mię obecnie porywa i unosi, że znakomity ten człowiek nie padnie w tym boju. Okryty ranami wyleczy on się z nich wkrótce i stanie, czem był: Januszem!...

. . . .

XXV

Po *Zgodzie senatorskiej* wydrukował pan Wincenty Pol trzecie opowiadanie Winnickiego: *Sejmik odprawiony 1766 r. w Wiszni*[1].

Na wstępie apoteozuje[2] pan Wincenty Pol ogólnikami życie publiczne szlachty w drugiej połowie zeszłego stulecia. Nieszczęśliwą wybrał chwilę do podniesienia tej cnoty, która i tak samą treścią poematu i przez znany nam dualizm autora łamie się za każdym krokiem i neguje sama siebie. I tu więc wstęp zapowiada wcale co innego, niż co znajdziemy we środku; fronton kościelny, przyczepiony do budy jarmarcznej, to nie nowina w poematach pana Wincentego Pola.

A inaczej znów szlachta za barki się wodzi,
Kiedy sprawa w narodzie o publikę[3] chodzi.

Bo publika jak wolność, takie wielkie słowo!
W niej umiano, jak w arce, wszelką świętość złożyć.
. . . .
Szlachcic gdy się w publice skąpał — bywał czysty!
I katolik prawdziwy i w sercu ognisty.
. . . .
Stąd różne religijne bywały praktyki,
I przez kościół, sakrament, droga do publiki.

. . . .

---

[1] *Senatorska zgoda* — i *Sejmik odprawiony 1766 r. w Wiszni* — tytuły gawęd W. Pola.

[2] *apoteozuje* (wyraz grecki) — ubóstwia, chwali przesadnie.

[3] *publika* — sprawa publiczna.

A kiedyś go już zaklął: A Bóg? — A Sakrament?
A co powie historja? — toś go miał już w saku!
I żeby jaka ryba, żeby jaki zamęt,
Upokorzył się szlachcic i poszedł na raku![1]

Zdawałoby się, że to wszystko prawda, a tymczasem w kilka lat później nieszczęśliwi Rejtan i Korsak[2] położyli się na ziemi krzyżem w izbie sejmowej i napróżno reprezentantów tej samej szlachty zaklinali na Boga, na Sakrament, na całe dzieje narodu o litość i miłosierdzie nad własną matką!

I znowu na drugiej kartce po tak pięknem wyłożeniu pojęcia ówczesnej szlachty w sprawach publicznych zapytuje się pan Wincenty Pol:

Któż górą na sejmiku?
Ani tęn co z rodu,
Ani ten co z zasługi znany u narodu,
Ani głowacz, ni siłacz, ni bogacz, mospanie!
Ale ten, co najraniej umiał dać śniadanie.

Bo to głosy wychodzą przez gardło i zęby,
I grzeczne za nadobne — więc daj co do gęby!
Kochasz? — Kocham! — To daj jeść! — i buzi, i basta!

Rozmiłowanemu w tej obrzydliwej trywjalności[3] panu Wincentemu Polowi za mało jeszcze tego; więc pyta dalej:

I co robi przyjaciół?
Mało potraw u stołu — a wielkie półmiski,
I racja bardzo prosta

tłumaczy pan Wincenty Pol, bo

...Gdzie półmiski wielkie, tam i przyjaźń wielka,
Ergo![4] . . . .
Stąd też partji sędziego nikt zdradą nie zmącił,
Bo w kupie trzymał ludzi i rano posilił;

---

[1] *poszedł na raku* — wycofał się (jak rak).
[2] *Tadeusz Rejtan* i *Samuel Korsak* — patrjotyczni posłowie z Litwy, którzy nie chcieli dopuścić do podpisania rozbiorów kraju.
[3] *trywjalność* — pospolitość.
[4] *ergo* (wyraz łaciński) — więc, zatem.

I pokrzepił na duchu, pod miarę wychylił;
A gdy szlachta po mieście przyciągała pasa,
A pas ciągle folgował, nie było z nią rady,
Bo czekaj do wieczora na pańskie obiady,
Kiedy człeku aż pachnie wódka i kiełbasa;
Więc nieraz się tak działo, że partji odstąpił;
I wziął go bez obrotu, kto rano nie skąpił.

Wszystko to wydaje się bardzo naturalnem panu Wincentemu Polowi, i znowu po swojemu tłumaczy:

I racja bardzo prosta! — modlitewka krótka,
Et in quo nati sumus [1] — więc puzdro i wódka,
Z wereszczakiem [2] kiełbasa, a z szafranem flaki,
Więc barszcz, dalej kapusta,
A pieczenia szósta,
Głowizna i nogi,
Dwunaste pierogi —
A w dzień postny braciszku naprzód idzie rak...

Uwalniam czytelnika od dalszego ciągu tego dytyrambu [3] z obawy, aby się nie rozchorował; pokazuje się tylko, że »mało potraw u stołu«, jak powiedział wyżej pan Wincenty Pol, nie daje wcale jeszcze rękojmi do uzyskania sobie przyjaciół. Biedny Janusz, więziony przez pana Wincentego Pola, co on powiedział, słuchając takich rymów?! Poczem następuje rzecz o jenerale ziem podolskich i o zasługach jego rodu. Czartoryskim, mówi pan Wincenty Pol:

. . . . nie szło o to,
By się wzbijać w zaszczyty, lub gromadzić złoto,
Aby wszystko owładnąć, wojować i sądzić,
Lecz by Rzeczpospolitę inaczej urządzić.
. . . .

Niema co mówić, ślicznie ją urządzili, sprowadzając pierwsi Moskwę do Polski — i tym dopiero czy-

---

[1] *et in quo nati sumus* (po łacinie) — i w czem urodziliśmy się, do czego nawykliśmy od młodu.

[2] *wereszczak* (lub wereszczaka) — słonina smażona z cebulą.

[3] *dytyramb* (wyraz grecki) — poemat pochwalny.

nem rozgłosili swoje imię, tak głuche przedtem w dziejach narodowych.

Nieszczęśliwym był pan Wincenty Pol, ile razy udawał profesora; tą razą równie nieszczęśliwie przebiera się za głębokiego statystę[1]. Mówi on o dworze Czartoryskich:

. . . . Więc choć pan cię raczy,
Pytał człowiek sam siebie: co na dworze znaczy,
Gdzie tylko cenią rozum, zasługę i miarę,
I więcej to, co dobre, niżli to, co stare?
Człowiek do rady skory, lecz pan żąda służby,
Sekret duszą w czynności — a tu brat nasz plecie;
Kto obliczył — ten tylko pewien skutku w świecie,
A bractwo puszcza przyszłość na wróżki i wróżby:
I choć przyzna, że mądrość człeku nie macocha,
Choć przyzna i pochwali — rozumu nie kocha!

I następuje równie ciemna konkluzja[2] tej gmatwaniny:

Więc ciężki mieli żywot mężowie tej drogi;
I chociaż postawili niejedno na nogi,
Co ich czasy przetrwało i dzisiaj się krzewi,
To o ich wiernej służbie bractwo i dziś nie wie;
Cóż dopiero za życia? Szkoda mówić, szkoda!
Ale wróćmy do rzeczy.

»Szkoda mówić, szkoda!« a tem bardziej przepisywać rzeczy, których i sam autor pewnie nie rozumie. »Ale wróćmy do rzeczy«, powiada autor; zobaczmyż dalej, czy będzie on mówić i d o r z e c z y. Czartoryskich więc, nad których »nie było większych statystów«,

. . . . nie miarą dworską
Mierzyć wypadało i nie senatorską:
Ale chyba już tylko miarą m o n a r c h i c z n ą.

A więc już teraz wiemy, że Czartoryskim chodziło o koronę, ale jakże znowu pogodzić to z powiedzeniem o nich o jednę kartę przedtem:

---

[1] *statysta* — polityk, zajmujący się sprawami państwa.
[2] *konkluzja* (wyraz łaciński) — wniosek.

. . . . bo nie szło im o to,
By się wbijać w zaszczyty lub gromadzić złoto,
Aby wszystko owładnąć, wojować, i sądzić.

Z powodu księcia jenerała mówi pan Wincenty Pol:

Książę jenerał w niewielkim mirze u szlachty zostawał,
Bo drwić lubił ze szlachty, a licho jeść dawał,
A to szlachcic, mosanie, kiedy zbroił czasem,
Przyjął nawet batogi, byle na kobiercu,
I znowu go pan ujął koniem albo pasem.
. . . .
Więc się gniewem paliły serca i czupryny!
Ale widząc nareszcie, że pan pierwszy kłania,
Ogłupiał jaki taki, i już nie miał zdania.

Nie, nie! tak źle nie było, tak być nie mogło; takiej podłości nie miała nigdy szlachta polska, nawet w najstraszniejszych chwilach swego zepsucia. Nie plam, nie hańb, nie obrzydzaj nam własnego rodu, panie Wincenty Polu!

Tu miejsce zadziwić się: skąd ten czar pada na naszą szlachtę, co ślepa i głucha uwielbiała i powtarzała z najwyższym zapałem wszystko, cokolwiek kiedy pan Wincenty Pol napisał? Ci, co nazywają demagogiem[1] każdego, co lud kocha, umieją niejedni całego *Kilińskiego* na pamięć i deklamują z przyjemnością zawarty w nim następujący ustęp:

Lecz tych zdrajców
Bierz, hetmana i prymasów —
Więc biskupy — więc hetmany,
Więc nieszczere inne pany,
Jak Bóg kazał, podyndali,
I nogami świat żegnali.

Ci, co jako waleczni żołnierze przelewali swą krew w roku 1831, deklamują równie z pamięci całego *Wach-*

---

[1] *demagog* (wyraz grecki) — przewódca ludu; dzisiaj przeważnie w ujemnem znaczeniu.

mistrza Dorosza, ten straszny, po większej części najniesprawiedliwszy sarkazm na całą armję polską, a którego *Dorosza* pozwolił pan Wincenty Pol przedrukować temu lat kilka w Petersburgu! Jaki to balsam musiał być dla cara.

Ci, co uważają pana Wincentego Pola za ulubionego swego poetę, podnoszącego tradycje i cnoty szlacheckie, czytali i czytają obrzydliwe, zacytowane przezemnie ustępy o szlachcie z *Sejmiku* i czytają to z zadowoleniem, z uśmiechem na ustach!

Niech mi to kto wytłumaczy — ja nie potrafię.

Miałby mi za złe oburzony czytelnik, gdybym chciał zejść do potrzebnego spokoju krytyka i dalej prowadził zaczęty rozbiór *Sejmiku.* Jam nie chłodny cyrulik, krający spokojnie trupa, ale podobien jestem do dziecka, co topi lak na zaumarłej piersi swojej matki, aby ją do życia przywołać — a czyni tę srogą próbę z płaczem.

Pamiętniki Winnickiego należą do najgorszych książek i pod względem ich artystycznego układu i pod względem treści. Osią, około której się obraca treść *Przygód młodości,* jest kańczuk [1]; osią, około której się obraca treść *Zgody senatorskiej,* są litery *ch* zamiast *k* [2]; osią, około której się obraca treść *Sejmiku,* są ukradzione szarawary! [3] Zaiste piękne ziarna pod łupiny artystyczne.

Ale mniejsza o to; nam nie o artyzm chodzi. My przedewszystkiem przyzwyczailiśmy się szukać w poezji ducha, co nas tak długo umacniał i podnosił. My wiemy, że pieśń legjonów o Dąbrowskim nie ma

---

[1] *kańczug* — batog.

[2] *litery ch zamiast k* — Balowie nazywali Mniszków Mniszkami, jak się oni rzeczywiście nazywali; reszta szlachty zwała ich Mniszchami, aby im schlebiać i upodobnić ich nazwisko do magnackiego Mniszchów. Stąd spór między obu rodami.

[3] *szarawary* — spodnie.

wielkiej wartości pod względem formy, a była i jest naszą świętością; w nieudolnej formie cóż nam dał pan Wincenty Pol w *Pamiętnikach Winnickiego*? Niech czytelnik osądzi.

Co jest dla mnie najbardziej niezrozumiałego, to prawdziwa czy fałszywa nieudolność krytyków, którzy dotąd żadnego utworu pana Wincentego Pola nie rozebrali, jak się należy, a nigdy w swoim poglądzie nie chcieli wznieść się na stanowisko moralności narodowej. Chwalono lub ganiono wiersz, oślepiano się brzmiącemi frazesami o żadnej, a częściej o złej treści. Żaden z nich nie odezwał się: Ten pachniący kwiat — zabija; w tym owocu z nad Martwego morza jest w środku siarka i popiół. Chwalili wszyscy, księgarze dopytywali się o nowe poemata, dawali za nie sumy neapolitańskie — a pan Wincenty Pol pisał, przedawał swoje pisma i truł naród.

. . . .

XXXIII

. . . .

W jednym miesiącu przeżyłem cały żywot Wincentego Pola. Magnetycznie brałem w pierś moją wszystkie jego natchnienia i boleści. On może sam siebie tak nie zna, jak ja go znam — bom z miłością przystąpił do osądzenia jednego z mistrzów moich. Z głębi mego sumienia powtarzam raz jeszcze: z miłością sądziłem! Częsta moja gorycz, ironja i sarkazm niemiłosierny nie idą mi z serca, ale z uznania potrzeby; słodycz i grzeczność nasza gubią nas; sypię więc ognisty żar pod zmartwiałe nogi cudze, ale sam moją bosą, czującą nogą stąpam po tym żarze i boli on mię żywiej, niż tamtych.

W drodze towarzyszyły mi blaski i zapachy ducha Januszowego i radowała się dusza moja; za zbłąkanym szedłem przez ciernie i skały, włóczyłem się za nim po przepaściach i moczarach — smutny.

Jak powiedziałem, nie jestem sędzią, ale prokuratorem narodu. Tego tytułu nikt mi nie dał i nikt mi nie odbierze. Ja oskarżam, naród niech sądzi. Przed jego powagą schylam moje czoło, więcej przed nikim tu na tej ziemi.

Stojąc na mojej trybunie, streszczam się teraz i kończę tak:

1) Oskarżam Wincentego Pola naprzód o to, że w misji swojej nie wytrwał; że przeszedłszy, co mu pozwolonem było, od biednych i zapomnianych do bogatych i górujących, aby w tych drugich zaszczepiać miłość dla pierwszych, prostować ich drogi, umacniać w wierze narodowej, karcić, jeśli potrzeba — Wincenty Pol przejął się przeciwnie ich narowami, schlebiał im nawet, ugrzązł w rzuconych mu kwiatach, »przestał w sercu być żałobnym, przestał mówić zdrowiem« *(Oskarżony)*; zapomniał o misji swojej, a pamiętał o sobie, przestał kochać naród, a przedewszystkiem pokochał siebie, »państwem się oparzył« *(Oskarżony)*, zapragnął wygody i dostatku; zaprzestał Bogu dziękować

. . . . . . za to, co z nieba
Bóg jedno daje, co świętsze od chleba *(Oskarżony)*

i zapomniał o tem, że

U nas mury się nie świecą!
A o kącik nie tak trudno *(Oskarżony)*.

2) Oskarżam Wincentego Pola, że po tem odstępstwie, będąc srogo ukaranym[1] przez Boga, bo ręką tego ludu, który on kochał i wyniósł na widownię narodową, nie uznał w tem kary Boga, nie ukorzył się przed nią, nie oczyścił się własną krwią wylaną, nie uznał zbrodniczej ręki ludu jako narzędzia dla spełnienia kary na sobie, nie szukał tam winnych, gdzie na-

---

[1] *srogo ukarany przez Boga* — zbity przez chłopów w czasie rabacji z r. 1846.

leżało, ale jednostronnie potępił własnych — i nie przebaczył ludowi! On, co powiedział:

To i we łzach się rozpłynie,
I przebaczy, lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

3) Oskarżam Wincentego Pola, że w ogniu 1846 roku straciwszy wiarę, on, co powiedział:

»Oj zła to wiara, co się w ogniu mieni!«...

nie stracił przeto chęci przewodniczenia narodowi, a czując, że potrzebnej mu powagi z siebie samego już wydobyć nie może, nie szukał jej i nie pragnął zdobyć ją u własnego narodu, ale starał się o nią u nieprzyjaciół naszej sprawy; włócząc się z nimi, nadskakując im nieraz, profanował godność swoją kapłańską dla zdobycia sobie stanowisk albo obcych, albo nieodpowiednich, albo za leniwych dla myśli narodowej.

4) Oskarżam Wincentego Pola, że przestawszy kochać i potępiwszy lud, bez miłości zaczął służyć »znarowionej« części naszej szlachty, on, co powiedział:

»I służyć nie lubię — nie dobrze jest służyć!«...

apoteozował najgorsze przywary szlacheckie, za które od całego wieku Bóg nas karze, apoteozował egoizm i brak serca dla rodziny w *Przygodzie Winnickiego*, pieczeniarstwo i frymarkę dobrem publicznem w *Sejmiku;* z goryczą odzywał się kilkakrotnie w *Drobnych poezjach* o zniesionej pańszczyźnie, i nową przepaścią chciał oddzielić szlachtę od ludu; umacniał przeto wszelkie złe w misyjnej szlachcie naszej, lał oliwę na rany jej sumienia, odwodził ją od negacji, która jest naszą cnotą, obowiązkiem, patrjotyzmem. Służkował wielkim panom, albo ludziom wielkiego imienia: apoteozował braci Czartoryskich, którzy trzema czynami rozgłosili dopiero swe imię w dziejach naszego narodu: pierwszem obszerniejszem zaprowadzeniem stroju francu-

skiego (Kitowicz), pierwszem sprowadzeniem Moskali w łono Rzeczypospolitej, jako jej protektorów, i osadzeniem na tronie Stanisława Augusta, jako jej pogrzebacza. Apoteozował nawet małego Woltera [1], biskupa Krasickiego; zaparł się własnego sądu o »wołyńskich panach«, lud tyranizujących, a co więcej pozwolił im nahajować nawet szlachcica, byle go potem wynagrodzić »pasem albo koniem«; stawiając więc z takiemi przywilejami i wynosząc nad poziom szlachecki magnatów, tworzył nową przepaść, dzielącą ich od szlachty. Zaparł się nawet swego własnego sądu [2] o »podolskich półpankach«, tych synach ekonomskich, bogacących jedynie kraj cukrowniami i pałacykami, a o których imionach sam Wincenty Pol powiedział w innem miejscu:

»Dawne, bo bez wywodu — a świecą, bo ciemno!«

I tem samem ukorzył swego ducha przed złotem, byle jak nabytem, byle jak trwonionem.

5) Oskarżam Wincentego Pola, że w upadku będąc, niezadowolniony z samego siebie, bo grzeszny, odnosił wewnętrzny swój niepokój najniesprawiedliwiej do przyczyn zewnętrznych. Skarżył się gorzko na świat i na ludzi, obwiniał wszystko, tylko nie siebie, on, co powiedział:

»I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niźli bliźnie«.

Wyrzucał kochającemu i szczodremu dla siebie narodowi niewdzięczność i skarżył się z osobistych swoich niesmaków, jakby jeden z nas bajroniczny w ośmnastu leciech poeta; on, co jako Janusz młody, namiętny, rozkochany, umiał poświęcić nawet głos jednego z najpiękniejszych ludzkich uczuć: »miłość dla

---

[1] *Wolter* — sławny pisarz francuski z XVIII wieku; *małym Wolterem* nazwano tu Ignacego Krasickiego.

[2] *zaparł się nawet swego własnego sądu* — gdyż w następnych wydaniach *Pieśni o ziemi naszej* opuścił ustęp o podolskich półpankach.

ócz anielskich« dla głosu wyrywającego mu się żywiej z piersi, dla głosu: o ojczyźnie. Bo sam powiedział:

»Moja skarga was nie znudzi;
Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,
Żale toną w głąb.
Mego serca pieśni własnéj
Słucha tylko miesiąc jasny
I stuletni dąb«.

I w innem miejscu:

I ziemskie gorycze
Sam połknie w milczeniu;
A jasne oblicze
Wyświeci w natchnieniu.

6) Oskarżam Wincentego Pola, że zwątpienie swoje indywidualne chciał przelać w cały naród; sam wątpiący, obwiniał wszystkich, którzy żyli wiarą i nadzieją; płynącym z prądem czasu stawiał tamy; bezwzględnie potępił demokratyzm, który jest treścią nauki Chrystusowej; naigrawał się ze wszystkich pracowników około tej idei, każdemu bez wyjątku przypisując złą wiarę; nie pozwalał na żadne burzenie, sam nic nie budując, on, co powiedział:

»Trzeba będzie
I niejedno miłe zburzyć
A inaczej odbudować«...

Wierzył w zbliżające się czasy Antychrysta i kazał nam w bezczynności oczekiwać śmierci; bezczynność taką uważał za miłą Bogu:

I rzekł w miłości i w ducha pokorze:
»Wracaj na puszczę, boś ty miły Bogu!«

sam mówiąc o sobie:

»Nie stało pracy, fortuny i zdania,
Wyszły mi cnoty i prawdy bez czasu,
I nic nie miałem już ludziom do dania,
Tom się i zabrał nareszcie do lasu«.

7) O s k a r ż a m Wincentego Pola, że »nie zabrał się do lasu«, sam czując, że »nie ma już nic ludziom do dania«, i powiedziawszy raz:

I biednym w sercu, a i w duchu tępy:

nie milczał, ale pisał, pisał byle co, byle jak, dla autorskiego zysku, nic więcej; duch Janusza odzywał się często do niego: m i l c z!... duch zły perswadował mu: p ł a c ą! Bez wiary wmawiał w naród, że daje prawdę; bez natchnienia wmawiał w naród, że daje piękność. Frymarczył poezją jak towarem, sprzedawał d u c h a! popchnął swoim przykładem wielu z młodszych utalentowanych poetów na drogę takiej samej frymarki. Z poezji zrobił nierządnicę, ofiarującą się w wypłowiałej szacie byle za jaką nagrodą; i dał dziewiczej poezji, która stać powinna między ludźmi jak słup z czystego ognia i natchnionej wiedzy, dał jej, jak Anglicy mówią: *horizontal condition* [1], a przecież sam powiedział:

I świstkami płacić każe:
Względy dzienne, chleb powszedni,
I gdzie zawsze to noc zmaże,
Co nakreślił dzień poprzedni!

8) O s k a r ż a m Wincentego Pola, że pchał budzący się naród w ramiona Moskwy; w zlaniu się z nią widział nasze zbawienie, z męczennicy chciał zrobić wieczną niewolnicę; ideę zaborczo-moskiewską postawił wyżej od idei Polski: cierpienia i poświęcenia. Żałobną, polską wdowę chciał powtórnie wydać zamąż za dzikiego Mongoła; jej sieroty oddawał w ręce t a k i e g o ojczyma!... On, co powiedział:

. . . . Wdowa!
Ale wdowę ucisnąć to więcej jak zbrodnia,
I już za życia w sercu piekielna pochodnia!

---

[1] *horizontal condition* (wyraz angielski) — poziomość, niskość.

9) Nakoniec oskarżam Wincentego Pola, że targnął się na naszą świętość narodową, na *Pieśń o ziemi naszej*[1], do której, jak już raz powiedziałem, nie ma już więcej prawa; nie należy już ona do niego, bo stała się własnością narodu. Janusz nam tę pieśń wyśpiewał, mówię raz jeszcze: Pan Wincenty Pol nie ma do niej prawa!

Wyłożywszy te grzechy Wincentego Pola, jestem tego przekonania, iż one przyczyniły się najbardziej do zdemoralizowania się naszego kraju od lat kilkunastu.

Oskarżyłem! Mam jednak obowiązek przytoczyć i to wszystko, co może umniejszyć winę oskarżonego.

1) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż nie wytrwał w kapłańskiej swojej misji — to, że powiedzianem jest: »Duch wasz silny, ale ciało wasze słabe«. Bo pokusy wielkiego świata niełatwo dały się odepchnąć miękkiemu sercu Wincentego Pola, ognistej jego fantazji; bo go otoczono wonią kwiatów, blaskiem diamentów, uśmiechem czarownych kobiet, pieszczotą ich głosu; a woń taka odurza, a blask taki olśniewa, a uśmiech taki podbija, a głos taki przytępia słuch i czyni go drażliwym dla szorstkiego głosu prawdy.

2) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż nie przebaczył ludowi — to, że kochał go, jak nikt w kraju; bo on pierwszy wyprowadził go z zapomnianej chaty przed oczy narodu i powiedział: Patrzcie, jaki czysty i piękny — kształćcie się według niego!... A część tego ludu shańbiła się potem zbrodniczym czynem i zalała krwią te same kapłańskie usta, które głosiły cnoty tego ludu. On kochał ten lud nie ślepą miłością matki, ale trzeźwą miłością ojca, więc czem silniejszą była jego

---

[1] Oskarżenie odnosi się do tego, że w cenzuralnem wydaniu *Pieśni o ziemi naszej*, noszącem tytuł *Pieśń o ziemi* (Warszawa 1859), Pol opuścił pewne ustępy pierwotnego tekstu i zgodził się na cenzuralne zmiany.

miłość dla dobrego tego dziecka, tem głębszy żal dla grzeszącego.

3) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż czepiał się ludzi wstrętnych i obcych narodowi i schlebiał im często — to, że sam niezagojone nosząc rany, szpitalnej zapragnął ciszy, a czując się zdatniejszym od innych, chciał na drodze urzędowej obsługiwać pokaleczonych braci. Sądząc według własnej, strasznie piekącej rany, chciał goić ranę narodową balsamem ukojenia, ciągnącą się oliwą długiej, a nieskutkującej rady, eterem, zanurzającym cierpiącego w bezwładność, a zapomniał o tem, że lepsi lękarze leczą niebezpieczne rany nożem i kauteryzacją[1]. A że w staraniu się o ten urząd szpitalny nie zawsze był oględnym i często sądzić było można, że powoduje nim »próżność z chęci przewodniczenia« — wybaczcie, bo któż na śliskiej drodze nie upadnie czasem... i któż z nas powiedzieć może: »Nie mam żadnej próżności w sobie!«

4) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż schlebiał panom i szlachcie i apoteozował wszystkie nawet przywary naszej przeszłości narodowej — to, że obleśni są niektórzy panowie, układni wobec plebejusza, żartujący dopiero z niego za jego plecyma; karki takich giętkie, czoła wytarte, znajomość świata wielka; umieją uniżyć i ukorzyć się — gdzie trzeba, podleźć — gdzie trzeba, ozłocić największe swoje zbrodnie—gdzie trzeba. A szlachta nasza szczera, otwarta, serdeczna, zamąci głowę niejednemu winem i pocałunkami. Cała wielkość ojczyzny spoczywa w jej łonie; nosi ona w sobie wszystkie jej cnoty i przywary bez samowiedzy o tem; sięga do swej piersi i cokolwiek z niej wydobędzie, złoto — czy błoto, podnosi jako rzecz narodową, bo ślepo kocha swoją ojczyznę i pamięć o niej. A Wincenty Pol jest przedewszystkiem szlachcicem, nietylko każdym rysem swej pięknej twarzy, ale każdą kroplą krwi swo-

---

[1] *kauteryzacja* (wyraz grecki) — wypalenie.

jej, każdem uderzeniem swego złotego, poczciwego serca. Więc i jego ciągle objawiające się niekonsekwencje, jako poety, przywarą są jedynie szlachecką — nic więcej.

5) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż śpiewał o sobie i skarżył się nad sobą — to, że on przedewszystkiem jest poetą lirycznym, a każdy taki poeta to wyśpiewuje, co mu leży na wierzchu serca. Wincenty Pol, dopokąd był Januszem, miał na wierzchu serca: ojczyznę, a pod nią dopiero miłość dla siebie. Wincenty Pol, straciwszy wiarę w ojczyznę, zepchnąwszy ją z najwyższego szczebla swoich uczuć — zaczął śpiewać o sobie.

6) Umniejsza tem samem winę Wincentego Pola, iż dawał innym zwątpienie — to, że sam wątpiąc, nie mógł dawać wiary. Śpiewał zwątpienie, bo jak każdy prawdziwy poeta był szczerym; nie przestał śpiewać, bo pieśń dla poety staje się nałogiem, jak dla innych wino.

7) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż frymarczył bożym swoim darem, bo w dzisiejszym świecie pokusy złota silniejszemi są nawet od pokus kadzideł. Wincenty Pol był zawsze ubogim, a lubiał, jak każdy poeta, otaczać się pięknością i wygodą, a przytem, jak każdy poeta, nie zawsze umiał być rachunkowym. Wincenty Pol miał liczną rodzinę, którą kochał, liczniejszych przyjaciół, którym często dopomagał, zapominając nieraz o własnych potrzebach. Serce u niego bije zawsze głośno, gorąco, litośnie; ręka idzie za sercem i wyrzuca z kieszeni ostatni nieraz swój grosz wdowi. A tymczasem większa część naszych księgarzy podobną jest do onych obleśnych panów; umieją oni wyprosić, wyłudzić, namówić na co potrzeba. Nie każdemu poecie danem jest otoczyć się katońskim cierniem przed panami i księgarzami.

8) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż oddawał nas w ręce Moskali — to, że nad zwichniętym jego charakterem góruje zawsze u niego olbrzymia, łatwo zapalająca się fantazja wielkiego poety, która ozłaca

wszystko, czegokolwiek się dotknie. W patrjotyzm Wincentego Pola, w jego polskość, nigdy nie wątpiłem, i nikomu wątpić nie wolno.

9) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż pozwolił na wydrukowanie *Pieśni o ziemi* — to, że sam nie czuł doniosłości tego grzechu. Bo powiedziałem już kilka razy, że skrupulatność sumienia stosuje się do wysokości ducha — a duch Wincentego Pola jest w upadku.

Umniejsza winę Wincentego Pola jeszcze to, że wielu złych, głupich albo nieudolnych ludzi, czyto między literatami, czy między szlachtą, starają się o to usilnie, aby go utrzymać na drodze błędu. Podli!... sami nie mający siły ani ochoty podnieść się z grzechów, zdaje im się, że umniejszą ich wagę, jeśli będą mogli powiedzieć: »Wszak i Wincenty Pol tak robi, wszak i Wincenty Pol tak mówi«. Podpierają się i zasłaniają tym znakomitym człowiekiem, któremu grzechy nie wydobyły się z trzeźwej, logicznej konsekwencji próżności i samolubstwa, jak u wielu jego faryzeuszowskich wielbicieli. Plotkarze, znoszą oni Wincentemu Polowi różne wiadomości, które posłużyć mogą do ich własnych celów, jeśli przejdą przez gorejącą i złocącą wszystko fantazję wielkiego poety. Schlebiają mu więc, uspakajają, łagodzą budzące się w nim wyrzuty sumienia, bo im się zdaje, że zniżając ducha Wincentego Pola, ich własny wyda się przeto większym. Karły! obalają olbrzyma na ziemię i cieszą się, że mu dorośli! Pierś leżącego tego olbrzyma wyżej się jednak wznosi nietylko nad miejsce, gdzie serce być powinno u was stojących, ale nawet wyżej głów waszych!

Umniejsza winę Wincentego Pola jeszcze to, że dotychczasowa nasza krytyka, z małemi wyjątkami, była jedynie dziennikarskim fabrykatem ludzi nieszczerych albo nieudolnych. Dzienniki nasze po większej części nie kierowały opinją, ale schlebiały jej dla zyskania sobie większej ilości prenumeratorów. Z tego względu nikt prawie nie odważał się stanąć przeciw

płynącej wodzie, wszyscy płynęli z falą i za falą, obojętnie patrząc na głowy tonących, obojętni na bliską metę, za którą woda, spadając kataraktą[1], rozbija się o skały. Sami, trzymani na powierzchni wody pęcherzami swojej literackiej nadętości, zagrzewali jeszcze innych: »Garnijcie się około nas, mili prenumeratorowie, płyńmy razem a wesoło! ale prenumerujcie, prenumerujcie!« A zcicha szeptali sobie: »Na łódkę Charona może im grosza wystarczy jeszcze! My nie utoniemy, bo nas pęcherze trzymają, i ze spadającą wodą nie rozbijem się o skały, bo wiemy o miejscu tego ludospadu i zatrzymamy się w porę«.

Wincenty Pol nie usłyszał dotąd od nikogo ani jednego słowa przestrogi; chwalono mu wszystko, zachęcano do coraz płodniejszego tworzenia: tamci nikczemnicy dla własnych swoich widoków, szczersi przyjaciele przez serwilizm[2], ten straszny obecny nasz grzech narodowy.

Czy był naprzykład sens, czy była w tem sumienność redaktora *Czytelni dla młodzieży,* wypraszać od przygniecionego na chwilę Wincentego Pola głupi pochwalny wierszyk jakiejś »upitej kobieciny« i drukować go, jakby dla rehabilitacji Wincentego Pola?... I Wincenty Pol ugiął się przed prośbą i mądrą perswazją niedowarzonego studenta!

Nakoniec umniejsza winę Wincentego Pola jeszcze to, że należąc do rzędu wielkich poetów, a celując między nimi gorejącą miłością, stał się przeto niecierpliwym i łatwiej od innych podpadał zwątpieniu. A czując się zwątpiałym, czuje się nieszczęśliwym; pragnie i wzdycha za wiarą; chciałby się podnieść, ale nie ufa siłom swoim. Przed ludźmi on niby spokojny, pewny siebie i hardy, ale niejedna cisza nocna słyszy jęk jego

---

[1] *katarakta* — wodospad.
[2] *serwilizm* — służalczość.

duszy, gwiazdy przeglądają się we łzach jego oczu. Wart więc przebaczenia — bo cierpi!

Prześliczna jest jego spowiedź: *Makowe ziarnko;* spowiedź ta smutnego, grzesznego anioła, brzmi tak:

»Szeroko sięgał mój umysł zamłodu; wiele miłości i wiele pogardy płynęło mi przez duszę, a trudno było o miarę; więc miłość stała się dla mnie chłostą, a moje cnoty były mi karą. O, praca ducha — to wielka tortura! Często ogarniało mnie zwątpienie i chwiały się nogi w podróży; więc ustawałem dla odpocznienia. A zmęczony będąc i złamany, skarżyłem się niebu: Za co mi taki żywot padł na ziemi?! Nie lepiejbyż mi było z mojem sercem cichem i skromnem żyć nieznany a szczęśliwy? I w takiem zadumaniu zbiegała mi noc bezsenna. Ale nad ranem pierwszy promień jutrzenki był mi jak ręka ojca, budzącego swoje kochane dziecko; ze snu smutnej zadumy wstawałem rzeźwy i silny; obmywszy się rosą, byłem jakby po chrzcie nowym. I znów mówiłem: Dalej za lepszymi, dźwigaj się duchu przez Chrystusa rany! I znowu brałem mój kostur do ręki — i szedłem dalej«.

»Nie szedłem drogą wielką, którędy tłum chadza, bo była ona złą i marną, a małe ścieżki wydały się ciasne dla mojego ducha; więc torowałem sobie moją drogę osobną, własnem mojem ciałem przecinałem zarośla i często kaleczyłem się cierniem — szedłem samotny i bolejący, a szedłem pełen otuchy, bom torował nową drogę dla narodu mego!«

»Nieraz mignął mi z gęstwiny wdzięk twarzy niewieściej, i wtedy rzekłem sobie: Nie dla mnie ten uśmiech błogi; ja kocham naród i nie pragnę już innej miłości! Nieraz zajrzałem wznoszący się dym z pod cichej strzechy: tam mieszkają ludzie spokoju i błogosławieństwa; i mówiłem sobie: Moja ojczyzna bez domu, toż i ja własnej chaty mieć nie chcę! Widziałem nieraz zdaleka, jako inni bracia rośli w szczęście i dostatki, i rzekłem w duchu: Jam ubogi, a nie zazdroszczę im!

I widziałem także, stojąc w mym cieniu na stronie, jako innych uwieńczała sława, i mówiłem: Jam nie godzien sławy, kiedy mój naród w poniżeniu! I wchodząc w siebie, tak mówiłem wkońcu:

»Królestwo moje nie jest z tego świata,
I wielkość u nas jeszcze nie na dobie,
I niechaj szczęście wybranych opłata...
Dla czystej sławy niema jeszcze pola!
W cichości serca trzeba się sposobić,
Wprzód uróść musi i praca i wola.
Trzeba odkupić — stracone odrobić...
A jeśli takie są wyroki Boże,
To ktoś tam kiedyś na tem uróść może,
I cichy sercem w równej ziemi siędzie,
I wielką władzę odziedziczą prości;
Ktoś tam szczęśliwym — ktoś i sławnym będzie,
A niezłamany urośnie w wielkości.
I będą kiedyś, o, będą tam tacy,
Choć nam padł żywot »w p r a c y i b e z p ł a c y«.

»Wiedziałem o tem, że bez miłości wszełka sprawa marna. Więc pomimo tego, iż szedłem bez opatrzenia i bez towarzyszy, obudziłem na samotnej mej drodze wielką, nieznaną prawie w onym czasie miłość dla całego mego narodu«.

»I już tą miłością wszystko do mnie przemawiało:

»A więc pytałem źródeł, idąc krajem:
Skąd się to tyle czystej wody bierze?
I komu czyste niesiecie w ofierze? —
I rzekły do mnie: »k o c h a j, bo my dajem!«

Kochaj lud! bo to źródło, to jego chrzcielnica i kąpiel i puhar!

»Pytałem lasów starodawnych w ciszy:
Co w waszym cieniu tak uroczo dyszy?
I rzekły do mnie: »my rośniem w miłości!
K o c h a j — bo w niebo wierzchołek się prości«...

Kochaj szlachtę!... bo ona podobna do drzew, stojących między trawą ludu, i z nas drzew na obronę tych traw ciosały się lance.

»Pytałem łanów: Kto wam gospodyniem?[1]
I kto napełnia ziarnem wasze kłosy?
I rzekły do mnie: »łaska Bożej rosy!
K o c h a j tą falą, bo miłością płyniem!«

Kochaj całą polską ziemię, co żywi twój naród i obcych!

»Pytałem mogił nocami całemi:
Komu świadczycie, gdzie już zrosło ciernie?...
I rzekły do mnie: »I niebu i ziemi!
K o c h a j i przyświadcz, bo my świadczym wiernie«.

Kochaj przeszłość narodową!... bo ona była słońcem na ciemnem sklepieniu dziejów tego świata, co chociaż na krótką noc zaszło, na nowo wstaje, jak jutrzenka!

»Pytałem łąki pokoszonej z rosą:
Czemu skoszona taki zapach roni?
I rzekła do mnie: »to dech rajskiej woni!
K o c h a j, bo wonne, co padło pod kosą!«

Kochaj mękę obecnych walk naszych!... bo z niej nowe życie się narodzi!...

»Pytałem nieraz tej pajęczej siatki:
Poco osnowa takiem srebrem ściernie?
I rzekła do mnie: »bom wdzięczna dla matki;
K o c h a j i snowaj, bo ja snuję wiernie!«

Kochaj pieśń swoją... choćby ją wiatr stargał i padała na serca jak ścierń pożółkłe i martwe!

»I rzek pytałem: gdzie to tak płyniecie?
I rzekły do mnie: »na gościnne bramy!
Na wsie i grody po oj zystym świecie,
Więc płyń i k o c h a j — bo znane kochamy!«

Kochaj i wierz w przyszłość twego narodu!...-bo zaprawdę, jak one rzeki, popłynie on przez świat z błogosławieństwem dla świata!...

---

[1] *gospodyń* — pan.

»Toć ośmielony wkońcu temi głosy,
Do chat zmierzałem przez wonne pokosy,
A były gęsto nasiadłe osady.
I ciche strzechy za dobremi sady
W Bogu-m pozdrowił — a gazdowie na to:
»K o c h a j i zasiądź — bo w ziemi bogato!«

»Wróciłem z mojej podróży, przeciąwszy własną pracą otwartą drogę do chat ludu zapomnianego. A gdym z tą wieścią o odszukanym skarbie stanął przed narodem i złożyłem mu z miłością wszystko, com wziął po duchu i wiośnie, zdawało mi się, że brał on inaczej, niż ja dawałem, i że została zapoznaną miłość moja; i zdawało mi się, żem usłyszał przebiegający szmer po niechętnych ustach: Za co on tak kocha!«

»Więc porwałem się i powiedziałem sobie: Pójdę sam, pójdę prosto, jak szermierz Boży do wielkiego celu! Ale ów głos ironji biegł w ślady za mną i mącił mi głowę i tumanił oczy; straciłem miłość — i zbłąkałem się«.

»I spostrzegłem:

. . . . . żem z próżną nosił się mozołą:
Bo to nie kolej szerokiego szlaku,
Bo to nie droga — ale błędne koło,
I wiecznie jedno w zaklętym deptaku«...

»I usłyszałem wtenczas głos z nieba:

. . . . Kochać to nie dosyć!
Kto chce miłować, musi krzyż ponosić,
W ramionach krzyża tylko jest zbawienie:
J e d n y m c i e r p l i w o ś ć — d r u g i m p r z e b a c z e n i e«.

»Ale cóż ja teraz pocznę, o Panie! kiedy wszystkie moje uczucia zmalały mi w sercu, zwątpiałem na m a k o w e z i a r n k o. Wprawdzie żywią w niem

»Wszystkie miłości i wszystkie boleści,
I cała przeszłość i cała robota
Dziejów i ziemi, ducha i żywota«,

ale i to wszystko drobnieje mi z każdą chwilą więcej, i coraz mniejszą odmierza się miarką«.

»Otóż z tem ziarnkiem, cóż ja, Panie, zrobię?
Czy go zdać ziemi na twe święte Imie,
Niech jako ziarno posiewu tam drzymie?
Czy po mej stracie złożyć go na grobie,
W którym się wszystko, com ja kochał, mieści
I gdziem pogrzebał wszystko krom[1] boleści?
Czyli Cię prosić, byś to ziarnko zmienił
W jedno westchnienie — a to byś ocenił
W chwili skonania — w chwili Twego sądu,
Gdy się dozwolisz dobić już do lądu? —«

Januszu!... Siewaczu dobry!... obudź dawną miłość swoją i wiarę — i z wiarą i z miłością rzuć to drobne makowe ziarnko w ziemię swoją ojczystą! Nie lękaj się! nie zadrzymie ono w tej ziemi — czujną ona jest i płodną! Makowe twoje ziarnko wnet wypędzi pod słońce[2] w kwiaty białe i amarantowe, i utworzą się z nich w czasie żniwa prac naszych trzy owoce, rojne wewnątrz tysiącami ziarn, stojące na jednej łodydze!

Taką jest spowiedź Wincentego Pola. Przekonywa nas ona, że w jego duchu drzymią tylko wszystkie jego cnoty i wielkości.

Przez wzgląd dla nich;

przez wzgląd na moją obronę, umniejszającą winy Wincentego Pola;

przez wzgląd na dawne dobre czyny Janusza, nieocenionych korzyści dla narodu;

przez wzgląd, że miarą zwyczajną nie można nam mierzyć żywotu i czynów znakomitych ludzi;

przez wzgląd, że u poety natury Wincentego Pola częściej niż duch, gorąca tylko fantazja grzeszy;

w imieniu krwi wylanej dla sprawy ojczystej na polach Litwy i Korony;

w imieniu tego ludu, którego Janusz wyprowadził z chat zapomnianych, uczcił jego cnoty, otoczył miłością, podniósł do godności pieśni, zbogacił nim naród;

---

[1] *krom* — oprócz.
[2] *wypędzi pod słońce* — pędy wzbije do góry, wybuja.

w imieniu przeszłości narodowej, którą oskarżony ślepo i namiętnie kocha i umiał z niej wyprowadzić postać Mohorta:[1]

klonię się przed narodem i proszę dla oskarżonego o przebaczenie!

Na zapytanie oskarżonego:

»A życie moje wszak stanie za grzechy?«

odpowiedz, narodzie, odpowiedz:

»Stanie, mój Ojcze, jak Bóg żywy, stanie«.

Przebacz! ale pod warunkami:

Aby Wincenty Pol dał nam nową edycję *Pieśni Janusza, Obrazów z życia i podróży* i *Pieśni o ziemi naszej* — i wydrukował wszystko inne dobre i przydatne dla nas, chowane dotąd w swej tece.

Aby oczyścił późniejsze swoje prace ze wszystkiego, co złem i wstrętnem jest dla narodu, i w takiem oczyszczeniu wydał je powtórnie.

Sam zaś od siebie ośmielam się podać Wincentemu Polowi następującą radę:

Żaden z naszych poetów nie kocha tak natury, jak ty, mój mistrzu! I żaden z nich nie umiał jej tak śledzić, wykrywać jej piękności i malować wszystkiemi barwami słowa, jak ty, mój mistrzu! W drobnych twoich poezjach gdziekolwiek otarłeś się o naturę, czyściejszym się stawałeś; z prostotą dziecka, z potęgą wielkiego poety umiałeś ją pojąć i wyśpiewać.

Pójdź jeszcze raz w góry, mój Januszu, tam gdzie bole serca mniejsze:

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu —
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech . . . .

I znajdziesz tam lekarstwo dla siebie, bo:

---

[1] *Mohort* — bohater rapsodu rycerskiego W. Pola.

»Jest tam zioło i od kochania
I od gryzienia we wnątrzu«.

A chodząc po górach, wstąpisz zapewne do chat góralskich; mieszkańcy ich poznają twoją twarz natchnioną, którą już dziś siwe włosy otoczyły; a ci, co zostali jeszcze na ziemi, postarzeli się mocno, — ci powitają cię z młodością uczucia.

»I stanie się radość i wielkie wesele,
I zmieni się dzionek powszedni w niedzielę
I w całej wsi będzie pod wieczór już święto,
Bo znowu Janusza podjęto«.

Powita cię w progu zapewne wnuka onej córki Sobka Sobczaka i powiesz potem znów o tem dziewczęciu:

»I wzięło za ręce i wiodło w świetlicę,
A jako słoneczko jaśniało jej lice!
Niewinną radością, serdecznem witaniem,
I ludzkiem, poczciwem kochaniem«.

»I wiodła i sadzi na ławie za stołem,
Jak gości po Bogu szanować przywykła;
A potem jak fryga kręciła się kołem,
Klasnęła w rączęta i znikła«.

Ten pierwszy gazda, który cię w halach witał, zapewne już spoczął pod mogiłką; pójdź na grób jego, dobry i mądry to był człowiek, równie jak ten, co ci opowiadał o Grzeli.

Dowiedz się w kuźni na Magurze, czy żyje jeszcze ów człek ze Świątnik i co się z nim stało.

Ciekawy jestem, czy trzymają się one złote trzewiczki, kupione w Krakowie, u stópek Najświętszej Panny, opiekunki jednej z chat tego ludu, o którym powiedziałeś:

»Lud to z Pana Boga rodem!«

Czy nie chciałbyś wiedzieć, czy żyje jeszcze ona nieszczęśliwa »Niobe góralska?«... Kto wie, może ona

doczekała się powrotu »wielkomożnego pana« i siedzi teraz może właśnie obok niego, uśmiechnięta, szczęśliwa, i trzyma wnuka na łonie, a jej mąż, »pan wielkomożny« toczy jak dawniej puhary.

Wyleć Januszu!

»Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Miłąć będzie taka jazda,
Spojrzyj z góry na twą ziemię,
I rodzime twoje plemię«.

A przed odlotem uczyń to, o com cię prosił przed podaniem tego artykułu do druku, wcale nie tając się z jego treścią przed tobą: Przebacz mi!

Skończyłem.

OBRONA SĄDOWA PRZY OSTATECZNEJ ROZPRAWIE W PROCESIE PRASOWYM [1]

we Lwowie, dnia 10 października 1863 roku.

Proszę, aby Wysoki Sąd pozwolił mi nieco obszerniej i szczegółowiej, niż to uczynił pan prokurator w swojem oskarżeniu, przytoczyć dwa fakta, odnoszące się do nieśmiertelnych imion Potapowa i Aleksandrowa, które imiona podałem do uwielbienia w dedykacji zbioru moich poezyj pod tytułem: *Dla Moskali*, a za który to czyn znajduję się teraz wobec Wysokiego Sądu na ławie oskarżonych.

Znane są całemu światu wypadki w Królestwie Polskiem na początku roku 1861. Naród, jęczący pod uciskiem mongolskiego zaboru, zrozpaczony, udał się tam, gdzie się udawać powinno każde cierpienie — udał się do Boga. Modlił się o ulgę, o pociechę, o siłę wytrwania, o nadzieję wybawienia; modlił się tłumnie, bo tak radzi kościół, który wierzy, że modlitwa wspólna, zbiorowa, silniejszą i skuteczniejszą jest od modlitwy pojedyńczych, odosobnionych ludzi; modlił się, śpiewając pieśni nabożne, których treść da się sprowadzić do kilku słów »suplikacyj«, zaleconych nam przez kościół w razie potrzeby, do słów: Od niewoli zachowaj nas, Panie!

To udawanie się do Boga, to uznawanie Jego władzy, nie podobało się absolutyzmowi cara moskiewskiego — temu absolutyzmowi, który na swoją korzyść

---

[1] Powód oskarżenia ob. Wstęp, str. 12—13.

chciałby zdetronizować i Pana Boga. Modlitwę nazwano buntem. Obmyślono środki represyjne. I pewnego dnia, kiedy lud warszawski w procesji wychodził z kościoła, a były tam dzieci z obrazkami świętych, kobiety z książkami do nabożeństwa, kapłani z krzyżami w ręku, — do tych dzieci, do tych kobiet, do tych kapłanów, do tego ludu bezbronnego przygotowane wojsko dało ognia. I polała się krew na bruku warszawskim, ta sama ludzka, ofiarna krew, która lała się nieraz w amfiteatrach rzymskich.

Między oficerami, stojącymi przed frontem i patrzącymi na ten mord, był oficer młody, o wolnej, niezdemoralizowanej duszy — nazywał się Potapow. Ten na widok przelanej krwi, na widok tego ludu, przypominającego pierwsze czasy chrześcijaństwa, złamał swą szpadę i odrzucił ją. Zaprotestował on biernie, milcząco, jak protestuje obrażony majestat człowieka wobec brutalnej, przeważającej siły. Potapow za ten czyn został rozstrzelany.

Co się tyczy Aleksandrowa, odczytam ustęp z korespondencji warszawskiej, umieszczonej w dzienniku *Czas* z dnia 18 czerwca 1862 r. Oto ten ustęp: »Ruch narodowy w Rosji coraz jest silniejszy; żądania im dłużej niezaspokojone, tem bardziej rosnące w rozmiarach, stają się głębsze i powszechniejsze. Odezwy, plakaty, proklamacje w Petersburgu są dowodem coraz groźniejszego usposobienia ludności i minowania fundamentów despotyzmu. Jedna z pierwszych proklamacyj, rozrzucona w tysiącach egzemplarzy pomiędzy wojsko w Petersburgu, wzywała wojsko przeciw despotyzmowi; druga, zatytułowana: *Ziemskaja Duma*, jawnie i stanowczo postawiła żądanie konstytucji; trzecia *Ruskaja Prawda* żąda niepodległości Polski i godzi ruch rosyjski z polskim; czwarta poświęcona jest wspomnieniom Aleksandrowa, skazanego przed sąd wojenny w Warszawie do kopalń syberyjskich. Historję Aleksandrowa opisano w odezwie w następujący sposób: »Przed

8 kwietnia r. b. jenerał Lüders telegrafował do Petersburga, że spodziewa się manifestacyj w tym dniu, jako w rocznicę rzezi, i pytał się o instrukcje postępowania z manifestacją. Cesarz kazał Lüdersowi najsurowiej postąpić, użyć siecznej broni, a gdyby ta nie pomogła, kartaczować lud warszawski. Kapitan Aleksandrow był przy urzędzie telegraficznym i depesze wręczał Lüdersowi. Powyższą depeszę zniszczył i zmienił ją na depeszę, rozkazującą postępować najłagodniej i działać perswazją. Po skończnym dniu, Lüders doniósł, że były po kościołach nabożeństwa żałobne i palmy i korony cierniowe, lecz stosownie do rozkazu cesarza działał łagodnie, i dzień przeszedł spokojnie. W Petersburgu, zdziwieni takim raportem, napisali, że nie rozumiał rozkazu. Rzecz się wkrótce wykryła. Aleksandrów, zapytany przez Lüdersa, odrazu odpowiedział, że zmienił treść depeszy. »Czy wiesz, że to jest zdrada stanu?« zapytał Lüders. »Wiem«, odrzekł kapitan. »Czy wiesz, co czeka cię za taki postępek!« »I to wiem — odrzekł spokojnie Aleksandrow — ale uważałem, że pożyteczniej jest, żebym ja zginął, niż żeby tysiące ludzi miało być wymordowanych«. Oddany pod sąd, skazany został w 24 godzin na rozstrzelanie; car wyrok zmienił na dożywotnie roboty w kopalniach, do których został wywieziony.

My tutaj w Warszawie nic nie wiedzieliśmy o całym wypadku, który opisałem według odezwy petersburskiej. Odezwa szczyci się Aleksandrowem jako chlubą Rosji i zachęca do naśladowania go«.

Tyle z korespondencji warszawskiej do *Czasu.*

Oskarżył mnie pan prokurator o pochwalenie tych dwóch czynów. Nie czuję winy w sobie, nie pojmuję jej nawet. A jeśli ma być winą, żem się urodził człowiekiem — wyrzut ten nie mnie dotyka, dotyka mego Stwórcy. Nie ja się zrodziłem, zrodzono mnie. Zrodzono mnie z ciałem i z duszą; do posługi ciała dano mi zmysły, do posługi duszy myśl i uczucie. Dano mi

prawa przyrodzone. Rządy, złe czy dobre, biorąc człowieka pod swoje prawa i opiekę, zmuszone są koniecznością przyznać mu niektóre jego prawa, dane mu przez naturę. Inaczej ludzkość stałaby się martwym towarem ze znakiem kupieckim na pace. Tak nie jest, tak być nie może. Człowiek jest człowiekiem. Wolno mi patrzyć, wolno mi słyszeć, wolno mi czuć!

Stworzył Bóg człowieka na podobieństwo swoje; skłonił jego zmysły ku piękności, a jego duszę ku prawdzie. Prawda jest pięknością moralną. W tych dwóch czynach, za których pochwalenie oskarża mnie pan prokurator, jest wielka piękność moralna. Bodźcem dla Potapowa i dla Aleksandrowa była litość podniesiona aż do poświęcenia. Odczuje tę piękność każda dusza ludzka bez względu na różnicę religji, narodowości, wykształcenia; każda dusza bez wyjątku, która nie starła w sobie podobieństwa bożego. Na wieść o tych dwóch czynach tysiące serc po różnych kątach ziemi uderzyło silniej; będące w upadku grzechów, podniosły się ku dobremu, będące w upadku zwątpienia, podniosły się ku wierze. I ja odczułem piękność tych dwóch czynów. Czy może istnieć prawo, które chciałoby karać mnie za takie uczucie? A gdy mam wolność tego uczucia, i przypuściwszy, że jestem niemową, czy za łzę uwielbienia, spływającą po mojej twarzy, pociągnionoby mnie do odpowiedzialności?... Obdarzony wymową, zamiast wylania milczącej łzy miałem możność wykrzyknąć: Jakie to piękne! Moja dedykacja jest tym wykrzykiem drukowanym.

Pan prokurator opiera swoje oskarżenie na jednym z paragrafów ustawy karnej i twierdzi, że ów paragraf wzbrania mi tego wykrzyku. Chyba stoi w tym paragrafie, że mi nie wolno być człowiekiem! Że zacytowany przez pana prokuratora paragraf mylnie był naciągnionym do mojej sprawy, dowiedzie ze stanowiska prawnego szanowny mój obrońca, któremu dalszą moją obronę powierzam.

NA POGRZEBIE Ś. P. ARTURA GROTTGERA [1]

we Lwowie, dnia 4 lipca 1868

Stoimy wokoło drogiej trumny, wróconej nam z obcej ziemi — nie obcej, bo gościnnej, oddawna nam przyjaznej, a co więcej, pokrewnej duchem; ona przybyła od naszej siostry Francji. Tę trumnę, która, pożegnana przez nas, za chwilę zejdzie w cień grobowy, tę trumnę przychodzi nam oraz witać. Jakie to bolesne powitanie! W niej spoczywają zwłoki Artura Grottgera. Umarł młodo, licząc zaledwie lat trzydzieści, a zostawił narodowi dzieła, które przetrwają wieki; żył ubogi, walczył nieraz z niedostatkiem — a zostawił narodowi skarby, dla których niema ceny.

Mówię wobec nader licznej i szerokiej publiczności, składającej się ze wszystkich warstw społecznych; niechże mi wolno będzie dla tych, którzy kochają Ojczyznę dla jej imienia świętego, a mało wiedzą o jej dziejach i o jej synach zasłużonych, przebiec w krótkości życie i działanie tego nieodżałowanego młodzieńca, dla oddania któremu przynależnej i ostatniej czci, zebraliśmy się w tem miejscu.

---

[1] Artur Grottger (1837—1868), znakomity rysownik polski, najpoetyczniejszy odtwórca duszy polskiej z okresu powstania styczniowego, zmarł w młodym wieku na suchoty. Między głównemi cyklami jego obrazów do najgłośniejszych należą: *Szkoła szlachcica polskiego, Warszawa, Polonia, Lituania, Wieczory zimowe* i *Wojna.*

Artur Grottger urodził się między nami, urodził się na wsi, z rodziców zacnych, przejętych patrjotycznem uczuciem, a którzy trzymali dzierżawą wieś Otyniowice, o mil ośm ode Lwowa odległą. Dzieckiem, zaledwie wyrośniętem z pieluch, ukochał on tę polską ziemię. Jej kształty, jej dźwięki uderzały w jego wrażliwą i miłującą duszyczkę. I równocześnie dwa poczucia, dwa popędy, dwa wybitne talenty: do muzyki i do rysunku — odezwały się w ubłogosławionem iskrą bożą dziecku. I jak to się dziwnie złożyło: matka jego była znakomicie wykształconą w muzyce, a ojciec w sztuce malarskiej. Rodzice stali się nauczycielami ukochanego syna — i wnet spostrzeżono, że talent do rysunku widocznie w nim przeważał. Matka więc, niewiasta-Polka, a już i z tego drugiego tytułu skora do każdego zaparcia się, nie chcąc łamać zdolności syna na dwa prądy, usunęła się ze swą nauką, zostawiając ojcu wyłącznie kształcenie go w rysunku. Chłopiec, liczący nieco więcej nad lat dziesięć, stał się wkrótce podziwem całej okolicy ze swego olbrzymiego talentu. I przy sposobności odwiedzin cesarza austrjackiego tej części Polski, którą nazwano Galicją, wyrysował jego wjazd do Lwowa. Rysunek został przedstawiony cesarzowi. Cesarz obdarzył młodziutkiego artystę dość znacznem stypendjum dla dalszego kształcenia się; jakoż udał się Grottger do szkoły malarskiej, naprzód w Krakowie, a później we Wiedniu. W tej ostatniej celował tak, że go umieszczono w oddziele, nazwanym »szkołą mistrzów«.

Nadszedł rok sześćdziesiąty pierwszy, rok wielkiej i błogosławionej pamięci. W nim nasz naród, choć ogołocony z sił materjalnych, lecz potężny duchem, stawił opór barbarzyństwu najobszerniejszego mocarstwa w świecie. Grottger był artystą, t. j. miał duchową siłę; Grottger był dobrym synem ojczyzny, t. j. obracał tę siłę na jej pożytek. I wyrysował natenczas pierwszą serję obrazów pod tytułem: *Warszawa*.

Przed siedmiu laty wielu z was, kochani rodacy,

współuczestniczyło w uroczystości postawienia tego bliskiego, dębowego krzyża na pamiątkę ofiar warszawskich... Wszak prawda, o krzyżu! godło i pamiątko dwóch męczeństw, ty niewidomie przedłużasz w tej chwili twe ramiona, aby osłonić grób tego, który uświetnił i przekazał światu fakt wiekopomny w dziejach ludzkości, a za łaską bożą przez nasz naród podniesiony!

Warszawa Grottgera zapomocą fotografij jakby w iskrach elektrycznych rozsypała się po Europie w tysiącznych egzemplarzach. Działała ona potężnie na masy ludów; stała się wobec nich orędowniczką sprawy Polski — i propagatorką tej wielkiej jej idei, że duch góruje nad siłą brutalną, panuje nad nią, a wkońcu tego buntownika przeciw duchowi — zgniata i zwycięża. Tego rodzaju propaganda nie mogła podobać się rządom absolutnym. We Wiedniu, ubóstwiającym cielesność, działy się rzeczy niezwyczajne: Przed wystawami sklepów, w których na widok publiczny rozwieszano obrazy Grottgera, stawały tłumy przechodniów; oni wracali z jednej uciechy i spieszyli zapewne do innej — mimochodem zatrzymali się na chwilę, aby oglądnąć nowość. I stali długo jakby przykuci — bo te obrazy odkrywały nowe, nieznane im światy; i stali zaniepokojeni, smutni, a odchodzący ze spuszczonemi głowami już nie na miejsca publiczne, ale — między rodzinę do domu. Na tak niebezpieczne objawy nie mógł patrzyć obojętnie ówczesny rząd austrjacki, nie miał on już ani siły, ani odwagi przeszkadzać dalszemu rozpowszechnianiu obrazów, — ale przysłał ich twórcy wyraz swego nieukontentowania z dodatkiem groźby, że jeśli artysta z podobnemi utworami jeszcze raz wystąpi, cesarskie stypendjum zostanie mu odebrane.

Tymczasem wybuchło nasze powstanie; krwawiło się ono wobec pogańskich samolubnych rządów, wobec przerażonych a bezwładnych ludów. I wkrótce to drogie dziecko polskie, ten ukochany syn ojczyzny, miał

sposobność odpowiedzieć na objawioną mu groźbę; — i któż nie wie, jak odpowiedział? Odpowiedział nową serją patrjotycznych obrazów, odpowiedział: *Polonją!* Poczem utracił stypendjum.

Ten uszczerbek zachwiał na zawsze jego materjalnemi stosunkami i stał się źródłem niemałych w jego dalszem życiu zgryzot, bo Grottger był opiekunem i podporą swej rodziny, a przytem serdecznie zawsze wylanym dla swych przyjaciół.

Przytoczony ostatni rys kreśli nam całego człowieka — on powie już resztę o nim — on mówi wszystko. On świadczy, że Grottger stał pod łaską wysokiego natchnienia, czuł w sobie jego uświęcenie, poddawał mu się, jak dobre, posłuszne dziecko, ślepo i w pokorze, a przytem wiedział, że ludzie natchnienia są tylko misternemi narzędziami w ręku Boga i że im nie wolno tak świętego daru używać dla swoich osobistych widoków i korzyści, bo inaczej duch wieszczy odstąpi ich i odleci — na długo, nieraz na zawsze. Toż śmiało twierdzę, że Grottger był ostatnich czasów jedynym wieszczem narodu. Najgodniej i najgenjalniej przedstawił on w swoich utworach ducha Polski. Dzisiejsza Polska — to ból i wiara; ból niezgłębiony i olbrzymia wiara. I te dwa charaktery występują we wszystkich dziełach Grottgera.

A gdzie wiara, tam zwycięstwo! Tak — choćby mnie miano, obyczajem wieku, nie kamieniem, ale śmiechem ukamienować — powiem: W ostatniem naszem powstaniu nie nasz wróg zwyciężył — myśmy zwyciężyli!! Jeżeli to słowo nie znajduje przystępu do dusz waszych, zapytam obecnych kapłanów: Podczas najsroższego prześladowania Kościoła kto był zwycięzcą: czy Neron, czy Chrześcijanie?... *(Głos kapłanów:* »Chrześcijanie!«). Dziękuję wam. Otóż tę myśl wypowiedział także Grottger w swoich rysunkach.

Patrzcie na tego kapłana, kiedy zamyka znieważany kościół, — jaki on spokojny — bo zwyciężył!

Patrzcie na tego katorżnika z podniesionym nad bryłą młotem — to zwycięzca! Patrzcie na tego trupa, nad którym klęczy skamieniała matka: twarz jego przepełniona szczęściem! Patrzcie na tego litewskiego leśnika, kiedy się rzuca w tłumy wrogów: to triumfator! albo na jego żonę, zagrzebaną w kopalni, klęczącą przed jawiącą się Matką Boską: to święta! albo na tego chłopa, prowadzonego przez szlachtę, niosącego chorągiew: on wie, że idzie w przyszłość, że w jego rodzie znajdzie się kiedyś senator! albo na tego rabina, postępującego za pogrzebem arcybiskupa warszawskiego: on zaczyna pojmować Chrystusa!...

Tak było! tak działo się rzeczywiście! a ten, który to wszystko ogarnął, pojął i objawił nietylko Polsce, ale całemu światu — w tej trumnie spoczywa.

I jakże mu się naród odpłacił? Najznakomitsze jego dzieła nie mogły w kraju znaleźć kupca i przejść musiały w obce narodowi ręce. Tylko jeden z naszych bogaczów uczcił genjusz Grottgera, był mu nieraz pomocą i podporą — ale to człowiek wyjątkowy; gdzie tylko potrzeba lub myśl narodowa, jego hojna ręka wszędzie. A nawet i teraz — zebrani w kilkuset delegaci Towarzystwa kredytowego, reprezentanci całego kraju, nie chcieli na inny dzień odłożyć czynności swoich, ażeby uczcić żałobny obchód tak wielkiej w narodzie znakomitości; i w tej chwili odbywają swoje posiedzenie, radząc tam zapewne nad nierównie ważniejszemi sprawami. O goryczy, bądź odemnie daleką! Pójdę za myślą grobów. Groby przebaczają, bo same nieraz pragną przebaczenia. Ten — niewinny! a wiem o tem, że przebacza winnym.

Po utworzeniu *Polonji*, *Lituanji* i *Wieczorów zimowych*, udał się Grottger, już chory, do Paryża. Tam na wystawie przeszłorocznej okazał ostatnie swoje dzieło: *Wojnę*. W tej *Wojnie* przedstawił całą jej straszną grozę. A i z tych obrazów wieje także myśl polska: nadzieja jej prorocza, chociaż w daleką sięgająca przy-

szłość, nadzieja pełniącej się miłości ewangelicznej we wszystkich stosunkach i zajściach międzynarodowych. Bo każda wojna jest bratobójczą, a Polska tradycyjnie miała wstręt do niej; wojen zaborczych nie znała, a podniesienie oręża swego nazywała »potrzebą«, to jest koniecznością.

Imię Grottgera rosło, nabierało coraz większego znaczenia i powagi. Otwierała mu się przyszłość piękna, spokojna, szczęśliwa — bo zdobył sobie sławę w całym świecie artystycznym, a w ojczyźnie zdobył serce dziewicy, godnej jego ducha i miłości, i miał z nią wkrótce zawrzeć śluby małżeńskie. I w takiej chwili — zapadając coraz bardziej na piersiową chorobę, wysłany przez lekarzy do południowej Francji, w kilka dni po przybyciu do Amélie les Bains — umarł.

Śmierć jego przedwczesna jest tajemnicą Opatrzności. Nie godzi się nam stawiać zapytania: dlaczego? My tylko tyle wiemy, że w strasznej dla narodu chwili ś. p. Artur Grottger był jego wieszczem-pocieszycielem, dokonał dzieła — i został odwołanym.

Z głębokim bolem żegnamy się z tobą, drogi nasz Arturze, a jednak z każdego bolu i smutku należy nam chrześcijanom, a mianowicie Polakom, wychodzić ze siłą i wiarą. Pocieszać ciebie, matko, lub ciebie, jego narzeczono, byłoby w ustach człowieka bluźnierstwem— to rzecz Boga. Mnie tylko wolno na widok tej trumny wydobyć z niej nie słowa pociechy, lecz wiary.

Wierzymy, że trumny są kołyskami nowych żywotów — o wy biedne, z rozdartem sercem, patrzcie! może w tej trumnie anioł się kołysze! Wierzymy, że w ziemi leżą gdzieniegdzie zwłoki tak szczęśliwe, iż mieć będą dwa wstrząśnienia — o jedno więcej, niźli wszystkie inne. Drugie będzie ogólne, przy zmartwychwstaniu ciał na głos trąby sądu ostatecznego; pierwszego wstrząśnienia doznają tylko zwłoki wybranych i zasłużonych: — przy zmartwychwstaniu Polski! Twoje popioły, Arturze, poruszą się także.

Wierzymy, że twoja trumna jest poprzedniczką innych, że trumny, rozrzucone po obcych ziemiach, kryjące zwłoki naszych braci zmarłych w tęsknocie na tułactwie, gotują się do podróży — i słychać po nich szmer radosnej nadziei: Może wkrótce zawezwą i nas i odbiorą do wolnej Polski!

O Boże! kiedy to?

A teraz, wielebny kapłanie, przewodniczący temu smutnemu obrzędowi, rozpocznij nad tą trumną przekazane nam przez kościół święte modlitwy — a potem uświęconą swą ręką rzuć na nią garść tej ojczystej ziemi, którą ś. p. Artur całą duszą kochał, a która na jego przybycie czekała. Niech ona posypie się z twej dłoni jakby łzy matki spadające i niech mu będzie błogosławieństwem; niech świadczy za nim przed Panem, niech mu wyjedna przebaczenie za małe a ludzkie ułomności jego i niech uprosi, aby został wliczony w legjon aniołów-stróżów naszej nieszczęśliwej ojczyzny.

PRZY ODSŁONIĘCIU POMNIKA W RAPPERSWYLU W SZWAJCARJI[1]

wypowiedziane w języku francuskim dnia 16 sierpnia 1868

Powiem krótko — lubię skąpstwo słów. Cierpiący zwykle mówią tak — a ja jestem Polakiem. W przeszłości szable nasze nie były długie, a sięgały daleko; piersi teraźniejszych naszych męczenników nie szersze od innych, a mieściły w sobie nieraz — Boga!

W rocznicę stuletniej naszej walki z przemocą, my, sieroty w ludzkości, przyszliśmy do ziemi wolnej i szczęśliwej założyć protest przeciw naszym ciemięzcom, a w tej chwili dusza całej Polski jest z nami. Kładziemy ten protest w imieniu żywych i umarłych, w imieniu kołysek naszych dzieci i grobów naszych ojców; w imieniu tych, którzy cierpią, w imieniu tych, którzy wierzą, w imieniu tych, którzy wątpią.

Z naszych łez i z naszej za wolność wylanej krwi powstaćby mogło tak wielkie jezioro, jako to przed nami! z naszych mogił na polach, w ciągu stu lat bitew, urosłaby góra, góra tak wysoka, jako jedna z tych Alp; nasza męka wystarczy na odkupienie grzechów całego świata. Jesteśmy narodem, w który wciela się Chrystus!

Jako taki, nasz naród nie staje przed wami z jękiem żebraka, chociaż jego łachmany wiszą na nim, ale staje on z powagą i pewnością wielkiego bogacza ducha.

Ostatnie nasze powstanie, a mianowicie odbywające się przed siedmiu laty manifestacje Warszawy, te-

---

[1] Z powodu otwarcia *Muzeum Narodowego* w Rapperswylu odsłonięto równocześnie pomnik narodowy w kształcie kolumny z orłem polskim u szczytu.

go miasta, które słusznie nazwano sercem Polski, — objawiły światu doniosłość siły, o której stracono pojęcie — doniosłość siły moralnej.

Z tym skarbem przychodzimy do was, do was wszystkich, którzy walczycie za jakąkolwiek świętą ideę i pragniecie zdobyć dla niej zwycięstwo. Niech dogorywające na swych tronach, napół zgniłe bałwany siły brutalnej uzbrajają ciemne masy w szaspoty [1] i iglicówki, — wy pragnący wolności i rządów Bożych uzbrójcie się w broń, którą wam Polska męczennica podaje.

Jeżeli osiągniecie pracą wewnętrzną tę siłę moralną, o której mówiłem, natenczas proste kije staną się w rękach waszych mieczami (wy, Szwajcarowie, wiecie o tem), a temi kijami, jak powiedział jeden z naszych bohaterów, zdobywają się karabiny, karabinami działa, a działami fortece.

Stawiamy na waszej ziemi, szlachetni i niepodlegli Szwajcarowie, pomnik nasz narodowy. To nie pomnik naszej niewoli, to pomnik naszej siły i wytrwałości, a oby stał on się kamieniem grobowym, zamykającym stuletnie nasze męczeństwo.

A teraz wam wszystkim, tu zgromadzonym, reprezentantom narodów, kochających moją ojczyznę, w jej imieniu dziękuję za objawione współczucie dla niej.

A tobie ziemio gościnna, ziemio wolna i święta, tobie, o Szwajcarjo, twoja siostra Polska przez moją rękę na znak miłości i wdzięczności przesyła swoje błogosławieństwo. Kto jest poetą nieszczęśliwego ludu, jest prawie kapłanem. I w tej chwili zdaje mi się, że mam posłannictwo i prawo błogosławić ciebie!

---

[1] *szaspoty* (fr. *chassepot*) i *iglicówki* — rodzaje strzelb.

Z POWODU ZAKOŃCZENIA ODCZYTÓW HISTORYCZNYCH H. SCHMITTA[1]

we Lwowie, dnia 8 kwietnia 1868

Szczęśliwy jestem, że na moje usta padł zaszczytny wybór, aby one wypowiedziały ci, Szanowny Prelegencie, w imieniu całego zgromadzenia wdzięczność za dokonane znakomite wykłady, któremi rozświeciłeś jedną epokę naszych ojczystych dziejów, epokę nam najbliższą i najboleśniejszą, a tem samem najwięcej nam dającą nauki na dziś i w niedaleką przyszłość.

Przy wydarzonej sposobności dotarłeś, Szanowny Historyku, do wielkiego zbioru rękopisów, odnoszących się do tej ważnej epoki.

Wytrwałą i niezmordowaną pracą, bystrością swego umysłu, wydobyłeś z tych ukrytych skarbów niejeden nowy fakt, zatarty w pamięci ludzkiej, niejeden nowy pogląd na fakta znane. Podałeś nam historję rozbicia narodu i jego pasowania się. Obszerny bardzo przedmiot wyczerpałeś bardziej, niżeli ktokolwiek przed tobą.

Wykłady twoje dały nam miarę twojej pracy i talentu; sposób, w jaki nam je wypowiedziałeś, czyni zaszczyt twemu sercu i twojemu charakterowi. W twoich słowach czuliśmy gorącą miłość ojczyzny, czuliśmy hart duszy i siłę jej przekonań — hart mężów zawsze wolnych, zawsze niepodległych, chociażby stali pod naj-

---

[1] Przemówienie ważne dla poznania poglądów poety na najważniejsze zagadnienia narodowe. *Henryk Schmitt*, którego zapatrywania poeta podziela, był znawcą wieku XVIII-go, a z przekonań radykalnym demokratą.

gorszym uciskiem, pod najcięższą niewolą, lub, co gorsza i niebezpieczniejsza, chociażby stali — pod pokusą.

Roztoczyłeś przed nami obraz straszny, ciemny, przerażający; z pod jego czarnego tła wydobywają się gdzie niegdzie ogniste strzały zakrytego słońca. Tem słońcem jest niespożyty duch narodu... a więc to tylko chmura przemijająca, a tą chmurą były i są grzechy nasze.

Niech nikt nie mówi, że na naszym narodzie popełniono morderstwo — popełniono tylko gwałt! Zabić narodu nie potrafi nikt, ani Bóg. Tak, ani Bóg! Bowiem powiedzianem jest, że i On, Wszechpotężny, bez naszego własnego przyczynienia się nikogo z nas ani potępić ani zbawić nie może. Ale on rozrządza ogromną i niezgłębioną potęgą, rozrządza wedle swej woli promieniem swego oka, pełnego łaski i miłosierdzia; gdy odwróci twarz, to grzesznicy, stojący na pochyłości grzechu, szybciej spadamy w przepaść; gdy popatrzy na nas — podnosimy się łatwiej. I jeszcze raz powtarzam, przez morderstwo żaden naród zginąć nie może, ale zginąć może — przez samobójstwo!

Okropny, zaprawdę, był obraz naszego społeczeństwa z drugiej połowy ubiegłego stulecia. To społeczeństwo podobnem było do wielkiego gmachu. Stał on zbudowany na twardej, błogosławionej ziemi wielkich tradycyj narodowych. Fundamentem szerokim z nieociosanych brył granitu był lud i połączone z tym ludem, bo wyszłe z niego, mieszczaństwo; nie wyniesione nad poziom, ginęło ono w mroku ziemi. Na tych fundamentach wspierał się kilkupiętrowy budynek hierarchji szlacheckiej. Dolna jego część składała się ze surowego, ale przeważnie zdrowego materjału; a czem dalej w górę, tem gorzej; tam już ściany lepione z zmurszałej gliny, gdzie niegdzie przetykane zdrowemi kamykami; cóż z tego, kiedy bez łączności ze sobą. A na takim budynku dach możnowładztwa spleśniały, zarażony roztaczającym go grzybem zepsucia, — dach podziurawiony,

przepuszczający przez siebie każdy wicher, każdą plutę zewnętrzną — sam gnijący i rozszerzający zgniliznę na cały budynek. A na tym dachu, król — jedwabna chorągiewka. I czyż tego rodzaju gmach mógł się ostać...? Runął!... Już prawie od wieku czyścimy i równamy plac, poramy się w tych gruzach; znaleźliśmy w nich wiele jeszcze dobrego materjału — a, co najważniejsza, fundamenta zostały!...

Przyznanie się do błędów to pierwszy szczebel do każdej poprawy. Już raz trzeba nam przyjąć tę prawdę, chociaż ona gorzka: *Upadliśmy przez nasze własne winy.* Gdyby Polska zdobyła się była na jednę chwilę zapału i ofiary, na jednę taką chwilę, na jaką w tymże wieku zdobyła się Francja w wiekopomnej nocy 4 sierpnia, w której uprzywilejowani rzucili w ogień płonący na ołtarzu miłości ojczyzny wszystkie wyłączne swoje prawa, wszystkie tytuły i przywileje, i podnieśli cały naród do równej godności obywatelskiej, lud rozkuli z pęt, dali mu ziemię i swobodę i powiedzieli mu: Macie, czegoście pragnęli, a jeżeli wróg nadejdzie, brońcie tych nabytków! Gdyby tak było się stało, Polska mogłaby była odeprzeć wszystkie na nią idące burze i trwałaby po dziś dzień.

Naród tem być powinien, czem był w dawnem pojęciu król: wyrazem najwyższej władzy — lecz dziś w tem on tylko podobny do mocarza, że lubi pochlebstwa, a nie znosi prawdy. Król dowiadywał się o prawdzie z ust nadwornych trefnisiów, dziś kryje się ona często w pismach satyrycznych. Kto pochlebia narodowi jako władzy, ten jest niegodnym jurgieltnikiem, zapłatą mu popularność. Żaden potężny król nie miał tylu schlebiaczy, ilu ich miał nasz rozbity naród. Głaskano ciągle jego uszy harfianem słowem: Niewinna ofiaro! jakże ci pięknie w aureoli męczeństwa twego! A należało do narodu ciągle przemawiać: Marnotrawco! roztrwoniłeś wielkie skarby — jakże ci brzydko w łachmanach żebraka! I źle robią ci, którzy mówią: Czekaj-

cie cierpliwie i bądźcie dobrej myśli — Polska będzie! A należy mówić: Nie będzie! Jeżeli na nią sami zapracować nie zechcemy. Jeszcze raz: Upadliśmy przez naszą własną winę i podnieść się możemy tylko przez naszą własną zasługę. I tu odnieść się muszę z uznaniem do ciebie, Szanowny Historyku: Pochlebcą nie byłeś nigdy, przeciwnie, liczysz się do ludzi zasłużonych a mało sympatycznych, którzy narodowi nieraz gorzkie prawdy mówili.

Wykłady twoje zostawiają po sobie skutki ważne: zbogaciły one naszą wiedzę, zahartowały ducha, przypomniały wiele rzeczy, z których niejedną zbawienną możemy wynieść zasadę i naukę; a to przekonanie będzie dla twoich trudów najpiękniejszą nagrodą.

Wiemy teraz naprzykład, jak jest niebezpiecznie wiązać się z mocarstwem, o którego obłudzie mieliśmy sposobność przekonać się nieraz — (plany... Czartoryskich); jak jest nikczemnie oddawać się w opiekę temu państwu, które ledwie nie wczoraj najętymi i płatnymi zbójcami mordowało naszych ojców, rozporało żywoty naszych matek — (rzeź... humańska); jak jest niekorzystne, dla tak zwanego »dobrze zrozumianego interesu kraju« robić ustępstwa z tego, co powinno być najdroższem, czy to dla pojedyńczego człowieka, czy dla narodu: z własnej godności; jak, chcąc tanim kosztem ocalić coś, traci się potem wszystko, i idzie się gorzej, niż w zatratę imienia, idzie się w śmierć moralną — (sejm... grodzieński). A stąd zasada i nauka: Lepsza podniesiona i grożąca pięść wroga, niżeli jego uśmiech.

Wiemy teraz także, z jak okropnem świętokradztwem frymarczono u nas nazwą patrjotów, jak pod to święte imię podszywali się nietylko ludzie ambitni i przedewszystkiem patrzący własnej korzyści, ale nawet jawni zdrajcy, którzy zostawali na żołdzie wrogów ojczyzny. A stąd zasada i nauka: Zawsze nadzorować ludzi, którzy, pracując w sprawie narodu, mają przytem także osobiste zyski, czy to w znacznych pensjach,

czy w zaszczytach, czy w zadowoleniu dumy, gdy stoją u steru.

Nakoniec, nie mogę pominąć uwagi, która mi się gwałtem nasuwa. Zakończyłeś, Szanowny Historyku, swoje wykłady w jednym z pierwszych dni wielkiego tygodnia. Szereg twoich wykładów był jakby odbiciem tych dni, które teraz nastąpią: to dnie Judaszowych zdrad, Piotrowych zaprzań i Piłatowych sądów, to dnie męki i krzyżowań. A potem? Wszak wiecie, jaki dzień się zbliża — dzień zmartwychwstania. Mówię o zmartwychwstaniu ducha narodowego, który od pewnego czasu zamiera między nami. Po takiem zmartwychwstaniu następują inne.

NA ZEBRANIU NAUCZYCIELI SZKÓŁ LUDOWYCH [1]

w Czortkowie, dnia 2 listopada 1892 r.

Niedawno przybyłego w te strony raczyliście, Szanowni Panowie, uczcić mnie wyborem na swego przewodniczącego.

Wdzięcznem sercem dziękuję za ten objaw waszej sympatji. W świecie ducha nic nie dzieje się przypadkowo i luźnie; wszystko wiąże się ze sobą ogniwami przyczyn i wyników moralnych. Do tego wielkiego prawa niech mi będzie wolno odnieść drobny fakt mego wyboru, bo w nadanej mi godności przez was, głównych kierowników wychowania ludowego, widzę nagrodę za moją miłość ludu, którą zawsze głosiłem i, kiedy mogłem, czynnie ją stwierdzałem. Miłość ludu, miłość ubogich, opuszczonych, nieoświeconych, ta miłość najbardziej chrześcijańska, ta miłość, którą najlepiej służyć możemy Bogu i Ojczyźnie, ona musiała być wam bodźcem przy obraniu trudnego i ciężkiego zawodu; ona daje wam cnotę łagodności i cierpliwości, bez których, sami łatwo zniechęceni, budzilibyście zniechęcenie i w uczniach waszych.

Smutek ogarnia duszę, kiedy porównuję nawał waszej obowiązkowej pracy ze szczyptą wynagrodzenia, jaką otrzymujecie. Wielu z was pobiera dziennie ośmdziesiąt kilka centów — a nawet mniej! Uliczny posługacz może tyle zarobić! Od was wymagają wyższego, prawie wszechstronnego wykształcenia, jak

---

[1] Przemówienie mówi samo za siebie, a treścią swoją nie przestało być do dzisiaj aktualne, o ile chodzi o niedomagania oświaty ludu.

świadczą temata, zadawane wam corocznie do wypracowania. Uczenie dzieci, zwłaszcza wiejskich, więcej nuży, niż wiele innych zajęć umysłowych; wy po takim trudzie siadacie w domu przy stoliku, aby poprawiać stosy zadań szkolnych i wygotowywać liczne urzędowe wykazy. Obowiązkowo macie być nietylko nauczycielami, lecz także biurowymi urzędnikami — i literatami. Tytułów wam nie brakuje, — ale brak wam nieraz chleba i często odpoczynku.

Zato cieszycie się ogólnem uznaniem. Godność waszą stawiają wysoko. Zwą was apostołami oświaty. Powiedzieli Niemcy, że ich zwycięstwa i zjednoczenie narodowe, to dzieło nauczycieli szkół ludowych. Więc twierdzą, że jesteście jako podwaliny, na których opiera się gmach społeczny... nie! tu jesteście karjatydami, o twarzach pooranych przetężeniem i może głodem. Uniosłem się goryczą. Proszę, niech ona nie wsiąka w serca wasze. Zły to posiłek — jątrzy, nie koi. Ta gorycz — jak powiedział poeta — niech żre i pali nie was, lecz wasze okowy.

Chciałem wyrazić wam współczucie, które dzielą ze mną wszyscy, prawdziwie kochający kraj i jego przyszłość. Ufam, że ze skargą na wasz los i z żądaniem polepszenia waszego bytu odezwą się głosy silniejsze od mojego, a tem ważniejsze, że wyjdą nie od was tylko. Potrzeba ratunku jest naglącą; o nim niech radzą ci rodacy, którzy mają głosy ustawodawcze. My wiemy, że ten kraj ubogi, bo po dokonanym jego zaborze pogrążały go w systematycznej martwocie, i prawie przez sto lat, absolutne rządy, patrzące nań z nieufnością i z tą nienawiścią, jaką czuje często krzywdziciel do skrzywdzonego. My wiemy, że ten kraj, obciążony wymogami we wszystkich zaniedbanych kierunkach, ponosi nadto większe ciężary dla siły i bezpieczeństwa tego państwa, pod którego osłoną możemy teraz, z woli i łaski Opatrzności, na narodowym gruncie żyć i ruszać się dość swobodnie. A jednak niepłonną mam nadzieję,

że Sejm krajowy postara się o dopełnienie brakujących szkół ludowych, a przedewszystkiem uposaży sprawiedliwie ich kierowników; bo ten Sejm, którego dbałość o drogi i szpitale słusznie podnoszono, wie także o tem, że obszary bez szkół są bezdrożną pustynią, a szkoły z głodnymi nauczycielami są dla tych nauczycieli szpitalami bez opieki!

Sejmowe uchwały, tyczące się szkolnictwa, i gorliwa działalność Rady szkolnej krajowej znalazły chlubny wyraz w ostatnich wykazach statystycznych. Miałem je w ręku i z radością tu głoszę, że przeszło trzy czwarte części mieszkańców całego kraju, nie licząc Lwowa i Krakowa, już posiada szkoły publiczne; ale, niestety, jeszcze dwa tysiące parę set gmin, stanowiących 35% gmin wszystkich, z przyczyny swego ubóstwa i mniej licznej ludności nie mają szkół. Nie możemy wątpić, że zostaną obmyślone środki, aby w niedługim czasie te czarne luki zapełnić. Ubogim nie przyjść z pomocą, pozbawić ich dobrodziejstwa oświaty, wykluczyć ich tem samem ze społeczeństwa, byłoby w dzisiejszych czasach grzechem podwójnym.

Wracam do głównej treści mego przemówienia, do sprawy podwyższenia płacy nauczycielom i nauczycielkom szkół ludowych, i sądzę, że nasi posłowie winni zażądać na ten cel pomocy państwowej, motywując żądanie tem, że dawny rząd austrjacki nigdzie nie tłumił oświaty ludowej z taką dokładnością, jak u nas. Zbierano potem z tego owoce, podobne do tych z nad Martwego morza, o których mówią, że mają w środku popiół... była tam i krew.

Zmieniona polityka, jeśli jest uczciwą, ma obowiązek płacić stare długi swoje. I niech nasi posłowie przypomną także, gdzie należy, że po rozbiciu Rzeczypospolitej przeszły w posiadanie austrjackiego skarbu olbrzymie dobra koronne, *przeznaczone na chleb dla zasłużonych*. A Polska, gdyby dalej istniała, byłaby się rozwijała coraz wyższem stopniowaniem w demokra-

tycznym duchu Konstytucji 3 maja, i dziś dochody z tych dóbr szłyby na użyźnienie kraju, a wy, jako niemało zasłużeni, mielibyście dodatkowo ich część nieskąpą. I jest jeszcze inny skarb, skarb większy, niewyczerpany, dany *nam, naszej* ziemi z błogosławieństwem od Boga. Są Wieliczka, Bochnia i inne saliny. Niechże nasi posłowie wołają: Dajcie nam coś z ich soli na posypanie suchego kawałka autonomicznego chleba!

Nie wy jedni cierpicie. Żyjemy wszyscy pod uciskiem. Organizm całej Europy jest chory. Dreszcze w nim chodzą i odzywają się jęki boleści — to nowy świat się rodzi. Będzie on lepszy, sprawiedliwszy, miłościwszy. Zanim upłynie wiek dwudziesty, skończy się era barbarzyństwa, pokrytego obłudą i pokostem cywilizacji. Kiedy zwycięży i zapanuje duch światła i chrześcijańskiej wolności, *szkoła* otrzyma naczelne miejsce, nie kasarnia — i *książka*, nie karabin!

Na zakończenie to jeszcze: Dziś dzień zaduszny. Gdy zmrok zapadnie, zapłoną na cmentarzach lampy, znaki pamięci i miłości dla umarłych. Odzywam się do tych, którzy są gospodarzami kraju: Ojcowie narodu, miejcie pamięć i miłość dla żywych, w ciemnocie żyjących, dajcie im szkoły, zapalcie dla nich te lampy, a gdzie już świecą, dolejcie im żywności.

TREŚĆ

str.

WSTĘP

I. Życie poety III
II. Talent Ujejskiego XVI
III. Poezja wieszcza XXVII
Bibljografja XXXI

WYBÓR POEZYJ

MARATON 1

SKARGI JEREMIEGO. Część pierwsza

Słowo Jeremiego 19
Pieśń zemsty 20
Noc natchnienia: Modlitwa wstępna 24
I. Ojcze nasz 26
II. Smutno nam, Boże! 28
III. Eli, eli, Lama Sabachtani 30
IV. Suplikacje 32
V. Do Bogarodzicy 33
VI. W cześć umarłym 36
VII. Modlitwa więźnia 38
VIII. Modlitwa ojca przy chrzcie syna 40
IX. Za zbłąkanych 43
X. Chorał 45
XI. Chwała Tobie, Panie! 47
XII. Akt wiary 49
Dodatek do trzeciej edycji:
Krzyż a miecz 51
Modlitwa 53

SKARGI JEREMIEGO. Część druga *(Wybór)*

Nie! Nie! Nie! Śmierci być nie chcę zwiastunem 57
»Lepsza nam kula niźli takie życie« 59

str.
Na stoku cytadeli poniósł śmierć okrutną 60
Niech wstaje pieśń! 61
Bogataś Polsko w rady i sposoby 62
Moje zaciszne mieszkanie 63
Wobec wroga stać spokojnie 65
Pieśń polska, niepodległa 66

MELODJE BIBLIJNE (Wybór)

Jubal 71
Ostatnie głosy Sodomy 73
Słup soli 76
Hagar na puszczy 77
Rebeka 79
Żona Putyfara 82
Pan w gniewie 84
Przeklęci 86
Mojżesz przed śmiercią 87
Jeremjasz 93
Super flumina Babylonis 95

TŁUMACZENIA SZOPENA

Marsz pogrzebowy 99
Finale 103
Wniebowzięcie 106
Terkotka 106
Zakochana 108
Panna młoda 110
Kto lepiej 111
Noc straszna 113

WIERSZE RÓŻNE

Pieśń o ziarnie 119
Pod ziemię! 121
Młodości moja! 122
Damokles 123
Gęśl Jeremjasza 126
Stance do mojej matki 129
Trzy struny 132
Anioł-Pański 134
Czarny szal 136
Do Autora *Kordjana* 139
La République! 140
Ojcowski Psalm 142
Ustęp z powieści sybirskiej *(W urywkach)* . . . 144
Zawiana chata 150

str.
Pogrzeb Kościuszki 151
Niebezpieczna 157
Za służbą 162
Czy wy mnie znacie? 164
Wieść o Adamie Mickiewiczu 165
W ciszy 173
Kiedyś — konając 174
Błonia medyckie 175
Orły i słowiki 179
Z legendy: Pług i szabla 180
Oda do poezji 188

LISTY Z POD LWOWA *(W urywkach)*

O *Albumie Wileńskim* 195
O Januszu i o panu Wincentym Polu 202

ŻYWE SŁOWA JEREMIEGO *(Wybór)*

Obrona sądowa przy rozprawie w procesie prasowym 230
Na pogrzebie Artura Grottgera 234
Przy odsłonięciu pomnika w Rapperswylu 241
Z powodu zakończenia odczytów historycznych H. Schmitta 243
Na zebraniu nauczycieli szkół ludowych w Czortkowie 248

Date Due

FRAGILE

This volume is encased in a "flapped" enclosure to protect the contents. Please **handle with care.**

1. Carefully open flaps by disengaging the velcro fasteners.

2. Turn pages carefully to minimize damage.

3. Close flaps carefully beginning with the top and bottom and ending with the large "front" flap. Engage velcro fasteners as you proceed.

4. Return the volume directly to the point from which you borrowed it. **Do not return it via a bookdrop.**


UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 076108577